

MARY DORIA RUSSELL

WRÓBEL

CYKL *EMILIO SANDOZ*

TOM 1

Tłumaczył Andrzej Polkowski

Dla Maury E. Kirby i Mary L. Dewing

quarum sine auspicio hic

liber in lucem non esset

editas

PROLOG

Prawdę mówiąc, można to było przewidzieć. Cała historia Towarzystwa Jezusowego dowodziła umiejętności zręcznego i skutecznego działania oraz pasji do odkryć i badań. W okresie, który Europejczycy z dumą nazwali Epoką Wielkich Odkryć, ojcowie jezuici pojawiali się na świeżo odkrytych ziemiach już w rok lub dwa po śmiałkach, którzy nawiązali pierwszy kontakt z tubylcami. Zresztą pionierami odkryć często byli sami jezuici.

Organizacja Narodów Zjednoczonych potrzebowała całych lat na podjęcie decyzji, którą Towarzystwo Jezusowe podjęło w dziesięć dni. W Nowym Jorku dyplomaci prowadzili długie i zażarte dyskusje, czy i dlaczego powinno się ryzykować życie ludzi w celu nawiązania kontaktu ze światem, który później miał być znany jako Rakhat, kiedy na Ziemi wciąż jest tyle nie rozwiązanych i pilnych problemów. W Rzymie nie dyskutowano, czy i dlaczego to uczynić, ale jak szybko da się misję zorganizować i kogo wysłać.

Towarzystwo nie prosiło o zgodę żadnej doczesnej władzy. Działo według własnych zasad, na własny koszt, na mocy autorytetu papieża. Misja na Rakhat miała charakter nie tyle tajny, ile prywatny; subtelna to różnica, ale dzięki niej Towarzystwo nie czuło potrzeby wyjaśniania lub usprawiedliwiania swojego przedsięwzięcia, kiedy po kilku latach sprawa nabrała rozgłosu.

Jezuicy uczeni podjęli misję na Rakhat, by poznawać, a nie nawracać. Ich celem było poznanie i obdarzenie miłością innych dzieci Bożych. Był to cel, który przyświecał im zawsze, kiedy bez lęku sięgali najdalszych granic ludzkiego poznania. Wyprawili się na Rakhat *ad majorem Dei gloriam*: dla większej chwały Bożej.

Nie zamierzali nikogo skrzywdzić.

1

RZYM

grudzień 2059

Dnia 7 grudnia 2059 roku, w środku nocy, ojca Emilia Sandoza zabrano z izolátky szpitala Salvator Mundi i przewieziono furgonetką do siedziby jezuitów przy Borgo Santo Spirito 5, znaną jako Numer 5, którą od Watykanu dzieli kilka minut marszu przez plac Świętego Piotra. Następnego dnia rzecznik prasowy Towarzystwa Jezusowego stanął przed masywnymi drzwiami rezydencji i ignorując wykrzykiwane pytania i jęki rozczarowania dziennikarzy, odczytał krótkie oświadczenie:

„Zgodnie z tym, co nam wiadomo, ojciec Emilio Sandoz jest jedyną osobą, która powróciła z misji jezuitów na Rakhat. Jeszcze raz składamy podziękowanie Organizacji Narodów Zjednoczonych, Konsorcjum Kontakt i Sekcji Górnictwa Asteroidowego Korporacji Ohbayashi za umożliwienie ojcu Sandozowi powrotu. Nie posiadamy żadnych dodatkowych informacji o losie innych członków załogi. Pozostają w naszych modlitwach. Ojciec Sandoz jest zbyt chory, by można go było przesłuchać, a proces jego ozdrowienia może trwać kilka miesięcy. Do tego czasu nie będzie żadnych dalszych komentarzy na temat samej misji lub na temat oskarżeń ze strony Konsorcjum Kontakt w stosunku do działalności ojca Sandoza na Rakhacie”.

Była to jawna próba zyskania na czasie.

Ojciec Sandoz był rzeczywiście chory. Całe jego ciało pokrywały wykwity samorzutnych wylewów podskórnych. Dziaśła przestały już krwawić, ale wszystko wskazywało na to, że jeszcze długo nie będzie mógł jeść normalnie. No i trzeba będzie coś zrobić z jego rękami.

Tymczasem szkorbut, anemia i wyczerpanie sprawiały, że spał dwadzieścia godzin na dobę. Kiedy się budził, leżał nieruchomo, skulony jak płód i prawie tak samo bezradny.

Przez te pierwsze tygodnie drzwi do jego małego pokoju prawie zawsze pozostawały otwarte. Pewnego popołudnia, kiedy na korytarzu pastowano podłogę, brat Edward Behr, pomimo ostrzeżeń ze strony personelu szpitala Salvator Mundi, zamknął drzwi, aby uchronić ojca Sandoza od hałasu i nieprzyjemnego zapachu. Sandoz akurat się obudził i musiał zauważyć, że jest zamknięty. Brat Edward już nigdy nie powtórzył tego błędu.

Vincenzo Giuliani, generał Towarzystwa Jezusowego, każdego ranka zaglądał do pokoju, by spojrzeć na chorego. Nie miał pojęcia, czy Sandoz zdaje sobie sprawę z tego, że ktoś na niego patrzy. Kiedy ojciec generał był bardzo młody, Sandoz, który wyprzedzał go o rok w dziesięcioletniej formacji kapłańskiej, bardzo go fascynował. Dziwny chłopak ten Sandoz. Zagadkowy człowiek. Vincenzo Giuliani zrobił karierę jako znawca ludzi, ale tego człowieka nigdy nie zdołał zrozumieć.

Spoglądając na Emilia, tak chorego i teraz prawie niemego, Giuliani wiedział, że nieprędko uda się coś z niego wyciągnąć. To go jednak nie zniechęcało. Vincenzo Giuliani był cierpliwy. Trzeba być cierpliwym, by dobrze sobie radzić w Rzymie, gdzie czas odmierzany jest nie stuleciami, ale tysiącleciami, gdzie cierpliwość i dalekosiężne spojrzenie zawsze cechowały życie polityczne. Miasto użyczyło nawet nazwy cnocie cierpliwości: *romanita*. *Romanita* wyklucza emocję, pośpiech, zwątpienie. *Romanita* wyczekuje na odpowiedni moment i dopiero wtedy uderza. *Romanita* opiera się na absolutnym przekonaniu o ostatecznym sukcesie i wyrasta z jednej tylko zasady: *Cunctando regitur mundus*. Czekać, zdobywa się świat.

Tak więc nawet teraz, po sześćdziesięciu latach, Vincenzo Giuliani nie odczuwał najmniejszego zniecierpliwienia, kiedy nie mógł się porozumieć z Emiliem Sandozem. Wiedział, że jego cierpliwość w końcu zostanie wynagrodzona.

Osobisty sekretarz ojca generała skontaktował się z ojcem Johnem Candottim w dzień Świętych Niewiniątek, trzy tygodnie po przeniesieniu Emilia do Numeru 5. „Sandoz ma się na tyle dobrze, że może się z ojcem zobaczyć”, poinformował Candottiego Johannes Voelker. „Proszę być tutaj o drugiej”.

Być tutaj o drugiej!, myślał poirytowany John, idąc do Watykanu z domu rekolekcyjnego, w którym mu przydzielono duszny pokój z oknem wychodzącym wprost na rzymskie mury. Od swojego przybycia do Rzymu Candotti miał już kilka razy do czynienia z Voelkerem, który od samego początku budził w nim niechęć. Prawdę mówiąc, niechęć wzbudzała w nim cała sytuacja, w której się znalazł.

Przede wszystkim nie rozumiał, po co go w to wszystko wmieszano. Nie był ani prawnikiem, ani uczonym. Z jezuickiego dictum „publikacje albo parafia” świadomie wybrał mniej prestiżowy człon i był właśnie pochłonięty przygotowaniami do bożonarodzeniowego programu szkolnego, kiedy wezwał go przełożony i kazał mu polecieć do Rzymu. „Ojciec generał życzy sobie, abyś dotrzymał towarzystwa Emilio Sandozowi”. Oczywiście John słyszał o Sandozie. Każdy o nim słyszał. Tyle że nie miał najmniejszego pojęcia, po co miałby dotrzymywać mu towarzystwa. A kiedy o to pytał, nikt nie potrafił – lub nie chciał – niczego mu wyjaśnić. Nie miał doświadczenia w tego rodzaju sprawach. W Chicago ludzie nie byli przyzwyczajeni do subtelnosci i dyskrecji.

No i sam Rzym. Podczas zaimprovizowanego przyjęcia pożegnalnego wszyscy byli podekscytowani. „Johnny, Rzym!” Ta historia, te cudowne kościoły, te zabytki. John poczuł, że sam powinien być zachwycony. Ale nie był. Bo niby co on wiedział o Rzymie?

John Candotti przywykł do płaskiego krajobrazu, prostych linii, kwadratowych bloków. Nic w Chicago nie przygotowało go do rzeczywistości Wiecznego Miasta. Najgorzej było, kiedy już widział z daleka budynek, do którego chciał się dostać, i stwierdzał, że ulica, która powinna do niego prowadzić, zakręca nie wiadomo gdzie, by w końcu otworzyć się na jeszcze jeden piękny placyk z jeszcze jedną cudowną fontanną, z którego można było iść dalej tylko jeszcze jedną aleją wiodącą donikąd. I następna godzina błędzenia po tych cholernych wzgórzach, po tym szurzym gnieździe uliczek cuchnących kocimi szczynami i pomidorowym sosem. Nie znosił poczucia zagubienia, a tutaj zawsze czuł się zagubiony. Nie znosił spóźniania się, a tu zawsze się spóźniał.

Pierwsze pięć minut każdej rozmowy zajmowało mu przeproszanie za spóźnienie. I za każdym razem jego rzymscy rozmówcy zapewniali go, że nie ma żadnego problemu.

Mimo to John czuł się w takich sytuacjach fatalnie, więc coraz bardziej przyspieszał kroku, aby tym razem za wszelką cenę dotrzeć do siedziby jezuitów na czas. Wkrótce opadła go banda dzieciaków, najwyraźniej uradowanych widokiem tego kościstego, łysawego mężczyzny z wielkim nosem, wymachującego zamasyżycie ramionami i odzianego w długą, powiewającą w marszu sutannę.

– Proszę mi wybaczyć spóźnienie.

John Candotti powtarzał to każdemu, kogo napotkał, zmierzając do pokoju Sandoza, a w końcu powiedział to samemu Sandozowi, kiedy brat Edward Behr wprowadził go do środka i zostawił sam na sam z chorym.

– Ulice wciąż są strasznie zatłoczone. Czy oni nigdy nie siedzą w domu? Jestem John Candotti. Ojciec generał prosił mnie, żebym pomógł ojcu podczas przesłuchań. Miło mi ojca poznać.

Wyciągnął bezmyślnie rękę i cofnął ją z zakłopotaniem, kiedy sobie przypomniał o chorobie.

Sandoz nie wstał z fotela przy oknie i nawet nie spojrzął w kierunku Candottiego – nie wiadomo, czy dlatego, że nie mógł, czy dlatego, że nie chciał. Candotti widział jego zdjęcie w archiwum, ale Sandoz okazał się trochę niższy, niż się spodziewał, i o wiele bardziej chudy, na pewno też wyglądał starzej, choć nie tak staro, jakby to wynikało z kalkulacji: siedemnaście lat podróży w tamtą stronę, prawie cztery lata na Rakhacie, siedemnaście lat z powrotem, no, ale trzeba wziąć pod uwagę względność czasu przy podróżowaniu z szybkością bliską prędkości światła. Wiek Sandoza, urodzonego rok wcześniej od ojca generała, który obecnie zbliżał się do osiemdziesiątki, fizycy oceniali na mniej więcej czterdzieści pięć lat. Sądząc po jego wyglądzie, musiały to być ciężkie lata.

Cisza przedłużała się. Starając się nie patrzeć na ręce Sandoza, John rozmyślał, czy nie powinien się wycofać. Przecież to o wiele za wcześnie, pomyślał, ten Voelker chyba zwariował. A potem usłyszał, jak Sandoz zapytał:

– *English?*

– Nie, ojcz. To brat Edward jest Anglikiem, ja jestem Amerykaninem.

– Nie – powiedział po chwili Sandoz. – *La lengua*. Angielski.

John, zaskoczony, zdał sobie sprawę z nieporozumienia.

– Tak. Mówię też trochę po hiszpańsku, jeśli ojciec woli ten język.

– To był włoski, *creo. Antes...* to znaczy przed... W szpitalu. *Sipaj-si yo...* – Urwał, bliski łez, ale opanował się i powiedział spokojnie: – Byłoby łatwiej... gdybym przez chwilę słyszał... tylko jeden język. Może być angielski.

– Jasne. Nie ma problemu. Możemy mówić po angielsku. – John był trochę wstrząśnięty. Nikt mu nie powiedział, że z Sandozem jest aż tak źle. – To ma być krótka wizyta, ojcie. Chciałem tylko się przedstawić i zobaczyć, jak ojciec się czuje. Nie musimy się spieszyć z przygotowaniami do przesłuchań. Jestem pewny, że poczekają, aż ojciec poczuje się na tyle dobrze, żeby...

– Żeby co? – zapytał Sandoz, po raz pierwszy patrząc prosto na Candottiego.

Twarz pożłobiona głębokimi zmarszczkami, indiańskie pochodzenie czytelne w ostrym nosie i w wydatnych kościach policzkowych, stoicyzm. John Candotti nie potrafił sobie wyobrazić tego człowieka, kiedy się śmieje.

– Żeby wyjaśnić, co się wydarzyło – odpowiedział, choć miał ochotę powiedzieć: „Żeby się bronić”.

Cisza panująca w tym domu była uderzająca, zwłaszcza przy oknie, gdzie słyszało się odgłosy miasta, wciąż świętującego karnawał. Jakaś kobieta strofowała dziecko po grecku. Turyści i reporterzy kłębili się wokół gmachu, przekrzykując gwar pielgrzymów i hałas taksówek. Rozbrzmiewały wołania robotników i warczały maszyny; tutaj wciąż coś remontowano, aby powstrzymać ruinę nieustannie zagrażającą Wiecznemu Miastu.

– Nie mam nic do powiedzenia. – Ojciec Sandoz znowu odwrócił się do okna. – Wystąpię z Towarzystwa.

– Ależ, ojciec Sandoz... przecież nie może ojciec oczekiwać, że Towarzystwo pozwoli ojcu tak sobie odejść, bez wyjaśnienia, co tam się wydarzyło. Może ojciec nie mieć ochoty na to przesłuchanie, ale to wszystko nic w porównaniu z tym, co ojca czeka tam, na zewnątrz, jak tylko ojciec przekroczy drzwi. Jeśli zrozumiemy, będziemy mogli ojcu pomóc. Może jakoś to ojcu ułatwimy. – Nie było odpowiedzi, tylko twarz Sandoza, widoczna z profilu na tle okna, nieco stwardniała. – W porządku. Wróć za kilka dni, kiedy ojciec poczuje się lepiej, dobrze? Może coś przynieść? Może komuś coś przekazać?

– Nie – zabrzmiała cicha odpowiedź. – Dziękuję.

John powstrzymał westchnienie i odwrócił się do drzwi. Jego wzrok padł na szkic leżący na małym biurku. Szkic na czymś w rodzaju papieru, nakreślony czymś w rodzaju tuszu. Grupa VaRakhatów. Twarze o wielkiej godności i uderzającym wdzięku. Niezwykle oczy z długimi rzęsami chroniącymi przed jasnym słońcem. To zabawne, ale można było ich uznać za niezwykle przystojnych, nawet jeśli nie znało się ich kryteriów piękności. John Candotti podniósł szkic, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Sandoz wstał i zrobił dwa szybkie kroki ku niemu.

Sandoz był chyba o połowę od niego niższy i schorowany jak wszyscy diabli, ale John Candotti, weteran ulic Chicago, cofnął się zaskoczony. Kiedy wyczuł plecami ścianę, pokrył zakłopotanie uśmiechem i odłożył rysunek na biurko.

– To piękna rasa, prawda? – zapytał, starając się odgadnąć, jakie emocje targają stojącym przed nim człowiekiem. – Ci... faceci na obrazku... To ojca przyjaciele, tak?

Sandoz cofnął się i popatrzył na Johna przez chwilę, jakby chciał ocenić jego reakcję. Światło bijące z okna rozjaśniło mu włosy, a kontrast ukrył wyraz jego twarzy. Gdyby w pokoju było jaśniej albo gdyby John Candotii znał go lepiej, mógłby rozpoznać dziwaczną powagę, jaka poprzedzała każdą wypowiedź Sandoza, jeśli się spodziewał, że wywoła wesołość lub wściekłość. Sandoz wahał się przez chwilę, aż wreszcie znalazł słowo, którego szukał.

– Towarzysze – powiedział w końcu.

Johannes Voelker zamknął swój laptop na zakończenie codziennej porannej narady z ojcem generałem, ale nie wstał, żeby odejść. Siedział i nadal wpatrywał się w twarz Vincenza Giulianiego, który ostentacyjnie skupił się na własnym notesie elektronicznym, aby przejrzeć rozkład zajęć na ten dzień i wstukać decyzje, które właśnie przedyskutowali.

Trzydziesty czwarty w kolejności generał Towarzystwa Jezusowego, Vincenzo Giuliani odznaczał się wyjątkowymi zdolnościami kierowniczymi. Postawny mężczyzna, sympatycznie łyśy, wyprostowany i zadziwiająco silny, jak na swój wiek. Z zawodu historyk, z natury polityk, Giuliani przeprowadził Towarzystwo przez trudne czasy, naprawiając część szkód, które wyrządził Sandoz. Trzeba było nie lada wysiłku, by nakłonić ludzi do studiowania hydrologii i kultury islamu. A gdyby nie było jezuitów w Iranie i Egipcie, nie byłoby komu ostrzec świata przed ostatnim atakiem. Trzeba docenić każdego, jeśli na to zasługuje, pomyślał Voelker, czekając cierpliwie, aż Giuliani zwróci na niego uwagę.

Ojciec generał westchnął i spojrział na swojego sekretarza, niezbyt atrakcyjnego mężczyznę po trzydziestce, z wyraźną skłonnością do tycia i jasnorudymi włosami przylegającymi do czaszki. Siedząc głęboko w fotelu, z rękoma złożonymi na brzuchu, Voelker był milczącą ikoną jakiejś nie załatwionej sprawy.

– No dobrze, wyrzuc to z siebie. Powiedz, co musisz powiedzieć – rzekł Giuliani ze złością.

– Sandoz.

– Co z nim?

– Dokładnie to, co mówiłem.

Giuliani wrócił do swoich notatek.

– Ludzie już zaczęli zapominać – powiedział Voelker. – Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby zGinał razem z resztą.

– Ależ, ojcie Voelker – skarcił go surowo Giuliani. – Cóż za niegodna myśl.

Voelker skrzywił się i odwrócił spojrzenie.

Przez dłuższą chwilę Giuliani patrzył w okna swojego biura, opierając się łokciami na błyszczącym blacie biurka. Oczywiście Voelker miał rację. Bez wątpienia życie byłoby prostsze, gdyby Emilio poniósł śmierć męczeńską. Teraz, gdy sprawa nabrała rozgłosu, Towarzystwo musiało poniewczasie wnikać w przyczyny niepowodzenia misji... Giuliani potarł sobie rękoma twarz i wstał.

– Emilio i ja wiele razem przeżyliśmy, Voelker. To dobry człowiek.

– To skurwiel – powiedział Voelker z chłodną precyzją. – Zabił dziecko. Powinien gnić w łańcuchach. – Obserwował, jak Giuliani krąży po gabinecie, biorąc po drodze różne przedmioty i odkładając je bez dokładniejszego obejrzenia. – Ale przynajmniej okazał choć tyle przyzwoitości, by zechcieć odejść. Niech idzie... zanim wyrządzi Towarzystwu większe szkody.

Giuliani zatrzymał się i spojrzał na Voelkera.

– Nie zamierzamy się go wyrzec. Nawet jeśli sam tego pragnie, to błąd. Mówiąc ściślej, to nic nie da. Jest jednym z nas, przynajmniej w oczach świata, jeśli już nie w swoich. – Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, gdzie wciąż koczował tłum fotoreporterów, łowców sensacji i zwykłych ciekawskich. – A jeśli media będą wciąż pozwalały sobie na jałowe spekulacje i bepodstawne przypuszczenia, po prostu nazwiemy rzecz po imieniu – powiedział lekko ironicznym tonem, który napawał lękiem całe pokolenia kleryków. Znowu spojrzał chłodno na swojego sekretarza, przez cały czas siedzącego w milczeniu, a potem powiedział tym samym tonem: – Nie jestem sędzią Emilia, ojciec Voelker, i nie jest nim prasa.

I nie był nim Johannes Voelker TJ.

Zakończyli spotkanie paroma nieistotnymi uwagami, ale kiedy Voelker wyszedł, Giuliani wiedział, że trochę przeholował, zarówno w sensie politycznym, jak i duchowym. Voelker był skuteczny i inteligentny, ale brakowało mu typowo jezuickiej elastyczności: dla niego istniało tylko czarne albo białe, grzech lub cnota, My albo Oni.

Ale i tacy ludzie mogą być użyteczni, pomyślał Giuliani.

Ojciec generał usiadł przy biurku i dotknął elektronicznego pióra. Reporterzy uważają, że świat ma prawo wiedzieć. Vincenzo Giuliani nie dostrzegął najmniejszej potrzeby, by wspierać tę iluzję. Pojawiało się jednak pytanie, co dalej począć z tym Rakhatem. A to pociągało za sobą konieczność zmuszenia Emilia do podjęcia jakiejś decyzji. Nie po raz pierwszy jezuici spotykali się z obcą kulturą, nie była to pierwsza misja, która skończyła się niepomyślnie, a Sandoz nie był pierwszym kapłanem, który się zhańbił. Była to sprawa godna pożałowania, ale przecież nie bez wyjścia.

Sandoza można jeszcze uratować, myślał uparcie Giuliani. W końcu nie mamy aż tylu kapłanów, by bez walki spisywać któregokolwiek na straty. Do diabła, przecież to jeden z Naszych. I jakie mamy prawo, by uznać tę misję za nieudaną? Ziarno mogło być zasiane. Wie o tym jedynie sam Bóg.

Z drugiej strony, te oskarżenia przeciwko Sandozowi i innym są naprawdę bardzo poważne.

Osobiście Vincenzo Giuliani skłaniał się ku opinii, że popełniono błąd już na samym początku, godząc się na udział kobiet. Misja zaczęła się od złamania reguły. No, ale to były inne czasy.

Rozmyślając nad tym samym problemem w drodze powrotnej do swojego ciemnego pokoiku po wschodniej stronie Rzymskich Murów, John Candotti wysnuł własną teorię na temat przyczyn obecnej trudnej sytuacji. Misja nie udała się na skutek całej serii logicznych, rozsądnych, drobiazgowo przemyślanych decyzji, z których każda wydawała się znakomita. Tak zwykle dochodzi do największych nieszczęść.

2

RADIOTELESKOP ARECIBO, PUERTO RICO

luty 2019

– Jimmy, właśnie się dowiedziałam, że wyznaczono cię do sępa! – szepnęła Peggy, i pierwszy krok ku misji na Rakhat został zrobiony. – Zamierzasz współpracować?

Jimmy Quinn posuwał się dalej wzdłuż linii automatów z potrawami. Wybrał *arroz con polio*, pojemnik z zupą fasolową i dwie kanapki z tuńczykiem. Był absurdalnie wysoki, przestał rosnąć dopiero w wieku dwudziestu sześciu lat, ale jeszcze nie zdążył się zaokrąglić i ciągle był głodny. Zatrzymał się, by wziąć dwa kartony mleka i parę deserów, po czym podpisał swój rachunek.

– Jeśli ty się zgodzisz, nam wszystkim będzie o wiele trudniej – powiedziała Peggy. – Chyba pamiętasz, co się stało z Jeffem.

Jimmy podszedł do stołu, przy którym było tylko jedno wolne miejsce, i położył tacę. Peggy Soong stanęła za nim i spojrzała prowokująco na kobietę, która siedziała naprzeciw Quinna. Kobieta doszła do wniosku, że skończyła już lunch. Peggy obesza stół i usiadła na ciepłym jeszcze krześle. Przez chwilę po prostu obserwowała, jak Jimmy pochłania ryż i kawałki kurczaka, wciąż zdumiona ilością jedzenia, jakiej potrzebował, żeby się najeść. Od kiedy go rzuciła, jej rachunek w sklepie spożywczym zmniejszył się o siedemdziesiąt pięć procent.

– Jimmy – powiedziała w końcu – nie możesz chować głowy w piasek. Jeśli nie jesteś z nami, jesteś przeciw nam. – Wciąż mówiła szeptem, ale jej głos był twardy. – Jeśli nikt nie zgodzi się na współpracę, nie mogą zwolnić wszystkich.

Jimmy wreszcie na nią spojrzał; jego oczy były niebieskie i spokojne, jej – czarne i wyzywające.

– Nie wiem, Peggy. Myślę, że chyba mogą wymienić cały personel w ciągu paru tygodni. Znam takiego faceta z Peru, który chętnie wskoczy na moje miejsce za połowę tego, co ja zarabiam. Jeff dostał dobre rekomendacje kiedy odchodził.

– I wciąż nie ma pracy! Bo oddał sępowi wszystko co miał.

– To nie będzie moja decyzja, Peggy. Przecież wiesz.

– Gówno prawda! – Ludzie spojrzeli w ich stronę. Wychyliła się ku niemu przez stół, znowu mówiła szeptem: – Nie jesteś marionetką. Każdy wie, że pomagałeś Jeffowi, jak go wylali. Ale przecież wiesz, o co nam chodzi: żeby wreszcie przestali z nas wysysać krew, a nie o to, żeby pomagać ich ofiarom po fakcie. Ile razy mam ci to tłumaczyć?

Peggy Soong odchyliła się raptownie na krzesło i rozejrzała po sali, próbując zrozumieć ludzi, którzy nie potrafią dostrzec, że ten system miele ich na papkę. Jimmy rozumiał jedno: że trzeba ciężko harować i nie sprawiać kłopotu. Jak przemówić do tego zakutego łba? A niech to szlag!

– Masz rację. Jeśli zgodzisz się na współpracę, to będzie twoja decyzja – powiedziała chłodno. – Mogą ci wydać polecenie, ale to ty będziesz musiał zdecydować, czy je wykonać.

Wstała, zebrała swoje rzeczy ze stołu i patrzyła na niego przez chwilę. Potem odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

– Peggy!

Jimmy zerwał się i podszedł na tyle blisko, by lekko dotknąć jej ramienia. Nie był przystojny. Miał za długi nos, oczy osadzone za głęboko i zbyt blisko siebie, jak u małpy, rude, kręcone włosy, jak gryzmoły na obrazku dziecka, no i ten uśmiech od ucha do ucha. I to wszystko tak ją podniecało przez kilka miesięcy!

– Peggy, daj mi szansę. Może znajdę jakieś rozwiązanie, które zadowoli wszystkich. Nie zawsze musi być albo albo.

– No pewnie, Jimmy.

Miły z niego chłopak. Głupi, ale miły. Peggy spojrzała na jego szczerą, otwartą, swojską twarz i zrozumiała, że on już na pewno wynajdzie jakieś okropne, godne pogardy uzasadnienie, by okazać się posłusznym chłopcem.

– Tak jest, Jimmy. Na pewno ci się uda.

Konfrontacja z kobietą tak twardą jak Peggy, skłoniłaby do odstawienia talerza każdego mężczyzną o nieco słabszej konstrukcji. Jimmy Quinn przywykł jednak do drobnych, upartych i władczych kobiet i nic nie mogło zepsuć mu apetytu. Jego matka uskarżała się, że kiedy dorastał, karmienie go przypominało palenie w węglowym piecyku. Peggy wyszła z baru, a on wrócił na swoje miejsce przy stole i zaczął pochłaniać resztę posiłku, pozwalając, by myśli przesączały się swobodnie przez jego mózg.

Jimmy nie był głupcem, miał natomiast kochających rodziców i dobrych nauczycieli, i te dwie okoliczności wyrobiły w nim nawyk posłuszeństwa, który tak zdumiewał i wściekał Peggy. Doświadczenia jego życia wciąż potwierdzały wartość czyjegoś autorytetu, a decyzje podejmowane przez jego rodziców i nauczycieli zwykle okazywały się słuszne. Nie cieszyła go perspektywa utracenia posady w Arecibo i przejścia do programu A11, ale pozostawiony sam sobie prawdopodobnie nie wyrażałby sprzeciwu. Przy teleskopie pracował zaledwie osiem miesięcy; nie zdążył jeszcze wrosnąć w stanowisko, którego zdobycie było nie lada gratką. Ostatecznie, wybierając astronomię, nie spodziewał się lawiny propozycji po ukończeniu studiów. Wynagrodzenie było nędzne, rywalizacja o pracę zażarta, ale tak było wszędzie w owym czasie. Jego matka – drobna, zaborcza kobieta – męczyła go długo, by wybrał bardziej praktyczny kierunek. Jimmy uparł się jednak przy astronomii, argumentując, że jeśli nawet będzie bezrobotny, co z punktu widzenia statystyki było dość prawdopodobne, to będzie nim w zawodzie, który sam wybrał.

Przez osiem miesięcy cieszył się luksusem poczucia słuszności swojej decyzji. Teraz wyglądało na to, że Eileen Quinn miała jednak rację.

Zebrał puste talerze i kartony, wrzucił je do odpowiednich pojemników i ruszył do swojego boksu, uchylając się i klucząc jak nietoperz, aby uniknąć rąbnienia głową w któreś z odrzwi, kloyszów i rur, co mu groziło setki razy dziennie. Biurko, przy którym zasiadł, ziało pustym miejscem po szufladzie, a za ten błogosławiony stan rzeczy odpowiedzialny był ojciec Emilio Sandoz, portorykański jezuita, którego poznał przez George'a Edwardsa. George był emerytowanym inżynierem. Teraz pracował nieodpłatnie w Arecibo jako przewodnik szkolnych wycieczek. Jego żona, Anne, była lekarzem w klinice założonej przez jezuitów przy ośrodku pomocy społecznej w La Perla, ubogim przedmieściu Old San Juan. Jimmy lubił wszystkich troje i wyprawiał się do San Juan, kiedy tylko zdołał się pogodzić z perspektywą pokonania samochodem czterdziestu mil w straszliwych korkach.

W czasie pierwszej kolacji u Edwardsów rozśmieszał ich do łez swoimi komicznymi opowieściami o żalonym życiu faceta takiego jak on w świecie zbudowanym przez karłów. W pewnym momencie zaczął się uskarżać, że za każdym razem, kiedy siada przy biurku, wali w nie kolanami. Ksiądz nachylił się do niego – z powagą na miłej, choć niezwyklej twarzy, ale z roześmianymi oczami – i powiedział spokojnie, z prawie bezbłędnym dublińskim akcentem:

– Weźże środkową szufladę i wypieprz ją z biurka, głupolu.

Na to była tylko jedna odpowiedź i Jimmy natychmiast jej udzielił, wytrzeszczając swoje niebieskie irlandzkie oczy w niekłamanym podziwie:

– Ożesz-ty, kurwa, ale numer!

Ta wymiana zdań doprowadziła Anne i George’a do konwulsji i od tej chwili wszyscy czworo zostali przyjaciółmi.

Uśmiechając się do siebie na wspomnienie tamtego wieczoru, Jimmy otworzył ekran i wystukał wiadomość dla Emilia: „Piwo u Claudia, 8 po poł. RSVP do 5”. Nie zdumiewała go już perspektywa picia w barze z księdzem, choć początkowo szokowało go to prawie tak, jak odkrycie, że dziewczyny też mają włosy łonowe.

Emilio musiał być w biurze J-Center, bo odpowiedź przyszła prawie natychmiast: „Jasne”.

O szóstej po południu Jimmy ruszył w dół przez krasowe wzgórza i lasy, otaczające obserwatorium Arecibo, do nadmorskiego miasta o tej samej nazwie, a stamtąd wzdłuż wybrzeża do San Juan. Było dwadzieścia po ósmej, kiedy znalazł miejsce do zaparkowania pod El Morro, olbrzymią kamienną fortecą wybudowaną w XVI wieku, wzmocnioną później masywnymi murami miejskimi, które otoczyły San Juan. La Perla, przedmieście nędznych ruder, pozostała poza tymi murami, przytulona do wąskiego pasa plaży.

La Perla nie wyglądała najgorzej, kiedy patrzyło się na nią z murów miasta. Domy, stłoczone na sześciu czy siedmiu zbiegających ku morzu tarasach, wydawały się zasobne i duże, jeśli się nie wiedziało, że każdy podzielony jest na kilka mieszkań. Anglosasi obdarzeni choć szczyptą rozsądku trzymali się z dala od tej dzielnicy, ale Jimmy nie był ułomkiem i znano go tu już jako przyjaciela Emilia, więc nikt go nie zaczepiał, kiedy schodził kaskadą schodów ku tawernie Claudia.

Sandoz siedział w dalekim kącie baru, pieszcząc szklanekę z piwem. Można go było zawsze łatwo dostrzec w tłumie, nawet kiedy nie nosił sutanny. Broda konkwistadora, miedziana skóra, proste czarne włosy, rozdzielające się pośrodku i opadające na wydatne, szerokie policzki, które zwężyły się ku zaskakująco delikatnemu podbródkowi. Drobnokościsty, ale harmonijnie zbudowany. Gdyby go wyznaczono do dawnej parafii Quinna w południowym Bostonie, jego egzotyczna uroda z pewnością zyskałaby mu tradycyjne miano, jakim obdarzały atrakcyjnych księży całe pokolenia katolickich dziewcząt: Ojciec Jaka-Strata.

Jimmy pomachał księdzu, a potem barmanowi, który odpowiedział „Hej!” i skinął na Rosę, by doniosła jeszcze jedno piwo. Jimmy obrócił ciężkie drewniane krzesło naprzeciw Sandoza i usiadł na nim okrakiem, składając ramiona na oparciu. Uśmiechnął się do Rosy, kiedy mu wręczyła kufel piwa, po czym pociągnął długi łyk. Sandoz obserwował go spokojnie przez stół.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył Jimmy.

Sandoz wzruszył wymownie ramionami jak żydowska babka.

– Więc co tam słyszeć?

– Mało jesz – odrzekł Jimmy, jak zwykle.

– Tak, mamusiu – zgodził się posłusznie Sandoz.

– Claudio – ryknął Jimmy do barmana – dajże temu człowiekowi kanapkę!

Rosa już wracała z kuchni, niosąc jedzenie dla nich obu.

– No więc. Przejechałeś taki kawał drogi, żeby wcisnąć we mnie parę kanapek? – zapytał Sandoz.

Prawdę mówiąc, to Jimmy zawsze zaczynał od kilku kanapek z tuńczykiem, podwójnych *bacalaitos fritos* i połówki guawy. Rosa wiedziała, że ksiądz wolał fasolę w *sofrito* na kupce ryżu.

– Ktoś musiał to zrobić. Słuchaj, mam problem.

– Nie przejmuj się, Sparky. Słyszałem, że w Lubbock za coś takiego można zarobić kulkę.

– De Niro – powiedział Jimmy, odgryzając kawałek kanapki. Emilio wydał dźwięk przypominający brzęczyk ostrzegawczy.

– Szlag. Nie De Niro? Poczekaj. Nicholson! Zawsze myślę tych dwóch facetów. – Emilio nigdy nikogo z nikim nie mylił. Znał każdego aktora i pamiętał wszystkie dialogi z każdego filmu od czasu *Końskiej grzywy*. – No dobra. Bądź poważny przez dziesięć sekund. Słyszałeś kiedy o sępie?

Sandoz wyprostował się, widelec zamarł w połowie drogi do ust.

– Zakładam, że nie chodzi ci o żywiącego się padliną ptaka – powiedział głosem uczonego profesora. – Tak. Raz nawet z jednym współpracowałem.

– Nie żartuj. Nie miałem pojęcia.

– Jeszcze wielu rzeczy nie wiesz, chłoptasiu. – To już na pewno był John Wayne, z leciutkim akcentem hiszpańskim, którego Sandoz nie mógł się pozbyć w żadnej ze swoich szybkich transformacji.

Jimmy, który najczęściej ignorował te gierki językowe, jadł spokojnie dalej.

– Masz już dość? – zapytał po chwili.

Sandoz bez słowa zamienił jego pusty talerz na swój pełny i oparł się o ścianę.

– A więc jak to wyglądało? – zapytał Jimmy. – To znaczy współpraca z sędem. Właśnie mnie do jednego przydzielili. Myślisz, że powinienem się zgodzić? Peggy wypruje ze mnie flaki, jak to zrobię, a Japońcy, jak tego nie zrobię. Tak czy owak, stracę flaki. Może powinienem pomyśleć o jakiejś intelektualnej nieśmiertelności i poświęcić życie ubogim, jakim i ja się stanę, kiedy sęp zeżre mi rozum lub jak wywalą mnie z Arcibo.

Sandoz pozwalał mu się wygadać. Jimmy zwykle dochodził do własnych konkluzji w trakcie mówienia o czymś, a Sandoz był przyzwyczajony do wyznań w konfesjonale. Zastanawiał się tylko, jak Jimmy’emu udaje się jeść tak szybko i jednocześnie mówić, nie zatykając sobie śpiewaka żarciem.

– Więc co o tym myślisz? Powinienem się zgodzić? – zapytał znowu Jimmy, wypijając resztę piwa i starannie wycierając *sofrito* kawałkiem chleba. Machnął do Claudia, by mu nalał jeszcze jedno piwo. – Ty też chcesz? – zapytał Sandoza.

Emilio potrząsnął głową. Tym razem, kiedy się odezwał, przemówił własnym głosem.

– Weź trochę na wstrzymanie. Powiedz im, że chcesz kogoś naprawdę dobrego. Dopóki sęp cię nie dopadnie, masz ich na udźwigu. Masz coś, czego oni chcą, rozumiesz? Bo kiedy cię wymóżdżą, już im nie będziesz potrzebny. A jeśli sęp cię wykorzysta, zostaniesz na wieki miernotą. – I zakłopotany dawaniami rady, wpadł w następną rolę, tym razem Edwarda Jamesa Olmosa jako rewolwerowca z Pachuca, sycząc przez zęby: – *Horale...ese.*

– Kto ciebie obrabiał?

– Sofia Mendes.

Jimmy uniósł wysoko brwi.

– Latynoska?

Nieoczekiwanie Sandoz roześmiał się.

– Dalecy przodkowie.

– Była dobra?

– Tak. Całkiem niezła. To było interesujące przeżycie.

Jimmy wpatrywał się w niego podejrzliwie. Kiedy Emilio używał przymiotnika „interesujące”, zwykle oznaczało to coś mrozącego krew w żyłach. Jimmy czekał na wyjaśnienia, ale Sandoz siedział sobie spokojnie w kącie, uśmiechając się tajemniczo. Przez chwilę obaj milczeli, a Jimmy wrócił do czyszczenia talerza z resztek *sofrito*. Kiedy znowu podniósł głowę, tym razem sam się uśmiechnął. Mógłby długo czekać. Nie znał drugiej osoby, która by zasypiała szybciej od Sandoza. Anne Edwards twierdziła, że ksiądz ma tylko dwa biegi: pełny gaz i luz.

Jimmy, który cierpiał na chroniczną bezsenność, zazdrościł mu umiejętności nagłego zapadania w drzemkę, ale wiedział, że nie jest to po prostu kaprys natury. Organizm Sandoza był przyzwyczajony do szesnastogodzinnego dnia; usypiał, kiedy był na luzie. Jimmy pomagał mu w tym, kiedy mógł, i czasami żałował, że nie mieszka bliżej La Perla, żeby pomagać mu częściej.

W swoim czasie Jimmy również rozważał wstąpienie do zakonu jezuitów. Jego rodzice pochodzili z drugiej fali imigrantów do Bostonu i opuścili Dublin jeszcze przed jego narodzinami. Matka nigdy nie ukrywała motywu ich emigracji. „Stara pieprzona Irlandia była zacofanym, ujeżdżanym przez Kościół państwem Trzeciego Świata, pełnym dyktatorskich, seksualnie zakompleksionych księży, wtykających nosy do sypialni normalnych ludzi”, odpowiadała, kiedy ją pytano. Pomimo to, podkreślała zawsze: „Kulturowo czuję się katoliczką”, a Kevin Quinn posłał syna do jezuickiej szkoły, bo doceniał panującą tam dyscyplinę i scholastyczne metody. Sami wychowali chłopca tak, aby miał szczodre serce, był wrażliwy na ludzkie cierpienie i pomagał bliźnim w dźwiganiu ciężarów życia. Wyrósł więc na człowieka, który nie potrafił przyglądać się beczynnemu, jak tacy ludzie jak Emilio Sandoz poświęcali całą swą energię dla innych.

Jimmy posiedział chwilę, rozmyślając, a potem cicho wstał, podszedł do kasy i wystukał sumę pięciokrotnie wyższą od tej, którą powinni zapłacić.

– Lunch przez cały tydzień, dobra? I pilnuj, żeby wszystko zjadł, Rosa, bo wyniesie żarcie i odda jakimś dzieciakom.

Rosa pokiwała głową, zastanawiając się, czy Jimmy zauważył, że właśnie sam zjadł połowę dania księdza.

– Powiem ci, na czym polega jego problem – ciągnął Quinn. – Waży sto trzydzieści funtów, a do pomysłów, którymi ma nafaszerowany łeb, trzeba chłopca ważącego dwieście funtów. To się źle skończy.

W swoim kącie Sandoz uśmiechnął się; oczy miał wciąż zamknięte.

– *Si, Mamacita* – powiedział czule, z odrobiną sarkazmu.

Nagle zerwał się na nogi, ziewnął i przeciągnął się. Wyszli razem z baru w łagodne, morskie powietrze wczesnej wiosny.

Gdyby cokolwiek mogło jeszcze wzmocnić niezachwiane przekonanie Jimmy'ego Quinna o zdecydowanej wartości autorytetu i władzy, to byłaby tym na pewno wczesna kariera ojca Emilia Sandoza. Z początku wydawała się bezsensowna; dopiero po latach można było pojąć, że przez cały czas zbiorowy rozum Towarzystwa Jezusowego działał cierpliwie w kierunku, którego żadna jednostka nie była w stanie przewidzieć.

Wielu jezuitów władało kilkoma językami, ale Sandoz znał ich więcej niż większość jego współbraci. Jako Portorykańczyk od urodzenia mówił po hiszpańsku i angielsku. Lata jezuickiej formacji kapłańskiej otworzyły przed nim skarbiec kultury klasycznej i bardzo szybko opanował równie dobrze grekę jak łacinę, której się nie tylko uczył, ale której używał na co dzień: porozumiewając się z kolegami, studiując teologię czy choćby czytając klasyczne dzieła i rozkoszując się mistrzostwem ich struktury. No, ale to nie wyróżniało go aż tak bardzo z grona przeciętnych adeptów scholastyki.

Później jednak, pracując nad tematem badawczym dotyczącym siedemnastowiecznych misji do Quebecu, postanowił nauczyć się francuskiego, żeby czytać relacje jezuickie w oryginale. Spędził osiem dni z nauczycielem, wchłaniając francuską gramatykę, a potem stworzył własny słownik. Przy końcu semestru czytał już płynnie po francusku, choć nie zrobił nic, żeby się nauczyć mówić w tym języku. Następnie zabrał się do włoskiego, po części przewidując, że może kiedyś przyjdzie mu odwiedzić Rzym, a częściowo z samej ciekawości, żeby zobaczyć, jak inny język romański rozwinął się z łacińskiego pnia. A potem nauczył się portugalskiego, tylko dlatego, że podobało mu się jego brzmienie i uwielbiał brazylijską muzykę.

Jezuici tradycyjnie zajmowali się studiowaniem języków. Wkrótce go zachęcono, by zaraz po święceniach zabrał się do doktoratu z lingwistyki. Trzy lata później wszyscy się spodziewali, że Emilio Sandoz, TJ, doktor filozofii, otrzyma propozycję profesury na którymś z uniwersytetów jezuickich.

Zamiast tego nasz zdolny lingwista został wysłany na jedną z wysp Archipelagu Karoliny, by uczył tam w Liceum Świętego Ksawerego i jednocześnie pomagał w realizacji projektu ponownego zalesiania wysp. Po zaledwie trzynastu miesiącach przeniesiono go do osady Eskimosów tuż przy Kręgu Arktycznym, gdzie spędził rok, pomagając jakiemuś polskiemu jezuitcie w programie nauczania czytania i pisania dorosłych, a później do chrześcijańskiej enklawy w południowym Sudanie, gdzie pracował w obozie dla uciekinierów z Kenii, tym razem z księdzem pochodzącym z Erytrei.

Przywykł do poczucia, że na niczym dobrze się nie zna. Dość szybko poradził sobie z początkową frustracją spowodowaną brakiem umiejętności porozumiewania się z ludźmi szybko, z wdziękiem lub z humorem. Nauczył się wyciszać kakofonię języków walczących o dominację w jego myślach, używać mowy gestów i min dla przełamania barier językowych. W ciągu trzydziestu siedmiu miesięcy poznał siedem kolejnych języków: jeden z mikronezyjskich dialektów używanych na wyspie Chuuk, eskimoski dialekt Invi-Inupiaków, język polski, arabski (którym mówił z dobrym sudańskim akcentem), kikuju i amharski. A co najważniejsze – z punktu widzenia jego przełożonych – nauczył się cierpliwości i posłuszeństwa.

– Jest dla ciebie wiadomość od prowincjała – powiedział mu ojciec Tahad Kesai, kiedy pewnego skwarne go popołudnia Sandoz wrócił do namiotu trzy godziny po porze tak zwanego lunchu. Było to kilka tygodni po pierwszej rocznicy jego przybycia do Sudanu, Sandoz zatrzymał się i wytrzeszczył oczy, zmęczony i zielony na twarzy pod płótnem namiotu.

– Zgodnie z rozkładem – powiedział, rzucając się na polowy taboret i otwierając swój podręczny komputer.

– Może to nie przeniesienie – mruknął Tahad.

Sandoz prychnął; obaj wiedzieli, że chodzi właśnie o to.

– Kozie gównu – zaklął Tahad, dziwiąc się w duchu, dlaczego przełożeni tak dręczą Sandoza. – Nie mogą ci pozwolić dotrzeć do końca przydziału?

Sandoz nic nie odpowiedział, więc Tahad zajął się wymiataniem piasku z powrotem na pustynię, żeby dać swojemu towarzyszowi choćby namiastkę prywatności, kiedy będzie czytał pocztę. Cisza trwała jednak zbyt długo, a kiedy znowu spojrzął na Sandoza, przestraszył się, bo spostrzegł, że ten cały dygoce, a potem zakrywa twarz dłońmi.

Tahad, poruszony do głębi, podszedł do niego.

– Odwaliłeś tu kawał dobrej roboty, Emilio. To wariactwo, tak cię przerzucać ze wzgórz w doliny i z powrotem...

Sandoz ocierał łzy z oczu i rżał ze śmiechu. Bez słowa pomachał Tahadowi, aby zbliżył się do ekranu i sam przeczytał wiadomość. Tahad zrobił to i jeszcze bardziej się zdumiał.

– Emilio, nie rozumiem...

Sandoz zaśmiewał się tak, że z trudem utrzymywał się na stołku.

– Emilio, co cię tak śmieszy? – zapytał Tahad, w którym oszołomienie ustąpiło miejsca irytacji.

Sandozowi polecono udać się na Uniwersytet Johna Carrola pod Cleveland w Stanach Zjednoczonych, ale wcale nie po to, by wykładał lingwistykę. Miał tam współpracować z ekspertem od sztucznej inteligencji, który skodyfikuje i skomputeryzuje jego metodę uczenia się języków, tak aby przyszli misjonarze skorzystali z jego bogatego doświadczenia. Dla większej chwały Bożej.

– Wybacz mi, Tahad, to za trudne, żeby ci wytłumaczyć – wydyszał Sandoz, wciąż trzęsąc się ze śmiechu na myśl, że właśnie wybiera się do Cleveland, aby służyć za intelektualny żer dla jednego z sępów AI, *ad majorem Dei gloriam*. – To puenta trzyletniego dowcipu.

Może aż trzydzieści, a może tylko dziesięć lat później, kiedy Emilio Sandoz leżał wyczerpany w ciemności, jaka zapadła po zejściu trzech słońc Rakhatu, już nie krwawiąc i nie wymiotując, na tyle uspokojony po straszliwym szoku, że był w stanie znowu myśleć, przyszło mu do głowy, że może tamten dzień w Sudanie był tylko częścią dowcipu, jakim było całe jego życie, dowcipu, którego puenta miała się objawić dopiero w chwili śmierci.

Biorąc pod uwagę okoliczności, była to dość dziwna myśl. Zrozumiał to natychmiast. Z porażającą jasnością zdał sobie jednak sprawę, że w tej odkrywczej wyprawie jezuickiej nie był tylko pierwszą ludzką istotą, która postawiła stopę na Rakhacie, że nie tylko poznał część największego kontynentu, nauczył się dwu rakhatańskich języków i pokochał niektórych mieszkańców tego obcego świata. Odkrył również najdalsze granice wiary, a czyniąc to, poznał dokładne granice rozpaczy. Właśnie w tym momencie zrozumiał naprawdę, co to znaczy bać się Boga.

3

RZYM

styczeń 2060

Siedemnaście lat albo jeden rok później, idąc do centrali Towarzystwa Jezusowego, by po raz kolejny zobaczyć się z Emiliem Sandozem, parę tygodni po ich pierwszym spotkaniu, John Candotti o mały włos nie wpadłby do Cesarstwa Rzymskiego.

W nocy ciężar jakiegoś samochodu dostawczego i wywołane jego przejazdem wibracje przełamały wreszcie ostatnią granicę wytrzymałości dziewiętnastowiecznej ulicy, zbudowanej nad starorzyską kamienną cysterną, i w bruku powstała wielka dziura. Służba drogowa wyciągnęła ciężarówkę, ale nie otoczyła wyrwy barierkami. John, spiesząc się jak zwykle, prawie w nią wpadł. Tylko dziwne echo jego własnych kroków ostrzegło go, że coś jest nie w porządku, i zwolnił, zatrzymując jedną nogę w powietrzu tuż nad dziurą, co go uchroniło od złamania karku, zapewne dość interesującego z punktu widzenia historyka. To była jedna z tych wielu spraw, które go wciąży w Rzymie denerwowały, ale tym razem zdobył się na żartobliwy opis całego wydarzenia w liście do Stanów.

Tego ranka John postanowił wybrać się do Sandoza, mając nadzieję zastać go po nocnym wypoczynku w nieco lepszym stanie, i spróbować przemówić mu do rozsądku. Ktoś musi wytłumaczyć temu facetowi, między jakim młotem i jakim kowadłem się znalazł. Sandoz nie chciał opowiadać o misji, ale za to załoga statku, który przywiózł go z powrotem, nie miała podobnych oporów. Ci, którzy dowodzili, że podróże międzygwiazdne są finansowo bezsensowne, natychmiast dostrzegli niesamowitą komercyjną wartość relacji, której bez wątpienia wysłucha osiem miliardów ludzi. Konsorcjum Kontakt wyciągało z tego dramatu tyle, ile się dało, dzieląc go na króciutkie scenki, podsycając zainteresowanie i przyciągając ogromne pieniądze nawet wówczas, kiedy było już jasne, że na Rakhacie prawdopodobnie zginęli ludzie wysłani przez Konsorcjum.

W końcu doszli do tej części historii, w której znaleźli Sandoza, i przysłowiowe gówno trafiło w wentylator. Sprawa zaginięcia jezuickich misjonarzy zamieniła się z tragicznej tajemnicy w ohydny skandal obfitujący w przemoc, mord, prostytutkę, a wszystko to podawane było w drażniących, przyprawiających o gęsią skórkę dawkach. Stosunek mediów do misji na Rakhat zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Początkowe zachwyty nad techniczną sprawnością i szybkością decyzji ustąpiły miejsca bezlitosnej i złośliwej krytyce. Wyczuwając krew, rekiny dziennikarstwa ruszyły na poszukiwanie każdego, kto mógł znać członków misji. Przenicowano prywatne życie D.W. Yarbrougha, Marca Robichaux i Sofii Mendes, nie szczędząc złośliwych i szyderczych komentarzy. Tylko Sandoza nikt jeszcze nie obrzucił błotem, ale wkrótce i on stał się obiektem ataków, choć ci, którzy go znali przed misją, mówili o nim wyłącznie z sympatią i szacunkiem.

Gdyby nawet Sandoz był niewinny jak nowo narodzone dziecko, niczego by to nie zmieniło, pomyślał John. Został uznany za skurwysyna i mordercę – i kropka. Niepotrzebny był żaden dodatkowy skandal, żeby podgrzać nastroje.

– Nie mam nic do powiedzenia. Zamierzam wystąpić z Towarzystwa – powtarzał uparcie Sandoz, kiedy go naciskano. – Potrzebuję tylko trochę czasu.

Może myślał, że jak będzie milczał, to zainteresowanie jego osobą w końcu opadnie. Może łudził się, że zniesie szcucie i presję, by w końcu umknąć nagonce i znaleźć bezpieczne schronienie? John wątpił w to; media nie wypuszczą Sandoza żywego. Był już znany na całym świecie, a jego ręce zdradzały go jak znamię Kaina. Na Ziemi nie było dla niego żadnego schronienia prócz Towarzystwa Jezusowego, a nawet w nim pozostawał pariasem, żalonym bękartem.

John Candotii wmieszał się kiedyś do bójki ulicznej tylko dlatego, że szanse walczących uznał za zbyt nierówne. Wyszedł z tego ze złamanym nosem, a facet, któremu pomógł, nie był mu specjalnie wdzięczny. John uważał jednak, że tak po prostu należało postąpić.

Nie obchodzi mnie, co takiego złego Sandoz zrobił na Rakhacie, myślał John. Teraz potrzebuje przyjaciela, więc do diabła z tymi wszystkimi mrocznymi oskarżeniami. A jeśli potrzebuje przyjaciela, to równie dobrze mogą być nim ja.

W tym samym czasie Emilio Sandoz nie myślał o tym, że go zjedzą żywcem, ale o tym, jak samemu coś zjeść. Zastanawiał się nad tostem, który leżał na tacy ze śniadaniem, dopiero co przyniesionej przez brata Edwarda. Edward uznał widocznie, że już czas, by Sandoz spróbował przeżuć coś twardszego. Resztką zębów trzymała się już trochę lepiej w dziąsłach. Czuł się upokorzony tym, że dotąd każdy pokarm przełykał w postaci papki, a płyny pił przez słomkę, że stał się inwalidą...

Zapomniane słowa powracały z jakiejś ciemnej otchłani, kłębiąc się jak bąbelki powietrza w wodzie i wybuchając w mózgu znaczeniem. *Invalid*. Niesprawny, słaby. Ale i nic nie znaczący, nie uprawniony. Bezużyteczny. Jestem inwalidą, pomyślał.

Zesztywniał, oczekując burzy i pragnąc stawić jej czoło, ale poczuł tylko pustkę. Już po wszystkim, pomyślał i znowu skupił uwagę na toście. Jeszcze nie ufał sobie na tyle, by powiedzieć coś bez zastanowienia się nad każdym słowem, więc najpierw sformułował zdanie w myślach.

– Bracie Edwardzie – powiedział w końcu – czy mógłby brat połamać mi ten chleb na małe kawałki i zostawić mnie samego?

– Oczywiście, sir – odrzekł Edward i nachylił się nad tacą.

– To wszystko było po angielsku, tak?

– Tak. I to był bardzo dobry angielski, sir.

– Jeśli pomieszam języki, proszę mi zwrócić uwagę.

– Oczywiście, sir.

Zdarzało mu się to często w chwilach bólu i osamotnienia: dezorientacja, pomieszanie języków. Edward Behr miał bogate doświadczenie w postępowaniu z takimi ludźmi – zdruzgotane ciała, zmęczone, rozchwiane dusze. W tym konkretnym przypadku postanowił odgrywać rolę angielskiego służącego, co wyraźnie bawiło Sandoza i pozwalało mu zachować jakąś godność w najbardziej ponizających momentach. Sandoz wymagał troskliwej opieki. Jego kondycja fizyczna i jego sytuacja polityczna były tak złe, że łatwo było zapomnieć, ilu przyjaciół stracił na Rakhacie, jak szybko misja z chwalebnej zamieniła się w beznadziejną i jak to wszystko było dla niego jeszcze świeże. Ale Edward Behr, sam będąc wdowcem, natychmiast rozpoznawał ból i smutek u innych.

– Wszystko dobrze się skończy, sir – powiedział, kiedy połamał tost i przysunął Sandozowi bliżej talerz. – Proszę uzbroić się w cierpliwość.

Odwrócił się do okna i sięgnął ręką, by rozsunąć zasłony. Był dość tęgi; żona nazywała go pieszczotliwie Misiem.

– Jeśli ojciec będzie czegoś potrzebował – rzekł do Sandoza – jestem w pobliżu. – I wyszedł.

Zjedzenie kawałka tostu zajęło Sandozowi pół godziny, ale nikt go nie obserwował, więc jakoś to zniósł. A potem, ku swojemu zaskoczeniu, poczuł senność i zasnął w słońcu, zapadłszy się w fotel stojący przy oknie.

Zaledwie kilka minut później obudziło go pukanie w lekko uchylone drzwi. Nie był przecież w stanie zawiązać chusteczki na klamce – uświęcony jezuicki zwyczaj, oznaczający „Nie przeszkadzać”. Nie pomyślał, żeby poprosić o to brata Edwarda. Ostatnio rzadko myślał. Dzięki Bogu. Sny, oczywiście, były bezlitosne... Pukanie rozległo się ponownie.

– Proszę! – zawołał, sądząc, że to brat Edward wrócił po talerze.

Zamiast niego ujrzał osobistego sekretarza ojca generała, Johannes Voelkera, dziwnie łagodnego i surowego zarazem. Wzdrygnął się, wstał i cofnął za fotel, jakby się chciał nim odgradzić od tego człowieka.

Johannes Voelker miał wysoki, przenikliwy głos, który dźwięczał donośnie w małym, pozbawionym sprzętów pokoiku. John Candotti usłyszał ten głos, kiedy był w połowie korytarza. Drzwi pokoju były jak zwykle otwarte, więc wszedł bez pukania. □ – To oczywiście – mówił Voelker, kiedy John wszedł do środka – że ojciec generał chciałby usłyszeć, że doktor Sandoz postanowił pozostać wśród nas...

– Ojciec generał jest bardzo uprzejmy – wyszeptał Sandoz, spoglądając ostrożnie na Johna. Stał w rogu pokoju, opierając się plecami o ścianę. – Potrzebuję trochę czasu. Nie będę wam sprawiał kłopotu dłużej niż to konieczne.

– Ach... Widzisz, Candotti? – Voelker zwrócił się do Johna. – Już postanowił. Szkoda, ale przecież bywają takie okoliczności, kiedy trzeba odejść dla dobra Towarzystwa – dodał dziarskim tonem, patrząc znów na Sandoza. – Pochwalam taką decyzję. Oczywiście będziemy radzi gościć pana tu tak długo, aż w pełni odzyska pan siły, doktorze Sandoz.

Bierz kapelusz i spadaj, pomyślał rozszłoszczony John. Już miał powiedzieć Austriakowi, żeby się wyniósł, kiedy zobaczył, że Sandoz chwije się i blednie.

– Niech ojciec usiądzie – powiedział łagodnie i szybko do niego podszedł, żeby mu pomóc. Potem stanął za fotelem i spojrział groźnie na Voelkera.

– Ojczy Voelker, sędzę, że ojciec Sandoz musi trochę odpocząć. I to natychmiast.

– Och, mój drogi... Zmęczyłem cię. Wybacz. – Voelker ruszył żwawo ku drzwiom.

– To gnojek – powiedział John, kiedy kroki sekretarza ucichły na korytarzu. – Niech ojciec nie da się zastraszyć. Może tu ojciec zostać tak długo, dopóki zechce. To nie hotel, a na ten pokój nikt nie czeka. – Przysiadł na skraju łóżka Sandoza, bo w pokoju nie było krzesła. – No jak, już lepiej? Wygląda ojciec, jakby... – Jakby się przestraszył, pomyślał, ale powiedział: – ...jakby się ojcu zrobiło niedobrze.

– To takie... trudne... kiedy dookoła kręcą się tyłu ludzi.

– Wyobrażam sobie – rzekł bezmyślnie i zaraz się zreflektował. – Proszę mi wybaczyć. To było głupie. Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić, prawda?

Sandoz uśmiechnął się słabo.

– Chyba nie.

Johnowi odeszła ochota, by zrobić Sandozowi wykład na temat jego prawdziwej sytuacji.

– Proszę mi wybaczyć, ojcze, ale zastanawiałem się, co by tu można było zrobić z ojca rękami – powiedział po chwili, nie bardzo wiedząc, dlaczego odczuł takie zakłopotanie, kiedy o tym wspomniał.

Sandoz nie starał się ich ukryć. To zakłopotanie prawdopodobnie bierze się z myślenia o tych wszystkich rzeczach, których ten facet nie może zrobić, pomyślał John. Nie może obciąć sobie paznokci, ogolić się, iść do kibla. Można się skrócić, jak się o tym pomyśli. John pogrzebał w swoim neseserze i wyciągnął parę cienkich skórzanych rękawiczek. Miały obcięte palce, a brzegi sprawnie podwinięte i obrębione.

– Pewnie w końcu jakiś chirurg zrekonstruuje ojcu dłonie, ale pomyślałem sobie, że póki co, takie rękawiczki trzymałyby wszystko w kupie, że się tak wyrażę. Nie odzyska ojciec pełnej sprawności, ale przynajmniej będzie łatwiej coś uchwycić. – Sandoz wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. – To znaczy... myślę, że mógłby ojciec spróbować. Jak się nie nadadzą, nie ma sprawy. To tylko para rękawiczek.

– Dziękuję – powiedział Sandoz dziwnym głosem.

Rad, że Sandoz nie poczuł się urażony, pomógł mu wsunąć w rękawiczki niesamowicie długie, pokryte bliznami palce. Cholera, dlaczego oni mu to zrobili? Wszystkie mięśnie dłoni zostały skrupulatnie odcięte od kości, a następnie użyte do podwojenia długości palców. Ręce Sandoza przypomniały Johnowi szkielety z dziecięcych przebieranek w wigilię Wszystkich Świętych.

– Tak sobie myślę, że może bawełniane byłyby lepsze – powiedział. – Ale nic. Jak ta para się zniszczy, zrobię inną. Przyszło mi też do głowy, że do łyżki można przywiązać małą pętelkę, żeby ojcu było łatwiej jeść. Czasami najprostsze rozwiązania są najlepsze, prawda?

Zamknij się, John, pleciesz bzdury. Zajęty nakładaniem rękawiczek, nie dostrzegł łez spływających po zniszczonej, pozbawionej wyrazu twarzy Sandoza. Dopiero kiedy skończył wkładać drugą rękawiczkę, podniósł wzrok i natychmiast przestał się uśmiechać.

Sandoz szlochał cicho, nieruchomy jak ikona, przez blisko pięć minut. John siedział w milczeniu na skraju łóżka, czekając, aż ten człowiek powróci z miejsca, do którego zabrało go wspomnienie.

– Ojcie Candotti – powiedział w końcu Sandoz, kiedy łyzy wysychały mu na policzkach – jeśli kiedykolwiek będzie mi potrzebny spowiednik, wezwę ojca.

John Candotti zaniemówił. Zaczął rozumieć, po co go sprowadzono do Rzymu.

– Dziękuję, że ojciec przyszedł – powiedział Sandoz. Candotti kiwnął głową raz, a potem drugi, jakby coś potwierdzał, i wyszedł bez słowa.

4

ARECIBO, PUERTO RICO

marzec 2019

Rozwiązanie problemu zaświtało w głowie Jimmy'ego Quinna przy goleniu, kiedy przygiął kark, żeby przejrzeć się w lustrze, oczywiście powieszonym o wiele za nisko dla niego. W podobny sposób wpadał na większość pomysłów. Czasami zdarzało się to pod prysznicem, kiedy się garbił, żeby sobie opłukać głowę. Zastanawiał się, czy może to mieć coś wspólnego z owym wyginaniem karku. Może wtedy krew lepiej napływa do mózgu? Anne Edwards na pewno by wiedziała; musi ją o to zapytać przy najbliższej okazji.

Tego szczególnego problemu bardzo długo nie mógł rozwiązać. Jimmy obiecał Peggy Soong, że coś wymyśli, aby pogodzić sprzeczne interesy personelu i właścicieli Arecibo, a jednocześnie samemu na tym nie stracić. Zwykle nie miał większych trudności, by jednocześnie zadowolić siebie, swoich rodziców, nauczycieli, kumpli czy dziewczyny. Żaden problem: wystarczyło tylko postawić się na miejscu tej drugiej osoby. Jimmy lubił żyć w zgodzie ze wszystkimi. Tym razem wszystko wskazywało na to, że aby żyć dobrze z japońskim kierownictwem Radioteleskopu Arecibo, trzeba siedzieć cicho i robić, co każą.

Jimmy Quinn nie miał zbyt mocnej pozycji wśród personelu naukowego. Prawdę mówiąc, była to pozycja żałośnie niska. Kiedy tylko teleskopu nie używano do czegoś poważniejszego, Jimmy odwalał rutynowe czynności w ramach programu SETI, prowadząc nasłuch w poszukiwaniu jakichś pozaziemskich transmisji radiowych. SETI, czyli *The Search for Extraterrestrial Intelligence*², był programem o bardzo niskim priorytecie badawczym; świadczył o tym choćby fakt, że zatrudniono przy nim właśnie Jimmy'ego. Przeważnie dostawał gotowe współrzędne i gromadził sygnały radiowe z tego kierunku. Jakiś astronom mógł, na przykład, zobaczyć coś interesującego i poprosić Arecibo o sprawdzenie tego regionu nieba, żeby porównać dwa rodzaje obserwacji: świetlną i radiową. Radioteleskop Arecibo był bardzo zautomatyzowany, ale i tak potrzebny był człowiek, by odebrać zamówienie, wstawić je w odpowiednie wolne miejsce w grafiku pracy radioteleskopu, dopilnować, by zadanie zostało wykonane, obejrzyć wyniki i przesłać dane do zamawiającego usługę. Nie była to może praca dla sekretarki, ale też niepotrzebny był do niej kandydat do Nagrody Nobla.

Pojawiało się więc pytanie: po co wydawać pieniądze na dobrego sępa, takiego jak Sofia Mendes, jeśli jakiś kompetentny murzyn może odwalić tę samą robotę za psie grosze?

2 Poszukiwanie Inteligencji Pozaziemskiej

Po zdobyciu dyplomu Uniwersytetu Cornella Jimmy dostał robotę w Arecibo, ponieważ zgodził się na psie pieniądze, ponieważ był na tyle przewidujący, by nauczyć się japońskiego i hiszpańskiego, i ponieważ nieźle znał się na astronomii, zarówno świetlnej, jak i radiowej. Polubił swoją pracę i był w niej dobry. Zorientował się jednak szybko, że większość tego, co robił, równie dobrze mógł robić automat. Rozumiał też, że Masao Yanoguchi musi za wszelką cenę obniżyć koszty obsługi radioteleskopu, bo wszystko wskazywało na to, że program uruchomienia kopalni na Księżycu raczej się nie powiedzie i trzeba będzie dokonać cięć w wydatkach. A najpewniejszym sposobem obniżenia kosztów było wyeliminowanie ludzi.

Yanoguchi kierował operacją Arecibo, odkąd ISAS, czyli *Japanese Institute for Space and Aeronautical Science*³, kupił radioteleskop od rządu amerykańskiego. Patrząc na tę transakcję w szerszym kontekście japońskiego przemysłu kosmonautycznego, można ją było uznać za kaprys, ale Jimmy wiedział, że Japończycy byli z niej bardzo zadowoleni. Stany Zjednoczone starały się od dawna ograniczyć dostęp Japonii do zachodnich surowców i rynków zbytu. Japończycy zareagowali na to w sposób, który zdumiał Amerykanów swoją drapieżnością i skutecznością: ruszyli na podbój Azji i przestrzeni kosmicznej. I tym razem nie popełnili tak fatalnego błędu, jakim było oszczędzenie urządzeń portowych podczas bombardowania Pearl Harbor.

3 Japoński Instytut Badań Przestrzeni Kosmicznej i Aeronautyki

Jimmy studiował kulturę japońską przez parę semestrów i starał się wykorzystać to, czego się nauczył, ale nawet po prawie roku pracy w Arecibo trudno mu było uznać Japończyków za nałogowych hazardzistów, a to właśnie wbijali mu do głowy wykładowcy na uniwersytecie, powołując się na całą historię Japonii. Zgodnie z tą akademicką teorią, Japończycy raz po raz stawiali wszystko na jedną kartę. Straszliwe konsekwencje tego jednego błędu w Pearl Harbor uczyniły z nich hazardzistów niezwykle ostrożnych, przewidujących, skrupulatnie kalkulujących ryzyko – ale jednak hazardzistów. Czasem można z nimi wygrać, zauważył cynicznie jeden z profesorów, jeśli się zaproponuje ostrą grę, w której nie ma czasu na namysły.

Kiedy ten pomysł wpadł mu do głowy, Jimmy zaciął się przy goleniu, wybuchnął głośnym śmiechem i odtańczył taniec radości, rozmazując sobie krew po twarzy. Masao Yanoguchi nie wywali go z pracy, a przynajmniej nie od razu. Dzika Peggy nie wypruje z niego flaków, może nawet uzna, że jest genialny. Jego sępem może być Sofia Mendes, co wprawi w zachwyt Emilia. Do diabła, może nawet zyska w ten sposób temat do pracy doktorskiej!

– Znowu ci się udało, Quinn – zarechotał do swojego zakrwawionego odbicia w lustrze. – Jesteś naprawdę dobry.

Pospiesznie skończył toaletę, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w obserwatorium.

– Proszę wejść, panie Quinn. – Masao Yanoguchi pomachał mu ręką przez otwarte drzwi swojego gabinetu. – Niech pan siada.

Obaj dobrze odgrywali swoje role: Yanoguchi równego szefa w amerykańskim stylu, Quinn dobrze ułożonego japońskiego pracownika, siedzącego na brzegu krzesła w obecności przełożonego i ostentacyjnie okazującego zdenerwowanie. Przez parę minut gawędzili o zbliżającym się Pucharze Świata, ale w końcu Jimmy przeszedł do rzeczy.

– Doktorze Yanoguchi, zastanawiałem się nad programem AI – zaczął Quinn. – Zdaję sobie sprawę, że wykonuję czysto mechaniczną pracę, i rozumiem, że zautomatyzowanie jej byłoby bardziej opłacalne, więc zacząłem się zastanawiać nad powrotem na uczelnię i zrobieniem doktoratu. Pomyślałem, że temat, jaki chcę podjąć, mógłby zainteresować pana i ISAS. – Przerwał i uniośł pytająco brwi, oczekując przyzwolenia na kontynuowanie. Yanoguchi skinął głową, wyraźnie zadowolony, że Quinn nie przyszedł tu, aby walczyć. – No więc, panie doktorze, chciałbym zrealizować taki mały projekt pilotażowy... porównanie astronomicznego programu AI z podmiotem ludzkim, na którym został oparty. Chciałbym wykorzystać do tego jakiegoś dobrego analityka z programu AI. Później dokonałbym szczegółowego porównania danych uzyskanych przez AI z moimi własnymi. Trwałoby to, powiedzmy, ze dwa lata. – Yanoguchi nieznacznie się wyprostował. Jimmy błyskawicznie dokonał poprawki. – Być może wystarczy rok, a nawet sześć miesięcy, potem mógłbym postarać się o grant i wrócić tu już za pieniądze uniwersyteckie.

– Panie Quinn – powiedział w końcu Yanoguchi – mogłyby paść zarzuty, że wyniki takiego porównania są podejrzone, bo podmiot może nie przekazywać informacji krytycznych.

– To prawda, panie doktorze. Ale to samo można powiedzieć o każdym, kto poczułby się dotknięty tym, że stał się podmiotem analizy AI. Przykro mi, doktorze Yanoguchi, ale uważa się powszechnie, że większość ludzi przyjęłaby z ulgą wiadomość o ostatecznym niepowodzeniu programu. Uważam, że wykorzystanie naprawdę dobrego analityka AI osłabiłoby możliwość blokowania danych przez podmiot. Poza tym, wykorzystując te dane w mojej pracy doktorskiej, miałbym osobistą motywację, by zadbać o wiarygodność wyników. – Yanoguchi milczał, ale nie zmarszczył czoła, więc Quinn brnęła dalej: – Wydaje mi się, panie doktorze, że ISAS mógłby być zainteresowany posiadaniem sprawdzonych danych porównawczych. Zgodzi się pan, że to by bardzo pomogło w ocenie każdego programu AI, prawda? Może się, na przykład, okazać, że program nie wychwytuje pewnych danych, które gromadzi mózg ludzki. A jeśli nic takiego nie stwierdzimy, Instytut może swobodnie wykorzystywać sztuczną inteligencję do wyeliminowania takich stanowisk pracy jak moje, mając pewność, że jest ona równie kompetentna jak ludzie, którzy posłużyli do jej skonstruowania. To po prostu jeszcze jeden aspekt całego systemu, który można odpowiednio zweryfikować. – Odczekał chwilę, a potem dodał: – Oczywiście, to tylko mały projekt pilotażowy. Może się nie udać, ale ryzykuje pan tylko moje sześciomiesięczne pobory. A jeśli dojdę do jakichś wniosków, zyska na tym Arecibo...

I Masao Yanoguchi, który wciąż milczał. Jimmy postanowił pójść na całość.

– Jeśli nie ma pan jakichś obiekcji, panie doktorze, to myślę, że dobrze by było użyć do tego Sofii Mendes. Słyszałem, że jest naprawdę dobra i...

– Bardzo droga – przerwał mu Yanoguchi.

– Mam znajomego, który ją zna i który twierdzi, że mogłaby wziąć udział w projekcie dla samego rozgłosu. Jeśli jej program mnie wykończy, jej agent będzie mógł to wykorzystać do zażądania wyższych wynagrodzeń. Może warto by się z nim potargować. Czy jeśli ona wygra, ISAS mógłby podwoić zwykle honorarium?

– A jeśli przegra, agent nic nie dostanie? – Masao Yanoguchi zadał to pytanie sam sobie.

Tak, tak, warto się nad tym zastanowić, nalegał w duchu Jimmy. Bardzo małe ryzyko. No, spróbuj, zaryzykuj, modlił się. Ale nie oczekiwał odpowiedzi i nie próbował naciskać. Yanoguchi nigdy by jej nie udzielił przed uzyskaniem zgody całego kierownictwa ISAS, a może i kogoś spoza Instytutu. Wielu ludzi związało swój los z programem AI. Na tym polegała cała finezja tego pomysłu: im dłużej Japończycy będą się zastanawiać, tym dłużej Jimmy będzie miał pracę. Jeśli w końcu się zgodzą, upłyną miesiące, zanim sęprzechwyci dane z jego mózgu, no i jeszcze sześć miesięcy potrzebnych na dokonanie porównania. Jeśli to on pokona program, prawdopodobnie tu zostanie, a gdyby stało się to w miarę szybko, ISAS mógłby zmienić jednak swoją politykę i zgodzić się, by po każdej analizie następował okres próbny, co z kolei uszczęśliwiłoby Peggy, bo dałoby trochę czasu ludziom i niektórzy z nich mogliby pokonać swój duplikat AI w uczciwym teście. A jeśli program go pokona, to... no cóż, może naprawdę warto pomyśleć o powrocie na uczelnię...

Masao Yanoguchi wpatrywał się w szczerą, niewinną twarz Jimmy'ego i nagle się roześmiał.

– Panie Quinn – mruknął przyjaźnie – pańska bystrość mnie zdumiewa. – Jimmy spłonął rumieńcem, przyłapany na gorącym uczynku. – Przyznaję jednak, że to interesująca propozycja. – Wstał i odprowadził Jimmy’ego do drzwi. – Proszę to przedstawić na piśmie.

5

CLEVELAND, OHIO sierpień 2014 – maj 2015

Gdyby jego powrót z sudańskiego obozu dla uchodźców do Stanów Zjednoczonych nie był tak niespodziewany, Emilio Sandoz mógłby o wiele lepiej znieść wstrząs, jakim było jego pierwsze spotkanie z Sofią Mendes. Tymczasem musiał przyjąć uderzenie jeszcze otumaniony lotem i nagłym przeniesieniem z buszu do cywilizacji i upłynęło kilka tygodni, zanim zdołał zapanować nad swoimi reakcjami na tę kobietę.

W ciągu dwu godzin przeniósł się ze strefy wojny w Rogu Afryki do kampusu Uniwersytetu Johna Carrola, mieszczącego się w spokojnej dzielnicy dobrze utrzymanych domków z ogródkami, gdzie dzieci wrzeszczały i uciekały tylko podczas zabawy, krzepkie i roześmiane, a nie przerażone, zropaczone i wygłodniałe. Zdumiał go wstrząs, jakiego doznał na widok tych dzieci. Ogrody też go zdumiewały – ta ziemia, czarna jak fusy po kawie, ta feeria kwiatów i roślin ozdobnych, to rozrzucone wykorzystanie deszczu i żyznej gleby...

Dobrze by mu zrobiło kilka dni urlopu, ale wszystko zostało ustalone przed jego przyjazdem. Miał się spotkać z Sofią Mendes już nazajutrz po przylocie, w uniwersyteckim barze, gdzie podawano kawę po turecku – później się dowiedział, że to paliwo, którego domagał się jej organizm w regularnych odstępach czasu. Emilio przyszedł do kafejki wczesnym rankiem następnego dnia i usiadł w głębi, skąd mógł obserwować drzwi, wchłaniając napływające do niego fale śmiechu i pustych, żartobliwych rozmów, przyzwyczajając się na nowo do angielskiego. Nawet gdyby nie spędził ostatnich trzech lat w terenie, a uprzednio dziesięć w seminarium, i tak czułby się obco wśród tych studentów: młodych ludzi w niesamowicie kolorowych, haftowanych w zawiłe wzory marynarkach, które poszerzały ramiona i zwięzały biodra, i tych cudownych dziewcząt o wąskich taliach, w migocących sukienkach barwy peonii i sorbetu. Fascynowała go zwłaszcza dbałość o szczegóły: ułożenie włosów, delikatność bucików, perfekcja makijażu. Myślał o płytkich grobach w Sudanie i poskramiał w sobie gniew, wiedząc, że jego źródłem jest – przynajmniej po części – wyczerpanie.

Sofia Mendes wkroczyła zdecydowanie w ów ogród sztucznego piękna, gdzie siedział, pogrążony w nastroju goryczy. Kiedy ją ujrzał, w jakiś sposób od razu poznał, że to kobieta, na którą czekał, i przypomniał sobie słowa pewnej nauczycielki tańca z Madrytu, opisujące ideał hiszpańskiej tancerki. „Głowa podniesiona, postawa księżniczki. Talia wysoko nad biodrami, ramiona *suavamente articuladas*. Piersi jak rogi byka, ale *suave, no rigido*”, powiedziała z absurdalnym wyczuciem słów, które go rozśmieszyło. Mendes trzymała się tak prosto, że kiedy wstał, zdumiało go, że jest tak niska: nie mogła mieć więcej niż metr pięćdziesiąt. Czarne włosy miała zaczesane do tyłu w tradycyjny sposób, a jej strój był prosty: czerwona jedwabna bluzka i czarna spódnica. Kontrast między nią a tymi studentami był uderzający.

Uścisnęła mu krótko rękę i spojrzała przez ramię na tłum, przez który dopiero co przeszła.

– Piękni, jak cięte kwiaty w wazonie – zauważyła z cierpką precyzją.

Nagle piękność tych dziewcząt i wigor tych chłopców wydały mu się czymś powierzchownym i przemijającym. Ujrzał, jak się brzydtko starzeją, jak tyją i tracą wdzięk, jak porzucają ekstrawagancję i żegnają się z marzeniami o sławie. I zdumiało go, jak bardzo to nagłe wrażenie pasowało do jego nastroju, do jego goryczy – i do jej cierpkości.

Była to ich pierwsza i ostatnia na wiele miesięcy pogawędka. Spotykali się trzy razy w tygodniu, zawsze rano, i za każdym razem Sandoz czuł, że jest poddawany bezlitosnemu przesłuchaniu. Stwierdził, że może wytrzymać najwyżej dziewięćdziesiąt minut takiego prania mózgu; potem przez resztę dnia był kompletnie rozbity i z trudem koncentrował się na podstawowym kursie łaciny i seminariach z lingwistyki, które prowadził dla studentów ostatniego roku. Nigdy nie mówiła mu „dzień dobry” i nigdy nie wdawała się w żadne pogawędki. Po prostu wślizgiwała się do jego boks, otwierała notes elektroniczny i zaczynała go wypytywać o sposób, w jaki uczył się jakiegoś języka, o różne stosowane przez niego sztuczki, o przyzwyczajenia, o metody, jakie wynajdywał prawie instynktownie, a także o bardziej formalne i akademickie techniki, jakich używał, by przeanalizować i zrozumieć dany język na żywo, w terenie. Kiedy próbował ubarwić te sesje żartami lub zabawnymi wspomnieniami, patrzyła na niego chłodno tak długo, aż dawał za wygraną i odpowiadał rzeczowo na zadane pytanie.

Przejawy uprzejmości spotykały się z otwartą wrogością. Kiedyś, na samym początku, kiedy usiadła i zadała mu pierwsze pytanie, wstał, skłonił się przesadnie jak Cesar Romero i powiedział:

– Dzień dobry, seniorita Mendes. Jak się pani dzisiaj czuje? A co pani sądzi o pogodzie? Nie miałyby pani ochoty na ciastko do kawy?

Spojrzała na niego nieprzeniknionymi, zwięzonymi oczami, kiedy tak stał, czekając na choćby kiwnięcie głową z jej strony.

– Takie maniery hiszpańskich *hidalgo* uważam za niesmaczne – odpowiedziała chłodno. Przez chwilę milczała, a potem opuściła wzrok na swój notes. – Czy moglibyśmy zacząć?

Nie trzeba było zbyt wielu takich zachowań, by przestał na nią patrzeć przez pryzmat typowo Jungowskiej wizji idealnej Hiszpanki. Pod koniec pierwszego miesiąca była już dla niego realną osobą i zaczynał ją poznawać. Angielski nie był jej pierwszym językiem, tego był pewien. Jej gramatyka była zbyt precyzyjna, jej spółgłoski zębowe przytłumione, a szczelinowe ledwo słyszalne. Pomimo hiszpańskiego imienia, nazwiska i wyglądu, nie miała hiszpańskiego akcentu. Ani greckiego. Ani francuskiego czy włoskiego, w ogóle żadnego, który mógłby zidentyfikować. Jej ascetyczną koncentrację na zadaniu, jakie miała wykonać, wiązał z rodzajem kontraktu: widocznie płacono jej „za dzieło”, a więc im szybciej je wykona, tym więcej zarobi. Potwierdzeniem tego przypuszczenia była wymówka, jaką mu zrobiła, kiedy spóźnił się na którąś z sesji.

– Doktorze Sandoz – powiedziała; nigdy nie zwracała się do niego per „ojcze” – pańscy przełożeni słono płacą za tę analizę. Czyżby bawiło pana marnotrawienie ich pieniędzy i mojego czasu?

Tylko raz powiedziała coś o sobie, podczas pewnej sesji, w której wpakował się w tak niezręczną sytuację, że później nawet mu się przyśniła, a kiedy się obudził, aż się skulił ze wstydu na samo wspomnienie.

– Czasami – powiedział, przechylając się przez stół i nie zastanawiając się, jak to zabrzmie – czasami zaczynam od piosenek. Dostarczają mi czegoś w rodzaju szkieletu gramatyki nie znanego mi języka, później obudowuję to ciałem. Piosenki o tęsknocie za czasem przyszłym, piosenki o żalu za czasem przeszłym, piosenki o miłości czasu teraźniejszego.

Zaczerwienił się, kiedy sam usłyszał swoje słowa, co tylko pogorszyło sprawę, ale Sofia Mendez nie zachnęła się; sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie dostrzegła w tym żadnej dwuznaczności wiodącej w niestosownym kierunku. Zrobiła minę osoby uderzonej jakimś zbiegiem okoliczności i spojrzała w okno kafejki – usta miała lekko rozchylone.

– Czy to nie interesujące? – zapytała, jakby po raz pierwszy usłyszała z jego ust coś naprawdę ciekawego. – Ja robię to samo. Czy zauważył pan, doktorze, że w kołysankach prawie zawsze występuje tryb rozkazujący?

Na tym się to skończyło, za co Emilio Sandoz gorąco dziękował Bogu.

Jeśli sesje z Sofią Mendes rujnowały go wewnątrz i wprawiały w lekkie przygnębienie, to równowagę przywracała mu pewna niezwykła studentka, uczęszczająca na jego kurs podstaw łaciny. Anne Edwards miała dobrze po pięćdziesiątce, a siwe włosy zaplatała w schludny francuski warkoczyk. Była drobna, energiczna i intelektualnie nieustraszona. Często śmiała się głośno, nawet podczas zajęć.

Któregoś dnia, dwa tygodnie po rozpoczęciu kursu, Anne została po zajęciach w sali wykładowej, kiedy reszta studentów wyszła. Zbierając notatki z pulpitu, Emilio spojrzał na nią wyczekująco.

– Czy pozwalają panu opuszczać wieczorami pokój? – zapytała. – A może takie przystojniaki mają wieczorem szlaban, dopóki nie zwapnieją?

Strząsnął popiół z wymyślanego cygara i ściągnął brwi.

– Co pani ma na myśli?

– No, rozważałam możliwość, żebyśmy złamali śluby, uciekli na weekend do Meksyku i trochę sobie pofiglowali, ale mam pracę domową – odpowiedziała, wykrzykując ostatnie słowo – bo taki jeden skubany profesorek od łaciny uważa, że powinniśmy znać *ablativus*, moim zdaniem trochę za wcześnie, więc może by pan po prostu przyszedł do mnie w piątek na kolację?

Odchylił się na krzesło i spojrzał na nią ze szczerym uwielbieniem.

– *Madame*, jakżebym zdołał oprzeć się takiemu zaproszeniu? – Po czym wychylił się do przodu i zapytał: – A będzie tam pani małżonek?

– Niestety, ale jest bardzo tolerancyjny i ma liberalne poglądy – odpowiedziała Anne, szczerząc zęby. – No i wcześnie zasypia.

Dom Edwardsów był prostokątnym, wygodnym domem otoczonym ogrodem, w którym, jak Emilio z zachwytem zauważył, rosły nie tylko kwiaty, ale i kartofle, dynie, sałata, marchewka i papryka. George Edwards powitał go przed domem, ściągając ogrodnicze rękawice i gestem zapraszając do środka. Miła twarz, pomyślał Emilio, ma poczucie humoru i chyba lubi gości. Był w wieku Anne, miał srebrną czuprynę, ale nienaturalna szczupłość przywodziła na myśl HIV albo toksyczną nadczynność tarczycy. A może po prostu starość? Tak, to chyba wiek. Ale wyglądał na bardzo sprawnego fizycznie, w każdym razie nie na faceta, który wcześnie idzie spać.

Znalazł Anne w dużej, jasnej kuchni, krzątającą się przy garnkach. Rozpoznał ten zapach natychmiast, ale dopiero po chwili zdołał go nazwać. A kiedy to uczynił, opadł na kuchenne krzesło i jęknął:

– *Dios mio, bacalaitos!*

Anne roześmiała się.

– *I asopao. Z tostones. A na deser...*

– Pani, zapomnij o pracy domowej. Ucieknij ze mną!

– *Tembleque!* – oświadczyła, śmiejąc się triumfalnie, zadowolona, że trafiła w jego kulinarne upodobania. – Menu pomógł mi ułożyć znajomy Portorykańczyk. Na zachodnim brzegu jest cudowne *colmado*. Możesz tam dostać *yautia*, *batatas*, *yuca*, *amarillos*, co tylko zechcesz.

– Chyba nie wiesz – powiedział Emilio z poważną twarzą i płonącymi oczami – że był taki jeden siedemnastowieczny portorykański heretyk, który utrzymywał, że aby wskrzesić Łazarza, Jezus użył zapachu *bacalaitos*. Biskup kazał go spalić na stosie, ale poczekali, aż zje obiad, i umarł jako człowiek szczęśliwy.

Przyszedł George i wręczył im oszronione szklaneczki napełnione lekko pieniącym się płynem.

– Bacardi *anejo* – westchnął Sandoz z szacunkiem.

George wznosił toast za Puerto Rico.

– No dobra – powiedziała Anne poważnym tonem, unosząc lekko brwi i szykując się do wysączenia łyka rumu – ale właściwie jak się żyje w celibacie?

– To pieskie życie – odpowiedział Emilio, a Anne parsknęła gwałtownie, tryskając alkoholem. Podał jej chusteczkę, żeby sobie wytarła nos, i wstał, czekając, aż dojdzie do siebie, zrobił demonstracyjnie szczerą minę i zwrócił się do wymagowanego kręgu anonimowych alkoholików: – Cześć. Mam na imię Emilio i chociaż tego nie pamiętam, błąkając się w odmętach mojej podświadomości dziecko było prawdopodobnie współzależnym maniakiem seksualnym, więc postanowiłem rzucić wódę i zawierzyć Wyższej Mocy. Kapie ci z nosa.

– Jestem wytrawnym anatomem – oświadczyła Anne z oszłą godnością, wycierając sobie bluzkę chusteczką – i mogę ci wyjaśnić mechanizm wdmuchiwanie alkoholu przez nos.

– I nie myśl, że blefuje – ostrzegł go George. – Na pewno może. Zastanawiałeś się kiedy nad Programem Dwunastu Kroków dla ludzi, którzy za dużo mówią? Można by go nazwać GadAnon.

– O Boże – jęknęła Anne. – Stare są najlepsze.

– Dowcipy czy chłopcy? – zapytał niewinnie Emilio.

I tak toczył się ten pierwszy wieczór u Edwardsów.

Kiedy odwiedził ich następnym razem, Anne powitała go w drzwiach, ujęła jego twarz w dłonie i wspiąwszy się na palce, pocałowała go w czoło.

– Za pierwszym razem byłeś gościem – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Od dzisiaj, kochanie, jesteś już członkiem rodziny. Przynoś ze sobą piwo.

Odtąd bywał tam przynajmniej raz w tygodniu. Czasami był jedynym gościem, ale często przychodzili też inni: studenci, przyjaciele, sąsiedzi, jacyś interesujący nieznajomi, których Anne lub George spotkali po raz pierwszy i zaprosili do siebie. Rozmawiano o polityce i religii, o baseballu i wojnie w Kenii, o wszystkim, co wzbudziło ciekawość Anne. Rozmowy były hałaśliwe i ostro przyprawiane dowcipami. Ten dom stał się dla Sandoza przystanią – dom, w którym nie krzywiono się na jezuitę, w którym czuł się odprężony i wyzwolony, gdzie mógł gromadzić energię, zamiast być jej pozbawiany. Był to pierwszy prawdziwy dom, jaki Emilio Sandoz miał w swoim życiu.

Siedząc o zmierzchu na osłoniętym ganku z tyłu domu i sącąc drinka, dowiedział się, że George był inżynierem, którego ostatnia praca polegała na zawiadywaniu systemami ochronnymi w górnictwie podziemnym, ale którego kariera zawodowa obejmowała bardzo szeroki zasięg wiedzy i specjalizacji, od teorii wiecznotrwałych suwnic do systemu ILIACIV i od FORTRAN-u do sieci neurologicznych, fotoniki i ultramikrometod badawczych. Po przejściu na emeryturę George spędzał pierwsze tygodnie wolności, włączając się po starym domu i wynajdując wszystko, co można było naprawić, dumny z siebie jak kustosz zabytkowego dworu, kiedy mu się udało doprowadzić drewniane framugi i ramy okien do stanu idealnego dopasowania lub kiedy zlikwidował najdrobniejsze pęknięcia w nadwyrężonych przez czas murach. Utrzymywał przy tym idealny porządek w pracowni. Pochłaniał stopy książek. Powiększył ogród, zbudował altanę, zrobił generalny porządek w garażu. Krótko mówiąc, popadł w sensne odretwienie i okropnie się nudził.

– Biegasz? – zapytał kiedyś Sandoza z nadzieją w głosie.

– W szkole biegałem na przełaj.

– Uważaj, kochasiu, chce cię wyrolować. Ten stary piernik trenuje do maratonu – powiedziała Anne, a uwielbienie w jej oczach całkowicie przeczyło zgryźliwości uwagi. – Jeśli będzie nadal się wyglupiał, to chyba będę musiała coś zrobić z jego kolanami. Z drugiej strony, gdyby padł gdzieś przy drodze, to byłabym całkiem bogatą wdówką. Wierzę w dodatkowe ubezpieczenia.

Anne, jak się dowiedział, zapisała się na jego kurs, bo przez całe lata używała łacińskich terminów medycznych, a teraz chciała poznać język, z którego się wywodziły. Z początku pragnęła zostać lekarzem, ale przestraszyła się biochemii i w końcu wybrała antropologię biologiczną. Po zrobieniu dyplomu dostała pracę w Cleveland, nauczając anatomii patologicznej przyszlých oficerów rezerwy. Lata spędzone ze studentami w prosektorium osłabiły jej lęk przed studiami medycznymi i w końcu, mając czterdzieści lat, wróciła na uczelnię i zrobiła dyplom z medycyny nagłych przypadków – specjalizację wymagającą tolerowania chaosu i praktycznej znajomości wszystkiego, od neurochirurgii do dermatologii.

– Kocham przemoc – oświadczyła z namaszczeniem, oddając mu chusteczkę. – Mam ci wyjaśnić, na czym polega ta historia z nosem? Anatomia to naprawdę ciekawa dziedzina. Nagłośnia przypomina taki mały sedesik, który pokrywa krtań...

– Anne! – jęknął George.

Pokazała mu język.

– W każdym razie praca na ostrym dyżurze to jest to, co lubię. Bywa tak, że w ciągu godziny trzeba coś zrobić z połamaną klatką żebrową, raną postrzałową w głowę i z dzieckiem z wysypką.

– Nie macie dzieci? – zapytał pewnego wieczoru George'a, ku własnemu zaskoczeniu.

– Nie. Chyba nie rozmnażamy się w niewoli – odrzekł George wcale nie zakłopotany.

Anne roześmiała się.

– Och, Emilio... To ci się spodoba. Przez lata stosowaliśmy kalendarzyk biologiczny! Byliśmy pewni, że to jest skuteczne! – I ryknęły śmiechem.

Uwielbiał Anne, ufał jej od samego początku. W miarę upływu czasu jego uczucia nieco się pogmatwały, zaczął bardziej potrzebować jej rad i czuł, że będą dobre. Ujawnianie swego wnętrza nigdy jednak nie przychodziło mu łatwo; minęła połowa jesienno- zimowego semestru, zanim pewnego wieczoru, kiedy już pomógł George'owi uporać się z naczyniami po kolacji, zaproponował Anne spacer.

– Zachowuj się, człowieku – powiedział George. – Jestem stary, ale umiem strzelać.

– Wyluzuj się, George – zawołała przez ramię Anne, kiedy opuszczali dom. – Prawdopodobnie oblałam egzamin, a on zamierza mi o tym delikatnie powiedzieć.

Gawędzili o tym i owym, idąc wzdłuż pierwszych dwu bloków; Anne trzymała go pod rękę, jej srebrne włosy prawie dotykały jego czarnej czupryny. Dwa razy zaczynał, ale wycofywał się, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. W końcu westchnęła i powiedziała:

– No dobra, opowiedz mi o niej.

Sandoz zaśmiał się głośno i przeciągnął dłonią po włosach.

– Takie to oczywiste?

– Ależ skąd – zapewniła go łagodnie. – Po prostu kilka razy widziałam cię w kampusowej kafejce z oszalałymi dziewczynami i złożyłam to w całość. No więc opowiadaj!

Więc opowiedział. O tym, że Sofia Mendes ma tylko jeden cel, reszta jej nie obchodzi. O jej akcencie, który potrafił bezbłędnie naśladować, ale którego nie był w stanie zidentyfikować. O jej zgryźliwej uwadze na temat manier godnych hidalgo, kiedy po prostu próbował trochę ocieplić ich stosunki. O wrogości, którą wyczuwał, ale której nie potrafił zrozumieć. I w końcu, wracając niejako do tego, od czego zaczęli, o prawie fizycznym wstrząsie, jakim było dla niego spotkanie z tą kobietą. A nie polegało to po prostu na zauroczeniu jej urodą albo zwykłej reakcji gruczołów, tylko raczej na poczuciu, że... już ją znał.

– No cóż, to tylko przypuszczenie – powiedziała Anne, kiedy skończył – ale wydaje mi się, że to Sefardyjka.

Zatrzymał się i zamknął oczy.

– Oczywiście. Żydówka pochodzenia hiszpańskiego. – Spojrzał na Anne. – Uważa, że to moi przodkowie wyrzucili jej przodków z Hiszpanii w 1492 roku.

– To by wiele wyjaśniało. – Wzruszyła ramionami i znowu zaczęli iść. – Osobiście podoba mi się twoja broda, kochanie, ale wyglądasz w niej jak scenariuszowe wyobrażenie Wielkiego Inkwizytora. Możesz mimowolnie naciskać na mnóstwo jej guzików.

Archetypy Jungowskie działają w obie strony, pomyślał.

– Bałkański – powiedział po chwili. – To może być akcent bałkański. Anne pokiwała głową.

– Może. Po wygnaniu z Hiszpanii wielu Sefardyjczyków osiedliło się na Bałkanach. Jej rodzina może pochodzić z Rumunii albo z Turcji. Albo z Bułgarii. Gdzieś stamtąd. – Zagwizdała, przypomniawszy sobie Bośnię. – Powiem ci coś o Bałkanach. Tam jest tak, że kiedy ludziom zaczyna się wydawać, że mogą zapomnieć o jakiejś urazie, to piszą poemat epicki i każą dzieciom recytować go na pamięć przed położeniem się do łóżka. Stoisz w obliczu pięciuset lat pieczołowicie pielęgowanych i bardzo złych wspomnień o imperialnej, katolickiej Hiszpanii.

Milczenie trwało trochę zbyt długo, by uwiarygodnić jego następną uwagę.

– Chciałem tylko trochę lepiej ją zrozumieć. – Anne zrobiła minę, jakby mówiła: „Ależ oczywiście”, a Emilio brnął dalej: – To, co robimy, jest dość trudne. Wrogość wcale tego nie ułatwia.

Anne miała zamiar powiedzieć coś złośliwego. Nie zrobiła tego, ale Emilio wyczytał to z jej twarzy i warknął: „Och, kiedy ty dorośniesz!”, a ona zachichotała jak dwunastolatka, która właśnie odkryła sprośne dowcipy. Wzięła go pod ramię i ruszyli z powrotem, nasłuchując wieczornych odgłosów. Psy na nich czekały, liście grzechotały i szeleściły. Jakaś matka zawołała: „Heather! Czas do łóżka! Nie zamierzam ci tego powtarzać!”

– Heather. Nie słyszałam tego od lat. Pewno po babce. – Anne nagle przystanąła, a Emilio odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Niech to szlag, Emilio, nie wiem... może Bóg jest dla ciebie tak samo realny, jak George dla mnie, a ja dla George’a... Mieliśmy ledwie po dwudziestce, kiedy się pobraliśmy, to było tak dawno, jeszcze zanim ostygła skorupa Ziemi. I wierz mi, nikt nie przeżywa razem czterdziestu lat bez dostrzeżenia po drodze paru atrakcyjnych alternatyw. – Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go gestem. – Poczekaj. Zamierzam ci udzielić nieproszonej rady, mój miły. Wiem, że to zabrzmi za prosto, ale nie udawaj, że nie czujesz tego, co czujesz, bo znajdziesz się w piekle. Uczucia są taktami – powiedziała nieco twardym głosem, kiedy znowu zaczęli iść. – Nie odwracaj się od nich i radź sobie z nimi. Rób coś z nimi, byle uczciwie. Jeśli Bóg nie jest jakimś białasem ze średniej klasy, a to chyba trochę zbyt ryzykowne przypuszczenie, to liczy się to, co robisz ze swoimi uczuciami. – Teraz widzieli już George’a siedzącego przed domem w plamie światła. Czekał na nich. – Może Bóg pokocha cię bardziej, jeśli później wrócisz do Niego całym sercem.

Emilio pocałował Anne na dobranoc, pomachał George’owi i ruszył do kampusu, mając o czym myśleć. Anne stanęła przy mężu na ganku, ale zanim Emilio się oddalił, zawołała za nim:

– Hej! A co dostałam za sprawdzian?

– Osiemdziesiąt sześć. Pomyliło ci się z narzędnikiem.

– A niech to szlag!

Jej śmiech doleciał do niego przez ciemność nocy.

Do poniedziałku udało mu się już dojść do pewnych konkluzji. Nie zgolił brody, czując, że byłoby to zbyt ostentacyjne, ale zmienił sposób zachowania, stając się tak angielsko powściągliwy, jak sam Beau Bridges. Sofia Mendes nie była już tak spięta. Nie pozwolił sobie na żadne pogawędki i wpadł w rytm pytań i odpowiedzi, który tak jej odpowiadał. Poszło im o wiele łatwiej.

Zaczął spotykać się z George'em Edwardsem podczas jego treningów i przebiegał z nim część trasy. Postanowił wystartować na dziesięć kilometrów w wielkim biegu wiosennym. George, przygotowujący się do maratonu, był zadowolony z towarzystwa.

– Dziesięć kilometrów to dystans, którego nie musisz się wstydzić – zapewnił go, szczerząc zęby.

W końcu został nagrodzony czymś, co przypominało moment przyjaźni. Sofia Mendes zawiesiła ich sesje na kilka tygodni, a potem dała mu do zrozumienia, że chciałyby mu coś pokazać. Odwiedził ją w jej gabinecie, a ona kazała mu usiąść i wywołała jego plik z sieci. Wskazała mu ręką fotel i siadając obok niego, powiedziała:

– Po prostu zacznij. Udawaj, że przygotowujesz się do jakiejś misji, z tym, że będzie to gdzieś, gdzie mówią językiem, którego nigdy się nie uczyłeś i do którego nie ma podręczników.

Zrobił tak, jak mu powiedziała. Po kilku minutach zaczął zadawać przypadkowe pytania, poszukując instrukcji na różnych poziomach. Było tam wszystko, całe jego wieloletnie doświadczenie, nawet piosenki. Jego najlepsze osiągnięcia, uporządkowane i usystematyzowane, widziane przez pryzmat jej niezwykłego intelektu. W kilka godzin później odsunął się od pulpitu i napotkał jej promienne spojrzenie.

– Cudowne – powiedział nieco dwuznacznie. – Po prostu cudowne.

I po raz pierwszy ujrzał jej uśmiech. Trwało to krótko, bo natychmiast wstała, a na jej twarz powrócił wyraz nieugiętej godności.

– Dziękuję. – Zawahała się, ale jednak dodała: – To jest dobry projekt. Miło mi było z panem współpracować.

Wstał również, bo było oczywiste, że Sofia Mendes ma zamiar wyjść.

– Co pani będzie teraz robiła? Pewnie weźmie pani honorarium i ucieknie na jakąś cudowną plażę?

Zmierzyła go krótkim spojrzeniem.

– Pan naprawdę nie wie – powiedziała. – To chyba skutki życia pod kloszem.

Teraz on z kolei spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Nie wie pan, co to oznacza? – zapytała, wskazując na metalową bransoletkę, którą zawsze nosiła. Zauważył ją dawno, rzecz jasna: dość prosta ozdoba, współgrająca z jej stylem ubioru. – Otrzymuję jedynie tyle, żeby mieć na życie. Honorarium wędruje do mojego agenta. Zakontraktował moje usługi, kiedy miałam piętnaście lat. Zainwestował w moje wykształcenie i dopóki tego nie spłacę, nie można mnie zatrudnić bezpośrednio. Nie wolno mi zdjąć tej identyfikacyjnej bransoletki. Ona chroni jego interesy. Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą.

– Przecież to nie może być legalne – zachnął się, kiedy już był w stanie przemówić. – To niewolnictwo.

– Chyba już bardziej intelektualna prostytutka. A co do legalności, to takie warunki bliższe są umowie terminatorskiej niż niewolnictwu, doktorze Sandoz. Nie będę tej bransoletki nosić przez całe życie. Kiedy spłacę dług, będę wolna. – Mówiąc to, zbierała swoje rzeczy, przygotowując się do odejścia. – I wolę taki układ od fizycznej prostytutki.

Tego już było za wiele, jak na niego.

– Dokąd teraz pani się uda? – zapytał, wciąż nie mogąc ochłonąć.

– Do wyższej szkoły wojskowej. Pewien profesor historii wojskowości idzie na emeryturę. Do widzenia, doktorze Sandoz.

Uścisnął jej rękę i patrzył za nią, jak wychodziła. Z głową dumnie podniesioną, krokiem księżniczki.

6

RZYM I NEAPOL

marzec-kwiecień 2060

W marcu pewien człowiek ze skradzionymi dokumentami jezuitę zmylił czujność ochrony, dostał się do Kwatery Głównej i odnalazł pokój Emilia Sandoza. Na szczęście akurat przechodził tamtędy Edward Behr i słysząc głos reportera, zasypującego Sandoza pytaniami, wkroczył do akcji. Impet, z jakim wpadł do pokoju, przygwoździł intruza do ściany, a brat Edward nie pozwolił mu już umknąć, głośno wzywając pomocy.

Niestety, cały ten incydent był transmitowany na żywo za pomocą osobistego nadajnika owego reportera. Brat Edward myślał sobie później, że mimo wszystko jest w tym coś pocieszającego, bo oto całkiem przypadkowo świat mógł nabrać pewnego szacunku do atletycznych możliwości niskich, otępłych astmatyków.

To niespodziewane najście pogorszyło stan Sandoza, dla którego cały incydent był prawdziwym koszmarem. I tak, jeszcze przed owym zajściem, stało się oczywiste, że jego sprawność umysłowa wciąż, pozostawia wiele do życzenia, choć nastąpiła wyraźna stabilizacja stanu fizycznego. Utrzymywały się jeszcze symptomy przemęczenia i nie znikwały sińce, ale najgorsze objawy szkorbutu zostały opanowane. Lekarze podejrzewali, że długotrwałe promieniowanie kosmiczne mogło osłabić zdolność organizmu do absorbowania kwasu askorbinowego. W przestrzeni kosmicznej zawsze dochodziło do pewnych fizjologicznych i genetycznych uszkodzeń; najlepiej znosili to górnicy, bo osłaniała ich skała, ale członkowie załóg wahadłowców i stacji kosmicznych nękani byli przez nowotwory i choroby wynikające z niedoboru różnych czynników organicznych.

W każdym razie proces ozdrowienia Sandoza niepokojąco się ślimaczył. Wszczepienie zębów nie wchodziło w grę; zrobiono mu parę mostków, żeby mógł jeść normalnie, ale nie miał apetytu i wciąż był stanowczo za chudy. Chirurdzy nie chcieli jeszcze ruszać jego dłoni.

– Dopóki jest, jak jest, operacja nie ma sensu – powiedział jeden z nich. – Tkanka łączna przypomina pajęczynę. Na razie jakoś się trzyma, więc lepiej nic nie ruszać. Może za rok...

Towarzystwo Jezusowe sprowadziło więc ojca Singha, znanego wytwórcę aparatów korekcyjnych i sztucznych członków, który zrobił parę niby-protezy, by wzmocnić Sandozowi palce i ułatwić nad nimi kontrolę. Urządzenia były niezwykle delikatne – przypominały wate cukrową – i sięgały łokci. Sandoz był wdzięczny jak zwykle, chwalił mistrzowską robotę i dziękował ojcu Singhowi za pomoc. Odtąd ćwiczył dzień w dzień, a robił to z wytrwałością i uporem, które najpierw zadziwiły brata Edwarda, a potem go przeraziły.

Powiedziano im, że wystarczy, jak Sandoz nauczy się używać tylko zginaczy przegubowych, by zaktywizować siłowniki napędzane potencjałem elektrycznym, generowanym przez mięśnie przedramion. Jednak nawet po miesiącu ćwiczeń nie był w stanie wyizolować tego jednego ruchu, który był potrzebny, a wysiłek, jaki temu towarzyszył, wyczerpywał go doszczętnie. Brat Edward robił więc wszystko, by powstrzymać go od dłuższych ćwiczeń, starając się zachować równowagę między wysiłkiem niezbędnym do zrobienia jakiegoś postępu, a ceną, jaką obaj za to płacili, nie mogąc powstrzymać łez.

Dwa dni po tym, jak złapano innego reportera wspinającego się po murze ku sypialni Sandoza, ojciec generał wezwał Edwarda Behra i Johna Candottiego do swojego gabinetu tuż po codziennej naradzie ze swoim sekretarzem. Voelker został, ku niezadowoleniu Candottiego.

– Ojciec Voelker wyraził nadzieję, że Emilio mógłby odnieść korzyść z rekolekcji – zaczął Vincenzo Giuliani, rzucając Candottiemu spojrzenie, które mówiło: siedź cicho i rób dobrą minę. – Zaproponował, że sam poprowadzi ćwiczenia duchowne. Chciałbym poznać waszą opinię.

Brat Edward wyprostował się i wychylił do przodu, pragnąc przemówić pierwszy i wyrazić zdecydowany sprzeciw. Zanim jednak wypowiedział słowo, ubiegł go Johannes Voelker.

– Uczono nas, że w okresie osamotnienia nie powinno się podejmować żadnej decyzji. To oczywiste, że ten człowiek doświadcza nocy duszy i trudno się temu dziwić. Jest duchowo sparaliżowany, niezdolny do ruchu naprzód. Zalecam rekolekcje z udziałem przewodnika duchowego, który pomoże mu skoncentrować się na zadaniu, jakie przed nim stoi.

– Może gdyby facet nie czuł wciąż oddechów innych ludzi na karku, poczułby się lepiej – powiedział Candotti, uśmiechając się jowialnie i dodając w duchu: ty pedantyczny kołtunie.

– Proszę mi wybaczyć, ojcze generale – odezwał się szybko brat Edward. Konflikt między Candottim a Voelkerem obrósł już legendą. – Z całym szacunkiem, ale ćwiczenia to bardzo emocjonalne przeżycie. Nie sądzę, by Emilio był na coś takiego przygotowany.

– Zgadzam się z tym – dodał uprzejmie Candotti, myśląc: a Johannes Voelker jest ostatnią osobą na Ziemi, którą bym wybrał na kierownika duchowego dla Sandoza. Kończ i spuść wodę, synu.

– Jednak dla samego bezpieczeństwa – ciągnął brat Edward – wolałbym, żeby Emilio znalazł się gdzie indziej. Tu, w Rzymie, czuje się jak oblężony.

– No cóż, i chyba jest, jeśli już użyć tego porównania – powiedział ojciec generał. – Zgadzam się z ojcem Voelkerem, że Emilio musi wreszcie stawić czoło sytuacji, w której się znajduje, ale nie czas na to jeszcze, a Rzym nie jest odpowiednim miejscem. O ile dobrze zrozumiałem, jesteście zgodni co do tego, że Emilio powinien opuścić Kwaterę Główną, nawet jeśli inaczej to uzasadniamy.

Wstał i podszedł do okna, przez które widać było markotny tłumek dziennikarzy, chroniących się przed deszczem pod parasolami. I tak mamy szczęście, pomyślał, że zima jest chłodna i mokra, więc zostali tylko najbardziej wytrwali i uparci łowcy sensacji.

– Dom rekolekcyjny na północ od Neapolu zapewniłby mu spokój i odosobnienie, czego tutaj nie możemy mu zagwarantować.

– Pozostaje jednak problem – odezwał się Edward Behr – jak wydostać Sandoza z Numeru 5, żeby tego nie wysłędzili dziennikarze. Drugi raz nie nabiorą się na furgonetkę z chlebem.

– Pojadą za każdym samochodem – zgodził się Voelker.

Giuliani odwrócił się od okna.

– Tunele – powiedział.

– Co proszę? – Candotti sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Jesteśmy połączeni z Watykanem systemem tuneli – wyjaśnił mu Voelker. – Możemy wynieść go tunelami do samej bazyliki Świętego Piotra.

– Wciąż mamy do nich dostęp? – zapytał Behr, marszcząc czoło.

– Tak, trzeba tylko wiedzieć, kogo zapytać – odrzekł pogodnie Giuliani i ruszył ku drzwiom, dając do zrozumienia, że narada dobiegła końca. – Zanim zrealizujemy nasze plany, moi drodzy, najlepiej nie mówić nic ani Sandozowi, ani nikomu innemu.

John Candotti stał przed frontowymi drzwiami Numeru 5 z przygotowanym parasolem, irracjonalnie wściekły na złą pogodę. Słoneczne Włochy, pomyślał i prychnął drwiąco.

Utorował sobie drogę przez tłum dziennikarzy, którzy rzucili się na niego, jak tylko otworzył drzwi, czerpiąc perwersyjną przyjemność z odpowiadania na wykrzykiwane przez nich pytania enigmatycznymi cytatami z Pisma Świętego. Kiedy tylko zostawił za sobą zawiedziony tłumek, powrócił myślami do spotkania, w którym dopiero co uczestniczył. Giuliani najwidoczniej zgodził się, że zmuszanie Sandoza do ćwiczeń duchownych w jego obecnym stanie byłoby szaleństwem. Czemu miała więc służyć ta mała demonstracja z Voelkerem?

Podejrzliwość co do motywów nie leżała w naturze Johna Candottiego. Zapewne nie brakowało ludzi, których pasjonowały personalne gierki szachowe, podstawianie kogoś do bicia drugim, wymyślne manewry i pułapki, przewidywanie trzech następnych ruchów przeciwnika, ale John nie miał talentu do takiej gry i rozwiązanie tego problemu zajęło mu prawie całą drogę do domu. Wpadł na to w tym samym momencie, kiedy wdepnął w świeżą piramidkę psich odchodów.

Gównu, pomyślał, a miało to być zarówno opisem sytuacji, jak i komentarzem. Oto stał w deszczu, kontemplując swój but, jego świeżą ozdobę i swoją żalostną prostoduszność. Zdał sobie sprawę, że Giuliani zastosował taktykę „dobrego i złego policjanta”, żeby osiągnąć to, co od samego początku było jego właściwym celem. Nieźle wykombinowane, Sherlocku!

Posłuszeństwo to jedno, a być przez kogoś wykorzystywanym – nawet przez ojca generała – to druga sprawa. Poczł się urażony, ale i zażenowany, że zmądrzał tak późno. Obudziła się też w nim podejrzliwość, bo niby dlaczego Giuliani tak szybko zgodził się na pomysł potajemnego wywiezienia Sandoza z miasta? Zeskrobując psie gównu z buta i rozmyślając nad tą zagadką, John poczuł, że jego próżność została jednak lekko połechtana, bo ostatecznie sprowadzono go tu aż z Chicago, bo jego przełożeni wiedzieli, że jest prawie genetycznie zaprogramowany, by gardzić takimi dupkami, jak jego umiłowany w Chrystusie brat, Johannes Voelker.

John tak bardzo sam pragnął czym prędzej opuścić Rzym, że nie zamierzał zagłębiać się zbyt w całą tę intrygę. Trzeba grać takimi kartami, jakie się dostało, powiedział sobie, i żywić nadzieję, że Bóg jest po stronie Emilia.

W wielkanocny weekend Watykan zapełnił się wiernymi: dwieście pięćdziesiąt tysięcy pielgrzymów przybyło tu, by otrzymać błogosławieństwo papieża, aby się pomodlić, pogapić, kupić pamiątki, dać się okraść. Dżihad zapowiedział bomby, więc środki bezpieczeństwa były ostre, ale nikt nie zwrócił uwagi na schorowanego, skulonego mężczyznę, którego na wózku inwalidzkim wywoził z placu jakiś dryblas w popularnej kurtce turystycznej z napisami VESUVIUS 2, POMPEIIO. Ktoś, kto by ich obserwował, mógłby tylko się zdziwić, że tak łatwo złapali taksówkę.

– Kierowca? – zapytał Sandoz, kiedy John zapiął mu pasy. Powiedział to tak, jakby miał się za chwilę rozplakać. Tłumy, pomyślał John, tłumy i hałas. Lęk przed rozpoznaniem i otoczeniem przez tłum.

– Brat Edward – odpowiedział.

Edward Behr, siedzący w uniformie taksówkarza przy kierownicy, uniósł rękę w pozdrowieniu i skoncentrował się na ruchu ulicznym. Zakaz poruszania się po mieście prywatnymi samochodami ograniczył nieco ruch, ale działał jak darwinowskie prawo selekcji, wzmagając agresywność tych kierowców, którzy na ulicach pozostali. Na szczęście Edward Behr prowadził bardzo ostrożnie.

Candotti rozsiadł się wygodnie obok Sandoza, zadowolony z siebie, z tego dnia i z całego świata.

– Dobre zagranie – zauważył na głos, kiedy Edward wyjechał na zatłoczoną autostradę do Neapolu. Odwrócił się do Sandoza, mając nadzieję, że i on zaraził się chłopięcą radością z niespodziewanej ucieczki, porzucenia szkoły choćby na jeden dzień... Ujrzał człowieka rozpaczliwie wyczerpanego, skulonego, z powiekami wciąż zaciśniętymi ze strachu przed miastem i z nowego bólu, nakładającego się na tamten dawny, który go nigdy nie opuszczał, i z przeklętego, przenikającego do szpiku kości zmęczenia, w którym odpoczynek i sen nie przynosił żadnej ulgi.

Odwrócił się i napotkał spojrzenie brata Edwarda, który ujrzał w lusterku to samo, co on. I jemu uśmiech zniknął z twarzy. Żaden nie odezwał się ani jednym słowem. Brat Edward skoncentrował się na gładkim wchodzeniu w zakręty i płynnej jeździe pośród mnóstwa innych pędzących aut. Prowadził tak szybko, jak mógł.

Niezależnie od zwykłego tłoku na autostradzie, jazdę utrudniały dodatkowe punkty kontrolne, ale Giuliani zadbał o odpowiednie papiery i posuwali się stosunkowo szybko, zatrzymując się tylko po to, by młodzi żołnierze mogli zajrzeć pod podwozie i rzucić okiem na zawartość bagażnika. Zapadał zmierzch, kiedy dojechali do neapolitańskiej siedziby – szesnastowiecznego domu zaprojektowanego przez Tristana, niezbyt ładnego, ale mocnego i praktycznego. W drzwiach powitał ich małomówny, na szczęście, ksiądz, który bezzwłocznie wskazał im pokoje.

Brat Edward wprowadził Sandoza do jego sypialni. Emilio natychmiast położył się na łóżku i zakrył ramieniem oczy.

– Rozpakuję rzeczy, dobrze? – zapytał Edward, stawiając walizę na podłodze.

Usłyszał cichy pomruk przyzwolenia i zaczął układać ubrania w komodzie. Kiedy wyjął protezy, zawahał się: to on, a nie Emilio, pierwszy zaczął doszukiwać się pretekstów, by nie używać ich zbyt często.

– Damy sobie z tym dzisiaj spokój, dobrze? – zaproponował, prostując się i obracając ku leżącemu nieruchomo na łóżku człowiekowi. – Przyniosę ojcu coś do zjedzenia, a potem będzie ojciec mógł trochę się przespać.

Sandoz roześmiał się krótko.

– Spać. To może oznaczać „śnić”. Nie, Edwardzie, sen nie jest tym, czego mi potrzeba. – Opuścił jedną nogę na podłogę i usiadł, wyciągając rękę. – No, miejmy to z głowy.

To właśnie napełniało zawsze Edwarda grozą: chwila, w której musiał pomóc Sandozowi wsunąć jego straszne palce w druciane pochewki, a potem umocować uchwyty wokół łokci, dbając o to, by elektrody przylegały do resztek mięśni, teraz zmuszonych do podwójnej pracy.

Sińce nigdy nie znikwały. Często, tak jak i tego wieczoru, Edward tak bardzo starał się być delikatny, że cała operacja trwała zbyt długo i Emilio syczał z bólu ze ściągniętą twarzą, podczas gdy Edward szeptał bezsensowne słowa przeprosin. A potem zalegała cisza, kiedy Sandoz otwierał wilgotne oczy i zaczynał metodycznie pobudzać siłowniki, które przybliżały kciuk do palca wskazującego, a potem do drugiego, trzeciego, czwartego, po kolei, mozolnie, najpierw prawa dłoń, potem lewa, i znowu prawa, i tak w kółko, a mikroskopijne zębatki furkotały spazmatycznie.

Nienawidzę tego, powtarzał sobie w duchu brat Edward, czuwając przy ćwiczeniach. Nienawidzę. Nienawidzę. I raz po raz spoglądał na zegarek, aby zakończyć sesję, kiedy tylko nadejdzie czas.

Sandoz nie wypowiedział ani jednego słowa.

John Candotti rozpakował się i odnalazł refektarz. Upewniwszy się, że brat Edward już zadbał o posiłek dla Sandoza i dla siebie, John zjadł w kuchni lekką kolację, gawędząc z kucharzem o historii domu rekolekcyjnego i o tym, co by się stało, gdyby wulkan wybuchł.

– W pokoju rekreacyjnym pali się prawdziwy ogień na kominku – powiedział brat Cosimo, kiedy John uporał się z talerzem makaronu z małżami. – To nielegalne, ale tu, na wybrzeżu, nikt nie zauważy dymu, zwłaszcza przy wietrze. Kieliszek brandy, ojcze? – Podał Candottiemu kieliszek, a ten, nie znajdując żadnego rozsądnego powodu, by odrzucić tę propozycję, wziął go i ruszył ku tak zachwalanemu przez kucharza pokojowi rekreacyjnemu, gdzie zamierzał bezwstydnie rozkoszować się ciepłem.

Pokój oświetlony był tylko migotliwym blaskiem bijącym od kominka. W półmroku majaczyły jakieś meble, ale John poszedł prosto do dwóch foteli z wysokim oparciem, stojących przed kominkiem, i zapadł się w najbliższy, pozwalając myślom odpłynąć w siną dal. Było to piękne wnętrze – z orzechowymi boazeriami i ozdobnym gzymsem nad paleniskiem, wyrzeźbionym całe wieki temu, ale odkurzany i polerowany dzień w dzień – i poczuł, że jest w stanie wyobrazić sobie ów czas, kiedy drzew było pod dostatkiem i każdy mógł sobie rozpalić ogień nie tylko po to, by się ogrzać, ale i po to, by rozkoszować się jego spokojem i pięknem.

Wyciągnął nogę ku palenisku i zastanawiał się leniwie, czy wybór następnego papieża będzie sygnalizowany neonowym napisem BIAŁY DYM, gdy zdał sobie nagle sprawę, że przy wysokim, wieloskrzydłowym oknie stoi Sandoz, spoglądając na wybrzeże, jaśniejące w blasku księżyca skały i fale liżące piasek.

– Myślałem, że już śpisz – odezwał się John łagodnie. – Męcząca podróż, co?

Sandoz nie odpowiedział. Ruszył powolnym krokiem, usiadł ciężko w fotelu z dala od Candottiego, potem znowu wstał. Jest już blisko, pomyślał John. Bardzo blisko.

Lecz kiedy Sandoz przemówił, nie było w tym nic z tego, czego się John spodziewał – jakiegoś oczyszczającego przełomu, wyznania, które mogłoby mu ułatwić przebaczenie samemu sobie, opowieści wyrzucanej bezładnie z duszy w nadziei, że ktoś drugi zrozumie.

– Czy doświadczasz Boga? – zapytał Sandoz bez żadnego wstępu.

To dziwne, ale pytanie wprowadziło Johna w zakłopotanie. Towarzystwo Jezusowe rzadko przyciągało mistyków, którzy skłaniali się raczej ku karmelitom czy trapistom albo przyłączali się do grup charyzmatycznych. Jezuitami stawali się ludzie, którzy woleli odnajdywać Boga w działaniu, w pracy naukowej lub w bardziej praktycznej służbie społecznej. Bez względu na rodzaj powołania, poświęcali mu się całkowicie, a czynili to „dla większej chwały Bożej”.

– Nie bezpośrednio – odpowiedział. – Chyba nie tak, jak się doświadcza obecności przyjaciela lub jakiejś osobistości. – Zastanowił się. – Nie, nawet nie „w szmerze łagodnego powiewu”. – Zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w płomień. – Powiedziałbym, że odnajduję Boga w służeniu Jego dzieciom. „Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie”.

Ogień trząsał i syczał łagodnie. Sandoz przestał się przechadzać i stał bez ruchu w dalekim kącie pokoju; twarz miał ukrytą w cieniu, tylko w protezach połykiwał blask ognia.

– Nie oczekuj niczego więcej, John – powiedział. – Bóg złamie ci serce.

A potem opuścił pokój.

Poszedł do pokoju, który mu przydzielono, i zatrzymał się, widząc, że drzwi są zamknięte. Poczuł, jak gniew dławi mu gardło, kiedy starał się zmusić dłoń do wysiłku, ale zduł wściekłość, by skoncentrować się na prostym zadaniu otwarcia drzwi, a potem, kiedy już wszedł, pokonał w sobie przemożne pragnienie, by zatrzaskać je kopnięciem. Och, jak pragnął w coś uderzyć, czymś cisnąć, ale starał się ujarzmić targające nim impulsy, kuląc się w drewnianym fotelu, kołyszając się i ściskając brzuch ramionami. Światło, które wciąż się paliło, zaostrzało potworny ból w czaszce. Bał się jednak wstać i podejść do kontaktu.

Mdłości minęły, a kiedy otworzył oczy, dostrzegł na stoliku przy łóżku ekranik ze starym czasopiśmie komputerowym, a na nim otwarte okienko z notatką, przykrywającą tekst. Wstał, by ją przeczytać.

„Doktorze Sandoz, w czasie pańskiej nieobecności doszło do rewizji poglądów na Marię Magdalenę. Może będzie pan zainteresowany nowym spojrzeniem na tę postać – V.”

Skurcze żołądka nękały go jeszcze długo po tym, kiedy już nie miał czym wymiotować. W końcu odetchnął głęboko i wyprostował się, ociekając potem i dygocąc. A potem zmusił dłonie, by chwyciły kasetkę z ekranem, i roztrzaskał ją o ścianę. Wówczas otarł ślinę z ust i ruszył ku drzwiom.

7

CLEVELAND I SAN JUAN

2015-2019

Kiedy Emilio Sandoz zakończył sesję z Sofią Mendes, zapytano go, co chciałby teraz robić. Odpowiedział, że pragnie powrócić do La Perla w Puerto Rico. Jego prośbę musiała najpierw zaopiniować jezuicka Prowincja Antylów, ale Emilio nie był zaskoczony, kiedy zadzwonił do niego Dalton Wesley Yarbrough, prowincjał Nowego Orleanu.

– Milito, jesteś pewny, że tego właśnie chcesz? Teraz, kiedy już wylazłeś z tej wyżymaczki, mamy dla ciebie profesurę na Le Moyne. Ray musiał obsłinić mnóstwo czcigodnych uszów, żeby ci to załatwić.

D.W. mówił, a właściwie brzdąkał, przez nos, jak przystało na prawdziwego Teksańczyka. Dla kogoś spoza Teksasu była to mowa prawie niezrozumiała. Potrafił mówić cywilizowanym angielskim, ale kiedyś powiedział Sandozowi: „Synu, w naszym zakonie niewiele jest miejsca na ekscentryczność. Korzystam więc z każdej okazji, żeby się pośmiać”.

– Wiem – odpowiedział Emilio – i uważam, że w Le Moyne mają naprawdę świetną katedrę, ale...

– W Syracuse pogoda nie jest taka zła – kłamał beztrzesko prowincjał – A w La Perla o tobie nie zapomną, synu.

– Wiem, D.W. – powiedział Emilio z powagą. – Właśnie dlatego powinienem tam wrócić. Muszę uśpić pewne widma.

Yarbrough zamyślił się. Coś go skłaniało do zgody, ale co? Sympatia czy poczucie winy? D.W. zawsze czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za skutki, dobre czy złe. Emilio okazał arogancję: sam podejmował decyzje. D.W. dostrzegł jednak w tym chłopaku ukryte możliwości i nie wahał się ani chwili, kiedy nadarzyła się okazja, by go wyciągnąć z La Perla. Emilio spisał się bardzo dobrze, no, ale trzeba za to zapłacić.

– No dobra – powiedział w końcu. – Zobaczę, co da się zrobić.

Kiedy dwa tygodnie później Emilio wszedł do swojego gabinetu, od razu dostrzegł palące się światełko poczty elektronicznej. Ręce mu się trochę trzęsły, kiedy otwierał plik, i miał pokusę, by złożyć to na karb tureckiej kawy, do której, niestety, zdążył się przyzwyczaić, ale dobrze wiedział, że to nerwy. A kiedy już przyznał się do tego sam przed sobą, łatwiej mu się było uspokoić. *Non mea voluntas sed Tua fiat*, pomyślał. Był już gotów zrobić to, co mu każą.

Jego prośba została zaakceptowana bez żadnego komentarza ze strony zainteresowanych prowincjałów.

W grudniu zadzwonił z San Juan do Anne i George'a Edwardsów, wydając dodatkowe pieniądze na wizję, bo chciał zobaczyć ich twarze i chciał, żeby oni widzieli jego twarz.

– Proponuję wam pracę – oświadczył prosto z mostu. Klinika właśnie straciła federalnego lekarza i nikt nie chciał go zastąpić. Może Anne by to odpowiadało? A George, ze swoimi wszechstronnymi uzdolnieniami, mógłby się zająć odnowieniem budynków, uczyć dzieci zajęć praktycznych, reaktywować sieć, która połączyłaby Anne z większymi szpitalami, a dzieci z nauczycielami z zewnątrz.

Zanim zdążyli coś odpowiedzieć, opowiedział im pokrótce o La Perla, nie unikając szczegółowych danych statystycznych. Nie miał, rzecz jasna, złudzeń i nie chciał, by mieli je Edwardsowie. Pozostawił im tylko nadzieję, że będą mieli szansę uratowania jakiejś liczby istnień ludzkich spośród tych tysięcy gnieźdzących się w slumsach.

– No, nie wiem – powiedziała Anne sceptycznie, ale widział jej oczy i to mu wystarczyło. – Czy możesz mi obiecać, że będzie tam od cholery rannych nożowników?

Podniósł rękę i przysiągł.

– Będziesz ich miała co tydzień. I rany postrzałowe. I wypadki samochodowe.

Wszyscy troje dobrze wiedzieli, że to wisielczy humor. Będą dzieci trzynastoletnich matek z bólami brzucha. Będą zwichnięte ramiona i karki, uszkodzone nadgarstki, poranione kolana robotników z fabryki kapoku. Pocięte dłonie zainfekowane rybimi flakami w przetwórni ryb. Zakażenia ogólne, cukrzyca, marskość wątroby, czerniaki, spartolone aborcje, astma, gruźlica, niedożywienie, STD. Alkoholizm, narkomania, beznadziejność i trawiąca wnętrzności wściekłość. „Ubogich zawsze będziecie mieć między sobą”, powiedział Jezus. Ostrzeżenie czy oskarżenie?

Patrzył na Anne i George’a: zastanawiali się.

– Ten cały cholerny wyż demograficzny już się cofa. Sześćdziesiąt dziewięć milionów starych przyków grających w golfa i uskarżających się na hemoroidy. – George parsknął i wzruszył ramionami. – Niedługo ktoś otworzy telepogrzeby.

– Jakoś nie widzę nas grających w golfa – powiedziała Anne. – To może już lepiej w to wejdźmy, co?

– Zgoda. Wchodzimy w to, Emilio.

I tak, w maju 2016 roku, Anne i George Edwardsowie przenieśli się do wynajętego domu w Old San Juan, osiem poziomów schodów powyżej kliniki. Emilio pomógł im się urządzić. Kiedy już mieli łóżko, pierwszą rzeczą, o jakiej pomyśleli, było znalezienie sporego drewnianego stołu i kompletu krzesel.

Emilio rozpoczął od spraw najprostszych: od uporządkowania misyjnego boiska, zorganizowania bazy danych, rozpoznania na nowo środowiska. Nie zrobił rewolucji, wykorzystywał już istniejące programy – najpierw liga baseballowa, zajęcia pozaszkolne.

Zawsze jednak zachowywał czujność, licząc się z tym, że to lub inne dziecko może mu umknąć z pola widzenia, jeśli tylko ktoś zechce je wykorzystać. Miał talent do statystyki, starał się śledzić na bieżąco losy dzieci. Zwabiał je do George'a, który pozwalał im bawić się internetem, a wyłowiwszy spośród nich potencjalnie uzdolnionych, zaczął im dawać korepetycje z matematyki. Znalazł jakąś dziewczynkę, która płakała nad przejechanym przez samochód psem, i przyprowadził ją do Anne. W ten sposób Anne zyskała swoją pierwszą asystentkę. Dziewczynka miała jedenaście lat, nazywała się Maria Lopez i prócz dobrego serca miała zapal do nauki.

Był też mały potwór, Felipe Reyes, który sprzedawał kradziony towar tuż za ogrodzeniem kliniki, chłopiec o języku tak plugawym, że nawet Anne Edwards, ze swoim bogatym doświadczeniem w tej dziedzinie, nigdy nie słyszała wielu z używanych przez niego przekleństw. Emilio wysłuchał jednej z jego przemów do przechodniów, którzy nie kwapili się, by coś od niego kupić, i powiedział mu:

– Jesteś chyba najgorszym sprzedawcą, jakiego w życiu spotkałem, ale... *,mano*, ty to masz mowę!

Nauczył go przeklinać po łacinie, a po jakimś czasie zrobił z niego ministranta. Felipe zadowolił się w misji, zawsze gotów pomóc każdemu i we wszystkim.

Anne spędziła pierwsze miesiące w klinice na zapoznawaniu się z rejestrem danych, uzyskując dość ponury obraz medycyny, jaką tu uprawiano. Przekopała się przez księgi inwentarzowe i dokonała inspekcji wszystkich pomieszczeń, po czym odnowiła wyposażenie i zapasy magazynowe. Jednocześnie odpowiadała na wezwania telefoniczne do nagłych przypadków: odkrojone palce, infekcje, ryzykowne ciążę i przedwczesne porody, lamblie, rany postrzałowe. I stopniowo poznawała, na którego spośród mieszkających na wyspie lekarzy może liczyć.

George rzucił się w wir pracy, sporządzając tasiemcowe spisy niezbędnych napraw, wymieniając zamki we wszystkich drzwiach i oknach, dokonując gruntownego przeglądu systemu łączącego misję z serwerami internetowymi i bibliotekami, doprowadzając do stanu używalności wysłużony sprzęt medyczny. Dla własnej satysfakcji zarejestrował się jako prywatny docent w Radioteleskopie Arecibo, zaspokajając w ten sposób długo tajone zainteresowanie astronomią.

Tam właśnie spotkał Jimmy'ego Quinna, który miał ich wszystkich zaprowadzić na Rakhat.

– George – zapytała któregoś ranka Anne, kilka miesięcy po ich przeniesieniu się do Puerto Rico – czy Emilio kiedykolwiek powiedział ci coś o swojej rodzinie?

– Nie, chyba nie... Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– A nie wydaje ci się, że znamy się już dość długo, aby ich poznać? Zresztą... sama nie wiem. – Zamyśliła się. – Tu, w miasteczku, dzieje się coś, czego nie rozumiem. Dzieciaki uwielbiają Emilia, ale starsi zachowują jakiś dziwny dystans.

Właściwie to coś więcej niż dystans, pomyślała. To wrogość.

– No wiesz, w La Perla jest sporo małych ewangelickich kościołów. Może to coś w rodzaju rywalizacji międzywyznaniowej, bo ja wiem?

– A może byśmy urządzili przyjęcie? W klinice, rzecz jasna. Może by się dało przełamać lody.

– No jasne. – George wzruszył ramionami. – Bezpłatne zarcie to zawsze dobry sposób na wszystko.

Anne natychmiast zajęła się organizacją fiesty przy pomocy kilku kobiet z sąsiedztwa, z którymi zdążyła się zaprzyjaźnić. Ku jej zaskoczeniu George odniósł się do przygotowań, a później do samej zabawy z wielkim entuzjazmem. Rozdawał słodczyce i drobne upominki, odpalał skonstruowane przez siebie rakiety, nadmuchiwał balony i wygłupiał się z dziećmi tak, że go nie poznawała. Emilio też ją zdumiał, dając pokazy sztuczek magicznych, panując nad tłumem dzieci jak zawodowiec, raz po raz prowokując je do wybuchów śmiechu i wciągając do zabawy mamy, babcie, ciotki i starsze rodzeństwo.

– Gdzie, do cholery, nauczyłeś się tych sztuczek? – zapytała go szeptem, kiedy malcy porzysiadali się wszędzie, pochłaniając lody.

Emilio wzniosł oczy do góry.

– Masz pojęcie, jak długie są noce pod Kręgiem Arktycznym? Znalazłem książkę. I miałem bardzo dużo czasu, żeby ćwiczyć.

Kiedy wszystko się skończyło, Anne pożegnała ostatnie dzieci i wróciła do biura, przylapując obu drogich jej mężczyzn na sprzeczce.

– On ci uwierzył! – zawołał Emilio, zmiatając kolorowe bibułki i konfetti.

– Daj spokój! Dobrze wiedział, że żartuję – odpowiedział George, zgarniając śmieci do worka.

– Co jest? Kto komu uwierzył? – zapytała Anne, zabierając się do resztek po lodach. – Kochanie, tam pod biurkiem jest półmisek. Możesz mi go podać?

Emilio wyłowił półmisek i ułożył go na stosie innych.

– Jeden z dzieciaków zapytał George’a, ile ma lat...

– Więc mu powiedziałem, że sto szesnaście. Dobrze wiedział, że się zgrywam.

– George, to było pięcioletnie dziecko! Uwierzyło ci.

– No świetnie, George. Znakomity sposób poznania ludzi z sąsiedztwa. Nakłamać ich dzieciom! – zawołała Anne, ale sama skręcała się ze śmiechu, kiedy oni dwaj pogrążyli się w ożywionej dyskusji nad moralną różnicą między okłamywaniem dzieci a odgrywaniem komedii. Każdy z nich powinien być ojcem, pomyślała. Tryskali radością, bo udało im się zrobić przyjemność dzieciom. Poczula ukłucie żalu, ale nie rozdrapywała starej rany.

Pierwsza fiesta tak się wszystkim podobała, że nastąpiły po niej inne, na większą skalę i z jeszcze lepszym programem. Anne starała się zawsze połączyć je z jakimś problemem zdrowotnym. Rozdawała prezerwatywy i krótkie informacje o kontroli zapłodnień każdemu, kto skończył jedenaście lat, szczepiła maluchy, dokonywała przeglądu głów, mierzyła ciśnienie. Po każdej fieście miała więcej niż zwykle pacjentów, takich z „drobnymi dolegliwościami”, które często okazywały się poważnymi, zadawnionymi schorzeniami. George zaczął spędzać więcej czasu w J-Center, przybyło mu też dzieciaków, z którymi się tam regularnie spotykał. Niewiele mógł z nimi zdziałać, ale w każdym razie czuły, że robią postępy. Personel wydawał się zadowolony z tego, że tam przychodzą.

W miarę upływu czasu Anne zaczęła dowiadywać się od Emilia coś niecoś o jego życiu. Były to strzępy informacji, dość jednak, by wyczuła, że miał bardzo pokręconą rodzinę i sporo okropnych przeżyć w dzieciństwie. Nie było to dla niej niespodzianką. Anne należała do pokolenia, które bez żenady obnażało publicznie swoje wnętrza, nie wstydząc się głośnych jęków, narzekań i oskarżeń, więc powściągliwość Emilia budziła w niej mieszane uczucia. Wiedziała, że spychane do podświadomości złe przeżycia mogą zatruć osobowość, z drugiej jednak strony bardzo ceniła umiejętność zaciśnięcia zębów i radzenia sobie z życiem po swojemu. W końcu Emilio miał prawo milczeć o paskudnych szczegółach ze swojego dzieciństwa, nawet wobec przyjaciół. Może nawet zwłaszcza wobec przyjaciół, bo mogło mu się wydawać, że taki ekshibicjonizm popsuje dobrą opinię, jaką o nim mieli. Powściągała więc swoją ciekawość i nigdy sama nie pytała go o dzieciństwo i rodzinę.

Nie powstrzymywało to jej, oczywiście, od baczego przyglądania się mieszkańcom La Perla, by wyszukać takich, którzy mogą go przypominać. Jako antropolog dostrzegała w twarzy Emilia intrygującą cechę, a była nią niesamowita zmienność. Czasem wyglądał jak Hiszpan z hollywoodzkiego filmu – czarna broda, władcze oczy, żywa, jaśniejsza inteligencją twarz, by w następnej chwili stać się enigmatycznym, zamkniętym w sobie Indianinem ze szczepu Taino. Taką samą cechę dostrzegła w jakiejś pełnej godności kobiecie na targu kwiatowym, która mogła być jego starszą siostrą. Emilio nigdy jednak nie wspomniał, czy ma siostry lub braci, a Anne wiedziała, że jeśli ktoś nie mówi o tak oczywistych sprawach, zwykle ma ku temu powody. Nie zaskoczył jej więc sposób, w jaki dowiedziała się, że Emilio rzeczywiście ma brata. Zaskoczyła ją własna reakcja.

Tego wieczoru siedziała sama w domu, przeglądając literaturę na temat szpotawości stóp, kiedy zadzwonił Emilio i poprosił, aby przyszła do kliniki. Mówił niewyraźnie, ale jakoś nie mogła uwierzyć, że się upił.

– Emilio, co się stało? Coś złego? – zapytała przerażona.

– Wyjaśnię ci, jak przyjdiesz. Trudno mi mówić.

George był w Arecibo, polował na jakieś zdjęcie, które mógł zrobić tylko w nocy. Anne zadzwoniła do niego i powiedziała, co się dzieje, choć, prawdę mówiąc, sama dobrze nie wiedziała. Niech się postara szybko wrócić do domu. Potem zbiegła do kliniki. W biurze było ciemno i już zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrozumiała Emilia, kiedy z ulgą stwierdziła, że drzwi są otwarte, a Emilio czeka na nią w środku w ciemności.

Anne zapaliła światło, zaczerpnęła głęboko powietrza na widok tego, co zobaczyła, i natychmiast przeobraziła się w lekarza pogotowia, a uczyniła to tak szybko i spokojnie, jakby nakładała fartuch.

– No cóż, ojciec – powiedziała sucho, chwytając go za podbródek i oglądając uważnie jego twarz – widzę, że nadstawiał ojciec drugi policzek. I to nie raz. Proszę się nie śmiać, bo znowu zacznie krwawić.

Widywała takie rzeczy zbyt często, by nie pochylić się i nie sprawdzić, czy ma otarte lub połamane kostki dłoni. Nie znalazła żadnych obrażeń. Zmarszczyła brwi, wciąż trzymając go za ręce i patrząc mu prosto w oczy, ale odwrócił wzrok. Westchnęła, wstała i poszła do magazynu leków, a tam otworzyła szafkę, by wyjąć to, czego potrzebowała. Jego źrenice reagowały normalnie, no i był w stanie do niej zadzwonić, więc nie podejrzewała neurologicznych urazów, ale twarz miał okropnie pokiereszowaną. Usłyszała jego głos z sąsiedniego pokoju:

– Chyba mam złamane żebro. Słyszałem, jak coś chrupnęło.

Zawahała się przez chwilę, a potem wróciła do niego, załadowawszy pistolet iniekcyjny dawką środka wspomagającego system immunologiczny.

– To z powodu rozcięć – wyjaśniła, pokazując mu pistolet. – Możesz sam rozpiąć koszulę czy mam ci pomóc?

Porozpinał guziki, ale nie udało mu się wyciągnąć z dzinsów pokrwawionej koszuli. Może ten, kto go tak urządził, nie wiedział, że bije księdza, pomyślała, zastanawiając się, czy coś by to zmieniło. Pomogła mu ściągnąć koszulę, uważając, by nie narazić go na niepotrzebny ból. Jego skóra miała barwę syropu klonowego.

– Masz rację co do żebra – powiedziała.

Odkryła czarnego siniaka na plecach, ślad po potężnym uderzeniu, które wypchnęło żebro. Musiał go ktoś kopnąć, kiedy już leżał, pomyślała. Mierzył w nerki, ale trafił nieco wyżej. W płucach nie dosłyszała niczego niepokojącego, ale na wszelki wypadek pomogła mu przenieść się pod skaner i zrobiła USG klatki piersiowej. Kiedy czekała na wydruk, zrobiła mu zastrzyk i rozpyliła środek przeciwbólowy na rozcięcie nad brwiami.

– To trzeba będzie pozszywać, resztę można zalepić bioplastrem.

USG wykazało złamanie strzałkowane szóstego żebra, pęknięcie siódmego. Bolesne, ale niegroźne. Środek znieczulający szybko zaczął działać. Emilio siedział spokojnie, pozwalając, by oczyściła mu twarz i pozszywała otwarte rany.

– Okay, teraz najgorsze. Podnieś ramiona, a ja ci obandażuję żebra. Tak, wiem – dodała łagodnie, kiedy syknął. – Będzie bolało przez tydzień, może dziesięć dni. Nie zalecam kichania.

Szczerze ją zaskoczyło, kiedy poczuła, że jego bliskość tak na nią działa. Aż do tej chwili była pewna, że już dawno pogodziła się z tym, że jest stara i że nie ma dzieci. Ten piękny mężczyzna zmusił ją do rewizji obu tych pewników. Nie mogła się tylko zdecydować: syn czy kochanek. Oczywiście było to całkowicie niestosowne. Ale Anne Edwards nie znosiła samooszukiwania się i dobrze wiedziała, co czuje.

Skończyła bandażowanie i pozwoliła mu trochę odetchnąć, a sama ponownie załadowała pistolet. Nie pytając o pozwolenie, przycisnęła dyszę do jego ramienia i wstrzyknęła lek.

– Możesz cierpieć jutro, jak zechcesz. Dzisiaj będziesz spał. Mamy dwadzieścia minut, żeby cię położyć do łóżka.

Nie wyrażał sprzeciwu, zresztą było za późno. Odłożyła pistolet i pomogła mu włożyć koszulę. Sam pozapinał guziki, podczas gdy ona robiła porządek.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytała w końcu, przysiadając na skraju biurka. Spojrzał na nią przez włosy, które mu opadały na czoło, czarne na tle bandażu. Ten siniak na policzku będzie super, pomyślała.

– Nie, chyba nie.

– No cóż – powiedziała spokojnie, pomagając mu wstać – mogę uwierzyć, że nie pobiełeś się w barze o dziewczynę, ale jeśli nie zaspokoisz mojej wulgarnej ciekawości, mogą mi przyjść do głowy jeszcze bardziej drastyczne wyjaśnienia.

– Poszedłem zobaczyć się z bratem – powiedział, zerkając jej w oczy.

A więc ma brata.

– A on powiedział: „Witaj w domu, Emilio” i stłukł cię na miazgę?

– Coś w tym rodzaju. – Milczał przez chwilę. – Anne, starałem się. Naprawdę próbowałem.

– Jestem tego pewna, kochanie. Chodź, zabiorę cię do domu.

Wyszli z kliniki i ruszyli w górę, po schodkach; Emilio był już zbyt otepiały, by zwracać uwagę na spojrzenia i pytania. Anne tylko kręciła głową. W połowie drogi spotkali George’a. Emilio nie ważył wiele, ale na ostatni poziom musieli go wnieść razem. W domu już się chwiał, podczas gdy Anne słała gościnne łóżko, a George go rozbierał.

– Prześcieradła? – zapytał bełkotliwie, najwidoczniej bojąc się, że je pokrwawi.

– Nikogo nie obchodzą żadne prześcieradła – odpowiedział George.

– Po prostu się kładź.

Zasnął, zanim go troskliwie okryli.

Anne zamknęła drzwi do pokoju gościnnego i w półmroku wtuliła się w znajome ramiona. Żadne nie było zaskoczone tym, że płakała. Trzymał ją długo w objęciach, a potem poszli razem do kuchni. Kiedy podgrzewała zupę, opowiedziała mu pokrótce, co się wydarzyło, a on domyślił się więcej, niż mogła się spodziewać.

Przeszli do jadalni, odgarnęli jakieś graty na stole w jeden koniec i przez chwilę jedli w milczeniu.

– Czy wiesz, dlaczego się w tobie zakochałem? – zapytał nagle George. Anne potrząsnęła głową, zdziwiona, że zapytał o to właśnie teraz. – Usłyszałem twój śmiech. Właśnie szedłem na pierwszą lekcję hiszpańskiego. Nie widziałem cię. Po prostu usłyszałem ten fantastyczny śmiech, całą oktawę, od góry do dołu. I musiałem usłyszeć go znowu.

Odłożyła łagodnie widelec i obesła stół, aby stanąć przy jego krześle. Otoczył rękami jej biodra, a ona przyciągnęła jego głowę do swojego brzucha, tuląc ją pieśczośliwie.

– Żyjmy wiecznie, mój stary – powiedziała, odgarniając mu srebrne włosy z twarzy i nachylając się, by go pocałować. Uśmiechnął się do niej.

– W porządku – zgodził się dobrodusznie. – Ale tylko dlatego, że to naprawdę załatwi tego faceta od ubezpieczeń, u którego wykupiłaś dożywotnią rentę.

A ona wybuchnęła tym cudownym śmiechem, całą oktawę, od górnego C, jakby ktoś przejechał pałeczkami po ksylofonie.

Następnego ranka po koszmarnej nocy Anne wstała wcześniej, wciągnęła białą sukienkę z aksamitu i poszła zobaczyć, jak się czuje Emilio. Wciąż spał, w prawie tej samej pozycji, w jakiej go ułożyli. Usłyszała, jak George w kuchni robi kawę, ale jeszcze nie była gotowa do spotkania się z nim twarzą w twarz. Zamknęła się w łazience. Ściągnęła sukienkę i stanęła przed dużym lustrem.

Przyjrzała się swojemu ciału, oceniając rezultaty utrzymywania przez całe życie zdrowej diety i ćwiczenia przez parę dziesięcioleci w szkole tańca. Nigdy nie rodziła, więc nie miała kłopotów z nagłym przyrostem wagi i rozstępami. W okresie menopauzy zaczęła zażywać hormony, rzekomo z powodu troski o serce i lęk przed osteoporozą – drobnokoścista, niebieskooka blondynka, która paliła przez dwadzieścia lat, zanim rzuciła papierosy w szkole medycznej. Bez żadnego poczucia rekompensaty za brak dzieci, przywiązana była do iluzji młodości niezależnej od wieku. Zresztą mogę być stara, pomyślała, póki nie wyglądam staro. W każdym razie była zadowolona z tego, co zobaczyła.

Zmusiła się do wyobrażenia sobie, że Emilio na nią patrzy, do przemyślenia całego scenariusza, w którym mógłby ją ujrzyć taką jak teraz. Nic odwracała oczu od zwierciadła: akt silnej woli.

W końcu odwróciła się, zakończyła próbę, wbiegła pod prysznic. Zięć, pomyślała, kiedy woda chłostała jej barki. Sagadyjski zięć, z którym stara kobieta może sobie swobodnie flirtować i żartować pomimo pokoleniowego dystansu. To by odpowiadało jej potrzebom. No i proszę, antropologia jako ratunek, po tylu latach.

A potem znieruchomiała i zastanowiła się, czego potrzebuje Emilio. Czuć się synem, tak. Czuć się jak syn.

Zakręciła wodę, wyszła na matę, wytarła się i włożyła dzinsy i koszulkę z krótkimi rękawami. Zajęta porannym rytuałem prawie zapomniała o nocnych zmartwieniach. Ale zanim opuściła łazienkę, spojrzała jeszcze raz w lustro. Nie tak źle, jak na starą babę, pomyślała, i zaskoczyła George'a, łapiąc go za pośladek, kiedy mijała go w korytarzu.

Kiedy Emilio się obudził, dom był pusty. Leżał spokojnie przez dłuższą chwilę, zbierając myśli, przypominając sobie, jak tu się znalazł. W końcu tępe łomotanie w głowie przekonało go, że będzie się lepiej czuł w pozycji pionowej. Usiadł, napinając mięśnie brzucha i podpierając się rękami. A potem wstał, trzymając się kurczowo deski oparcia.

Przy łóżku stało krzesło, a na nim leżał szlafrok z ostentacyjnie wetkniętą w kieszeń nową szczoteczką do zębów. Jego ubranie, porządnie oczyszczone lub wyprane, spoczywało schludnie złożone na komodzie. Na szafce nocnej zauważył fiolkę z tabletkami i kartkę od Anne: *„Dwie po przebudzeniu. Dwie przed położeniem się do łóżka. Nie będziesz się czuł po nich, jakbyś był na rauszu. W kuchni jest kawa”*. Zastanowił się, co właściwie znaczy „być na rauszu”. Chyba jak komuś chce się rzygać, sądząc z kontekstu. Postanowił to jednak sprawdzić w przyszłości.

Stojąc w łazience, zdecydował, że jednak nie wejdzie pod prysznic, bo nie był pewny, co się stanie z bandażami i plastrami. Obmył się, jak zdołał, i zagapił na swoje odbicie w lustrze, kontemplując krzykliwe barwy siniaków i opuchlizny. Nagle ogarnęła go panika, kiedy pomyślał, jaki dziś dzień, obawiając się, że może niedziela i cała wspólnota czeka na niego w kościele. Nie, to nie niedziela. To sobota. W kaplicy może go oczekiwać tylko mały Felipe Reyes. Zaśmiał się na myśl o reakcji chłopca na jego widok, ale natychmiast zeszywniał z bólu i zdał sobie sprawę, że podniesienie hostii będzie nie lada wyczynem. Przypomniał sobie słowa Anne: „Możesz złożyć ofiarę ze swojego cierpienia jutro”. Pozwoliła sobie na sarkazm, ale rozumiała.

Ubrał się powoli. W kuchni Anne i George zostawili mu świeży chleb i pomarańcze. Wciąż miał lekkie mdłości, więc poprzestał na filiżance czarnej kawy, która uśmierzyła ból głowy.

Dochodziła druga po południu, kiedy był gotów do wyjścia. Zaklął w duchu, wiedząc, że będzie musiał pokonać bardzo uczęszczaną trasę, i ruszył do swojego domku przy plaży.

Każdemu, kto go zatrzymywał, udzielał innego wyjaśnienia, coraz bardziej zabawnego i wymyślnego. Ludzie, z którymi nigdy dotąd nie rozmawiał, zaśmiewali się z jego odpowiedzi i nieśmiało proponowali pomoc. Zewsząd zbiegały się dzieci, gotowe spełnić każde jego polecenie, przynosząc drobne ofiary lub jedzenie od swoich matek. Felipe okazywał jawną zazdrość.

Był w stanie unieść tylko lewą rękę, kiedy konsekrował chleb i wino, ale na niedzielną mszę przyszło najwięcej ludzi od czasu, gdy przybył do Puerto Rico. Była nawet Anne.

Tej wiosny konspekt projektu, skierowanego przez Jimmy'ego Quinna do dr Yanoguchiego, został rozesłany kanałami ISAS, przedyskutowany i zaakceptowany. Agent Sofii Mendes zgodził się na konkurencyjny charakter umowy, a sama Mendes ustaliła bardzo jasne kryteria oceny sukcesu lub porażki. Oczywiście negocjacje trwały przez pewien czas, ale w końcu ISAS zaakceptował warunki. Jeśli wygra Mendes, jej agent miał otrzymać trzykrotną wartość normalnego honorarium, a więc dość, by zlikwidować jej zadłużenie. Jeśli przegra, ISAS będzie mógł zaakceptować program z jego znanymi już ograniczeniami, ale nic nie zapłaci. Agent będzie wówczas mógł legalnie przedłużyć jej kontrakt na okres trzykrotnie dłuższy od czasu, jaki zajmie jej zrealizowanie projektu ISAS. Jimmy był w siódmym niebie.

Sofia Mendes, która zawiesiła swój singapurski projekt w końcu kwietnia, żeby się przygotować do projektu ISAS, nie była zachwycona. Zachowała chłodną neutralność, koncentrując się na tym, co jest, i starając się nie myśleć o tym, co może być. Swoją pozycję zawdzięczała umiejętności postrzegania rzeczywistości bez udziału emocji. Był to talent, który służył jej rodowi przez całe stulecia, a ona podparła go długoletnim doświadczeniem.

Przed wypędzeniem Żydów z Hiszpanii w 1492 roku, Mendesowie byli bankierami, finansistami rodziny królewskiej. Wgnanych z Półwyspu Iberyjskiego chętnie przygarnęło Imperium Otomańskie, razem z innymi żydowskimi kupcami, astronomami, lekarzami, poetami, archiwistami, tłumaczami, dyplomatami, filozofami i bankierami, których katolicki majestat Ferdynanda i Izabeli nie tolerował w Hiszpanii. Sefardyjczycy szybko stali się najbardziej produktywną i przedsiębiorczą grupą w imperium tureckim, służąc kolejnym sułtanom z równą gorliwością, z jaką uprzednio służyli dworowi hiszpańskiemu. Kultura, która dała światu Talmud i wybitnego filozofa i lekarza Majmonidesa, ponownie cieszyła się powszechnym szacunkiem i wpływami.

Ale przemija postać tego świata. Imperium Otomańskie skurczyło się do Turcji. W dwudziestym wieku Mendesowie byli spokojnymi, utalentowanymi ludźmi, którzy nie chwalili się swoją świetlaną przeszłością przed obcymi, ale nie pozwalali zapomnieć o niej swoim dzieciom. Nie marnowali czasu na jałowe rozpamiętywanie przeszłości; robili, co mogli, w czasach, w których się znaleźli, a robili to lepiej od innych. Pod tym względem Sofia była ich dziedziczką. Przeminięły bogactwa i wpływy, nie przeminęła duma, trzeźwość myśli, inteligencja.

Kiedy Istambuł zaczął rozsypywać się w gruzy w wyniku szaleństwa, jakim była druga wojna kurdyjska, Sofia Mendes miała trzynaście lat. Jej matka, z zawodu muzyk, umarła, zanim Sofia skończyła czternaście lat: przypadkowy pocisk z moździerza, wystrzelony któregoś popołudnia. Wkrótce potem zginął jej ojciec, ekonomista. Prawdopodobnie jego też spotkała gdzieś śmierć; w każdym razie pewnego dnia wyszedł z domu, żeby zdobyć coś do zjedzenia, i nigdy już nie powrócił. To był koniec dzieciństwa Sofii, które dotąd spędzała otoczona miłością rodziców, ucząc się, czytając książki i rozkoszując muzyką. Z miasta nie można było się wydostać, bo otoczyły je oddziały ONZ, izolując od reszty świata. Została sama, bez środków do życia, w świecie bezsensownej rzezi. Zgodnie z osiemnastowieczną sefardyjską tradycją, od czasu ukończenia dwunastu lat i sześciu miesięcy była *bogeret l'reshut nafsha* – osobą dorosłą, posiadającą pełnię władzy nad własną duszą. Tora uczyła: wybierz życie.

Tak więc Sofia, zamiast umrzeć, zachowując godność, zaczęła sprzedawać to, co miała do sprzedania – i przeżyła.

Jej klientami byli głównie młodzi chłopcy ogarnięci szałem mordowania i dorośli mężczyźni, którzy kiedyś mogli być przykładnymi mężami i ojcami, ale teraz należeli do jednej z setki grup terrorystycznych wspierających ziejące nienawiścią frakcje – wszystko, co pozostało z tej wspaniałej, kosmopolitycznej społeczności, która niegdyś rozkwitała tam w całej różnorodności. Jak w San Francisco, Sarajewie, Bejrucie. Nauczyła się, by najpierw żądać pieniędzy lub jedzenia, nauczyła się też, jak zająć myśli czym innym, kiedy wykorzystywano jej ciało. Nauczyła się, że śmiertelny lęk łatwo przemienia się w morderczy gniew, że mężczyźni, którzy płakali w jej ramionach, mogli ją przed odejściem zamordować, nauczyła się posługiwać nożem. Nauczyła się wszystkiego, czego można się nauczyć podczas wojny. Liczy się tylko przeżycie.

Francuz wyłowił ją z szeregu dziewcząt stojących na rogu, ponieważ nawet po spędzeniu półtora roku na ulicy wciąż była piękna. Jeana-Claude'a Jauberta zawsze pociągały kontrasty: w tym przypadku blada karnacja i czarne włosy, śmiały zarys brwi, arystokratyczne rysy i brudny mundurek szkolny, młodość i doświadczenie. Miał pieniądze, a w Istambule wciąż można było coś dostać, jeśli się miało czym zapłacić. Uparł się, aby ją ubrać, zaprowadził do hotelowego pokoju z bieżącą wodą, gdzie mogła się wykąpać, zamówił posiłek, którego nie przełknęła pomimo oczywistego głodu. Przyjęła to wszystko, a także to, co nastąpiło później, bez wdzięczności i bez fałszywego wstydu. Odnalazł ją po raz drugi, a później, przy kolacji, rozmawiali o wojnie, o świecie, o tym, czym się Jaubert zajmuje.

– Jestem brokerem przyszłości – oświadczył, odchylając się w krześle i pozwalając, by brzuch ułożył mu się nad paskiem. – Reprezentuję grupę inwestorów, sponsorujących dobrze zapowiadających się młodych ludzi, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji.

Majątek zrobił w obu Amerykach, gdzie ze slumsów i sierocińców wyławiał inteligentne, uzdolnione dzieci, którym niewydolni lub umierający rodzice nie byli w stanie zapewnić ani właściwego środowiska, ani wykształcenia, by rozwinąć ich potencjalne zdolności.

– Brazylijczycy, rzecz jasna, pierwsi sprywatyzowali swoje sierocińce – powiedział jej.

W obliczu setek tysięcy dzieci, porzuconych lub osieroconych na skutek HIV, gruźlicy i cholery, rząd brazylijski ostatecznie przestał udawać, że jest w stanie coś z nimi zrobić. Klienci Jauberta mieli gotowe rozwiązanie.

– Każdy na tym zyskuje – wyjaśniał. – Zmniejszają się obciążenia podatkowe, dzieci wychowują się w dobrych warunkach, odpowiednio żywione i kształcone. Inwestorzy otrzymują procent od zarobków dzieci.

Rozwinął się cały podziemny rynek, prawdziwa giełda, na której można było zainwestować w ośmioletnie dziecko wykazujące wyjątkowe uzdolnienia matematyczne, gdzie można było zamienić prawo do zarobków zdolnego studenta medycyny na prawo do zarobków utalentowanego młodego bioinżyniera. Liberalowie rozdzielali szaty, ale ludzie pokroju Jauberta wiedzieli, że dzięki takiej praktyce dzieci uzyskują wartość pieniężną, a wobec tego ich życie w slumsach staje się bezpieczniejsze.

– A jednak – ciągnął Jaubert – wydaje mi się, że najbardziej obiecujący i utalentowani młodzi ludzie źle znoszą takie kontrakty na całe życie. Szybko się wypalają, przestają pracować. Sama rozumiesz, jakie to marnotrawstwo.

Jaubert zaproponował jej wygodniejszy rodzaj kontraktu, na jakies dwadzieścia lat, włączając w to lata szkolenia opłaconego przez inwestorów.

– Agenci tacy jak ja zawsze znajdą dobrze opłacaną pracę dla kogoś, kto ma talent. A kiedy kontrakt wygaśnie, *mademoiselle*, będziesz miała reputację, doświadczenie i kontakty, a więc solidne podstawy do ułożenia sobie życia.

Trzeba będzie oczywiście przejść przez różne testy i badania, żeby wykluczyć nieprzyjemne niespodzianki.

– Nie możemy sobie pozwolić na żadne nieprzewidziane kłopoty. Zostaniesz przebadana i, jeśli się to okaże konieczne, wyleczona. Koszty zostaną dodane do określonego w umowie zadłużenia.

Sofia wynegocjowała klauzulę, na mocy której mogła spłacić Jauberta przed upływem dwudziestu lat, jeśli udałoby się jej odpracować koszty inwestycji plus cztery procent rocznie ponad zakładaną inflację. Jaubert był zachwycony.

– *Ma cherie*, masz prawdziwy talent do interesów. To przyjemność pracować z osobą równie praktyczną, jak piękną!

Ta klauzula dostarczała jej motywu, by zarabiać jak najwięcej i jak najszybciej, co było korzystne dla obu stron.

Od tego czasu zaczął ją traktować inaczej. Od kiedy podali sobie ręce, by przypieczętować kontrakt, nigdy już jej nie tknął: miał własny kodeks etyczny. Nauczyciele i trenerzy stwierdzili, że dziewczyna jest prawdziwą maszyną do nauki. Była poliglotką od dzieciństwa, mówiła hiszpańskim dialektem sefardyjskim, klasycznym językiem hebrajskim, literackim francuskim, handlowym angielskim, a także tureckim. Inwestorzy zażyczyli sobie, by nauczyła się jeszcze japońskiego i polskiego, żeby poszerzyć jej zakres użyteczności. Miała naturalny talent do analizy AI, więc inwestorzy nie tracili czasu, by ją w tym kierunku wyszkolić. Zgodnie z sefardyjską tradycją, jej programy cechowała chłodna, logiczna przejrzystość; przejścia od jednego tematu do drugiego były zawsze proste i wykwentne.

Jaubertowi gratulowano, jego pozycja wśród inwestorów jeszcze bardziej się umocniła. Sam czuł, że kiedy spotkał Sofię Mendes, uratował coś niezwykle drogiego. Potrafił dostrzec opanowanie i inteligencję pod brudem i głodem, a teraz czerpał z tego korzyści.

Teraz Sofia Mendes zrozumiała, bez cienia emocji, że zbliża się koniec jej niewoli. Musi tylko nauczyć się pracy jakiegoś astronoma, a następnie zrobić to, co on, tylko szybciej, taniej i dokładniej. Nie pozwoliła sobie ani na lęk, ani na nadzieję. To mogło ją tylko osłabić.

Zaraz po jej przybyciu do Arcibo, dr Yanoguchi przedstawił ją George'owi Edwardsowi.

– Pan Edwards jest wolontariuszem, najlepszym, jakiego mamy.

Potrząsnęła dłonią chudego, srebrnowłosego mężczyzny w wieku jej ojca, gdyby jeszcze żył.

– Odwiedza nas sporo turystów i grup szkolnych. Pan Edwards zrobi z panią standardowy obchód, ale proszę się nie krępować i zadawać mu pytania. On wie wszystko! A kiedy skończycie, może pani zacząć pracę z Jimmym Quinnem.

Zaskoczyły ją rozmiary misy radioteleskopu – trzysta metrów średnicy, olbrzymia aluminiowa czasza osadzona w naturalnym zagłębieniu góry. Ponad czaszą setki ton zdalnie sterowanych anten zwisały z kabli połączonych z wieżami podtrzymującymi, wrośniętymi w okoliczne wzgórze.

– To działa podobnie jak dawna telewizyjna antena satelitarna – powiedział George i zastanowił się, czy nie jest zbyt młoda, by pamiętać telewizję. Trudno powiedzieć: mogła mieć dwadzieścia cztery, ale równie dobrze trzydzieści cztery lata. – Radioteleskop wychwytuje każdą falę radiową, która uderza w misę, i ściąga ją do swojego centralnego punktu. Sygnały radiowe są przekazywane do systemu wzmacniaczy i konwerterów częstotliwości zawieszonych nad misą. – Wskazywał na odpowiednie elementy, kiedy obchodzili krawędź czaszy. – Stamtąd sygnały wędrują do budynku, w którym mieszczą się urządzenia przetwarzania danych. – Wiatr zagłuszał słowa i George musiał krzyżeć. – Astronomowie wykorzystują urządzenie, które jest czymś w rodzaju wymyślnego spektrometru, aby przeanalizować polaryzację, intensywność i czas trwania fal radiowych. Jimmy Quinn może pani wyjaśnić, jak to działa, ale może też pani zapytać o to mnie.

Zanim weszli do budynku, odwrócił się do niej.

– Czy kiedykolwiek robiła pani coś podobnego?

– Nie – odpowiedziała, drżąc z zimna.

Powinna być przygotowana na to, że tu, w górach, będzie zimno. I że poczuje się przytłoczona już na samym początku. Zawsze zaczynała od jakiegoś pęknięcia, od jakiejś skazy. Zawsze trzeba się liczyć z tym, że za którymś razem nie zrozumie czegoś, że coś po prostu przekroczy jej możliwości. Wyprostowała się. Jestem Sofia Mendes, powiedziała sobie w duchu. Nic nie przekracza moich możliwości.

– Dam sobie radę – powiedziała na głos.

George spojrzął na nią z ukosa, a potem minął ją i otworzył drzwi do głównego budynku.

– Jestem pewny. Wie pani co, jeśli nie ma pani planów na weekend, to może by pani zeszła do San Juan. Zjedlibyśmy razem kolację...

Weszli do środka.

Kiedy po raz pierwszy spotkała się z Jimmym Quinnem, pomyślała, że to już chyba taki dzień, w którym wszystko będzie ją zaskakiwało swoimi rozmiarami. Przyzwyczała się do tego, że w towarzystwie była zwykle najniższa, ale jeszcze nigdy nie stanęła obok kogoś tak wysokiego jak Jimmy Quinn. Musiała podnieść rękę, by się z nim przywitać, i natychmiast poczuła się, jakby miała dziesięć lat i poznawała któregoś ze znajomych ojca.

Poprowadził ją do swojego stanowiska pracy, nurkując pod framugami drzwi, rurami i przewodami, kiedy szli korytarzami, do których przylegały boksy skonstruowane ze staroświeckich ruchomych paneli. Po drodze wskazał jej maszynę do kawy i WC, nie zwracając uwagi na to, że Sofia mogła ich nie dostrzec ponad półściankami, które jemu sięgały zaledwie do piersi. Kiedy dotarli do jego boksu, zauważyła, że usunął środkową szufladę ze swojego biurka. Pewnie po to, by za każdym razem nie walić w nią kolanami, pomyślała.

Jeśli chodzi o Jimmy'ego, to zanim usiedli, był w niej prawie zakochany. Była najpiękniejszą dziewczyną jaką poznał w życiu. Zachwyciła go też tym, że ani razu nie wspomniała o jego wroście. Przysiągł sobie w duchu, że jeśli w ciągu jeszcze jednej minuty nie zada mu jakiegoś głupiego pytania o baseball albo o pogodę, ożeni się z nią, ale zanim zdołał się oświadczyć, Sofia otworzyła laptop i poprosiła go, by wprowadził ją w swoją pracę.

Emilio ostrzegł go, że z nią nie można gawędzić, więc zaczął od zaznajomienia jej z procesem gromadzenia danych napływających z jasnego regionu nieba, zwanego 12-75.

– W pobliżu centralnego źródła energii znajduje się stała konfiguracja, wyrzucająca materię dwoma niezwykle potężnymi strumieniami z szybkością mniej więcej połowy szybkości światła. – Szkirował na ekranie, kiedy mówił, używając otwartego monitora, tak aby mogła robić notatki. – Elizabeth Kingery, zajmująca się astronomią świetlną, sądzi, że wynalazła nową metodę wykrywania, czy wokół dwu czarnych dziur, krążących wokół siebie po orbitach, są dwie galaktyki... jak tu, widzi pani? Kingery chce porównać te dane z kwazarami, które są uważane za bliźniacze galaktyki, jak 12-75. Czy to jasne?

Mendes spojrzała na niego znad notatek i przygwoździła go wzrokiem. Jest bardzo inteligentna, powiedział mu Emilio. Bardzo szybka. Nie można jej lekceważyć. Jimmy odchrząknął.

– No więc chodzi o to, żeby sporządzić mapę tego regionu nieba, wykorzystując zarówno astronomię radiową, jak i świetlną, w zsynchronizowanej obserwacji. Astronom świetlny, który zadaje pytanie, podaje nam przynajmniej dwa lub trzy momenty czasowe, w których możemy dokonywać obserwacji. Musimy uwzględnić ogólne warunki kosmiczne i pogodę na Ziemi.

– Nie lepiej wykorzystać obserwatoria orbitalne?

– Liz nie ma na to wystarczających środków albo siły przebicia. Ale z Ziemi też można dużo zrobić. No więc znajdujesz wolne miejsce w harmonogramie pracy radioteleskopu, uzyskujesz zgodę i wtedy zaczyna się loteria: będzie padać czy nie będzie. Czasami, kiedy jest bardzo wąskie okno, wypruwamy z siebie flaki, żeby odwalić robotę nawet przy złych warunkach. Czy opowiedzieć pani teraz, na czym to polega?

– Później, jeśli łaska. Teraz tylko ogólne zasady.

– Jasne. No więc lecimy dalej. Kiedy już zdecyduję się na start, muszę sprawdzić pułap dźwięku. – Spojrzała na niego. – Muszę sprawdzić, czy docelowy region emituje sygnał dostatecznie silny, aby go wyłowić z tła. Wszystkie urządzenia elektryczne generują szum, bo elektrony bombardują metal samego urządzenia. Ochładzamy odbiorniki w płynnym helu, żeby były naprawdę zimne, bo niska temperatura spowalnia ruch elektronów, a to redukuje szum. – Znowu na niego spojrzała. – Racja. To już pani wie. W porządku. Jeśli sygnał jest naprawdę słaby, obchodzimy teren i wyłączamy wszystko, co się da. Komputery, światła, klimatyzację. Wtedy wybieram sygnał kalibracyjny... jakieś znane źródło radiowe. Namierzam je, żeby dostroić system.

– W jaki sposób wybiera pan cel kalibracyjny? Tylko krótko.

– Mam olbrzymi katalog pod ręką i wybieram z niego taki, który jest najbliższy sygnałowi docelowemu. Zwykle po prostu oglądam sobie sygnał, używając wirtualnego oscyloskopu. Wiemy, jak powinien wyglądać sygnał ze źródła kalibracyjnego.

– A jeśli sygnał różni się od spodziewanego?

Ona myśli tylko o pracy, powiedział mu Emilio. No cóż, będzie musiał...

– Panie Quinn. Jeśli sygnał różni się od spodziewanego? – powtórzyła, unosząc czarne brwi i celując w niego stylusem.

– Wtedy zaczyna się prawdziwa sztuka. Każda z tych czasz jest ręcznie robiona. Wszystkie mają jakieś swoje osobliwości, jakieś specyficzne problemy z okablowaniem, z uziemieniem. Są podatne na pogodę, porę dnia, szumy atmosferyczne. Taką czaszę trzeba po prostu dobrze poznać. A kiedy wszystko się wyeliminuje, trzeba polegać na intuicji, żeby wiedzieć, co może powodować zakłócenia, interferencje, przypadkowe sygnały. Raz myśleliśmy, że złapaliśmy sygnał ET... znaczy pozaziemski. Łapaliśmy go co parę miesięcy, ale nikt poza nami nie mógł tego potwierdzić. No i okazało się, że to zapłon starego autobusu szkolnego, którym co jakiś czas przyjeżdżały dzieciaki ze szkoły, żeby sobie pooglądać radioteleskop.

To spojrzenie.

– Proszę pani, ja nie opowiadam śmiesznych historyjek, żeby panią zabawić. Musi pani wiedzieć o takich drobiazgach, bo inaczej pani program może wykryć inteligencję na Marsie. A przecież wszyscy wiedzą, że tam są tylko Australijczycy, prawda?

Uśmiechnęła się, chyba wbrew sobie.

– Aha – powiedział Jimmy przebiegłym tonem – widzę, że pracowała pani z Australijczykami.

Przez chwilę próbowała powrócić do poważnej miny, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

– Nie ma czegoś takiego, jak za ciepłe piwo – powiedziała z dobrym australijskim akcentem.

Jimmy też się roześmiał, ale nie kuśił więcej losu.

– Jak idzie? – zapytał ją George Edwards w miesiąc po rozpoczęciu sesji. Co jakiś czas spotykali się na lunchu i Sofia gromadziła na tę okazję pytania, które chciała mu zadać.

– Powoli. Pan Quinn jest bardzo chętny do współpracy – przyznała, patrząc na George’a sponad ciężkiej filiżanki kawy, którą trzymała w drobnych rękach – ale łatwo się rozprasza.

– To pani go rozprasza – palnął George, żeby zobaczyć, jak zareaguje, dobrze wiedząc, że Jimmy kompletnie zwariował na punkcie tej kobiety, którą interesowało tylko jedno: bezlitosne ograbienie jego mózgu, komórka po komórce. Sofia po prostu skinęła głową. Żadnego rumieńca, pomyślał George, żadnego współczucia. Nie jest romantyczką, to pewne.

– To utrudnia pracę. O wiele łatwiej poradzić sobie z wrogością – dodała, rzucając spojrzenie w głąb salki, na Peggy Soong.

George skrzywił się: Peggy mogła nieźle dokuczyć.

– Z drugiej strony wolę zadurzenie się od unізoności. Doceniam to, że pan traktuje mnie jak zawodowca, panie Edwards. Przyjemnie jest pracować, kiedy nie jest się traktowanym protekcyjnie. Albo ironicznie.

– No cóż, mam nadzieję, że nie poczyta pani tego ani za protekcyjność, ani za ironię – odrzekł sucho George – ale zaproszenie na obiad jest wciąż aktualne. Co pani na to?

Już postanowiła przyjąć zaproszenie, jeśli tylko Edwards je powtórzy. Ludzie często byli nastawieni wrogo do jej pracy, a więc i do niej; od czasów dzieciństwa nikt jej nie zaprosił do domu.

– Będę bardzo szczęśliwa, mogąc z tego skorzystać, panie Edwards.

– Świetnie. Anne się ucieszy. W niedzielę po południu? Około drugiej?

– Doskonale. Dziękuję. Jeśli pan pozwoli, mam kilka pytań na temat wpływu pogody na odbieranie sygnałów radiowych.

Odstawiła talerz i wyciągnęła notes. Zabrali się do pracy.

W niedzielę pojechała samochodem do San Juan, tak planując wyjazd, by uwzględnić korki na autostradzie. Z trudem znalazła jakieś miejsce do zaparkowania i poszukała straganu z kwiatami, żeby kupić wiązanekę dla pani Edwards. Polubiła Puerto Rico i była mile zaskoczona, stwierdzając, że hiszpański i ladino⁴ są sobie tak bliskie. Oczywiście były różnice w wymowie i w słownictwie, ale podstawowe słowa i gramatyka były prawie identyczne. Zapytała kwiaciarkę o drogę do Edwardsów i wspięła się schodkami do różowego jak muszla domku, który jej wskazano. Drzwi wiodące na otoczony żelazną balustradą balkon, wychodzący na ulicę, były otwarte, podobnie jak wszystkie okna, i usłyszała wyraźnie głos kobiety:

– George? Naprawiłeś tę pompę w klinice?

– Nie, zupełnie o tym zapomniałem. – Rozpoznała głos Edwardsa. – Cholera. Załatwię to. Jest na liście.

Wybuch gromkiego śmiechu.

– Podobnie jak światowy pokój. Ta pompa będzie mi jutro potrzebna.

Sofia zapukała. Otworzyła jej Anne Edwards, z siwymi włosami upiętymi niezbyt starannie w kok, z rękami białymi po łokcie od mąki.

– No nie! – zawołała. – Nie tylko olśniewająca, ale do tego cudownie zbudowana. Mam nadzieję, że masz okropną osobowość, moja kochana. Bo jeśli nie, to stracę wiarę w sprawiedliwość boską.

4 język Żydów hiszpańskich

Sofia zupełnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale na szczęście rozległ się z kuchni głos George'a:

– Nie pozwól jej się nabierać. Utraciła wiarę w sprawiedliwość boską, kiedy Cleveland przegrało w eliminacjach do mistrzostw świata w zeszłym roku. Modli się tylko w dziewiątej rundzie meczu krykietowego.

– I w noc przed wyborami prezydenta, choć to i tak nic nie daje. Bóg jest dobrym republikaninem z Teksasu – powiedziała Anne, prowadząc Sofię do salonu. – Chodź do kuchni i dotrzyмай nam towarzystwa. Obiad już prawie gotowy. Te kwiaty są naprawdę cudowne, tak jak ty.

Przeszły przez salonik – pełen książek, akwareli i sztychów, ze zbieraniną wygodnych mebli i całkiem niezłym tureckim dywanem. Anne zauważyła, że Sofia ogląda to wszystko z zaciekawieniem, i zamachała białymi od mąki rękami.

– Jesteśmy tu dopiero od roku. Wciąż sobie myślę, że trzeba coś zrobić z tym domem, ale wciąż brakuje mi czasu. Och, może kiedyś...

– Podoba mi się tak, jak jest – powiedziała szczerze Sofia. – To mi wygląda na dom, w którym można zasnąć na kanapie.

– No, czy ona nie jest wspaniała! – zawołała uradowana Anne. Emilio często zasypiał na sofie. – Och, Sofio, to brzmi o wiele przyjemniej, niż jakby się powiedziało, że mamy tu okropny bałagan!

W kuchni George usadowił Sofię na czymś, co Anne nazwała „stołkiem Kibitzera”, i wręczył jej kieliszek wina, a sam zajął się krojeniem jarzyn na sałatkę, podczas gdy Anne wróciła do tego czegoś, co wymagało wielkiej ilości mąki.

– George robi wszystko, co wymaga noża – wyjaśniła Anne. – Ja nie dotykam noża, bo boję się zaciąć. Nie mogę sobie pozwolić na zakażenie. Kiedy jestem w pogotowiu albo klinice, ubieram się jak astronauta, ale lepiej trzymać łapy z dala od wszystkiego, co ostre. Czy te ciasteczka coś ci przypominają?

– Tak jakby. Moja mama takie robiła – odpowiedziała Sofia, lekko poruszona wspomnieniem ciastek z małymi bezami na wierzchu.

– Ach, udało mi się zgadnąć – mruknęła Anne.

Potrawy nie okazały się trudne i Anne z przyjemnością je skomponowała i przyrządziła. Kuchnia sefardyjska zbliżona była do śródziemnomorskiej – lekka, dość wymyślna, oparta na jarzynach i dużej ilości przypraw. Znalazła przepis na *pandericas* – „chleb bogaczki” – podawany przez Sefardyjczyków na Rosz Hoszanna i inne święta. Na deser brzoskwiniowa melba z ciasteczkami bezowymi.

– Musisz mi powiedzieć, czy to dobry przepis. Znalazłam go w książce.

Po obiedzie przeszli do salonu na kawę po turecku i zaczęli rozmawiać o muzyce. To George zauważył, że Sofia spogląda na stare pianino przy ścianie.

– Nieczęsto jest używane – powiedział. – Pamiątka po ostatnim właścicielu. Zamierzaliśmy je komuś oddać, ale odkryliśmy, że Jimmy Quinn potrafi grać, więc nawet je nastroiliśmy w zeszłym tygodniu.

– Sofia, a ty grasz? – zapytała Anne. Było to zwykłe pytanie, więc zaskoczyło ich wahanie Sofii.

– Moja matka była nauczycielką muzyki – odpowiedziała po chwili – więc oczywiście brałam lekcje, kiedy byłam mała. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni siedziałam przy pianinie.

Ale mogła sobie przypomnieć. Porę dnia i sposób, w jaki słońce wpadało przez okno do pokoju muzycznego, i matkę potakującą, komentującą lub siadającą do pianina, by jej pokazać właściwą frazę muzyczną, i kota, który wskoczył na klawiaturę, ćwiczenie gam punktowane przez serie z broni maszynowej i grzmot pocisków moździerzowych wybuchających gdzieś w pobliżu. Wszystko mogła sobie przypomnieć, gdyby zechciała.

– Kompletnie wyszłam z wprawy.

– Ale spróbuj – poprosił George.

– Każdy, kto potrafi na czymś zagrać, jest dla mnie mistrzem – powiedziała Anne, zadowolona, że znalazło się coś, co może zastąpić wymyślanie tematów do konwersacji. – Ja potrafię tylko nastawić radio. No, nie daj się prosić, usiądź. – Sofia była wdzięcznym, lecz raczej wyciszonym gościem i obiad minął dla Anne o wiele za spokojnie. – Sprawdź, czy stroiciel zrobił to jak należy, czy może przyczyniliśmy się do pogłębienia powszechnej portorykańskiej korupcji.

– Nie, naprawdę, nie potrafię sobie przypomnieć ani jednego utworu.

Edwardsowie jednak nalegali, uprzejmie, lecz stanowczo, i w końcu uległa. Palce miała jak z drewna, ale utwory same do niej powróciły. Przez parę minut zatraciła się w graniu, oswajając się na nowo z instrumentem. Potem wstała i zamierzała się pożegnać, kiedy George przypomniał jej o brzoskwiniowej melbie, postanowiła więc zostać trochę dłużej.

Podczas deseru Anne zachęciła ją, by przychodziła, kiedy tylko zechce pograć na pianinie, ale znając już jej stosunek do partnera w programie, dodała:

– Muszę cię jednak ostrzec. Jimmy Quinn wpada tu co jakiś czas na obiad, więc możesz się na niego natknąć po godzinach. – A potem dorzuciła niefrasobliwie, jakby nie myślała o tym przez całe popołudnie:

– Mamy też innego częstego gościa. Pamiętasz Emilia Sandoza?

– Tego lingwistę. Tak, oczywiście.

– Ach, to chyba miała być twoja wersja okrzyku: „Jaki ten świat jest mały!” To właśnie on nas tutaj sprowadził – powiedział George i wyjaśnił jej pokrótce okoliczności, jakie ich przywiodły do Puerto Rico.

– A więc jesteście misjonarzami – zauważyła Sofia, starając się nie okazać przerażenia, które ją ogarnęło.

– Och, nie, na Boga! Jesteśmy po prostu starymi liberałami, którzy nie potrafią usiedzieć na miejscu i przejmują się losem pokrzywdzonych

– odpowiedziała Anne. – Ja wychowałam się w katolickim domu, ale odeszłam od Kościoła wiele lat temu.

– Anne bywa czasami nieco katolicka, zwłaszcza jak wypije parę piw, ale ja jestem zatwardziałym ateistą – powiedział George.

– Chociaż... nie przeczę, jezuici odwalają kawał dobrej roboty...

Przez chwilę rozmawiali o klinice i misji jezuickiej. Potem jednak powrócił temat pracy przy radioteleskopie i Anne ucichła, co rzadko jej się zdarzało, a George zaczął wyjaśniać Sofii różne techniczne problemy. Dziewczyna słuchała z zaciekawieniem; sposób, w jaki cała rozkwitała i w jaki uwidaczniała się jej inteligencja, kiedy rozmawiała o swojej pracy, tworzył ciekawy kontrast z jej skrytością czy nawet pewną niezręcznością w stosunkach towarzyskich.

Tak, pomyślała Anne, patrząc na nich, to jest to. Teraz widzę ten urok.

Później, kiedy już leżeli w łóżku, Anne przytuliła się do George'a, który miał pewne trudności z oddychaniem. Cholera, pomyślał, muszę znowu zacząć biegać.

– Och, słodka tajemnico życia, w końcu cię odnalazłam – zaśpiewała Anne, a George roześmiał się. – Cudowna dziewczyna – zauważyła, nagle powracając myślą do Sofii, która okazała się jedną z niewielu kobiet, jakie poznała w swoim życiu, zasługujących na określenie: cudowna. Drobną i doskonałą. I taka zamknięta w sobie. Tak panuje nad sobą. Spodziewała się więcej ciepła po dziewczynie, pod której urokiem znalazł się i Emilio, i Jimmy. I chyba George, pomyślała, jeśli mam oko. Miała oko.

– Bardzo bystra. Teraz widzę, dlaczego udało jej się onieśmielić Emilia. I Jimmy'ego – dodała po namyśle.

– Hmmm – mruknął George, który już prawie zasypiał.

– Gdybym się postarała, mogłabym być żydowską mamą. Cały kłopot z Jezusem polegał na tym, że nigdy nie znalazł sobie jakiejś miłej żydowskiej dziewczyny, z którą by się ożenił i założył rodzinę. Biedak. To chyba bluźnierstwo, co?

George uniósł się na łokciu i spojrzął na nią w ciemności.

– Daj sobie z tym spokój, Anne.

– Dobra, dobra. Tylko żartowałam. Śpij.

Ale przez długi czas żadne z nich nie zasnęło, każde pochłonięte swoimi myślami w ciemności.

9

NEAPOL

kwiecień 2060

John Candotti już nie spał i właśnie się ubierał, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

– Ojcie Candotti? – To był głos brata Edwarda, spokojny, ale nalegający. – Czy widział ojciec Emilia Sandoza?

John otworzył drzwi.

– Nie, od wczorajszego wieczoru go nie widziałem. A co się stało?

Behr, wymięty i pulchny, miał niemal groźną minę.

– Właśnie wracam z jego pokoju. Łóżko jest nie ruszone, a jego nigdzie nie ma.

John minął go w drzwiach, naciągając sweter, i pobiegł do pokoju Sandoza, nie mogąc uwierzyć w jego zniknięcie.

– Już tam posprzątałem! – zawołał za nim brat Edward. – Zwrócił wszystko, co wczoraj zjadł. Nie było tego dużo. Już sprawdzałem w toaletach. Nie ma go tam, naprawdę!

John wetknął jednak głowę do pokoju i poczuł zapach wymiocin i mydła.

– Cholera – zaklął półgłosem. – Cholera, jasna cholera. Powinienem był to przewidzieć! Powinienem być w pobliżu. Przecież bym go usłyszał.

– To ja powinienem tam być, ojczcie. Sam nie wiem, dlaczego się nie uparłem, by mnie umieszczono w sąsiednim pokoju. Ale w nocy nigdy mnie nie potrzebował. – Brat Edward wyraźnie starał się usprawiedliwić nie tylko przed Candottim, ale i przed samym sobą. – Zajrzałbym do niego w nocy, ale nie chciałem mu przeszkadzać, gdyby... Mówił mi, że chce z ojcem porozmawiać. Pomyślałem, że może...

– Ja też tak myślałem. No dobra, posłuchaj. Nie mógł odejść daleko. Sprawdzałeś w refektarzu?

Starając się nie wpadać w panikę, przeszukali cały dom; John wciąż nie tracił nadziei, że gdzieś go znajdą. Zaczął już się zastanawiać, czy nie zadzwonić do ojca generała albo na policję, kiedy przypomniał sobie, że Sandoz pochodzi z wyspy i może wybrał się nad morze.

– Sprawdźmy na zewnątrz – zaproponował i opuścili budynek zachodnim wyjściem.

Słońce dopiero zaczynało się podnosić znad horyzontu. Kamienny ganek był wciąż w cieniu, podobnie jak linia brzegu w dole. Karłowate drzewa, powykręcane przez śródziemnomorskie wiatry, okrywała złotozielona mgiełka. Na polach zaczęła się już orka, ale wiosna była szara i zimna. To Wezuwiusz, mówili wszyscy. Lęk i chłód połączyły się w jedno i John zaczął dygotać, wychylając się za kamienny murek i omiatając spojrzeniem wybrzeże.

Nagle poczuł ulgę: zobaczył Sandoza.

– Bracie Edwardzie! – zawołał, usiłując przekrzyczeć wiatr. – Bracie Edwardzie!

Brat Edward, kuląc się z zimna, biegł do garażu, żeby policzyć rowery. Usłyszał wołanie Candottiego, zatrzymał się i odwrócił.

– Widzę go! – wrzeszczał John, wskazując w dół, ku wybrzeżu. – Jest na plaży.

– Mam zejść i przyprowadzić go tutaj? – Brat Edward już wracał.

– Nie! Ja tam pójdę. Znajdź jakiś płaszcz, dobra? Musiał porządnie zmarznąć.

Po kilku minutach brat Edward nadbiegł z trzema płaszczami. Pomógł Johnowi włożyć jeden z nich, wręczył mu drugi dla Sandoza i sam ubrał się w trzeci. Candotti już zbiegał zygzakowatymi schodkami prowadzącymi ku morzu. Zanim się oddalił, brat Edward zatrzymał go okrzykiem.

– Ojczy! Niech ojciec będzie ostrożny!

Co też mu przyszło do głowy, pomyślał John, zastanawiając się przez chwilę, czy bratu Edwardowi chodziło o to, by się nie pośliznął na mokrych kamiennych schodkach. Potem przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Sandozem w Rzymie.

– Będę ostrożny. Wszystko będzie dobrze. – Brat Edward nie wyglądał na uspokojonego. – Naprawdę. Jeżeli sam sobie nic nie zrobił, to myślę, że nie skrzywdzi kogoś innego.

Ale choć jego głos zabrzmiał tak oczywiście, nie czuł tej pewności.

Szedł pod wiatr i Sandoz mógł nie dosłyszeć jego kroków. Nie chciał go przestraszyć, więc chrząkał głośno i szurał nogami po żwirowatym piasku. Sandoz nie odwrócił się, ale przystanął i czekał przy końcu wielkiej skalnej ostrogi, części geologicznej formacji, z której niegdyś czerpano budulec na starożytnie wille na wzgórzu.

John zatrzymał się przy nim i też spojrzął na morze, przyglądając się ptakom, które krążyły, nurkowały lub osiadały na szarej wodzie.

– Co za bezmiar – powiedział. – Człowiek czuje się lepiej, kiedy może skupić na czymś wzrok. – Od zimna piekła go twarz i ręce. Drżał i nie mógł zrozumieć, jak Sandoz wytrzymuje bez ruchu. – Człowieku, napędziłeś nam strachu. Następnym razem powiedz komuś, że wychodzisz, dobrze? – Zrobił krok ku Sandozowi, wyciągając ku niemu płaszcz. – Nie zmarłeś? Przyniosłem ci płaszcz.

– Jeśli podejdziesz bliżej – powiedział Sandoz – poleje się krew.

Johnowi bezwiednie opadła ręka, płaszcz walał się po mokrym piasku. Teraz, kiedy znalazł się blisko Sandoza, dostrzegł, że to, co brał za spokój, w rzeczywistości było strasliwym napięciem.

Sandoz odwrócił się i podszedł do naturalnej półki skalnej, wyżłobionej w urwistym cyplu. Leżał na niej rząd kamieni wielkości pięści. Słońce wyjrzało sponad skał, oświetlając napięte mięśnie na jego karku, drgające pod mokrą od potu koszulą, kiedy zaczął rozpaczliwie zwierać palce wokół jednego z kamieni. Potem odwrócił się plecami do morza, rozjarzonego już porannym blaskiem, przegiął się jak wytrawny zawodnik przymierzający się do strzału i rzucił. Palce nie zdążyły rozewrzeć się we właściwym momencie i kamień upadł z grzechotem na piasek. Wrócił do skały, chwycił następny, starannie wycelował i znowu rzucił. Kiedy wyczerpał cały zapas kamieni, ponownie wyszedł na plażę, by zebrać nowe, zginając się w pasie, chwytając je lewą ręką, od czasu do czasu dysząc z wysiłku, ale cały czas układał jeden po drugim na skalnej półce.

Większość kamieni leżała zaledwie kilka kroków od miejsca, z którego je rzucał.

Do czasu, kiedy słońce wspięło się ponad głowy, Candotti pozbył się płaszcza i siedział teraz na plaży, obserwując Sandoza w milczeniu. Brat Edward, który stał przy nim, też spoglądał w tamtą stronę. Łzy ściekające mu po pulchnych policzkach szybko wysychały na wietrze od morza.

Około dziesiątej, kiedy potłuczenia zaczęły już obficie krwawić, Candotti próbował przemówić do Sandoza.

– Emilio, proszę cię, przestań. Już dosyć.

Sandoz spojrział na niego tak, jakby jeden z nich nie istniał. John zrozumiał, że nic się nie da zrobić prócz milczącego dawania świadectwa, i łagodnie odsunął brata Edwarda na bok.

Dwie godziny później obaj dostrzegli, że za cenę strasznego wysiłku Sandoz zrobił wyraźny postęp: palce były posłuszne coraz bardziej, kamienie częściej lądowały w wodzie, zamiast na piasku, a coraz to nowe rzędy zajmowały miejsce na skalnej półce. W końcu udało mu się rzucić raz za razem dwanaście kamieni, a każdy wpadł do wody dość daleko od linii załamywania się fal. Rozdygotany, z poszarzałą twarzą, Sandoz wpatrywał się w morze przez chwilę, a potem ruszył ku nim i minął dwóch mężczyzn, którzy spędzili z nim ten ranek. Nie zatrzymał się, nawet na nich nie spojrział, tylko rzucił w przestrzeń, nie wiadomo, czy do siebie, czy do nich:

– Nie Magdalena. Łazarz.

Jeśli Vincenzo Giuliani był poruszony tym, co ujrzał tego ranka z kamiennego balkonu, to na jego twarzy nie było ani śladu wzruszenia, kiedy obserwował trzech mężczyzn wracających po schodkach nad morza. Emilio potknął się dwukrotnie i upadł. Biała wściekłość, jaką płonął o świcie, już się wypaliła i zmieniła w groźną urazę, więc w milczeniu odrzucał pomoc, oferowaną mu przez Johna Candottiego i brata Edwarda.

Żaden z nich nie miał pojęcia, że ojciec generał nie przebywa już w Rzymie. W rzeczywistości przybył do Neapolu przed nimi, zajął pokój sąsiadujący z pokojem Sandoza i czekał cierpliwie na przełom, który sam zaplanował. W XIII wieku dominikanie wystąpili z tezą, że skutek usprawiedliwia środki. Jezuita przejął tę filozofię, zwielenokrotniając środki i robiąc wszystko, co uznali za niezbędne w służbie Bogu, dla dobra dusz. W tym przypadku uznał, że lepsze będzie drobne oszustwo od bezpośredniej interwencji. Tak więc podpisał notę literą „V”, wiedząc, że tylko Voelker tytułował Sandoza „doktorem”. Reakcja Emilia zdawała się potwierdzać zarzuty, jakie stawiało Konsorcjum Kontakt wobec tego, co wydarzyło się na Rakhacie. Giuliani zablokował i wygrał: już sama możliwość, że Voelker wie, złamała kruchą samokontrolę Emilia.

Wspięcie się na szczyt urwiska zajęło trzem mężczyznom aż pół godziny. Kiedy nadeszli, ojciec generał cofnął się w cień, czekając, aż znajdą się dość blisko, by nimi wstrząsnęły ciche i nieoczekiwane słowa.

– Naprawdę, Emilio – powiedział suchym, znudzonym głosem – dlaczego nie potkniesz się jeszcze raz, na wypadek gdyby komuś umknęło znaczenie tej symboliki? Jestem pewny, że brat Edward medytował nad Golgotą przez całą drogę, ale ojciec Candotti to człowiek praktyczny i mógł być nieco rozkojarzony, bo już dawno minęła pora śniadania. – Dostrzegł, bez jakiejś wielkiej satysfakcji, że Sandoza znowu ogarnęła wściekłość, i ciągnął tym samym lekkim, ironicznym tonem: – Proszę przyjść do mojego gabinetu za piętnaście minut. I proszę się oczyścić. Dywany w tym pokoju są dość cenne. Szkoda by było powalać je krwią.

Człowiek, który dwadzieścia minut później wszedł do pokoju ojca generała, rzeczywiście był „oczyszczony”, jak zauważył Giuliani, ale nie jadł nic od zwymiotowania ostatniej kolacji i nie spał od wyczerpującej podróży z Rzymu do Neapolu. Był woskowo blady, a pod oczami miał fioletowe plamy. I tego ranka sam poddał się piekielnej próbie. Świetnie, pomyślał Giuliani.

Nie zaprosił Sandoza, by usiadł, wołał, by stał pośrodku pokoju. Sam siedział nieruchomo za olbrzymim biurkiem, rysując się ostro na tle światła z okna za jego plecami, z nieodgadnioną twarzą. Prócz tykania starego zegara w pokoju panowała cisza. Kiedy ojciec generał w końcu przemówił, głos miał spokojny i łagodny.

– Nie ma takiej postaci śmierci lub przemocy, której by nie zaznali jezuicy misjonarze. W Londynie ich wieszano, rozciągano i ćwiartowano. W Etiopii patroszono ich żywcem. Irokezi palili ich na stosach. W Niemczech ich truto, w Tajlandii krzyżowano. W Argentynie głodzono ich na śmierć, w Japonii obcinano im głowy, na Madagaskarze topiono, w Salwadorze rozstrzeliwano. – Wstał i zaczął powoli krążyć po pokoju, stary nawyk z czasów, gdy był profesorem historii, ale zatrzymał się na chwilę przed szafą z książkami, aby wybrać z niej jakiś stary wolumin, który obracał w rękach, gdy mówił, znowu krążąc po pokoju, jednostajnym tonem, nie kładąc specjalnego nacisku na żadne ze słów. – Zastraszano nas. Obrzucano obelgami, fałszywie oskarżano, więziono latami. Bito. Okaleczano. Gwałcono. Torturowano. I łamano.

Zatrzymał się teraz przed Sandozem, dostatecznie blisko, by widzieć, jak mu błyszczą oczy. W twarzy Emilia nie zaszła żadna widoczna zmiana, ale cały drżał.

– A my, którzy ślubowaliśmy czystość i posłuszeństwo – powiedział bardzo miękko, wpatrując się prosto w oczy Emilia – podjęliśmy decyzje, samotnie i bez poparcia, które przyniosły zgorzenie i zakończyły się tragedią. Tak, sami popełniliśmy straszliwe błędy, do których w naszej wspólnocie nigdy nie powinno dojść.

Spodziewał się nagłego wstrząsu, tego spojrzenia, które mówi, że oto nadeszła chwila prawdy. Przez chwilę pomyślał, że się omylił. Ale nie, ujrzał wstyd, tego był pewny, wstyd i rozpacz.

– Myślałeś, że jesteś tym jedynym? Czy to możliwe, żebyś był tak hardy? – zapytał tonem pełnym zdziwienia. Sandoz zamrugał szybko oczami. – Myślałeś, że jesteś tym jedynym, który zastanawia się, czy to, co robimy, warte jest ceny, jaką za to płacimy? Czyżbyś szczerze wierzył, że tylko ty jeden, spośród tych wszystkich, którzy odeszli, utraciłeś Boga? Czy myślisz, że mielibyśmy nazwę dla grzechu rozpaczy, gdybyś tylko ty jeden jej doświadczał?

Musiał przyznać, że Sandoz był dzielny. Nie odwracał wzroku. Giuliani zmienił taktykę. Usiadł ponownie za biurkiem i podniósł laptop.

– Ostatnie doniesienie na temat twojego zdrowia głosi, że nie jesteś tak chory, na jakiego wyglądasz. Jakiego to terminu użył lekarz? „Psychogenna retrakcja somatyczna”. Nienawidzę tego żargonu. Przypuszczam, że chodzi o depresję. Ja bym to inaczej ujął. Sądzę, że rozczulasz się nad samym sobą.

Emilio poderwał głowę, twarz miał mokrą od łez. Przez chwilę wyglądał jak zdezorientowane dziecko, zbite za to, że płacze. Trwało to bardzo krótko i było tak nieoczekiwane, że prawie niezauważalne. Wiele miesięcy później, a także przez resztę swojego życia, Vincenzo Giuliani miał wspominać tę chwilę.

– Jeśli chodzi o mnie, to jestem tym zmęczony – ciągnął ojciec generał rzeczowym tonem, odchyłony w fotelu, przyglądając się Sandozowi jak mistrz nowicjatu.

Jakie to dziwne, być o rok młodszym i równocześnie o całe dekady starszym od tego człowieka. Odrzucił laptop i wyprostował się, kładąc dłonie na biurku jak sędzia, który ma wydać wyrok.

– Gdybyś potraktował kogoś innego tak, jak traktowałeś sam siebie przez ostatnie sześć godzin, byłbyś winny czynnej napaści – oświadczył sucho. – To się musi skończyć. Od tego momentu będziesz okazywał swojemu ciału szacunek, na jaki zasługuje jako dzieło Boga Stworzyciela. Pozwolisz swoim rękom wyzdrowieć, a potem przejdziesz przez jakąś rozsądną i umiarkowaną terapię fizyczną. Będziesz jadł regularnie. Będziesz właściwie odpoczywał. Będziesz troszczył się o własne ciało, jakby to było ciało przyjaciela, którego jesteś dłużnikiem. Za dwa miesiące zjawisz się przede mną i opowiesz mi ze szczegółami o misji, na którą zostałeś wysłany – tu głos mu nagle stwardniał i zakończył, oddzielając każdy wyraz – przez swoich przełożonych.

A potem, miłościwie, Vincenzo Giuliani, generał Towarzystwa Jezusowego, dźwignął straszliwy ciężar, który na mocy prawa przypisany był jemu i jego poprzednikom.

– Podczas tych dwu miesięcy i przez resztę życia nie będziesz się obarczał odpowiedzialnością, która spoczywa na kim innym. Czy to jasne?

Trwało to długo, ale w końcu Emilio skinął głową, tak nieznacznie, że trudno to było dostrzec.

– Dobrze.

Giuliani wstał spokojnie i podszedł do drzwi. Otworzył je i nie był zaskoczony, widząc czekającego za nimi brata Edwarda z widocznymi oznakami niepokoju. Candotti siedział nieco dalej, pochylony, z dłońmi ukrytymi między kolanami, spięty i zmęczony.

– Bracie Edwardzie – oznajmił ojciec generał łaskawym tonem – ojciec Sandoz zje teraz śniadanie. Może brat i ojciec Candotti dotrzymacie mu towarzystwa w refektarzu?

10

SAN JUAN, PUERTO RICO

2-3 sierpnia 2019

Wracając myślą do tego, co wydarzyło się w ową ciepłą noc sierpniową, Anne Edwards zawsze żałowała, że nie postawiła każdemu z nich horoskopu. Byłby to znakomity test astrologiczny. Przecież gdzieś, pod którymś znakiem, powinno być ostrzeżenie: „Przygotuj się. Tego wieczoru wszystko się zmieni. Wszystko”.

Kiedy zaprosiła Emilia na kolację w sobotę, niby od niechcienia zaproponował, by zaprosiła również Jimmy’ego Quinna i Sofię Mendes. Ależ oczywiście, zgodziła się Anne, odpychając od siebie złe przeczucia. Im więcej gości, tym weselej.

Emilio nie widział się z Sofią od Cleveland i zaczynało to wyglądać tak, jakby jej rozmyślnie unikał, co prawdopodobnie było bliskie prawdy. No cóż, Anne wiedziała, że niełatwo jest przejść od zauroczenia do prawdziwej przyjaźni, ale wierzyła, że Emilia na to stać, więc gotowa była stworzyć do tego warunki. A Sofia? Przypadek anoreksji emocjonalnej. Być może właśnie to, w połączeniu z pięknnością, tak pociągało w niej mężczyzn. Jimmy już dawno wyznał, że się w niej zadurzył, nieświadom, że to samo spotkało Emilia. I George'a, jeśli już chodzi o ścisłość. A mnie samej, pomyślała Anne, nie bardzo wypada się uskarżać. Mój Boże, co za plątanina źle skierowanych pożądań! Temu domowi grozi prawdziwa powódź feromonów!

A więc, postanowiła, doglądając różnych spraw w klinice w sobotnie popołudnie, moim zadaniem będzie stworzenie prawdziwie rodzinnego nastroju. Niech te dzieciaki poczują się kuzynami. A przede wszystkim trzeba unikać jak ognia sugestii, że traktuje się Emilia i Sofię, a nawet Jimmy'ego i Sofię, jak parę. Trzeba to brać na wesoło, a potem trzymać się od tego z daleka.

W piątek Jimmy Quinn zaczął wyjaśniać Sofii tę część swojej pracy, która łączyła się z programem poszukiwania inteligencji pozaziemskiej.

– SETI działa podobnie jak reszta obserwacji, ale raczej na drugim planie. – Siedzieli w hełmach i rękawicach przed oscyloskopem o staroświeckim wyglądzie, jakby któryś z inżynierów VR5 zaprojektował go w przypływie dobrego humoru. – Kiedy nie używamy radioteleskopu do innych zadań, SETI systematycznie skanuje niebo w poszukiwaniu sygnałów radiowych z innych planet. Program wychwytyje wszystko, co przypomina możliwe sygnały pozaziemskie, to znaczy wszystko, co ma stałą częstotliwość, a nie pochodzi z żadnego ze znanych źródeł, takich jak zarejestrowane rozgłośnie radiowe czy transmisje wojskowe.

– Rozumiem, że już istnieją i działają dobrze wypracowane kryteria rozpoznawcze – powiedziała Sofia.

– Oczywiście. SETI korzysta z programów dość starych, ale dobrych, a kiedy Arecibo przejął ISAS, dokonano modernizacji procesorów. Tak więc system potrafi rozpoznać zwykle szумы czy naturalne źródła fal radiowych, takie jak wibrowanie atomów wodoru albo niektóre gwiazdy. – Wystukał jakiś przykład. – Widzisz, jak to dziwnie wygląda? To jest właśnie sygnał radiowy emitowany przez gwiazdę. Jest kompletnie nieregularny, a dźwięczy tak... – Wydał świszczący, przerywany dźwięk przez zęby, a potem zmienił obraz. – Okay. Radio używane do komunikacji wykorzystuje nośnik o stałej częstotliwości i określony rodzaj modulacji amplitudy. Widzisz różnicę? – Sofia kiwnęła głową. – SETI skanuje ponad czternaście milionów oddzielnych kanałów, biliony sygnałów, poszukując jakichś prawidłowości. Kiedy wychwytyje coś interesującego, loguje czas, datę, położenie źródła, częstotliwość i czas trwania sygnału. Do mnie należy przeanalizowanie tych danych na podstawie ich zapisów.

– A więc twoje zadanie polega na obalaniu tymczasowych hipotez, postawionych przez system, że dana transmisja to sygnał od inteligencji pozaziemskiej...

– Dokładnie.

– Więc... – Z uniesionym stylusem, pstrykając w jeden z okularów, zamierzała już wchłonąć następną porcję informacji. Jimmy zdjął hełm i spojrzał na nią, a ona urwała i odchrząknęła.

– Mogę panią najpierw o coś zapytać? Krótkie pytanie – zapewnił ją, kiedy westchnęła. – Dlaczego robi pani notatki ręcznie? Nie byłoby łatwiej robić zapisu tych sesji? Albo wpisywać je bezpośrednio do pliku?

Po raz pierwszy ktoś ją zapytał o jej własne metody.

– Ja nie zapisuję tego, co mi pan mówi. Kiedy słucham, od razu porządkuję dane. Gdybym zapisywała całą sesję, musiałabym później zużyć tyle samo czasu, by odtworzyć zapis. A przez te wszystkie lata wypracowałam sobie coś w rodzaju osobistego systemu stenografii. Ręcznie piszę szybciej, niż używając klawiatury.

– Ach, tak... – To chyba była jej najdłuższa wypowiedź od czasu, kiedy się poznali. Prawie rozmowa. – Wybiera się pani jutro wieczorem do George'a i Anne?

– Tak, panie Quinn. Czy możemy wrócić do pracy?

Jimmy nałożył hełm i wrócił do tego, co pokazywały drgające wykresy.

– Okay, więc zaczynam od rzucenia okiem na zalogowane sygnały. Dzisiaj większość z nich rozpoznaję już jako zakodowane sygnały z nielegalnych wytwórni narkotyków, nadawane w promieniu pięciu kilometrów. Wciąż się przemieszczają i wciąż zmieniają częstotliwość. Zwykle program je eliminuje, bo są tak blisko Ziemi, ale czasami sygnał odbija się od jakiegoś asteroidu lub satelity i wtedy brzmi dziwnie, jakby przychodził z kosmosu.

Analiza logu, który wywołał, zaczęła go pochłaniać, i teraz mówił już bardziej do samego siebie niż do Sofii. Obserwując go jednym okiem, zastanawiała się, czy mężczyźni wiedzą o tym, że są bardziej pociągający, kiedy są pochłonięci pracą, niż wtedy, kiedy pochłania ich bliskość kobiety. Czy ślinienie się może być pociągające? A jednak uświadomiła sobie z pewnym zaskoczeniem, że zaczyna bardzo lubić tego Jimmy’ego Quinna. Natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl. W jej życiu nie ma na to miejsca. Nie może pozwolić, by robił sobie jakiegokolwiek nadzieje. Sofia Mendes nigdy nie obiecywała czegoś, czego nie mogła dać.

– To ciekawe – powiedział Jimmy. Sofia skoncentrowała się na obrazie i zobaczyła sygnał o prostokątnym kształcie. – Widzisz? Tu jest sygnał, który wyróżnia się z szumu tła i utrzymuje przez... zaraz zobaczymy... O, tutaj. Trwał przez cztery minuty, a potem zaniknął. – Roześmiał się. – No cóż, to mi wygląda na rękodzieło. O, tutaj, ta część... – Wskazał na górną płaską część sygnału.

– Stała częstotliwość nośnika z modulacją amplitudy – powiedziała.

– Bingo. – Znowu się zaśmiał. – To jakieś miejscowe świństwo. Prawdopodobnie złapaliśmy sygnał z nadajnika jakiejś religijnej sekty z Tierra del Fuego, odbity od tego nowego hotelu, który buduje Shimatzu. Ten ze stadionem mikrogravitacyjnym...

Kiwnęła głową.

– W każdym razie pozwoliło mi to pani pokazać, jak sobie poczynam z hipotetycznym sygnałem ET. O, proszę, cały sygnał wygląda jak pulsowanie, kiedy się go wyświetli... o, tak – O powiedział, obrysowując prostokątny kształt elektronicznym piórem. – Teraz. Mogę powiększyć ten wycinek, tu, na szczycie pulsacji, o tak, i zmienić skalę amplitudy. – Zrobił to. Linia pozioma, która uprzednio wyglądała na prostą, teraz okazała się zębatym wykresem. – Widzisz? Amplituda jest inna... zupełnie inna. – Głos mu zamarł. – To chyba coś lokalnego... – mruknął.

Sofia czekała przez parę minut, kiedy Jimmy obrabiał sygnał.

Trochę za długo, pomyślała.

– Panie Quinn? – Pstryknął w jeden z okularów, żeby na nią spojrzeć. – Panie Quinn, chciałabym zapoznać się ze szczegółami istniejących programów rozpoznawczych. Może jest jakaś dokumentacja, która by nam w tym pomogła.

– Oczywiście – odpowiedział Jimmy, wygaszając obraz, zdejmując ekwipunek VR i wstając. – Nie przenosiliśmy tu tych staroci. Tu są działające programy, ale dokumentacja nie bywa nikomu potrzebna, więc jest zarchiwizowana. Zaraz pani pokażę, jak się do niej dostać.

Kiedy w sobotni wieczór Sofia Mendes przybyła do domu Edwardsów, dokładnie o wyznaczonym czasie i z butelką caberneta Golan Heights, Jimmy Quinn już tam był, podekscytowany i zbyt głośny, w modnych bufiastych spodniach i oszałamiająco kolorowej koszuli, którą Sofia uznałaby za niezły szlafrok.

Uśmiechnęła się wbrew sobie na widok zachwyty, jaki w nim wzbudziła, podziękowała mu za komplement na temat jej stroju, a potem włosów, i aby przerwać te zachwyty, wręczyła wino Edwardsowi i uciekła do kuchni.

– Emilio może się trochę spóźnić – powiedział George, całując ją w policzek. – Mecz baseballu. Nie przestrasz się, kiedy przyjdzie tu w pełnej zbroi. Jego drużyna zajmuje już drugie miejsce, więc ojciec Sandoz musi być na boisku.

Ale zaledwie dziesięć minut później Sofia usłyszała głos Sandoza, wykrzykującego wynik meczu. Przywitawszy się w biegu z George'em i Jimmym, pobiegł prosto do kuchni, z wciąż mokrymi włosami i powiewającą z tyłu koszulą, by wręczyć kwiaty pani Edwards i pocałować ją w policzek. Najwyraźniej był tu zadomowiony, bo sam sięgnął na półkę po jeden z wazonów, napełnił go wodą i ułożył w nim kwiaty. Odwrócił się od kredensu z wazonem w rękach i dopiero wtedy zobaczył Sofię, siedzącą w kącie na taborecie. Oczy mu zapłonęły, choć twarz miał nadal poważną.

Wyjąwszy jeden kwiat z wazonu, otrząsnął go z wody i pochylił głowę w krótkim formalnym ukłonie.

– *Senorita. Mucho gusto. A su servicio* – powiedział z przesadną dworskością, jakby parodiował hiszpańskiego arystokratę.

Znając już nędzę, w jakiej spędził dzieciństwo, tym razem rozumiała dowcip i ze śmiechem przyjęła kwiat. Sandoz uśmiechnął się i z trudem oderwał od niej wzrok, by spojrzeć na Jimmy'ego, który właśnie wszedł do kuchni, napełniając ją od razu ciepłem. Anne zaczęła kłaść, że w kuchni nie można się poruszać, więc Emilio wypchnął Jimmy'ego z powrotem do pokoju, pomrukując jakąś groźbę, której Sofia nie mogła zrozumieć; najwidoczniej był to im tylko znajomy język. Anne wręczyła jej półmisek z *banderillas* i zaczęły przenosić potrawy na stół. Wkrótce wszyscy mówili o wszystkim. Jedzenie było świetne, a wino miało posmak wiśni. A wszystko to miało swój udział w tym, co wydarzyło się później.

Po jedzeniu przenieśli się do pokoju i Sofia poczuła się tak dobrze, jak jeszcze nigdy od czasu, gdy dorosła. Było to poczucie bezpieczeństwa, które wydało jej się egzotyczne jak dereń i równie piękne. Czowała, że została w pełni zaakceptowana, że ludzie w tym domu są gotowi darzyć ją sympatią bez względu na to, kim jest albo co zrobiła. Czowała, że może opowiedzieć Anne, a nawet George'owi, o tym, co było przed Jaubertem, i że George jej wybaczy, a Anne powie, że Sofia była dzielna i rozsądna.

Kiedy zmierzch przeszedł w wieczór, konwersacja zaczęła wygasać i Anne zaproponowała, żeby Jimmy coś zagrał, a wszyscy to poparli. Wygląda jak dziecko nad pianinem-zabawką, pomyślała Sofia, patrząc, jak rozwiera szeroko nogi, usiłując zmieścić kolana, prawie sięgające klawiatury. Grał płynnie, z wdziękiem, z łatwością operując klawiszami, i Sofia starała się nie czuć zażenowania, kiedy zaśpiewał jakiś miłosny przebój.

– Jimmy, wiem, że mnie uwielbiasz, ale nie rób tego tak ostentacyjnie – powiedziała Anne teatralnym szeptem, zerkając na Sofię i mając nadzieję zmienić nastrój, zanim chłopak do końca się nie rozkrochmali. – George stoi obok! W każdym razie ten kawałek jest trochę za sentymentalny, jak na mój gust.

– No, chłoptasiu, spadaj – warknął George i ze śmiechem zaczął machać ręką. – Sofia, teraz twoja kolej.

– Ty grasz? – zapytał Jimmy, przewracając stołek, bo tak szybko chciał jej ustąpić miejsca.

– Trochę – odpowiedziała i dodała: – Ale nie tak dobrze, jak ty.

Zacząła od jakiejś miniatury Straussa, niezbyt trudnej, ale bardzo ładnej. Nabrawszy pewności siebie, spróbowała Mozarta, ale pogubiła się w jednym z bardziej skomplikowanych pasaży i urwała, nie zważając na głośne zachęty i dobroduszne przycinki.

– Chyba muszę być bardzo spięta – powiedziała, uśmiechając się smutno i odwracając do nich.

Zamierzała przeprosić za swoją niekompetencję po wspaniałym koncercie Jimmy’ego i poprosić go, by wrócił do pianina, kiedy jej wzrok padł na Sandoza, siedzącego w kącie, w pewnym oddaleniu od reszty. Nie zdając sobie w pełni sprawy, dlaczego to robi, rozgrzana winem i dobrym towarzystwem, zaczęła grać coś, co powinno mu być znajome, bardzo starą hiszpańską pieśń. Ku zaskoczeniu wszystkich, a może i swojemu własnemu, Emilio wstał, podszedł do pianina i zaczął śpiewać czystym tenorem.

Sofia zmieniła tonację i tempo. Oczy mu się lekko zwężyły, ale następną zwrotkę zaśpiewał już w tonacji minorowej, dostosowując się do niej. Zadowolona, że zrozumiał jej intencję, patrząc mu w oczy, zaczęła śpiewać w kontrapunkcie inną pieśń.

Miała lekko chropowaty kontralt i razem tworzyli naprawdę wspaniały duet, pomimo – a może właśnie z tego powodu – niecodziennej konfiguracji głosów, bo mężczyzna śpiewał w wyższej tonacji. Przez chwilę wszyscy zapomnieli, że może być coś piękniejszego od pieśni, którą śpiewali razem Emilio Sandoz i Sofia Mendes.

Jimmy pozieleniał z zazdrości. Anne stanęła za nim i przechyliła się przez oparcie sofy, by objąć jego szerokie ramiona swoimi szczupłymi, mocnymi rękami i oprzeć głowę tuż obok jego głowy. Kiedy poczuła, że się rozluźnia, ucisnęła go lekko, wyprostowała się i stała spokojnie, wsłuchana w pieśń. Ladino, pomyślała, rozpoznając hiszpańskie i hebrajskie elementy. Może to sefardyjska wersja jakiejś hiszpańskiej melodii.

Spojrzała na George'a i zrozumiała, że i on doszedł do własnego wniosku, wyczuwając nieuchronność tego, co się dzieje i będzie się działo między tymi dwojgiem. A potem przestała o tym myśleć i już tylko słuchała, starając się opanować drżenie, podczas gdy oba głosy rozbiegały się i przeplatały, aż w końcu harmonia i kontrapunkt przestały ze sobą walczyć, słowa, melodie i głosy połączyły się, poprzez stulecia, w jednym słowie i w jednej nucie.

Oderwawszy wzrok od twarzy Emilia, Anne przyłączyła się do chóru pochwał, przywracających kruchą równowagę. Jimmy starał się jak mógł, ale po dziesięciu minutach przeprosił, że ma jeszcze trochę pracy, i żegnając się głośno ze wszystkimi, ruszył do wyjścia. Wszyscy wstali; Emilio i Sofia też oznajmili, że czas już kończyć, jakby poczuli przemożną potrzebę uzyskania jakiegoś dystansu do owej szczególnej intymności, którą zrodziła ta pieśń, a której nikt nie planował ani nie przewidywał. Anne zawahała się, czując, że jako gospodyni powinna poczekać, aż Emilio i Sofia również opuszczą dom, ale widząc, że upłynie kilka minut, zanim się zbiorą, przeprosiła ich i wyszła za Jimmym.

Był już w połowie drogi do placyku, kiedy go dogoniła w ciemności. Naokoło było cicho, tylko czasami wiatr przynosił z La Perla strzępy muzyki. Słyszając jej kroki, odwrócił się, a ona przystanąła ze dwa schodki nad nim, tak że mogła spojrzeć mu w oczy. Nie było zimno, ale Jimmy drżał, przywodząc na myśl gigantyczną lalkę z włosami z poskręcanej przędzy, z ustami rozciągniętymi od ucha do ucha w głupkowskim uśmiechu.

– Myślisz, że rozwiązaniem byłoby samobójstwo? – zażartował. Anne nie odpowiedziała, ale popatrzyła na niego ze współczuciem. – Dlaczego nie przerwałaś mi wcześniej, kiedy grałem? Nie wiem, czy po tym wieczorze wytrzymam, wiedząc, że przebywam w tej samej strefie czasowej co ona – jęknął. – Boże, ona musi mnie uważać za kompletnego idiotę. Ale... Jezu... Anne, przecież on jest księdzem! No już dobra, wiem, to cholernie przystojny ksiądz, nie taka wielka brzydka mała bez mózgu...

Anne uciszyła go, przykładając mu palec do warg. Mogła mu powiedzieć, że nikt nie jest w stanie sprawić, by ktoś kogoś pokochał, że przynajmniej połowa nieszczęść tego świata przypada na tych, którzy pragną kogoś, kto ich nie pragnie, że nieosiągalność jest strasznie silnym afrodyzjakiem, że on sam jest cholernie miłym, inteligentnym facetem... Ale to i tak by nie pomogło. Zeszła na jego schodek, przycisnęła głowę do jego piersi i objęła go, po raz kolejny zdumiona jego wzrostem.

– Jezu, Anne – wyszeptał ponad nią. – On jest księdzem. To nieuczciwe.

– Tak, mój kochany, ale to nigdy nie jest uczciwe – zapewniła go. – Nigdy.

O tej porze nocy można było dojechać do Arecibo w niecałe pół godziny. Do czasu, gdy Jimmy wjechał na parking, przestał już płakać i prawie porzucił zamiar upicia się, uznając to za zachowanie zbyt dramatyczne i niezbyt stosowne do sytuacji. Sofia nigdy nie dawała mu żadnej nadziei. Wszystko to było jego fantazją i na tym polegał jego problem. A Emilio... Tak naprawdę, to co on o nim wiedział? Księża to zwykli ludzie, przypominała mu zawsze Eileen Quinn, kiedy wracał ze szkoły do domu, przepełniony żądzą bohaterstwa i uwielbienia. Świecenia nie czynią nikogo świętym. A zresztą w innych wyznaniach kapłani żenią się i mają dzieci.

Niech to szlag, zaklął w duchu. Przecież to była tylko piosenka. Już ich pożeniłem, już myślę o ich dzieciach! A w ogóle to nie moja sprawa.

Ale ich głosy wciąż dźwięczały mu w uszach. Zapowiadała się bezsenna noc... Spróbował czytać, ale po kilku stronach cisnął książkę w kąt, nie mogąc się skoncentrować. Zaczął szperać po kredensie, żalując, że nie posłuchał Anne i nie zabrał ze sobą czegoś, co zostało z kolacji u Edwardsów. W końcu postanowił, że zrobi to, co posłużyło mu jedynie za wymówkę, by wyjść wcześniej, i połączył się z systemem radioteleskopu. Otworzył program SETI, zalogował miejsce, które analizował w piątek razem z Sofią, zdecydowany na odważne stawienie czoła obrzydliwie kłopotliwemu wyzwaniu, jakim będzie praca nad czymś, do czego wróci już z nią w poniedziałek.

O 3.57 w nocy, 3 sierpnia 2019 roku, James Connor Quinn ściągnął hełm VR i opadł na oparcie fotela, spocony i zadyszany, ale już pewny, choć wciąż, trudno mu było uwierzyć w to coś, o czym na razie wiedział tylko on. Tylko on jeden na całej Ziemi.

– Jezu Chryste – wydyszał, ruszając na spotkanie z przyszłością przez odwołanie się do starożytności. – Święta Matko Boża...

Przetarł oczy, przecesał palcami zmierzwione włosy i przez dłuższą chwilę siedział, patrząc w przestrzeń. Potem zadzwonił do Anne.

ARECIBO, PUERTO RICO

3 sierpnia 2019

– Żarty sobie stroisz – wyszeptała w słuchawkę Anne. – Słuchaj, misiu, jeśli zadzwoniłeś do mnie o czwartej nad ranem w cholerną niedzielę, żeby mi opowiadać...

– Ja nie żartuję.

– Powiedziałeś już komuś?

– Nie. Ty jesteś pierwsza. Moja mama mnie zabije, ale najpierw tobie chciałem to powiedzieć. – Anne, stojąc nago w ciemnościach, uśmiechnęła się i w duchu przeprosiła panią Quinn. Znowu usłyszała nagłący głos Jimmy’ego. – Obudź George’a i powiedz mu, żeby się podłączył do sieci VR. Zamierzam też zadzwonić do Emilia i Sofii.

Anne nic nie odpowiedziała, ale Jimmy zrozumiał jej milczenie.

– To wszystko przez tę piosenkę. Nie mogłem przestać o tym myśleć, a kiedy spojrzałem na ten sygnał, po prostu przypomniał mi muzykę. Wyobraziłem sobie, że to jest muzyka, że powinienem ją rozpoznać, a potem ustalić, skąd jest nadawana. Więc przepuściłem to przez digitalowy program muzyczny. Anne, czegoś takiego w życiu nie słyszałem.

– Jimmy, czy jesteś pewny, że to nie jest jakiś rodzaj muzyki, którego po prostu nic znasz... no, nie wiem, jakaś muzyka południowo-osetyjska, norweska, coś takiego? No, wiesz, świat jest wielki.

– Anne, spędziłem trzy godziny, weryfikując to, sprawdzając, nicując, i wierz mi, to naprawdę nie jest nic lokalnego. Absolutnie. To nie jest żadne odbicie, żadna stacja piracka, żaden statek z narkotykami, żadne źródło wojskowe. To jest sygnał ET. Uzyskałem potwierdzenie w archiwum Goldstone'a, ale nikomu tego jeszcze nie pokazałem. To jest muzyka, Anne, to jest ET, i wiesz, co jeszcze?

– Jezu, Jimmy, nie igraj ze mną! Co?

– To są nasi sąsiedzi. Złapaliśmy zdumiewająco hałaśliwą balangę z sektora w pobliżu Alfya Centaura. Są od nas oddaleni o jakieś cztery lata świetlne. To obok nas.

– A niech to szlag! Cholera. Jimmy, czy nie powinieneś tego komuś oficjalnie zameldować?

– Jeszcze nie. Ta chwila należy do mnie. Chcę, by najpierw dowiedzieli się o tym moi przyjaciele. Więc zamiast wrzeszczeć, obudź George'a i każ mu włączyć się do sieci.

– Nie, posłuchaj. Jeżeli to jest prawdziwe, rzeczywistość wirtualna nie wystarczy. Chcę prawdziwej. Zadzwoń do Emilia i powiedz mu, żeby do nas przyszedł. Ściągniemy Sofię i razem przyjedziemy do Arcibo. Droga zajmie nam jakieś... no, dwadzieścia pięć minut. Będziemy u ciebie o... – Nagle stwierdziła, że nie potrafi dodawać. Jakby miała wyprany mózg. Boże. Muzyka. Cztery lata świetlne od nas.

– Około szóstej – skończył za nią Jimmy. – Okay, będę na was czekał. I... Anne...

– Wiem, przynieś coś do żarcia. Po drodze zahaczmy o Senora Donuta.

– Nie. To znaczy... to też. Ale... dziękuję ci. To chciałem powiedzieć. Za ten wieczór.

– Hej, chłopcze, jeśli taka nowina jest podziękowaniem za to, że cię przytuiliłam, to mogę to robić częściej. Zobaczymy się za dwie godziny. I... Jimmy, gratuluję. To jest fantastyczne.

Był czysty, chłodny ranek, wciąż jeszcze błądy, kiedy Edwardsowie i ich pasażerowie wjechali na parking Arcibo. Jedynym samochodem, nie licząc wozu strażnika, był mały ford Jimmy'ego.

– Prywatna wycieczka, panie Edwards? – zapytał strażnik, kiedy się wpisali.

– Nie, Jimmy Quinn chce nam coś pokazać i pomyśleliśmy, że najlepiej przyjechać, kiedy jeszcze się nie pracuje – odpowiedział George. Anne z niewinnym uśmiechem wręczyła strażnikowi parę ciastek.

Jimmy miał zaczerwienione oczy z niewyspania, ale był zbyt podniecony, by w ogóle poczuć, że jest zmęczony. Kiedy stoczyli się w jego boksie, złapał pączek, który mu podała Anne, i pochłonął go błyskawicznie, jednocześnie włączając playback.

Był to przede wszystkim śpiew. Gdzieś w tle pobrzmiwały jakieś instrumenty perkusyjne, i może dęte, ale to już trudniej było określić z powodu silnych zakłóceń, chociaż część szumów Jimmy już odfiltrował. Nie ulegało wątpliwości, że była to zupełnie obca muzyka. Tembr głosów, harmonika były po prostu inne, inne w sposób, którego Jimmy nie potrafił opisać słowami.

– Mogę wyświetlić sygnatury dźwięków, które pokażą graficznie różnice między ich i naszymi głosami – powiedział. – W ten sam sposób można pokazać różnice między dźwiękiem skrzypiec i trąbki. Nie wiem, jak wam to wyjaśnić.

– Wiem, że to brzmi nienaukowo – zgodziła się Anne, wzruszając ramionami. – Można poznać głos Arethy Franklin po jednej nucie. To jest po prostu inne.

Z początku tylko wysłuchiwali zapisanego fragmentu muzyki, jęcząc za każdym razem na końcu, bo sygnał nagle zamierał, w chwili gdy wydawało się, że usłyszą coś naprawdę cudownego. Po trzykrotnym wysłuchaniu fragmentu Anne powiedziała:

– Okay. Co można o nich powiedzieć? Śpiewają w grupach i ktoś prowadzi ten śpiew. To oznacza, że mają jakąś organizację społeczną. Czy po tym, jak śpiewają, możemy być pewni, że oddychają?

– Musi tam być jakaś atmosfera, która przenosi fale głosowe – odpowiedział George – ale niekoniecznie taka, którą i my możemy oddychać.

– A więc mają coś w rodzaju płuc i ust i mogą kontrolować wydychane powietrze czy to coś, czym oddychają.

– I mają narządy słuchu, bo gdyby nie mieli, to by nie śpiewali, prawda? – odezwał się Jimmy.

– Język nie wydaje mi się tonalny – powiedział Emilio – ale przy śpiewie nie tak łatwo to określić. Jest jakaś struktura zdań. Są spółgłoski i samogłoski, i coś jeszcze... jak przerywniki gardłowe. – Nie zastanawiał się, czy w ogóle mają gardła. – Jimmy, możesz to puścić jeszcze raz?

Jimmy uruchomił playback. Siedząc na skraju, prawie już w przejściu za boksem, Sofia obserwowała Sandoza, widząc teraz proces, który kiedyś, podczas sesji w Cleveland, musiała sobie abstrakcyjnie wyobrażać. Zaczynał już nucić niektóre frazy, wychwytyując je ze śpiewu chóru i próbując odtworzyć fonemy. Bez słowa podała mu swój laptop i stylus.

– Chyba potrafię się tego nauczyć – powiedział, nie adresując tego do konkretnej osoby, rozkojarzony, prawie już przekonany. Zaczął coś notować. – Jimmy, mogę?

Jimmy odjechał swoim fotelem w bok, robiąc mu miejsce przy konsoli.

– Jim, czy bardzo zmieniłeś częstotliwość? – zapytał George.

– Czy to tak brzmi naprawdę, czy może bardziej przypomina ćwierkanie owadów lub śpiew wielorybów?

– Nie, wydaje mi się, że to tak właśnie brzmi. Oczywiście może na to mieć wpływ gęstość atmosfery. – Pomyślał przez chwilę. – No tak. Mają radio. A to by wskazywało przynajmniej na elektroniczne lampy próżniowe, prawda?

– Nie – zaprzeczył George. – Lampy próżniowe nie są konieczne. Można je ominąć, bezpośrednio przechodząc do stanu stałego. Ale muszą znać elektryczność. – Zapanowało krótkie milczenie, każdy rozmyślał nad konsekwencjami tego, co usłyszeli. Brzmiała tylko ta niesamowita muzyka, którą Emilio nieco zwolnił i powtarzał fragmentami, robiąc poprawki w notatkach.

– I chemię, to pewne – ciągnął George. – Muszą wiedzieć coś o metalach i niemetalach, o przewodnikach. Do zbudowania mikrofonu potrzebny jest węgiel albo jakiś inny opornik. Baterie... cynk i ołów.

– Teoria rozchodzenia się fal – dodał Jimmy. – Bez tego nie można zbudować radia.

– Komunikacja masowa – powiedziała Anne. – I grupa społeczna, która ma dość wolnego czasu, by wymyślić teorię fal. A więc prawdopodobnie mamy do czynienia ze społeczeństwem rozwarstwionym ekonomicznie.

– Metalurgia – wyliczał dalej Jimmy. – Bez tego też nie można zbudować radia, prawda? A najpierw trzeba metal wydobyć i obrobić. A więc ozdoby, broń, narzędzia.

Wszystko możliwe – zgodził się George. Roześmiał się i potrząsnął głową, wciąż zdumiony. – No, chłopcy i dziewczęta, teraz zapiszcie sobie zasadę mierności. – Sofia podniosła pytająco brwi, więc wyjaśnił: – To przekonanie, że Ziemia nie jest czymś wyjątkowym w kosmosie, DNA tworzy się bardzo łatwo, a kosmos tętni życiem.

– Mój Boże – westchnęła Anne – co za upadek. Myśleliśmy, że jesteśmy pępkiem wszechświata, a okazuje się, że jesteśmy tylko jedną z odmian istot odczuwających. – Zmieniła się na twarzy i pochyliła, by uścisnąć Emilia ze złośliwą satysfakcją. – Jak ojciec myśli, kogo Bóg kocha najbardziej? A to dopiero ambaras! Rywalizacja dzieci Bożych! Emilio, pomyśl o teologii!

Emilio, który wciąż odtwarzał muzykę, nucąc pod nosem, za każdym razem wychwytyjąc coś nowego, odkrywając prawidłowości i harmonię, nagle zamilkł i znieruchomiał. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, Anne szybko zmieniła temat.

– Jim, mówiłeś, że to Alfa Centaura. Co to za system?

– Dość skomplikowany. Trzy słońca. Jedno żółte, bardzo podobne do naszego, jedno czerwone i jedno pomarańczowe. Przez wiele lat ludzie myśleli, że tam mogą być planety. Ale niełatwo to sprawdzić, kiedy ma się do czynienia z trzema słońcami, więc chyba nikomu się nie chciało. Ale teraz... Jezu, ale się robi szum!

Rozmawiali tak przez jakiś czas, a Emilio bez słowa wrócił do konsoli, jeszcze raz odgrywając muzykę. Potem wyłączył playback.

Tylko Sofia nie wdawała się w spekulacje na temat muzyki i jej twórców, ale kiedy w końcu rozmowa wygasła, zapytała:

– Panie Quinn, jak doszło do tego, że postanowił pan przepuścić sygnał przez program audio?

W podnieceniu Jimmy zapomniał o kłopotliwych dla siebie wydarzeniach ostatniego wieczoru, a teraz czuł się zbyt dobrze, by się tym przejmować.

– No cóż, wczoraj wieczorem było tyle muzyki... A jako student dorabiałem sobie czyszczeniem starych rekordów z sowieckiego archiwum digitalowego. Ten sygnał po prostu wyglądał mi na muzykę, więc postanowiłem to sprawdzić.

– A więc można powiedzieć, że wykorzystał pan swoją intuicję.

– Chyba tak. To było przeczucie.

– A czy jakiś inny astronom wiedziałby, jak wygląda sygnał muzyczny, i doszedłby do tego samego wniosku?

– Trudno powiedzieć. Może. No... chybaby o tym pomyślał.

– Jak pan sądzi, dlaczego nigdy panu nie przyszło do głowy, żeby mi powiedzieć, że system AI przesiewa wszystkie sygnały przez program audio, żeby wyłowić takie przekazy, jak ten?

– Tylko po to, żeby je wyeliminować jako sygnały ET – odpowiedział Jimmy. – Proszę zrozumieć, my zawsze byliśmy przygotowani na ciąg prim, na jakiś rodzaj sekwencji matematycznej. Chyba wspominałem, że jeśli coś przypominało muzykę, tym samym nie mogło być sygnałem ET. Taka była praktyka. Pamięta pani? Wczoraj? – Ziewnął potężnie i wstał, żeby się przeciągnąć, co spowodowało, że Anne cofnęła się gwałtownie, a George przesunął się w kąt. – Właściwie już przedwczoraj. Wtedy w jakiś sposób zdałem sobie sprawę, że ten sygnał jest muzyką, więc automatycznie uznałem, że pochodzi z Ziemi. Gdybym był od początku pewien, że to ET, prawdopodobnie nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to może być muzyka. Nie wiem dlaczego, ale zawsze sądziłem, że sygnał może być albo ET, albo muzyką, nigdy jednym i drugim.

– Tak. To dziwne, prawda? Ja też mogłam tak pomyśleć – powiedziała bez emocji, ale okręcała sobie nerwowo bransoletkę na przegubie.

Ile będzie miała lat, kiedy się od niej uwolni? Trzydzieści siedem albo osiem. Nie na zawsze. To było zarozumiałstwo robić sobie takie nadzieje.

– Panie Quinn, może pan już nie bać się o swoją pracę. Tego by mój system nie wykrył. Przedstawię wniosek, by zrezygnowano z projektu. Mogę zautomatyzować te segmenty pracy, które polegają na pytaniach i odpowiedziach. I koordynację planowania. To mi zajmie miesiąc, może dwa.

– Możemy się tam wyprawić... jeśli tylko zechcemy... – powiedział Emilio w ciszy, jaka zapanowała po jej słowach. – Chcę powiedzieć, że znajdzie się sposób na to, by tam się dostać, jeśli tylko postanowimy spróbować.

Reszta spojrzała na niego obojętnie, wciąż rozmyślając o trudnej sytuacji Sofii.

– Moglibyśmy wykorzystać meteor... nie, asteroid, prawda? – poprawił się, patrząc na Sofię. – Nie byłby gorszy od tych drewnianych stateczków, na których przemierzano Atlantyk w XVI wieku.

Z początku tylko Sofia zrozumiała, do czego Sandoz zmierza.

– Tak – powiedziała, ucieszona, że może zająć myśli czymś innym. – Asteroidy to dobry pomysł, naprawdę. Pomieszczenia dla górników mogą być całkiem wygodne...

– Tak, oczywiście – wtrącił George. – Masz już gotowe sterowniki masy i niszę do życia. Wystarczy wybrać odpowiednio duży asteroid i dosypywać koksu. Robimy to już na małą skalę, sprowadzając na orbitę Ziemi rudę z pasa asteroidów. Wiele lat temu myślałem, że w ten sposób można się dostać wszędzie. Tylko nie było powodu, by opuszczać system słoneczny.

– Aż do dziś – powiedział Emilio.

– Aż do dziś – przyznał George.

– Czy ja czegoś nie wiem? – zapytała Anne. – Asteroidy?

George zaczął się śmiać, a Emilio zrobił uszczęśliwioną minę.

– Sofio – poprosił George – opowiedz Anne o kontrakcie, który miałaś z...

– ...z koncernem Ohbayashi – dokończyła za niego Sofia. Spojrzała na Anne, potem na innych, i zaskoczyła wszystkich lekkim uśmiechem, zanim powiedziała: – To było tuż przed pracą z doktorem Sandozem w Cleveland. Robiłam taki specjalistyczny program dla asteroidowych kopalni Ohbayashi. Opracowali program AI, który mógł wyliczać koszty zdalnego analizowania składu kopalni, koszty przechwycenia asteroidu, wydobycia i oczyszczenia minerałów w przestrzeni kosmicznej, i porównywać je z przewidywanymi wartościami rynkowymi gotowych produktów na Ziemi. Intuicja odgrywała pewną rolę tylko w przewidywaniu przyszłych cen metali. Ma pan rację, doktorze Sandoz – dodała lekko kpiącym tonem. – Częściowo wyeksploatowany asteroid można wykorzystać jako pojazd kosmiczny.

Emilio, wychylony do przodu i wpatrzony w nią, kiedy mówiła, klasnął w dłonie i opadł na oparcie fotela, śmiejąc się radośnie.

– Ale to by zajęło cztery lata, tak? – zapytała Anne.

– Cztery lata to nie tak dużo – odpowiedział Emilio.

– No, no, no, nie tak szybko – odezwał się Jimmy. – Po pierwsze, nie cztery, a cztery koma trzy, po drugie, mówimy o latach świetlnych, a nie słonecznych. Nawet jedna trzecia roku świetlnego to straszna odległość. No i pamiętajmy, że to czas, w jakim tę odległość pokona światło czy fala radiowa, a nie pojazd. Pojazdowi zajmie to o wiele więcej czasu. Ale... – urwał nagle, zaczynając o tym myśleć poważnie.

George wyciągnął rękę po elektroniczny notes i stylus Sofii. Emilio zapisał swój plik i wręczył mu notes.

– Okay, więc rozwiążmy ten problem – rzekł George, wyświetlając pusty ekran, żeby móc szkicować projekt. – Jeden G grawitacji osiąga się przy szybkości trzydziestu dwóch stóp na sekundę. Powiedzmy, że przyspiesza się przez połowę drogi, a później obraca asteroid o sto osiemdziesiąt stopni i zmniejsza szybkość przez drugą połowę...

Przez chwilę zapanowała cisza, zakłócana tylko podawaniem liczb przez George'a i stukaniem klawiatury Jimmy'ego, który wziął się za kalkulację komputerową. Ku jego irytacji George skończył pierwszy.

– Trzeba około siedemnastu lat, żeby się tam dostać. – Emilio zrobił nieszczęśliwą minę, zdumiony różnicą czasu. – Do diabła, Emilio, Anne dłużej studiowała! – Anne warknęła na niego, ale George nie zwracał na nią uwagi. – A jakby tak zachowywać normalny biologiczny harmonogram dzienny i rozpedzić asteroid do dwóch G, podczas gdy załoga będzie sobie grzecznie leżeć w łódeczkach? To by porządnie skróciło czas i zbliżyło nas do szybkości światła, tak że można by skorzystać z względności czasu. Dla załogi podróż byłaby o wiele, wiele szybsza.

Jimmy dalej stukał w klawiaturę.

– Zaraz, słuchajcie, dla załogi byłoby to jakieś sześć, siedem miesięcy.

– Sześć lub siedem miesięcy! – zawołał Emilio.

– Jezu – szepnęła Jimmy, wpatrzony w rzędy cyfr. – Na to, żeby się zbliżyć do szybkości światła, potrzeba niecałego roku nawet przy stałym przyspieszeniu równym jednemu G. Może do dziewięćdziesięciu trzech procent. Czy ktoś ma ochotę podważyć teorię względności? Zastanawiam się, czy załoga nie odpadnie od asteroidu... Zaraz, jakie by musiał mieć rozmiary? – zapytał sam siebie i wrócił do obliczeń.

– Poczekaj – odezwała się Anne. – Nie rozumiem tego, co powiedziałaś o śpiącej załodze. Czy ktoś nie będzie musiał czuwać przez cały czas, żeby sterować?

– Nie... nawigację można zautomatyzować, w każdym razie do czasu zbliżenia się do tamtego systemu – odpowiedział George. – Trzeba po prostu ustawić się we właściwym kierunku...

– I modlić się – wtrącił Emilio z nieco demonicznym śmiechem.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Co teraz robimy? – zapytał Jimmy. Była już prawie ósma i po raz pierwszy pomyślał o kłopotach, jakie może mieć z powodu niepowiadomienia do tej pory Yanoguchiego.

To Emilio mu odpowiedział; twarz miał poważną, a oczy pełne blasku.

– Zaczniemy planować misję.

W ciszy rozległ się niepewny śmiech Anne.

– Emilio, czasami nie wiem, czy żartujesz, czy mówisz poważnie. Masz na myśli misję czy misje? Mówimy o nauce czy o religii?

– Tak... – mruknął z komiczną powagą, która wszystkich wyprowadziła z równowagi. – Sofio, George, Jimmy. Przedtem tylko spekulowałem... ale teraz to poważna możliwość, prawda? Wykorzystać asteroid do takiej wyprawy?

– Tak – przyznała Sofia. – Jak powiedział pan Edwards, już o tym myślano.

– Na to trzeba od cholery pieniędzy – zauważył George.

– Nie, nie sądzę – powiedziała Sofia. – Znam takich zbankrutowanych dziwaków, którzy będą szczęśliwi, mogąc sprzedać na pół wyeksploatowany asteroid razem z silnikami. To nie będzie tanie, ale na pewno będzie w zasięgu możliwości niektórych korporacji...

Spojrzała na Sandoza; wszyscy na niego patrzyli. Z jakiegoś, sobie tylko znanego, powodu uznał za bardzo zabawne to, co właśnie powiedziała.

Żadne z nich nie mogło wiedzieć, o czym myślał, jak bardzo przypominało mu to ów wieczór w Sudanie, kiedy przeczytał polecenie prowincjała, kierujące go na Uniwersytet Johna Carrola. Tam, gdzie poznał Sofię. I Anne, i George'a, którzy znali Jimmy'ego. Jimmy'go, który ściągnął ich wszystkich tej nocy. Przeciągnął dłońmi po swoich ciemnych, prostych włosach, opadających mu na oczy, i spostrzegł, że wszyscy się na niego gapią. Chyba uważają, że zwariowałem, pomyślał.

– Trochę nieuważnie słuchałem – powiedział, odzyskując panowanie nad sobą. – Powiedzcie mi jeszcze raz, jak to można zrobić.

Przez następną godzinę George, Jimmy i Sofia wyjaśniali mu to wszystko: w jaki sposób różne pokątne przedsięwzięcia wybierają i nabywają odpowiednie asteroidy, i uzbrajają je w urządzenia niezbędne do życia, jak maszyny wyrabujące silikaty, aby je użyć jako paliwo i skierować asteroid do orbitalnych rafinerii, jak dwudziestotonowe ładunki oczyszczonych metali przenosi się, podobnie jak kiedyś stare promy Gemini, do stanowisk odzyskiwania złomu na oceanie w pobliżu Japonii. W jaki sposób można zaprogramować taki system do podróży kosmicznej. Emilio był lingwistą i księdzem, więc miał spore trudności w zrozumieniu fizyki Einsteinowskiej, na podstawie której można było określić czas ziemski trwania podróży na siedemnaście lat, podczas gdy dla załogi, dzięki podróżowaniu z szybkością zbliżoną do prędkości światła, byłoby to zaledwie sześć miesięcy.

– Nikt nie potrafi zrozumieć tego od razu, kiedy usłyszysz to po raz pierwszy – zapewnił go George. – A większość ludzi, która w ogóle o tym myśli, po prostu godzi się z tym, że takie są wyliczenia. Założmy jednak, że dotarłeś w pobliże Alfya Centaura i natychmiast wracasz na Ziemię. Kiedy wrócisz, ludzie na Ziemi będą starsi o trzydzieści cztery lata, natomiast ty tylko o rok, bo czas powolniej dla kogoś, kto osiąga szybkość zbliżoną do prędkości światła.

Jimmy wyjaśnił, w jaki sposób można wyliczyć i zaprogramować kurs, co dla Emilia okazało się jeszcze mniej zrozumiałe. Potem zajęli się problemem lądowania. Tu nie było już prostych rozwiązań, ale i tak wszyscy troje – George, Jimmy i Sofia – uważali, że można tego dokonać.

Anne przysłuchiwała się temu równie uważnie jak Emilio, ale była nastawiona bardzo sceptycznie, wręcz bliska uznania całego pomysłu za wariacki.

– No dobra, ważniaki, ja osobiście mam duże trudności ze zrozumieniem, jak działają nadziemne pociągi. Ale zastanówcie się, przecież jest z pół miliona spraw, które mogą nie wyjść. Możecie zużyć cały asteroid, zanim się tam dostaniecie... zabraknie paliwa. Asteroid może się rozłupać na kilka części, jeśli będziecie go źle rozkopywać. Możecie rąbnąć w jakieś międzygwiazdne gówno i zamienić się w kupę atomów. Możecie wpaść na jedno ze słońc. Możecie rozwalić się przy lądowaniu. A jak już tam wylądujecie, może się okazać, że nie ma czym oddychać. Nie ma co jeść. Ci Śpiewacy was zjedzą! Emilio, daj sobie z tym spokój. Mówię poważnie.

– Wiem – odpowiedział ze śmiechem. – Ja też.

Popatrzyła po wszystkich, szukając sprzymierzeńca, ale go nie znalazła.

– Czy jestem jedyną osobą, która dostrzega, jakie to wariactwo?

– Bóg nie wymaga od nas, żebyśmy odnosili sukcesy. Wymaga od nas tylko, żebyśmy próbowali – zacytował spokojnie Emilio. Siedział nieruchomo w najdalszym kącie boksu, z łokciami wspartymi na kolanach, ze złożonymi dłońmi, patrząc na nią rozradowanymi oczami.

– No tak, pięknie. Wymachiwać mi Matką Teresą przed nosem – powiedziała Anne, wyraźnie obrażona. – To głupota. Wszyscy jesteście stuknięci.

– Nie masz racji – odezwał się George. – To jest możliwe, przynajmniej w teorii.

– Anne, wszyscy, jak tu siedzimy, mamy doświadczenie potrzebne do zorganizowania takiej wyprawy, a przynajmniej do dokonania próby – rzekł Emilio. – Jimmy, czy potrafiłbyś sterować takim asteroidem, wykorzystując umiejętności nabyte przy lokalizowaniu celów astronomicznych?

– Dzisiaj może nie, ale mógłbym zacząć nad tym pracować, a kiedy wszystko będzie gotowe, i ja będę gotowy. Jest sporo bardzo dobrych programów astronomicznych, które można wykorzystać. Sprawa polega na tym, że nie kieruje się statku tam, gdzie jest teraz Alfa Centaura. Trzeba celować tam, gdzie ten system będzie się znajdować, kiedy statek już przybędzie. A to jest stosunkowo proste. Wystarczy tylko postanowić, że chce się taki problem rozwiązać. To czysta mechanika kosmiczna. Ale trzeba odnaleźć tę planetę, kiedy już się dotrze do tego systemu gwiazdowego. To może być trudniejsze.

Emilio zwrócił się do Sofii.

– Gdybyś miała swobodę wyboru, nie miałabyś obiekcji, by jeszcze raz współpracować z Towarzystwem Jezusowym? Na przykład jako główny wykonawca, który będzie gromadził i organizował elementy materialne potrzebne do uruchomienia takiej misji? Masz kontakty w przemyśle wydobywczym, prawda?

– Tak. Taki projekt różniłby się nieco od analiz AI, które zwykle robię, ale nie wymagałyby większych kwalifikacji. Z całą pewnością potrafiłabym zgromadzić i złożyć w całość wszystko, czego potrzeba, gdybym miała odpowiednie upoważnienia.

– Nawet gdyby taka misja miała religijny charakter?

– Mój agent nie miałby zastrzeżeń. Jaubert robił już interesy z jezuitami.

– Nie mogę decydować za moich przełożonych – powiedział Emilio, a jego ciemne oczy stały się nieprzeniknione – ale zaproponuję im, żeby wykupili twój kontrakt z Jaubertem, unieważnili go i nawiązali z tobą współpracę jak z osobą niezależną. To będzie twój wybór, nie agenta.

– Mój wybór. – Od lat nie miała możliwości wolnego wyboru. – Nie ma sprzeciwu. To znaczy... ja go nie mam.

– Dobrze. George, czy system podtrzymywania życia wykorzystywany przez górnictwo asteroidowe bardzo się różni od systemów podwodnych, które są ci znane?

George nie odpowiedział od razu. Ta cała wiedza techniczna, którą opanował, myślał. Wszystkie mile, które przebiegł. Wszystko – całe jego życie – było tylko praktyką wiodącą właśnie do tego. Spojrzał na Sandoza i powiedział spokojnie:

– To jedno i to samo. Tyle że zamiast pozyskiwać tlen z wody, pozyskuje się go ze skały. Tlen jest produktem ubocznym w procesie wydobywania minerałów i wytwarzania napędu dla silników. Tak jak Jimmy, mogą być całkowicie gotowy, kiedy wszystko będzie zapięte na ostatni guzik.

– No dobra, dosyć tego – powiedziała Anne bezbarwnym tonem i spojrzała wprost na Emilia. – To już zaszło trochę za daleko. Czy ty poważnie proponujesz George’owi, żeby się w to zaangażował?

– Proponuję to poważnie każdemu, kto tu siedzi. Włącznie z tobą. Masz wiedzę antropologiczną, a ta będzie nam bardzo potrzebna, kiedy nawiążemy kontakt...

– Och, przestań! – ryknęła Anne.

– ...a do tego jesteś lekarzem, no i potrafisz gotować – dokończył ze śmiechem, ignorując jej ryk – co stanowi doskonałą kombinację umiejętności, bo nie możemy sobie pozwolić na osobnego lekarza, który tylko będzie czekał, aż ktoś złamie sobie nogę.

– Piotruś Pan. Wy, wariaci, wybieracie się do krainy Nigdy-Nigdy, a ja mam być Wendy. Wspaniale! Wiecie co, przychodzi mi do głowy tylko pewien ordynarny gest. Emilio, jesteś najbardziej rozsądnym i racjonalnie myślącym księdzem, jakiego spotkałam w życiu. A teraz chcesz mi powiedzieć, że według ciebie Bóg pragnie, żebyśmy polecieli na jakąś obcą planetę. My, właśnie my. Ludzie, którzy siedzą w tym pokoju. Mam rację?

– Tak. Obawiam się, że naprawdę w to wierzę – odpowiedział, krzywiąc się. – Bardzo mi przykro.

Popatrzyła na niego z bezsilną złością.

– Jesteś obłąkany.

– Posłuchaj, Anne. Może masz rację. Ten pomysł jest szalony. – Opuścił swój kąt i podszedł do stołu z monitorem, na którym przysiadła, ujął ją za ręce i ukląkł na jedno kolano. – Ale... Anne! To zupełnie wyjątkowa chwila, prawda? Pomyśl, tylko przez tę jedną nadzwyczajną chwilę, że jesteśmy tu wszyscy, w tym pokoju, z pewnego powodu. Nie, pozwól mi skończyć! George się myli. Życie na Ziemi jest nieprawdopodobne. Nasze istnienie, jako gatunku i jako jednostek, jest nieprawdopodobne. Fakt, że się znamy, wydaje się skutkiem przypadku. A jednak tu jesteśmy. I dysponujemy świadectwem, że jakiś inny rozumny gatunek istnieje gdzieś niedaleko nas i że śpiewa. Oni śpiewają, Anne. – Poczwała, że jego dłonie zaciskają się na jej dłoniach. – Musimy ich poznać. Po prostu nie ma żadnej alternatywy. Musimy ich poznać. Sama to powiedziałaś, Anne! Pomyśl o teologii.

Nie miała na to odpowiedzi. Mogła tylko na niego patrzeć, a potem spojrzeć na innych, na każdego po kolei. Na Sofię, osobę inteligentną i wykształconą, która wyraźnie nie widziała żadnych niepokonalnych przeszkód, ekonomicznych czy technicznych, by zorganizować taką wyprawę. Na Jimmy'ego, który już się zabrał do rozwiązywania konkretnych problemów astronomicznych. Na George'a, którego kochała, któremu ufała i wierzyła, a który uważał, że powinni wziąć w tym udział. I na Emilia. Emilia, który mówił o Bogu.

– Anne, czy przynajmniej nie powinniśmy spróbować? – błagał Emilio.

Wyglądał, jakby miał siedemnaście lat: nastolatek starający się przekonać swoją mamę, że warto przejechać Stany na motocyklu. Ale nie miał siedemnastu lat, a ona nie była jego matką. Był księdzem w średnim wieku, a ożywiało go coś, czego nie potrafiła nawet sobie wyobrazić.

– Przedstawię ten pomysł przełożonym – powiedział spokojnie. Wstał, lecz wciąż trzymał ją za ręce. – Jest ze sto, tysięcy powodów, dla których może się to okazać niemożliwe. Niech Bóg zadecyduje. Możecie to nazwać przeznaczeniem, jeśli uważacie, że to brzmi bardziej racjonalnie.

Wciąż milczała, ale dostrzegł już zmianę w jej oczach. Nie była to jeszcze kapitulacja, ale coś w rodzaju lęklivego, niechętnego przyzwolenia. Może chęć uwolnienia się od krytycznej oceny.

– Ktoś kiedyś tam poleci – zapewniał ją. – Są zbyt blisko, żeby tego nie zrobiono. Ta muzyka jest za cudowna.

Anne Edwards potrafiła się fascynować każdym odkryciem i zachwycać z powodu możliwości uczestnictwa w tworzeniu historii. A głębiej, w rejonie, do którego rzadko zaglądała, jakaś cząstka niej pragnęła uwierzyć, tak jak wierzył Emilio, że Bóg istnieje we wszechświecie, nadając sens każdemu istnieniu.

Kiedyś, dawno temu, zastanawiała się poważnie nad tym, co by zrobili ludzie, gdyby napotkali bezpośredni znak obecności Boga w swoim życiu. Uznała, że Biblia, ta skarbnica mądrości Zachodu, jest bardzo pouczająca jako mit i jako opis rzeczywistych wydarzeń. Bóg objawił się na Synaju, a już po paru tygodniach Izraelici tańczyli przed złotym cielcem. Bóg wędrował po uliczkach Jerozolimy, a parę dni później ukrzyżowano Go i wrócono do swoich zajęć. Postawieni twarzą w twarz z boskością, ludzie szukali schronienia w banale, jakby odpowiadając na jakiś kosmiczny test: jeżeli zobaczysz ognisty krzak, to: a) zadzwonisz do straży pożarnej, b) zamówisz hot doga, c) rozpoznasz Boga? Wiele lat temu Anne uznała, że coraz mniejsza i mniejsza liczba ludzi wybrałaby trzecią odpowiedź, a większość z nich uczyniłaby to tylko dlatego, że nie wzięła codziennej dawki thorazyny.

Wysunęła swoje chłodne dłonie z gorących rąk Emilia i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Muszę się napić kawy – mruknęła i opuściła boks.

12

ZIEMIA

3-4 sierpnia 2019

O 9.13 przed południem, w niedzielę, 3 sierpnia 2019 roku, w recepcji Radioteleskopu Arecibo strażnik odnotował wyjście gości Jimmy’ego Quinna. Opuściwszy swój pulpit na chwilę, żeby rozprostować kości, podszedł do drzwi frontowych i pomachał na pożegnanie George’owi i jego pasażerom. Pół godziny później przybył Masao Yanoguchi. Kiedy się wpisał, strażnik zauważył:

– Musiał pan minąć po drodze George’a.

Yanoguchi kiwnął uprzejmie głową, ale udał się prosto do stanowiska Jimmy’ego Quinna.

O 10.00, kiedy George Edwards wyjeżdżał z parkingu budynku, w którym mieszkała Sofia Mendes, doktor Hideo Kikuchi, rozgrywający poranną partię golfa w Barstow, w stanie Kalifornia, został wezwany do telefonu. Dzwonił Masao Yanoguchi. W ciągu czterdziestu pięciu minut zebrał się cały personel obserwatorium Goldstone, by potwierdzić odkrycie. Kilka osób rozważało popełnienie seppuku. Kierownik zmiany, który powinien dokonać odkrycia przed Quinnem, natychmiast złożył dymisję, a choć nie popełnił samobójstwa, następnego ranka miał kaca graniczącego ze śmiertelną zapaścią.

O 10.20, w niedzielny poranek, Sofia Mendes naparzyła sobie dzbanek kawy po turecku, zaciągnęła tanie, brzydkie zasłony na oknach swojego jednopokojowego apartamentu i zasiadła, by zakodować system AI, który miał zautomatyzować czynności, wskazane jej przez Radioteleskop Arecibo. Przestała myśleć o spekulacjach doktora Sandoza. *Arbeit macht frei*, pomyślała ponuro. Praca może dać jej wolność, wcześniej lub później. Więc pracowała, żeby stało się to wcześniej.

O 11.03, w La Perla, Emilio Sandoz zadzwonił do ojca D.W. Yarbrougha w Nowym Orleanie i rozmawiał z nim przez jakiś czas. Potem pobiegł do kaplicy, gdzie nałożył proste szaty liturgiczne i o 11.35 odprawił mszę dla swojej małej wspólnoty. Homilię wygłosił na temat natury wiary. Anne Edwards nie przysłała.

O 5.53 po południu czasu rzymskiego przekaz wideo od D.W. Yarbrougha, prowincjała Nowego Orleanu, przerwał popołudniową drzemkę Tomasowi da Silvie, trzydziestemu pierwszemu generałowi Towarzystwa Jezusowego. Ojciec generał nie wrócił do swojego pokoju, nie pojawił się też na kolacji. Brat Salvator Rivera sprzątnął nietknięte potrawy o 9.00, mrużąc gniewnie o marnowaniu darów Bożych.

Ambasador Japonii w Stanach Zjednoczonych wyleciał z Waszyngtonu czarterem o 11.45 przed południem czasu miejscowego i przybył do San Juan trzy i pół godziny później. Kiedy znajdował się w powietrzu, wieści o odkryciu obiegały systemy komputerowe świata astronomii. Prawie wszyscy radioastronomowie porzucili aktualne zajęcia i wycelowali teleskopy na Alfę Centaura, choć znalazło się kilku takich, którzy pracowali nad problemem powstania wszechświata i nie obchodziły ich jakieś planety, nie zamieszkałe czy zamieszkałe.

W oczekiwaniu na najazd prasy światowej na Arecibo, pewien archiwista z ISAS pozował do zdjęć razem z personelem Arecibo i różnymi dygnitarzami, zgromadzonymi przed czaszą teleskopu, by uświetnić historię swoją obecnością. Jimmy Quinn, przejęty tym, co się dzieje, był jednak w stanie docenić humorystyczny aspekt sytuacji, w której znowu znalazł się w samym środku ostatniego rzędu. Od przedszkola był zawsze najwyższy w każdej klasie i miał sporą kolekcję grupowych zdjęć, a na każdym stał dokładnie pośrodku ostatniego rzędu. Po zrobieniu zdjęć Jimmy poprosił o pozwolenie zadzwonienia do swojej matki. Lepiej później niż nigdy.

O 21.30 GMT rozpoczęła się konferencja prasowa transmitowana na żywo na cały świat. W Bostonie, w stanie Massachusetts, pani Eileen Quinn, świeżo rozwiedziona, oglądała ją samotnie. Na przemian łkała, śmiała się, i bardzo chciała, żeby ktoś powiedział Jimmy'emu, aby przystrzygł włosy, a przynajmniej je uczesał. I ta koszula! Styl, w jakim się ubierał, zawsze budził w niej niesmak. Kiedy konferencja się skończyła, pani Quinn siadła przy telefonie i obdzwoiła wszystkich, których znała, oprócz Kevina Quinna, tego skurczybyka.

O 5.56 po południu, jeszcze przed końcem konferencji prasowej, dwóch obiecujących piętnastolatków włamało się do osobistego komputera Jimmy'ego Quinna, korzystając z jego adresu w sieci, i zrabowało kod potrzebny do elektronicznego odtworzenia muzyki. System Arecibo był dobrze zabezpieczony, ale uczciwemu Jimmy'emu nigdy nie przyszło do głowy, by wprowadzać jakieś hasła dostępu do swojego. Upłynęły tygodnie, zanim zdał sobie sprawę, że jego brak wyobraźni przyczynił się do znacznego wzbogacenia pewnej nielegalnej przybrzeżnej stacji nadawczej, która kupiła kod od chłopców.

Kiedy konferencja się skończyła, w Tokio była 8.30 rano, poniedziałek. Legalne prośby o zezwolenie na odtwarzanie i reklamowanie muzyki ET zaczęły napływać do ISAS prawie natychmiast. Dyrektor Instytutu odsyłał zainteresowanych do sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, powołując się na dawne ustalenia, według których przekazy wychwycone przez program SETI są własnością ludzkości.

Anne Edwards, słuchając tego przez radio podczas przygotowywania kolacji, była oburzona.

– To my zapłaciliśmy za ten cholerny program. Cała forsa była nasza. SETI wymyślili Amerykanie. Jeśli już ktokolwiek miałby na tym zarobić, to nie ONZ, tylko USA, a już na pewno nie Japonia!

George prychnął kpiąco.

– Tak, tak, jesteśmy tego tak bliscy, jak Carl Sagan, a on nie żyje od lat. Oczywiście – dodał nieco przymilnym tonem – właśnie dlatego byłoby wspaniale, gdybyśmy...

– Nie zaczynaj ze mną, George.

– Brak ci jaj.

Anne odwróciła się powoli od zlewu i spojrzała z ukosa na swojego ukochanego od czterdziestu lat męża. Wytarła ręce i oparła je na ladzie.

– Odpięprz się i zdechnij – powiedziała ze złowieszczym uśmiechem. George roześmiał się, co ją jeszcze bardziej rozżłościło. – Och, George, bądź poważny! Zostawić wszystkich, których się zna i kocha...

– Tak jest. A jeśli nawet wrócimy żywi, wszyscy, których znaleźmy, będą martwi! – zawołał wojowniczym tonem. – No i co z tego? I tak każdy musi umrzeć. Chcesz się pałętać po świecie i przyglądać, jak umierają? – Anne zamruwała. – Posłuchaj. Kiedy twoi pradziadowie przyплыnęli tu z Europy, to tak, jakby przybyli na inną planetę. Oni też zostawili tam wszystkich, których znali! Zresztą... Anne, kogo byśmy zostawili? Nasi rodzice nie żyją. Nie mamy dzieci. Na miłość boską, nie mamy nawet kota!

– Mamy siebie... – powiedziała Anne obronnym tonem.

– I właśnie dlatego byłoby cudownie, gdybyśmy...

– Och, Boże. Przestań, dobrze? Po prostu przestań. – Odwróciła się z powrotem do zlewu. – Zresztą i tak nie wyślą takich dwóch starych przyków, jak my.

– Chcesz się założyć? – zapytał, a ona dosłyszała w jego głosie nutę samozadowolenia. – Księża też nie będą dziećmi. A dziś sześćdziesiątka na karku to nie to samo, co kiedyś.

– Przestań, do jasnej cholery! Mam tego naprawdę dość! – krzyknęła, obracając się gwałtownie. – Przysięgam, jeśli powiesz, że jestem piękna, kiedy się wściekam, to ci wypruję flaki! – warknęła, wymachując deserowym widelczykiem. – W porządku. Pofantazjuj sobie, jeśli ci to sprawia radość. Baw się dobrze. Ale... George – czy jej spowaźniały – a jak naprawdę dostaniemy propozycję? Jeśli o mnie chodzi, odpowiedź brzmi „nie”. I na tym koniec.

Tego wieczoru kolacja w domu Edwardsów była wyjątkowo cicha.

Pod koniec tej długiej niedzieli Jimmy został wezwany do biura Masao Yanoguchiego, który zwrócił uwagę na jego komicznie pomięte ubranie i czerwone obwódki wokół oczu i ocenił, że młodzieniec nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Wskazał mu ręką fotel i obserwował, jak członki i tułów Quinna składają się dziwacznie, żeby dopasować się do siedzącej pozycji. Monitor dyżurny na biurku Yanoguchiego był otwarty.

– Panie Quinn, panią Mendes i pana Edwardsa znam. Domyślam się, że doktor Edwards jest żoną pana Edwardsa. Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim jest E.J. Sandoz?

– To mój przyjaciel, panie doktorze, ksiądz. Wszyscy są moimi przyjaciółmi. Przepraszam. Powinienem najpierw do pana zadzwonić, ale była czwarta nad ranem, a ja nie byłem pewny na sto procent...

Yanoguchi pozwolił, aby w pokoju zapanowała cisza. Jimmy okręcał sobie zegarek wokół nadgarstka, nieświadomie naśladując Sofię. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę, a potem zerknął na Yanoguchiego, ale prawie natychmiast opuścił oczy.

– Obawiałem się, że mogę się mylić, i chciałem, żeby ktoś jeszcze tego posłuchał... – Urwał i znowu spojrzął na szefa, ale tym razem wytrzymał i patrzył na niego, mówiąc: – To nieprawda. Wiedziałem. Byłem pewny. Po prostu chciałem podzielić się tym najpierw z moimi przyjaciółmi. Oni są dla mnie jakby rodziną. Wiem, że to nie jest żadne usprawiedliwienie. Złożę rezygnację, panie doktorze. Bardzo mi przykro.

– Przyjmuję pana usprawiedliwienie, panie Quinn. – Yanoguchi zamknął dyżurny komputer i wziął z biurka jakąś kartkę. – Pani Mendes przekazała mi tę notatkę. Doradza, by ograniczyć program AI do pytań i odpowiedzi. Zamierzam się zgodzić. Dzięki pana sugestii, by program potraktować konkurencyjnie, przyniesie to Instytutowi godne uwagi oszczędności. – Odłożył notatkę. – Chciałbym, żeby pan kontynuował współpracę z panią Mendes, chociaż nie wróci pan na swoje dotychczasowe stanowisko. – Obserwował, jak Quinn usiłuje opanować swoją reakcję, i zadowolony z samodyscypliny młodzieńca, ciągnął dalej: – Od jutra rana będzie pan nadzorował nieprzerwane monitorowanie źródła tej transmisji. Dostanie pan pięciu ludzi. Nieprzerwana, całodobowa obserwacja, dwuosobowe zmiany. Chciałbym, żeby pan koordynował taką samą obserwację w Barstow i innych radioteleskopach.

Wstał, a Jimmy też zerwał się na równe nogi.

– Moje gratulacje, panie Quinn. To historyczne odkrycie.

Sklonił się ceremonialnie, z rękami przy bokach; później Jimmy zdał sobie sprawę, że ten gest zaskoczył go bardziej niż cokolwiek innego w tym dniu. – Proszę mi pozwolić odwiedzić się do domu – zaproponował Yanoguchi. – Sądzę, że nie powinien pan prowadzić. Jutro rano każę mojemu szoferowi, by pana zabrał. Może pan zostawić tutaj samochód na noc.

Jimmy był zbyt oszołomiony, by coś odpowiedzieć. Masao Yanoguchi roześmiał się i poprowadził go do pomieszczeń parkingowych.

Tej nocy, po raz drugi w ciągu dwu ostatnich nocy, Emilio Sandoz nie mógł zasnąć.

Korzystał z tego mieszkania za darmo, bo dom położony był zbyt blisko groźnego oceanu i od dawna nikt nie chciał go wynająć. Tej nocy, jak zawsze samotny w maleńkiej sypialni, Emilio wpatrywał się w popękany i poplamiony sufit, upiększony refleksami księżycowego blasku odbijającego się od morza, i wsłuchiwał się w hipnotyczny szum fal. Wiedział, że sen nie nadejdzie szybko, i nie zamykał oczu, by go zwabić.

Był przygotowany na noce takie jak poprzednia. „Na świecie żyje mnóstwo ludzi”, ostrzegął go kiedyś D.W. Yarbrough. „Zdarza się, że ktoś z nich zaczyna ci być bardzo potrzebny. To pewne jak amen w pacierzu, synu”. Tak więc zanim jeszcze poznał Sofię Mendes, wiedział, co go może w życiu spotkać. Nie okłamywał sam siebie, po prostu pogodził się z tym, że musi upłynąć trochę czasu, zanim zdoła na tyle opanować naturalną reakcję na to spotkanie, by pozostać wierny ślubom, jakie złożył.

Nigdy nie buntował się przeciw tym ślubom. Zaakceptował je jako istotny element powołania do apostołatu – gotowość do służenia w każdej chwili duszom potrzebującym pomocy – i kiedy nadszedł czas, potraktował je bardzo poważnie. Ale nie wówczas, gdy miał piętnaście lat, kiedy to wszystko się zaczęło. Gdyby mu wtedy ktoś powiedział, że warto zostać księdzem, wyśmiałyby go jako głupca. Och, oczywiście, kiedy wpadł w tarapaty, D.W. pomógł mu oczyścić się z zarzutów i wyłowił go z odmętów życia, zanim stało się coś gorszego, i Emilio był mu za to wdzięczny, ale z początku zamierzał tylko przeczekać do czasu uzyskania pełnoletności, a potem robić to, co mu się będzie podobało. Pojechać do Nowego Jorku. Poszaleć. Może zająć się boksem. Waga piórkowa. Półśrednia, gdyby mu się udało trochę przytyć.

Pierwsze miesiące w jezuickim kolegium były dla niego wstrząsem. W nauce wszyscy go wyprzedzali, natomiast pod względem doświadczenia życiowego wyraźnie przerastał innych. Niewielu chłopców chciało z nim rozmawiać, częściej spotykał się z kpinami, na które reagował dość gwałtownie. D.W. wymógł na nim tylko jedną obietnicę: żeby nikogo nie pobił. „Po prostu panuj nad swoimi rękami, *mano*. Dość już bijatyk. Weź się w garść i trzymaj”.

Nikt z rodziny nigdy do niego nie pisał ani nie telefonował, nikt go nie odwiedzał. Pod koniec pierwszego semestru dowiedział się od D.W., że jego brata uniewinniono, ale że wciąż obwinia Emilia za to, co się stało. No i dobrze, pieprzę go, gównu mi może zrobić, myślał wzburzony, przysięgając sobie, że już nigdy się nie rozplacze. Tamtej nocy przelazł przez mur i ruszył w miasto. Znalazł sobie jakąś dziwkę. Wrócił rozbity, ale zbuntowany. Jeśli nawet ktoś to zauważył, nie było na ten temat mowy.

Burze zaczęły przycichać pod koniec drugiego roku studiów. Poddał się spokojnemu rytmowi uporządkowanego życia w internacie. Bez kryzysów, bez nagłych lęków, bez strzelaniny i płakania po nocach. Bez bójek. Każdy dzień zaplanowany, bez niespodzianek. Prawie wbrew sobie robił znaczące postępy w łacinie. Dostał nawet nagrodę. „Za wybitne osiągnięcia”. To ładnie brzmiało. Lubił to sobie powtarzać w myślach.

Pod koniec junioratu miał niezłe wyniki w nauce, choć nieustannie spierał się z księżmi. Religia wydawała mu się kompletną bzdurą; zaskoczyło go, kiedy ojcowie bez żenady przyznali, że wiele budujących opowieści to fantazja dla maluczkich. Znając już jego charakter, zachęcali go jednak do samodzielnego przedzierania się przez „to gównno”, jak nazywał religię, do odnajdywania rdzenia prawdy, pieczołowicie strzeżonego i oferowanego coraz to nowym pokoleniom.

W miarę upływu czasu zaczął odczuwać, jakby coś w jego piersi tajało, jakby puściło coś, co do tej pory trzymało jego serce w bolesnym uścisku. A potem, pewnej nocy, nawiedził go krótki sen bez słów, w którym ujrzał rozkwitającą różę, rozchylającą płatek po płatku z ciasno stulonego pąka, a kiedy się obudził, wstrząśnięty tym snem, poczuł, że twarz ma mokrą od przelanych we śnie łez.

Nie opowiedział o tym śnie nikomu, sam starał się o nim zapomnieć. Ale kiedy miał siedemnaście lat, wstąpił do nowicjatu.

Wielu było tym zaskoczonych, ale w opinii D.W. Yarbrougha Emilio miał wiele wspólnego z owym baskijskim żołnierzem, który w XVI wieku założył Towarzystwo Jezusowe. Podobnie jak Ignacy Loyola, Emilio Sandoz poznał okrucieństwo życia, śmierć i parszywy strach, a kiedy przeminęły dni milczenia podczas Długich Rekolekcji, miał już za sobą głębokie wewnętrzne doświadczenia, które mógł rozważać w swym sercu.

Wszystko, co odstraszało innych młodzieńców od kapłaństwa, dla niego było dobrodziejstwem: *ordo regularis*, rytm roku liturgicznego, spokój, świadomie przeżywana celowość. Nawet celibat. Spoglądając wstecz na jego rozwichrzoną młodość, można było bowiem stwierdzić, że nigdy nie zaznał seksu, który nie byłby manifestacją siły, pychy lub pozbawionej uczuć żądzy. Łatwo mu przychodziło uwierzyć, że życie w celibacie jest charyzmatem – szczególnym rodzajem łaski. I tak to się zaczęło: po nowicjacie studia klasyczne i humanistyczne, potem filozofia. Praktyka nauczycielska w jednej z zakonnych szkół wyższych. Dziesięć lat studiów teologicznych, zakończonych święceniemi, potem okres tercjatu i w końcu śluby wieczyste. Z tych, co zaczęli z nim formację jezuicką, pozostało mniej niż jedna trzecia. Ku zaskoczeniu wielu, którzy go znali jako chłopca, Emilio Sandoz był wśród tych, którzy pozostali.

A jednak, przez te wszystkie lata przygotowań, modlitwą, która znajdowała najsilniejszy oddźwięk w jego duszy, był okrzyk: „Panie, wierzę. Pomóż mi w mojej niewierze”.

Życie Jezusa głęboko go poruszało; z drugiej strony wydawało mu się, że cuda są przeszkodą dla wiary, i tłumaczył je sobie w racjonalny sposób. Jakby było tylko siedem chlebów i siedem ryb. Może cudem było to, że ludzie dzielili się z obcymi tym, czym mieli, rozmyślał w ciemności.

Był świadom swojego agnostycyzmu i zbyt nie przejmował. Zamiast zaprzeczać istnieniu czegoś, czego sam nie potrafił doświadczyć, uznał autentyczność swojej niepewności, a kiedy ogarniały go poważniejsze wątpliwości, po prostu się modlił. Ostatecznie to Ignacy Loyola, żołnierz, który uprzednio zabijał, uprawiał rozpustę i czynił spustoszenia w swojej duszy, powiedział, że modlitwę można ocenić po tym, czy człowiek zachowuje się po niej przyzwoicie i myśli jaśniej. A D.W. powiedział mu kiedyś: „Synu, czasami wystarczy po prostu nie zachowywać się jak skurwysyn”. Korzystając z owej swojskiej, choć może trochę nieeleganckiej normy, Emilio Sandoz wierzył, że jest człowiekiem Bożym.

Tak więc, żywiąc nadzieję, że kiedyś odnajdzie w swojej duszy to miejsce, które teraz pozostawało dla niego niedostępne, zadowalał się tym, w którym się znajdował. Nigdy nie prosił Boga, by udowodnił swoje istnienie Emiliowi Sandozowi tylko dlatego, że ten nie zachowuje się jak skurwysyn. Prawdę mówiąc, nigdy o nic nie prosił. Uważał, że powinien być wdzięczny za to, co już otrzymał, bez względu na to, czy Bogu potrzebna jest jego wdzięczność, a nawet czy ten Bóg w ogóle istnieje.

Leżąc w łóżku w ową ciepłą sierpniową noc, nie odczuwał żadnej Obecności. Nie docierał do niego żaden Głos. Czuł się tak samotny we wszechświecie, jak zawsze. Zaczęła go jednak nawiedzać uparta myśl, że jeśliby już ktoś pragnął znaku od Boga, to tego ranka w Arecibo Emilio Sandoz otrzymał znak, który był niczym cios w twarz.

Potem usnął. Tuż przed świtem miał sen. Siedział w jakimś ciemnym, ciasnym miejscu. Był sam, w dojmującej ciszy, tak że słyszał swój oddech i śpiewne pulsowanie krwi w uszach. Potem zaczęły się otwierać jakieś drzwi, których istnienia wcześniej nie podejrzewał; dostrzegł za nimi jasność.

Ten sen najpierw natchnął go otuchą, a potem przez wiele lat nawiedzał go złowrogim wspomnieniem.

13

ZIEMIA

sierpień-wrzesień 2019

Anne Edwards właśnie kończyła poranne przyjmowanie pacjentów, kiedy dostrzegła Emilię krążącego przed otwartymi drzwiami kliniki. Przez chwilę wahała się, ale potem wyszła do maleńkiej recepcji.

– Jesteś na mnie zła? – zapytał, nie wchodząc do środka.

– Tak, jestem zła – odpowiedziała zgryźliwym tonem, wycierając rękę i podchodząc do drzwi. – Tylko nie bardzo wiem na kogo.

– Może na Boga?

– Lubię cię bardziej, kiedy nie pakujesz Boga do każdej rozmowy – mruknęła Anne. – Zjesz ze mną lunch? Mam pół godziny i idę do domu. Zostało trochę makaronu.

Wzruszył ramionami i cofnął się, aby ją przepuścić. Zamknęła drzwi i wspięli się po osiemdziesięciu schodkach do domu Edwardsów; Anne przerywała milczenie tylko po to, aby odpowiadać na powitania ludzi, których mijali. W domu przeszli od razu do kuchni, gdzie Emilio przysiadł w kącie na stołku, obserwując Anne krzątającą się przy ladzie.

– Po tym, jak się ludzie zachowują, często trudno powiedzieć, czy wierzą w Boga, czy nie wierzą – zauważył ni stąd, ni zowąd. – A ty wierzysz, Anne?

Uruchomiła wiekową mikrofalówkę i odwróciła się do niego, przechylając przez ladę i patrząc mu w oczy po raz pierwszy od chwili spotkania go przed kliniką.

– Wierzę w Boga podobnie, jak wierzę w kwarki – odrzekła chłodno. – Ludzie, którzy zajmują się fizyką kwantową, mówią mi, że istnieją powody, by wierzyć w kwarki i w Boga. Mówią też, że gdybym chciała poświęcić życie na poznanie tego, co oni poznali, doszłabym do istnienia kwarków i Boga tak jak oni.

– Myślisz, że mówią prawdę?

– To dla mnie rock and roll.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się, by wyciągnąć z kuchenki talerze i postawić je na stole. Lekko zeskoczył ze stołka i poszedł za nią do jadalni. Usiedli i zaczęli jeść. Przez otwarte okna napływały odgłosy z sąsiednich domów.

– A jednak – powiedział Emilio – zachowujesz się jak ktoś, kto jest dobry i ma zasady moralne.

Spodziewał się wybuchu, który rzeczywiście nastąpił. Cisnęła widelec na talerz i wyprostowała się.

– Wiesz co? Naprawdę oburza mnie takie myślenie, że jeśli ktoś jest dobry i ma zasady moralne, to musi być człowiekiem wierzącym. Robię, co robię – powiedziała, cedząc każde słowo – nie spodziewając się ani nagrody, ani kary. Nie potrzebuję nieba ani piekła, nikt nie musi mnie przekupywać ani mi grozić, żebym się zachowywała przyzwoicie. Taka już jestem.

Pozwolił jej ochłonąć na tyle, że wzięła widelec i znowu zaczęła jeść.

– Oto kobieta z honorem – zauważył, pochylając głowę z szacunkiem.

– Odpieprz się – mruknęła, wpatrując się w talerz i dziobiąc widelcem kawałek makaronu.

– Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślisz – powiedział łagodnie, ale nie rozwinął tego, kiedy podniosła głowę i spojrzała na niego, przelękając z trudem. Odstawił talerz gestem człowieka, który zabiera się do rzeczowych negocjacji.

– W ciągu ostatnich kilku tygodni odwaliliśmy kawał porządnej roboty. Nasi fizycy potwierdzili praktyczność użycia asteroidu jako środka transportowego, a do Alfy Centaura rzeczywiście można dotrzeć w ciągu osiemnastu lat. Dowiedziałem się, że gdyby Jupiter i Saturn były na tyle wielkie, by mogła w nich trwać nieprzerwana synteza, nasz system słoneczny mógłby przypominać trzy słońca Alfy Centaura. Plan polega więc na tym, by dotrzeć do systemu i rozejrzeć się za stałymi planetami na orbicie odpowiadającej układowi Ziemia-Mars, między słońcem a tymi gazowymi gigantami. – Anne odchrząknęła: brzmiało to rozsądnie. Obserwując uważnie jej reakcję, ciągnął dalej: – George już opracował technikę wirtualną, która pomoże nam ustalić parametry ruchu planety. Można je będzie koordynować monitoringiem radiowym, kiedy już tam będziemy.

Spodziewał się zaskoczenia i gniewu. Ujrzał rezygnację. Nagle przyszło mu do głowy, że George może porzucić Anne, a ona może mu na to pozwolić. To go zmroziło. Poza swoimi szerokimi i pożytecznymi kwalifikacjami zawodowymi Anne i George Edwardsowie dysponowali głęboką mądrością, a jako para mieli za sobą razem ponad sto dwadzieścia lat bogatego doświadczenia życiowego, połączonego z wytrzymałością fizyczną i równowagą emocjonalną. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że jedno z nich mogłoby pójść swoją drogą.

Od chwili, w której zaproponował podjęcie misji, wciąż zdumiewała go szybkość, z jaką to wszystko się potoczyło. Zaczęło się od śmiechu, prawie żartu, a już po kilku godzinach wyzwoliło prawdziwą lawinę wydarzeń, zmieniając życie wielu ludzi, uruchamiając zdumiewające sumy pieniędzy. A jeśli nawet szybkość, z jaką potoczyły się wydarzenia, nie dotyczyła w znacznej mierze jego samego, to czuł się miażdżony precyzją funkcjonowania raz uruchomionej maszyny. Nękała go bezsenność, bo nie był w stanie ustalić, z czym trudniej jest żyć: z myślą, że to on sam wszystko uruchomił, czy z możliwością, że uczynił to Bóg. Jediną ulgę w tych nocnych rozmyślaniach dawała mu refleksja, że ostatecznie decyzje podejmują mądrzejsi od niego. Jeśli nie potrafił zawierzyć samemu Bogu, który pozostawał niepoznawalny, mógł zaufać strukturze Towarzystwa Jezusowego i swoim przełożonym – D.W. Yarbroughowi i ojcu generałowi da Silvie.

Ale teraz znowu naszły go wątpliwości. A jeśli wszystko to jest pomyłką, a ceną za nią będzie rozpad małżeństwa Edwardsów? I zaledwie o tym pomyślał, natychmiast poczuł tchnienie jakiegoś dziwnego spokoju, który ostatnio go nawiedzał. Poczł pewność: jeśli dojdzie do wyprawy, Anne i George będą w niej uczestniczyć. I kiedy znowu przemówił, jego głos zabrzmiał spokojnie i rozsądnie.

– Towarzystwo nigdy by się nie zgodziło na misję samobójczą, Anne. Jeśli teraz nie będzie można podjąć wyprawy z powodu braku dostatecznej pewności co do jej powodzenia, będziemy po prostu czekać, dopóki taka szansa nie zaistnieje. Już teraz plany przewidują zaopatrzenie na dziesięć lat, na wypadek gdyby subiektywny czas podróży okazał się dłuższy, niż zakładają fizycy. Specyfikacja wymaga asteroidu odpowiednio dużego, by zabezpieczyć masę paliwa niezbędnego na podróż w obie strony, plus dodatkowe sto procent. Kto wie? Może atmosfera na planecie nie będzie się nadawała do oddychania, może się okazać, że lądowanie nie będzie możliwe. Jeśli tak będzie, zbierzemy tyle informacji, ile się da, i wrócimy.

– Co to znaczy „my”? To już ustalone? Czy ty polecisz?

– Ostateczne decyzje dotyczące składu załogi nie zostały jeszcze podjęte. Ale w końcu ojciec generał jest człowiekiem głęboko religijnym – powiedział nieco ironicznym tonem – i chyba dostrzegł w tym odkryciu palec Boży. – Spostrzegł, że znowu się zachmurzyła, i roześmiał się. – W każdym razie byłoby logiczne wyznaczyć kogoś takiego jak ja. Jeśli nawiązanie kontaktu ze Śpiewakami jest w ogóle możliwe, lingwista chyba będzie potrzebny.

Chciał jej powiedzieć, jak bardzo mu zależy na jej udziale w wyprawie, ale uznał, że jeszcze nie czas. Odsunął krzesło od stołu, wstał, zebrał brudne talerze i zaniósł je do kuchni. Stamtąd, dla niej niewidoczny, zawołał:

– Anne, mogę cię o coś prosić?

– O co? – zapytała podejrzliwie.

– Oczekuję odwiedzin starego przyjaciela. Mogłabyś go ugościć?

– Do jasnej cholery, Emilio! Czy w Puerto Rico nie ma restauracji?

Nie zamierzam żywić każdego bezdomnego kota na tej wyspie.

Wyszedł z kuchni i oparł się o framugę drzwi, skrzyżowawszy ręce na piersi. Za dobrze ją znał.

– No dobra, kto to taki? – zapytała szorstko.

– Nowoorleański prowincjał Towarzystwa Jezusowego, Dalton Wesley Yarbrough z Waco w Teksasie, Watykanu południowych baptystów – oznajmił uroczystym tonem, jak mistrz ceremonii zapowiadający wkroczenie ważnej osobistości na salę balową.

Złapała się za głowę, uznając się za pokonaną.

– Barbecue. Placki zbożowe. Młoda kapusta, czerwona fasola i arbuż. Do tego Carta Blanca. Dlaczego ja nie potrafię odmawiać? Mam jakiś cholerny pociąg do gotowania dla obcych.

– Więcej luzu, *madame* – powiedział Emilio Sandoz z teksańskim akcentem. – Nie zwali się tu kupa gości, tylko sam wielbny D.W. Yarbrough.

Roześmiała się, sięgnęła ręką za siebie, wyłowiła jakiś tom w twardej oprawie i cisnęła w niego. Złapał go jedną ręką i natychmiast odrzucił w jej stronę. O misji już nie rozmawiali, ale zapanowało zawieszenie broni.

– Doktorze Quinn, Elaine Stefansky twierdzi, że transmisja ET to oszustwo. Może pan to skomentować?

Jimmy'ego przestał już zaskakiwać widok reporterów czyhających na niego pod domem o ósmej rano i nie dziwiło go już, że tytułują go doktorem. Przepchnął się przez tłum i ruszył do swojego forda.

– Bez komentarza – rzucił, wciskając się do samochodu. Dziennikarze otoczyli samochód, wykrzykując pytania i celując w niego kamery. Jimmy opuścił szybę. – Hej, naprawdę nie chciałbym przejechać komuś stopy! Możecie się trochę cofnąć? Muszę jechać do pracy.

– Dlaczego nie było więcej transmisji?

– Czy dlatego, że przestali nadawać, czy my ich nie słuchamy?

– Ależ słuchamy, słuchamy – zapewnił ich Jimmy. Czując na karku przyspieszone oddechy całej społeczności uczonych i sporej części ludzkości, Jimmy zdołał już zorganizować stały nasłuch radiowy z różnych punktów. Nowych transmisji nie było. – Sami też nadajemy, ale minie blisko dziewięć lat, minimum, zanim zorientujemy się, czy zauważyli, że wrzeszczymy i wymachujemy rękami – powiedział, podnosząc szybę.

– Doktorze Quinn, czy słyszał pan o mongolskich śpiewakach humi? Stefansky twierdzi, że to może być ich muzyka, trochę zmieniona i zagnieżdżona w pliku SETI. Czy to prawda?

– Co pan myśli o muzyce sufich, doktorze Quinn?

W mediach pojawiło się już mnóstwo sceptyków, oferujących alternatywne wyjaśnienia, eksperymentujących z różnymi mało znanymi tradycjami ludowymi, odtwarzających muzykę od tyłu albo zmieniających częstotliwość, byle tylko wykazać, jak obco może brzmieć muzyka ziemiska, zwłaszcza jeśli się ją podda elektronicznej obróbce.

– No cóż, to wszystko brzmi dziwnie – odpowiedział Jimmy, wciąż nie mogąc się zdobyć na gwałtowny odjazd – ale żaden z tych dźwięków nie przypomina tego, co złapaliśmy. I nie jestem doktorem, rozumiemy się?

Przepraszając głośno, wyprowadził samochód z tłumy, a potem ruszył ku Arecibo, gdzie czekał na niego inny tłum.

W końcu media zajęły się innymi sprawami. Radioteleskopy na całym świecie wróciły do programów, nad którymi pracowały przed 3 sierpnia. Tylko w Rzymie trwał alert, zakodowane przekazy wciąż krążyły po jezuickiej sieci, od ojca generała do prowincjałów, od prowincjałów do rektorów, od rektorów do poszczególnych księży. Przygotowywano wiele praktycznych decyzji, organizowano naukowe zespoły.

Tomas da Silva, trzydziesty pierwszy generał Towarzystwa Jezusowego, wierzył niezachwianie w autentyczność sygnału. Teologiczne podstawy takiej misji wypracowano wiele dziesiątków lat wcześniej, zanim odkryto jakiegokolwiek ślady istnienia inteligencji pozaziemskiej: sama refleksja nad skalą Działa Stworzenia wiodła do wniosku, że istoty ludzkie nie były jego jedynym celem. Teraz pojawił się dowód. Bóg ma jeszcze inne dzieci. A kiedy nadszedł czas podjęcia decyzji na podstawie tej wiedzy, Tomas da Silva zacytował dumnie, ale pozbawione patosu słowa Emilia Sandoza, z którym rozmawiał dzień po odkryciu: „Po prostu nie ma alternatywy. Musimy ich poznać”.

30 sierpnia 2019 roku jego osobisty sekretarz, Peter Lynam, ośmielił się otwarcie wyrazić swoje obiekcje, ale ojciec generał tylko się uśmiechnął i powiedział:

– Czy zauważyłeś, Peter, że te wszystkie rodzaje muzyki, które brzmią podobnie do naszego pozaziemskiego sygnału, są sakralne z samej swojej natury? – Da Silva był bardzo uduchowioną osobą i prawie całkowicie pozbawioną instynktu biznesmena. – Sulicka, tantrycka, humi. To bardzo intrygujące.

Peter Lynam nie próbował z tym polemizować, ale było oczywiste, że uważa cały projekt za coś w rodzaju poszukiwania Arki Noego. A już na pewno trapiły go rosnące koszty całego przedsięwzięcia.

Widząc, że jego sekretarz z trudem powstrzymuje krytyczne uwagi, Tomas da Silva roześmiał się, wznosił palec wskazujący i oświadczył:

– *Nos stulti proptur Christum.*

Cztery godziny później, ku rozgoryczeniu Petera Lynama i zachwytowi Tomasa da Silvy, zarejestrowano drugą transmisję.

Mimo ogólnego osłabienia zainteresowania sygnałami ET, tę nową transmisję wychwyciło kilka radioteleskopów. Słowo „oszustwo” zostało raz na zawsze usunięte z dyskusji o pozaziemskiej muzyce. A tych niewielu, którzy znali skalę planów Towarzystwa Jezusowego, poczuło wielką ulgę, po której ogarnęło ich prawdziwe podniecenie.

Ostatecznie to nie George czy Emilio przekonali Anne Edwards do zaakceptowania ich wspólnego planu. Spowodował to wypadek autobusowy.

Kierowca jadącego na wschód tira na zakręcie odbił krótko w lewo, by ominąć spory kamień, ale później zbyt gwałtownie skręcił w prawo i wpadł w poślizg. W tym samym czasie zza zakrętu wyjechał autobus zmierzający na zachód. Ciężarówka przejechała po całym boku autobusu. Kierowca tira zGinał na miejscu. Dwunastu pasażerów zmarło przed przybyciem karettek, pięćdziesięciu trzech odniosło poważniejsze obrażenia, a sporo było takich, co wpadli w histerię. Kiedy Anne odebrała telefon i przyjechała do szpitala, w holu było już pełno zszokowanych krewnych i adwokatów.

Najpierw pomogła w rozpoznaniu przypadków, potem ruszyła do gabinetu pourazowego, gdzie część personelu usiłowała uratować życie sześćdziesięcioletniej kobiecie z rozległymi urazami głowy. Anne rozmawiała już w holu z jej mężem. Byli turystami z Michigan.

– Ustąpiłem jej miejsca przy oknie, żeby lepiej widziała. Siedziałem przy niej, po prawej stronie. – Wciąż dotykał dłonią twarzy, w miejscu, gdzie została zraniona jego żona. – Ta wycieczka to był mój pomysł. Chciała jechać do Phoenix, do wnuków. Mówię jej, zróbmy raz coś innego. Zawsze jeździmy do Phoenix.

Anne mruknęła coś pocieszającego i szybko zajęła się kimś innym.

O świcie sytuacja była już opanowana. Pacjentów podzielono na grupy: jednych przekazano krewnym i opiekunom, innych umieszczono na oddziale intensywnej terapii, jeszcze innych przewieziono do kostnicy. Wychodząc ze szpitala, Anne spojrzała przypadkiem przez jedne z otwartych drzwi i zobaczyła owego mężczyznę z Phoenix, siedzącego przy łóżku swojej żony; jego twarz poznaczona była czerwonymi refleksami od wskaźników aparatów, do których podłączono chorą. Anne chciała powiedzieć mu coś pocieszającego, ale po wielogodzinnym wysiłku jedyne zdanie, jakie jej przyszło do głowy, brzmiało: „Następnym razem niech pan jedzie do Phoenix”, co z pewnością nie byłoby stosowne. Potem, nie wiadomo dlaczego, przypomniała sobie końcową scenę z *Cyganerii*. Posłuszna libreciście Pucciniego położyła mężczyźnie rękę na ramieniu i szepnęła:

– Odwagi.

Kiedy wróciła do domu, George, już ubrany, czekał na nią z kawą, ale postanowiła najpierw zmyć z siebie tę noc i trochę się przespać. Stojąc pod prysznicem, spojrzała na swoje nagie ciało i przypomniała sobie ową kobietę z urazem głowy. Wyglądała nieźle, jak na swój wiek, i mogła jeszcze żyć długo, ale kiedy jej wnuki dorosną, ona nie będzie o tym wiedzieć. W jednej minucie znajdowała się w stanie Puerto Rico, w następnej była już w stanie Permanentnych Warzyw. Jezu, pomyślała Anne, wzdrygając się.

Wytarła się i wyszła z kabiny. Wkroczyła do jadalni z głową owiniętą ręcznikiem, w miękkim szlafroku otulającym jej mocne ciało tancerki, i usiadła przy stole naprzeciw George’a.

– No dobra – powiedziała. – Wchodzę w to.

Dobre kilka chwil zajęło mu zrozumienie, o co jej właściwie chodzi.

– No co się tak gapisz – dodała, widząc, że wreszcie zrozumiał. – To chyba lepsze od nie do końca udanej śmierci w autobusie podczas wakacji.

13 września Jean-Claude Jaubert otrzymał przez e-mail prośbę o połączenie AV6 w celu przedyskutowania wykupienia pozostałego czasu Sofii Mendes, wynikającego z kontraktu. Prośba nie była podpisana i Jaubert, nie widząc żadnych referencji, zgodził się jedynie na elektroniczne połączenie, wiedząc, że będzie można zdekodować właściciela konta za pomocą innych serwerów. Jaubert nie był przestępcą, ale pracował w branży, w której łatwo o zazdrość, gwałtowne uczucia i nużące dyskusje. Nigdy za wiele ostrożności.

Nawiąawszy kontakt na własnych warunkach, zaczął od wzmianki o stracie, którą ostatnio poniósł przez panią Mendes, co spowodowało automatyczne przedłużenie okresu obowiązywania kontraktu. Czy negocjator jest w stanie odkupić prawa na siedem i pół roku? Negocjator wyraził zainteresowanie. Jaubert wymienił cenę i stopę procentową, zapewniając, że koszty zamortyzują się w ciągu dziesięciu lat. W odpowiedzi nadeszła niższa kwota, ale płatna gotówką. Po uzgodnieniu ceny Jaubert dodał, że wolałby, rzecz jasna, dolary singapurskie. Nastąpiła krótka zwłoka, a po niej oferta w złotych. Tym razem Jaubert musiał się zastanowić. Waluta polska była niestabilna, ale pojawiała się interesująca możliwość szybkiego zarobku przy umiejętnej operacji walutowej. Zgodził się i zaakceptował umowę. Obserwując pojawiające się na ekranie cyfry, Jean-Claude Jaubert poczuł się o wiele bogatszy. *Bonne chance, ma chérie*, pomyślał.

14 września zarejestrowano trzeci przekaz z Alfy Centaura, w piętnaście dni po pierwszym. Świątujący sukces pracownicy Radioteleskopu Arecibo zapomnieli o pierwszych reakcjach, jakie wzbudziła w nich ta drobna, lodowata kobieta, która zagroziła ich stanowiskom, i urządzili jej małe przyjęcie pożegnalne. George Edwards zorganizował zaopatrzenie i kafenię odwiedziło całkiem sporo ludzi, by zjeść kawałek pizzy albo tortu i życzyć Sofii Mendes powodzenia. Byle gdzie indziej, jak najdalej od Arecibo, dodawali w duchu, uśmiechając się dobroduszenie. Sofia przyjmowała te dwuznaczne życzenia z chłodną gracją, ale nie sprawiała wrażenia zadowolonej z tego, że odchodzi. Jej kontraktowe zobowiązania wobec doktora Yanoguchiego wygasły, więc w końcu pożegnała się z Jimmym Quinnem i podziękowała George'owi Edwardsowi, prosząc go, by przekazał od niej najlepsze życzenia żonie i doktorowi Sandozowi. George, uśmiechając się tajemniczo, wyraził nadzieję, że wszyscy i tak kiedyś się spotkają, w ten lub inny sposób.

Wróciwszy do swojego apartamentu, padła na łóżko, dopiero teraz czując straszliwe wyczerpanie po wielu tygodniach harówki i całą siłą woli powstrzymując łzy. Ależ to nonsens, powtarzała sobie, weź się w garść. Pozwoliła sobie jednak na dzień odpoczynku, zanim poinformowała Jauberta, że jest gotowa do następnego zadania. Już w sierpniu powiadomił ją o szykującym się projekcie jezuickim dotyczącym asteroidów. Uznała to za ciekawą pracę. Nienawidziła swojej sytuacji, ale potrafiła dostrzec jej dobre strony.

Ku głębokiej konsternacji Sandoza, jezuici zgodzili się wynająć jej usługi tylko przez Jauberta. Zdumiała się, widząc, jak bardzo to nim wstrząsnęło. Biznes to biznes, powiedziała mu i przypomniała, jak sam mówił, że nie ma na nic wpływu. Zapewniła go, że nie pielęgnuje w sobie żadnych nadziei, więc z żadnymi nie musi się rozstawać. To spowodowało, że poczuł się jeszcze gorzej. Dziwny facet, pomyślała. Inteligentny, ale naiwny. I tak wolno reaguje na zmieniające się warunki. Jak większość ludzi.

Rozpuściwszy włosy, poszła do łazienki, zamierzając moczyć się w wannie tak długo, aż woda zrobi się letnia. Czekając, aż wanna napełni się wodą, sprawdziła, czy są dla niej jakieś godne uwagi wiadomości.

Przeczytała dwukrotnie transkrypt negocjacji i wciąż nie była w stanie uwierzyć w to, co widziała na ekranie. To na pewno Peggy Soong. Jak można być tak niegodziwym, tak okrutnym? Zaskoczona gwałtownością swojej reakcji, trzęsącymi się rękami zakręciła kurek, spięła włosy w kok i zasiadła przed monitorem, aby przedrzeć się przez kody i wysledzić źródło, próbując wyobrazić sobie, co by mogła zrobić tej kobiecie, żeby się odplacić za tak bezsensowne, tak bezduszne...

Ale już po kilku minutach stwierdziła, że Peggy w ogóle nie maczała w tym palców. Kod należał do Jauberta. Sama go napisała, we wczesnym okresie ich znajomości. Przez lata trochę go zmodyfikowano, ale swój styl mogła rozpoznać bezbłędnie.

Jeszcze raz uważnie przeczytała zapis negocjacji i stwierdziła, że transakcja została dokonana. Połączyła się z serwerem walutowym i zobaczyła, że Jaubert w jedną noc zarobił 2,3 procent, godząc się na złote. Dolar singapurski spadł; Jaubert, jak zwykle, miał szczęście. Nie mogła jednak wyśledzić źródła pieniędzy. Kto mógłby zrobić coś takiego, rozmyślała gorączkowo, teraz już bliska paniki. Jaubert był człowiekiem dość rozsądnym, nigdy od niej nie wymagał, żeby zrobiła coś odrażającego lub niezgodnego z prawem. Ale możliwość zawsze istniała.

Dokonano legalnego przejęcia praw do jej osoby. Przedzierała się przez cywilnoprawne paragrafy kontraktu, zarejestrowanego w Monako, zapytując się wciąż i wciąż: do kogo teraz należę? Co za wampir mnie posiadał? Wreszcie przeczytała ostatnią notę i opadła na oparcie z ręką przy ustach, z gardłem tak ściśniętym, że zaczęła się dusić.

Kontrakt wygasł. Nie masz agenta. Skontaktuj się bezpośrednio z dyrekcją.

Jakby z oddali usłyszała czyjś płacz. Jak w transie podeszła do okna i rozchyliła zasłony, szukając wzrokiem dziecka płaczącego gdzieś w pobliżu. Ale, oczywiście, nie było żadnego dziecka. Nie było nikogo. Stała chwilę przy oknie, a potem poszła do łazienki, żeby wytrzeć nos, obmyć twarz i pomyśleć, co teraz zrobić.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Anne Edwards podeszła do drzwi i zobaczyła Emilia. Stał za wysokim, szczupłym księdzem około pięćdziesiątki i wyglądał jakby znowu był chłopcem. Później, tego samego wieczoru, kiedy już byli sami w sypialni, wyznała George'owi słabym, zduszonym głosem, robiąc straszne zeza:

– To najohydniejszy człowiek, jakiego spotkałam w życiu. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale... och!

– A niech go szlag, teksański jezuita! Wyobrażałem sobie faceta z reklamy Marlboro, ubranego jak ojciec Guido Sarducci – wyszeptał George. – Jezu. W które oko mam ci spojrzeć?

– W to, które patrzy na ciebie – odpowiedziała stanowczo.

– Nie, ten D.W. naprawdę mi się spodobał, tylko przez całą kolację zastanawiałem się, czy bardzo by się obraził, gdybym mu nałożył jakąś torbę na głowę.

Nagle oboje wybuchnęli śmiechem i padli sobie w objęcia, próbując się nawzajem uciszyć, bo przyczyna ich wesołości znajdowała się dość blisko, w gościnnym pokoju.

– Och, Boże, jesteśmy podli – wysapała Anne, dusząc w sobie śmiech. – To okropne. Ale... niech to wszyscy diabli! To jedno oko, wędrujące sobie niezależnie od drugiego!

– Biedny skurczybyk – powiedział George łagodnie, starając się wykrzesać z siebie odrobinę współczucia. Zapanowała krótka cisza, w której oboje wyobrażali sobie D.W., z jego długim, złamanym, krzywym nosem i zezowatym, samodzielny okiem, szczerzącego dziwacznie powykrzywiane zęby.

– Nie jestem okrutna – wyszeptała Anne błagalnym tonem – ale bardzo bym chciała trochę go... uporządkować...

– Zgoda, ale może byśmy najpierw sami włożyli torby na głowy?

Anne, wyjąc ze śmiechu i trzymając się za brzuch, padła na łóżko i ukryła twarz w poduszce. George, już całkiem rozebrany, upadł obok niej.

Prawdę mówiąc, bawili się świetnie przez cały wieczór, ale nie kosztem D.W., w każdym razie do chwili, gdy znaleźli się sami w sypialni.

– Doktor Anne Edwards i pan George Edwards – przedstawił ich oficjalnie Emilio przy drzwiach. – Pozwólcie mi przedstawić Daltona Wesleya Yarbrougha, nowoorleańskiego prowincjała Towarzystwa Jezusowego.

– Z Waco, w stanie Teksas, *madame* – dodał D.W. Yarbrough.

– Wiem, znam, z Watykanu południowych baptystów – powiedziała Anne, nie dając po sobie poznać, jak bardzo wstrząsnął nią jego widok. Ucisnęła podaną mu rękę, wiedząc już, co go czeka.

– Naprawdę, miło mi panią poznać. Milio dużo mi o pani opowiadał – odrzekł z uśmiechem, ale w jego rozbieganych w różne strony oczach czaiła się złośliwość. – I pragnę z mety przekazać pani wyrazy głębokiego ubolewania w imieniu całego stanu Teksas z powodu lania, jakie Cleveland dostało od Dallas w ubiegłorocznych rozgrywkach o mistrzostwo świata.

– No cóż, wszyscy musimy dźwigać swoje krzyże, ojciec – westchnęła dzielnie Anne. – Teksasycy chyba niełatwo jest odprawiać mszę, kiedy cała kongregacja modli się: „O Jezu, daj nam jeszcze jeden boom naftowy, tym razem już tego nie spieprzymy”.

D.W. ryknął śmiechem. Weszli do pokoju. Emilio, pragnąc, by ci ludzie, którzy tyle dla niego znaczyli, polubili się nawzajem, przyozdobił twarz słonecznym uśmiechem, podszedł do swojego fotela w kącie i usiadł, aby obserwować widowisko. Rozmowa przy kolacji, ostra i barwna jak sos barbecue, wkrótce zesłała na politykę, jako że rozpoczynała się właśnie kampania prezydencka, w której, jak zwykle, startował z wielkim hukiem Teksasńczyk.

– Ten kraj już miał okazję wypróbować Teksasńczyków – zauważył wojowniczo George.

– Tak, i wy, tchórze, za każdym razem odsyłaliście ich do domu już po pierwszej kadencji! – wściekał się D.W.

– Lyndon Johnson, George Bush – nacierał George.

– Nie, nie! Protestuję. Nie możecie obarczać Teksasu Bushem. Prawdziwy Teksasńczyk nigdy by nie użył słowa „lato” w formie czasownikowej.

Emilio bez słowa wręczył Anne chusteczkę, którą wytarła nos.

– Gibson Whitmore – wyliczał George.

– Zgoda. Zgoda. Przyznaję, że to była pomyłka. Nie potrafił wylać wody z buta, jeśli instrukcje wypisano na obcasie. Ale Sally to dobra dziewczucha. Założę się, że ją polubicie.

– A jeśli w to uwierzycie – odezwał się Emilio pouczającym tonem – to D.W. ma bardzo ładny kawałek Prawdziwego Krzyża, w który możecie zainwestować.

Minęły ze trzy godziny od chwili, gdy zasiedli do stołu, kiedy Yarbrough odsunął swoje krzesło, oświadczył, że jest straszliwie najedzony, i opowiedział jeszcze ze trzy dowcipy, po których wszyscy z trudem łapali oddechy i trzymali się za brzuchy. I tak minęła jeszcze jedna godzina, zanim wszyscy wstali i zaczęli wynosić naczynia do kuchni. Dopiero tutaj, w jasnym świetle, D.W. Yarbrough ujawnił prawdziwy cel swoich odwiedzin.

– No, moi ludziska, tam, skąd pochodzę, pośrodku drogi można zobaczyć tylko żółte pasy i zdechłe pancerniki – oświadczył, chwytając za górną część framugi i wyciągając się jak goryl. – Więc powiem wam teraz, że zamierzam doradzić ojcu generałowi, niech Bóg błogosławi jego wąski portugalski tyłek, żeby wysłał Emilia w kosmos na tym asteroidowym rupieciu, razem z wami, jeśli zechcecie mu towarzyszyć. Rozmawiałem już z tym chłopakiem, Quinnem, i on też się do tego pali.

George przestał wkładać naczynia do zmywarki.

– Tak po prostu? Bez żadnych testów, bez wywiadów? Mówi pan poważnie?

– Jestem poważny jak jadowity wąż, szanowny panie. Już was prześwietlili, możecie być pewni. Oficjalne kartoteki i tak dalej.

W rzeczywistości poświęcono już setki godzin na zbadanie ich kwalifikacji i odbyto ostrą wewnętrzną dyskusję na temat dopuszczenia do misji ludzi spoza Towarzystwa. Było jednak mnóstwo historycznych precedensów, no i dość mocne argumenty logiczne przemawiające za wyborem ludzi z dużym doświadczeniem. W końcu ojciec generał zamknął dyskusję, oświadczając, że niezależnie od wszystkiego, trzeba wziąć pod uwagę bieg wydarzeń, w którym odnajduje wyraźną wolę Bożą.

– A przesłuchanie właśnie się zakończyło – powiedziała chytrze Anne.

– Zgadza się, *madame*. Można to tak ująć. – Teraz zaczął mówić poważniejszym tonem, a i jego teksański akcent stracił nieco na wyrazistości. – Emilio nalegał na to od samego początku. Mamy tu prawie wszystkie potrzebne umiejętności. Stosunki międzyludzkie grają. Jakby się dokładnie przeczesało, można by coś wygrzebać, ale sądzę, że polecimy w tym składzie. Zakładając, że wy wszyscy wytrzymacie, oglądając mnie przez kilka miesięcy.

Anne okręciła się w miejscu, uznając nagle, że szklanka w zlewie wymaga jej niepodzielnej troski. Usiłowała opanować drżenie ramion.

– Pan też leci? – zapytał George z godną szacunku powściągliwością.

– Tak jest. To daje ojcu generałowi pewność, że misja będzie należycie uświęcona, że się tak wyrażę. A ponadto, ktoś musi zadbać, by załoga mogła się dostać na planetę i wrócić na asteroid, może nie raz. Jak wicie, samo lądowanie na tej planecie to wciąż otwarty problem. Jeśli ją znajdziemy.

– Możemy wykorzystać mały prom, powiedzmy szkota – powiedziała Anne, opanowawszy się na tyle, że mogła spojrzeć D.W. w twarz. Emilio właśnie przemknął pod jego ramieniem, wnosząc do kuchni stertę brudnych talerzy.

– Myślałem, że może to być standardowy prom typu Ziemia-stacja – powiedział George. – Oczywiście z faktu, że Śpiewacy mają radio, jeszcze nie wynika, że mają lotniska.

– Tak więc zadanie polega na znalezieniu czegoś w rodzaju płaskiego terenu, może pustyni, żeby tam wylądować, jako że nie mamy pewności, czy będzie tam jakiś pas startowy. Ale to grozi wypadkiem, bo nie znamy stopnia stabilności gruntu. Załoga mogłaby mieć kłopoty.

– Zamilkł na chwilę. – Nie uważacie, że lepiej by było wykorzystać prom startujący i lądujący pionowo?

– D.W. służył w piechocie morskiej – wyjaśnił Emilio, chwytając za ścierkę, żeby wytrzeć naczynia umyte przez Anne. Stara sztuczka zachowywania spokoju coraz częściej go zawodziła i twarz mówiła to samo, co oczy. – Chyba wam o tym nie wspominałem.

Anne spojrzała na D.W. z ukosa.

– Mam jakieś cholerne przecucie, że nie zamierza ksiądz nam powiedzieć, że był kapelanem.

– Zgadza się, *madame*. Nie byłem kapelanem. To było pod koniec lat osiemdziesiątych, zanim podpisałem kontrakt na całe życie w firmie Loyoli. Latałem na harrierach, jeżeli wiecie, co to takiego.

Anne, która nie bardzo rozumiała sens tej informacji, mimo wszystko próbowała to sobie wyobrazić, zastanawiając się, jak D.W. radził sobie z oceną wysokości przy tym swoim latającym oku. Potem przypomniała sobie LeRoya Johnsona, miotacza pierwszej ligi, który miał podobnego zeza i który stale nabijał ponad dwieście dziewięćdziesiąt punktów, i uznała, że mózg ludzki dokonuje jakiejś komputerowej korekty.

– To nie może być zwykły prom towarowy – powiedział George. – Trzeba by zamówić specjalny prom z dwufazową powierzchnią, taką jak w pojazdach kosmicznych, żeby wytrzymała wysoką temperaturę przy wejściu w atmosferę.

– Tak, ludzie już nad tym pracują. – D.W. wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W każdym razie wychodzi na to, że lądowanie odrzutowcem pionowego startu jest trochę podobne do sterowania asteroidowym promem, bo tam też nie ma pasa startowego. Dlatego mam nadzieję, że stary pilot harierra może być tym, kto nam będzie potrzebny.

Tym razem nawet Anne to zrozumiała.

– Trochę to niesamowite, co? Od cholery zbiegów okoliczności. U nas mówi się tak: jak znajdziesz zółwia na płocie, to możesz się spokojnie założyć, że sam tam nie wlaźł. – D.W. pozwolił Anne i George’owi wymienić spojrzenia, po czym ciągnął dalej: – Tomas da Silva, generał samego siebie, podejrzewa, że może to Bóg zajmuje się umieszczaniem zółwi na płocie. Niewiele o tym wiem, ale muszę nadmienić, że rozmyślam nad tym przez długie noce. – Przeciągnął się i uśmiechnął do nich chytrze. – Jestem wciąż w rezerwie i spędzam w powietrzu tyle godzin, ile jest w grafiku. A teraz poćwiczę trochę pilotowanie promu. Powinno być ciekawie. Doktor Edwards, jak trafić do pokoju gościnnego, który mi łaskawie zaproponowaliście?

– Niech skonam! – zawołał Ian Sekizawa, wiceprezydent Filii Wydobywczej Korporacji Ohbayashi, mającej kwaterę główną w Sydney. – To przecież Sofia! Co za rozkosz widzieć cię znowu, dziewczyno! Ile to było? Trzy lata?

– Cztery – odpowiedziała Sofia, odsuwając się nieco od ekranu, jakby się obawiała, że pomimo elektronicznego oddalenia, Ian może ją złapać w ramiona. – Mnie też jest miło, że cię widzę. Nadal jesteś zadowolony z systemu? Wciąż odpowiada twoim życzeniom?

– Pasuje jak palec w tyłku dzieciaka – powiedział Ian, szczerząc zęby na widok jej rozszerzonych oczu. Jego dziadkowie pochodzili z Okinawy, ale on sam był prawdziwym Australijczykiem. – Faceci trochę się wściekają, ale interes się kręci. Od czasu, jak odwaliłaś dla nas tę robotę, mamy prawie dwanaście punktów do przodu.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedziała, naprawdę szczerze. – Chciałabym cię o coś prosić, Ian.

– Co tylko zapragniesz, moja piękna.

– Ian, to sprawa poufna. Mam zakodowaną propozycję, może by cię to zainteresowało.

– Jaubert coś kręci? – zapytał, a oczy mu się zwięzły.

– Nie, jestem już niezależna – odpowiedziała z uśmiechem.

– Nie opowiadaj! Sofie! To cudownie! To jakiś twój własny mały projekcik, czy chcesz mieć przewagę?

– Reprezentuję klientów, którzy pragną być anonimowi. I... Ian, jeśli będziesz tym zainteresowany, mam nadzieję, że możesz sam podjąć wstępną decyzję.

– Przyślij mi tę propozycję, a ja już sobie poradzę. Jeśli to coś śmierdzącego, to przełamie kod i wszystko wyniucham. Nikt nas nie wykiwa, prawda, skarbie?

– Dzięki, Ian. Doceniam twoją pomoc.

Zakończyła połączenie wideo i przesłała mu kod.

Zapoznawszy się dokładnie z jej ofertą, Ian Sekizawa zaczął rozmyślać. Chciała mieć spory asteroid, używany, pokryty lodem, z mnóstwem silikatów, mniej lub bardziej cylindryczny wzdłuż długiej osi, z pomieszczeniami dla ośmioosobowej załogi, z silnikami i górniczymi robotami. Komu mogłoby to być potrzebne i po co? Wytwórnia prochów? Ale po co roboty górnicze? Łód, to się rozumie, ale do czego silikaty? Rozmyślał nad tym przez dłuższy czas, ale nie przychodziło mu do głowy nic sensownego.

Z jego własnego punktu widzenia był to boski interes. Przed ową czarodziejską sztuczką z AI, którą zrobiła dla nich Sofia, australijscy spekulanci miotali się od asteroidu do asteroidu, mając nadzieję znaleźć coś, co pozwoli im spłacić kredyty hipoteczne zaciągnięte w koncernie Ohbayashi na wyposażenie i urządzić się na resztę życia. Dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu plajtowało albo dostawało świra, albo plajtowało i dostawało świra, pozostawiając urządzenia na ostatnim asteroidzie. Prawa wracały do koncernu, który odzyskiwał wyposażenie, jeśli było to opłacalne, Ian Sekizawa miał więc z tuzin lub więcej asteroidów nadających się dla klienta Sofii.

– O kurwa, o pieprz mnie, o mój ukochany, wrzeszczała księżniczka z bajki, machając swoimi drewnianymi nogami w powietrzu – wyrecytował spokojnie, samotny w swoim biurze.

Sofia proponowała niezłą cenę. A jakby tak ukryć całą transakcję w „Sprzedaży przestarzałych urządzeń”? Te kawały skał, fruwające w kosmosie, miały gównianą wartość. Czemu miałyby jednego nie sprzedać? A co kogo obchodzi, do czego to komuś potrzebne?

Czekając w swoim wynajętym apartamencie na odpowiedź Iana Sekizawy, Sofia Mendes wyglądała przez okno na Stare Miasto Jerozolimy i zapytywała samą siebie, dlaczego tu przyjechała.

W ciągu pierwszych godzin wolności postanowiła po prostu działać tak, jak poprzednio. Poinformowała jezuitów w Rzymie o swoim nowym statusie, zapewniła ich, że będzie nadal pełnić obowiązki generalnego wykonawcy na uprzednio uzgodnionych warunkach, i poczyniła kroki, by umowa została przepisana na nią samą. Kontrakt przewidywał trzydziestoprocentową zaliczkę i Sofia, zdawszy sobie sprawę z faktu, że może pełnić swoje obowiązki z każdego miejsca na świecie, wykupiła bilet do Izraela. Dlaczego?

Pozbawiona matki, która by zapalała szabasowe świece, pozbawiona ojca, który by śpiewał starożytnie błogosławieństwa nad chlebem i winem, utraciła ostatnią więź z religią swojego krótkiego dzieciństwa. Po latach włączenia się po świecie poczuła jednak potrzebę powrotu do jakiegoś domu, zapragnęła sprawdzić, czy w ogóle ma jakiś dom. Nie było go w Istambule – teraz już spokojnym, wyczerpanym po akcie samozniszczenia. Więzi hiszpańskie też były zbyt słabe i zbyt odległe. Więc Izrael. Dom domyślny. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Pierwszego dnia w Jerozolimie, rozglądając się na wszystkie strony z lękiem w sercu, bo nigdy przedtem tego nie robiła, poszła do mykwy, miejsca rytualnych oczyszczeń. Wybrała jedną z łaźni zupełnie przypadkowo, nieświadoma, że akurat ta przeznaczona była dla izraelskich dziewcząt przygotowujących się do ceremonii zaślubin. Kobieta, która się nią zajęła, chciała się upewnić, że ma przed sobą kandydatkę do małżeństwa, i była zrozpaczona, kiedy się dowiedziała, że Sofia nie ma nawet chłopca.

– Taka piękna dziewczyna! Takie cudowne ciało! Co za marnotrawstwo! – wykrzykiwała, śmiejąc się z jej rumieńców. – Musisz tu zostać! Przyjąć obywatelstwo, pójść do synagogi, znaleźć jakiegoś pięknego młodego Żydka i mieć mnóstwo cudownych dzieci! Ależ oczywiście!

Zrezygnowała z wyrażenia sprzeciwu wobec tych dobrodusznych rad i zastanawiała się, dlaczego właściwie odczuła ten sprzeciw, podczas gdy łaźiebna myła ją i szorowała – całe ciało, włosy, paznokcie, wszystko dokładnie wymyte, spłukane, powycierane, jaśniejące, uwolnione od kosmetyków, od kurzu, od przeszłości. Dlaczego miałyby tu nie zostać?

Owinęta białym prześcieradłem poprowadzono do właściwej mykwy i pozostawiono, by sama zeszała po terakotowych stopniach z mozaikowymi wzorami do ciepłej, czystej wody. Łaźiebna, stojąc dyskretnie za uchylonymi drzwiami, pomogła jej przypomnieć sobie hebrajskie modlitwy i nalegała:

– Trzy razy. Całkowicie, tak żeby zanurzyło się wszystko, każdy kawałeczek ciebie. Nie ma pośpiechu, kochana. Teraz cię zostawiam.

Wynurzywszy się po raz trzeci, Sofia odgarnęła włosy z czoła i wycisnęła sobie wodę z oczu. Nagle poczuła się lekka, jakby zawieszona w czasie, a w jej myślach dryfowały powoli słowa starodawnych modlitw. Błogosławieństwo przed spróbowaniem pierwszego owocu po zimie, teraz odmawiane przy wszelkich nowych początkach, kiedy ktoś stoi przed zakrętem życiowym. Pochwalonyś Ty, Wiekuisty, Boże nasz, Królu wszechświata, który nam dozwoliłeś żyć i utrzymałeś nas, i dałeś nam doczekać tej pory...

Może to słowa łąziebnej o małżeństwie i dzieciach przywiodły jej na myśl Emilia Sandoza. Sofia Mendes trzymała się z dala od mężczyzn od owej ostatniej nocy z Jaubertem – za wielu ich było, za wcześnie. Mimo to celibat księży uważała za przejaw barbarzyństwa. Od katolicyzmu odpychało ją wszystko, co o nim wiedziała: te prześladowania, to skoncentrowanie się na Śmierci, na męczeństwie, ten najświętszy symbol, będący po prostu rzymskim narzędziem wymierzania sprawiedliwości przestępcom, bulwersujący okrucieństwem przemocy. Z początku praca z Sandozem była dla niej aktem bohaterkiej samokontroli: potomek Hiszpanów w tym swoim pogrzebowym stroju, dziedzic Inkwizycji i Wygnań, przedstawiciel pirackiej religii, która ukradła Żydom szabasowe wino i chleb i zamieniła w kanibalski rytuał ciała i krwi.

Pewnego wieczoru, u Edwardsów, zaatakowała go wprost, wypiwszy trochę za dużo rumu:

– Wyjaśnij mi tę waszą mszę!

Zapanowała cisza, Emilio wpatrywał się przez chwilę w talerze i kości kurczaka.

– Przypomnij sobie Gwiazdę Dawida – powiedział spokojnie. – Dwa trójkąty, jeden wskazujący w dół, drugi w górę. Uważam, że to wspomniały symbol: Bóg sięga w dół, ludzkość sięga w górę. A w środku punkt przecięcia, w którym to, co boskie, spotyka się z tym, co ludzkie. Msza odbywa się właśnie w tym punkcie. – Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. – Według mnie to miejsce, w którym boskie i ludzkie stają się jednym. No i obietnica. Bóg dosięgnie nas, jeśli my będziemy sięgać ku Niemu. My i nasze najzwyklejsze ludzkie czynności, jak spożywanie chleba i picie wina, mogą być przemienione i uświęcone. – Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech, przemieniający smagłą twarz jak wschód słońca. – I tyle, seniorita Mendes, mogę powiedzieć, po trzech szklaneczkach rumu, pod koniec długiego dnia.

Uznała, że w końcu można kogoś źle oceniać. Z powodu ignorancji. Z powodu uprzedzeń. Sandoz nie zrobił nic, aby ją nawracać. Był człowiekiem niezwykle inteligentnym, który wydał się jej kryształowo czystym i spełnionym. Nie miała pojęcia, co sądzić o jego przeświadczeniu, że to Bóg wzywa ich, by nawiązali kontakt ze Śpiewakami. Byli tacy Żydzi, którzy wierzyli, że Bóg jest obecny w świecie, aktywny, prowadzący ich do jakiegoś celu. Po Holocauście trudno było w to wierzyć. Życie nauczyło ją, że modlitwy o wybawienie nie bywają wysłuchane, chyba że się uzna Jeana-Claude'a Jauberta za agenta Boga.

A jednak Izrael odrodził się z popiołów sześciu milionów zamordowanych. Jaubert wyciągnął ją z piekła Istambułu. Przeżyła. A teraz jest wolna.

Sofia opuściła mykwę, podejmując pewną decyzję. Kiedy wróciła do swojego apartamentu, skontaktowała się z Sandozem w San Juan i oznajmiła jasno i spokojnie, – bez fałszywej skromności albo brawury:

– Chciałabym być uczestnikiem twojego projektu. Nie tylko jako organizator wyprawy, ale również jako członek załogi. Mój były agent, który ma możliwość przedstawienia wszelkich ocen i porównań, może dostarczyć referencji wykazujących moją intelektualną użyteczność w takim projekcie. Reaguję szybko na nowe sytuacje, mam bardzo rozległą wiedzę i duże doświadczenie, techniczne i kulturowe. I mogłabym wnieść zupełnie nowe widzenie różnych problemów, jakie może napotkać załoga. Myślę, że byłoby to pożyteczne.

W ogóle nie wyglądał na zaskoczonego. Spokojnie i z szacunkiem odpowiedział, że przekaze jej ofertę przełożonym.

Potem miało miejsce spotkanie z tym dziwnym Yarbroughem. Opowiadał dowcipy i zadawał jej chytre pytania, dwukrotnie doprowadził ją do śmiechu, a na końcu oświadczył w swoim niezgłębnym dialekcie:

– No cóż, skarbie, Firma wynajęła cię nieco wcześniej, bo jesteś piekielnie sprytna i cholernie szybko się orientujesz, i wiemy już, że potrafisz harować jak sześć mułów naraz i masz dobre układy ze wszystkimi, którzy poleca, i spodziewam się, że potrafisz się nauczyć wszystkiego, do czego się trochę przyłożysz, a to będzie cholernie ważne, kiedy spotkamy tych Śpiewaków, jeżeli w ogóle do tego dojdzie. Mnie osobiście, faceta obrzydliwego jak dwie ropuchy w śmierdzącej kałuży, przekonało jednak to, że mając ciebie wśród naszej szóstki, przez całe osiem miesięcy w wydrążonej bryle, wędrującej sobie przez kosmos, powstrzymamy resztę od wydlubania sobie oczu. Będę musiał jeszcze pogadać z szefem, ale jeśli o mnie chodzi, to już weszłaś do tej puli, jeśli grywasz w karty.

Spojrzała na niego, wytrzeszczając oczy.

– Czy to znaczy „tak”?

Uśmiechnął się szeroko.

– Tak.

Stojąc teraz przy oknie, widziała Kotel, Zachodni Mur. Stąd nie mogła słyszeć szmeru modlitw, obserwowała tylko nieustający przypływ i odpływ turystów i pielgrzymów, wyciągających ręce, kiwających się miarowo, szlochających, wtykających w szpary muru karteczki z prośbami i modlitwami dziękczynnymi. I zrozumiała, dlaczego tu jest. Przyjechała do Izraela, by pożegnać się z przeszłością.

Usłyszała sygnał wywoławczy swojego systemu i otworzyła plik, przeczytała jednowyrazową odpowiedź Iana Sekizawy i uśmiechnęła się.

– Załatwione – brzmiała odpowiedź.

Tego roku sprzedano bez rozgłosu prywatnym inwestorom kilkanaście pierwszorzędnych dzieł sztuki renesansowej. Na aukcji w Londynie zlicytowano uważaną dotąd za bezcenną kolekcję siedemnastowiecznej porcelany orientalnej. Od dawna nie wystawiane na sprzedaż posiadłości i pakiety akcji trafiły na rynek w stosownych momentach i w dokładnie wybranych miejscach, tak by przyniosły największy zysk.

Była to normalna operacja spieniężania nieruchomości, likwidowania pewnych wkładów kapitałowych, przezucania kapitału. Całkowite koszty, jak przewidywała Sofia Mendes, nie były małe, ale nie rujnowały Towarzystwa i nie miały wpływu na jezuickie misje i programy charytatywne na Ziemi, finansowane przez bieżący napływ gotówki z instytucji edukacyjnych i naukowych, dzierżaw i licencji patentowych. Uzyskana w ten sposób kwota została zdeponowana w dyskretnym banku wiedeńskim. Jezuitów na całym świecie pouczono, by śledzili media publiczne i prywatne sieci danych w celu wyłowienia jakichkolwiek wzmianek o jezuickich operacjach finansowych i aby przekazywali informacje do biura ojca generała pod Numerem 5. Ale w ciągu całego roku nie wykryto niczego.

14
NEAPOL
maj 2060

Nawet Wezuwiusz nie mógł już dłużej powstrzymać wiosny. Pogoda zmieniła się i Emilio Sandoz stwierdził, że teraz łatwiej mu zasnąć pod gołym niebem, kiedy wsparty o nagrzaną słońcem skałę, poddawał się monotonnemu szumowi fal i kwileniu ptaków. Wydawało mu się, że blask słońca przepędza ciemność spod jego zamkniętych powiek nawet wówczas, kiedy śnił. W każdym razie rzadziej budził się zlany potem, wstrząsany gwałtownymi mdłościami. Sny bywały teraz po prostu dziwne, a nie przerażające czy obrzydliwe.

Był na plaży, z jakimś dzieckiem z La Perla. Usprawiedliwiał się przed nim, bo chociaż w tym śnie ręce miał zdrowe, nie potrafił już zrobić żadnej magicznej sztuczki. Dziewczynka patrzyła na niego dziwnymi i pięknymi oczami o dwu tęczęwkach – oczami VaRakhatów.

– Musisz się nauczyć jakichś nowych sztuczek – powiedziała rzeczowo.

– *Padre, c'è qualcuno che vuol vedervi.*

Wzdrygnął się i usiadł, oddychając ciężko. Wciąż miał w uszach słowa owego dziecka ze snu i wydawało mu się, że musi je koniecznie zapamiętać, zanim będzie miał czas, aby się nad nimi zastanowić. Przetarł oczy wierzchem ramienia, opierając się impulsowi ofuknięcia chłopca za to, że go obudził.

– ...*un uomo che vuol vedervi.*

Jakiś człowiek chce się ze mną zobaczyć. Tak mówi ten chłopiec. Jak ma na imię? Giancarlo. Ma dziesięć lat. Jego matka ma tu gdzieś gospodarstwo, sprzedaje swoje produkty właścicielom neapolskich restauracji. Czasami, kiedy w refektarzu pojawiała się niespodziewanie więcej osób, trzeba było przygotować więcej posiłków i wówczas Giancarlo dostarczał do kuchni warzywa. Wciąż się kręcił w pobliżu, gotów w czymś usłużyć, zanieść jakąś wiadomość choremu księdzu lub pomóc mu wejść po schodkach.

– *Grazie* – odpowiedział Emilio, mając nadzieję, że to po włosku „dziękuję”, ale nie był tego pewny. Chciał powiedzieć chłopcu, że sam wejdzie po schodkach, nie mógł jednak znaleźć odpowiednich słów. To było tak dawno, tyle języków temu.

Dźwignął się na nogi, przez chwilę stał, łapiąc równowagę, a potem zaczął powoli schodzić z olbrzymiej skały, jego sanktuarium, wyszukując oparcia nagimi stopami. Giancarlo nagle wyrzucił z siebie potok włoskich zdań, a Emilio zatrzymał się i spojrzał na niego gniewnie. Za szybko, za dużo nieznanych słów. Poczul złość na tego chłopaka, który nie pomyślał, że jego rozmówca nie może odpowiedzieć na pytania, których nie rozumie. I rozpacz, że tylu rzeczy już nie potrafi.

Powoli, spokojnie, powiedział sobie w duchu. Przecież to nie jego wina. To dobry chłopak, po prostu intryguje go człowiek, który nosi rękawiczki, a chodzi boso...

– Nie rozumiem. Przykro mi – powiedział w końcu, mając nadzieję, że kiedy brakuje słów, wystarczy sympatia. Chłopiec kiwnął głową, wzruszył ramionami i wyciągnął do niego rękę, ale Emilio nie odważył się jej schwycić. Ciekawe, czy Giancarlo wie o jego rękach, czy się ich boi. Upłynie tydzień, zanim będzie można znowu spróbować tych protez. Na razie muszą wystarczyć rękawiczki bez palców, które mu przyniósł Candotti. Dobrze, proste rozwiązanie pewnych problemów: można, na przykład, ukryć pod nimi coś, czego nikt nie powinien oglądać.

Zeskoczył na piasek, oparł się o skałę i odpoczął chwilę, a potem uśmiechnął się i wskazał brodą w kierunku długich schodków wiodących na skarpe. Giancarlo odwzajemnił uśmiech i ruszyli ramię w ramię w przyjacielskim milczeniu. Kiedy szli po schodkach, chłopiec trzymał się blisko, dla zabicia czasu skacząc ze stopnia na stopień obiema stopami naraz, spalając energię z rozrzutnością osoby młodej i zdrowej, zakłopotanej czyjąś słabością. Posuwali się wolno, ale wspięli się na sam szczyt bez dłuższych postojów.

– *Ecco fatto, padre! Molto bene!* – zawołał Giancarlo tonem dorosłego, który chwali dziecko za to, że udało mu się zrobić coś bardzo prostego.

Emilio zrozumiał słowa i już wiedział, że za chwilę chłopiec poklepie go po plecach. Spodziewając się tego, był w stanie to znieść i z powagą jeszcze raz mu podziękował, teraz już pewny, że *grazie* to włoskie słowo. I znowu odwrócił się gwałtownie, rozczulony jego dobrocią, a jednocześnie przeszyty nagłą tęsknotą za innym dzieckiem. Opanował się i gestem, i uśmiechem dał chłopcu do zrozumienia, że może odejść. Potem usiadł na kamiennej ławeczce u szczytu schodków, aby nabrać sił przed wejściem do willi.

Nie wyzbył się nawyku posłuszeństwa; wezwany, przybywał, choć lęk sprawiał, że serce łomotało mu w piersiach. Więcej czasu zajęło mu opanowanie uczuć niż powrót z plaży na szczyt skarpy. Regularny tryb życia, regularne posiłki, regularne ćwiczenia, zgodnie z poleceniami ojca generała. Ciało było mu za to wdzięczne: zdrowiało, samo się naprawiało. Hybrydalny wigor, powiedziałyby Anne półzartem. Siły dwóch kontynentów.

Czasami przypominał sobie to szczególne uspokojenie, którego doświadczał przy końcu podróży na Ziemię, kiedy patrzył na krew sączącą się ze swoich rąk i myślał: „To mnie zabije, a wówczas będę mógł przestać starać się zrozumieć”.

Zastanawiał się, czy Jezus spodziewał się wdzięczności, kiedy Łazarz wyszedł z grobowca, cuchnąc rozkładem. Może Łazarz też wszystkich rozczarował.

Niski, krępy mężczyzna, czekający na niego w refektarzu, był w późnym średnim wieku, w czarnym garniturze i czarnej mycce. Jakiś rabin, pomyślał Emilio i serce w nim zamarło. Może to kuzyn Sofii, który przybył tu, aby zażądać rozliczenia.

Na odgłos kroków Emilia mężczyzna odwrócił się. Miał gęstą, wijącą się brodę, już prawie całkowicie siwą.

– *No me conoces.* – powiedział ze smutnym uśmiechem. Sefardyjski rabin mógłby znać hiszpański, ale nie zwracałby się tak bezpośrednio do obcego. Emilio poczuł, że ogarnia go beznadziejna frustracja i odwrócił spojrzenie. Tamten dostrzegł to i zdawał się rozumieć jego chwiejny stan umysłu.

– Proszę mi wybaczyć, ojciec. To oczywiste, że ojciec mnie nie poznaje. Kiedy ojciec nas opuszczał, byłem chłopcem, jeszcze się nie goliłem. – Zaśmiał się, wskazując na brodę. – I nadal się nie golę, jak ojciec widzi.

Emilio, zakłopotany, zaczął się usprawiedliwiać, kiedy nieznajomy nagle wyrzucił z siebie potok przekleństw w nieskazitelnej łacinie.

– Felipe Reyes! – wysapał Emilio, zapominając o zamknięciu ust ze zdumienia. Aż się cofnął, tak go to zaskoczyło. – Nie mogę uwierzyć. Felipe, ty się zestarzałeś!

– To się zdarza, jeśli się dość długo żyje – odpowiedział Felipe z uśmiechem. – Ale bez przesady. Dopiero pięćdziesiąt jeden! My to nazywamy dojrzałością.

Przez kilka chwil stali i wpatrywali się w siebie, oceniając zmiany, te widoczne i te wewnętrzne. Potem Felipe przerwał tę osobliwą scenę. Czekając na Emilia, przysunął dwa fotele do stolika przy oknie, a teraz, znowu się uśmiechając, wskazał mu je i sam ku nim ruszył.

– Proszę usiąść, proszę usiąść. Strasznie ojciec chudy! Mam ochotę zamówić ojcu kanapkę albo coś większego. Nie karmią ojca tutaj? – Już chciał powiedzieć coś o Jimmym Quinnie, ale się w porę zreflektował i umilkł, pozwalając Sandozowi otrząsnąć się i uspokoić.

– Myślałem, że jesteś rabinem! – przerwał milczenie Emilio.

– Miło mi – odrzekł Felipe. – W rzeczywistości ojciec zrobił ze mnie księdza. Jestem jezuitą, stary przyjacielu, ale nauczam w Żydowskim Seminarium Teologicznym w Los Angeles. Ja! Jestem profesorem religioznawstwa porównawczego!

I roześmiał się, widząc zdumienie Emilia.

Przez następną godzinę wspominali czasy La Perla, używając języka dzieciństwa. Dla Emilia było to zaledwie pięć lub sześć lat temu i ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że pamięta o wiele więcej imion i nazwisk niż Felipe, za to ten wiedział, co z każdym się stało i miał mnóstwo do opowiedzenia; jedne opowieści były wesołe, inne smutne. Oczywiście minęło prawie czterdzieści lat od wyjazdu Emilia i nie powinien się dziwić litanii pogrzebów, o których się teraz dowiadywał, ale jednak...

Jego rodzice umarli wcześniej, nie wiedział jednak, co dzieje się z bratem.

– Antonio Luis zmarł kilka lat po twoim wyjeździe, ojciec – powiedział Felipe.

– Jak? – Z trudem zdobył się na to pytanie.

– Nietrudno się domyślić – odrzekł Felipe, wzruszając ramionami i kręcąc głową. – Rozprowadzał towar i sam brał. Oni zawsze źle kończą. Nie potrafił odróżnić dobra od zła. Źle się rozliczał i Haitańczycy go wykończyli.

Lewa ręka piekła go, jakby ją ktoś przypalał, ból głowy nie pozwalał mu się skupić. Tylu zmarłych, pomyślał. Tylu zmarłych...

– ...więc Rosa odkupiła restaurację od Claudia, ale wyszła za jednego *pendejo*, który zmarnował interes. Po kilku latach stracili knajpę. Rozwiodła się z nim. Już nigdy się nie pozbierała. Ale pamiętasz Marię Lopez? Tę, która pracowała dla doktor Edwards? Pamiętasz Marię Lopez, ojciec?

– Oczywiście. – Mrużąc oczy i patrząc teraz pod światło, zapytał: – Czy Maria skończyła szkołę medyczną?

– Skądże. – Felipe przerwał, aby obdarzyć uśmiechem młodego zakonnika, który przyniósł im dwie filiżanki herbaty, choć go o to nie prosili. Żaden nie wypił. Felipe opowiadał dalej, złożywszy dłonie na podołku. – Ale wyjechała z La Perla.

– Doktor Edwards zostawiła jej kupę pieniędzy, wiedział ojciec o tym? Skończyła Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. A wie ojciec co? Biznes! I zaczęła robić straszne pieniądze. Wyszła za jakiegoś Polaka. Nie mają dzieci, ale Maria ufundowała stypendia dla dzieciaków z La Perla. Twoja praca, ojczu, wciąż wydaje owoce.

– To nie moja zasługa, Felipe, tylko Anne.

Przyszło mu do głowy, że to Anne i George wykupili kontrakt Sofii. Przypomniał sobie, jak Anne mówiła ze śmiechem, ile radości daje wydawanie pieniędzy, które zaoszczędzili na emeryturę. Pamiętał, jak się śmiała. Zapragnął, aby Felipe już sobie poszedł.

Felipe zauważył tę zmianę, ale spokojnie ciągnął dalej, upierając się, że Emilio zrobił w La Perla naprawdę wiele dobrego. Drzewa posadzone na Chuuklsland wyrosły, jeden z nastolatków, który nauczył się czytać i pisać w misyjnej szkółce, został uznanym poetą, naprawdę, a w swoich wierszach ukazuje duszę ludu.

– A pamiętasz, ojczu, Julia Mondragona? Tego dzieciaka, którego ojciec skłonił, by przestał mazać po murach, i kazał mu pomalować kaplicę? O, ten wyrósł na wielkiego artystę! Sprzedaje się za wielkie pieniądze i maluje naprawdę wspaniale, aż czasami nawet ja myślę, że to jest warte tych pieniędzy. Ludzie przychodzą do kaplicy, żeby obejrzeć jego wczesną twórczość, może sobie ojciec wyobrazić?

Emilio siedział z zamkniętymi oczami, nie mając siły patrzeć na człowieka, którego skłonił do przyjęcia brzemia kapłaństwa. Cóż za straszliwa odpowiedzialność! Wolałby odpowiadać za wszystko, byle nie za to. Przypomniawszy sobie słowa Jeremiasza: „Nie będę wspominał Boga ani wymawiał Jego imienia”. A potem, poprzez oszałamiający huk, wypełniający mu czaszkę, usłyszał głos Felipe Reyesa, który ukląkł przed nim:

– Ojcie, proszę mi pozwolić, chcę zobaczyć, co ojcu zrobili.

Chcę zobaczyć: chcę zrozumieć. Emilio wyciągnął ręce, ponieważ łatwiej mu było ukazać dłonie niż to, co działo się w jego wnętrzu. Felipe delikatnie ściągnął rękawiczki, a kiedy obnażył rany, rozległ się znajomy turkot motorków i mikroprzekładni i szmer mechanicznych stawów, dziwnie przytłumiony warstwą sztucznej skóry, łudzaco przypominającej ludzką.

Felipe ujął palce Emilia w swoje chłodne, mechaniczne dłonie.

– Ojciec Singh to prawdziwy mistrz, prawda? Trudno w to uwierzyć, ale radzę już sobie z haftkami! Na początku, nawet kiedy już miałem protezy, byłem zdruzgotany. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kto wysłał ten list z bombą ani dlaczego. Ale... dziwna rzecz, po jakimś czasie byłem nawet wdzięczny za to, co się stało. Widzi ojciec, jestem teraz szczęśliwy, naprawdę, więc jestem wdzięczny za każdy krok, który mnie do tego miejsca doprowadził.

Zapadła cisza. Felipe rozbolewały udręczone artretyzmem biodra i nagle poczuł się starcem, którym rzeczywiście zaczynał być. Wstał i w milczeniu obserwował, jak gorycz przemienia twarz Emilia.

– To drań! Czy to Voelker po ciebie posłał? – Powstał i zaczął oddalać się od Felipe, jakby nie mógł wytrzymać jego bliskości. – A ja się zastanawiałem, dlaczego mi nie podłożył na szafce nocnej biografii Izaaka Joguesa. Miał coś lepszego, prawda? Mojego starego przyjaciela, który jeszcze gorzej oberwał. Ten skurwysyn! – Nagle przerwał ten potok słów i odwrócił się do Felipe. – Przyszedłeś tu, żeby mi powiedzieć, ile miałem szczęścia, Felipe? Miałeś mnie natchnąć otuchą?

Felipe Reyes wyprostował się i spojrzał śmiało na Emilia, którego ubóstwiał w młodości i którego mimo wszystko wciąż chciał kochać.

– To nie Voelker, ojcie. To ojciec generał prosił mnie, żebym cię odwiedził.

Sandoz znowu umilkł. Kiedy w końcu przemówił, jego głos zabrzmiał prawie spokojnie, jak to bywa, kiedy usiłuje się opanować wściekłość.

– Aha. Więc miałeś mnie zawstydzić. Miałeś wzbudzić we mnie wstyd za rozczulanie się nad sobą.

Felipe uznał, że skoro nie przychodzi mu do głowy żadna odpowiedź, lepiej milczeć. Sandoz obserwował go, jak wąż ofiarę. Nagle oczy zapłonęły mu groźnie. Nadchodzi zrozumienie, pomyślał Felipe.

– I coś ze mnie wyciągnąć, tak? To miało być przesłuchanie? – zapytał Sandoz przesadnie pieszczotliwym tonem, unosząc brwi i czekając na odpowiedź z lekko rozchyłonymi ustami. – Tak, to też. Oczywiście! Boże! – zawołał, naprawdę do Boga się zwracając. – Mistrzowskie posunięcie. Powinienem się tego spodziewać. Występujesz w roli adwokata diabła, Felipe?

– To nie inkwizycja, ojcie. Przecież wiesz. Jestem tu, żeby ci pomóc...

– Tak – przerwał mu łagodnie Emilio, z uśmiechem, który nie zmienił mu oczu. – Pomóc ujawnić prawdę. Skłonić mnie do mówienia.

Felipe Reyes wytrzymał jego spojrzenie tak długo, jak zdołał. W końcu odwrócił wzrok, ale nie mógł przecież zatkać uszu.

– Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie prawdy. A ja nią żyłem, Felipe. I muszę nią nadal żyć. Powiedz im: ręce to drobnostka. Powiedz im: rozczulanie się nad sobą byłoby wybawieniem. Nieważne, co powiem. Nieważne, co tobie mówię. Żaden z was nigdy nie będzie wiedział, jak było. I przysięgam wam: żaden z was nie chce tego wiedzieć.

Kiedy Felipe podniósł wzrok, Sandoza już nie było.

Vincenza Giulianiego poinformowano o niepowodzeniu jego planu już w Rzymie, w kwaterze głównej.

Tak naprawdę ojciec generał nie wezwał Felipe Reyesa po to, by pełnił rolę oskarżyciela Emilia Sandoza. Nie miało być żadnego procesu, żadnego adwokata diabła, nawet w tym kolokwialnym znaczeniu, w jakim użył tego terminu Emilio. Zamierzone dochodzenie miało pomóc Towarzystwu w zaplanowaniu następnych posunięć wobec Rakhatu. Reyes był uznanym specjalistą w zakresie religioznawstwa porównawczego i Giuliani oczekiwał, że jego wiedza może być przydatna, kiedy Sandoz zacznie opowiadać o szczegółach misji na Rakhat. Trudno było jednak zaprzeczyć, że ojciec generał miał również nadzieję, iż Felipe Reyes, który znał Sandoza w lepszych czasach i który sam został okaleczony jako student pakistańskiego uniwersytetu, mógłby skłonić Emilia do dostrzeżenia szerszych aspektów jego unikalnego doświadczenia. Kiedy Giuliani zrozumiał, jak źle ocenił Sandoza, poczuł głębokie rozgoryczenie.

Westchnął, wstał od biurka i podszedł do okna, aby spojrzeć na Watykan poprzez strugi deszczu. Jakże wielkim ciężarem są dla nas tacy jak Sandoz, pomyślał. A przecież mamy tyle wzorów do naśladowania! Wspomniawszy swój okres nowicjatu, kiedy studiował życiorysy świętych, błogosławionych i czcigodnych jezuitów. Jak brzmiało to wspaniałe zdanie? „Ludzie o zdumiewającej wiedzy i harcie ducha”. Znoszący wszelkie utrudzenia, samotność, wyczerpanie i choroby z podziwu godnym męstwem i zaradnością. Znoszący tortury i witający śmierć z radością opierającą się zrozumieniu nawet tych, którzy podzielają ich wiarę. Tyle iście homeryckich opowieści. Tylu męczenników. Jak Isaac Jogues, który przedarł się przez osiemset mil interioru Nowego Świata – a przecież w 1637 roku był to dla Europejczyków kraj równie obcy, jak dla nas Rakhat. Indianie, których chciał pozyskać dla Chrystusa, uznali go za szaleńca, ośmieszali, wykpiwali jego dobroć. Bili go nieustannie, odcinali mu ostrymi muszlami palce u rąk, po kawałku – nic dziwnego, że właśnie jego wymienił Emilio. Uratowany przez holenderskich kupców po latach upodlenia i męki, został przewieziony do Europy, gdzie na przekór wszystkiemu odzyskał zdrowie i...

Tak, to zdumiewające, ale Jogues tam wrócił. Musiał wiedzieć, co go czeka, ale kiedy tylko odzyskał siły, pożegłował z powrotem do Ameryki, by pracować wśród Mohawków. I w końcu go zabili. W straszliwy sposób.

Jak zrozumieć ludzi takich jak on? Jak mógł zdrowy na umyśle człowiek wrócić do takiego życia, wiedząc, jaki go czeka los? Może był psychotykiem nawiedzanym przez głosy? Masochistą szukającym upodlenia i bólu? Współczesny historyk, nawet historyk jezuita, nie może uniknąć takich pytań. Jogues był tylko jednym z wielu. Czy wszyscy jemu podobni byli szaleńcami?

Nie. Giuliani już dawno zrozumiał, że to nie szaleństwo. To matematyka wieczności. Chodziło o to, by wybawić dusze od wiecznej męki, aby je przywieść do wiecznotrwałej radości i bliskości Boga. Przy takim celu żadne brzemie nie było zbyt ciężkie, żadna cena zbyt wysoka. Jak pisał Jogues do swojej matki: „Czyż nie trzeba uznać za wartościowy trud miliona osób, jeśli uda im się zdobyć choć jedną duszę dla Chrystusa?”

Tak, jezuici są dobrze przygotowani do męczeństwa. Z drugiej strony, jeśli przeżyją mogą się pojawić nierozwiązywalne problemy. Vincenzo Giuliani podejrzewał, że czasami łatwiej jest umrzeć niż żyć.

– Naprawdę, zaczynam już mieć dość tych schodków! – zawołał John Candotti, idąc przez plażę. Sandoz siedział na swojej skale, nagie dłonie kołysały mu się między uniesionymi kolanami.

– Nie mógłbyś dumać gdzieś w ogrodzie? Tam jest takie urocze miejsce do rozmyślenia, zaraz koło domu.

– Zostaw mnie, John. – Emilio miał zamknięte oczy i wyglądał na człowieka udęczonego straszliwym bólem głowy.

– Ja tylko wykonuję polecenia. Przysłał mnie ojciec Reyes. Spodziewał się przekleństwa, ale Sandoz albo już nad sobą panował, albo przestało go to obchodzić. John zatrzymał się parę stóp od Sandoza i przez chwilę wpatrywał się w morze. W oddali widać było żagle, jaśniejące barwami w ukośnych promieniach słońca, a także sporo rybackich łodzi.

– W takich chwilach jak te – zauważył filozoficznie John – przypomina mi się, co często mówił mój ojciec.

Emilio podniósł głowę i spojrzał na niego ze znużeniem, oczekując ataku.

– Do jasnej cholery, co ty robisz całymi dniami i nocami w tej łazience! – ryknął nagle John. – Może byś w końcu wyszedł i dał szansę komuś innemu?

Emilio oparł głowę o skałę i wybuchnął długim śmiechem.

– O, to jest miły odgłos – rzekł John, uśmiechając się szeroko, zadowolony ze skutku, jaki osiągnął. – Wiesz co? Chyba po raz pierwszy słyszę twój śmiech. Naprawdę.

– *Młody Frankenstein!* To jest z *Młodego Frankensteina!* Ja i mój brat znaleźliśmy cały film na pamięć. Oglądaliśmy go ze sto razy. Uwielbiałem Mela Brooksa.

– Jeden z wielkich – zgodził się John. – *Odyseja. Hamlet. Młody Frankenstein.* Są rzeczy, które nie umierają.

Emilio znowu ryknął śmiechem, ocierając oczy rękawem i z trudem łapiąc oddech.

– Myślałem, że zamierzasz mi powiedzieć, że rano wszystko wygląda lepiej albo coś w tym rodzaju. Byłem przygotowany, że będę cię musiał zamordować.

Po krótkim namyśle John uznał, że to tylko figura retoryczna.

– Wielkie nieba! A więc sama moja obecność stwarza ci okazję do grzechu, mój synu – powiedział z afektem, naśladując Johanna Voelkera. – Czy mogę usiąść na tej skałe, sir?

– Bardzo proszę. – Emilio przesunął się, aby zrobić mu miejsce, otrząsając się z reakcji na spotkanie z Felipe Reyesem.

John wdrapał się na skałę jak wielki pająk, zazdroszcząc Sandozowi krępej, atletycznej budowy. Usadził się wygodnie obok niego i przez chwilę razem obserwowali zachód słońca. Na tę przeklętą skarpe będą się wspinać w ciemnościach, ale obaj znali już każdy stopień.

– Więc ja widzę to tak – odezwał się John, kiedy jasność ustąpiła miejsca głębokiej niebieskości. – Masz do wyboru trzy rozwiązania. Pierwsze: możesz odejść, jak sam z początku chciałeś. Wystąpić z Towarzystwa, porzucić kapłaństwo.

– I dokąd pójść? Co robić? – zapytał Sandoz. Jego profil rysował się tak ostro, jak naga skała, na której siedzieli. Nie wspominał o odejściu od dnia, w którym rzeczywistość zewnętrznego życia wtargnęła brutalnie do jego pokoju razem z tym natrętnym reporterem. – Jestem w pułapce. Przecież o tym wiesz.

– Możesz być bogaty. Towarzystwu zaoferowano straszliwe pieniądze za samo pozwolenie zrobienia z tobą wywiadu. – Emilio odwrócił się do niego i w zapadającym mroku John prawie sam poczuł smak żółci, zbierającej się tamtemu w gardle. Czekał, dając Sandozowi szansę powiedzenia czegoś, ale ten odwrócił się do ciemniejącego morza. – Drugie: możesz przejść przez to dochodzenie. Wyjaśnić, co się wydarzyło. Pomóc nam w podjęciu decyzji, co z tym zrobić. Będziemy cię wspierać, Emilio.

Wsparty łokciami na uniesionych kolanach, Emilio uniósł dłonie i złożył na głowie swoje długie, kościste palce, blade na tle ciemnych włosów.

– Jeśli zacznę mówić, nie będzie się wam podobało to, co usłyszycie.

On uważa, że prawda jest dla nas za plugawa, myślał John, schodząc po schodkach ze skarpy, po pospiesznej naradzie z bratem Edwardem i ojcem Reyesem. Ed zasugerował, że Sandoz może sobie nie zdawać sprawy z tego, ile już ludzie wiedzą.

– Emilio, wiemy o tym dziecku – powiedział łagodnie John. – I o burdelu.

– Nikt tego nie wie – napłynęła stłumiona odpowiedź.

– Wszyscy o tym wiedzą, Emilio. Nie tylko Ed Behr i ludzie ze szpitala. Konsorcjum Kontakt ujawniło wszystko prasie.

Sandoz nagle wstał i zsunął się po skale na plażę, a potem ruszył wzdłuż brzegu, kierując się na południe. Ramiona skrzyżował na piersiach, by ukryć dłonie pod pachami. John zeskoczył na piasek i pobiegł za nim. Dogoniwszy go, schwycił za ramię i obrócił ku sobie, krzycząc:

– Myślisz, że długo zdołasz tłamsić to wszystko w sobie? Jak długo zamierzasz sam czuć się za to odpowiedzialny?

– Tak długo, jak wytrzymam, John – odrzekł ponuro Sandoz, uwalniając ramię z uścisku Candottiego i odchodząc. – Jak długo wytrzymam.

– A co potem? – ryknął John. Sandoz znowu się do niego odwrócił.

– A potem – powiedział głosem, w którym czaiła się groźba – wybiorę to trzecie. To właśnie chciałeś usłyszeć, John?

Stał przed nim, dygocąc lekko, napięta skóra na policzkach bielą w zapadającym zmroku. John ochłonął i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Sandoz był szybszy.

– Już dawno wybrałem, ale obawiam się, że wciąż jest we mnie dość dumy, by nie pozwalać Bogu na dokończenie tej okrutnej farsy, w której gram główną rolę – powiedział lekko, ale oczy miał straszne. – To właśnie trzyma mnie przy życiu, John. Ta odrobina dumy to wszystko, co mi pozostało. Duma. Ale i strach. *Bo w owym śnie śmiertelnym cóż za sny mogą mnie nawiedzić.*

SYSTEM SŁONECZNY

2021 *STELLA MARIS*

2021-2022 czasu ziemskiego

– Anne, jak tam zimno! Poczekaj, aż sama zobaczysz. Ten kawał skały wygląda jak wielki kartofel. Wiesz, co mi przyszło do głowy, jak to zobaczyłem? *Muppet Show!* Pyry w kosmosie!

Anne roześmiała się, szczęśliwa, że znowu ma George'a w domu, choćby przez te parę dni, w ciągu których on i D.W. będą gromadzić dodatkowe wyposażenie. Ostatnie cztery tygodnie były ciężkie dla tej kobiety, której zaufanie do techniki bardziej się opierało na zwykłym życiowym doświadczeniu niż na wiedzy i przekonaniu, ale George wrócił tak podniecony i pełen entuzjazmu, że zapomniała o swoich lękach, kiedy wiozła go do domu z lotniska w San Juan.

– Silniki są w jednym końcu, a zdalnie kierowane kamery i reszta w drugim, ale pochowane i jakby... zezowate, tak że nie są wycelowane w cel podróży...

– Dlaczego?

– Żeby się nie otarły o jakieś „międzygwiazdne gówno”, jak to ładnie nazwałaś, kochanie. Kamery skupione są w zestawie zwierciadeł... które są odsłonięte, ale można je przykrywać specjalnymi ekranami, no wiesz, coś takiego jak te przyłbice w hełmach motocyklowych. Boże, wyglądasz bajecznie!

Wpatrywała się w szosę przed nimi, ale delikatna siatka zmarszczek wokół jej oczu pogłębiła się z rozkoszy. Włosy miała upięte w sposób, który George potrafił zidentyfikować jedynie jako „do góry”, nałożyła sznur pereł i kremową jedwabną sukienkę.

– No więc, tak czy inaczej – powiedział – przycumujemy do dłuższego boku tego kartofla, tam gdzie ty byś go posmarowała masłem...

– Albo masłopodobną sojową substancją bez tłuszczu o smaku prawdziwej margaryny – mruknęła Anne, wlepiając wzrok w szosę.

– Wlatuje się do doku, który można zamknąć, ale żeby to zrobić, trzeba się ubrać i wyjść z promu. Potem idzie się takim wąskim skalnym korytarzem i mamy drugą hermetyczną grodz, tak na wszelki wypadek...

– Na jaki wypadek? – chciała wiedzieć Anne, ale jej nie dosłyszał.

– No i już jesteś w kwaterach mieszkalnych, w samym środku, gdzie osłona jest najlepsza, i... Anne, tam jest cudownie. Jak w japońskim domu. Większość ścian to świecące panele, tak że nie dostaniemy świra z powodu ciemności. To coś takiego, jak ekrany *shoji*⁷. – Kiwnęła głową. – No więc tak. W środku znajdują się cztery koncentryczne cylindry, rozumiesz? Sypialnie i toalety są wokół zewnętrznego cylindra. Pomieszczenia mają kształt babeczek...

⁷ papierowe ekrany przedzielające pomieszczenia w japońskim domu

– Czy pomyślałeś o zarezerwowaniu jednego na gabinet medyczny?

– Tak, pani doktor. Złożyłem tam twoje graty, ale będziesz je musiała porozkładać tak, jak chcesz. – George zamknął oczy, odtwarzając w wyobraźni resztę, a potem znowu wbił wzrok przed siebie, nie dostrzegając ani ruchu na szosie, ani San Juan, tylko ten jedyny w swoim rodzaju, cudowny pojazd, który wkrótce może się stać ich domem, schludnym, dobrze zorganizowanym i zaskakująco wygodnym. – W następnym cylindrze jest wielkie pomieszczenie wspólne z wbudowanymi stołami i ławami, no i kuchnia, będzie ci się podobać. Wiedziałaś, że Marc Robichaux gotuje? Francuska kuchnia. Mnóstwo sosów, mówi, że...

– Wiem. Marc to skarb. Wiele razy kontaktowałam się z nim przez sieć.

– ...ale dopóki nie osiągnęliśmy własnej grawitacji, jedliśmy z tubek. Och! I poleciłem robotom wydrążyć w skale jeszcze jedno pomieszczenie, coś w rodzaju japońskiej łaźni, gdzie można się namydlić i wycisnąć trochę wody...

– Oooch, to ci dopiero... – zamruczała Anne. – Duże to jest?

Nachylił się i pocałował ją w kark.

– Spore. Ale posłuchaj. W środku są kolejne dwa koncentryczne cylindry mieszczące tubę Wolvertona. Kolumna instalacji otacza zewnętrzny cylinder i przez system kanałów dociera do pomieszczeń mieszkalnych. Powietrze i prawie wszystkie odpady przefiltrowywane są do cylindra instalacyjnego. Widziałem coś podobnego wcześniej, ale, na Boga, to jest naprawdę cudowne! Marc pracował nad tym kilka miesięcy...

I dalej opowiadał jej o urządzeniach i maszynach, a potem o moście łączącym i o tym, w jaki sposób roboty zasilają silniki odrzutowe. Anne dowiedziała się, że George, Sofia i Jimmy opracują specjalne programy AI, które w drodze powrotnej będą działały jak automatyczny pilot, namierzając ziemskie radiostacje i częstotliwość fal radiowych Słońca, tak że system będzie mógł sam dokonać niezbędnych obliczeń, gdyby zabrakło Jimmy'ego... Jest też wirtualny symulator lotu promu, na którym wszyscy poćwiczą, na wypadek gdyby D.W....

Anne wprowadziła samochód na parking i zgasiła motor. Zaległa długa cisza, oboje dobrze wiedzieli, że ta wyprawa może kosztować niejedno życie. Ale wszyscy byli wszechstronnie wyszkoleni, prawie każdy mógł zastąpić kogoś, kogo w drodze powrotnej zabraknie.

– Ten pojazd będzie po prostu sam wracał na Ziemię – powiedział w końcu George.

– To jest ta część całej wyprawy, która najbardziej mnie interesuje – odpowiedziała Anne stanowczo. – Powrót na Ziemię.

Anne nadal odgrywała rolę Dyżurnego Sceptyka, ale przez ostatnie osiemnaście miesięcy dokonała się w niej zaskakująca zmiana wewnętrzna. Raz po raz wydawało się już, że misja w ogóle nie dojdzie do skutku i za każdym razem Anne zdumiewała organizacyjną sprawność jezuitów, którzy potrafili rozwiązać najtrudniejsze problemy. Jezuicka sprawność i jezuickie modlitwy.

Pierwszy asteroid okazał się niesterowalny przy szybkości równej jednemu G. Drugi wydawał się idealny, dopóki analiza zdalna nie wykazała zbyt dużej zawartości żelaza, co mogłoby doprowadzić do zanieczyszczenia silników. Kilka dni później wieczorne modlitwy jezuickiego fizyka zostały przerwane wiadomością, że jego obliczenia niezbędnej ładowności nie pasują do rzeczywistych wymiarów prawie cylindrycznego asteroidu. Po skończeniu modlitw szybko zrewidował swoje założenia i obudził współpraci fizyków w różnych strefach czasowych. Dwanaście godzin później Sofia Mendes została upoważniona do skontaktowania się z Ianem Sekizawą i przekazania mu, że poszukiwaniami mogą być objęte asteroidy o dowolnym kształcie, byle tylko były w miarę symetryczne wzdłuż dłuższej osi. Po paru dniach nadeszła odpowiedź: jest jeden o jajowatym kształcie, czy reflektują? Tak, o taki właśnie chodzi.

Były też poważne problemy z dwufazową powłoką promu. Materiał musiał wytrzymać zarówno niewyobrażalnie niską temperaturę w przestrzeni kosmicznej, jak i straszliwe rozgrzanie przy wejściu w każdą atmosferę. Zamówienia wojskowe, te najbardziej lukratywne z kontraktów, miały, rzecz jasna, pierwszeństwo przed projektami cywilnymi. Pokonaniu tej przeszkody poświęcono intensywne modły w wielu domach zakonnych, a także mnóstwo misternych zabiegów dyplomatycznych i technicznych. Niespodziewanie upadł wojskowy rząd w Indonezji i tamtejsze lotnictwo wojskowe wycofało zamówienie na pojazd kosmiczny, zwalniając miejsce na zamówienie prywatne, które kilka miesięcy wcześniej złożyła Sofia Mendes w imieniu anonimowej grupy inwestorów.

Wkrótce trudno było zaprzeczyć, że pomimo piętrzących się trudności los sprzyja misji na każdym kroku. Załoga przechodziła intensywne szkolenie, nie ulegając żadnym przyptywom i odpływom zniechęcenia, ale wszystkich, choć w różnym stopniu, zdumiewały owe mnożące się szczęśliwe zbiegi okoliczności. Jezuici różnie na to patrzyli. Marc Robichaux i Emilio Sandoz uśmiechali się i mówili: „Widzicie? *Deus vult!*” natomiast D.W. Yarbrough i Andrej Jelaćić tylko kręcili głowami. George Edwards, Jimmy Quinn i Sofia Mendes pozostawali agnostykami i nie chcieli się nawet wypowiadać na temat, czy owe wydarzenia są małymi cudami czy rzadkimi zbiegami okoliczności.

Anne nic nie mówiła, ale z upływem czasu coraz trudniej jej było oprzeć się urokowi takiej wiary.

I tak, na skutek zrządzenia losu lub woli Bożej, dziewiętnaście miesięcy i dwanaście dni od chwili, gdy Anne otworzyła osobiste notatki zapisem: „1) Wziąć nożyczki do paznokci”, mogła wreszcie odnotować krótko: „Wymioty przy G. zero”. Choć od dzieciństwa nie była w stanie znieść nawet huśtawki na boisku, z początku pocieszała się nadzieją, że specjalne ćwiczenia oddechowe pozwolą jej zatrzymać zawartość żołądka i że na tym skończą się utrapienia, na które uskarża się piętnaście procent kosmonautów pomimo osiągnięć medycyny. Nosila też plaster przeciwwymiotny, którego gorącym orędownikiem był D.W. Yarbrough. Teraz, kiedy wreszcie odzyskała oddech, mogła tylko przekląć ten plaster.

Ogólnie rzecz biorąc, mogła jednak sobie pogratulować. Wszyscy oczekiwali, że będzie przerażona od chwili wejścia na pokład promu, więc, oczywiście, postanowiła zawieść te oczekiwania i udawać zachwyconą. I okazało się, że nie musi aż tak bardzo udawać. Prom był niewiarygodnie hałaśliwy, ale prawie nie czuło się ruchu. Z początku przeżyła niemiłe chwile, przywiązana i przyciśnięta do prawie poziomego fotela, kiedy rozpędzali się do prędkości czterech G, a potem zmierzali ku 1 Ma. Nagle ucichł ów straszliwy hałas, niebo zaczęło robić się coraz bardziej i bardziej czarne, a kiedy D.W. wyłączył dopalacz, rzuciło nią gwałtownie do przodu i przez chwilę myślała, że pasy zmiażdżą jej serce. Potem w okienku kabiny pilota przed sobą ujrzała księżyc i turkusową obwódkę Ziemi na tle gęstej, nasyconej ciemności. Kiedy pod nimi przetoczyła się Azja, niby cudowny zachód słońca, Anne poczuła, że odrywa się od fotela i unosi w powietrze.

To właśnie wtedy, nagle i zupełnie nieoczekiwanie, doświadczyła z oszłamiającą jasnością czegoś, czego nigdy dotąd nie przeżyła: chwili absolutnej pewności, że Bóg istnieje. Ta chwila przeminęła niemal tak szybko, jak się pojawiła, ale pozostawiła po sobie przekonanie, że Emilio się nie myli, że ich obecność tutaj naprawdę została zamierzona, by dokonali czegoś niemożliwego. Spojrzała na niego, zdumiona, wstrząśnięta, i poczuła jakiś irracjonalny gniew, widząc, że śpi.

Minęło dwie i pół godziny lotu, kiedy Sofia przeleciała obok niej, żeby dokonać obserwacji nawigacyjnych. Anne poruszyła głową, śledząc jej płynne przemieszczanie się w powietrzu, i wtedy to nastąpiło. Bez żadnego ostrzeżenia jej ciało zbuntowało się przeciw dziwacznej sytuacji i następane kilka godzin spędziła na wymiotowaniu i wydmuchiowaniu nosa. Kiedy to się skończyło, zdała sobie sprawę, że jest głodna i rozpiąwszy pasy, odepchnęła się, by poszybować w kierunku kabiny pilota, czując się jak Mary Martin, dopóki nie uderzyła głową w przegrodę. Krzyknęła „Au!”, a potem „Jasna cholera!”, zupełnie bezmyślnie. Rzuciła okiem na Emilia, mając nadzieję, że go nie obudziła, ale on otworzył oczy i uśmiechnął się do niej promiennie, a ona zrozumiała, że w ogóle nie spał, a leżał dokładnie tam, gdzie wylądowało jej śniadanie.

Właśnie w tej chwili rozległ się tubalny głos D.W.:

– Hej, czy ktoś jest głodny?

Reakcja na to pytanie była natychmiastowa.

Prośba, jaką usłyszała od Emilia, była uprzejma, ale natarczywa. Natychmiast odpłynęła od niego, aby pozwolić mu na samotne przejście przez podobne doświadczenie, jakiego sama niedawno doznała. Przyłączyła się do D.W. i Sofii i zjadła z nimi wspaniały krem ziemniaczano-porowy, wyciskany z tub jak pasta do zębów. Zaspokoiwszy głód, poczuła się prawie dobrze, a w każdym razie na tyle dobrze, by melancholijnie stwierdzić, że Sofia, nawet po przejściu przez Syndrom Nabrzmiałej Twarzy i Kurzych Nóg, który dotknął wszystkich w chwili wejścia w G zero, przy swoich trzydziestu dwóch latach wyglądała lepiej niż ona sama w dniu swojego ślubu, a miała wtedy dwadzieścia lat i była zrobiona na bóstwo. Piękności Sofii nie była w stanie przyćmić nawet radykalna redystrybucja osocza i limfy; jej twarz wygładziła się do owalu barwy kości słoniowej, czarne brwi rysowały się łagodnymi łukami ponad migdałowymi powiekami, lekko zaciśnięte wargi świadczyły o opanowaniu. Pozbawiona uczuć twarz z bizantyjskiego portretu.

Natomiast D.W. zrobił się jeszcze bardziej szpetny niż zwykle.

Piękna i Bestia, pomyślała Anne, obserwując ich, jak pracowali głowa przy głowie nad jakimiś nawigacyjnymi wyliczeniami. Ta przyjaźń wydała jej się dziwna, czysta i wzruszająca w sposób, którego nie mogła zrozumieć. Przebywając z Sofią, D.W. porzucił swój dawny styl Fajnego Chłopa i zdawał się zużywać mniej tlenu, natomiast ona pozbyła się swojej zwykłej ostrożności i nieufności, była bardziej rozluźniona. Ciekawe, bardzo ciekawe, myślała Anne. Kto by to przewidział?

Coraz większe zaangażowanie Sofii w wyprawę spotkało się z oporem, nie ze strony pozostałych członków załogi, ale ze strony biura ojca generała. Chętnie widziano ją jako głównego wykonawcę i negocjatora, ale włączenie jej do załogi budziło poważne wątpliwości. Dopiero bezpośrednia interwencja D.W. Yarbrougha przeważała szalę, a on sam był bardzo zadowolony, że udało mu się tego dokonać.

Przede wszystkim Sofia okazała się urodzonym pilotem. Opanowana i dokładna, ze swoim czysto logicznym podejściem do złożonych systemów, przechwytywała umiejętności swoich instruktorów z chłodną kompetencją, która kiedyś pomnażała konto Jeana-Claude'a Jauberta, a teraz zachwycała D.W. Yarbrougha. „Jej krzywa zdobywania wiedzy przypomina tor startującego odrzutowca”, oświadczył ojcu generałowi, a potem dodał beztrasko: „Teraz mogę w każdej chwili odwalić kite, a ona przewiezie ich tam i z powrotem bez żadnego problemu. Ciężar spadł mi z serca”.

Ale było w tym coś jeszcze. D.W. nie uważał się za świętego, miał tylko talent do wydobywania z ludzi ich prawdziwej osobowości, a czynił to, by odnaleźć w nich Boga. Sam będąc mistrzem pozorów, dobrze wiedział, kiedy ktoś ukrywa się pod taką czy inną maską. Nawet gdyby ta cała zwariowana misja nie miała osiągnąć niczego więcej, to powiedział najpierw sam sobie, a potem ojcu generałowi, że zamierza pomóc tej jednej duszy odnaleźć się, podźwignąć i odzyskać utraconą jedność. Dawno temu John F. Kennedy zaproponował, by Amerykanie wyprawili się na Księżyc nie dlatego, że będzie to łatwe, lecz właśnie dlatego, że będzie to trudne, i ten właśnie dar D.W. Yarbrough chciał przekazać Sofii Mendes: szansę zrobienia czegoś tak trudnego, że będzie musiała sięgnąć granic swoich możliwości, poczuć, do czego jest zdolna, odnaleźć w sobie coś, co napełni ją radością.

I nawet jeśli doznał wstrząsu, kiedy zobaczył, że Sofia okazała się równie mądra według jego kryteriów mądrości, co on według jej, uznał, że z tego spotkania może wyjść coś dobrego. Mając już swoje pięćdziesiąt dziewięć lat, był – pomimo udanej stylizacji na rubasznego kowboja – przewidującym i kompetentnym przywódcą, przywiązującym baczność uwagę do szczegółów. Jako były dowódca eskadry odrzutowców wiedział, że jest mnóstwo rzeczy, które w bezpośredniej akcji wymykają się spod kontroli, a ta wiedza dyktowała mu żelazną zasadę: to, co może być kontrolowane, musi być doprowadzone do perfekcji. A w tym Sofia była naprawdę dobra.

D.W. Yarbrough i Sofia Mendes byli odpowiedzialni za koordynację przygotowań do największej od czasów Magellana wyprawy w nieznaną. Razem przeanalizowali i sprawdzili każdy, nawet najdrobniejszy element tej operacji, gromadząc i przetrawiając rezultaty pracy kilkuset niezależnych zespołów naukowych i technicznych, godząc przeciwne poglądy, podejmując ostateczne decyzje, wymuszając alternatywne rozwiązania i bardziej wszechstronnie przemyślane plany. Musieli wziąć pod uwagę wszystkie mieszczące się w granicach wyobraźni warunki i okoliczności: pustynny skwar, tropikalny deszcz, arktyczne zimno, bezkresne równiny, strome góry, rzeki, a biorąc to wszystko pod uwagę, musieli jednocześnie pamiętać o zasadzie minimalizacji wyposażenia i zapasów. Studiowali systemy magazynowania towarów, rozważali wszelkie warianty transportu, sprzecali się namiętnie, czy powinni zabrać kawę, czy też nauczyć się żyć bez niej, dyskutowali nad ekologicznymi skutkami zabrania ze sobą ziaren i sadzonek, urządzali sobie burze mózgów na temat ewentualnego handlu i wymiany, wrzeszczeli na siebie, zniechęcali się, obrażali, godzili, wpadali na zwariowane pomysły, często ryczeli ze śmiechu i – wbrew wszelkim rozsądnym przewidywaniom – bardzo się polubili.

W końcu nadszedł dzień, w którym byli gotowi rozpocząć uzbrajanie asteroidy do wyprawy. Najpierw przewieźli tam promem George'a Edwardsa i Marca Robichaux, aby dokonać z nimi inspekcji systemu podtrzymującego życie i zdecydować, jak rozmieścić zapasy.

Marc Robichaux TJ był przyrodnikiem i akwarelistą z Montrealu. Siwiejący blondyn o łagodnych oczach i nieśmiałym uśmiechu, wyglądał jak jeden z owych sympatycznych mężczyzn, którzy nigdy się nie starzeją. „Kwintesencja nieśmiałości i sprytu”, żartowała Anne. Typ chłopaka, który w liceum jest jednocześnie przedmiotem westchnień pańienek i ulubieńcem wykładowców, równy kumpel, który mimo to pierwszy oddaje testy i otrzymuje za nie najwyższą ocenę. Marc był odpowiedzialny za hodowlę sadzonek w rurze Wolvertona i zbiornik z tilapiami, czyli za produkcję świeżej żywności, która miała być uzupełnieniem ich zapasów, natomiast George Edwards za system komputerowej kontroli nad rurą Wolvertona, a także za softwarowe i mechaniczne aspekty systemów pozyskiwania powietrza i wody. Każdy z nich przez cały rok poznawał specjalność drugiego, a obaj doskonale się uzupełniali: spokojna rozwaga Marca była przeciwwagą nieokiełznanej skłonności do eksperymentowania, cechującej George'a.

James Connor Quinn, lat dwadzieścia osiem, miał pełnić obowiązki specjalisty od nawigacji i komunikacji. Zdecydowano też zabrać ze sobą muzykologa, Alana Pace'a TJ. Miał trzydzieści jeden lat i był gibkim Anglikiem, który spoglądał na świat sennymi oczami i sprawiał wrażenie, jakby już to wszystko widział, i który prawdopodobnie również wszystko wiedział. Ta cecha niepokoiła D.W.; Pace w ostatniej chwili zastąpił Andreja Jelaćica, który dostał ataku serca podczas ostatniego testu na sytuacje stresowe. Andreja trudno było kimkolwiek zastąpić. Alan Pace miał jednak wysokie kwalifikacje; był świetnym muzykiem, ale niekiedy zachowywał się w sposób nieco męczący. Jak wielu muzyków, miał precyzyjną i uporządkowaną umysłowość, zresztą studiował też z dobrym skutkiem matematykę. Jego partnerem w szkoleniu został Jimmy Quinn, pianista-amator; razem spędzili wiele miesięcy na studiowaniu rosnącej kolekcji nadchodzących z kosmosu sygnałów, a Pace zapoznawał się również z tajnikami nawigacji.

Czwartą parę – i ostatnią, która przybyła na asteroid – tworzyli Emilio Sandoz, lat czterdzieści, i Anne Edwards, która, podobnie jak jej mąż, miała sześćdziesiąt cztery lata. Podczas gdy reszta przechodziła intensywne szkolenia w różnych miejscach, oni pozostali w Puerto Rico. Do La Perla przysłano nowego księdza, który miał zastąpić Emilia, a on sam przeniósł się do kliniki, gdzie pod kierunkiem Anne przechodził kurs asystentów lekarskich, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji kryzysowych, jakie mogły ich spotkać poza Ziemią przy braku szpitala, leków i skomplikowanych urządzeń. Z kolei Emilio ponownie został jej nauczycielem języka; tym razem, wykorzystując program Sofii, pomagał Anne przygotować się do nauki języka Śpiewaków. Co wieczór razem transkrybowali i analizowali przechwycone sygnały. Nie mieli, niestety, żadnych punktów odniesienia, do których mogliby się odwołać, ale z zapałem wychwytywali powtarzające się frazy i oswajali się z rytmem języka.

Materiału do analizy było dużo. Procedura przechwytywania sygnałów szybko została opanowana, a po jakimś czasie można też było polegać na stałej częstotliwości emisji. Do czerwca 2021 roku większość radioastronomów powróciła do innych projektów badawczych, a operatorzy kierowali teleskopy na Alfę Centaura w zmiennym cyklu 15- i 27-dniowym, rejestrując regularnie emitowane koncerty. Muzyka nigdy nie trwała długo; sygnały ginęły w szumie po kilku minutach. Pieśni zawsze się od siebie różniły, choć raz powtórzył się temat. Niekiedy miały charakter zawołań i odpowiedzi, jak w pierwszej transmisji, czasami śpiewał tylko solista, nie brakowało też wykonanń chóralnych.

Najbardziej zafrapowało ich odkrycie, że po jakimś czasie są w stanie rozpoznać głosy poszczególnych Śpiewaków. Wyróżniał się szczególnie jeden, obdarzony cudownym głosem o zapierającej dech mocy, o wręcz operowej skali, działającym w tak hipnotyczny sposób, że słuchając go, nie zauważało się ani jego mocy, ani skali, tylko piękno i prawdę zawarte w pieśni.

Był to głos Hlavina Kitheriego, resztara Galatny, który pewnego dnia miał zniszczyć Emilia Sandoza.

Przeciwwymiotne plastry nie wyeliminowały całkowicie skłonności do choroby kosmicznej, ale jednak ograniczyły jej trwanie. Zarówno Anne, jak i Emilio czuli się już dobrze, kiedy po jakichś dwunastu godzinach lotu D.W. zawołał:

– Oto i nasz kartofel!

Poszybowali ostrożnie ku oknom kabiny pilota, by po raz pierwszy spojrzeć na asteroid.

Emilio, który na Ziemi również wysłuchiwał entuzjastycznych opisów George’a, zrobił zawiedzioną minę.

– Co? Bez śmietany? Bez szczypiorku?

Anne zachichotała i odepchnęła się od okna, by powrócić na swoje miejsce w przedziale towarowym.

– I bez grawitacji – rzuciła przez ramię.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał cicho Emilio, podążając za nią.

– Ej, wy dwoje, zapnijcie pasy! – rozkazał D.W. – Przybywa nam masy i możecie połamać sobie karki, jeśli nawalę przy dokowaniu.

– Szlag. Co on ma na myśli, mówiąc o jakimś nawaleniu? Nigdy o tym przedtem nie wspominał – mruknęła Anne, lądując na fotelu i zapinając pasy.

Emilio, który zrobił to samo, zauważył jej dziwną minę.

– No więc co z tą grawitacją? – zapytał ponownie. – Nie daj się prosić. O co chodzi?

– Jakby to ująć... – Zaczerwieniła się, ale ciągnęła dalej, siląc się na powagę. – George i ja jesteśmy małżeństwem od czterdziestu pięciu lat i robiliśmy to już na wszystkie możliwe sposoby, ale jeszcze nigdy nie robiliśmy tego przy G zero.

Uniósł ręce do ust.

– Oczywiście. Nigdy mi to nie przyszło do głowy, ale oczywiście...

– Nikt nie oczekiwał, że ci to przyjdzie do głowy. Natomiast ja nie mogę myśleć o niczym innym, odkąd przestałam rzygać.

Dokowanie przebiegło gładko. D.W. i Sofia prawie natychmiast udali się do swoich kwater, znużeni nieustanną pracą podczas lotu. Nawet Emilio i Anne, choć byli tylko pasażerami, poczuli się zmęczeni i pomimo podniecenia widokiem pomieszczeń mieszkalnych, żadne nie zaprotestowało, kiedy ich wysłano do „łóżek” – zawieszonych w powietrzu śpiworów.

Gdy nowi przybysze ułożyli się do snu, George, Marc, Alan i Jimmy przenieśli z promu ostatnie kilkaset sztuk ładunku. Geometrii przestrzeni magazynowej poświęcono na Ziemi wiele uwagi; trudno było do końca przewidzieć, jak zachowa się ładunek w momencie silnego przyspieszenia. Pomieszczenia mieszkalne zostały zaplanowane tak, aby funkcjonowały sprawnie najpierw w stanie nieważkości, potem przy gwałtownym wzroście masy, ciężącej do tyłu, do silników, kiedy zostaną odpalone. Tak więc wszystko musiało być bardzo uważnie zabezpieczone przed pierwszym odpaleniem, które D.W. zaplanował na następnego dnia.

Praca zajęła im kilka godzin, co częściowo tłumaczyło, dlaczego Jimmy Quinn obudził się następnego ranka tak późno. Ale tylko częściowo. Eileen Quinn zauważyła kiedyś, że poranne zabiegi zmuszające Jimmy'ego do wstania z łóżka bardziej przypominały wskrzeszanie zmarłego niż normalne budzenie. Okazało się, że Jimmy nienawidził poranków również w przestrzeni kosmicznej. Kiedy wpłynął do wspólnego pomieszczenia po dokonaniu zabiegów higienicznych, dość irytujących w stanie nieważkości, przygotowany był na usprawiedliwienie się za opóźnienie startu. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że nie zjawił się na śniadaniu ostatni, nie było jeszcze Anne i George'a. Zajął się więc posiłkiem, milcząc jak zwykle o tej porze dnia, wysysając z tuby kawę i trochę zupy z homara, którą znalazł w pojemniku z żywnością. Dopiero kiedy kofeina zaczęła działać, zdał sobie sprawę, że wszyscy jakby na coś czekali.

Już miał zapytać D.W., na którą godzinę zaplanował odpalenie silników, kiedy z pokoju Anne i George'a rozległ się śmiech, więc zapytał:

– Jak myślicie, kiedy oni dojdą?

Miało to być zupełnie niewinne pytanie, ale Emilio zgiął się w pół, a D.W. zakrył twarz rękami. Alan Pace dzielnie udawał, że nic do niego nie dotarło, Marc ryczał ze śmiechu, a i Sofii trzęsły się ramiona, choć Jimmy nie widział jej twarzy.

– Jak... – zaczął ponownie, ale teraz rozległ się histeryczny śmiech Anne, a potem głos George'a:

– Hej, kibice, mamy tu do czynienia z poważnym rozczarowaniem w naszej Krainie Fantazji!

D.W. nie wytrzymał i ryknął śmiechem, ale Alan, wciąż zachowując powagę, zauważył:

– Aha, to chyba ma coś wspólnego z trzecim prawem Newtona.

Jimmy, jeszcze nie całkiem rozbudzony, musiał to przemyśleć przez chwilę, zanim powiedział ogólnikowo:

– Każdemu działaniu odpowiada takie samo przeciwdziałanie...

Dopiero wtedy coś zaczęło do niego docierać.

– Stary George ma wyraźnie jakieś kłopoty z realizacją zamówienia – zauważył D.W., co rozśmieszyło nawet Alana.

Nagle Marc Robichaux poszybował do przedziału magazynowego i po chwili wrócił, uśmiechając się promiennie jak Archanioł Gabriel w średnim wieku i trzymając rolkę srebrnej dwucalowej taśmy klejącej. Uchylił drzwi pokoju Anne i George'a i wsunął do środka rękę z taśmą, niby gospodarz, który podaje papier toaletowy zażenowanemu gościowi. W ciszy rozległ się dźwięczny, telewizyjny głos Karla Maldena, tyle że lekko zabarwiony hiszpańskim akcentem:

– Taśma izolacyjna! Nie wychodź bez niej z domu!

Anne wybuchnęła śmiechem, a George ryknął:

– A może macie tam trochę grawitacji?

Na co D.W. odkrzyknął ochoczo:

– Bardzo nam przykro! Mamy tylko lewitację!

I tak rozpoczął się pierwszy poranek jezuickiej misji na Rakhat.

– A więc, panie i panowie, *Stella Maris* opuszcza układ słoneczny! – zawołał Jimmy z mostku, w zadziwiająco krótkim czasie od odpalenia silników.

Rozległy się chaotyczne wiwaty. D.W., obejmując swoimi guzowatymi dłońmi kubek z kawą, przechylił się nad stołem i powiedział figlarnym tonem:

– Panienko Mendes, to chyba daje ci tytuł mistrza wszech czasów w kategorii „Żyd Wieczny Tułacz”.

Sofia uśmiechnęła się.

– Od miesiący czekał, żeby to powiedzieć – prychnął George, obserwując zegary.

– Czy jeszcze istniejemy? – zapytała bez troski Anne.

Rozległy się jęki i zawodzenia.

– Anne, uważam, że to było śmieszne – powiedział Emilio, siadając przy stole – ale ja mam naprawdę duże poczucie humoru.

Od momentu odpalenia silników mieli pełną grawitację i bardzo szybko uznali za normalne, że znajdują się we wnętrzu asteroidu zmierzającego do Alfy Centaura, choć obiektywnie mogło to się wydawać kompletnym wariactwem. Jediną oznaką, że to się naprawdę dzieje, były dwa monitory zegarów, zainstalowane we wspólnym pomieszczeniu, które George obserwował z taką uwagą. Zegar wskazujący czas lokalny, opatrzony odręcznym napisem MY, wyglądał zupełnie normalnie. Zegar wskazujący czas ziemski, z napisem ONI, ukazywał przetworzoną przez komputer funkcję ich szybkości.

– Spójrzcie – powiedział George. – Teraz już to widać. Na ziemskim zegarze sekundy przesuwają się szybciej niż na zegarze lokalnym.

– Wciąż nie mogę się w tym połapać – wyznał Emilio, zerkając na zegary i rozkładając serwetki, o które Anne i D.W. posprzeczali się kilka miesięcy temu. Argumenty Anne brzmiały: „Nie zamierzam patrzeć przez pół roku, jak wy, chłopaki, wycieracie sobie usta rękawami. Nie widzę powodu, dla którego ta cała wyprawa miałaby się zamienić w coś w rodzaju szkoły przetrwania dla prawdziwych macho. Kiedy dotrzemy tam, gdzie mamy dotrzeć, będziecie mieli mnóstwo okazji do pokonywania nieoczekiwanych przeszkód”. Na co D.W. odpowiedział: „Bielizna stołowa to bezsensowne powiększanie ładunku”. W końcu Sofia oświadczyła, że serwetki ważą jakieś osiemset gramów i naprawdę nie ma się o co spierać. „Kawa, tak, o to można się kłócić”. I, dzięki Bogu, pomyślał Emilio, kobietom udało się postawić na swoim w obu spornych sprawach.

– Im szybciej się poruszamy, tym bardziej zbliżamy się do prędkości światła – zaczął cierpliwie wyjaśniać George, choć czynił to któryś raz z rzędu – a na ziemskim zegarze czas będzie przepływał szybciej. Przy najwyższej prędkości, w połowie drogi, będzie nam się wydawać, że tu, na asteroidzie, mijają trzy dni, podczas gdy na Ziemi mija rok. Oczywiście dla kogoś na Ziemi czas na asteroidzie będzie płynął o wiele wolniej, jeden ziemski dzień to u nas cztery miesiące. To właśnie jest względność czasu. Zależy od punktu widzenia.

– Okay, łapię, o co chodzi. Ale dlaczego? Dlaczego tak się dzieje? – zapytał Emilio.

– *Deus vult, mes amis* – zawołał radośnie Marc Robichaux, wychylając się z kuchni. – Tak się Bogu spodobało.

– Myślę, że to odpowiedź równie dobra, jak każda inna – powiedział George.

– Pochwała! Należy się nam pochwała! – oświadczyła Anne, wnosząc z Markiem pierwszy posiłek ugotowany normalnie: spaghetti z czerwonym sosem, sałatka z warzyw z rury Wolvertona i chianti z koncentratu. – Och, jak się cieszę, że mamy już za sobą stan nieważkości!

– Naprawdę? A ja wołałam G zero – powiedziała Sofia, siadając przy stole.

George nachylił się do Anne i coś do niej szepnął. Wszyscy się uśmiechnęli, kiedy uderzyła go w ramię.

– No jasne, bo tobie nie robiło się niedobrze! – zawołał Emilio, ignorując Edwardsów.

– Może częściowo dlatego – zgodziła się Sofia – ale przede wszystkim bardzo mi się podobało, że jak chciałam być wysoka, to byłam.

Z mostka wyszedł Jimmy Quinn i zwałił się na krzesło z przesadną szybkością.

– Zawarliśmy z Sofią układ – oznajmił. – Ona nie będzie mówiła o koszykówce, a ja nawet nie wspomnę o miniaturowym golfie.

– No cóż, panienko Mendes – odezwał się D.W. – tego G zero, do którego tak tęsknisz, jeszcze nam nie zabraknie. Będzie jeszcze okazja, żeby trochę podrosnąć, kiedy dotrzemy tam, dokąd zmierzamy, i kiedy przygasimy silniki, żeby się trochę rozejrzeć.

– I kiedy je odwrócimy w połowie drogi – dodał George. – Trzeba się przygotować na lekkie zachwianie równowagi.

– Ty i Anne zamierzacie znowu spróbować? – zapytał Jimmy. Anne trzasnęła go otwartą dłonią w tył głowy, kiedy przechodził obok niej, żeby przynieść pieprz z kuchni. – Wiesz, George, to nie fair wobec nas wszystkich, chyba że zamierzasz się podzielić.

Alan Pace zrobił nieszczęśliwą minę, ale reszta zaczęła gromko pohukiwać. Zasiedli do stołu. Na chwilę wszyscy umilkli, by odmówić modlitwę dziękczynną, a potem zaczęły krążyć półmiski, rozległy się śmiechy i dowcipy. Łatwo było sobie wyobrazić, że znowu są w La Perla, w domu Edwardsów. D.W., zadowolony z ich dobrych humorów, pozwolił im się wyszumieć, aż w końcu podniósł rękę.

– Okay, a teraz wysłuchajcie mnie, komandos i komandoski. Oto nasze *ordo regularis*, począwszy od jutra.

Rozkład zajęć został ściśle zaplanowany. Kiedy czterej jezuici zgromadzą się na mszy, pozostała czwórka cywilów, jak ich nazywał D.W., będzie miała czas wolny, choć każdy jest mile widziany na nabożeństwie. Trzy godziny dziennie, prócz nominalnych niedziel, przeznaczono na naukę, aby doskonalić umiejętności i zachować dyscyplinę umysłową, a także po to, by każdy członek załogi poznał przynajmniej pobieżnie specjalizacje wszystkich pozostałych. Przewidziano też godzinę ćwiczeń fizycznych.

– Musicie być gotowi na wszystko – oznajmił stary dowódca eskadry. – Nikt nie może stracić kondycji.

Była też cała masa rutynowych czynności do wykonania. Należało utrzymywać w czystości ubrania i naczynia, zmieniać filtry, doglądać hodowli roślin i rybek, oczyszczać pomieszczenia z włosów, okruchów i innych nie zidentyfikowanych śmieci. Przewidziano również czas na indywidualne i zbiorowe projekty. Pamięć komputerów, jakimi dysponowali, naładowana była prawie całą wiedzą Zachodu i sporą porcją wiedzy Wschodu czy Południa, więc każdy miał co robić. D.W. zaproponował, by codziennie, po lunchu, pracowali nad jakimś zbiorowym projektem.

– Na przykład, przekonsultowałem z panną Mendes pomysł – rzekł, celując w nią jedno oko – żeby ojciec Pace nauczył nas śpiewać całego *Mesjasza* Haendla.

– To bardzo przyjemna muzyka – powiedziała Sofia, wzruszając ramionami na nieme zaskoczenie wokół stołu. – Nie mam nic przeciwko nauczeniu się tego, oczekując na przyjście Mesjasza. Haendel po prostu nieco się pospieszył.

Rozległy się pohukiwania i gwizdy, przez które przebił się okrzyk George’a: „Pokaż im, Sofio!”, a potem pełne zachwytu słowa Anne: „No, proszę, mamy nowego zawodnika przy stole!”

D.W. Yarbrough uśmiechał się szeroko, jakby Sofia była jego osobistym osiągnięciem. I w pewnym sensie nim jest, pomyślała Anne.

– A mówiąc poważnie, to właśnie muzyka jest powodem, dla którego tu jesteśmy – zauważył nieco pedantycznie Alan Pace, próbując wprowadzić trochę powagi do rozmowy. – O tych Śpiewakach wiemy tak naprawdę tylko jedno: że śpiewają. Muzyka może się okazać naszym jedynym środkiem porozumienia.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było tylko poszczękiwanie widelcami i talerzami. Anne już zamierzała powiedzieć coś cierpkiego, kiedy przemówiła Sofia Mendes.

– Och, nie bardzo się z tym zgadzam. Doktor Sandoz opanował trzynaście języków, w tym sześć w ciągu zaledwie trzech lat – powiedziała chłodno, podając sałatkę Jimmy’emu, który po uwadze Pace’a rozdziawił usta. – A może się załóżymy? Twierdzą, że jeśli nawiążemy z nimi kontakt, doktor Sandoz opanuje podstawy ich gramatyki w ciągu dwu miesięcy.

Uśmiechnęła się uprzejmie do Pace’a i czekała na jego reakcję z uniesionymi pytająco brwiami.

– Ja też na to stawiam – dodał beztrąsko D.W., spoglądając gdzieś w okolice Alana Pace’a, ale równie dobrze mógł patrzeć na Sofię albo Emilia. – Jak przegrasz, będziemy cię przez miesiąc nazywać AI.

– Ach... To dla mnie za wysoka stawka – powiedział Pace. – Sandoz, uznaję się za skarconego.

– Nie ma o czym mówić – odrzekł sucho Sandoz i odszedł od stołu, wynosząc do kuchni talerz ze swoim nie zjedzonym makaronem.

Był wdzięczny Anne, słysząc, że po jego odejściu podjęła rozmowę, i zajął się zmywaniem naczyń. Skupił się na opanowaniu swojej reakcji, więc wzdrygnął się, kiedy usłyszał za sobą głos Sofii Mendes. To go jeszcze bardziej zirytowało.

– Co jest gorsze – zapytała, stawiając swoje talerze na ladzie – być znieważonym czy być obronionym?

Emilio przerwał zmywanie, nie przyzwyczajony do tego, by ktoś czytał w jego myślach, i oparł ręce na zlewie, ale po chwili wrócił do swojego zajęcia.

– Nie ma o czym mówić – powtórzył, nie patrząc na nią.

– Mówią, że to Sefardyjczycy nauczyli Hiszpanów dumy – zauważyła. – Wybacz mi. To nie było stosowne. Więcej się nie zdarzy.

Kiedy się odwrócił, już jej nie było. Zaklął pod nosem i po raz któryś zadał sobie pytanie, co właściwie pozwoliło mu uwierzyć, że ma temperament księdza. W końcu wyprostował ramiona, przeciągnął wilgotnymi rękami po włosach i wrócił do wspólnego pomieszczenia.

– Nie jestem skończonym palantem – oświadczył formalnym tonem, a kiedy wzbudził tym uwagę siedzących przy stole, dodał: – ale mogę nim być, jeśli się bardzo postaram.

Rozległy się śmiechy, Sandoz poprosił ojca Pace’a, by mu wybaczył głupią reakcję, a z kolei Pace przeprosił jego.

Emilio znowu usiadł przy stole i odczekał, aż reszta zajmie się poobiednią rozmową, a wówczas pochylił się ku Sofii, siedzącej po jego lewej stronie.

– *Derech agav* – powiedział cicho – *yeish arba-esrei achshav*.

– Uznaję się za skarconą – odpowiedziała słowami Alana Pace’a. Oczy jej rozbłysły, ale nie patrzyła na niego. – Trochę za gładko wymawiasz „r”, ale w ogóle akcent masz niezły.

A powiedział jej w sefardyjskiej hebrajszczyźnie, która niewiele się różniła od języka współczesnego Izraelczyka, że teraz zna już czternaście języków.

I jeśli Jimmy Quinn, Anne Edwards i D.W. Yarbrough zwrócili uwagę na twarz Sofii, kiedy to mówiła – a wszyscy troje byli wyczuleni na takie rzeczy, zresztą z różnych powodów – to o wiele później zdali sobie sprawę, że od tego czasu Emilio Sandoz nie usiadł obok niej prawie przez rok.

Mijał piąty miesiąc podróży, kiedy pewnego wieczoru Emilio usłyszał pukanie do drzwi swojej kajuty.

– Tak? – zawołał cicho.

Jimmy Quinn wsunął głowę do pokoju.

– Masz chwilkę?

– Zaraz sprawdzę. – Emilio usiadł ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i przejrzał wyimaginowany kalendarz. – Wtorek? Jedenasta piętnaście?

Jimmy, uśmiechając się szeroko, wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Rozejrzał się po małym pomieszczeniu, w którym znalazł się po raz pierwszy.

– Taki sam, jak mój – zauważył. Wąska prycza, biurko i krzesło, terminal podłączony do komputera pokładowego. Jedyna różnica: krucyfiks na ścianie. – Jezu, ale u ciebie jasno! I gorąco. Czuję się, jakbym był na plaży.

Ksiądz zmrzążył oczy i wzruszył ramionami.

– Co ci mogę na to odpowiedzieć? Latynosi lubią słońce i ciepło. – Ale przyciemnił trochę światło i wyłączył czytnik, który trzymał w ręku.
– Siadaj.

Jimmy odsunął krzesło od biurka i usiadł, rozglądając się przez chwilę.

– Emilio – powiedział w końcu – mogę cię o coś zapytać? To osobiste pytanie.

– Oczywiście, możesz – odpowiedział trochę niepewnie Sandoz. – Ale nie obiecuję, że odpowiem.

– Jak ty to wytrzymujesz? – wybuchnął Jimmy podnieconym szeptem. – Bo ja dostaję świra! Posłuchaj, mam nadzieję, że tobie to nie przeszkadza, bo mnie przeszkadza jak cholera, ale nawet D.W. zaczyna mi się podobać! Sofia dała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana i...

Emilio uniósł rękę, nie chcąc wysłuchiwać szczegółów.

– Jim, przecież znałeś skład załogi, kiedy się zgłosiłeś. I chyba nie sądziłeś, że pannę Mendes włączono specjalnie dla twojej wygody...

– Ależ oczywiście! – zawołał Jimmy, oburzony, bo w rzeczywistości robił sobie pewne nadzieje co do Sofii.

– Ja po prostu nie miałem pojęcia, że to będzie takie trudne.

– Łagodnie mówiąc – mruknął Sandoz, nie patrząc na niego, z uśmiechem błakającym się wokół ust.

– Łagodnie mówiąc. Boże, to jest okropne! – Jimmy zaśmiał się, kuląc się i osłaniając sobie głowę ramionami. Potem wyprostował się, znowu spojrzął na księdza i zapytał prosto z mostu:

– Ale... poważnie, jak ty sobie z tym radzisz? To znaczy... co mam robić?

Spodziewał się czegoś w rodzaju maksymy zen albo rady, aby odmawiał różaniec, więc prawie nie zrozumiał, kiedy Emilio popatrzył na niego i powiedział:

– Pilnuj się, Jim.

Sposób, w jaki zostało to powiedziane, z intonacją, jakiej używa się przy pożegnaniu, sprawił, iż z początku pomyślał, że Sandoz próbuje go zbyć. Dopiero po chwili zorientował się, o co mu chodzi.

– Och... No tak. Robię to, ale...

– A więc pilnuj się częściej. Aż przestaniesz o tym wciąż myśleć.

– To twój sposób? To znaczy... że po jakimś czasie przestaje się odczuwać potrzebę... tak?

– Nawet księża mają swoje życie prywatne, Jim.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Jimmy poczuł, że przekroczył jakąś granicę i natychmiast się wycofał.

– Przepraszam. Naprawdę. Masz rację. Nie powinienem cię o to pytać.

Sandoz westchnął, wyraźnie zakłopotany.

– Myślę, że biorąc pod uwagę warunki... No dobra. Odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, mogę ci tylko zdradzić, że w badaniach, którymi objęto pięciuset księży, czterystu dziewięćdziesięciu ośmiu ujawniło, że się masturbują.

– A tych dwóch?

– Rusz głową, Watsonie. Z ich odpowiedzi można było wydedukować, że nie mieli rąk. – I zanim Jimmy zdążył ochłonąć, ciągnął dalej suchym tonem: – Jeśli chodzi o twoje drugie pytanie, mogę tylko powiedzieć, że po dwudziestu pięciu latach ta potrzeba wcale nie zanika.

– Boże! Dwadzieścia pięć lat! Pierwsza część twojej reakcji wyjaśnia drugą. – Emilio przeciągnął palcami po włosach; był to nerwowy odruch, którego nie potrafił się pozbyć. Opuścił ręce i złożył dłonie na kolanach.

– Jesteś w trudniejszej sytuacji niż ksiądz czy zakonnica. Celibat nie jest jakimś ograniczeniem. To aktywny wybór, a nie po prostu brak możliwości. – Jimmy milczał, więc Emilio mówił dalej. Głos miał spokojny, twarz i spojrzenie pełne powagi. – Chcę być wobec ciebie uczciwy. Księża różnią się między sobą pod względem zdolności do zachowywania czystości. To chyba oczywiste i wszyscy o tym wiedzą, prawda? Jeśli jakiś ksiądz raz w miesiącu odwiedza kobietę, może to być wszystko, na co go stać, mogą to być granice jego samokontroli. *Notabene*, może w ten sposób uprawiać seks częściej niż niektórzy mężowie. Ale ideał celibatu wciąż dla niego istnieje. I w miarę upływu czasu taki ksiądz może być coraz bliższy osiągnięcia tego ideału. Pożądanie odczuwamy tak samo, jak inni mężczyźni. Mamy jednak wciąż nadzieję osiągnąć pewien duchowy poziom, w którym ta walka przestaje mieć znaczenie.

Jimmy wciąż milczał. Patrzył na poważną i niezwykłą twarz siedzącego przed nim mężczyzny, a kiedy w końcu się odezwał, głos miał jakby trochę starszy.

– A ty osiągnąłeś ten poziom?

Niespodziewanie twarz Emilia rozjaśniła się i sprawiał wrażenie, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale nagle znowu przeciągnął palcami po swoich czarnych włosach i uciekł spojrzeniem w bok.

– Nawet księża mają swoje życie prywatne – rzucił tylko.

Tej nocy, leżąc na swojej pryczy, Jimmy przypomniał sobie pewną rozmowę z Anne, jeszcze w Puerto Rico. Był u Edwardsów na kolacji, a George, który zdawał się zawsze wiedzieć, kiedy ktoś pragnie pomówić z Anne sam na sam, wcześniej poszedł spać. Minęły trzy tygodnie od złapania pierwszego radiowego sygnału ET i Jimmy był przygnębiony, bo wszyscy zaczęli podejrzewać, że Elaine Stefansky ma rację i że jednak padł ofiarą czyjś oszustwa albo – jeszcze gorzej – sam się oszukuje. Nadal dość często widywał Sofię w pracy i dręczyła go myśl, że ona i Emilio mogą być kochankami. Czuł zazdrość, a jednocześnie tłumaczył sobie, że nie ma prawa osądzać innych.

Przez chwilę kluczył wokół tego, co go dręczyło, ale Anne dobrze wiedziała, o co chodzi.

– Nie, nie sądzę, żeby coś się działo – powiedziała mu prosto z mostu. – Co nie znaczy, bym miała coś przeciwko temu. Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to uważam, że dla niego byłoby dobrze, gdyby ją kochał, a dla niej, żeby była kochana.

– Ale przecież on jest księdzem! – zaprotestował Jimmy, jakby to coś rozwiązywało. – Składał śluby!

– Och, Boże, Jimmy! Dlaczego jesteście tacy okrutni dla księży, kiedy spotkają kogoś, kogo pokochają prawdziwą miłością? Na czym właściwie polega ich przestępstwo? Co jest tak strasznego w kochaniu kobiety? Albo nawet w przespaniu się z kobietą raz czy drugi, po prostu po to, żeby się głośno wypłakać...

Zatkało go. Bezpośredniość Anne czasami go szokowała. Sięgnęła po swój kieliszek z winem, ale nie podniosła go, tylko obracała powoli, obserwując, jak burgund połyskuje w półmroku.

– Wszyscy składamy jakieś śluby, Jimmy. I jest coś naprawdę cudownego, wzruszającego i szlachetnego w pragnieniu, by dobre impulsy trwały wiecznie. Większość z nas ślubuje, że będzie kogoś kochać, szanować i wspierać. I kiedy to robimy, naprawdę w to wierzymy. I co? Mijają dwa lata, może dwanaście albo dwadzieścia, i nasi prawnicy kłócą się o podział majątku.

– Ty i George dotrzymujecie swoich przyrzeczeń.

Roześmiała się.

– Powiem ci coś, przystojniaku. Miałam już czterech mężów. – Patrzyła na niego, czekając, aż to przełknie. – Wszyscy nazywali się George Edwards, ale, wierz mi, ten facet, który czeka na mnie tam, w tamtym pokoju, to całkiem inne zwierzę niż ten chłopak, z którym brałam ślub. Och tak, są pewne wspólne cechy. Zawsze był i jest zabawny i nigdy się nie nauczył organizować sobie czasu, i... no dobra, ale to nie twój interes.

– Ludzie się zmieniają – powiedział łagodnie.

– Dokładnie. Ludzie się zmieniają. Kultury się zmieniają. Imperia rodzą się i upadają. Kurwa, geologia się zmienia! Co jakieś dziesięć lat George i ja stajemy wobec faktu, że się zmieniliśmy, i musimy podjąć decyzję, czy jest sens stworzyć nowe małżeństwo między tym dwojgiem nowych ludzi. – Opadła na oparcie fotela. – I dlatego wszelkie ślubowania to bardzo skomplikowana sprawa. Nic nie jest zawsze takie samo. Okay. Okay! Teraz coś mi świta, poczekaj. – Wyprostowała się, wpatrzona gdzieś w dal, a Jimmy zdał sobie sprawę, że nawet ona nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie był tylko pewien, czy to odkrycie przyniosło mu ulgę czy rozpacz. – Może dlatego, że tak niewielu z nas jest w stanie oddać coś tak fundamentalnego za coś tak abstrakcyjnego, chronimy się przed godnością kapłańskich ślubów, szydząc z księdza, który nie może ich dochować, w każdej chwili i na zawsze. – Nagle wzdrygnęła się. – Ale... Jimmy! Cóż to za nienaturalne słowa. W każdej chwili i na zawsze! To nie są ludzkie słowa, Jim. Nawet kamienie nie są w każdej chwili i na zawsze.

Zdumiała go pasja, z jaką to wszystko z siebie wyrzuciła. Pomyślał, że skoro ona i George są tak długo małżeństwem, powinna każdemu stawiać wysoką poprzeczkę. Przyrzeczenie to przyrzeczenie, więc on może się złościć na Emilia i nienawidzić jego ojca za to, że opuścił jego matkę, i wierzyć, że on tak nigdy nie postąpi, że nigdy nie będzie nikogo okłamywać, że nie porzuci swojej żony, że nie będzie miał romansów. Chciał wierzyć, że jego miłość będzie trwała w każdej chwili i na zawsze.

– Dopóki nie zbadasz własnej duszy, Jim, nie potępiaj za szybko księdza czy w ogóle kogokolwiek. Nie besztam cię, skarbie – dodała szybko. – Chodzi tylko o to, że dopóki sam tego nic przeżyjesz, nie możesz wiedzieć, jak to jest z dochowywaniem wierności przyrzeczeniom, które złożyłeś bardzo dawno. Nie wiesz, czy to strata czy zysk. Nie wiesz, czy masz walczyć, czy uznać swoją porażkę i próbować jak najwięcej z tego wyciągnąć. – Zrobiła trochę zmieszaną minę i dodała: – Wiesz co, kiedyś byłam cholernie twarda w tych sprawach. Żadnych ustępstw, żadnego zawieszenia broni! Ale teraz? Jimmy, ja naprawdę nie wiem, czy świat byłby lepszy czy gorszy, gdybyśmy dochowywali ślubów złożonych w młodości.

Próbował przemyśleć to wszystko, leżąc na swojej pryczy. Rozwód to okropna rzecz, ale jednak jego matka spotkała Nicka, który ją strasznie kochał, miała z nim dzieci, które teraz są dla niej wszystkim, to w sumie wyszło jej na dobre.

A Emilio i Sofia? O Sofii wiedział niewiele, tyle, że straciła całą rodzinę w Istambule podczas kwarantanny ONZ i że wydostała się stamtąd, podpisując kontrakt z jakimś brokerem. No i, oczywiście, że jest Żydówką, co go bardzo zaskoczyło, kiedy się o tym dowiedział. Nic jednak nie wskazywało, by miało dla niej jakieś znaczenie, że prócz niej załoga składa się z samych katolików. Do księży odnosiła się z szacunkiem, nawet jeśli Anne zaszczerpiła w niej zdrową dozę żartobliwego lekceważenia. Zdał sobie sprawę, że Sofia wiele przejęła od Anne w ciągu tych długich miesięcy. Te krótkie uściski, sposób, w jaki chwytała się dłonią za podbródek, albo to gładzenie włosów i mrużenie oczu, kiedy robiła jakąś żartobliwą, ale złośliwą uwagę. Oczywiście bez przesady, Sofia nadal zachowywała się powściągliwie, ale było oczywiste, że próbuje się przystosować do nowych dla niej warunków. To obiecujące ciepło, które mylnie odczytał jako zachętę. Teraz już wiedział, że była to tylko oferta przyjaźni.

No i zepsuł wszystko, oczekując czegoś, czego ona wcale nie zamierzała mu dawać. Postanowił to jakoś naprawić. Teraz, jeśli tylko Sofia poczuje się na tyle bezpiecznie, że ponownie zaoferuje mu przyjaźń, na pewno na tym poprzestanie. To jest możliwe. Kiedy się miesiącami żyje razem w ograniczonej przestrzeni, trudno się nie zaprzyjaźnić. I pomyślał, że dla Emilia mogło to nie być łatwe.

Po pierwszym prawdziwym obiedzie na *Stelli Maris* Emilio zaczął zwracać się do wszystkich, prócz Anne i D.W., po nazwisku. „Mendes, sprawdziłaś już ten filtr?” Sofia z początku uparcie używała form „pan” czy „doktor”, ale wkrótce zaczęła naśladować Emilia. „Musisz wyczyścić te pliki, Sandoz, zaczyna nam brakować pamięci operacyjnej”. W ten sposób nie musieli zwracać się do siebie po imieniu, a jednocześnie unikali nienaturalnego formalizmu. Prawdopodobnie Emilio chciał w ten sposób zachować ciepłe, koleżeńskie stosunki, unikając kłopotliwej dla niego poufałości.

Ale i tak Jimmy był przekonany, że seksualnego napięcia nie dało się całkowicie wyeliminować. Wystarczyło spojrzeć, jak Emilio wyłazi ze skóry, by uniknąć bliższego kontaktu z Sofią, co w warunkach pokładowych, przy wspólnej pracy, nie zawsze było możliwe. To trzymanie dłoni z daleka, to płochliwe odsuwanie się, to odwracanie spojrzenia... Przecież mogli usiąść obok siebie zupełnie przypadkowo, więc sam fakt, że nigdy do tego nie dochodziło, stawał się znaczący. Na *Stelli Maris* było mnóstwo muzyki i wspólnego śpiewania, ale już nigdy nie doszło do tak intymnej sytuacji jak wówczas, w ów sierpniowy wieczór, kiedy Emilio i Sofia zaśpiewali razem.

Emilio potrafił być tak swobodny i zabawny, iż czasami zapominało się, że jest księdzem, a wówczas zaskoczeniem była jego twarz podczas mszy albo jego widok, gdy robił coś zwykłego w sposób niezwykle dokładny i skupiony, zgodnie z jezuicką zasadą czynienia modlitwy z codziennych zajęć. Ale nawet Jimmy potrafił dostrzec, że Emilio i Sofia byłiby bardzo dobraną parą, a ich dzieci byłyby cudowne, inteligentne i bardzo, bardzo kochane. I podobnie jak wielu wrażliwych katolików przed nim, Jimmy nie mógł zrozumieć, dlaczego tacy faceci jak Emilio muszą dokonywać wyboru między miłością do Boga i miłością do kobiety, takiej jak Sofia Mendes.

Zadał sobie pytanie, jak on sam by się poczuł, gdyby pewnego dnia odkrył, że Emilio pozostaje wierny swoim ślubowaniom, w każdej chwili i na zawsze. Zaskoczyło go, kiedy stwierdził, że byłby chyba rozczarowany i przygnębiony. I wiedział, że Anne, tak krytyczna wobec takich spraw, byłaby zachwycona.

Emilio Sandoz nie byłby wcale zaskoczony, gdyby się dowiedział, że jego problemy seksualne są tak szczerze i namiętnie roztrząsane przez jego przyjaciół. Wiedział już, że jeden z najdziwniejszych aspektów bycia księdzem polega na tym, że celibat jest jednocześnie najbardziej osobistą i najbardziej publiczną sprawą życia księdza.

Jeden z jego profesorów lingwistyki, Samuel Goldstein, pomógł mu zrozumieć konsekwencje tego prostego faktu. Sam był z pochodzenia Koreańczykiem, więc jeśli już się poznało jego nazwisko, wiedziało się, że został adoptowany. „Kiedy byłem dzieckiem, zawsze mnie dziwiło, że ludzie wiedzieli coś istotnego o mnie i o mojej rodzinie, jak tylko na nas spojrzeli”, powiedział mu kiedyś Sam. „Czułem się, jakbym miał nad głową neonowy napis: ADOPTOWANY. Nie chodzi o to, żebym się tego wstydził. Po prostu sam chciałem decydować, czy ujawniać to przed kimś, czy nie ujawniać. Z wami, księżmi, jest chyba podobnie”.

I Emilio zdał sobie sprawę, że Sam miał rację. Kiedy miał na sobie sutannę lub nawet tylko koloratkę, rzeczywiście czuł się tak, jakby miał nad głową neonowy napis: LEGALNE POŻYCIE PŁCIOWE ZABRONIONE. Ludzie świeccy wiedzieli o nim coś bardzo zasadniczego. Od razu mieli zdanie o jego życiu, oceniali je, osądzali. Nie mając pojęcia, czym jest celibat, uznawali jego wybór za godny politowania, a jego samego za osobę trochę nienormalną.

To dziwne, ale najwięcej mieli do powiedzenia o celibacie mężczyźni, którzy porzucili kapłaństwo, aby się ożenić. Jakby złożenie broni pozwalało im lepiej docenić to, czego się wyrzekli. Właśnie w słowach jednego z takich kapłanów Emilio odnalazł najlepszy opis owej Drogocennej Perły: człowieczeństwo ponad seksualnością, miłość ponad samotnością, identyfikacja płciowa zakorzeniona w wierze, męstwie, szczodrobliwości. I ostatecznie, transcendentna świadomość stworzenia i Stwórcy...

Istniało tyle sposobów utracenia równowagi i poczucia celu, ilu było ludzi zaangażowanych w walkę. On sam przeszedł przez fazę, w której unikanie seksu tak go pochłaniało, że nie potrafił myśleć o niczym innym, jak wygłodzony człowiek marzący o jedzeniu. W końcu zaakceptował masturbację jako tymczasowy środek zaradczy, bo poznał już takich, którzy poszli na większe kompromisy, co przyniosło jedynie ból kobietom, które ich pokochały. Inni próbowali utopić samotność w alkoholu, albo, co było najgorsze, zaprzeczali, że odczuwają pożądanie i grzęźli w obłudzie: byli wzorami cnót w świetle dnia i drapieżnikami w ciemnościach nocy.

Aby wytrwać, aby znaleźć drogę przez labirynt rygoryzmu, pułapek i rozczarowań, Emilio musiał wypracować w sobie niezawodny system samokontroli, musiał też nauczyć się uczciwości i szczerości wobec siebie i wobec świata. Była to żmudna droga, ale w końcu doprowadziła go do miejsca, w którym pogodził się ze swoją samotnością, w którym mógł odpowiedzieć „tak”, kiedy zadawał sobie pytanie, czy Perla warta jest ceny, jaką się za nią płaci dzień po dniu, noc po nocy, rok po roku.

Ale kto by potrafił o tym mówić? W każdym razie nie Emilio Sandoz, który pomimo swoich lingwistycznych uzdolnień i umiejętności, pozostawał zawsze skryty i niemy, gdy chodziło o to, co dzieje się w jego duszy.

Nie potrafił odnosić się do Boga jako do przyjaciela, nie potrafił do Niego przemawiać z poufałością pobożnisia albo wysławiać Go za pomocą poezji. A jednak, w miarę upływu lat, zaczął widzieć jaśniej drogę, na którą ongiś wstąpił prawie bez zastanowienia. Coraz mocniej czuł, że naprawdę został wezwany, aby zmierzać ku Bogu tą dziwną i trudną, nienaturalną i niewysłowioną drogą, która nie wymagała poezji czy pobożności, a jedynie wytrwałości i cierpliwości.

Nikt nie był w stanie zrozumieć, ile to dla niego znaczyło.

17
NEAPOL
czerwiec 2060

Pierwszego dnia dochodzenia w sprawie misji na Rakhat, na widok Sandoza, wchodzącego do gabinetu ojca generała, Johannes Voelker skrzywił się i natychmiast poczuł ulgę, że dzieje się to w ustronnym miejscu, z dala od Rzymu, z dala od wścibskich dziennikarzy. Ilu spośród reszty załogi udało się temu niegodziwcowi uwieść, zanim dosięgła ich śmierć? A może ich też sam zamordował, jak to dziecko?

Sandozowi towarzyszyli Candotti i Behr; Behr otworzył przed nim drzwi, a Candotti podsunął mu krzesło. Jego poplecznicy, pomyślał Voelker, ich też oczarował. Nawet Giuliani trochę zanadto go rozpieszcza – jego, który naraził reputację Towarzystwa Jezusowego na nieobliczalne szkody, nie mówiąc już o stratach materialnych.

Rozejrzał się i spostrzegł, że Giuliani go obserwuje.

– Dzień dobry, szanowni ojcowie – rzekł Giuliani dobrodusznym tonem, jednocześnie ostrzegając Voelkera wzrokiem, by panował nad swoimi uczuciami wobec tych trzech. – Emilio, miło mi, że znajduję cię w tak dobrym stanie.

– Dziękuję, ojczce generale – mruknął Sandoz. Wysmukły i elegancki w czarnej sutannie, z ciemnymi włosami obrzeżonymi srebrem, Emilio zdawał się mniej słaby i kruchy niż dwa miesiące temu. Pewniej trzymał się na nogach i cerę miał o wiele zdrowszą. Co działo się w jego głowie, tego Giuliani jeszcze nie wiedział. Od przybycia Felipe Reyesa rzadko się odzywał, poprzestając tylko na zdawkowych uprzejmościach i uwagach podczas rozmów przy obiedzie; nawet John Candotti nie był w stanie nic z niego wyciągnąć. Szkoda, pomyślał Giuliani. Dobrze byłoby zawczasu wiedzieć, co chodzi temu człowiekowi po głowie.

Wstał zza biurka i zajął miejsce u szczytu wspaniałego osiemnastowiecznego stołu. Wysokie okna były otwarte, delikatne firanki poruszały się lekko pod naporem czerwcowego wiatru od morza. Po mokrej, szarej wiośnie, lato zapowiada się nieco chłodniejsze i bardziej deszczowe niż zwykle, ale całkiem znośne, pomyślał Giuliani, obserwując, jak reszta siada przy stole. Felipe Reyes opuścił fotel w rogu pokoju i zawahał się, jakby rozważał, gdzie zająć miejsce. Voelker podsunął mu krzesło tuż przy swoim, usadzając go naprzeciw Candottiego, który siedział obok Emilia. Edward Behr usiadł blisko okna, skąd mógł niepostrzeżenie obserwować pozostałych.

– Drodzy ojcowie – zaczął Giuliani – chciałbym, żeby było jasne od samego początku, że nie jest to żaden proces ani przesłuchanie. Naszym celem jest odtworzenie w miarę dokładnego obrazu wydarzeń, które miały miejsce podczas misji na Rakhat. Ojciec Sandoz dysponuje unikatową perspektywą i wglądem w te wydarzenia i mamy nadzieję, że znacznie poszerzy naszą cząstkową wiedzę. My natomiast dysponujemy pewnymi informacjami, które, jak sądzę, mogą być ojcu Sandozowi nie znane. – Nie potrafił mówić siedząc, więc wstał i zaczął krążyć wokół stołu. – Niektórzy z nas są na tyle starzy, że na pewno pamiętają, jak rok po opuszczeniu przez *Stellę Maris* Układu Słonecznego, pan Ian Sekizawa z Korporacji Ohbayashi ujawnił publicznie swoje podejrzenia, że Towarzystwo wysłało misję na Rakhat. Wybuchła wielka wrzawa, Emilio, czego należało się spodziewać. Sekizawa najpierw zaalarmował swoich przełożonych, a ci przedstawili Narodom Zjednoczonym szczegółowy plan wysłania drugiej misji śladami *Stelli Maris*, przy wykorzystaniu bardzo podobnych środków technicznych. ONZ, w obliczu *fait accompli*, ustanowiło konsorcjum w celu nawiązania bezpośredniego kontaktu ze Śpiewakami. Jak wszyscy wiemy, otrzymało ono nazwę Konsorcjum Kontakt. Przy doborze załogi zadbano o aspekty dyplomatyczne, tak aby reprezentowała ona całą ludzkość. – Giuliani zatrzymał się i spojrzał na Sandoza. – Pewnie pamiętasz Wu Xing-Rena i Trevora Isleya, Emilio.

– Tak.

Jeśli Giuliani oczekiwał jakiejś reakcji, to się zawiódł.

– Pojazd Konsorcjum Kontakt, *Magellan*, wystartował blisko trzy lata po *Stelli Maris*. I od tego momentu sprawy zaczynają się gmatwać. Ludzie potrzebują siedemnastu lat, by pokonać odległość między Ziemią a Rakhatem, oczywiście licząc według czasu ziemskiego. Tymczasem fale radiowe potrzebują na to jedynie czterech lat i czterech miesięcy, więc dochodzi do kłopotliwego nakładania się różnych czasów, co bardzo utrudnia ustalenie kolejności wydarzeń. Muszę przypomnieć, Emilio, że utraciliśmy z wami wszelki kontakt po trzech latach od waszego wylądowania na Rakhacie. – Nic. Żadnej reakcji. – Kiedy *Magellan* zbliżył się do planety, jego załoga nie wiedziała, że uważamy was za zaginionych. Próbowali nawiązać z wami kontakt przez radio. Kiedy nie uzyskali żadnej odpowiedzi, polecili na *Stellę Maris* i przeanalizowali wasze pliki, co pozwoliło im uznać, że nawiązaliście bezpośredni kontakt z owym rozumnym gatunkiem...

Sandoz nadal patrzył w okno. Giuliani, poirytowany, stwierdził, że zaczyna na niego reagować jak na ucznia, który podczas lekcji marzy o niebieskich migdałach.

– Przepraszam, ojcze Sandoz, jeśli to ojca nudzi...

Sandoz uniósł brwi i odwrócił głowę, by na niego spojrzeć.

– Ja słucham, ojcze generale – powiedział. Głos miał pewny i stanowczy, trudno było doszukać się w nim śladu bezczelności. Ale wypowiedziawszy to zdanie, znowu odwrócił głowę, wpatrując się w dalekie wzgórze.

– To dobrze. Bo to bardzo ważne. Według naszego rozeznania załoga *Magellana* wylądowała w pobliżu ostatnich współrzędnych, jakie przekazaliście nam przez radio, zanim transmisje się urwały. Zlokalizowali cię po jakichś dwunastu tygodniach, po wielu trudach uwolnili z kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazłeś, i opatrzyli ci rany. – Nadal nie było żadnej reakcji. – Z tego, co wiemy, wynika, że potem zabrano cię na *Stellę Maris*, którą zaprogramowano tak, by powróciła do układu słonecznego. Byłeś jedynym pasażerem. – Zrobił pauzę i dodał innym tonem: – Myślę, że to była bardzo trudna podróż.

Emilio Sandoz po raz pierwszy zdobył się na komentarz.

– Tak, była bardzo trudna – powiedział, prawie do siebie, wciąż spoglądając w okno. – Niewyobrażalnie trudna.

Słowa zawisły w pokoju, odległe i nikłe, jak śpiew ptaka.

– No właśnie – powiedział ojciec generał z pewną ulgą. – W każdym razie przekazy radiowe od załogi *Magellana* trwały jeszcze przez trzy i pół miesiąca, po czym się urwały. Nie mamy pojęcia, co się z tą grupą stało, podobnie jak nie wiemy, dlaczego przekazy od naszych ludzi urwały się po trzech latach. I mamy nadzieję, że będziesz w stanie rozwiązać te zagadki, Emilio.

Skinął na Voelkera, który postawił przed Sandozem podręczny komputer z białym ekranem. To będzie coraz bardziej interesujące, pomyślał Voelker.

– Obawiam się jednak, że najpierw musimy poradzić sobie z bardzo niepokojącymi zarzutami, postawionymi przez Wu i Isleya. – W tym momencie Emilio rozejrzał się po zgromadzonych przy stole i Giuliani musiał przerwać, by przez chwilę się zastanović. Zdumienie wyglądało na szczere. – Czekaliśmy, rzecz jasna, aż będziesz na tyle silny, aby przemówić w swojej obronie. Rakhat nie podlega żadnej cywilnej jurysdykcji. Nie postawiono ci żadnych oficjalnych zarzutów, ale oskarżenia są poważne, mamy też do czynienia z poważnymi reperkusjami, nawet jeśli nie doszło do dochodzenia czy procesu. – Voelker nachylił się nad stołem i uruchomił edycję. – Te zarzuty zostały przesłane na Ziemię drogą radiową, więc przyjęto je i rozgłoszono ponad dwanaście lat temu. Proszę, przeczytaj je uważnie. Mamy nadzieję, że zdołasz je odeprzeć.

Emilio potrzebował dziesięciu minut, by zapoznać się z dokumentem, i pod koniec miał trudności ze wzrokiem, więc musiał odczytywać niektóre fragmenty po raz drugi, żeby mieć pewność, że je zrozumiał, co było dość denerwujące.

Raport Konsorcjum Kontakt nie był dla niego całkowitym zaskoczeniem. „Wiemy o tym dziecku”, powiedział mu już John, „i o burdelu”. Było to tak absurdalne, tak niesprawiedliwe, że wówczas nawet się nie zastanawiał nad konsekwencjami. To na pewno samoobrona umysłu, pomyślał. Aż do dziś nie wiedział, co każdy w tym pokoju, co cały świat usłyszał ponad dwanaście lat temu. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak obciążająco to brzmiało.

Ale to wyjaśniało kilka spraw i Emilio mimo wszystko poczuł pewną ulgę. A już zaczynał się niepokoić, czy te potworne bóle głowy nie są objawem guza w mózgu, bo tylu rzeczy nie potrafił zrozumieć. A to, co przeczytał, przynajmniej wyjaśniało wyraźną wrogość i odrazę: sposób, w jaki patrzyli na niego Isley i Wu, co mogli sobie o nim myśleć... Natomiast inne fragmenty raportu pozostawały wciąż niezrozumiałe. Jeszcze raz spróbował to wszystko przemyśleć i uznał, że musiał powiedzieć coś, co zostało źle rozumiane. Tak, na pewno został błędnie rozumiany i stąd to wszystko. Trzeba tylko przypomnieć sobie, co to mogło być. Może później, kiedy będzie więcej czasu, kiedy nie będą go tak przyciskać.

A potem znowu poczuł kleszcze bólu zaciskające się na czaszce i obrazy zaczęły migotać bezładnie w jego mózgu.

W ostatnich miesiącach często czuł się zawieszony między rozpacziwą histerią a czarnym humorem. Poddanie się histerii oznaczało powrót do przeszłości, a to jeszcze bardziej wzmagало ból.

– Mogło być gorzej – powiedział w końcu. – Mogło padać.

Czarny humor był ratunkiem dla niego, ale innych doprowadzał do wściekłości. Giuliani i Reyes nie byli zaskoczeni, natomiast Voelker wyraźnie się rozszłościł. John docenił jego poczucie humoru, ale uznał, że nie jest to najlepsza pora na dowcipy. Emilio nie widział teraz wyraźnie, a kiedy próbował poszukać wzrokiem Edwarda Behra, dostrzegł tylko, że nie było go już przy oknie.

– Najwyższy czas, by ktoś ci wyjaśnił, Sandoz, że to nie tylko twoja osobista hańba – warknął Voelker, a jego głos zadźwięczał w uszach Emilia jak młot. – Od kiedy te zarzuty zostały upublicznione, dobre imię Towarzystwa zostało zszargane. Mamy teraz zaledwie czternaście nowicjatów na całym świecie! I brakuje nam nowych ludzi, aby zastąpić choćby tych...

– Och, daj spokój, Voelker! Przestań szukać kozła ofiarnego! – To był głos Johna. – Nie możesz obwiniać Emilia za wszystko, co...

Wtedy rozległ się głos Felipe i Emilio poczuł, że za chwilę ból rozsadzi mu czaszkę. Próbował uciec od tego zgiełku i bólu, starał się ukryć gdzieś wewnątrz siebie, ale nie odnalazł żadnej kryjówki. Przez wiele tygodni przygotowywał się na tę rozmowę, układał cegłę po cegle, decydując, na które pytania odpowiedzieć, a które zbyć i w jaki sposób to uczynić. Był pewny, że zdoła jakoś przebrnąć przez przesłuchania, że przecież ma już jakiś dystans do tego wszystkiego, a teraz wszystkie pieczołowicie zbudowane konstrukcje obronne rozpadały się jak domek z kart i czuł się tak obnażony i bezbronny, jakby to wszystko działo się ponownie.

– Dosyć! – Głos Giulianiego przeciął sprzeczkę i w pokoju nagle zapanowała cisza. Kiedy odezwał się znowu, głos miał łagodny. – Emilio, czy w tych zarzutach można się doszukać prawdy?

Brat Edward, z białymi otoczkami wokół oczu, które sygnalizowały migrenę, zmierzał już do Sandoza, mając nadzieję wyprowadzić go z pokoju, zanim zaczną się wymioty. Zatrzymał się jednak, czekając, co Emilio odpowie.

– Wydaje mi się, że to wszystko prawda – odpowiedział Emilio, ale rozbrzmiewający mu w czaszce ryk sprawiał, że ledwo słyszał własne słowa. A po chwili wszyscy znowu wrzeszczeli, więc prawdopodobnie nikt nie usłyszał, kiedy dodał: – Ale to nie tak było.

Poczuł, że Edward Behr bierze go pod ramiona i stawia na nogi. Wszyscy coś mówili, słyszał też głos Edwarda tuż przy swoim uchu, ale nic nie rozumiał. Wydawało mu się, że to John Candotti prawie wynosi go z pokoju i próbował dać mu znać, że może iść sam. Udało im się wyciągnąć go na wyłożony kamienną posadzką korytarz, zanim utracił kontrolę nad swoim ciałem; rad był, że nie zabrudził dywanu. Kiedy było po wszystkim, poczuł ukłucie igły, a potem odniósł wrażenie, że spada i spada, choć w rzeczywistości wnoszono go po schodach.

To wszystko prawda, zdążył pomyśleć, zanim środek zaczął działać. Ale to nie tak było. Nie tak.

Prom wysłany z *Magellana* wylądował blisko wioski Kashan, gdzie grupa jezuicka mieszkała od ponad dwu rakhatańskich lat. Na spotkanie ludzi nie wyszli jednak jezuici, lecz przerażający tłum istot nazywanych, jak się później okazało, Runami. Były to wielkie, wyraźnie wzburzone istoty i Wu był przekonany, że od razu ich zabiją. Grupa z *Magellana* zamierzała już uciec do promu, kiedy z tłumu wyszła mniejsza istota, którą uznali za młodą, i skierowała się prosto do Trevora Isleya, przemawiając do niego, ku ich zdumieniu, po angielsku.

Oświadczyła, że nazywa się Askama i zapytała Trevora, czy przybywa „po Milo”. Zdawała się przekonana, że Isley jest krewnym ojca Emilio Sandoza – czyli Milo, jak go nazywała – członkiem rodziny, który przybył po księdza. Kiedy zapytali o innych, podobnych do Sandoza, odpowiedziała, że odeszli, ale wciąż powtarzała: „Milo nie umarł”, „Milo jest w mieście Gayjur”. W końcu ludzie z *Magellana* zrozumieli, że Askama chce ich tam zaprowadzić, i uznali, że trzeba tam pójść. Mieli nadzieję, że Sandoz będzie mógł im wyjaśnić sytuację, kiedy już znajdą się w tym Gayjurze.

Popłynęli tam rzeczną barką. Z brzegów wrzeszczeli na nich Runowie, a raz posypał się grad kamieni. Ich celem wydawał się Trevor Isley, przypadkiem ubrany na czarno, co potwierdzało przypuszczenia i obawy załogi *Magellana*, iż misjonarze wpadli w jakiś konflikt z mieszkańcami planety.

Mieszkańcy miasta nie okazywali ludziom otwartej wrogości, ale obserwowali ich w milczeniu, kiedy szli ulicami. Askama zaprowadziła ich do istoty nazywanej Supaari VaGayjur, która była kimś w rodzaju uczonego. Dowiedzieli się, że Supaari przez długi czas uczył się u Sandoza, i rzeczywiście, jego angielszczyzna była zdumiewająco dobra, choć akcent miał gorszy niż Askama. Okazał się też członkiem panującego ludu Jana’atów, osobą najwyraźniej bogatą i gościnną, choć Askamę natychmiast odprawił. Pozwolono jej jednak pozostać w mieście, bo często ją później widywali. Supaari potwierdził, że Emilio Sandoz kiedyś był jego domownikiem, ale dodał, że już tu nie mieszka. Kiedy go zapytali dlaczego i gdzie jest teraz, Supaari nie dał jasnej odpowiedzi. Powiedział tylko, że Cudzoziemcowi Sandozowi stworzono inne warunki bytowania, „bardziej zgodne z jego naturą”. I zmienił temat.

Przez następne kilka tygodni załoga *Magellana* była goszczona przez Supaariego, starając się odpowiedzieć na liczne pytania, którymi ich zasypywał. Na ich prośbę przedstawił im innych wpływowych Jana'atów. Wszyscy byli jednakowo chłodni i niezbyt rozmowni, a handel czy wymiana kulturalna zupełnie ich nie interesowały. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że szykuje się coś niedobrego. Nawet zwykle uprzejmy i beztroski Supaari powiedział im pewnego popołudnia, wyraźnie zmartwiony, że Runowie napadli na rzece na kilkunastu Jana'atów i wszystkich pozabijali. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Stosunki między Runami i Jana'atami zawsze były dobre. Supaari zdawał się mniemać, że odpowiedzialność za to ponoszą Cudzoziemcy, jak nazywano tu jezuitów. Została zachwiana równowaga. Złamano tradycje.

Załoga *Magellana* raz po raz zahaczała w rozmowach o Sandoza, mając nadzieję, że od niego dowiedzą się czegoś więcej, ale Supaariemu jakoś nie spieszo było, by ich do niego zaprowadzić. Ostatecznie to nie Supaari VaGayjur, ale mała Askama odnalazła Sandoza i zaprowadziła do niego Wu i Isleya.

Ojca Emilio Sandoza znaleźli w strasznym stanie, w czymś, co najwyraźniej było burdelem, gdzie pracował jako prostytutka. Pierwszym, co uczynił, kiedy ich zobaczył, było zabicie Askamy, dziecka, które wyraźnie go uwielbiało. Potem dostał ataku hysterii i nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Jana'atowie, zajęci ważniejszymi sprawami, przekazali go pod nadzór Konsorcjum. Wu i Isley uznali, że nie mają pełnomocnictw do prowadzenia dochodzenia, więc postanowili wysłać go z powrotem na Ziemię i oddać w ręce odpowiednich władz. Przetransportowano go na *Stellę Maris*, razem ze szczodrymi darami od Supaariego VaGayjura, a załoga *Magellana* zajęła się naprawianiem stosunków z VaRakhatami.

W ciągu następnych tygodni raz po raz donoszono o napaściach Runów na obywateli Jana'aty. Obawiając się wciągnięcia w nieuniknioną wojnę domową, Wu i Isley podziękowali Supaariemu za gościnę i pomoc, zamierzając powrócić na *Magellana*, gdzie mogli przeczekać niepokoje albo spróbować wylądować w innym rejonie planety. W ostatniej transmisji Wu donosił, że jego grupa wyrusza w kierunku promu, z eskortą, którą im przydzielił Supaari VaGayjur. Od tego czasu od załogi *Magellana* nie napłynęła żadna wiadomość.

Tak więc jedyną osobą, która wróciła żywa z Rakhatu był Emilio Sandoz. Emilio Sandoz, ksiądz, męska dziwka i morderca, który tak bardzo pragnął śmierci.

Oddech nieco się wyrównał i Edward Behr uznał, że lek w końcu podziałał. Był o wiele bardziej skuteczny podawany doustnie, kiedy bóle głowy dopiero się zaczynały. Edward starał się wyczuć, kiedy to nastąpi, ale Emilio robił wszystko, by to ukryć. Tym razem ból natarł zdumiewająco niespodziewanie, czemu zresztą trudno się dziwić. Emilio akurat siedział i czytał te straszliwe oskarżenia, a wszyscy wpatrywali się w niego, szukając choćby najmniejszych śladów reakcji.

Edward Behr widywał już takie rzeczy – ciało karane za to, czego dusza nie mogła pojąć. Czasem bywał to ból głowy, jak u Emilia, czasem potworny ból w krzyżu albo chroniczne zaburzenia żołądkowe. Można to zaobserwować u alkoholików, pijących, by stępić w sobie wrażliwość, by zagłuszyć poczucie krzywdy. Tylu ludzi grzebie ból duszy w swoich ciałach, pomyślał Edward. Nawet księża; którzy przecież powinni wiedzieć więcej od zwykłych śmiertelników.

Brat Edward spędził już w ten sposób wiele godzin, siedząc i patrząc na śpiącego Emilia, modląc się za niego. Zanim go wyznaczono do opieki nad Sandozem, słyszał, oczywiście, wiele opowieści na jego temat. Pielęgnował to zbolełe, zmaltretowane ciało, znał dobrze wszystkie jego rany – a poza rękami było ich więcej – te wiele mówiące, ohydne ślady. Pierwsze doniesienia pojawiły się w okresie, kiedy Edward Behr był jeszcze żonaty, kiedy trudno by mu było nawet sobie wyobrazić, że kiedyś sam będzie zakonnikiem. Interesował się tym, a jakże. W końcu była to sensacja stulecia. Przypomniawszy sobie te wszystkie dokuczliwe insynuacje, te dramatyczne rewelacje, te skandalizujące reakcje, które przyćmiły naukowe i filozoficzne znaczenie misji na Rakhat. A potem, po raz drugi, transmisje się urwały i zaczęło się długie oczekiwanie na powrót Sandoza – jedyna nadzieja na wyjaśnienie czegokolwiek.

To, że Emilio przeżył tę podróż, zakrawało na cud. Sam jeden przez całe miesiące, w prymitywnym pojeździe, sterowanym przez trochę tylko mniej prymitywne komputery, został jednak odnaleziony w należącem do koncernu Ohbayashi sektorze orbity asteroidów, kiedy jakaś sonda wykryła automatyczny sygnał ratunkowy. Był tak wycieńczony, że blizny na rękach znowu mu się otworzyły, a tkanka łączna porwała się na kawałki. Wykrwawiłby się na śmierć, gdyby go odnaleziono nieco później.

Brat Edward zdawał sobie sprawę, że może tylko on jeden jest całkowicie przekonany, iż odnalezienie Emilia żywego było rozwiązaniem szczęśliwym. Nawet John Candotti nie był do końca pewny, czy śmierć nie byłaby łaską. W końcu Bóg jest panem miłosierdzia.

Edward nie wiedział, co sądzić o zabiciu Askamy albo o aktach przemocy, które, jak mówiono, były skutkiem jezuickiej misji. Ale czy ktoś mógłby potępić Sandoza, jeśli on, okaleczony, pozbawiony środków do życia, całkowicie osamotniony, zaczął sprzedawać swoje ciało? W każdym razie nie on, nie Edward Behr, który znał granice ludzkiej wytrzymałości i wiedział, co musiało się wydarzyć, by doprowadzić Sandoza do stanu, w jakim go odnaleziono w rakhatańskim burdelu. Johannes Voelker, dla kontrastu, natychmiast uznał, że Sandoz to po prostu niebezpieczny łobuz, który przy braku kontroli zewnętrznej z ochotą dopuścił się ohydnych ekscesów. Jesteśmy tym, czego się lękamy w innych, pomyślał Edward. Ciekawe, jak też Voelker spędza wolny czas.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Edward wstał i wyszedł na korytarz, przemykając za sobą drzwi.

– Śpi? – zapytał ojciec generał.

– Tak. Będzie długo spał – odrzekł łagodnie brat Edward.

– Jak się zaczęły wymioty, musiałem mu wstrzyknąć prozainę i to go zważyło z nóg.

– Odpoczynek dobrze mu zrobi. – Vincenzo Giuliani potarł twarz dłońmi i pozwolił sobie na długie westchnienie. Spojrzał na brata Edwarda i potrząsnął głową. – Przyznał, że to wszystko prawda. Ale przysięgłbym, że nie wiedział, co mówi.

– Ojczy generalo, czy mogę być szczerzy?

– Oczywiście. Bardzo proszę.

– Trudno mi coś powiedzieć o tym morderstwie. Widziałem, że potrafi się wściec. Mówiąc szczerze, widziałem dość, by uznać, że stać go na przemoc, chociaż zawsze kierował ją przeciw sobie. Ale... ojczy generalo... ojciec tylko czyta raporty medyczne. A ja widziałem...

Brat Edward urwał. Nigdy o tym nikomu nie mówił, nawet samemu Sandozowi. Może te raporty były zbyt kliniczne. Może ojciec generał nie rozumiał, jakie były skutki sodomii, w jak rozpaczliwym położeniu musiał się znaleźć Sandoz...

– To były brutalne gwałty – powiedział i patrzył Giulianiemu w oczy, póki ten nie zaczął mrugać. – To nie jest masochista. Jeśli pracował jako prostytutka, nie sprawiało mu to wcale przyjemności.

– Nie sądzę, by takie zajęcie sprawiało komukolwiek przyjemność, Ed, ale wezmę to pod uwagę. Emilio Sandoz nie jest jakimś zdeprawowanym libertynem.

Giuliani podszedł do drzwi i zawahał się, zanim wszedł do pokoju. Większość ludzi łatwo daje się rozszyfrować. Zależy im na bezpieczeństwie, na władzy, na poczuciu użyteczności, pewności, kompetencji. Muszą mieć jakąś sprawę, za którą mogliby walczyć, jakiś problem do rozwiązania, miejsce, do którego mogliby się dopasować. Jest wiele możliwości, ale kiedy już się dostrzeże, do czego człowiek dąży, czego mu potrzeba, zaczynasz go rozumieć. Wpatrzył się w tę egzotyczną twarz, na pół zasłoniętą ciemnymi włosami i pościelą. „A więc kim, na Boga, jest ten człowiek?”, szepnął sam do siebie. Takie pytanie zadawał sobie często, w ten lub inny sposób, przez sześćdziesiąt lat. Nie oczekiwał odpowiedzi, ale ją otrzymał.

– Duszą – rzekł Edward Behr – szukając Boga. Vincenzo Giuliani spojrział na niskiego, tęgiego mężczyznę, stojącego w przedpokoju, a potem na Sandoza, pogrążonego w głębokim śnie.

A jeśli o to właśnie chodziło od samego początku?

Była głęboka noc, kiedy Emilio się obudził. Spojrzał, że mała lampka przy fotelu jest zapalona i powiedział cicho zaspanym głosem:

– Wszystko w porządku, Ed. Nie musisz przy mnie siedzieć. Idź do łóżka.

Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, podniósł się, wspierając na łokciu, i zobaczył nie Edwarda Behra, lecz Vincenza Giulianiego.

Zanim zdołał wypluć z siebie słowa, które kształtowały mu się w umyśle, przemówił Giuliani.

– Emilio, tak mi przykro. – Spokojne przekonanie w jego głosie miało pokryć lęk przed ryzykiem, jakiego się podejmował. – Zostałeś potępiony *in absentia* przez ludzi, którzy nie mieli prawa cię osądzać. Trudno mi znaleźć właściwe słowa usprawiedliwienia. Nie spodziewam się, że mi wybaczysz. Albo komukolwiek z nas. Tak mi przykro. – Obserwował, jak te słowa docierały do Sandoza, wsiąkały w niego jak deszcz w spieczoną ziemię. A więc to tak wygląda z jego strony, pomyślał. – Jeśli tylko będzie cię na to stać, chciałbym zacząć od początku. Wiem, że nie będzie to łatwe, ale myślę, że chcesz, abyśmy zobaczyli to wszystko twoimi oczami. I wiem, że nam też jest to bardzo potrzebne.

Twarz Sandoza ponownie powlekła się odmową, duma walczyła z wyczerpaniem, które nie miało nic wspólnego ze snem.

– Wynos się – powiedział w końcu Sandoz. – I zamknij drzwi.

Giuliani zrobił to i już miał wrócić do swojego pokoju, kiedy usłyszał coś, co kazało mu się zatrzymać. Miała to być zwykła gra, rodzaj hazardu: jak też Sandoz może się poczuć. Ale słysząc ten dźwięk, Vincenzo Giuliani uznał, że pozostanie w przedpokoju.

Z głową przyciśniętą do drzwi, trzymając się framugi, nasłuchiwał, aż łkanie ucichło, a wówczas poznał ciszę osamotnienia.

STELLA MARIS

wrzesień 2039 czasu ziemskiego

– Zostaję przy swoich, dziękuję – powiedział Emilio.

Sofia westchnęła. – Trzy.

– Dostałem kartę, od której rozboleł mnie brzuch – oświadczył D.W., spoglądając z niesmakiem w swoje karty.

– Jestem wykwalifikowanym chirurgiem – powiedziała Anne. – Mogę ci pomóc.

– Mnie już nic nie pomoże. Beze mnie.

– Wezmę jedną – powiedziała Anne.

– Ja biorę trzy – odezwał się Alan. – Słuchaj, Sandoz, to jest amerykański poker. Nie musisz zawsze pozostawać przy swoich kartach. Możesz pociągnąć.

– Robichaux jest artystą – odrzekł pogodnie Emilio. – On ciągnie. Mnie wystarczy to, co mam.

– Nie mieszajcie mnie do tego! – ryknął Marc z małej siłowni za wspólnym pomieszczeniem.

– To miło, że nie macie nic lepszego do roboty od gry w karty – rozległ się ze sterowni głos Jimmy'ego. – Bo tak się złożyło, że niektórzy pracują.

On i George analizowali sekwencyjne obrazy rozległego regionu pomiędzy środkowym słońcem i dwoma bocznymi, mając nadzieję wykryć jakieś zróżnicowanie – rozmazaną linię albo przecinek – które by wskazywało na planetę poruszającą się po orbicie. Od tygodni okrążali system Alfy Centaura przy szybkości 0,25 G i byli już tym śmiertelnie znudzeni.

– Anne może ci wyciąć wyrostek, jeśli chcesz. Ja jej pomogę – odrzekł Emilio, podnosząc głos. Jeszcze raz spojrzął w swoje karty. – Daję te dwa i jeszcze dwa.

Sofia i Anne wycofały się. Alan dorzucił jeszcze dwa orzeszki z tuby Wolvertona. George zrobił sobie przerwę i wkroczył dziarsko do wspólnego pomieszczenia. Stał za Anne, aby zobaczyć, z czym się wycofała.

– Brak ci jaj! – zawołał. – Ja bym grał!

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, a on złożył na jej karku głośny pocałunek. Ćwierć G dawało mnóstwo zabawy.

Emilio dodał cztery orzeszki, a potem jeszcze cztery i zagłębił się w fotelu, wydmuchując wymaginowany kłęb dymu z cygara.

– Musisz zapłacić osiem strączków, żeby się dowiedzieć, co mam, Pace.

Alan zlekceważył jego Boggartowskie zagrywki i sprawdził. Sandoz potrafił grać z każdą kartą. Równie dobrze mógł nie mieć nic.

– Para piątek? Nic nie bierzesz, mając parę piątek? – krzyknął Alan, kiedy wyłożyli karty. – Sandoz, naprawdę, nigdy cię nie zrozumiem! Dlaczego nie wzięłeś trzech kart?

Emilio uśmiechnął się promiennie i wzruszył ramionami.

– Piątki są starsze od czwórek, prawda? Moja pula. Po stawce, panie i panowie, po stawce!

Dobry humor Emilia udzielił się wszystkim przy stole, kiedy spojrzeli w karty, które rozdał im Emilio.

– To się nazywa pokerowa twarz – rzekł D.W., kręcąc głową. – Śmieje się przy każdym rozdaniu. Dobre karty cieszą go tak samo, jak śmieci.

– To prawda – zgodził się Emilio. – Alan, tylko między nami. Wyjmij mi jakąś kartę na chybił trafił, a ja dobioreę jedną.

Alan wyciągnął mu jedną kartę z ręki, a Emilio dobrał sobie jedną ze szczytu talii. Rozpromienił się, jak zwykle, więc trudno było zgadnąć, czy dostał z ręki karete, czy dobrał do koloru. Kiedy przyszła jego kolej, przesunął na środek cały stos orzeszków.

– Zwycięzca zgarnia wszystko. No, dalej, Pace, pokazujemy, co mamy.

Wyłożyli karty i Alan ryknął:

– Nie wierzę! Strit!

Emilio prawie płakał ze śmiechu.

– A najgorsze, że sam to zrobiłeś! Ja bym nic nie dobierał. – Przesunął orzeszki w stronę Alana, podniósł rękę i spojrzał na nich pogodnie jak wcielenie Buddy. – Taka mała sztuczka. Mnie po prostu zupełnie nie zależy na wygranej.

Rozległy się okrzyki: „Kłamca!”, a Anne i Sofia mruknęły coś pod nosem o spowiedzi. Alan wytrzeszczył oczy, zaskoczony tak gwałtowną reakcją.

– Alan, nie przejmuj się tym parszywym gnojkiem – powiedział George. – Gra jak gra, bo nie lubi orzeszków. Ale gdybyś zamierzał mu zabrać trzecią bazę, wydrze ci serce w drugiej.

– To też prawda – zgodził się dobrotliwie Emilio, zgarniając spokojnie karty. – Gdybyśmy grali o rodziny, byłoby inaczej. Lubię rodziny.

– Rodziny zaświniają karty – odezwała się Sofia.

– Czy nigdy ci się nie znudzi ta cholerna praktyczność?

– Bingo – rozległ się ze sterowni cichy głos Jimmy’ego.

– Nie, to poker – poprawił go Emilio. – Jeśli zdejmiesz strączki z tych kart...

Umilkł, gdy pojawił się Jimmy. Wszyscy utkwili w nim spojrzenia i zastygli w oczekiwaniu.

– Planeta – powiedział Jimmy, lekko oszołomiony. – Znaleźliśmy ją. Znaleźliśmy planetę. Może to nie planeta Śpiewaków, ale na pewno planeta.

Od czasu obrócenia asteroidu w połowie drogi i przestawienia silników zaczęli wytracać szybkość, zatrzymując się co dwa tygodnie, aby skanować niebo i nasłuchiwać sygnałów radiowych, które teraz były silniejsze, ale nadal dziwnie się urywały. Kiedy asteroid dotarł do granic systemu Alfy Centaura i zawisł „ponad nim”, by umożliwić im skanowanie systemu pod różnymi kątami, przestali w ogóle odbierać sygnały. Wzbudziło to ogólny niepokój, choć reakcje były dość różne: od optymizmu Marca, który powtarzał, że wszystko dobrze się skończy, po wyraźne zdenerwowanie George’a, który nie potrafił znaleźć racjonalnego wyjaśnienia tego faktu. Natomiast Emilio przyjmował to ze spokojem, od czasu do czasu żartując beztrąsko, że wobec tego mogą już wracać na Ziemię, co wzbudzało mniej wesołe reakcje innych. Teraz wszyscy stłoczyli się wokół monitora w sterowni, a Jimmy pokazywał im sektory systemu w różnych sekwencjach, tak że mogli wyraźnie dostrzec poruszający się powoli punkt świetlny, różniący się jasnością w zależności od kąta odbicia promieni słońca.

– Zobaczcie, widać nawet zróżnicowanie kształtu, jak w fazach księżyca.

Marc Robichaux, który wyszedł z siłowni, kiedy usłyszał ich krzyki, wskazał na inną jasną plamkę, bliżej centralnego słońca.

– I tutaj. Jeszcze jedna.

– Masz dobre oko, chłopie – pochwalił go Jimmy. – Tak, to druga.

– Możesz powiększyć ten sektor, Jimmy? – zapytał Marc, wciąż szybko oddychając, ale już nie z wysiłku fizycznego.

– To nic nie da. Ludzie, to przecież obserwacja w czasie rzeczywistym. Możemy je obejrzeć przez teleskop.

Kilka minut później oglądali już pierwszą planetę bezpośrednio: zamazaną okrągłą plamę, szarawą i nierówną. A potem drugą, tę wypatrzoną przez Marca, o wiele większą, z dwoma towarzyszącymi jej obiektami.

– Księżycy – powiedział cicho George, otaczając Anne ramieniem i przytulając ją do siebie. – Księżycy!

– Dajmy sobie spokój z tą pierwszą. To jest nasza planeta – powiedział Marc stanowczo. – Odpowiedniej wielkości księżyc kontroluje precesję planety na tyle, by cykle pogody mogły być w miarę regularne. Jeśli są tam otwarte zbiorniki, księżyc powoduje przyprływy i odpływy, a one są warunkiem rozwoju życia. – Anne spojrzała na niego, unosząc pytająco brwi. Przyrodnik uśmiechnął się. – Tak się spodobało Bogu, *madame*.

A potem wszyscy mówili jednocześnie, gratulując Jimmy’emu i Marcowi, zastanawiając się głośno, ile czasu zajmie im droga do planety z księżycami. Ogólne podniecenie wyrwało ich z męczącego letargu, w jakim tkwili przez ostatnie tygodnie. Ożywiony gwar urwał się nagle, kiedy D.W. spojrzał na Emilia i zawołał:

– Usiądź, synu, zanim upadniesz!

Rozepchnął ich i popędził przez wspólne pomieszczenie, lawirując między ławkami i stołami, ale zanim dobiegł do Emilia, ten upadł jak kukła z teatru lalek, której ktoś nagle przeciął sznurki. Wszyscy się roześmiali, bo wrażenie było dość komiczne, jako że na skutek zmniejszonej grawitacji upadek był dość powolny. Alan Pace pomyślał, że to jeszcze jeden żart Sandoza, tym razem niezbyt udany, biorąc pod uwagę sytuację.

Anne już stała za Yarbroughem.

– W porządku – powiedziała rzeczowym tonem, kiedy śmiech zamarł i przerodził się w konsternację. – Po prostu zemdłał.

Sama podniosła Emilia; przy 0,25 G ważył zaledwie piętnaście kilogramów. Anne odczuwała zawsze pewien szacunek dla męskiej wrażliwości, więc spojrzała na D.W., zamierzając go poprosić, by zaniósł Emilia do jego kabiny. Zdumiała się, kiedy dostrzegła, że Yarbrough cały dygoce. Wtedy coś jej w głowie zaskoczyło i zobaczyła wiele rzeczy w zupełnie innym świetle.

– Jimmy, możesz go zanieść do kabiny? – zawołała nieco znudzonym tonem, aby zminimalizować dramatyzm sytuacji. D.W. otworzył drzwi do kabiny Emilia i usunął się na bok, przepuszczając Jimmy’ego, który niósł Emilia, wyglądającego w jego ramionach jak szmaciana lalka. Anne zastanowiła się przez chwilę, po czym szturchnęła D.W. pocieszająco i wśliznęła się do kabiny. Jimmy złożył Emilia na koi i wyszedł, a ona zamknęła za nim drzwi.

Emilio już przychodził do siebie. Anne usłyszała za drzwiami głos D.W., mówiącego coś z czystym teksańskim akcentem, co wywołało salwę śmiechu; potem rozmowa powróciła do tematu planety. Głosy się oddaliły, a Anne spojrzała na Emilia, który już siedział, z nogami opuszczonymi na posadzkę, mrugając oczami.

– Co się stało? – zapytał.

– Zemdlałeś. Chyba na widok tej planety. Tak czasami reaguje autonomiczny system nerwowy. Ziębną ręce i nogi, a potem robi się białą przed oczami.

Pokiwał głową.

– Nigdy mi się to nie zdarzyło. Co za dziwne uczucie. – Potrząsnął głową, żeby się rozbudzić, i oczy znowu mu się rozszerzyły.

– Spokojnie. Posiedź trochę. Poczekaaj, aż ustabilizuje się ciśnienie krwi.

Oparła się o przegrodę, skrzyżowała ręce na piersiach i obserwowała go z chłodnym profesjonalizmem, ale wciąż rozmyślała nad tym, co zobaczyła. Uśmiechnął się i siedział spokojnie, dochodząc do równowagi.

– Dziwi mnie – powiedziała Anne spokojnie – że tak cię to zaskoczyło.

– Ta planeta?

– Tak. Przecież ta cała wyprawa to twój pomysł. Myślałam, że miałeś jakąś bezpośrednią rozmowę z Panem Bogiem na ten temat.

Starła się opanować swój zwykły sarkazm. Powiedziała to z powagą; ślad niepewności był tylko formą samoobrony.

Milczał dość długo, dwukrotnie zamierzając coś powiedzieć i rezygnując w ostatniej chwili. W końcu zapytał:

– Anne, mogę ci coś powiedzieć? W zaufaniu?

Osunęła się na podłogę, nie odrywając pleców od przegrody, i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, patrząc mu prosto w twarz.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, Anne, ale... – Znowu urwał i zaśmiał się nerwowo. – To chyba jakiś rekord, prawda? Człowiek, który zna czternaście języków, a nie potrafi się wypowiedzieć.

– Nie musisz mi tego mówić, jak nie chcesz.

– Nie. Muszę to komuś powiedzieć. Nie komuś. Tobie. Muszę to tobie powiedzieć. Potrzebuję tego. Anne, ja właśnie docieram gdzieś, gdzie według wszystkich powinienem być od dawna.

Znowu zapanowało milczenie, kiedy zastanawiał się, od czego zacząć i ile może jej powiedzieć. Czekwała, obserwując go spokojnie, rada, że jego cera odzyskuje zwykłą barwę, a potem wzruszona, kiedy dostrzegła, że się rumieni. Ujawnianie prawdy o sobie trochę przypomina seks. Nie jest łatwo obnażyć duszę.

– Musisz zrozumieć, Anne, że nie jestem jednym z tych facetów, którzy postanawiają zostać księżmi, kiedy mają siedem lat. To się zaczęło... Anne, widziałaś La Perla, prawda? Ale nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co to znaczy dorastać w La Perla. – Jeszcze jedna pauza, kiedy ogarnęła go fala wspomnień. – W każdym razie... jezuici... a zwłaszcza D.W.... ukazali mi inne życie. Nie zrozum mnie źle, nie mówię, że zostałem księdzem z wdzięczności. No dobra, może częściowo z wdzięczności. Ale ja chciałem być taki jak oni. Jak D.W.

– Nie musisz się tego wstydzić – powiedziała, patrząc na niego łagodnie.

Wziął głęboki oddech.

– Nie muszę. To była zdrowa ambicja. I nie było w tym żadnego kultu idola. Pragnąłem takiego życia i nie rozczarowałem się. Tylko... Anne, czy pamiętasz, jak ci powiedziałem, że po sposobie zachowania się ludzi trudno zgadnąć, czy wierzą w Boga? – Obserwował ją uważnie, ale nie sprawiała wrażenia, by ją to zaszokowało czy nawet zaskoczyło. – Wiesz, byłabyś dobrym księdzem.

– Gdyby nie ten cholerny celibat. – Roześmiała się. – No i papież twierdzi, że mam za dużo chromosomów X. Nie zmieniaj tematu.

– Dobra, dobra. – Znowu się zawahał, ale w końcu zaczął odnajdywać właściwe słowa. – Byłem jak ten fizyk, o którym mi opowiadałaś. Byłem jak fizyk, który intelektualnie wierzy w kwarki, ale ich nie czuje. Znałem wszystkie argumenty tomistyczne, dawałem sobie doskonale radę ze Spinozą, potrafiłem formułować same słuszne opinie. Ale nie czułem Boga. Nie było Go w moim sercu. Potrafiłem obronić ideę Boga przed każdym zarzutem, ale to wszystko były świadectwa z drugiej ręki, jakby powiedział prawnik. Żaden z nich nie budził we mnie czegoś w rodzaju emocjonalnego zaangażowania. Nie było w nich emocjonalnej prawdy, którą możesz zawsze odnaleźć, kiedy o Bogu mówi, na przykład, taki Marc. – Objął się ramionami i pochylił aż do kolan. – To znaczy... miałem takie miejsce w sobie, w którym chciałem, żeby był Bóg, ale to miejsce było puste. Więc sobie myślałem, widocznie jeszcze nie czas. Może to przyjdzie któregoś dnia. Mówiąc szczerze, patrzyłem na to trochę z góry. Na pewno spotkałaś ludzi, którzy ci mówią, że Jezus jest ich osobistym przyjacielem, prawda? – Powiedział to bardzo cicho, a jego twarz mówiła: kogo oni chcą oszukać? – Zawsze sobie wtedy myślałem: ależ oczywiście, tak jest, i pewnie widziałeś Elvisa Presleya w pralni samoobsługowej.

– Hej! A niby co w tym złego? – zawołała Anne, wyraźnie urażona. – Sama osobiście widziałam Keitha Richardsa w sklepie spożywczym w Cleveland Heights.

Roześmiał się i podciągnął wyżej na łóżku, tak że teraz mógł oprzeć się o ścianę.

– Okay. No więc pewnego dnia odbieram ten telefon o czwartej nad ranem. A potem wszyscy siedzimy w klitce Jimmy’ego, słuchając tej niewiarygodnej muzyki, a ja się zastanawiam na głos, czy nie można by się tam dostać. A George i Sofia mówią: oczywiście, nie ma problemu, trzeba to tylko obliczyć. A ty myślałaś, że nam kompletnie odbiło, prawda? No więc z początku sam tak myślałem, Anne. To znaczy... z początku to była taka gra! Po prostu bawiłem się myślą, że taka jest wola Boga. Naprawdę! – Anne przypomniała sobie jego wesołość, która wówczas wydała im się dość dziwna. – Wciąż czekałem, aż ta zabawa się skończy, każdy się ze mnie zdrowo pośmieje, a ja znowu zajmę się przekonywaniem Ortegi, żeby dał mi ten budynek na przedszkole, i znowu będę kłócił się z Gonzalesem i radą o te ścieki na wschodnim przedmieściu, i tak dalej... Rozumiesz? Ale to się wcale nie kończyło. To się potoczyło jak lawina. Ojciec generał, asteroid, plany, mnóstwo ludzi, którzy zaczęli pracować nad tym zwariowanym pomysłem. A ja wciąż czekałem, aż ktoś powie: Sandoz, ty wariacie, tyle zamieszania o nic! Ale nikt tego nie powiedział. To wszystko wciąż się toczyło.

– Jak powiedział D.W., kupa żółwi powłaziła na kupę kołków od płotu.

– Tak! Więc leżałem w łóżku, noc po nocy, i nie mogłem zasnąć, a przecież mnie znasz... zwykle zasypiałem w połowie zdania. Całą noc rozmyślałem: co tu się właściwie dzieje? I coś we mnie odpowiadało: to Bóg próbuje ci coś powiedzieć, ty głuchy gnojku! A coś innego we mnie mówiło: przecież Bóg nie rozmawia z łachudrami z Puerto Rico.

– A niby co ci pozwala na takie twierdzenia? Pytam jak jeden półagnostyk drugiego.

– No dobra, cofam to o Puerto Rico, ale to nieuczciwe ze strony Boga, żeby się bawił wybrańcami. A niby co jest we mnie takiego specjalnego, żeby Bóg chciał mi cokolwiek powiedzieć?

Na chwilę zamilkł, a Anne pozwoliła mu zebrać myśli. Potem spojrzął na nią, uśmiechnął się i zsunął na podłogę tuż obok niej, tak że zetknęli się ramionami. Różnica wieku zdawała się mniej ważna od ich prawie równego wzrostu. Anne nawiedziło wspomnienie, jak siedziała w taki sam sposób ze swoją najlepszą przyjaciółką, kiedy obie miały po trzynaście lat, opowiadając sobie sekrety i marzenia.

– No więc to się wszystko działo, jakby Bóg rzeczywiście tego chciał, jakby to wszystko sprawiał, a ja powtarzałem sobie: *Deus vult*, jak Marc, ale to wciąż brzmiało jak jakiś koszmarny żart. I wreszcie pewnej nocy zacząłem się zastanawiać, że może to nie dowcip, może tak jest naprawdę. Że dzieje się coś zupełnie niezwykłego. Że Bóg ma wobec mnie jakiś plan. Poza nowymi ściekami, rzecz jasna... I od dawna, nawet teraz, wydaje mi się, że jestem jakimś świrem, a to wszystko to czyste wariactwo. Ale czasami... Anne, są momenty, kiedy pozwalałam sobie wierzyć, a kiedy wierzę... – przeszedł do szeptu, otwierając złożone na kolanach dłonie, jakby chciał coś przyjąć – ...kiedy wierzę, to jest naprawdę zdumiewające... Wewnątrz mnie wszystko się wyjaśnia, nabiera znaczenia. Wszystko, co dotąd zrobiłem, wszystko, co mi się w życiu przydarzyło... to wszystko prowadziło właśnie do tego, do tego miejsca, w którym teraz jesteśmy. Ale, Anne... to jest przerażające i nie wiem dlaczego...

Poczekala chwilę, aby sprawdzić, czy może coś jeszcze powie, ale kiedy nadal milczał, postanowiła zaryzykować.

– Wiesz, co jest najbardziej przerażające w chwili, kiedy wyznajesz, że się zakochałeś? Jesteś nagi. Wystawiasz się na cios i odrzucasz wszystko, czym mógłbyś się bronić. Odrzucasz ubranie, odrzucasz broń. Jesteś nagi i bezbronny. Nie masz gdzie się schować. Jedyne, co pozwala ci to znieść, to wiara, że ta druga osoba też cię kocha i możesz jej zaufać. Że cię nie zrani.

Spojrzał na nią, zdumiony.

– Tak. Dokładnie. Właśnie tak się czuję, kiedy pozwalam sobie wierzyć. Jakbym się zakochał i jakbym był nagi przed Bogiem. I to jest straszne, jak powiedziałaś. Ale teraz zaczynam się czuć, jakbym był... nieokrzesany i niewdzięczny. Rozumiesz? Bo wciąż wątpię. Że Bóg mnie kocha. Mnie, osobiście. – Prychnął, z niedowierzania i ze zdumienia, na chwilę przyłożył dłonie do twarzy, a potem je opuścił. – Czy to brzmi arogancko? A może po prostu głupio? Myśleć, że Bóg mnie kocha.

– Dla mnie to brzmi całkiem rozsądnie – odpowiedziała Anne, uśmiechając się i wruszając ramionami. – Zawsze byłeś bardzo kochliwy.

Oh, jak to zabrzmiało naturalnie, jakby naprawdę nic się za tym nie kryło! Była z siebie zadowolona.

Cofnął się nieco i spojrzał na nią, a oczy mu złagodniały; wątpliwości ustąpiły miejsca prawdzie, której był pewny.

– *Madre de mi corazon* – powiedział cicho.

– *Hijo de mi alma* – odpowiedziała równie cicho i z równą pewnością.

Chwila minęła i znowu siedzieli razem, wpatrując się w swoje kolana, jak dawniej, jak przyjaciele. Ale czar już prysnął i Emilio roześmiał się głośno.

– Jeśli pozostaniemy tu dłużej, będzie skandal.

– Tak myślisz? – zapytała, otwierając szeroko oczy. – Cóż za komplement!

Emilio podniósł się i podał jej rękę. Wstała lekko, lecz przytrzymała jego rękę nieco dłużej, niż to było konieczne, a potem objęli się, ponownie wybuchając śmiechem, bo mieli trudności z ustaleniem, kto ma objąć czyje ramiona. Potem Anne otworzyła drzwi i zawołała ze znużeniem:

– Już w porządku, niech ktoś da temu człowiekowi kanapkę!

– Sandoz, ty palancie! – ryknął Jimmy. – Kiedy ty ostatnio jadłeś? Czy wszystko musi być na mojej głowie?

A Sofia powiedziała:

– Może następnym razem powinniśmy zagrać o rodzinę. Ale jedzenie już przygotowała, razem z Jimmym. I znowu wszystko powróciło do normy, na ile to było możliwe wewnątrz asteroidy, ponad Alfą Centaura, w oczekiwaniu na znaki od Boga.

– Mój stary miał kiedyś buicka, którego się tak prowadziło – mruknął w pewnej chwili D.W. – Skurczybyk był tak sterowny, jak wieprz w bajorku.

Nikt się nie roześmiał. Przez ostatnie dwa tygodnie D.W. Yarbrough i Sofia Mendes pracowali non stop, podprowadzając *Stellę Maris* coraz bliżej i bliżej do planety. Było to zadanie niebezpieczne i frustrujące, więc od czasu do czasu D.W. zachowywał się dość obcesowo.

Zresztą wszyscy łatwo się denerwowali, a kiedy D.W. udało się w końcu umieścić asteroid na odpowiedniej orbicie, zaczęło się swobodne opadanie i atmosfera jeszcze bardziej się zagęściła. Ponad trzy lata harowali ciężko, żeby tu się znaleźć, w bezpośrednim zasięgu planety, którą mieli zbadać. Przebywając ze sobą w zamkniętym pomieszczeniu przez osiem miesięcy, zdołali jakoś uniknąć poważniejszych kryzysów, za to teraz wszyscy coraz gorzej znosili nagromadzone napięcia i niepokoje, które, co prawda, nie ujawniały się zbyt często w głośnych sprzeczkach, ale były oczywiste w chwilach nagłego milczenia, kiedy zamykali się w sobie, przeżywając ostre riposty.

Najbardziej skłonny do powarkiwnia był D.W., który beształ ich za najmniejsze pomyłki lub nie dość wyważone uwagi. Najczęściej dostawało się Sandozowi, wcale nie gorszemu od innych. Kiedy Yarbrough zebrał ich, by na nowo ustalić ściśle reguły i zakresy odpowiedzialności, Emilio pozwolił sobie na niewinny żart na temat *disordo irregularis*. D.W. wpatrywał się w niego tak długo, aż Emilio opuścił wzrok, a potem warknął: „Jeśli nie potrafisz być poważny, siedź cicho”. Po tej uwadze Emilio rzeczywiście milczał przez kilka dni. Innym razem, kiedy ojciec przełożony wyrecytował im przy śniadaniu litanię poleceń, kończąc wyjątkowo ostrą sekwencją odnoszącą się do Sandoza, ten spróbował rozładować napięcie, mówiąc: „Chcesz nas wszystkich wykończyć?”, na co Yarbrough wyrzucił z siebie potok bardzo kolokwialnej, twardo akcentowanej hiszpańszczyzny, której nikt poza Sandozem nie zrozumiał, ale której znaczenia mogli się łatwo domyślić, widząc skutek.

Anne miała ochotę porozmawiać sam na sam z D.W. na temat psychologicznych aspektów przesadnego rygoryzmu, ale w ciągu najbliższej godziny sama wpadła w poważne tarapaty, zapomniawszy zamknąć solniczkę, co spowodowało, że w warunkach małej grawitacji cała sól przedostała się przez dziurki na zewnątrz. Kiedy D.W. otworzył magazynek z żywnością, znalazł się w obłoku śnieżnego pyłu. Nastąpiła niezbyt miła wymiana zdań, włączył się George i dopiero interwencja Sofii i Jimmy'ego położyła kres dość gwałtownej sprzeczce.

W końcu jednak przystosowali się do G zero, mdłości minęły, ordo zostało przywrócone, i każdy pracował z normalną wydajnością i skutecznością. Dokonali pełnej analizy sytuacji, umieszczając na orbitach wokół planety kilka satelitów i gromadząc dane o jej atmosferze i geografii. Z tej odległości widać było wyraźnie rzeźbę masywów lądowych i wodnych. Planeta jawiła się jako mieszanina zieleni i niebieskości, przetykanych plamami czerwieni, brązu i żółci, gdzieś tam rozbielona pasmami obłoków i cętkami oblodzonych szczytów. Nie była to Ziemia, ale widok był naprawdę piękny i budził w nich silne emocje.

Największą niespodzianką było ponowne pojawienie się sygnałów radiowych. Kiedy znajdowali się pomiędzy planetą a jej księżycami, odbierali potoki bardzo silnych transmisji.

– Celują w księżyce – oświadczył Jimmy, dokonawszy obliczeń. Ale na księżycach nie zaobserwowali żadnego śladu życia czy kolonii. – Dlaczego kierują fale radiowe w księżyce?

– Brak jonosfery! – oznajmił triumfująco George pewnego popołudnia, wlatując do wspólnego pomieszczenia ze swojej kabiny, gdzie analizował dane dotyczące składu atmosfery. Zajął się tym, kiedy go zmęczyło roztrząsanie problemu fal radiowych. – Te księżyce odbijają im fale. Takie trampoliny.

– To jest to! – ryknął Jimmy ze sterowni. Wtargnął do wspólnego pomieszczenia i zatrzymał się, chwytając za wspornik, jak olbrzymi orangutan. – To dlatego na Ziemi odbieraliśmy sygnały z przerwami co piętnaście i dwadzieścia siedem dni!

– Nie męczcie mojego mózgu! – zawołała z kuchni Anne, gdzie razem z Sofią przygotowywały lunch.

– Bez jonosfery można wysyłać tylko liniowe sygnały radiowe, tak jak lasery na Ziemi – wyjaśnił George. – Jeśli chcesz nadawać w szerszym sektorze, musisz wycelować silne sygnały w księżyce, a te je odbiją już stożkowo, tak że pokryją większość powierzchni planety.

– Więc to, co odbieraliśmy na Ziemi, to rozproszenie fal wokół tych księżyców, za każdym razem, kiedy znalazły się w linii prostej z Ziemią – dodał Jimmy, tryskając radością z powodu rozwiązania tej małej zagadki.

– A co to jest jonosfera? – zapytała Anne. Jimmy wytrzeszczył na nią oczy. – Przepraszam. Słyszałam już to słowo, ale nie mam pojęcia, co oznacza. Jestem lekarzem, Jimmy, nie astronomem!

George chciał się wtrącić, ale Jimmy, za młody, by znać *Star Trek*, potraktował to poważnie.

– Okay. Promieniowanie słoneczne wytrąca elektrony z molekuł atmosfery, prawda? W ten sposób powstają jony i...

– Słuchajcie mnie wszyscy – przerwał mu D.W., wynurzając się ze sterowni. – Jutro o dziewiątej chcę wysłuchać raportów na temat wszystkiego, co już wiecie. Muszę podjąć odpowiednie decyzje.

I zniknął w swojej kabinie, pozostawiając ich w stanie lekkiego osłupienia. Anne poczekała, aż zamkną się za nim drzwi, i odwróciła się do Sofii.

– Co o tym myślisz? Syndrom przedmiesiączkowy?

– To coś w rodzaju afektu. – Sofia uśmiechnęła się. – Dowódca eskadry znowu na stanowisku. Nie chce, żeby jego ludzie zniszczył entuzjazm i gorączka kabinowa, ale też trudno sobie wyobrazić, by ktoś, kto dotarł aż tak daleko, chciał wrócić, nie wylądowawszy na powierzchni tej planety. A już na pewno nie D.W. Odpowiedzialność go przytłacza.

– Ach, rozumiem – odpowiedziała Anne, podziwiając ten wywód, który uznała za bardzo lichą namiastkę prawdy. Nieświadomość czy dyskrecja? Chyba dyskrecja. Sofia była bystrą obserwatorką i dobrze znała D.W. – Do czego się skłania? Wiesz?

– Trudno powiedzieć, w każdym razie postąpi tak, jak sam zadecyduje. Z tego, co wiem, powierzchnia planety nadaje się dla ludzi. Może D.W. wyląduje tam sam albo z jednym lub dwoma z nas, a reszta pozostanie na pokładzie.

Anne przymknęła oczy, przygarbiwszy się na tyle, na ile to było możliwe w warunkach braku ciężenia.

– Och, Sofio, naprawdę, wolałabym umrzeć, niż pozostać tu choćby minutę dłużej niż to konieczne.

Sofię zaskoczyło odkrycie faktu, że w ciągu kilku ostatnich dni Anne bardzo się postarzała. Przez chwilę bała się, że wybuchnie płaczem. Uścisnęła ją krótko; podobnym uściskiem Anne obdarzała ją setki razy. Nie był to odruch; Sofia niczego nie robiła odruchowo. Ale w końcu wchłonęła już dość sympatii, by nią kogoś obdarzyć.

– Och, Sofio, kocham was wszystkich – powiedziała Anne ze śmiechem i szybko otarła oczy rękawem. – I rzygam już na widok każdego z was. No dobra. Zajmijmy się żarciem dla tych facetów.

Przez następne przedpołudnie Anne przechodziła prawdziwą mękę. Zaciśnęła zęby i starała się pojąć coś z długiej, męczącej dyskusji na temat tego, czy paliwo silników promu będzie się spalać w atmosferze planety, ale czuła się strasznie rozkojarzona i niespokojna. Powietrze nadawało się do oddychania, a klimat był parszywy, ale nie zabójczy. Zaobserwowali mnóstwo burz, wyładowań elektrycznych i cyklonów, co można było tłumaczyć albo porą roku, albo nadmiarem energii pochodzącej z trzech słońc.

Raport Marca był bardzo wnikliwy, choć niezbyt pocieszający. Zdołał określić granice między strefami ekologicznymi, ale nie miał pojęcia, czym właściwie są dominujące na powierzchni lawendowe plamy. Może to być coś w rodzaju liściastych puszczy w lecie albo trawiastych stepów, albo lasów iglastych, albo nawet wielkich łąk alg. „Czymkolwiek to jest”, oświadczył Marc, wzruszając ramionami, „jest tego bardzo dużo”. Rzeźbę terenu potrafił już lepiej określić. Baseny wodne są dość czytelne, choć Marc ostrzegł, że mogą się mieszać z połaciami bagien. Stref przypluwów i odpływów jest wiele, co nie zaskakuje przy tej liczbie księżyców. Są też typowe jeziora utworzone w starorzeczach i gęste systemy rzeczne. Marc uznał za możliwe, że istnieją obszary uprawne, ale dodał natychmiast, że z tej odległości łatwo je pomylić z lasami mieszanymi.

Po prostu tam wylądujemy, myślała Anne, usiłując nadążyć za wywodami Marca. Pieprzyć to wszystko. Po prostu to zrobimy. Zapakujemy trochę kanapek, wsiądźmy do tego cholernego promu, wylądujemy tam, otworzymy włącznik i po prostu zobaczymy, czy przeżyjemy, czy od razu trafi nas szlag.

Jestem okropnym tchórzem, pomyślała i rozejrzała się po wszystkich, ale stwierdziła, że nie tylko ona się boi. W tym momencie Marc powiedział:

– A to jest źródło transmisji radiowych. – Rozległ się podniecony szmer. Marc wskazał na region w pobliżu wybrzeża. – To sprawia wrażenie miasta w głębokiej dolinie otoczonej kilkoma szczytami górskimi. Nie spodziewam się systemu dróg, ale te linie, o tutaj, mogą być kanałami łączącymi te dwie rzeki, o, tutaj i tutaj. To może być port. Podejrzewam, że ta półkolista plamka może być dobrą przystanią.

W innych miejscach też były podobne struktury sprawiające wrażenie miast, ale przybyli tu z powodu tej muzyki, więc nikt się nie upierał, by wybrać jedno z nich. Wybuchł natomiast spór, kiedy zaczęli dyskutować, czy powinni natychmiast po wylądowaniu wejść do miasta, z którego pochodzą transmisje radiowe. Tak uważał Alan Pace.

– Z całym szacunkiem dla Sandoza, uważam, że można od razu przystąpić do próby nawiązania z nimi kontaktu muzycznego, podobnie jak to zrobiliśmy w siedemnastym wieku z plemieniem Guarnari. Mamy też udane precedensy w misjach Xaviera i Ricciego, którzy nie wahali się wkraczać do miast Japonii i Chin i pracować najpierw z ludźmi wykształconymi.

– Nie sądzisz, że ich nastraszymy, jeśli pewnego popołudnia objawimy się im w całej ziemskiej chwale? – zapytał D.W.

– Możemy im powiedzieć, że przybywamy z Francji – wtrącił Emilio poważnym tonem. Nawet Alan się roześmiał.

– Może nasze pojawienie się wcale nie będzie dla nich niespodzianką. Ludzie spekulowali o istnieniu kosmitów od setek lat – powiedział Jimmy Quinn, ignorując uwagę Emilia, ale szczerząc zęby. – Biorąc po uwagę te wszystkie księżyce i słońca, można założyć, że muszą się interesować astronomią.

– Tak myślisz, Jim? – zapytała Anne, po raz pierwszy włączając się do dyskusji. – Przy trzech słońcach trudno się spodziewać dłuższych okresów ciemności. Może w ogóle nie zwracają uwagi na niebo.

– Kierują fale radiowe na księżyce – powiedzieli jednocześnie Sofia i Jimmy. Wszyscy się roześmiali, a Anne wzruszyła ramionami i pokiwała głową, uznawszy swoją porażkę.

W każdym razie wydaje mi się, że najlepiej zrobimy, lądując w rejonie wyższej techniki. Mogę się założyć, że to tutaj George wskazał na jezioro pomiędzy górami, blisko miasta to tama elektrowni wodnej. Widzicie? To może być przelew spływowy. Skoro potrafią budować takie urządzenia i odbijać fale radiowe od swoich księżyców, muszą znajdować się przynajmniej na takim poziomie rozwoju techniki, jak my w dziewiętnastym lub dwudziestym wieku. A więc prawdopodobnie są istotami dość inteligentnymi. Uważam, że powinniśmy wylądować w środku miasta.

Marca absolutnie to nie przekonało i zwrócił się bezpośrednio do D.W.:

– Ojciec, mnie się wydaje, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś o tej planecie, zanim spróbujemy porozumieć się z jej inteligentnymi mieszkańcami, przynajmniej po to, by przesłać na Ziemię podstawowe dane ekologiczne na wypadek, gdyby coś nam się stało. Musimy też najpierw ustalić swoje położenie.

D.W. zapytał Anne:

– Jak uważasz, ile czasu zajmie nam przyzwyczajenie się do grawitacji?

– George mówi, że ta planeta jest nieco mniejsza od Ziemi, więc myślę, że siła ciężenia też będzie trochę mniejsza. To na plus. Ale wszyscy utraciliśmy trochę masy mięśniowej, zmniejszyła się gęstość kości, a nasze stopy są za miękkie, żeby posuwać się szybko. I... szczerze mówiąc... każdy jest wykończony. Alan, wiem, że umierasz z ciekawości, żeby tylko zobaczyć te instrumenty i pośpiewać sobie ze Śpiewakami, ale nawiązanie kontaktu może być bardzo ryzykowne. Czy jesteś pewny, że poradzisz sobie z każdą sytuacją kryzysową?

Pace skrzywił się.

– Chyba nie.

– Ja też nie – powiedziała Anne. – Uważam, że powinniśmy przez dwa lub trzy tygodnie przyzwyczać się do tamtejszych warunków ekologicznych, nabierając sił i przystosowując się na nowo do światła słonecznego.

– To by nam również dało czas na zbadanie fauny i flory, przynajmniej w jakimś ograniczonym rejonie – dodał Marc. – I moglibyśmy sprawdzić, czy znajdziemy coś, co nadawałoby się do jedzenia i picia.

Dyskusja ciągnęła się godzinami, aż w końcu D.W. zdecydował, że spróbują wylądować w rejonie wyglądającym na nie zamieszkały, z zapasami na miesiąc, aby zbadać warunki i zaplanować następny krok. Dopiero później wszyscy zdali sobie sprawę, że decyzja, by wylądować, pokrywała się ze słowami Emilia Sandoza.

– Zgadzam się z Markiem i Anne co do ostrożności w działaniu, ale logiczne argumenty są po obu stronach, a nie dysponujemy empirycznymi środkami, by je zweryfikować – powiedział. – Więc myślę, że w pewnym punkcie musimy po prostu zdać się na wiarę. – A potem, ku własnemu zaskoczeniu, dodał: – Jeśli Bóg zaprowadził nas tak daleko, to nie sądzę, by teraz nas opuścił.

Tylko Anne zauważyła, że było to zdanie w trybie warunkowym.

LĄDOWANIE, RAKHAT

13 października 2039 czasu ziemskiego

Następne dni były najcięższe ze wszystkich, jakie do tej pory przeżyli, tak pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Z wielu ton zmagazynowanego zaopatrzenia musieli wybrać niezbędne do natychmiastowego użycia urządzenia, ekwipunek i żywność, a następnie załadować to wszystko na prom. Trzeba też było pozamykać komory systemów asteroidu, zakodować i przekazać raporty na Ziemię, nastawić urządzenia radiowe na odbiór, pozostawić pokładowe komputery w stanie czuwania, tak żeby mieć do nich dostęp z planety.

D.W. sprawdzał wszystko dwa razy, wychwytyjąc i naprawiając błędy. Anne, która do tej pory czuła pewną odrazę do jego dość obsesowej apodyktyczności, teraz zaczęła ją doceniać. Kiedy coś im wytykał, zawsze miał rację, i widać było, że panuje nad wszystkim. Ktoś tak opanowany i twardy był im bardzo potrzebny, bo napięcie, jakie ogarnęło całą załogę, graniczyło z gorączką.

Mimo to pod koniec wszyscy przeżywali męki, bojąc się, że o czymś zapomnieli lub że popełnili jakiś błąd, który okaże się katastrofalny w skutkach albo doprowadzi do czyjejs śmierci. Kiedy D.W. w końcu zarządził przerwę i zebrał ich wszystkich razem, sprawiali wrażenie, jakby ich uratowano przed atakiem zbiorowej hysterii.

– Skończcie wszystko, co macie zrobić, do piątej po południu – powiedział im. – A potem przestańcie o tym myśleć. Przestańcie się zadręczać, że coś zrobiliście nie tak, że coś się nie uda. Najważniejszy jest spokój. Idźcie wcześniej spać. Jeśli ktoś nie będzie mógł zasnąć, niech po prostu odpoczywa. O dziewiątej rano będzie msza. A potem łądujemy. – Uśmiechnął się i popatrzył po kolei każdemu w oczy. – Dzielnie się spisaliście. Każdemu z was, razem i osobno, mógłbym powierzyć swoje życie i swoją duszę. A kiedy będziecie już w łóżkach, pomyślcie o tym, co powiedział Emilio: Bóg nie zawiodł nas tak daleko, żeby teraz nas opuścić.

Tego wieczoru Anne zostawiła George'a i poszybowała przez wspólne pomieszczenie do drzwi kabiny D.W. Zapukała cicho, by go nie obudzić, jeśli już zasnął, ale chcąc z nim porozmawiać sam na sam, gdyby jeszcze nie spał.

– Kto to? – zapytał.

– Anne.

Po chwili drzwi się otworzyły.

– Dobry wieczór. Właz. Zaprosiłbym cię, żebyś usiadła, ale...

Uśmiechnęła się i próbowała znaleźć jakieś miejsce, by unosić się w odpowiedniej pozycji. Temat na wypracowanie maturalne, pomyślała. „Jak zachować kulturalne odległości między ludźmi w warunkach G zero”.

– Nie zajmę ci wiele czasu, D.W. Ty też musisz odpocząć. Chciałam cię tylko zapytać, czy rozważałeś taką możliwość, żeby to Emilio był pierwszym, który jutro wyjdzie z promu.

W ciszy, która zapadła, Anne obserwowała, jak się nad tym zastanawia. Nie chodziło tu o jakąś wiekopomną chwilę, nie planowali jej utrwalania. Nie będzie reporterów i kamer. Już dawno wyrwali się z kultury oszalałej na punkcie dokumentacji, reklamy, mass mediów, transmisji globalnych, zastrzeżonych i bezpośrednich. *Stella Maris* wyruszyła w podróż bez rozgłosu i jej misja taką miała pozostać. Są jezuitami i nie będzie żadnej wzmianki o tym, kto pierwszy postawił stopę na tej planecie, nawet w wewnętrznym raporcie przesłanym ojcu generałowi, bez względu na to, kto będzie pełnił tę funkcję, kiedy ów raport dotrze na Ziemię. A jednak to do niego, jako ich przywódcy z natury i na mocy Reguły, należało podjęcie ryzyka i prawo do takiego przywileju. Jeśli nawet Emilio Sandoz był pierwszym, który zaproponował całe to przedsięwzięcie, stało się ono jednak misją D.W. Yarbrougha. Nikt nie harował nad nią tak ciężko i długo jak on, nikt nie poświęcił mu więcej myśli, nikt nie prześlęczał więcej czasu nad każdym jej szczegółem. Anne wiedziała o tym i potrafiła to docenić.

Wreszcie spojrzął na nią tak intensywnie, że oczy aż mu zapłonęły prawdziwym blaskiem. Podejmował decyzję w jej obecności, więc starała się zachować neutralność, tak aby nie wyrzucić na niego najmniejszego wpływu. Kiedy przemówił, głos miał pozbawiony akcentu, a twarz całkowicie bezbronną.

– A ty uważasz, że to by było właściwe? Nie byłoby posądzenia o...
– zawahał się chwilę – ...o faworyzowanie?

– D.W., nie zadałabym ci tego pytania, gdybym uważała, że istnieje choćby możliwość takich posądzeń. – Chciała powiedzieć: nie ma sprawy, wszystko jest okay. Można go pokochać. Ja to rozumiem. – Myślę, że inni to pochwalą, a uważam, że dla niego to będzie wiele znaczyć. Duchowo. – Odchrząknęła, zażenowana samym brzmieniem tego słowa. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wkraczam w twoje kompetencje...

Zamachał rękami.

– Och, nie! Oczywiście, że nie. Liczę się z twoim zdaniem. Jesteś o wiele bliżej niego niż ja, Anne. – Popatrzył na nią, żeby sprawdzić, czy się z tym zgadza, a potem potarł oczy, przekrwione i otoczone czerwonymi obwódkami. – Okay. Zgadzam się. Wychodzi pierwszy. Oczywiście, jeśli się okaże, że można bezpiecznie wyjść! Możemy wylądować i uznać, że to zbyt niebezpieczne dla kogokolwiek.

– Och, D.W.! Och, najdroższy! – zawołała Anne. – Jeśli przyjdzie ci do głowy taka myśl, żeby nas nie wypuścić z tego promu, wygryzę w nim dziurę. I spróbuj mnie powstrzymać!

D.W. roześmiał się, a Anne powstrzymała się przed uściskaniem go, ale wyciągnęła rękę. Chwycił ją i ku jej całkowitemu zaskoczeniu podniósł do ust i pocałował, przez cały czas spoglądając na nią z ukosa.

– Dobranoc, panienko Edwards – powiedział, typowy elegant z Południa, tyle że w swetrze i unoszący się w powietrzu. – Śpij dobrze.

Każdy z nich, na swój własny sposób, przygotowywał się tej nocy na śmierć i na pewien rodzaj zmartwychwstania. Jedni się spowiadali, inni się kochali, jeszcze inni spali wyczerpani i śnili o przyjaciółach z dzieciństwa albo o jakichś dawno zapomnianych chwilach spędzonych z dziadkami. Wszyscy, na swój własny sposób, próbowali pozbyć się lęku i pogodzić ze swoim życiem, tym, które przeminęło, i tym, które rozpocznie się jutro.

Niektórzy już dawniej przeszli przez jakiś punkt zwrotny, lecz dopiero teraz dostrzegali, że dobrze uczynili, choć wówczas mogła to być bolesna decyzja. Sofia Mendes uporała się wreszcie z tym, co nawet teraz potrafiła określić tylko jako „czas przed Jaubertem”. Dla Jimmy’ego Quinna był to koniec wyrzutów sumienia z powodu porzucenia matki i wybrania własnego, samodzielnego życia.

Marc Robichaux i Alan Pace mieli poczucie, że dobrze przeżyli życie i że Bóg uznał ich zdolności i pracę za to, czym dla nich zawsze były – za modlitwę. A towarzyszyła temu poczuciu nadzieja, że Bóg pozwoli im sobie służyć i teraz.

Dla Anne i George’a Edwardsów, dla D.W. Yarbrougha i Emilia Sandoza ta podróż nadała znaczenie wielu aktom i wydarzeniom, które uprzednio wydawały im się przypadkowe, i tym wszystkim momentom w ich życiu, kiedy coś robili, a czegoś nie robili, coś wybierali, a coś odrzucali – wszystkim decyzjom, przemyślanym lub nie przemyślanym.

Zrobiłbym to wszystko ponownie, myślał każdy z nich.

A kiedy nadeszła ta chwila, każdego z nich ogarnął spokój, każdy z nich poczuł, że oto następuje uprawomocnienie się tych decyzji i usprawiedliwienie ich pogodzenia się z życiem, choć wokół nich rozszalała się burza dźwięków, a statek kosmiczny rozgrzał się i rozdygotał tak, iż wydawało im się, że za moment się rozpadnie, że spłoną żywcem w atmosferze tej planety, której nazwy jeszcze nie znali. Jestem w miejscu, w którym chciałem być, myślał każdy. Jestem wdzięczny za to, że tu jestem. Każdy na swój sposób poddał się woli Bożej i uwierzył, że cokolwiek się stanie, było zaplanowane od samego początku. Przynajmniej przez chwilę każdy umiłował Boga.

Lecz największy spokój i pewność odczuwał Emilio Sandoz, pozwalając, by lęk i wątplenie opuściły go w niemal fizyczny sposób. Tylko jego dłonie pozostały otwarte, podczas gdy reszta zaciskała je na przyrządach kontrolnych, na pasach, oparciach foteli lub na rękach towarzysza. A kiedy ucichł wreszcie otepiający ryk silników i nadeszła prawie ogłuszająca cisza, wszystkim wydało się najzupełniej naturalne, że to on podszedł do włazu, otworzył go i wyszedł sam w blask gwiazd, których nigdy nie widział na Ziemi, i napełnił płuca powietrzem nieznannej planety, i padł na kolana, łkając z radości, poczuł bowiem wreszcie, po długim okresie zalotów, że pustka zamienia się w pełnię, i uwierzył całym sercem, że w jego romansie z Bogiem nadeszło tak długo oczekiwane spełnienie.

Ci, którzy ujrzeli jego twarz, kiedy dźwignął się na nogi, śmiejąc się i płacząc, a potem odwrócił do nich z szeroko rozłożonymi ramionami, zrozumieli, że są świadkami transcendencji duszy i że zapamiętają ten moment na całe życie. Zresztą każdego ogarnęło podobne uniesienie, kiedy powychodzili z promu, wysypali się z tego sztucznego łona, drząc i mrugając oczami, czując, że odrodzili się w nowym świecie.

Nawet Anne, rozsądna Anne, pozwoliła, by owładnęła nią owa radość, i nie zepsuła jej głośnymi spekulacjami, że to tylko normalna ulga po oszukaniu śmierci, w połączeniu z nagłym wzrostem ciśnienia krwi w mózgu. Żadne z nich – nawet George, który od samego początku nie tęsknił za wiarą – nie uchroniło się od doświadczenia prawdziwej transcendencji.

Nadszedł teraz czas zachwyków i radosnych uniesień. Jak wpuszczone do Edenu dzieci nadawali nazwy wszystkiemu, co zobaczyli. Pożeracze i słoniowe ptaki, pasikoniki i biegacze, czarne jezuita i brązowe franciszkanie, pianistki i czołgacze, wężonosi i wiewiórogony. Zieloniki, niebieskogarby i kwiatoryje, i komicznie przygarbione Richardy Nixony. I jeszcze czarno-białe dominikany, żeby nie pominąć i tego szlachetnego zakonu. I żółtowie drzewa, których strączki przypominały żółwie skorupy; orzeszkowe krzewy z brązowymi kwiatami o podwójnych płatkach; dziecinne stopki, delikatne jak płatki róży, których liście przypominały uszy prosiąt.

Ekologiczne nisze były tu wszędzie. Powietrze do fruwania, woda do pływania, gleba do rycia, rośliny do jedzenia i ukrywania się. Zasady były takie same, jak wszędzie: formy są pochodną funkcji, sięgaj wyżej po światło, pusz się i kroc dumnie, by zwabić partnera, rozsiewaj mnóstwo latorośli albo opiekuj się dobrze kilkoma drogocennymi, ostrzegaj drapieźniki jaskrawymi barwami lub mieszaj się z otoczeniem, by cię nie wykryto. Tu jednak piękno i pomysłowość form zwierzęcej adaptacji aż zapierały dech, a bujność życia roślinnego wprawiała w oszołomienie.

Anne i Marc, dobrze obeznani w mechanizmach ewolucji i darwinowskiej selekcji, nie mogli się na to wszystko napatrzeć. Różnie wyrażali swój zachwyt, ale oboje raz po raz wykrzykiwali: „O Boże, to jest niesamowite!” I jeszcze długo po tym, jak reszta zapragnęła paść na ziemię, wyczerpana, rozlegały się ich głosy, nawołujące cicho, lecz natarczywie: „Musicie to zobaczyć! Chodźcie szybko, zanim się poruszy!”, aż wszyscy mieli już dość tego piękna, nowości i zdumienia.

D.W. pokierował promem tak, że zbliżył się do powierzchni planety nad oceanem i przeleciał nisko, jak przemytnik, nad czymś, co przypominało szczyty drzew. Wypatrzył wśród nich polanę i podjął nagłą decyzję, by wylądować właśnie na niej, a nie dalej, na równinie wybranej przez Marca. Otoczeni wysoką, gęstą roślinnością, wypełniającą drzewną niszę, czuli się tu bezpieczni i ukryci przed cudzym spojrzeniem. Jeśli pogoda sprzyjała, spali pod gołym niebem, bezbronni, zbyt ufni lub nieświadomi, by lękać się większych drapieżników lub agresji jakiegś trucizny. Mieli namioty i chronili się w nich podczas nagłych burz, ale najczęściej nie dbali o to, że przemokną. Noce były tak krótkie, a dni tak ciepłe, że wysychali szybko i drzemali w sącącym się przez listowie słońcu, zadowoleni i rozleniwieni jak psy przy kominku.

Ale nawet drzemiąc, nie mogli się uwolnić od naporu zmysłowych wrażeń. Wiatr przynosił silne wonie tysięcy najróżniejszych roślin, tak różnych od siebie, jak stefanotis, sosna, mech islandzki, cytryna, jaśmin, trawa, ale niepodobnych do żadnej z nich. Drzemali, skąpani w ciężkim, wilgotnym odorze roślin rozkładanych przez bakterie tego nowego świata, któremu akompaniował dębowo-piżmowy zapach pokruszonych ziół, służących im za posłania. Po trzech świtach i trzech zmierzchach nauczyli się już wychwytywać słuchem różnicę w kaskadach trelów, wrzasków i turkotów, a czasami udawało im się nawet dopasować dźwięk do zwierzęcia, które go wydało: pisk podobnego do jaszczurki stworzenia, które nazwali zieloniakiem, zdumiewająco głośny zgrzyt, wydawany przez małe, pokryte łuskami dwunogi, oznaczające swoje terytorium w pulchnym dnie lasu. Najczęściej jednak dźwięki pełne były tajemnicy, podobnie jak Bóg, którego niektórzy z nich czcili.

Nie zapuszczali się daleko poza polanę, a kiedy ją opuszczali, robili to parami, nigdy nie tracąc kontaktu wzrokowego lub słuchowego z promem i obozowiskiem. Ale po tak długim okresie, w którym zmuszeni byli przebywać ze sobą, wszyscy co jakiś czas łamali zasadę wprowadzoną przez D.W. i szukali samotności, aby oswoić się z doznaniem, wchłonać je i przemyśleć, a potem ruszyć dalej, na poszukiwanie nowych, i znowu pogrążyć się w nieustającym zadziwieniu. Tak więc Sofia nie była zaskoczona, kiedy natknęła się na siedzącego samotnie Emilia, wspartego plecami o przypominający piaskowiec głaz. Oczy miał zamknięte.

Są takie chwile, myślała później, kiedy rzeczywistość zdaje się nagle zmieniać jak kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Patrząc na Sandoza, rozluźnionego, uspokojonego i nieświadomego, zdała sobie sprawę, że nie jest już młody. I zdumiała się falą uczucia, które ją ogarnęło.

Emilio zawsze pracował, śmiał się, coś studiował, a intensywność, z jaką to wszystko robił, a także poczucie humoru, czyniły go wiecznie młodym. Pracując z nim, dowiedziała się coś niecoś o jego życiu i dostrzegła w nim istotę sobie pokrewną: wieczny początkujący, wciąż zaczynający wszystko od nowa, w nowych miejscach i nowych warunkach, porozumiewający się nowymi językami z nowymi ludźmi, posłuszny coraz to nowym zadaniom. Tak, to ich łączyło: ta ustawiczna, pośpieszna konfrontacja ze zmianami, poczucie dojrzewania w cieplarni, gdzie zmusza się ich do wczesnego kwitnięcia, wyczerpująca radość z robienia rzeczy niedorzecznych, i to robienia ich nie tylko poprawnie, ale bardzo dobrze i z wdziękiem.

A więc elastyczność i zdolności przystosowawcze, ale nie autorytatywność. Kiedy wykonywał polecenia, czuł się zapewne jak wytrawny handlarz. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek wydał komuś bezpośredni rozkaz, i pomyślała, że gdyby to on miał ją uczyć jakiegoś języka, to nawet by nie podejrzewała, że istnieje tryb rozkazujący. Wszystko to sprawiało wrażenie pewnej niedojrzałości, pogłębionej przez jego wyraźną skłonność do podporządkowania się jakiemuś autorytetowi, trochę dziwną u człowieka o jego inteligencji i energii, ale będącą zapewne skutkiem formacji jezuickiej. Nie był dziecinny, ale bardzo przypominał dziecko. A jednak po raz pierwszy dostrzegła teraz siatkę drobnych zmarszczek wokół jego oczu i głębsze bruzdy wokół ust. Połowę życia oddał temu swojemu zazdrośnemu Bogu, pomyślała.

A ja oddałam jedną trzecią życia Jaubertowi, a przedtem... Czy mam prawo go osądzać?

Podeszła bliżej – miękka ziemia i zioła tłumili jej kroki – i opadła przed nim na kolana. Jej dłoń powędrowała ku kosmykowi włosów przy jego twarzy, srebrnemu na tle czerni reszty, i sięgnęła niepewnie, jakby chciała dotknąć motyla. Poczul to i otworzył oczy, a ona w panice skorzystała z bezwiednych nauk Anne.

– Sandoz! – krzyknęła, chwytając lekko za włosy i przybliżając je sobie do oczu. – Zobacz! Ty siwiejesz, staruszkule!

Roześmiał się. Ona też się uśmiechnęła i wstała, rozglądając się wokoło, jakby mogło tam być coś bardziej ją teraz interesującego niż ten człowiek, od którego właśnie się odwróciła.

– No i co, jesteś zadowolona ze swojego wyboru? – A kiedy milczała, zapytał ponownie: – Szczęśliwa, że tu jesteś?

– Tak, jestem szczęśliwa. – Sofia ogarnęła wzrokiem puszcę i uniosła ręce, wskazując na to wszystko, zanim odwróciła się, by na niego spojrzeć. – To wszystkiemu nadaje sens, prawda?

Pamiętała o tym, zawsze pamiętała, że on wie, kim kiedyś była, i jeszcze raz zastanowiła się, czy i on wciąż o tym pamięta, myśląc o niej.

– Tej nocy miałem sen – powiedział Emilio. – Unosiłem się w powietrzu. I mówiłem sobie: ciekawe, dlaczego wcześniej tego nie próbowałem. To takie łatwe.

– Zdrewniała formacja mózgowa, dająca o sobie znać poprzez REM. Twój mózg próbuje odreagować długotrwały stan nieważkości, po którym został zaatakowany tymi wszystkimi nowymi doznaniem.

Emilio wpatrywał się w nią przymrużonymi oczami.

– Spędzasz o wiele za dużo czasu z Anne. Co jest z kobietami w tej misji? – zapytał nagle. – Gdybym zajrzał do hasła PROZAICZNOŚĆ w jakimś słowniku, znalazłbym na pewno wyjaśnienie: „Nieczułość na poezję. Zobacz też MENDES, SOFIA”. A ja myślałem, że ten sen to jakieś objawienie religijne.

On wcale nie drzemał, on się modlił, zdała sobie sprawę Sofia.

Powiedział to swobodnym, nawet nieco ironicznym tonem, ale pamiętała jego twarz i wiedziała, że wcale nie żartował. Próbowала nazwać to uczucie i nagle zrozumiała, że to czułość. To niemożliwe, pomyślała. Nie mogę na to pozwolić.

– A oprócz chęci doprowadzenia mnie do rozpaczcy – ciągnął – miałaś jakiś inny powód, żeby...

Zamrugala powiekami.

– Och, tak. Tak, czas wracać do pracy. Anne prosiła, żeby cię znaleźć.

– Nikomu nic się nie stało? – zapytał, wstając.

– Nie. Ale Robichaux chce zacząć eksperymenty z miejscowymi zasobami żywności. Anne chce, żebyś mu pomógł monitorować wyniki.

Poszli razem do obozowiska, przekomarzając się po drodze. Pilnowała jednak, by zachować dystans, wierząc, że nie dała mu niczym poznać, że w końcu i ona podjęła ów ciężar, który Emilio od tak dawna dźwigał samotnie. Ostatecznie zdołała przetrwać tylko dlatego, że nauczyła się ukrywać swoje emocje i swoje reakcje na uczucia innych. To była jej dawno zdobyta umiejętność, która w przeszłości dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Teraz mogła jej użyć, by ochronić kogoś innego. Jestem Sofia Mendes, pomyślała. Stać mnie na wszystko.

Anne spojrziała na nich znad laptopa, kiedy nadeszli. Stało się, pomyślała, ale natychmiast wróciła do pracy.

– Zaczniemy od mięsa – powiedziała do grupy siedzącej przed nią półkolem w namiocie, który służył im za laboratorium. – Marc chce być pierwszy, ale uważam, że trochę za długo wymiotował w G zero, więc nie chcę go narażać na jakiś nowy stres. Jimmy jest duży i zdrowy, zje wszystko, co mu się podsunie. Myślę, że przeżyje, jeśli to, co zje, okaże się trujące. – Jimmy roześmiał się, ale nie zdołał ukryć zdenerwowania. Anne nie żartowała. – Emilio, ty i ja będziemy go na zmianę obserwować przez następne dwadzieścia cztery godziny. Biorę pierwsze trzy godziny. Potem ty.

– Na co mam zwracać uwagę? – zapytał Emilio, który siedział na ziemi między Alanem i George'em.

– Wymioty w ciągu pierwszej godziny. Bóle brzucha. Biegunka, od męczącej do krwawej i zagrażającej życiu. Jest też możliwość – powiedziała z powagą, przez cały czas wpatrując się w Jimmy'ego – wylewu do mózgu i cała gama niewydolności jelit, wątroby i nerek, które mogą mieć charakter czasowy lub stały.

– Nie otrzymałaś pozwolenia Narodowego Instytutu Zdrowia na przeprowadzanie takich eksperymentów – powiedział Jimmy.

– I nie otrzymałabym nawet wówczas, gdyby laboratoryjne szczury podpisały zgodę, nie robiąc przy tym ani jednego błędu ortograficznego. Ale nie staram się o grant. Jimmy, znasz ryzyko. Marc i ja przeprowadziliśmy już tysiące testów, ale w czymś tak złożonym jak tkanka roślinna lub zwierzęca istnieją niezliczone związki chemiczne i nie sposób wszystko zbadać. Jeśli wolałbyś się wycofać, Alan jest gotów być tym pierwszym.

Oczywiście nie wolał i zaczęli od kawałka pieczonego zielonika, bo tych stworzeń było mnóstwo i łatwo dawały się złapać. Wszyscy utkwili spojrzenia w Jimmym, kiedy był już gotów na pierwszy kęs.

– Po prostu potrzymaj to w ustach przez trzydzieści sekund, a potem wypłuj – pouczył go Marc. – Czujesz jakieś mrowienie lub drętwienie w okolicach warg albo w jamie ustnej?

– Nie. To nie jest złe – odpowiedział Jimmy. – Można by trochę posolić. Smakuje jak kurczak.

Rozległy się jęki, czego się spodziewał, a on popatrzył na nich, dumny i szczęśliwy.

– Dobra. Teraz jeszcze jeden kęs, ale tym razem przeżuj. W następnej chwili rozległy się dwa okrzyki, jeden Marca, drugi Jimmy’ego. Stało się to natychmiast po tym, jak Jimmy wessał i połknął resztę mięsa z pary nóżek.

– Nie waż się więcej tego robić, rozumiesz? – krzyczał Marc. – Są ścisłe zasady i masz ich przestrzegać!

Jimmy zaczął przeproszać, zmieszany, ale mimo ryzyka, na jakie się wystawił, nie było żadnych przykrych objawów, ani natychmiast, ani przez następne dwadzieścia cztery godziny. Podobnie jak deszczowa woda, którą pili, mięso małego zielonika wydawało się nieszkodliwe dla zdrowia.

Eksperymentowali więc dalej. Jimmy pierwszy próbował wszystkiego, co wybrali. Potem próbował tego George, po nim Marc, a w końcu Sofia. Anne i Emilio monitorowali efekty, notując próbki i objawy, gotowi zareagować natychmiast, gdyby ktoś poczuł się źle. Przestrzegali ustalonych przez Marca zasad: jeśli ktoś odczuł mrowienie lub drętwienie w ustach, wskazujące na obecność jakichś toksyn, opisywano dokładnie dany organizm i nie próbowano go więcej. Jeśli drętwienia nie było, a próbka okazywała się smaczna, brali następny kawałek i połykali go, czekali przez piętnaście minut i zjadali kolejny kawałek. Po godzinie przelykali ostatni, większy kęs, z nadzieją, że będą mieli takie szczęście jak Jimmy.

Sporo próbek odrzucili ze względu na sam smak. Większość liści okazała się za gorzka, a wiele owoców za kwaśnych, chociaż jeden, który smakował wspaniale, spowodował rozwolnienie nawet u Jimmy'ego. Raz Alan dostał wysypki, a Marc zwymiotował po jednej próbce. Powoli jednak sporządzili listę żywych organizmów i roślin, które wydawały się nieszkodliwe, choć nadal nie było wiadomo, czy zawierają odpowiednią ilość składników odżywczych. To wymagało czasu i stopniowego przechodzenia z diety ziemskiej na dietę zawierającą znaczne ilości miejscowych składników.

Planeta zdawała się rajem i wszyscy byli nią tak zachwyceni, że minęły całe tygodnie, a oni nawet nie pomyśleli o powrocie na *Stellę Maris*. Podziwiali jej wybujałe piękno, rozkoszowali się ciepłem jej słońc, czuli się bezpiecznie w jej puszczy, wierząc, że przynajmniej potencjalnie może ich wyżywić. Zaczęli się czuć całkiem swojsko na tej planecie, której nazwy jeszcze nie poznali, zauroczeni jej wdziękiem i gościnnością.

Pierwszym i jedynym sygnałem, że jednak mogą ich spotkać jakieś kłopoty, był błahy z pozoru fakt: pewnego ranka Alan nie obudził się razem ze wszystkimi. W owych dniach nie dbali już o ścisłą dyscyplinę i D.W. pozwolił mu się wyspać, ale w końcu uznał, że trzeba go obudzić na śniadanie. Najpierw żartobliwie, później z pewnym niepokojem potrącił go raz i drugi stopą, a potem potrząsnął za ramię. Nie widząc żadnej reakcji, zawołał Anne, która po samym tonie jego głosu poznała, że trzeba wziąć ze sobą torbę lekarską.

Wykrzykując jego imię, przemawiając do niego nieustannie, pospiesznie badała jego stan. Drogi oddechowe otwarte. Oddech i bicie serca nieregularne.

– Alan, kochanie, wracaj. No, błagam cię, skarbie, wiemy, że jeszcze tu jesteś – powtarzała głosem, który brzmiał jak matczyzny, kiedy D.W. zaczął mu udzielać ostatniego namaszczenia. Żrenice rozszerzone i nieruchome. – Ojciec Pace! – krzyknęła. – Spóźni się ojciec na mszę!

Daremnie. Wiedziała, że musi go czymś pobudzić, odnaleźć drogę do miejsca, w którym się znalazł, ściągnąć go z powrotem. Puls nitkowaty. Na pogotowiu pracowałby już nad nim cały zespół, zastosowano by intubację, wstrząsy elektryczne. Nie miała dotąd do czynienia ze spokojną śmiercią. Była wyszkolona, by walczyć aż do płaskiego wykresu, a nawet dalej. Po piętnastu minutach ktoś chwycił ją za ramiona i odciągnął. Przerwała bezpośredni masaż serca, ale wciąż trzymała go za rękę, aż w końcu D.W. wyjął ją delikatnie z jej dłoni i złożył na nieruchomej i stygnącej piersi Alana.

– Będzie potrzebna autopsja – powiedziała. D.W. skinął sztywno głową: muszą wiedzieć. – Zaraz to zrobię. Bez środków zachowawczych, w tym upale...

– Rozumiem. Zrób to.

George, który o pracy Anne wiedział więcej, niż chciał wiedzieć, szybko sklecił wysoki stół i ustawił wokół niego osłonę, którą zrobił z pokrowca promu. Napełnił też wodą z pobliskiego źródła kilka pojemników, a także wielkie, czarne torby z plastiku, które ustawił na słońcu, wiedząc, że po sekcji będzie się chciała wyszorować. Sofia otrząsnęła się w końcu z szoku i ruszyła mu z pomocą, kiedy zabrał się najpierw za składanie namiotu jego i Anne, potem za jego ponowne rozstawianie, tym razem dalej, poza obrębem obozu. Podziękował jej i wyjaśnił krótko, dlaczego to robi.

– Robi się nieznośna, kiedy pacjent jej umrze. Do tego nie można się przyzwyczaić. Będzie lepiej, jak przez pewien czas trochę się odseparujemy.

W tym samym czasie Emilio pomógł umieścić ciało Alana na stole i został przy nim, kiedy D.W., Jimmy i Marc wyszli poza brezentowe ogrodzenie.

– Chcesz, żebym ci asystował? – zapytał z pobladłą twarzą.

– Nie – odpowiedziała Anne szorstko, a potem zreflektowała się i dodała łagodniej: – Tak naprawdę nie masz na to wcale ochoty, prawda? Trzymaj się z daleka, żebyś nawet niczego nie słyszał. Nie przejmuj się, skarbie, robiłam to tysiące razy. Jestem przyzwyczajona do krojenia ciał.

Ale nie do takich ciał: ciał przyjaciół, jeszcze prawie ciepłych. Prawdę mówiąc, było to najgorsze, najprzykrzejsze doświadczenie, przez jakie zdarzyło się jej przejść w ciągu długoletniej praktyki. I najbardziej daremne. Parę godzin później pozszywała ciało i wezwała księży, którzy ubrali je w szaty liturgiczne i owinęli innym pokrowcem, z jaskrawożółtego plastiku, równie niestosownego i trudnego do przyjęcia, jak śmierć, która zabrała Alana.

Zapadał zmierzch. Reszta siedziała przy niewielkim ognisku, wsłuchując się w plusk wody, kiedy Anne splukiwała z siebie krew, kawałki mózgu i zawartość żołądka, zmywała odór, starając się bezskutecznie wyrzucić ze świadomości te wszystkie obrazy i dźwięki. Kiedy się pojawiła, z mokrymi włosami, ale już przebrana i jako tako opanowana, było zbyt ciemno, by D.W. dostrzegł, jak jest zmęczona i przygnębiona. Może uważał, że dla niej nie było to wcale trudne, że jest profesjonalistką, twardą i nieczułą, która nigdy się nie załamuje. Zawołał ją, by przysłała do ogniska, i zapytał o wyniki.

– Daj jej spokój – powiedział George, obejmując ją ramieniem i odwracając w kierunku ich namiotu. – Dowiesz się wszystkiego jutro.

– Nie, nic mi nie jest – powiedziała Anne, choć coś jej jednak było. – To nie potrwa długo. Nie było żadnej oczywistej przyczyny zgonu.

– Miał wysypkę. Może to alergiczna reakcja na owoc, który zjadł? – podsunął spokojnie Marc.

– Miał ją dawno – odpowiedziała cierpliwie Anne. – I była raczej objawem uczulenia kontaktowego. Nie było oznak wyższego poziomu histaminy we krwi, ale cokolwiek zjadł wczoraj, powinniśmy to skreślić z naszej listy.

Odwróciła się ponownie, aby pójść do swojego namiotu, położyć się z George'em, poczuć w jego ramionach, że wciąż żyje, i cieszyć się z tego.

– A może to był tętniak? – zapytał Emilio. – Może od dawna miał osłabione jakieś naczynie krwionośne, które akurat teraz pękło?

Szukali ucieczki w konkretach. Anne zdawała sobie z tego sprawę. W obliczu śmierci ludzie szukają konkretnych przyczyn, aby ochronić się przed jej arbitralnością i absurdem. Była na nogach od dwudziestu godzin. Inni tylko czekali. Złożyła ręce na biodrach i wbiła wzrok w ziemię, oddychając głęboko, aby opanować gniew.

– Emilio – powiedziała łagodnie, ale dobitnie – właśnie zakończyłam autopsję, tak dokładną, na ile to jest możliwe w tych warunkach. Chcesz, żebym ci wyliczyła wszystkie szczegółowe dane? Nie było żadnego śladu wewnętrznego krwawienia. Nie było żadnego zakrzepu w sercu lub płucach. Nie było najmniejszych oznak zapalenia w jelitach lub żołądku. Płuca były wolne od płynu. Wątroba była w uderzająco dobrym stanie. Nerki i pęcherz wolne od infekcji. Nie było udaru. Mózg – teraz starała się za wszelką cenę zachować spokój, bo mózg był najtrudniejszy do wyjęcia i zbadania – był nienaruszony. Nie było żadnych fizycznych oznak, które pozwoliłyby mi określić przyczynę zgonu. Po prostu umarł. Nie wiem dlaczego. Ludzie są śmiertelni, prawda?

Znowu się odwróciła, rozglądając się za jakimś miejscem, gdzie by mogła usiąść i wypłakać się, i ledwo się powstrzymała od krzyku, kiedy usłyszała, jak D.W. pyta:

– A co z tym śladem ukąszenia na jego nodze? Nie wyglądało groźnie, no i my wszyscy mamy takie ślady, ale może... Anne, przecież musi być jakaś przyczyna...

– Chcesz przyczyny? – zapytała, odwracając się do niego. Zamilkł, zaskoczony tonem jej głosu, który nim wstrząsnął. – Chcesz przyczyny? *Deus vult, pater.* Bóg zechciał, żeby umarł, rozumiesz?

Powiedziała to, żeby nim wstrząsnąć, żeby wstrząsnąć nimi wszystkimi, żeby się wreszcie zamknęli. Poczowała gorzką satysfakcję, kiedy zobaczyła, że jej się udało. D.W. urwał w połowie zdania i znieruchomiał z lekko otwartymi ustami, Emilio wytrzeszczył oczy, Marc mrugał szybko, porażony brutalnością, z jaką obróciła przeciw nim jego zwykle wyznanie wiary.

– Dlaczego tak wam trudno pogodzić się z tym, panowie? – zapytała Anne, spoglądając na nich bez wyrazu. – Dlaczego to Bóg zbiera wszystkie laury, kiedy spotyka was dobro, a kiedy wydarzy się jakieś kurewskie nieszczęście, winicie lekarza? Kiedy pacjentowi udaje się wyjść cało, zawsze mówicie: „Dzięki Bogu”, ale kiedy pacjent umiera, wieszacie psy na lekarzu. Żebym choć raz w życiu, po prostu dla samej choleryjnej nowości tego wydarzenia, usłyszała, jak ktoś oskarża Boga, a nie mnie, kiedy pacjent umiera!

– Anne, D.W. nie oskarża ciebie... – To był głos Jimmy’ego. Poczowała, że George chwytają za ramię i strząsnęła jego rękę.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli tego nie robi! Chcecie przyczyny? Daję wam jedyną przyczynę, jaka mi przychodzi do głowy, i mało mnie obchodzi, czy wam się spodobała. Nie wiem, dlaczego umarł. Do jasnej cholery, ludzie czasami po prostu umierają! – Głos jej się załamał, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło; poczuła się jeszcze bardziej samotna. – Nawet jeśli ma się do dyspozycji całą medyczną technologię świata i jeśli się wypruwa z siebie flaki, żeby ich odratować, i nawet wtedy, kiedy są wspaniałymi muzykami, i kiedy poprzedniego dnia byli zdrowi, i... cholera, nawet wtedy, jeśli są za młodzi, żeby umierać. Ludzie czasami po prostu umierają, jasne? Zapytajcie Boga dlaczego. Nie pytajcie mnie.

George przytulił ją, a ona szlochała, targana wściekłością i bezsilną rozpaczą.

– On ciebie nie wini, Anne – powiedział cicho. – Nikt cię nie wini.

Wiedziała o tym, ale przez chwilę sama się czuła tak, jakby to była jej wina.

– Och, kurwa, George! – szepnęła, wycierając nos w jego rękaw i starając się powstrzymać płacz. – Niech to szlag. Nawet go za bardzo nie lubiłam. – Odwróciła się do Jimmy’ego i Sofii, którzy do niej podeszli, ale patrzyła na księży. – Przebył tę całą cholerną drogę tylko dla tej muzyki, a nawet jej nie usłyszał. Czy to sprawiedliwe? Nawet nie zobaczył tych instrumentów. Po jaką cholerę Bóg go tu ściągnął? Żeby go zabić? Co to za parszywe numery? W co właściwie bawi się z nami ten wasz Bóg?

Podczas długich miesięcy spędzonych na *Stelli Maris* wiele o sobie opowiadali. Każdy miał jakieś sekrety, które trzymał tylko dla siebie, ale niektórzy opowiadali też o swoim dzieciństwie, a Marc Robichaux należał do tych, którzy robili to chętnie. Marc nie był jednym z tych, którzy wiedzieli, że chcą zostać księdzem, kiedy mieli siedem lat. Jako pięcioletnie dziecko zachorował na ciężką białaczkę, ale miał szczęście być Kanadyjczykiem, kiedy powszechna opieka zdrowotna była jeszcze dostępna. – Leukemia nie jest taka straszna – mówił im. – Przed wszystkim odczuwa się okropne zmęczenie. Chce się umrzeć, pragnie się tego jak snu. Natomiast ta chemia była rzeczywiście straszna.

Jego matka robiła, co mogła, ale musiała się troszczyć i o inne dzieci. Markiem opiekowała się więc babka ze strony ojca, który porzucił rodzinę, znalazłszy sobie łatwą wymówkę w postaci stresu z powodu choroby Marca. Być może była to z jej strony forma kompensacji, ale to ona siedziała przy jego łóżku, opowiadała mu barwne historie o dawnym Quebecu, modliła się z nim i zapewniała go z absolutnym przekonaniem, że jakiś nowy rodzaj operacji, autologiczne przeszczepienie szpiku kostnego na pewno uwolni go od choroby.

– Jeszcze parę lat wcześniej ten rodzaj białaczki, który miałem, z pewnością by mnie zabił. I sama transplantacja okazała się bardzo niebezpieczna. Ale kilka tygodni później... to wyglądało na prawdziwy cud! Zresztą moja babka była o tym przekonana, uważała, że Bóg ma wobec mnie jakiś specjalny plan.

– A ty? – zapytała Sofia. – Ty też uważałeś to za cud? To wtedy postanowiłeś zostać księdzem?

– Och, nie. Chciałem zostać gwiazdą hokeja. – Wybuchły śmiechy, a kiedy nie chcieli w to uwierzyć, zawołał: – W liceum byłem naprawdę bardzo dobrym napastnikiem!

Zaczęli rozmawiać o sporcie i nie wracali już do dzieciństwa Marca. Ale Sofia nie tak bardzo się myliła, chociaż Marc dopiero po dziesięciu latach od swojego wyzdrowienia naprawdę poczuł, że życie jest darem Boga, który ma prawo dawać je i odbierać.

W podróż na Rakhat zabrał ze sobą różaniec babki, a także przekonanie, że całe życie jest czymś bardzo kruchym i efemerycznym, że tylko sam Bóg jest wieczny i niezniszczalny. Wiedział jednak, że Anne uznałaby taką odpowiedź na swoje retoryczne pytanie za nietrafną i niezadowolającą. Zapytałaby: ale dlaczego? Dlaczego tak musi być?

W owych krótkich godzinach przed pierwszym z rakhatańskich świtów, kiedy Marc czuwał przy zwłokach Alana, obserwował Jimmy'ego Quinna, krążącego od namiotu do namiotu, wysłuchującego każdego po kolei, godzącego ich, negocjującego wspólny grunt, przekazującego opinie. Marc dobrze wiedział, że na początku każdy podejrzewał w duchu, że z Alanem Pace'em mogą być kłopoty, ale żadne z nich nie przewidywało czegoś takiego. Nikomu też nie przyszło do głowy, że to właśnie Anne wbije między nich klin.

W końcu, kiedy cichły już odgłosy nocy, a pomarańczowe słońce stroiło instrumenty przed codzienną symfonią barw, Jimmy przyszedł do niego przez polanę.

– Błogosławieni czyniący pokój – powitał go cicho Marc. – Zabiegi dyplomatyczne uwieńczone sukcesem?

Jimmy spojrzał w kierunku, który nazywali wschodem, bo tam zaczynał się świt, i zaczął wyliczać na palcach:

– George uważa, że to D.W. doprowadził Anne do takiego stanu. Anne wstydzi się swojego wybuchu i mówi, że to skutek nagromadzonej przez dwadzieścia lat frustracji. D.W. rozumie to i ma żal do siebie, że nie poczekał, aż Anne odpocznie. Emilio też rozumie Anne, ale obawia się, że was uraziła. Sofia twierdzi, że nawet Hiob nie otrzymał odpowiedzi na pytanie Anne, a w końcu Hiob miał możliwość zadania tego pytania samemu Bogu.

Nieoczekiwanie Marc uśmiechnął się. Pomarańczowe promienie słońca przedarły się przez wschodnią krawędź puszczy i dosięgły jego siwiejących włosów, przywracając im złotawy poblask młodości. W dzieciństwie był uderzająco pięknym chłopcem, a nawet teraz, w średnim wieku, kiedy rysy jego twarzy nieco złagodniały, miło było na niego patrzeć.

– Powiedz ojcu Yarbroughowi, że chciałbym być celebrazem. I zadbać o to, żeby doktor Edwards przyszła na mszę, *oui*?

Jimmy odczekał chwilę, spodziewając się, że Marc coś jeszcze powie, ale ten się odwrócił. Paciorki starego różańca znowu zaczęły prześlizgiwać się między jego palcami w łagodnym rytmie, który znany był tylko jemu. I może Bogu.

Przed *Requiem* doszło do krótkiej, pełnej napięcia dyskusji na temat tego, czy powinni ciało Alana pochować, spalić czy przewieźć na *Stellę Maris*. Najważniejszym problemem było to, czy bakterie w zwłokach nie skażą miejscowego ekosystemu. Anne poczuła ulgę, kiedy stwierdziła, że Marc popiera jej zdanie.

– W momencie, w którym postawiliśmy stopę na tej planecie, już dokonaliśmy ingerencji w jej ekosystem – dowodziła głosem ochrypłym od płaczu. – Oddychaliśmy, wymiotowaliśmy, wypróżnialiśmy się, rozsiewaliśmy wszędzie włosy i komórki skóry. Tej planecie zaszczepiliśmy już wszystkie rodzaje bakterii, jakich jesteśmy nosicielami.

– Nie miejmy iluzji – dodał Marc Robichaux. – Nasza obecność tutaj jest już częścią dziejów tej planety.

Wykopano więc grób i złożono w nim zawartość żółtego pokrowca. Rozpoczęła się liturgia Zmartwychwstania, a kiedy nadszedł czas, przemówił Marc, opowiadając o Alanie, o pięknie jego muzyki i o tym, jak się rozkoszował całymi pieśniami, kiedy ich wysłuchiwał kilka tygodni temu.

– Ta podróż przyniosła już Alanowi nagrodę – mówił Marc. – Ale my pozostajemy z pytaniem, które zadała nam Anne. Dlaczego Bóg doprowadził go aż tutaj i pozwolił mu teraz umrzeć? – Na chwilę umilkł i spojrzał na Sofię, zanim ciągnął dalej. – Mędracy żydowscy mówią, że cała Tora, całe pięć pierwszych ksiąg Biblii, to imię Boga. A jeśli takie jest tylko Jego imię, o ile większy jest sam Bóg? Ojcowie Kościoła mówią, że Bóg jest tajemnicą, że jest niepoznawalny. Sam Bóg, w Piśmie Świętym, mówi nam: „Moje drogi nie są waszymi drogami, a moje myśli nie są waszymi myślami”.

Odgłosy puszczy cichły. Sjesta w środku dnia była tu ogólnie panującą zasadą, kiedy połączone promienie trzech słońc zmuszały większość zwierząt do szukania sobie schronienia. Wszyscy, księża i świeccy, byli już bardzo zmęczeni i rozgrzani, i pragnęli, by Marc skończył. Ale Marc czekał, aż Anne podniesie oczy i spojrzy na niego.

– To część ludzkiego losu: zadawać pytania, jak Anne zeszłego wieczoru, i nie otrzymywać odpowiedzi. Może dzieje się tak dlatego, że nie potrafimy zrozumieć odpowiedzi, bo nie jesteśmy w stanie poznać dróg Boga i Jego myśli. W końcu jesteśmy tylko bardzo mądrymi małpami naczelnymi, robiącymi wszystko, co w naszej mocy, mamy jednak bardzo ograniczone możliwości. Może wszyscy powinniśmy przyznać się, że jesteśmy agnastykami, niezdolnymi poznać to, co jest niepoznawalne.

Emilio podniósł głowę i spojrzął na Marca; twarz miał spokojną. Marc zauważył to i uśmiechnął się, ale mówił dalej.

– Mędrzy żydowscy mówią też, że Bóg tańczy, kiedy Jego dzieciom uda się pokonać Go w sprzeczce, kiedy pewnie stoją na nogach i czynią użytek z rozumu. Tak więc warto zadawać takie pytania, jakie zadała Anne. To bardzo szlachetny rodzaj ludzkiego zachowania. Jeśli będziemy wciąż nalegać, by Bóg udzielał nam odpowiedzi, może pewnego dnia je zrozumiemy. A wówczas staniemy się czymś więcej niż tylko mądrymi małpami i będziemy tańczyć razem z Bogiem.

20

NEAPOL

czerwiec 2060

– Reyes, wyluzuj się! Tutaj jest o wiele bezpieczniej!

– Bezpieczniej to jeszcze nie znaczy, że bezpiecznie – odpowiedział Giulianiemu Reyes.

Stracili już z oczu ląd i oddalili się od zdradliwych skał, którymi najeżona była zatoka, ale Reyes wciąż czuł się niepewnie.

– Byłem o wiele szczęśliwszy, kiedy widziałem linię brzegu. – Giuliani uśmiechnął się. Sunęli prawym halsiem przez zalane słońcem morze. Usadził Reyesa przy sterze, mając nadzieję, że da sobie z nim radę, wykorzystując ramię i łokieć. Zwykle dawał nowicjuszom w ręce szot, pouczając ich, jak trzymać żagiel, by nie wyostrzać go do wiatru, a sam sterował, ale tym razem uznał, że Reyes może nie utrzymać liny.

– To pierwszy dzień od dziesięciu lat, w którym nie brałem udziału w przynajmniej czterech zebraniach – powiedział ojciec generał z ulgą w głosie. – Był nagi do pasa, opalony, szeroki w ramionach, w uderzająco dobrej kondycji, jak na swój wiek. Felipe Reyes, krępy i nieumięśniony, nie zdjął koszuli. – Doszło do tego, że przed każdym zebraniem robię akt skruchy – dodał beztrósco. – Statystycznie rzecz biorąc, istnieje duże prawdopodobieństwo, że umrę podczas jakiegoś zebrania. Uważaj na głowę.

Reyes pochylił się o wiele bardziej, niż to było konieczne, kiedy bom przeleciał mu nad głową. Miał wizję, równie żywą, jak te, których doświadczała święta Teresa z Avili. Wydawało mu się, że wylatuje za burtę i leci na dno jak kamień.

– Przykro mi, że odbywa się to kosztem Emilia – ciągnął ojciec generał – ale bardzo się cieszę, że mogłem się wyrwać na wodę.

– Lubi to ojciec, prawda? – zapytał Reyes, obserwując go.

– O, tak! Tak, lubię. I, na Boga, kiedy dojdę do osiemdziesiątki, zamierzam wziąć sobie roczny urlop i pożeglować dookoła świata! – Wiatr wzmagął się, właściwie powinni już wracać. – Żeglarstwo to doskonale antidotum na starość, Reyes. Wszystko, co robisz na łajbie, robisz powoli i w sposób przemyślany. Czujesz zadowolenie, że twoje stare cielsko jest zdolne do tego, czego morze wymaga. A jeśli morze uzna, że trzeba ci dać nauczkę, młode ciało wcale nie jest lepsze od starego, żeby stawić czoło żywiołowi, a za to masz więcej doświadczenia. Robimy zwrot.

Przez jakiś czas żeglowali w milczeniu, mijając i pozdrawiając rybaków na łodziach. Reyes całkowicie pogubił się w tych wszystkich zwrotach i halsach, ale miał wrażenie, że okrążają zatokę. Na wodzie było mnóstwo łodzi. To dziwne, pomyślał, o tak późnej porze dnia.

– Próbowałem wczoraj namówić Sandoza, żeby się ze mną wybrał na żagiel – rzekł Giuliani. – Myślałem, że sprawi mu to radość. Popatrzył na mnie, jakbym mu doradzał samobójstwo.

– Może się boi wypłynąć – odpowiedział Felipe, mając nadzieję, że jego strach nie jest aż tak widoczny.

– Przecież wy, chłopcy, pochodzicie z wyspy! Jak możecie bać się morza?

Wy, chłopcy. Liczba mnoga. A więc to widać.

– Tak się tylko wydaje. Huragany i zanieczyszczenie. Toksyczne przypiływy i rekiny. Właśnie życie na wyspie utwierdza w przekonaniu, że nie ma nic lepszego niż ląd. – Felipe spojrział na horyzont i starał się nie zauważać burzowych chmur. – Nie umiem nawet pływać i wątpię, by Emilio umiał. Zresztą i tak na to za późno – dodał, unosząc swoje protezy.

– Nie będzie ci to potrzebne, Reyes – zapewnił go ojciec generała. Przez chwilę milczał, a potem zagadnął zdawkowym tonem: – Opowiedz mi o nim. Wiesz, znałem go jako chłopaka, był jednym z moich *secundi* podczas formacji. Ulubieniec Boga, tak go nazywaliśmy, my, *primi*... Idealny kandydat na przywódcę buntu aniołów... Musiał być we wszystkim najlepszy, od łaciny do baseballu. – Sandoz nie tylko nie obrażał się na takie żarty, ale jeszcze zapuścił sobie brodę, co go upodobniło do diabła z religijnych kiczów; tak, zrobił to umyślnie, to była jego subtelna, milcząca odpowiedź na kpinki, pomyślał teraz Giuliani. – A później, kiedy się rozstaliśmy, słyszałem, że był dobry jako akademik. Doskonały w swojej dziedzinie. A jakim był kapłanem?

Reyes wypuścił powietrze z płuc i milczał. No tak, nie mylił się. Po to został zaproszony.

– Był dobrym księdzem – odpowiedział po chwili. – Dał się lubić. Młody. Z dużym poczuciem humoru. Atletą.

Aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek. Ani śladu tamtego ciepła i humoru. I trudno się dziwić, biorąc wszystko pod uwagę. Nic nie wychodzi z tych przesłuchań. Emilio odpowiadał monosylabami na wszystkie pytania albo gubił się, próbując śledzić te wszystkie techniczne dyskusje, które, jak mu wyznał, prawie do niego nie docierały. Reyes martwił się o niego. Emilio sprawiał czasami wrażenie człowieka, który w ogóle nie jest w stanie się wypowiedzieć, a kiedy go naciskano, wpadał w złość i przyjmował postawę obronną.

Znowu zrobili zwrot i pojechali ku kolejnej łodzi rybackiej. Tym razem rybak zawołał coś do Giulianiego. Felipe już poduczył się włoskiego na tyle, by zrozumieć, że Giuliani był w lipcu na jakimś ślubie. Wyglądało na to, że ojciec generała wiele wie o tych rybakach.

– Czy słyszał ojciec o Brygadzie Basura? – zapytał nagle Felipe.

– Nie. Co to takiego? *Basura* to śmieci, tak?

– Tak. Jak teraz o tym myślę, to było typowe dla Sandoza. To miało miejsce na samym początku, jak po raz pierwszy przybył do La Perla. Ta dzielnica... no, to były slumsy, ojciec rozumie. Mnóstwo dzikich lokatorów. Nie była włączona do miasta, więc nikt nie wywoził śmieci. Ludzie wrzucali je do morza albo do rozpadlin między skałami. Emilio zaczął od zbierania śmieci po ulicach. Całe worki, dzień po dniu. Wnosił je do Old San Juan i zostawiał przed domem Edwardsów, żeby służba miejska je zabrała. Miał przez to kłopoty z radą miejską, ale Edwardsowie zeznali, że to ich śmieci. Na jakiś czas dali mu spokój.

– Robimy zwrot.

Felipe dał nurka pod bom, który przeleciał mu o cal nad głową.

– Od początku dzieciaki za nim latały... potrafił je zauroczyć. W każdym razie wszędzie za nim latały, a on dawał każdemu worek, no i wkrótce po ulicach krążył pochód dzieciaków z wielkimi workami śmieci, które wynosiły to wszystko na górę i stawiały przed domem Edwardsów. A oni mieszkali w malowniczej dzielnicy, przychodziło tam mnóstwo turystów. Posypały się skargi.

– Pozwól mi zgadnąć. W końcu miasto uznało, że lepiej, by tymi śmieciami zajęła się służba miejska, niż żeby to robił jakiś bardzo telegeniczny ksiądz.

– I wygrał ojciec generał. To znaczy... tak, potrafił być bardzo czarujący, ale radni szybko się połapali, że z nim nie wygrają, że i tak będzie znosił te śmieci. No i oświadczył, że te dzieciaki po raz pierwszy w życiu robią coś konstruktywnego, a potem napomknął, że te same dzieciaki mogłyby w tym czasie okradać turystów w San Juan, więc...

Giuliani pomachał ręką do jeszcze jednego rybaka.

– Wiesz, Felipe, jakoś nie potrafię pogodzić tego, co słyszę o Emilio, z nim samym, takim, jakim go znałem. Ostatnie, co mogłoby mi przyjść do głowy, to nazwać go czarującym. W seminarium był największym ponurakiem. Nigdy się nie uśmiechał. Rzucił się na naukę jak pies na kość. Zresztą podobnie jak na piłkę w baseballu.

– Tak to jest z latynoskimi chłopakami. Wciąż aspirują do trzech „F”. Chcą być *feo, fuerte y formal*. – Spojrzał na ojca generała, by zobaczyć, czy zna na tyle hiszpański. – Paskudni, silni i poważni. Ideał macho. Myślę, że Emilia bardzo maltretowano w dzieciństwie, bo był drobny i ładny, więc bronił się powagą i poprawnością.

– No, ja bym raczej powiedział: ponuractwem i zawziętością. Jestem pewien, że nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechnął. I nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wypowiedział więcej niż trzy słowa naraz. Czy my w ogóle mówimy o tej samej osobie? Uwaga, głowa. – Giuliani wskazał ręką na kolejną łódkę, a Felipe kiwnął głową i przesunął rumpel. – A potem słyszę, że jest czarujący, że potrafi robić sztuczki, że dzieciaki za nim przepadają... – Umiłkł, ale Reyes też nic nie odpowiedział, więc dodał: – Zawsze uważałem go za sztywniaka, a okazuje się, że tak łatwo zdobywa przyjaciół! Candotti i Behr pójdą za nim w ogień.

– Czy mogę usiąść z drugiej strony tego drąga? – zapytał Felipe. – To ramię trochę mi osłabło.

– Jasne. Chcesz, żebym wziął rumpel? Często sam wypływam, kiedy tylko mi się uda.

Felipe był zaskoczony, kiedy stwierdził, że wcale nie chce oddawać steru.

– Nie. Tylko zmienię pozycję i wszystko będzie w porządku – odpowiedział i podniósł się ostrożnie. Usiadł dość raptownie, kiedy uderzenie fali zakołysało łodzią, ale udało mu się znowu ścisnąć rumpel między łokciem a ramieniem. – Zaczynam dostrzegać urok w tym żeglowaniu. Prawdę mówiąc, jestem w łodzi po raz pierwszy w życiu. A kiedy ojciec zaczął?

– Kiedy byłem mały. Moi rodzice mieli trzydziestodwustopowy kuter. Ojciec nauczył mnie nawigacji, kiedy miałem osiem lat.

– Ojciec generale, mogą być szczerzy?

Chwila milczenia.

– Wiesz co, Reyes – powiedział w końcu Giuliani, wpatrując się w horyzont – najbardziej nienawidzę w całym tym interesie tego, że każdy mnie pyta, czy może być szczerzy. Możesz mówić, co ci się podoba. I mam na imię Vince, okay?

Felipe, całkowicie zbity z tropu, wybuchnął krótkim śmiechem, wiedząc, że za nic w świecie nie zwróci się do ojca generała per „Vince”, a potem przełknął ślinę i zapytał:

– Kiedy po raz pierwszy dostałeś parę nowych butów?

Tym razem to Giuliani poczuł się zbity z tropu.

– Nie mam pojęcia. Chyba kiedy zacząłem chodzić.

– Ja dostałem pierwszą parę butów, kiedy miałem dziesięć lat. Zdobył je dla mnie ojciec Sandoz. A kiedy dorastałeś, były jakieś problemy z dostaniem się na studia? Nie mówię o college’u. Chodzi mi o to, czy w ogóle brano pod uwagę ewentualność, że nie pójdziesz na wyższe studia?

– Domyślam się, do czego zmierzasz – odpowiedział spokojnie Giuliani. – Nie. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Było oczywiste, że pójdę na studia.

– To jasne – rzekł Felipe, wzruszając ramionami. Nie musiał dodawać: miałeś matkę, która wiedziała, kto jest twoim ojcem, miałeś wykształconych rodziców, miałeś żaglówkę, dom, samochód. – To znaczy, że gdybyś nie wstąpił do seminarium, byłbyś bankierem, dyrektorem szpitala albo kimś w tym rodzaju, tak?

– Tak. To możliwe. Chyba kimś takim. Import, eksport, finanse, coś w tym rodzaju.

– I miałeś absolutną swobodę wyboru, kim zostaniesz, tak? Jesteś inteligentny, jesteś wykształcony, ciężko pracujesz. Zaslugujesz na to, żeby być tym, kim jesteś. – Ojciec generalnie milczał, ale to milczenie nie sprawiało wrażenia zaprzeczenia. – A wiesz, kim ja bym był, gdybym nie został księdzem? Złodziejem. Albo gorzej. Kradłem już wtedy, kiedy Emilio się mną zainteresował. Coś podejrzewał, ale nie wiedział, że włamywałem się już do samochodów. Miałem dziewięć lat. A zanim bym skończył trzynaście, byłbym już zawodowcem.

– A gdyby D.W. Yarbrough nie zainteresował się Emiliem Sandozem? – zapytał Giuliani. – Kim by został?

– Handlarzem – odrzekł Reyes, patrząc na Giulianiego, aby się przekonać, czy zrozumiał, co ma na myśli. – Czarna smoła heroinowa, z Meksyku via Haiti. Tradycja rodzinna. Od pokoleń. Jego dziadka zamordowano w więzieniu. Śmierć jego ojca spowodowała małą wojnę gangów. Jego brat zGinał, bo dorabiał sobie na boku.

Felipe umilkł, zastanawiając się, czy miał prawo powiedzieć to Giulianiemu. Część z tego na pewno znalazła się w aktach Emilia. A może było tam więcej.

– Zdarzają się jeszcze takie chwile – ciągnął, porażony kontrastem między swoim czy Emilia życiem a życiem ludzi takich, jak Vincenzo Giuliani, urodzonych do tego, by mieć pieniądze, pozycję, poczucie bezpieczeństwa – kiedy złodziej, którym zaczynałem być jako chłopiec, wydaje mi się kimś bardziej autentycznym niż ksiądz, którym jestem od paru dziesiątków lat...

Znowu zamilkł, tym razem na dobre, głęboko zakłopotany. Giuliani nigdy nie zrozumie, jaką cenę płacą za swoją edukację chłopcy korzystający ze stypendium: nieubłagane wyobcowanie z rodziny, wykorzenienie, utrata pierwotnej tożsamości. Ogarnęła go złość, postanowił, że już nic więcej nie powie o Emiliu Sandozie. Niech Giuliani sam go wypytuje.

Ale ojciec generalnie powiedział:

– A więc wyuczyłeś się na pamięć zasad i starasz się uniknąć poniżenia.

– Tak.

– I twoje formalne, sztywne zachowanie jest skutkiem poczucia wyobcowania.

– Tak.

– Bardzo ci dziękuję. To mi wiele wyjaśniło. Nie zdawałem sobie sprawy, że...

Mijali jeszcze jedną łódź i Giuliani znowu wdał się w rozmowę. Reyes zrozumiał tylko tyle, że mówili o jakichś dzieciach.

– Czy któryś z nich w ogóle pamięta, że wybrał się na ryby? – zapytał, poirytowany.

– Chyba nie – odparł beztrosko Giuliani. – Prawdę mówiąc, wiedzą wszystko o morzu i łodziach, ale wcale nie zajmują się łowieniem ryb.

Felipe spojrzał na niego, zaskoczony.

– Wiesz o nich wszystko, prawda?

– Tak. To przeważnie kuzyni. – Giuliani wyszczerzył zęby, kiedy Reyes wreszcie zrozumiał i wytrzeszczył oczy.

– Nie mogę uwierzyć. Mafia! To członkowie mafii, tak?

– Och, Boże... Tego bym nie powiedział. Tego się nigdy nie mówi. Oczywiście nie jestem pewien, z czego naprawdę żyją – dodał łagodnym głosem – ale jako człowiek wykształcony mogę podejrzewać. – Zerknął na Felipe i powstrzymał się od śmiechu. – W każdym razie *mafia* jest na Sycylii. Tu, w Neapolu, jest *camorra*. Co chyba na jedno wychodzi. To zabawne, prawda? Mój dziadek i dziadek Emilia Sandoza trudnili się właściwie tym samym. Sandoz nawet mi trochę przypomina mojego dziadka. On też był czarującym człowiekiem w swoim środowisku, a wobec tych, którym nie ufał albo których nie rozumiał, był sztywny i ostrożny. Należałem do wewnętrznego kręgu jego zaufanych. Mógłbym skoczyć dla niego w ogień. Uwaga, zwrot.

Felipe był zbyt oszołomiony, by się poruszyć, i Giuliani musiał go szarpnąć, aby bom nie rąbnął go w głowę. Pozwolił mu nieco ochłonąć, a potem znowu przemówił, snując wspomnienia:

– Mój ojciec nie brał udziału w brudnej robocie, ale pieniądze naszej rodziny były tak brudne, jak tylko można sobie wyobrazić. Odkryłem to, kiedy miałem jakieś siedemnaście lat. W tym wieku jest się idealistą. – Spojrzał na Reyesa. – Nigdy mnie nie przestaje dziwić różnorodność motywów, jakie skłaniają ludzi do obrania naszej drogi. Wydaje mi się, że dla mnie ślub ubóstwa był z początku czymś w rodzaju kompensacji.

Zaczął opuszczać żagiel i złapał za rumpel, by wprowadzić łódź do przystani.

– Pierwszy kuter, jakim popłynąłem, był podarunkiem od mojego dziadka. Kupił go za brudne pieniądze. Jakby się tak zastanowić, to ta łajba też pochodzi z takiego źródła. Podobnie jak ta zaciszna willa, w której bezpiecznie wypoczywa Emilio Sandoz. Właśnie dlatego jesteśmy w Neapolu... Reyes. Bo to miasto należy do mojej rodziny.

– Gdzie się nauczyłeś robić takie rękawiczki? – zapytał Emilio.

Siedzieli w ogrodzie, po dwóch stronach drewnianego stołu, w zielonym cieniu wysokiej winorośli. Wspomagające silniczki furkotały spazmatycznie, kiedy Emilio z uporem zbierał gładkie kamyki ze stołu, jeden po drugim, a potem kładł je z powrotem, by natychmiast rozpocząć to samo ćwiczenie drugą ręką. John Candotti pracowicie zszywał kolejną parę rękawiczek.

John prawie się ucieszył, kiedy zobaczył, że poprzednia para ma skazę, bo ścieg biegnie zbyt blisko blizny między dwoma palcami, ocierając ją i jątrząc. To otwierało drogę do jakiejś zgody między nimi. Od tego okropnego pierwszego przesłuchania Sandoz prawie się do niego nie odzywał, a jeżeli to robił, to tylko po to, by go oskarżać o udział w spisku.

– Myślałem, że wyglądasz na faceta, który pomoże mi przygotować się na takie gówno – warknął, kiedy John przyszedł do niego następnego dnia. – Pozwoliłeś mi wejść tam bez rozgrzewki, ty skurczybyku. Mogłeś mnie ostrzec, John. Mogłeś mi dać jakieś wyobrażenie o tym, co tam się będzie działo.

John był na straconej pozycji.

– Próbowałem! Próbowałem, niech skonam! A zresztą... przecież wiedziałeś, co się wydarzyło...

Przez chwilę myślał, że Sandoz zamierza go uderzyć, choć mogło to być tylko śmieszne, biorąc pod uwagę jego stan i te żałosne ręce. Ale Sandoz tylko się odwrócił i odszedł, a potem przez tydzień nawet na niego nie spojrział.

W końcu wściekłość się wypaliła i dzisiaj wyglądał po prostu na zmęczonego i przygnębionego. Poranek był dość trudny. Przerabiali śmierć Alana Pace'a. Edward Behr zasugerował, że Pace miał migotanie przedsionków, choć autopsja tego nie potwierdziła. Emilio sprawiał wrażenie obojętnego. Kto wie? Kiedy po południu John zaproponował, że zrobi mu nową parę rękawiczek, Sandoz bez słowa wzruszył ramionami, a potem usiadł naprzeciw niego przy tym samym stole, kiedy John zabrał się do roboty.

– Kiedyś robiłem rękawiczki i buty, żeby mieć za co żyć – odpowiedział John.

Emilio podniósł głowę i spojrział na niego.

– Kiedy wylatywaliśmy, wszystko robili masowo w fabrykach.

– Tak, zgadza się, teraz też, ale byli i tacy faceci, którzy postanowili przywrócić godność pracy ludzkiej – odpowiedział cynicznie, trochę zakłopotany – i ja do nich należałem. Każdy z nas chciał mieć jakiś fach i kupowaliśmy wyłącznie rzeczy robione ręcznie, no, wiesz, żeby stworzyć na nie rynek zbytu. Nie byliśmy luddystami czy hippisami *sensu stricto*, ale w sumie to było coś w tym rodzaju. Zrób buty, a zbawisz świat, rozumiesz?

Sandoz uniósł dłonie, protezy zaślśniły w cieniu.

– To jest ruch, którego już wkrótce nie będę zauważał. Chyba że ktoś zechce stworzyć rynek zbytu na zbieranie kamyków w garść.

– No, w każdym razie jest o wiele lepiej. Jakoś sobie z tym radzisz. – John stuknął napastrkiem w protezę. Zaledwie parę miesięcy temu Sandoz prawie ronił krwawy pot, kiedy usiłował objąć dłonią kamień wielkości jego pięści.

– Nienawidzę tego – powiedział stanowczo Emilio.

– Nienawidzisz? Dlaczego?

– No, wreszcie. Proste pytanie z łatwą odpowiedzią. Nienawidzę protez, bo sprawiają mi ból. A mam już dosyć bólu. – Emilio odwrócił wzrok, obserwując, jak pszczoły obsługują lilie i róże w jaskrawym słońcu poza cieniem drzewa. – Ręce mnie bołą, w głowie mi huczy, protezy wżynają mi się w ramiona. Czuję się podle przez cały czas. Mam już tego dosyć, John. Śmiertelnie dosyć.

To była pierwsza skarga, jaką usłyszał z jego ust John Candotti.

– Poczekaj. Zdejmę ci je, dobrze? – Wstał i sięgnął przez stół, aby odpiąć protezy. – Napracowałeś się już dość. No, pozwól mi.

Emilio zawahał się. Nienawidził również tego, że nie był w stanie sam zdjąć protez i był w tym uzależniony od brata Edwarda. Tylko Edward mógł robić to i wiele gorszych rzeczy, nikomu innemu nie pozwalał się dotknąć od czasu opuszczenia szpitala. W końcu poddał się i wyciągnął do niego ręce.

Po każdym zdjęciu protez przez jakiś czas odczuwał jeszcze większy ból, kiedy krew zaczynała dochodzić do udręczonych mięśni. Zamknął oczy i czekał z napiętą twarzą, aż ból minie, i wzdrygnął się, kiedy Candotti chwycił jedną z jego rąk i zaczął masować, aby przywrócić w niej czucie. Cofnął rękę, bojąc się, że ktoś ich zobaczy i zrobi jakąś niestosowną uwagę. Candottiemu chyba przyszło do głowy to samo, bo nie zaprotestował.

– Emilio, mogę cię o coś zapytać?

– John, błagam. Odpowiedziałem już dzisiaj na tysiąc pytań.

– Chodzi mi tylko o to... dlaczego oni ci to zrobili? Czy to była tortura? Bo... bo to wygląda na taką precyzyjną robotę.

Sandoz wypuścił gwałtownie powietrze z płuc.

– Sam nie do końca to rozumiem. To był zabieg, który nazywali *hasta'akala*. – Położył ręce na szorstkiej powierzchni drewnianego stołu, jak kupiec rozkładający przed klientem sztukę tkaniny, i przyjrzał się im bez śladu emocji. – To nie miała być tortura. Powiedziano mi, że Jana'atowie robią to czasami swoim przyjaciółom. Supaari był zaskoczony, że nam sprawiło to taki ból. Ich ręce nie są chyba tak unerwione jak nasze. Nie wykonują żadnych precyzyjnych prac. Robią to za nich Runowie.

John przerwał szycie i milczał, czując zimne dreszcze przebiegające mu po krzyżu.

– To mogło być coś w rodzaju zabiegu estetycznego. Może długie palce są piękniejsze. A może chcieli w ten sposób mieć nad nami kontrolę. Przedtem nie musieliśmy pracować, ale po tym zabiegu już nie mogliśmy. Wszystko robili za nas służący. To znaczy... wtedy już było nas tylko dwóch, Marc Robichaux i ja, tylko my zostaliśmy. Myślę, że byliśmy dla nich czymś w rodzaju prestiżowej własności. – Głos mu stwardniał, znowu ogarnęła go fala goryczy. – Nie jestem pewien, komu ten prestiż przypadł w udziale. Chyba Supaariemu. Wydaje mi się, że w ten sposób mógł pokazać, że stać go na utrzymanie w domu dwóch bezużytecznych istot, całkowicie od niego zależnych.

– Jak bandażowanie stóp Chinkom z arystokratycznych rodzin?

– Może. Tak, może to było coś takiego. To zabiło Marca. Po prostu się wykrwawił. On... Próbowałem mu wytłumaczyć, jak uciskać rany, żeby powstrzymać krwawienie. Ale on nie przestawał krwawić.

Spojrzał na swoje dłonie, a potem nagle odwrócił wzrok, mrugając szybko powiekami.

– Ciebie też zraniono, Emilio.

– Tak, mnie też zraniono. Patrzyłem, jak umiera.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies i natychmiast odpowiedział mu drugi. Usłyszeli głos kobiety uciszającej psy, a potem mężczyzny uciszającego kobietę. Sandoz odwrócił się, kładąc nogi na ławce i wspierając czoło o uniesione kolana. Och, nie, pomyślał John. Tylko nie to.

– Emilio, nic ci nie jest?

– Nie. – Sandoz podniósł głowę. – To tylko zwykły ból głowy. Myślę, że gdybym tylko mógł zasnąć nieprzerwanym snem...

– Znowu masz złe sny?

– *Piekło* Dantego, ale bez żadnych dowcipów.

Była to próba okazania dobrego humoru, ale żaden z nich się nie roześmiał. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

– Emilio – zagadnął w końcu John – mówiłeś nam, że Marc zaczął jeść miejscowe potrawy, podczas gdy ty i Anne Edwards sprawowaliście nad nim kontrolę, tak?

– Niech to szlag, John. Daj mi odpocząć. – Wstał, zamierzając odejść. – Pójdę na plażę, dobrze?

– Nie. Poczekaj! Wybacz mi, ale to może być bardzo ważne.

– Czy było coś takiego, czego nie jadł Marc, a wy jedliście? – Sandoz utkwiał w nim wzrok, twarz miał nieodgadniona. – A jeśli Marc Robichaux miał szkorbut? Może dlatego umarł. Może jadł coś dłużej od was albo wy mieliście więcej witaminy C, z czegoś, czego on nie jadł. Może dlatego nie przestawał krwawić?

– To możliwe – odpowiedział w końcu Sandoz. Znowu się odwrócił i zrobił kilka kroków, wychodząc na słońce, ale nagle zatrzymał się gwałtownie z mimowolnym okrzykiem, a potem zamarł jak posąg.

John zerwał się, obszedł stół i podbiegł do niego, osłepiony słońcem.

– Co się stało? Co ci jest?

Sandoz stał zgięty w pół, oddychał ciężko. Atak serca, pomyślał John, teraz już poważnie przestraszony. Albo jedno z tych spontanicznych pęknięć kości, przed którymi ich ostrzegano. Żebro albo krąg po prostu roztrzaskuje się bez żadnego ostrzeżenia.

– Mów, Emilio. Coś cię boli? Co ci jest?

Kiedy Sandoz przemówił, zrobił to z precyzją i jasnością profesora lingwistyki, wyjaśniającego coś studentowi.

– Słowo *hasta'akala* jest wyrazem złożonym, prawdopodobnie ma w sobie rdzeń *sta'aka*. Przyrostek *ala* wskazuje na podobieństwo albo paralelę. Albo na przybliżenie. Przedrostek *ha* nadaje rdzeniowi aspekt aktywny, czasownikowy. *Sta'aka* to rodzaj bluszczu. – Emilio powiedział to spokojnie, z pewnością w głosie, oczy miał szeroko otwarte i wpatrzone w dal. – To piękna roślina. Pięła się po większych, mocniejszych roślinach jak nasz bluszcz i miała tendencję do opadania z wysoka, jak gałęzie naszej wierzby. – Podniósł ręce, a palce same opadły w dół, jak gałązki wierzby płaczącej, jak bluszcz *sta'aka*. – To był jakiś symbol. Tak wynikało z kontekstu. Myślę, że Supaari chciał mi to wyjaśnić, ale to było zanadto abstrakcyjne. Ufałem mu, więc wyraziłem zgodę. O mój Boże...

John obserwował, jak z trudem dociera do zupełnie nowego zrozumienia czegoś, co tak długo było zagadką. Był to bolesny poród.

– Zgodziłem się też na Marca. A on umarł. Oskarżałem Supaarię, a to była moja wina. – Pobladły i rozdygotany, wpatrywał się w Johna, oczekując potwierdzenia. John rozsądnie unikał uznania logiki jego wyводу, nie chcąc godzić się na nic, co powiększyłoby ciężar winy, jaki Emilio już dźwigał. Ale Emilio naciskał. – Przecież to oczywiste, nie widzisz? *Hasta'akala*: upodobnić kogoś do *sta'aka*. Uczynić go widzialnie i fizycznie zależnym od kogoś silniejszego. Zaproponował nam *hasta'akala*. Wziął mnie do ogrodu i pokazał mi ten bluszcz, a ja sobie tego nie skojarzyłem. Myślałem, że proponuje mnie i Marcowi ochronę i gościnę. Myślałem, że mogę mu zaufać. Poprosił mnie o zgodę, a ja ją wyraziłem. I podziękowałem mu.

– To było typowe nieporozumienie. Emilio, przecież nie mogłeś wiedzieć...

– Mogłem! Wtedy wiedziałem to samo, co teraz. Po prostu nie pomyślałem! – John zaczął protestować, ale Sandoz nie chciał go słuchać. – A Marc umarł. Jezu, John. Och, Jezu...

– Emilio, przecież to nie twoja wina. Nawet gdybyś zrozumiał to wyrażenie, skąd miałbyś wiedzieć, co ci zrobią z rękami? – powiedział John, ściskając go za ramiona, aby zapobiec upadkowi, a potem osunął się powoli na kolana razem z nim. – Robichaux na pewno i tak już był chory. To nie ty pociąłeś mu ręce, Emilio. To nie przez ciebie wykrwawił się na śmierć.

– Jestem za to odpowiedzialny.

– Jest różnica między poczuciem odpowiedzialności a poczuciem winy.

Była to subtelna różnica, a już na pewno nie mogła być wielkim pocieszeniem dla tego człowieka, który kulił się przed nim, z twarzą zwiędłą od bezsenności, powleczoneą świeżą rozpaczą. Ale to było wszystko, co mógł dla niego zrobić.

Kilka dni później, po pierwszej w nocy, do Vincenza Giulianiego dotarły pierwsze oznaki koszmaru. Zdrzemnął się, czytając, w pokoju sąsiadującym z sypialnią Sandoza, uprzednio zwolniwszy Behra na tę noc.

– Starzy ludzie nie potrzebują tyle snu – powiedział mu. – Nie pomożesz mi, jeśli sam będziesz tak wycieńczony jak on.

Przy łóżku Emilia zainstalowany był nie rzucający się w oczy mikrofon, dzięki czemu ojciec generał mógł w swoim pokoju słyszeć wszystko, co działo się w sypialni Sandoza. Jak świeżo upieczony rodzic, czuły na najmniejsze zakłócenie snu niemowlęcia, Giuliani rozbudził się w pełni, gdy oddech Sandoza stał się nieregularny i chrapliwy. „Niech go ojciec nie budzi”, pouczył go Behr przed odejściem, z oczami podkrążonymi z niewyspania, bo koszmarne sny dręczyły Sandoza trzy albo cztery razy w tygodniu. „To nie zawsze jest ten sam sen, a czasami jakoś przez to przechodzi bez niczyjej pomocy. Trzeba tylko mieć pod ręką basen”.

Giuliani wyszedł na korytarz, naciągając szlafrok. Nasłuchiwał chwilę, zanim wszedł do pokoju Sandoza. Była pełnia księżyca i po chwili oswoił się z jasnością. Emilio uspokoił się i Giuliani, odetchnąwszy z ulgą, już miał odwrócić się, aby wyjść, kiedy nagle Sandoz usiadł, łapczywie chwytając powietrze, i usiłował wyjść z łóżka, ale bezwładne, nie unerwione palce zaplątały się w pościel. Zdawał się nie zauważać, że ktoś jest w pokoju. Giuliani podszedł do łóżka, pomógł mu wypłatać się z prześcieradeł i potrzywał mu basen, dopóki mdłości nie ustąpiły.

Brat Edward nie uprzedził go o gwałtowności wymiotów. Vincenzo Giuliani był żeglarzem i w swoim życiu widział wiele przypadków morskiej choroby, ale takiej reakcji żołądka na jakiś straszny sen jeszcze nie widział. Kiedy Emilio przestał wymiotować, Giuliani wyniósł basen, opróżnił, a wracając, zabrał plastikowy kubek z wodą. Sandoz wziął naczynie, ściskając je niezdarnie dłońmi, i podniósł do ust. Kilka razy wypłukał usta, wypluwając wodę do basenu, a potem Giuliani zabrał mu kubek. Wyszedł ponownie i przyniósł mokry ręcznik, aby obetrzeć choremu spoconą twarz.

– Ach... Weronika – powiedział Sandoz ironicznie. Kiedy Giuliani wrócił po raz trzeci, podszedł do krzesła w rogu pokoju i usiadł, aby zobaczyć, co jeszcze może się wydarzyć. Przez chwilę Sandoz po prostu wpatrywał się w niego poprzez długie, wilgotne włosy, niemy i drżący, skulony na krawędzi łóżka.

– A więc przyszedłeś tu jako turysta, tak? – zapytał w końcu. – Żeby zobaczyć, jak ta kurwa śpi. No i widzisz: kurwa śpi nienajlepiej.

– Proszę, Emilio, nie mów w ten sposób...

– Nie odpowiadają ci te słowa? Mnie też to przeszkadzało, na początku. Ale przemyślałem to sobie. Przecież kurwa to ktoś, komu inni niszczą ciało dla swojej przyjemności, prawda? Jestem wyniszczoną kurwą Boga. – Zamilkł, objawy fizycznej słabości zaczęły mijać. – Jak mnie nazywaliście, skurczybyki?

– Pierwszym ulubieńcem Boga – odpowiedział cicho Giuliani, zawstydzony o sześćdziesiąt lat za późno.

– Tak. Ciekaw byłem, czy to pamiętasz. Ulubieniec Boga! A może lepiej: faworyt Boga? Albo: kochaś Boga? – Roześmiał się szyderczo. – Jak się tak dobrze zastanowić, to moje życie wykazuje pewną zadziwiającą symetrię.

Giuliani zamrugął oczami. Sandoz dostrzegł tę reakcję i uśmiechnął się mściwie. Odwrócił się i dłońmi podniósł sobie poduszkę, żeby oprzeć się o nią plecami. Kiedy znów się odezwał, głos miał spokojny, chłodny i melodyjny.

– Księżyc zaszedł. I Plejady. Jest środek nocy. Nie czujesz się nieswojo, w sypialni kogoś o tak wątpliwej reputacji?

Nonszalanckim, nieco teatralnym gestem podniósł chude, poranione ramiona, złożył je na oparciu łóżka i uniósł jedno kolano.

Gdyby nie był przykryty prześcieradłem, ta poza mogłaby uchodzić za lubieżną, pomyślał Giuliani, a jednocześnie mogła być rozmyślnym, prowokacyjnym naśladowaniem postaci na krucyfiksie, wiszącym tuż nad jego głową. Giuliani już raz doznał wstrząsu na widok takiego dwuznacznego szyderstwa, więc teraz starał się nie dać wyprowadzić z równowagi. Nie można mu pozwolić, pomyślał, by odczuł satysfakcję z takich gier, by miał możliwość okazać pogardę w tak groteskowy sposób.

– Nie czujesz się nieswojo – ciągnął Sandoz z powagą – zamierzając sam, bez niczyjej pomocy, podjąć decyzję, która wywoła skandal?

Celny, precyzyjny strzał. Giuliani usłyszał własny głos, ujrzał lustrzane odbicie własnego świątobliwego zadufania i poczuł przemożną chęć odwrócenia głowy.

– Emilio, co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał.

– Czy ma się sny, kiedy jest się w śpiączce? Często się zastanawiam, czy nie przydałaby mi się dobrze wymierzona kulka w łeb.

Giuliani poczuł mimowolną złość. Ten człowiek niczego nie ułatwiał.

– Jeśli na to cię nie stać – rozległ się nieubłagany głos Sandoza – mógłbyś mi dostarczyć dość alkoholu, żebym się co noc upijał, aż do utraty świadomości. I tak bez przerwy boli mnie głowa. Nawet nie będę wiedział, że mam kaca.

Giuliani wstał i podszedł do drzwi.

– Nie odchodź – powiedział Emilio.

To mogło być wyzwanie. Albo błaganie.

Giuliani zawahał się, a potem wrócił i usiadł w kącie. To była ciężka noc, ale starzy ludzie nie potrzebują wiele snu.

miesiąc drugi, kontakt

Było ich teraz siedmioro. Śmierć Alana Pace'a otrzeźwiła ich i wyciszyła; tuż po pogrzebie zebrali się więc razem, by omówić przygotowania do opuszczenia Edenu, w którym przebywali od prawie miesiąca.

D.W. Yarbrough, wciąż mając w uszach ostatnie tony jezuickiego hymnu *Zabierz go i przyjmij do siebie*, drobiazgowo rozważył wszystkie za i przeciw ewentualnego powrotu na *Stellę Maris*, przed wyruszeniem na poszukiwanie Śpiewaków. Prom miał ograniczony zapas paliwa. Biorąc pod uwagę ilość, jaką zużyli podczas pierwszego lądowania, ocenił, że w pojemnikach promu znajduje się od stu trzech do stu pięciu procent ilości paliwa niezbędnej do wykonania lotu na macierzysty statek i z powrotem, co go uspokoiło. Na asteroidzie mieli dość paliwa, by pozwolić sobie na pięć takich lotów. Może nawet na sześć, ale lepiej mieć rezerwę. A więc pięć lotów tam i z powrotem. Trzeba zachować paliwo na ostatni lot, więc mają do dyspozycji cztery loty w ciągu czterech lat na przewóz zaopatrzenia z asteroidu na planetę, z dość skąpym marginesem bezpieczeństwa.

Na razie nie mieli najmniejszego pojęcia, co mogłoby się nadawać do ewentualnej wymiany, za to wszyscy byli zgodni co do tego, że nie ma się co martwić o zapasy żywności. Coraz szerzej korzystali z miejscowych surowców jadalnych i wody, więc zużyli o wiele mniej zapasów, niż obliczali na początku. Tylko Anne i Emilio żywili się wyłącznie tym, co sprowadzili z Ziemi, a żadne z nich nie należało do obżartuchów. Mieli też o jedną osobę mniej do nakarmienia. Pozostało im żywności przynajmniej na tydzień. D.W. uznał jednak, że będzie się czuł pewniej, jeśli od razu sprowadzą zapasy wystarczające na dwanaście miesięcy. Polecił więc wszystkim sporządzić listę rzeczy, których nie zabrali za pierwszym razem.

Na jego własnej liście znalazł się karabin, o którym nie zamierzał mówić reszcie, bo nie miał ochoty na jeszcze jedną męczącą dyskusję. I spory zapas liny. Długo gryzł się sam z sobą, ale w końcu uznał, że trzeba zabrać więcej kawy. Klimat na planecie okazał się dość łaskawy, choć te grzmoty bywały naprawdę nieprzyjemne, a kiedy świeciły trzy słońca naraz, robiło się wściekle gorąco. Musieli nosić lżejsze stroje i częściej używać środków przeciwsłonecznych.

Najbardziej jednak chciał tu mieć Super-Lekkiego. Jak wszystkie urządzenia, które ze sobą zabrali, był napędzany energią słoneczną – maleńki samolocik ze skrzydłami pokrytymi fotoemulsją polimerową, zaopatrzony w silnik elektryczny o mocy piętnastu koni: cudowna maszynka, dająca się łatwo prowadzić. Nie zmieściła się za pierwszym razem, ale teraz mieli o jednego pasażera mniej. Bardzo się przyda do dokonywania zwiadów. Sporządzone przez Marca mapy były bardzo dobre, ale D.W. wołał na własne oczy zobaczyć, co ich czeka, zanim ruszą w głąb lądu.

Ścisnął swoje notatki pod pachą i poszedł polaną do Anne Edwards. Pracowała nad własną listą, siedząc oparta plecami o pień „drzewa” i trzymając na kolanach laptop, połączony elektronicznie z biblioteką na *Stelli Maris*.

– To mogło być zapalenie wsierdzia – powiedziała spokojnie, kiedy się zbliżył. – Bakteryjna infekcja zastawek serca. Pojawiła się jej nowa postać, o której słyszałam tuż przed startem. Może bardzo szybko zabić zdrową osobę, a cholernie trudno ją wykryć podczas sekcji, nawet na Ziemi.

Chrząknął i przykucnął obok niej.

– A gdzie mógł złapać te bakterie?

– Zabierz to cholerstwo ode mnie, D.W. – odpowiedziała, machając ręką przed nosem, aby odpędzić rój podobnych do komarów owadów, które nazywali gnojkami. – Mógł je mieć przez cały czas, aż wreszcie coś osłabiło jego system immunologiczny i zaczęły się panoszyć w jego organizmie. Na przykład promieniowanie ultrafioletowe, a mamy go tu sporo.

– Ale nie masz pewności, że to właśnie to, co tak zgrabnie nazwałaś?

– Podniósł jakiś patyk i bawił się nim, gnąc powoli, aż zrobił z niego pętlę.

– Nie. To po prostu najlepsze wyjaśnienie, jakie udało mi się do tej pory znaleźć. – Zamknęła notes. – Aż trudno uwierzyć, że umarł dopiero wczoraj. Przykro mi z powodu ostatniej nocy.

– Mnie też – odpowiedział, łypiąc ku niej jednym okiem, a potem zwracając je ku puszczy. Odrzucił patyk. – To nie był najlepszy pomysł, żeby się wydzierać na kobietę, która miała za sobą naprawdę ciężki dzień.

– Zgoda? – Wyciągnęła do niego rękę.

– Zgoda – powiedział, ściskając jej dłoń i przytrzymując ją nieco dłużej. Potem puścił ją i wstał, pojękując z powodu protestu swoich kolan. – Ale możesz nie chcieć się ze mną przyjaźnić, jak ci powiem, co postanowiłem. – Anne popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, – Zamierzam wrócić na *Stellę Maris* i chcę zabrać George’a jako drugiego pilota.

– A niech to – mruknęła. Zielono-niebieskie stworzenie, nazwane przez nich szybkim Edkiem, wyrwało się spod jej stóp i schowało w pobliskiej kupie liści, a z puszczy dochodziło wycie dominikanów.

– Wyobrażam sobie, jaki będzie zachwycony – dodała po chwili ze smutkiem. – Och, stary, ty to masz pomysły!

– Nie pytam o zgodę, panienko Edwards – odrzekł, ale głos miał bardzo łagodny. Uśmiechnął się nieszczerze. – Pomyślałem sobie po prostu, że lepiej ci to teraz powiem, żebyś mogła mnie skłąć na osobności.

– Uważaj się za skłętego – powiedziała, ale roześmiała się, kiedy otrząsnął się komicznie. – No dobra. Nie po raz pierwszy będę chodziła tam i z powrotem, czekając, aż George wyleci w powietrze albo coś rozerwie go na strzępy. Albo pośliznie się na chodniku. Albo go coś rozjedzie jak pluskwę. No, wiesz, te wszystkie męskie zabawy! – Potrząsnęła głową, przypominając sobie górskie spływy, wspinaczki i wyprawy rowerowe.

– Słyszałaś taki stary dowcip o facecie, który skoczył z Empire State Building?

– Taak. Przez cały czas, gdy leciał, krzyczał: „Na razie wspaniale! Na razie wspaniale! Na razie wspaniale!” To całe życie George’a w pigułce.

– Nic mu nie będzie, Anne. To dobra maszyna, a on ma do tego talent. Przed odlotem zrobimy mu symulację. – D.W. poskrobał się po policzku i uśmiechnął do niej z góry. – Jeśli chodzi o mnie, to nie zamierzam się rozbić i spalić. Wcale nie chcę zostać jakimś cholernym męczennikiem. Będziemy ostrożni.

– Mów za siebie, D.W. Nie znasz George’a Edwardsa tak jak ja – ostrzegła go Anne.

Lot przebiegł bez żadnych komplikacji i George wykonał pokazowe lądowanie, czego zresztą Anne nie widziała, bo ze strachu schowała się za plecami Emilia i Jimmy’ego i zasłoniła sobie oczy rękami. Kiedy w końcu wychynęła spoza nich i spojrzała przez palce, George już wydostał się z promu i biegł ku niej, wrzeszcząc i jodłując, a kiedy dobiegł, porwał ją w ramiona i okręcił w powietrzu, raz po raz powtarzając, jakie to było fantastyczne przeżycie.

Sofia uśmiechnęła się do niego i poszła pomóc D.W. w kontroli promu po locie.

– Wyglądasz trochę bladą – zauważyła spokojnie, krocząc wzdłuż skrzydła.

– Zrobił to nieźle – mruknął D.W. – jak na cholernego kretyna, który ma więcej oleju we flakach niż w głowie.

– Zdaje mi się, że było to przeżycie bardziej ekscytujące, niż się spodziewałeś – odważyła się powiedzieć rzeczowym tonem, ale w oczach miała uśmiech.

D.W. odchrząknął i dał nurka pod kadłub samolotu, gdzie zajął się oględzinami urządzenia, dopóki serce nie zaczęło mu bić normalnie.

Nadeszła Anne, wciąż rozdygotana, i pogratulowała Sofii efektywności jej programu symulacyjnego.

– Kusi mnie, żeby powiedzieć „dzięki Bogu!” – dodała, obejmując Sofię. – Ale dziękuję tobie, Sofio.

Sofia była jej wyraźnie wdzięczna za te słowa.

– Muszę wyznać, że mnie też ulżyło, kiedy wylądowali obaj, cali i zdrowi.

– Dobrze też mieć znowu prom, *mes amis* – zauważył rzeczowo Marc, kiedy on i Jimmy trudzili się nad wyciągnięciem pojemnika z luku towarowego.

I wszyscy, którzy w milczeniu czekali wokół promu, zgodzili się z tym w duchu. Tylko tym promem mogli wydostać się z tej planety i każdy dobrze o tym wiedział.

George, oczarowany pilotowaniem, chciał teraz zasiąść również za sterami Super-Lekkiego, ale musiał się zadowolić złożeniem miniaturowego samolociku. D.W. już postanowił, że w pierwszym locie będzie mu towarzyszył Marc, który miał za zadanie porównać rzeczywiste ukształtowanie terenu i roślinność z mapami, które sporządził w przestrzeni kosmicznej na podstawie różnorodnych danych.

W czasie gdy George'a i D.W. nie było, reszta załogi przygotowała czterdziestometrowy pas startowy dla Super-Lekkiego. Trzeba było jeszcze wykarczować dwa pniaki, a potem musieli czekać na dzień z mniejszymi opadami, żeby wyróżnić świeżą ziemię, nie zamieniając jej przy tym w bagno. Minął więc prawie tydzień, zanim D.W. i Marc byli gotowi do zwiadowczego lotu wzdłuż doliny rzecznej, która przebiegała się przez pasmo niższych gór na północny wschód od ich polany.

Jak dotąd nic nie wskazywało, by ktokolwiek wiedział o ich wylądowaniu, choć zrobili dwa dość hałaśliwe wypadki poza polanę. Wybrali kierunek, w którym prawdopodobieństwo przelotu nad terenami zamieszkanymi było małe, a nic nie wskazywało, by mieszkańcy planety dysponowali jakimś transportem powietrznym. Jeszcze na *Stelli Maris* George określił zakres częstotliwości fal radiowych wykorzystywanych przez Śpiewaków i zalecił, by załoga używała fal ultrakrótkich i właściwie niewykrywalnego pasma do komunikowania się z systemami na pokładzie statku macierzystego i między sobą, aby uniknąć przedwczesnego kontaktu z tubylcami. Ale i tak D.W. i Marc byli skazani na ciszę w eterze podczas ostatniego etapu lotu zwiadowczego, bo księżyce, które wykorzystywali do odbicia sygnałów, schowały się akurat poza planetę.

Po piętnastu godzinach, z których przez ostatnie pięć kontakt radiowy był przerwany, ciszę przerwał nagły okrzyk Jimmy'ego. Potem wszyscy usłyszeli warkot Super-Lekkiego i zerwali się na nogi, by wypatrzeć sylwetkę samolociku.

– Tam! – zawołała Sofia i wskazała na niebo. Obserwowali, jak D.W. zatacza koło i zgrabnie ląduje na nierównym gruncie. Marc wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, kiedy zeskoczył na ziemię.

– Znaleźliśmy wioskę! Jakieś sześc, może siedem dni marszu stąd, jeśli będziemy się trzymać rzeki. Pod stromym zboczem, ze trzydzieści metrów od rzeki. Mało brakowało, a byśmy ją przegapili. Bardzo interesująca architektura. Trochę przypomina klifowe budowle Indian Pueblo, ale brak jej geometrii.

– Och, Marc! – jęknęła Anne. – Gównno kogoś obchodzi architektura!

– Znaleźliście Śpiewaków? Jak wyglądają? – zapytał George.

– Nie widzieliśmy nikogo – odpowiedział D.W., wyłazł z kabiny i przeciągając się. – A niech to szlag! Wioska wcale nie wygląda na opuszczoną. Nie widzieliśmy jednak żywej duszy.

– To bardzo dziwne – dodał Marc. – Wylądowaliśmy po drugiej stronie rzeki i obserwowaliśmy wioskę przez dłuższy czas, ale nikogo nie zauważyliśmy.

– Więc co robimy? – zapytał Jimmy. – Szukamy innej wioski?

– Nic – powiedział Emilio. – Powinniśmy pójść do tej wioski, którą znaleźli dzisiaj Marc i D.W.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę, a Emilio zdał sobie sprawę, że nikt nie spodziewał się akurat jego opinii na ten temat. Nie mógł się powstrzymać, by nie przygłodzić włosów, ale wyprostował się i przemówił ponownie, a w jego głosie było więcej przekonania niż zwykle.

– Siedzieliśmy tu przez jakiś czas i nikt nas nie niepokoił. Żeby oswoić się z tą planetą, prawda? A teraz mamy okazję, by zbadać tę wioskę, także bez specjalnego rozgłosu. Odnoszę wrażenie, że wszystko odbywa się krok po kroku. Być może dopiero następnym krokiem będzie spotkanie z tymi, których mamy spotkać.

– Czy sądzisz – odezwał się Marc Robichaux, przerywając ciszę i spoglądając na D.W. płonącymi oczami – że ta wioska to coś w rodzaju żółwia na płocie?

D.W. parsknął śmiechem, potarł kark i zagapił się w ziemię, żałując, że kiedykolwiek wspominało żółwiach. Potem popatrzył po nich wzrokiem zawodowego oficera. George i Jimmy byli wyraźnie gotowi pakować plecaki i ruszać w drogę. Pokręcił głową i spojrzał na Anne i Sofię, mając nadzieję, że przynajmniej jedna z nich ma do powiedzenia coś rozsądnego i praktycznego. Ale Anne tylko wzruszyła ramionami, rozkładając ręce, a Sofia zapytała:

– Po co mamy iść, skoro możemy tam polecieć? Paliwa mamy dość. Możemy przetransportować tam ekwipunek i ludzi w kilku rzutach.

D.W., zrezygnowany, podniósł ręce i popatrzył na niebo, a potem zaczął chodzić w kółko, z rękami wspartymi na biodrach, mrucząc pod nosem, że to wszystko zbyt wiele go kosztuje. W końcu zatrzymał się i spojrzał na Emilia, na Emilia, którego znał od trzydziestu lat, Emilia, którego zdumiewających, nieśmiałych, wypowiedanych szeptem spowiedzi wysłuchiwał, przełykając łzy. Przez chwilę opanowało go uczucie, że oto był świadkiem, jak ta dusza zapuszcza korzenie, wzrasta i rozkwita w sposób, którego nigdy by nie przewidział, którego nigdy by się nie spodziewał i którego w ogóle nie rozumiał. To mistyk, pomyślał nagle, zdumiony. Mam do czynienia z portorykańskim mistykiem!

Wszyscy czekali na jego decyzję.

– Słusznie – powiedział w końcu. – Dobra. Pasuje. Dlaczego nie? Jest tam kawałek płaskiego terenu, na którym mogę wylądować, jakies kilka mil na południe od wioski, po tej samej stronie rzeki. Z wioski go nie widać. Przewieziemy tam najcięższe wyposażenie, ja i Mendes, bo ona prawie nic nie waży. Quinn będzie mógł zabrać ze sobą tylko szczoteczkę do zębów.

Rozległy się wiwaty, uniosły ręce, wszyscy poczuli ochotę na wytarzanie się w trawie i zaczęli mówić jednocześnie. Pośród tej wrzawy Emilio Sandoz stał nieruchomo, jakby się w nią wsłuchiwał, ale w rzeczywistości nie docierały do niego żadne dyskusje o planach i procedurach. Kiedy się ocknął, ujrzał w pobliżu Sofię Mendes, przyglądającą mu się badawczo. Ich spojrzenia spotkały się, ale nie poczuł zażenowania. A potem ta chwila przeminęła.

D.W. przewiózł ich pojedynczo ponad puszcza, lecąc wzdłuż rzeki i lądując na osłoniętej górami łące, w miejscu, które uprzednio wypatrzył. Zabrali ze sobą ekwipunek obozowy i środki łączności, a także dwumiesięczne zapasy żywności, pozostawiając resztę zapasów w promie, który D.W. zamknął i zamaskował. Ostatnią rzeczą, na jaką każdy spojrzał, kiedy wzbijali się w niebo, był grób Alana Pace'a. Nikt nie przyznał się do pozostawienia na nim świeżych kwiatów, zresztą nikt tego nie komentował.

Na wschód od gór wszystko wydawało im się nieco skarłałe i mniej barwne w porównaniu z rajem pośród puszczy. Błękity, zielenie i fiolety były jakby przygaszone i przykurzone, zwierzęta mniej liczne i bardziej płochy. Również tam rosły rozłożyste rośliny przypominające drzewa, ale miały o wiele więcej łydyg, a zamiast znanych im już wdzięcznych baldachimów liści pokryte były płataniną gałęzi. Wieczorem, między drugim i trzecim zachodem słońca, George znalazł miejsce wśród skał nadające się do ukrycia rozłożonego na części Super-Lekkiego, podczas gdy reszta zajęta była zabezpieczaniem nowego składu żywności. Raz po raz wyskakiwały im spod stóp małe, szaroniebieskie stworzonka, prawie niewidoczne dopóki się ich nie przestraszyło, które Anne nazwała zakrzepicami, bo ich niespodziewane wysoki przyprawiły o gwałtowne bicie serca.

Mieli wrażenie, że ich głosy są donośne, choć rozmawiali cicho. Bez żadnej dyskusji na ten temat rozbili namioty blisko siebie. Po raz pierwszy od wylądowania na tej planecie poczuli się obco i nieswojo, a kiedy wczołgali się do śpiworów, żeby trochę odpocząć, towarzyszył im lekki chłód lęku.

Następnego ranka Marc poprowadził ich ostrożnie w dół rzeki, do osłoniętego miejsca, z którego można było zobaczyć wioskę, choć z początku mieli problemy z jej odnalezieniem. Zakrawało na cud, że w ogóle dostrzegł ją z przelatującego nad nią samolotu. Kamienne konstrukcje i tarasy wtapiały się idealnie w poślóbobione przez rzekę skaliste zbocze. Linie dachów załamywały się raptownie, naśladowując rzeźbę skał nie tylko wysokością, ale i barwą. Drzwi i okna miały najróżniejsze kształty, w zależności od najbliższych naturalnych zagłębień i otworów, powstałych po wykruszeniu się skał i potoczeniu wielkich odłamków do rzeki.

Nawet z tej odległości widać było wiele pomieszczeń otwierających się na zawieszono nad rzeką tarasy. Dostrzegli też ogromne trzcinowe parasole, ledwie widoczne wśród winorośli i listowia, wzniesione wyraźnie w celu ochrony przed słońcami. Te dość wiotkie konstrukcje potwierdzały wrażenie, jakie odniósł D.W., że wioskę zbudowano niedawno, bo nie ostałyby się wobec licznych burz.

Nadal nie było widać ani śladu mieszkańców, a ich opustoszałe domostwa sprawiały bardzo dziwne wrażenie.

– Zaraza? – zapytał cicho Jimmy.

– Nie, nie sądzę – odpowiedziała Anne. – Byłyby martwe ciała albo żałobnicy, albo jakieś inne oznaki. Może toczy się jakaś wojna i wszyscy opuścili wioskę?

Obserwowali wioskę przez chwilę, próbując ocenić liczbę jej mieszkańców i szeptem dzieląc się ze sobą hipotezami na temat ich zniknięcia.

– No dobra, przyjrzyjmy się temu bliżej – zdecydował w końcu D.W.

Zostawił na posterunku George’a i Jimmy’ego, wyposażonych w radiostacje, w miejscu, z którego widać było rzekę i opadającą ze wzgórz równinę. Reszta, z Markiem na czele, wspięła się na skalne zbocze i zaczęła ostrożne badanie budowli, do których mogli się dostać przez wejścia od strony tarasów.

– Czuję się jak Goldilock – szepnęła Anne.

Zagłądali do pomieszczeń, wchodzili w wąskie korytarze, snuli się lekliwie po wykutych w skale ścieżkach.

– Miałem nadzieję, że znajdziemy jakieś wytwory sztuki, które pokazywałyby, jak oni wyglądają – powiedział Marc.

Ściany domostw były nagie, kamiennych powierzchni nie pokrywały ani płaskorzeźby, ani malowidła. Nie było żadnych posągów. Ani śladu sztuki, która by cokolwiek przedstawiała. Mebli było niewiele, ale co krok znajdowali wytwory rzemiosła. W niektórych pomieszczeniach pełno było wielkich poduszek pokrytych misternie tkanymi, jaskrawokolorowymi materiałami, w innych pokojach stały niskie platformy z ziarnistego tworzywa przypominającego drewno, które mogły być stołami. Albo ławami. Poziom stolarki był imponujący.

Wiele wskazywało, że mieszkańcy nie opuścili swoich domostw w pośpiechu. Niektóre pomieszczenia i całe grupy komnat najwidoczniej służyły do przygotowywania posiłków, ale nie pozostawiono żadnej żywności na wierzchu. Znaleźli sporo zamkniętych pojemników, ale ich nie otwierali, nie chcąc majstrować przy zamkach. Na wykutych w skale półkach piętrzyły się garnki, misy, talerze i ceramiczne pojemniki najróżniejszych kształtów, a z krokwi zwisały sztucce.

– No, w każdym razie mają ręce – zauważyła Anne, przyglądając się rękojeściom noży. – Trudno mi sobie wyobrazić, jak to się trzyma, ale jakieś palce są do tego potrzebne.

– Wzrostem raczej bliżsi są Jimmy’emu niż mnie – dodała Sofia. Większość przedmiotów rozmieszczona była tak wysoko, że nie mogła ich dosięgnąć. Dziwiło ją, że wszystko jest tu albo bardzo niskie, albo bardzo wysokie.

Przechodząc po raz pierwszy przez labirynt pomieszczeń, nie zauważyli w nich jakiejś wspólnej zasady architektonicznej. Pomieszczenia różniły się rozmiarami i kształtem, do ich budowy często wykorzystywano naturalne pieczary i nisze, tylko nieznacznie je powiększając. W jednej obszernej komnacie znaleźli kolekcję ogromnych koszów. W innej, nieco mniejszej – piękne szklane naczynia z zatyczkami, wypełnione jakimiś płynami. Skradali się ostrożnie dalej, w milczeniu, w każdej chwili spodziewając się spotkania twarzą w twarz z istotami, których wyglądu nie byli w stanie sobie wyobrazić. Już mieli opuścić labirynt pomieszczeń, kiedy z maleńkiego głośnika radiostacji rozległ się w ciszy głos George’a.

– D.W.?

Anne wzdrygnęła się, zabrzmiały nerwowe śmiechy, które D.W. uciszył piorunującym spojrzeniem.

– We własnej osobie.

– Zgadnij, kto przychodzi na obiad.

– Jak daleko? I ilu ich jest?

– Właśnie widzę pierwszych, okrążają wzgórze jakieś pięć mil na północny wschód ode mnie. – Głos zamilkł na chwilę.

– Uau! Cała gromada. Idą. Wielcy i mali. To mi wygląda na rodziny. Coś niosą. Chyba kosze. – Znowu chwila ciszy. – Co robimy? D.W. szybko ocenił sytuację i już miał coś odpowiedzieć, kiedy zobaczył, jak Emilio opuszcza wioskę, przemierzając najbliższy taras i – co już było zupełnie niezrozumiałe – zatrzymując się co chwila, by narwać małych kwiatków z pnących się po skałach bluszczy. D.W. przez chwilę wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, a potem spojrzał na Anne i Marca. Dopiero wtedy przemówił do mikrofonu:

– Wracamy. Jak nas zobaczycie, szybko przychodźcie.

Dogonili Emilia na skraju płaskowyżu ponad wąwozem rzeki, tam też spotkali Jimmy'ego i George'a. Teraz sami ujrzeli wielką grupę, liczącą kilkaset osobników, zmierzającą ku nim słabo odróżniającą się od podłoża ścieżką. Emilio, jakby ulegając jakiemuś wewnętrznemu głosowi, szedł już im na spotkanie pewnym krokiem, nie spiesząc się, ale i nie zatrzymując.

– Nie przypominam sobie, żebym wydał jakiś rozkaz – powiedział cicho D.W., nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby. Odpowiedział mu Marc:

– Ach, *mon ami*, coś mi się widzi, że jesteśmy na płocie, i to nie z własnej woli. *Deus qui incepit, ipse perficiet.*

Bóg, który to sprawił, doprowadzi to do doskonałości, pomyślała Anne i poczuła zimny dreszcz.

Ruszyli za Sandozem, patrząc, jak pochyła się, by podnieść małe, kolorowe kamyki, liście, wszystko, co mu wpadło pod rękę. Jakby zdając sobie sprawę, że to, co robi, może wydać im się bezsensowne, odwrócił się ku nim z promiennym uśmiechem na twarzy. Zanim jednak ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, znowu się odwrócił i szedł dalej, póki nie pokonał połowy odległości dzielącej ich od mieszkańców wioski. Wówczas zatrzymał się, oddychając nieco szybciej, rozgrzany marszem, ale i wyraźnie przejęty powagą chwili. Zbliżyli się do niego i również stanęli kilka kroków za nim. Wiatr rozwiewał mu czarne i srebrne włosy.

Teraz słyszeli już ich głosy, wysokie i melodyjne, przynoszone kapryśnymi podmuchami wiatru. Z początku nie dostrzegli jakiegoś rozpoznawalnego szyku zmierzającej ku nim grupy, dopiero po jakimś czasie D.W. zwrócił uwagę na fakt, że mniejsze istoty zgrupowano bliżej środka, a na przedzie i po bokach kroczą wielcy, potężnie zbudowani osobnicy, chyba nie uzbrojeni, ale czujni i wyraźnie w nich wpatrzeni.

– Żadnych szybkich i niespodziewanych ruchów – powiedział spokojnie D.W., podnosząc głos na tyle, by usłyszeli go wszyscy, włączając Emilia, który stał nadal nieruchomo: smukła postać w czerni, o płaskich plecach. – Nie stójcie blisko siebie, żeby widzieli każdego. I nie chowajcie rąk.

Obie grupy nie przejawiały oznak przerażenia. Mieszkańcy wioski zatrzymali się w odległości kilkuset kroków i złożyli na ziemię swoje wielkie kosze, wypełnione czymś, co musiało być dość lekkie, sądząc po łatwości, z jaką manipulowały koszami nawet najmniejsze istoty. Nie byli ubrani, tylko na nogach, rękach i szyjach mieli pozawiązywane jaskrawe wstążki, które łopotały na wietrze. Wiatr powiał mocniej i D.W. poczuł jakiś cudowny zapach, może kwiatowy, pomyślał, napływający od tłumu. Przyjrzał się uważniej otwartym koszom i doszedł do wniosku, że wypełnione są białymi kwiatami.

Przez jakiś czas obie grupy po prostu stały naprzeciw siebie, przypatrując się sobie spokojnie. W tłumie mieszkańców wioski stopniowo cichły piski młodzieży, pomrukiwania i uwagi dorosłych. D.W. zauważył, że nie wszyscy brali udział w początkowej ożywionej wymianie zdań. Osobnicy znajdujący się na przedzie i po bokach milczeli, przez cały czas czujnie się w nich wpatrując.

Kiedy D.W. studiował strukturę grupy, Anne oceniała ich anatomię. Oba gatunki, ludzki i miejscowy, nie różniły się od siebie w jakiś groteskowy sposób. Mieszkańcy planety byli dwunożni, mieli też po parze rąk zdolnych do chwytania. Twarze nie wydały się Anne wstrętne ani szokujące, przeciwnie, uznała je za piękne, ale Anne zawsze dostrzegała piękno we wszystkich gatunkach, również na Ziemi. Duże, ruchliwe uszy, sterzące wysoko po obu stronach głowy. Wielkie oczy o gęstych rzęsach, spokojne jak oczy wielbłądów. Potężne nosy o rozdętych nozdrzach, zakrzywiające się łagodnie ku dość wydatnym szczękom. Szerokie, pozbawione warg usta.

Było też, oczywiście, wiele różnic. Przede wszystkim ludzie nie mieli ogonów, co było anomalią również na Ziemi; Anne nigdy nie zdołała znaleźć rozsądnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego małpy i świnki morskie nie mają ogonów. Inną osobliwością gatunku ludzkiego – zarówno tu, jak i na Ziemi – była stosunkowa skąpość owłosienia. Muskularne ciała mieszkańców wioski pokrywało gładkie, gęste futro, lśniące jak u kotów syjamskich, szare, z uroczymi ciemnobrązowymi obwódkami wokół oczu, jak makijaż Kleopatry, i z nieco ciemniejszą pręgą biegnącą wzdłuż kręgosłupa.

– Są tacy piękni – szepnęła Anne, zastanawiając się, czy tak piękne stworzenia uważają ich, ludzi, za istoty odrażające: płaskie, brzydkie twarze, z tymi śmiesznymi kępkami białych, rudych, brązowych i czarnych włosów, jedni wysocy, inni niscy, jedni brodaci, inni o gładkich twarzach, w dodatku różniący się wyraźnymi cechami płciowymi. Jesteśmy po prostu dziwacznicy, pomyślała, dziwacznicy w pełnym znaczeniu tego słowa...

Ze środka tłumu wystąpił jakiś osobnik średniego wzrostu, nieokreślonej płci. Anne patrzyła, wstrzymując oddech, jak oddzielił się od reszty, zmierzając ku nim spokojnym krokiem. Marc musiał również dokonywać obserwacji antropologicznych, bo zawołał przyciszonym głosem:

– Te oczy, Anne!

Rzeczywiście, były niesamowite: każde miało po dwie tęczówki, ustawione wobec siebie horyzontalnie, jak ósemki, wokół pary źrenic o zmiennej wielkości, niby dziwaczne oko mątwy. Ale najbardziej niesamowita była ich barwa: ciemnoniebieska, prawie fioletowa, prześwietlona jak w witrażach z Chartres.

Emilio wciąż stał nieruchomo, milcząc, oddając inicjatywę istocie, która przed nim stanęła. I w końcu przemówiła.

Był to melodyjny, gwałtownie wznoszący się i opadający język, pełen samogłosek i miękkich, brzęczących spółgłosek, płynny, bez śladów owego *staccato* gardłowych zakończeń i rytmicznych akcentowań, które znali z pieśni Śpiewaków. Anne uznała, że ten język jest o wiele piękniejszy, ale poczuła zawód. Różnił się tak od języka Śpiewaków, jak włoski od chińskiego. Tyle pracy na nic, pomyślała. George, którego Emilio nauczył rozpoznawać język Śpiewaków, musiał chyba pomyśleć to samo, bo nachylił się do niej i szepnął:

– Cholera. W *Star Trek* wszyscy mówili po angielsku!

Szturchnęła go łokciem w bok, ale nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Chwyliła go za rękę, wzmacniając uścisk, kiedy osobnik przestał mówić i czekał na odpowiedź Emilia.

– Nie rozumiem – powiedział Emilio Sandoz łagodnym, czystym głosem – ale mogę się nauczyć, jeśli mi pomożesz.

To, co potem się wydarzyło, było zagadką dla wszystkich członków jezuickiej misji prócz Sandoza. Osobnik zaczął wywoływać z tłumu po kolei swoich towarzyszy, w tym dzieci. Każdy przemawiał krótko do Emilia, który spokojnie patrzył mówiącemu w oczy i odpowiadał za każdym razem: „Nie rozumiem”. Był prawie pewny, że każdy przemawia do niego w innym języku lub dialekcie, a jednym z nich był rzeczywiście język Śpiewaków. Uznał więc ich za tłumaczy, przy pomocy których ów przywódca próbował znaleźć wspólny język. Kiedy wszystkie próby zawiodły, dorosły osobnik wrócił do tłumu. Po dłuższych naradach wybrano jakieś dziecko, o wiele mniejsze od tych, które do tej pory przemawiały, i zachęcono je, by samotnie zbliżyło się do Sandoza.

Była to drobna, cherlawa istota, nie sprawiająca obiecującego wrażenia. Widząc, jak się zbliża, trochę wystraszona, ale stanowcza, Emilio powoli osunął się na kolana, żeby nie górować nad nią wzrostem, tak jak ów dorosły górował nad nim. Przestał zwracać uwagę na całą resztę, skupił się na tym dziecku, które od razu uznał za dziewczynkę. Wyciągnął do niej rękę i powiedział:

– Hello.

Zawahała się przez chwilę, ale włożyła swoją dłoń, ciepłą, o długich palcach, w jego dłoń, i powtórzyła:

– Hello. – Potem powiedziała tak samo łagodnie i wyraźnie jak on: – *Challalla khaeri*.

I wychyliła się ku niemu, by na moment złożyć głowę na jego ramieniu. Usłyszał lekkie westchnienie.

– *Challalla khaeri* – powtórzył i z powagą odtworzył jej gest powitania.

Wśród tłumu mieszkańców wioski rozległy się podniecone głosy. Ludzie cofnęli się o krok, ale Emilio wciąż wpatrywał się w dziecko i nie dostrzegał w nim oznak niepokoju. Nadal trzymał jego dłoń w swojej i teraz przyciągnął ją lekko ku piersi, mówiąc:

– Emilio.

Ponownie powtórzyła słowo, ale tym razem nie zdołała wychwycić wszystkich samogłosek i wyszło:

– Milo.

Uśmiechnął się, ale jej nie poprawił, myśląc: prawie dobrze, *chiquitita*, prawie dobrze. Był już w niej kompletnie zakochany, wychylał się ku niej całą duszą. Po prostu czekał, wiedząc, że za chwilę ona dotknie jego dłonią swojej piersi. I zrobiła to, choć przyciągnęła jego rękę nie do piersi, a do czoła.

– Askama – powiedziała, a on to powtórzył, z akcentem na pierwszej sylabie, prawie zlewając drugą i trzecią sylabę, lekko obniżając poziom głosu przy końcu wyrazu.

Potem podniósł się z kolan i usiadł ze skrzyżowanymi nogami w żółtobrunatnym pyłe drogi. Askama poruszyła się powoli, by nadal stać twarzą do niego, bo usiadł tak, żeby mogły ich widzieć obie grupy. Odwrócił głowę i nawiązał kontakt wzrokowy z dorosłą osobą, która wyprowadziła dziecko z tłumu, a teraz stała na skraju grupy i nie spuszczała z niego wzroku. Hello, mamusiu, powiedział w duchu. Potem znowu zajął się Askama. Cofnął się, jakby w lekkim zaskoczeniu, wciągnął głośno powietrze, wytrzeszczył oczy i zapytał:

– Askama, co to jest?

Sięgnął za jej ucho, otworzył przed nią dłoń i pokazał kwiat.

– *Si zhao!* – zawołała zaskoczona, zaniechawszy wzoru powtarzania słów.

– *Si zhao!* – powtórzył Emilio. – Kwiat.

Zerknął na dorosłą osobę, którą uznał za matkę Askamy. Otworzyła usta, ale nadal się nie poruszała, więc powrócił do zabawy z dziewczynką i tym razem wyciągnął „znikąd” dwa kwiaty.

– *Sa zhay!* – krzyknęła Askama, zapewne ucząc go liczby mnogiej.

– *Sa zhay*, zgadza się, *chiquitita* – mruknął z uśmiechem. Wkrótce podeszło więcej dzieci, a za nimi ich rodzice, aż obie grupy, miejscowa i obca, pomieszały się, zafascynowane sobą, otaczając Askamę i Emilia, który wyczarowywał kamyki, liście i kwiaty, skrzętnie zapamiętując liczby i rzeczowniki, a także, co było dla niego ważniejsze, słowa wyrażające zaskoczenie, niewiedzę, zadowolenie, obserwując twarz Askamy, zerkając na dorosłych i inne dzieci, chłonąc język ciała i naśladowując go w odkrywczym tańcu.

Uśmiechając się promiennie, przepełniony miłością do Boga i Jego dzieła stworzenia, Emilio w końcu wyciągnął ramiona, a Askama chętnie usadowiła mu się na kolanach, owijając wokół siebie gruby, umięśniony ogon, i patrzyła, jak Emilio wita się z innymi dziećmi i uczy ich imion w potrójnym blasku słonecznym, który właśnie przedarł się przez chmury. Poczuł się, jakby był pryzmatem, gromadzącym białe światło Bożej miłości i rozsiewającym ją na wszystkie strony, a było to prawie fizyczne poczucie, kiedy tak siedział pośród nich, wychwytyjąc i powtarzając tyle słów, ile zdołał, wchłaniając ich melodykę i kadencję, łapiąc w locie wzory fonemów, pozwalając Askamie poprawiać się, kiedy zrobił błąd.

Kiedy rozmowa zrobiła się jeszcze bardziej chaotyczna, postanowił zaryzykować i zaczął odpowiadać dzieciom nonsensownie, naśladując ogólną melodykę i brzmienie słów, ale nie dbając o dokładność. Taka taktyka bardzo dobrze działała na członków plemienia Kikuju, ale na przykład mieszkańcy wyspy Chuuk poczuli się nią obrażeni. Ku jego uldze, dorosłych najwyraźniej to rozbawiło; nie było żadnych okrzyków lub groźnych gestów, kiedy dzieci rozwrzeszczały się, pragnąc jedno przez drugie „porozmawiać” z nim w ten komiczny sposób.

Nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu, ale w końcu poczuł, że plecy mu drętwieją, a nogi zeszywniały od ciężaru Askamy. Wypuścił dziecko z objęć, z trudem dźwignął się na nogi, nie puszczając jej dłoni, i rozejrzał się wokół, jakby ujrzał to miejsce po raz pierwszy. Natrafił spojrzeniem na Jimmy’ego i Sofię, a ta zawołała do niego:

– Sztuczki magiczne! Zrobiłeś mnie w konia, Sandoz!

Tego bowiem nie było w jej programie sztucznej inteligencji, który przygotowała na podstawie odbytych z nim sesji.

Potem dostrzegł Marca Robichaux, któremu jeden z malców siedział na karku, tak, że górował nad dorosłymi. A dalej stał D.W., który – to dziwne – miał zaczerwienione oczy. Wyszukał w tłumie George’a i Anne; stali ramię w ramię, Anne też płakała, ale George uśmiechnął się do niego i zawołał, przekrzykując harmider dziecięcych głosów:

– Jestem sto szesnasty, jakby się kto pytał!

Emilio Sandoz odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Boże! – krzyknął w słońce i pochylił się, by pocałować Askamę w głowę, a potem uniósł ją i uściskał z takim uczuciem, jakby ogarniał ramionami całe stworzenie. – Boże – powtórzył szeptem i zamknął oczy. – Po to się urodziłem!

Była to prawda. Nic innego nie usprawiedliwiało jego istnienia.

– A więc to dziecko wyznaczono, aby nauczyło się waszego języka, a was nauczyło swojego, tak? – zapytał Johannes Voelker.

– Tak. Runowie to lud trudniący się handlem, w którym potrzebna jest znajomość wielu języków. Podobnie jak wśród ludzi, ich dzieci uczą się języków szybko i łatwo, więc wykorzystują to, prawda? Kiedy ustanawiają nowe stosunki handlowe, wybierają jakąś rodzinę z dzieckiem i dają u niej gościnę tej obcej delegacji, w której zwykle też jest dziecko. Wystarczy parę lat i obie strony mogą się bardzo dobrze porozumieć. Znajomość nowego języka jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Zresztą stosunki handlowe też są dość stałe, wypracowane i podtrzymywane przez wiele pokoleń.

Był szary, bezwietrzny dzień czerwcowy. Zostawili okna otwarte i teraz dobiegał przez nie jednostajny szum deszczu, rywalizujący z łagodnym i monotonnym głosem Sandoza. Vincenzo Giuliani zmienił porządek dnia, tak by przesłuchania odbywały się po południu, pozwalając Sandozowi wyspać się rano, jeśli miał ciężką noc. Wyglądało na to, że ten pomysł przynosi rezultaty.

– I wyobrazili sobie, że właśnie ty jesteś takim dzieckiem? – zapytał Johannes Voelker.

– Tak.

– Może dlatego, że byłeś trochę niższy od reszty członków załogi – podsunął Felipe Reyes.

– Tak. I ponieważ to ja podejmowałem pierwsze próby porozumienia się, właśnie jak takie dziecko-tłumacz. Przez długi czas tylko Quinna uważali za dorosłego. Według ich standardów był średniego wzrostu.

– I od początku nie okazywali strachu? Przecież nigdy nie widzieli osobników takiego gatunku – zauważył Giuliani. – To godne uwagi.

– Runowie z łatwością przyjmują wszelkie nowości. I było oczywiste, że nie zagrażamy im fizycznie. Doszli do wniosku, że bez względu na to, kim jesteśmy, chcemy z nimi handlować. I na tej podstawie wpasowali nas w swój pogląd na świat.

– Czy możesz określić, w jakim wieku była ta Askama w czasie pierwszego kontaktu? – zapytał Voelker, wracając do dziecka.

Giuliani odnotował, że Sandoz nie zareagował źle na to pytanie. Kiedy odpowiedział, głos miał taki sam, jak podczas całej tej sesji: pewny i zrównoważony.

– Doktor Edwards oceniła, że wiek Askamy może być porównywalny z siedmioma albo ośmioma latami ziemskiego dziecka. Później uznaliśmy, że mogła mieć najwyżej pięć lat. Bardzo trudno porównywać tak różne gatunki, ale odnieśliśmy wrażenie, że Runowie dojrzewają szybciej niż ludzie.

Voelker zaczął zapisywać tę odpowiedź, kiedy Giuliani powiedział:

– Odniosłem wrażenie, że inteligencja była odwrotnie proporcjonalna do współczynnika dojrzałości.

– Tak. Ojciec Robichaux dyskutował nad tym z doktor Edwards. Chyba uznali, że brak ścisłych korelacji, zarówno pomiędzy gatunkami, jak i wewnątrz nich. Ale może źle to zapamiętałem. W każdym razie, jeśli mamy do czynienia z innymi systemami biologicznymi, trudno o uogólnienia.

– A co w ogóle sądzisz o ich inteligencji? – zapytał Felipe. – Myślisz, że dorównywała naszej czy była wyższa? A może niższa?

Po raz pierwszy podczas tego posiedzenia Emilio zawahał się.

– Są inni – powiedział w końcu, zdejmując ręce ze stołu i kładąc je na podolku. – Trudno powiedzieć. – Umilkł, wyraźnie starając się sam znaleźć odpowiedź na to pytanie. – Przykro mi. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Można mówić o bardzo szerokiej gamie inteligencji. Podobnie jak wśród ludzi.

– Doktorze Sandoz – rozległ się głos Voelkera – jaki rodzaj stosunków łączył pana z Askamą?

– Rozpaczliwy – odpowiedział natychmiast Sandoz. Wywołało to ogólny śmiech, a Felipe zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od przyjazdu do Neapolu Emilio okazał normalne poczucie humoru.

Uśmiechając się mimowolnie, Voelker zapytał:

– Czy można by to trochę rozwinąć?

– Była moją nauczycielką i moją uczennicą, a także dość oporną współpracownicą w moich badaniach. Była bystra i burkliwa. Uparta, zawzięta, potrafiła zaleźć za skórę. Czasami doprowadzała mnie do szaleństwa. Kochałem ją bez granic.

– A czy to dziecko kochało pana? – zapytał Voelker w ciszy, która zapadła po ostatnim zdaniu Sandoza. W końcu ten człowiek przyznał, że zabił Askamę. John Candotti wstrzymał oddech.

– To drugie trudne pytanie, podobnie jak pytanie o ich inteligencję – odpowiedział Sandoz obojętnie. – Czy mnie kochała? Na pewno nie w sposób dojrzały. Przynajmniej na początku. Była dzieckiem, prawda? Lubiła magiczne sztuczki. To była dla niej najlepsza zabawa. Sprawiało jej przyjemność, że poświęcam jej tyle uwagi, i dumna była ze swojego statusu przyjaciela cudzoziemca... Lubiła wydawać mi polecenia, poprawiać mnie, uczyć mnie dobrych manier. Marc Robichaux sądził, że był w tym wszystkim jakiś czynnik biologiczny, ale był to również jej świadomy wybór. Potrafiła złościć się na mnie i obrażać, kiedy nie zrobiłem czegoś, czego żądała, a kiedy się obrażała, mogło to doprowadzić do rozpaczy każdego. Ale... tak, myślę, że mnie kochała.

– Powiedział pan: „oporna współpracownica w moich badaniach”. Co pan miał na myśli? – zapytał Voelker. – Czy zmuszał ją pan do współpracy?

– Nie. Chodziło mi, rzecz jasna, o poznawanie ich języków. To ją po prostu nudziło, a kiedy nalegałem, robiła się niecierpliwa. Ja też doprowadzałem ją do rozpaczy... Czy rozumiecie różnicę między kimś, kto mówi wieloma językami, a językoznawcą?

Rozległy się przyciszone głosy. Wszyscy rozumieli znaczenie obu terminów, ale do tej pory nikt nie zastanawiał się nad zdefiniowaniem różnicy między nimi.

– Zdolność posługiwania się jakimś językiem nie musi się wiązać ze znajomością jego lingwistycznej struktury – powiedział Sandoz. – Ktoś może świetnie grać w bilard bez znajomości fizyki Newtona, prawda? Moją specjalnością jest lingwistyka antropologiczna, więc celem mojej pracy z Askamą nie było po prostu nauczenie się języka, żeby, na przykład, móc poprosić o sól, ale poznanie kulturowych podstaw i wewnętrznej struktury języka ludu, z którego się wywodziła.

Wyprostował się na krześle i znowu złożył ręce na stole. Nigdy nie mógł znaleźć dla nich wygodnej pozycji, kiedy miał założone protezy.

– Podam wam przykład. Pewnego dnia Askama pokazała mi bardzo ładną szklaną butelkę i użyła słowa *azhawasi*. Najpierw sądziłem, że to słowo jest bliższym lub dalszym ekwiwalentem naszych rzeczowników „naczynie”, „pojemnik” czy „butelka”. Ale nigdy nie można mieć pewności, więc trzeba to sprawdzić. Wskazałem na ściankę butelki i zapytałem, czy to jest *ashawasi*. Nie. To nie miało nazwy. Wskazałem więc na szyjkę, ale i to nie było *ashawasi* i nie miało nazwy. Pokazałem więc na dno. Znowu pudło. A Askama poczuła się urażona, bo według niej zadawałem głupie pytania. Ja też zacząłem się denerwować. Nie wiedziałem, czy się ze mną drażni, czy naprawdę chodzi o coś zupełnie innego, na przykład, że *ashawasi* to kształt butelki albo jej styl, albo nawet cena. Długo trwało, zanim zrozumiałem, że *ashawasi* to objętość tej butelki. Wcale nie chodziło o jakiś obiekt fizyczny, tylko o miarę objętości.

– Fascynujące – mruknął Giuliani i nie miał na myśli jedynie lingwistycznych zawiłości. Okazuje się, że Sandoz, kiedy jest na własnym gruncie, potrafi być świetnym mówcą, może nawet nieco zbyt elokwentnym. I tak zręcznie odszedł od tematu samej Askamy, jak to przewidywał Voelker. To ciekawe, że tylko Voelkerowi udaje się przewidzieć reakcje Emilia.

Przez chwilę zapanowało milczenie, kiedy Sandoz ostrożnie zacisnęła dłonie na filiżance z kawą i podniósł ją do ust. Odstawił filiżankę nieco za gwałtownie, prawie tracąc kontrolę nad palcami, a szcęk porcelany zabrzmiał w ciszy jak wystrzał. Takie precyzyjne ruchy wciąż sprawiały mu trudność. Wszyscy powstrzymali się od spojrzenia w jego stronę.

– Mają też słowo na oznaczenie przestrzeni, którą my nazywamy pokojem, ale nie mają słów na ścianę, sufit czy podłogę – ciągnął dalej, oparłszy ręce na stole, ostrożnie, by nie porysować powierzchni drutami. – Nazwę ma funkcja jakiegoś obiektu, a nie sam obiekt. Można mówić o suficie, odnosząc się do jego funkcji, jaką jest powstrzymanie deszczu od przeniknięcia do przestrzeni, którą my nazywamy pokojem. Idąc dalej, nie znają pojęcia granic, takich jak u nas, które oddzielają narody. Używają terminów wskazujących na to, co dany region geograficzny zawiera, na przykład, że rosną tam kwiaty nadające się do destylacji albo jakieś zioło, które daje taką, a nie inną barwę. Po jakimś czasie zacząłem pojmować, że Runowie po prostu nie mają słownictwa na oznaczenie krawędzi, które oddzielają jeden element od drugiego. To odzwierciedla ich strukturę społeczną, ich postrzeganie świata fizycznego, a nawet ich status polityczny.

Głos zaczął mu się załamywać. Umilkł na chwilę i zerknął na Eda Behra, który kiwnął głową i przeszedł w róg pokoju, gdzie tylko ojciec generał mógł dostrzec jego gest: przesunięcie palcem po gardle.

– O to mniej więcej chodzi w tym rodzaju analizy lingwistycznej – powiedział Emilio, znowu składając dłonie na kolanach. – O wykrycie matrycy pojęciowej pod osłoną gramatyki lub słownictwa i odniesienie jej do kultury ludu używającego danego języka.

– A Askama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego masz trudności z tak prostymi pojęciami – odezwał się Felipe Reyes.

– Właśnie. Mnie natomiast dziwiła jej niezdolność zrozumienia prostego faktu, że w pewnych okresach dnia i nocy potrzebuję uszanowania mojej prywatności. Runowie są ludem o niezwykle silnych więziach społecznych. Ojciec Robichaux i doktor Edwards uważali, że ich struktura społeczna bardziej przypomina stado niż luźniejsze więzi pokrewieństwa i związki społeczne cechujące społeczeństwa małych naczelnych. Runowie nie potrafili zrozumieć, że ktoś może chcieć być sam. To było bardzo męczące.

Chciał już odejść. Ręce go paliły, jakby się świeżo poparzył, nie mógł też przestać myśleć o porannej wiadomości. Trochę pomogło, kiedy mówił o tym, co go zawsze tak interesowało, ale trwało to już ze trzy godziny i było mu coraz trudniej się skupić.

Problem z iluzjami polega na tym, że odkrywa się je dopiero wtedy, kiedy je ktoś rozwiewa. Zatrudnili nowego lekarza, przeszedł przez kilkanaście godzin testów. A teraz powiedzieli mu, że można poprawić tylko wygląd jego rąk, nie ich funkcję; nerwy były za długo rozłączone, żeby można je było zrekonstruować, zanik mięśni zbyt rozległy i całkowity. Pieczenie, które właśnie odczuwał i które pojawiało się, i miało niespodziewanie, to coś w rodzaju wrażeń, jakich doznają osoby po amputacji: czują ból w nodze, której dawno nie mają. Będzie mógł chwycić dość dobrze dwoma palcami każdej dłoni. To wszystko. A więc tak się przedstawia jego...

Zdał sobie sprawę, że Voelker coś powiedział i że po jego słowach zapadła głucha cisza. Jak długo już tak siedzę, pomyślał, nie znajdując odpowiedzi. Sięgnął po filiżankę, żeby zyskać na czasie.

– Przepraszam – powiedział, spoglądając na Voelkera. – Czy ojciec coś mówił?

– Tak. Powiedziałem, że to interesujące, jak często zmienia pan temat, kiedy mowa jest o dziecku, które pan zabił. I zastanawiam się, czy za chwilę nie usłyszymy, że rozbolą pana głowa.

Filizanka pękła mu w dłoniach. Zrobiło się małe zamieszanie, kiedy Edward Behr przyniósł ścierkę, by wytrzeć rozlaną kawę, a John Candotti zaczął zbierać ułamki porcelany. Voelker po prostu siedział i wpatrywał się w Sandoza, który zamarł bez ruchu.

Są tacy inni, pomyślał Vincenzo Giuliani, patrząc na tych dwóch mężczyzn siedzących naprzeciw siebie przy stole: jeden jakby wykuty z obsydianu i srebra, drugi – ulepiony z piasku i masła. Ciekawe, czy Emilio zdaje sobie sprawę, jak bardzo Voelker mu zazdrości. I czy sam Voelker o tym wie.

– ...wzrost napięcia – mówił Felipe Reyes, wyjaśniając im możliwą przyczynę incydentu z filizanką. – Kiedy mięśnie są zmęczone, może dojść do czegoś w rodzaju spięcia. To się często zdarza...

– Skoro potrafię stać na własnych nogach, Felipe – przerwał mu Sandoz jadowitym tonem – to może byś przestał czułgać się za mnie?

– Emilio, ja tylko...

Wymienili kilka zdań w rynsztokowej hiszpańszczyźnie.

– Panowie, myślę, że już dość na dzisiaj – oznajmił ojciec generała. – Zostań, Emilio, chcę zamienić z tobą parę słów. Reszta jest wolna.

Sandoz czekał spokojnie, aż Voelker, Candotti i błady jak ściana Felipe Reyes opuszczą pokój. Edward Behr zawahał się przy drzwiach i rzucił ojcu generałowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten zdawał się tego nie zauważać.

– Wyglądasz, jakby cię coś bolało – powiedział Giuliani, kiedy zostali sami. – Czy to głowa?

– Nie, proszę ojca. – Spojrzał na niego czarnymi oczami, zimnymi jak kamień.

– A powiedziałaś mi, gdyby to była głowa?

Bezsensowne pytanie. Giuliani zdał sobie z tego sprawę, zanim skończył mówić. To jasne, że Emilio nigdy by się do tego nie przyznał, zwłaszcza po złośliwej sugestii Voelkera.

– Te dywany są w niebezpieczeństwie – powiedział zuchwale Emilio.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł Giuliani uprzejmym tonem. – Stół też ucierpiał. Nie masz litości dla tego wnętrza. I dla Reyesa.

– Nie miał prawa przemawiać za mnie – warknął Sandoz; znowu ogarnęła go fala gniewu.

– Próbuje ci pomóc, Emilio.

– Kiedy będzie mi potrzebna pomoc, poproszę o nią.

– Poprosisz? A może po prostu będziesz się sam gryzł noc po nocy?

– Sandoz zamrugnął oczami. – Dziś rano rozmawiałem z doktor Kaufmann. Jej prognozy musiały być dla ciebie ciosem. Nie rozumie, dlaczego tak długo znosisz te protezy. Według niej są za ciężkie, źle zaprojektowane. Dlaczego nie powiedziałaś, żeby coś z tym zrobić? Nie chciałaś ranić uczuć ojca Singha? A może to coś w rodzaju wstrętnej latynoskiej dumy?

Było to zagranie finezyjne, choć ryzykowne. Giuliani spostrzegł, że Emilio oddycha z pewnym trudem; teraz już było oczywiste, że powstrzymywanie się od wybuchu sporo go kosztuje. No proszę, pomyślał z satysfakcją Giuliani, wreszcie udało mi się wytrącić go z równowagi. Przekląty *macho*.

– Boli cię? Tak czy nie.

– Czy ojciec generał domaga się odpowiedzi? – Była to jawna kpina; mniej było oczywiste, w kogo była wymierzona.

– Tak, do cholery, domagam się. Odpowiedz.

– Ręce mnie bolą. – Chwila milczenia. – I te protezy urażają mi ramiona.

Giuliani zauważył jego płytki oddech i pomyślał: mój Boże, ile go kosztuje przyznanie się, że cierpi!

Nagle wstał i odszedł od stołu, żeby mieć czas na zastanowienie się nad tym wszystkim. Poznał już wszystkie objawy słabości tego udręczonego ciała. Pielęgnował Sandoza, pomagał mu przejść przez nocne koszmary, był świadkiem, głęboko poruszony, jak ten uparty Latynos dźwiga się z dna upodlenia o własnych siłach, jak składa potrzaskane fragmenty swojej osobowości i usiłuje je na nowo powiązać kosztem niewypowiedzianych emocjonalnych napięć. Trudno o tym wszystkim zapomnieć, nawet jeśli Sandoz wścieka się i boczy, kiedy każdą wyciągniętą do niego dłoń odtrąca, jakby pomoc była znęcaniem się nad nim lub zniewagą.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy pytanie, jak to właściwie jest, kiedy człowiek znajduje się w tak opłakany stan, będąc jeszcze bardzo młodym. Nigdy nie chorował poważniej, nigdy nie był ranny. Jakieś przeziębienie, złamany palec, to wszystko. A może, gdybym był Sandozem, pomyślał, też starałbym się ukryć swój ból i zgrzytać zębami w samotności...

– Posłuchaj, Emilio – powiedział, wracając do stołu. – Jesteś największym twardzielem, jakiego dotąd spotkałem. Podziwiam twój hart ducha. – Sandoz łypnął na niego wściekłym wzrokiem. – To nie żaden sarkazm! – krzyknął Giuliani. – Wszyscy wiedzą, że kiedyś zażądałem narkozy, kiedy skaleczyłem się papierem! – Śmiech. Autentyczny śmiech. Dumny z tego małego zwycięstwa, Giuliani postanowił zaryzykować. – Przeszedłeś przez piekło i dałeś wszystkim jasno do zrozumienia, że nie zamierzasz skarżyć się i jęczeć. Ale, Emilio, na miłość boską, jak mamy ci pomóc, jeśli nie powiesz nikomu, co ci właściwie jest?

Kiedy Sandoz odpowiedział, z trudem można było dosłyszeć, co mówi.

– Powiedziałem Johnowi. O rękach.

Giuliani westchnął.

– Dobrze. I możesz uznać to za dowód, że Candotti potrafi trzymać język za zębami.

Idiota! Nie było to wyznanie, jakie się słyszy na spowiedzi. Choć może dla niego było, poprawił się w duchu.

Wstał i wszedł do prywatnej łazienki, przylegającej do jego gabinetu, a po chwili wrócił, niosąc szklankę wody i parę tabletek, które położył na stole przed Sandozem.

– Nie należę do tych, którzy uważają, że niepotrzebne cierpienie uszlachetnia. Od dzisiaj, kiedy będą cię boleć ręce, weź coś! – Przyglądał się, jak Emilio z wysiłkiem zbiera pigułki, jedną po drugiej, i wrzuca je do szklanki z wodą. – Jeśli nie będą działać, masz mi powiedzieć, rozumiesz? Dam ci coś mocniejszego. Już posłałem po Singha. Masz mu dokładnie opowiedzieć, co jest nie tak z tymi protezami. A gdy jemu nie uda się tego poprawić, sprowadzimy kogoś innego.

Zabrał szklankę i zaniósł ją z powrotem do łazienki, gdzie został przez parę minut. Kiedy wrócił, Sandoz wciąż siedział przy stole, blade i zamknięty w sobie. Giuliani postanowił zaryzykować. Podeszedł do biurka, wyjął elektroniczny notes i wystukał kod otwierający plik, który znał tylko on i dwóch innych ludzi, ale ich nie było już na tym świecie.

– Emilio, przeglądam na nowo transkrypty raportów ojca Yarbrougha. Czytałem je w zeszłym roku, kiedy po raz pierwszy donieśli nam o tobie z Ohbayashi, ale teraz, oczywiście, studiuję je bardziej uważnie. Ojciec Yarbrough opisał początkowe stosunki między tobą a tym dzieckiem i mieszkańcami wioski, dość podobnie jak ty. Muszę powiedzieć, że jego relacja była o wiele bardziej poetycka niż twoja. Prawdę mówiąc, był głęboko wzruszony tym doświadczeniem. Podobnie jak ja, kiedy to czytałem. – Sandoz nie reagował i Giuliani zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek w ogóle go słucha. – Emilio? – Sandoz spojrział na niego, więc Giuliani brnął dalej. – Na końcu opisu pierwszego kontaktu, w zakodowanym pliku, ojciec Yarbrough dodał komentarz przeznaczony tylko dla ówczesnego ojca generała. Napisał o tobie: „Myślę, że był natchniony przez Ducha Świętego. Być może dzisiaj dane mi było spojrzeć w twarz świętego...”

– Przestań.

– Słucham? – Giuliani spojrzął znad notesu, mrugając oczami, nie przyzwyczajony, by zwracano się do niego w ten sposób, nawet prywatnie, nawet jeśli robił to człowiek, którego noce stały się częścią jego nocy, którego sny zakłócały mu sen.

– Przestań. Nie odbieraj mi wszystkiego. – Sandoz drżał. – Nie rozgrzebuj moich kości, Vince.

Zaległa długa cisza, w której Giuliani patrzył w te straszne oczy i rozważał następstwa możliwych reakcji.

– Wybacz mi, Emilio – powiedział w końcu. – Wybacz mi.

Sandoz patrzył na niego trochę dłużej, a potem odwrócił nieco głowę, wciąż dygocąc.

– Nie możesz wiedzieć, jak to jest. Po prostu nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Nie ma na to sposobu.

Giuliani zdał sobie sprawę, że usłyszał coś w rodzaju usprawiedliwienia.

– Może gdybyś spróbował mi to wyjaśnić... – podsunął łagodnie.

– Jak mogę wyjaśnić coś, czego sam nie rozumiem? – zawołał Emilio. – Zerwał się na nogi, odszedł kilka kroków i znowu się odwrócił. Te wybuchy zawsze zaskakiwały. Jego martwa twarz nawet nie drgnęła. – Nie wiem, co począć z tym wszystkim, Vince! Nie wiem, co się ze mną stało! – Podniósł ręce i pozwolił im opaść, pokonany. Vincenzo Giuliani, który wysłuchał wiele spowiedzi w swoim życiu, milczał i czekał. – A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Ja kochałem Boga.

To ostatnie zdanie wypowiedział załamującym się głosem, jak człowiek, który nie jest w stanie czegoś zrozumieć i głęboko nad tym boleje. Przestał płakać równie niespodziewanie, jak zaczął. Przez dłuższą chwilę stał, milcząc, wpatrując się w coś, czego Giuliani nie był w stanie zobaczyć, a potem podszedł do okna i wpatrzył się w deszcz.

– Pozostały z tego popioły. Tylko popioły.

I nagle zaczął się śmiać. Było to równie szokujące, jak jego nagłe łzy.

– Myślę – powiedział ojciec generał – że byłoby o wiele lepiej, gdybyś w końcu sam ustalił, czy to wszystko jest dla ciebie komedią czy tragedią.

Emilio nie odpowiedział od razu. To tyle, myślał, jeśli chodzi o niemówienie o czymś, czego nie można zmienić. To tyle, jeśli chodzi o latynoską dumę. Czasami czuł się jak kulka dmuchawca, szybująca w powietrzu i rozrywana na strzępy podmuchem wiatru. Poczucie upodlenia i ponizenia było wprost nie do zniesienia. Czasami miał nadzieję, że to go zabije, że w końcu serce przestanie mu bić. Może to część całego żartu, pomyślał ponuro. Odwrócił się od okna, aby spojrzeć poprzez pokój na tego starszego mężczyznę, który przypatrywał mu się spokojnie zza pięknego starego stołu.

– Gdybym to wiedział – rzekł Emilio Sandoz, zbliżając się na tyle, ile zdołał, do rdzenia swojej duszy i do wyznania, które napelniało go wstydem – to chyba bym nie potrzebował niczyjej pomocy.

Można powiedzieć, że Vincenzo Giuliani uważał swoje próby zrozumienia Emilia – teraz, na tym etapie życia, kiedy ich drogi rozeszły się w tak dziwaczny sposób – za wielki i straszny zarazem przywilej. Zajmowanie się Sandozem było tak fascynujące, jak żeglowanie w burzliwą pogodę. Trzeba się wciąż dostosowywać do nieustannych zmian w sile i kierunku wiatru, a w każdej chwili grozi wywrotka i zatopienie. Było to wyzwanie życia.

Na początku odrzucił przekonanie Yarbrougha o świętości Emilia jako niestosowne i przesadnie afektowne. Nie miał zaufania do mistycyzmu, choć jego zakon miał wyraźnie mistyczne korzenie. A jednak skłaniał się do przyjęcia jako hipotezy roboczej założenia, że Emilio Sandoz uważał samego siebie za człowieka głęboko religijnego, za duszę łaknącą Boga, jak to ujął Ed Behr. Skoro tak, to Sandoz musiał w pewnym momencie poczuć, że odnalazł Boga, a następnie. Go zdradził. Najgorsze było w tym to, że – jak sam powiedział – pokochał Boga. Bo jeśli tak, to tragedia jest oczywista: upadek z samych wyżyn stanu łaski, zapłonienie ogniem miłości i gorycz zrozumienia, że pozostały z niej tylko popioły, świadomość otrzymania tak wielkiego dobrodziejstwa i odpłacenie za nie pograżeniem się w ciemności rozpusty i mordy.

Przecież musiało być inne wyjście! Dlaczego Sandoz oddał się prostytucji? Nawet nie mając rąk, mógł przecież szukać innego wyjścia. Mógł żebrnąć, kraść – cokolwiek, byle nie to.

Poszczególne elementy układały się w czytelną całość. Emilio czuł się niesprawiedliwie potępiony przez ludzi, którzy nigdy nie doznali tak nieludzkich utrapień osamotnienia i bezsilności. Giuliani przyznał, że już samo wystawienie na taką próbę dawało temu człowiekowi pewną moralną przewagę, niezależnie od tego, czy udało mu się przez tę próbę przejść. Właśnie dlatego tak łatwo przyszło mu błagać Emilia o przebaczenie i okazać mu nieco szacunku. Wszystko wskazywało, że ta taktyka jest skuteczna. Zdarzały się momenty autentycznego porozumienia między nimi, kiedy Sandoz godził się na ryzyko ujawnienia części swojej tajemnicy, w nadziei, że zostanie zrozumiany albo że sam coś zrozumie. Giuliani wiedział jednak, że dystans wciąż jest duży, jakby było coś, czego sam Sandoz za wszelką cenę unikał, nawet w samotności. Coś, o czym można śnić, ale o czym nie można mówić, nawet w ciemnościach nocy. Coś, co musi być ujawnione, do czego trzeba dotrzeć.

Należało też rozważyć możliwość, że Ed Behr się myli, a Johannes Voelker ma rację. A może Sandoz oddał się prostytutce, bo w warunkach tamtego straszliwego osamotnienia sprawiało mu to ulgę? Umiłował Boga, ale taki brutalny seks uznał za ...dobrodziejstwo. Wyjaśniałoby to jego nocne koszmary, bo przecież coś takiego musiało utkwic jak cierń w samym rdzeniu jego osobowości. Czasami, jak lubił powtarzać John Candotti, najprostsze rozwiązanie jest zarazem najlepsze. To przecież sam Jezus, ten najwnikliwszy znawca ludzkiej kondycji, powiedział:

„Szeroka jest brama i wygodna ścieżka, prowadząca do zagłady, i wielu na nią wstępuje”.

Cierpliwość, pomyślał Giuliani. Stara cnota żeglarzy. Najpierw jeden hals, potem drugi.

Jego rzymski personel, pieczołowicie szkolony i wychowywany przez te ostatnie dziesięć lat, na pewno był kompetentny. Czas, by przekazać tym młodym jeszcze więcej kompetencji. Niech się umacniają, podczas gdy on dzierży rumpel lekką ręką. Czas, by ten jeden stary kapłan, Vince Giuliani, wykorzystał całe swoje doświadczenie i wiedzę do rozwiązania jednego ludzkiego problemu, aby sięgnął po całą mądrość, nagromadzaną przez tyle lat, i pomógł jednej ludzkiej duszy, jednemu człowiekowi, który sam mówił o sobie z goryczą, że stał się Bożą dziwką. Cierpliwość. Będzie to trwało tyle, ile musi trwać.

Vincenzo Giuliani wstał i podszedł do okna, przy którym Sandoz tkwił przez cały ten czas, szary na twarzy, wpatrzony w deszcz. Stał przed nim, czekając, aż Sandoz sam go zauważy, bo wiedział z doświadczenia, że nie powinno się go zaskakiwać, podchodząc nagle z tyłu.

– Chodź, Emilio – powiedział łagodnie. – Chodź, postawię ci piwo.

MIASTO GAYJUR Druga Na'alpa WIOSKA
KASHAN
siedem tygodni od kontaktu

Supaari VaGayjur skorzystał na obecności misji jezuickiej na Rakhacie, zanim dowiedział się o jej istnieniu. Było to, jak na niego, zarazem charakterystyczne i niezwykle. Charakterystyczne w tym, że rozpoznał potencjalną modę na Runów, nim ktokolwiek inny podjął kroki, by opanować rynek tuż przed tym, jak ów trend pojawił się w Gayjurze. Niezwykle, bo nie zebrał uprzednio wszystkich danych o nowym rynku. Nigdy przedtem nie ryzykował tak wiele bez przeprowadzenia drobiazgowych badań. Na razie zyski były niezłe, ale wciąż czuł się nieswojo, jakby udało mu się ująć z życiem z pojedynku *ha'aran* podjętego po pijanemu. Krocząc przez magazyn razem z Awijan, swoją sekretarką, która notowała jego polecenia i zapytania, Supaari dostrzegł jedną z wieśniaczek z Kashanu, Chaypas, stojącą w wejściu i czekającą na pozwolenie zwrócenia się do niego. Kaskada kolorowych wstążek, opadająca z diademu na głowie, spływała jej na plecy wdzięcznymi łukami. Wspaniałe, pomyślał Supaari, no i każdy, kto będzie chciał być modny, musi zamówić pięć razy więcej wstążek podwójnej długości. Zwrócił się do Awijan.

– Wezwij posłańców. Kupuj i gromadź wstążki. Zawieraj kontrakty ze wszystkimi dostępnymi dostawcami... – Zawahał się. – Jak długo to może potrwać?

– Mówi się, że kontrakty nie powinny sięgać poza Ósmą Na'alpę.

Supaari dobrze wiedział, że w takich sprawach można polegać na źródłach informacji, jakimi dysponowała Awijan.

– Dobrze. Kiedy wrócisz, każ Sapalli powynosić trochę towarów, żeby zrobić miejsce na dostawy, nawet gdybyśmy musieli stracić na *berinje*. Dostawy po czerwonym świetle, rzecz jasna.

Był to jeden z jego sprytnych pomysłów, wypracowanych przez lata handlowania z Runami. Jana'atowie nie widzieli dobrze w czerwonym świetle, natomiast wieśniakom Runa ono nie przeszkadzało. Stwarzało to warunki dyskrecji, jakich jego konkurenci, przespiający czerwone i czarne godziny, nawet nie podejrzewali.

Obserwował, jak Awijan wychodzi na dziedziniec i zwołuje gońców. Puściwszy maszynę transakcyjną w ruch, Supaari podszedł do owej kobiety VaKashani o imieniu Chaypas i pozdrowił ją w jej języku, wyciągając obie ręce.

– *Challalla khaeri*, Chaypas.

Nachylił się ku niej i wciągnął w płuca jej zapach zmieszany z wonią wstążek.

Chaypas VaKashan nie była zwykłą wieśniaczką. Tylko ona decydowała się na samotną podróż do Gayjuru, żeby prowadzić interesy z Supaarim bez pośredników. Gdyby nie różnica w stroju, przypadkowy widz mógłby ich z daleka wziąć za rodzeństwo albo bliskich kuzynów. Supaari był bardziej muskularny, ogólnie nieco większy, co jeszcze bardziej uwydatniał jego strój: obszerna suknia, aż sztywna od bogatych haftów, chodaki, które dodawały mu wzrostu, podobnie jak szyszak, który był oznaką jego kupieckiego zawodu i w konsekwencji wskazywał na to, że jego właściciel jest trzecim z kolei dzieckiem swoich rodziców. Strój, jaki miał dzisiaj na sobie, podkreślał istniejące między nimi różnice, ale gdyby zechciał, mógłby uchodzić za jednego z Runów, zakładając powłóczyste zarękawki i długie buty niby jakiś miejski Runao. Nie było to niezgodne z prawem. Tego się po prostu nie robiło. Większość Jana'atów, nawet tych urodzonych jako trzecie dzieci, wolałaby umrzeć, niż być wziętym za jednego z Runów. Ale większość Jana'atów, nawet tych urodzonych jako trzecie dzieci, nie posiadała nawet w przybliżeniu takiego bogactwa, jakie posiadał Supaari VaGayjur. To bogactwo było jego stygmatem i źródłem głębokiej satysfakcji.

Supaari namówił Chaypas, żeby weszła do środka, obawiając się, że przechodnie, wśród których było sporo jej pobratymców, zwrócą uwagę na te wstążki, zanim on sam opanuje rynek. Gawędząc beztrzesko, zaprowadził ją przez magazyn do swojego biura, jakby odwiedzała je po raz pierwszy, a potem zachęcił, by ułożyła sobie wygodnie poduszki, podczas gdy on przyrządzał jej ulubioną herbatę *yasapa*, a następnie sam ją obsłużył, żeby okazać jej szacunek. Supaari VaGayjur miał własne sposoby postępowania z klientami.

Usiadł naprzeciw niej, układając się wygodnie na poduszkach, dbając o to, by jak najwierniej naśladować jej pozycję. Przez jakiś czas gawędzili przyjaźnie o zbiorach *sinonja*, o zdrowiu jej męża, Manuzhaiego, i o możliwościach rozwiązania sporu między Kashanem i Lanjeri o nowe pole *k'jip*. Supaari zaproponował swoje pośrednictwo, jeśli starszyzna nie dojdzie do porozumienia. Nie chciał im się, rzecz jasna, narzucać i nie bardzo mu się uśmiechała długa, nużąca podróż do Kashanu, ale wiedział, że opłaca się nieco utrudzić, byle tylko każdy miał jego świeży zapach w nozdrzach.

– *Sipaj*, Supaari – powiedziała Chaypas, przechodząc wreszcie do celu swoich odwiedzin. – Ktoś ma dla ciebie coś ciekawego.

Sięgnęła do miękkiego woreczka i wyciągnęła z niego paczuszkę owiniętą misternie posplatany liśćmi. Podała mu ją, ale on z żalem opuścił uszy: jego dłonie nie były w stanie odwinąć liści z należytą dokładnością. Zażenowana, sama stuliła uszy, ale Supaari uznał ten gest za komplement. Wieśniacy VaKashani zapominali czasem, że Supaari jest Jana'atą. Biorąc pod uwagę okoliczności, należy się z tego cieszyć, pomyślał, ale dobrze wiedział, że za coś takiego jego najstarszy brat zabiłby Chaypas na miejscu, a średni brat kazałby ją uwięzić.

Przyglądał się, jak Chaypas zręcznie rozplątuje włókna, z wdziękiem manipulując swoimi cudownymi długimi palcami. Wyciągnęła do niego rozwinięte liście, na których leżało siedem owalnych ziaren – początkowo wziął je za jakieś żuki albo niezwykle małe *kintai*. Nachylił się i wciągnął w nozdrza ich woń.

Wrażenie było zupełnie niezwykle. Poczłł jakieś estry i aldehydy, była tam też z pewnością woń palonych cukrów, ale cała kompozycja zapachów była porażająco złożona. A wszystko to wydobywało się z siedmiu małych, brązowych, owalnych obiektów, z płytkim, podłużnym nacięciem pośrodku. Supaari ukrył swoje podniecenie z łatwością człowieka, dla którego udawanie jest istotnym warunkiem przetrwania. Oto miał w końcu przed sobą coś, co mogłoby zainteresować Hlavina Kitheriego, resztara Galatny.

– Czyjeś serce jest zadowolone – powiedział, unosząc ogon na tyle, by nie wzbudzić w niej niepokoju. – Niezwykły zapach, rzeczywiście bardzo ciekawy, jak mówiłaś.

– *Sipaj*, Supaari! Te *kafaye* dali komuś cudzoziemcy. – Użyła ruanijskiego słowa „ludzie z sąsiedniej doliny rzecznej”, ale oczy miała szeroko otwarte, a jej ogon drgał lekko. Supaari zdał sobie sprawę, że jest w tym finezyjny żart, ale pozwolił jej bawić się swoim kosztem. – Askama jest tłumaczem!

– Askama! – zawołał, podnosząc ręce i z wdziękiem postukując pazurami. – Dobre dziecko, szybko się uczy.

I brzydkie jak biała woda w wąskim parowie, pomyślał, ale w końcu to nie ma znaczenia. Skoro ktoś z domostwa Chaypas tłumaczy dla korporacji Kashanu, on, Supaari, będzie miał wyłączność na handel z tą nową delegacją. Jeśli nawet owa wyłączność nie wynikała z praw Jana’atów, to na pewno ze zwyczajowego prawa Runów, a w tym wypadku tylko to się liczyło. Na tym przecież zbudował całe swoje życie, a choć nie przyniosło mu to zaszczytów, dawało mu wiele z tego, co uznawał za najwyższą rozkosz: dreszcz ryzyka, intelektualne wyzwanie, a nawet coś w rodzaju wymuszonego poważania wśród krewnych i znajomych.

Gawędzili jeszcze przez chwilę. Szybko z niej wyciągnął, że te małe *kafaye* to tylko próbka z o wiele bogatszego składu towarów należących do owych cudzoziemców, którzy zatrzymali się w Kashanie, w domu samej Chaypas. Jeszcze bardziej zaciekała go informacja, że ci cudzoziemcy nie znają pojęcia zysku, bo oddają swoje towary za jedzenie i schronienie, choć mają do nich prawo jako podróżnicy. Sprytna metoda? A może to jakaś grupka koczowników, wciąż przywiązana do dawnych obyczajów, a więc i handlu wymiennego?

Supaari odłożył pakieciki, wewnątrznie zdyscyplinowany, nie pozwolił sobie na głębsze rozważenie możliwości, którą już z oddali wyczuwał: potomność i wyzwolenie się ze stanu żywego trupa, jakim się urodził. Wstał i ponownie napełnił czarkę Chaypas, pytając ją o najbliższe plany. Odpowiedziała, że zamierza odwiedzić partnerów handlowych w okręgu Eza. Niespieszno jej do domu. Reszta VaKashani wkrótce opuści wioskę, by zebrać korzenie *pik*.

– A ci cudzoziemcy? – zapytał.

Już planował podróż, może w środku Partanu, po deszczach. Ale najpierw Kitheri. Wszystko zależy od Hlavina Kitheriego.

– Czasami nam towarzyszą, czasami zostają w Kashanie. Są jak dzieci. – Wyglądało na to, że ją samą to dziwi. – Za mali, żeby wędrować jak dorośli, tylko jeden mógłby ich nieść. A ten jeden pozwala im chodzić!

Jeśli Supaari był uprzednio zaciekawiony, to teraz ogarnęło go zdumienie i zakłopotanie. Chaypas nie okazywała jednak zaniepokojenia, kołysząc się łagodnie, jak to często robiła, kiedy przyszło jej spędzić zbyt wiele czasu w widmowych domach.

– *Sipaj*, Chaypas – rzekł, prostując się wdzięcznie i zastanawiając, czy Awijan zdążyła już uzgodnić warunki z dostawcami wstążek. – Miałaś długą podróż! Czyjeś serce byłoby rade wysłać cię do Ezao w lektyce.

Uniosła ogon z radości i nawet lekko zadrżała, zamykając oczy. Graniczyło to z flirtem i Supaariemu przemknęła przez głowę myśl, że ta Chaypas jest bardzo pociągająca. Ale szybko zgasił iskrę, zanim buchnął płomień. Choć był trzecim dzieckiem, miał swoje standardy, często wyższe od tych, jakimi zadowalali się szlachetniej od niego urodzeni. Supaari VaGayjur potrafił być czarujący i wyrafinowany, ale w pewnych sprawach pozostawał typowym nowobogackim drobnomieszczaninem.

Wysłał gońca po lektykę i tłumiąc ziewanie, czekał z Chaypas na dziedzińcu. Lektyka przybyła po drugim zachodzie słońca. Ledwo widział Chaypas, gdy wspięła się na krzesło, ale woń jej wstążek wciąż do niego napływała; ta wieśniaczka miała wyjątkowo dobry gust, jeśli chodzi o wonności, pewną naturalną wytworność, którą Supaari szczerze podziwiał.

– *Sipaj*, Chaypas. Życzę ci bezpiecznej podróży do Ezao, a potem do domu.

Ona również pożegnała go uprzejmie i zachichotała, kiedy tragarze zakołysali krzesłem, unosząc lektykę.

Był to luksus, którego zaznało niewielu Runów: być niesionym w lektyce przez wąskie uliczki miasta jak jakiś pan. Supaari odczuwał nieklamane zadowolenie, wiedząc, że dzięki niemu długo będzie wspominać ten wieczór, w którym niesiono ją przez ulice zatłoczone miejskimi Runami, swobodnie zajmującymi się swoimi sprawami w różowej poświacie zachodu, kiedy Jana'atowie spali. Lekki wiatr od zatoki rozwiewał jej nowe wstążki, a ich zapach niósł się jak mgiełka pędzona powiewem znad kaskady. Jutro kupcy z całego Gayjuru będą chcieli zdobyć wstążki za każdą cenę, a cały ich zapas będzie w posiadaniu Supaariego VaGayjura.

Los chciał, że osobą, która miała wzbogacić nie znanych jej jeszcze inwestorów, była Sofia Mendes. Gęste czarne włosy, które zainspirowały Chaypas do wprowadzenia nowej mody, odrzuciła teraz beztrudno do tyłu, a wstążki, które wplotła w nie Askama, splątały się w nieładzie. Sofia, którą nietrudno było rozdrażnić, poodcinałaby je bez chwili zastanowienia, gdyby tylko miała pod ręką nożyczki. Choć nie było to w jej zwyczaju, zaparzyła sobie filiżankę kawy, ale okazało się, że jest za gorąca, aby ją wypić, i teraz stygła przy jej łokciu. Co za marnotrawstwo! W tym jednak momencie takie sprawy, jak piękno, ozdoby i zasobność, były jej jeszcze bardziej odległe niż zwykle, co oznaczało, że w ogóle się dla niej nie liczą. Jej intelekt był całkowicie pochłonięty znalezieniem wystarczająco nieuprzejmej reakcji na niewypowiedzianą, ale dostatecznie jasno sugerowaną przez Emilia Sandoza opinię, że jest głupia.

– Mogę ci to jeszcze raz wyjaśnić, ale nie mogę tego za ciebie zrozumieć.

– Jesteś nieznośny – szepnęła.

– Nie jestem nieznośny. Mam po prostu rację – odpowiedział, również szepem. – Jeżeli wolisz zapamiętać każdą deklinację z osobna, proszę bardzo. Ale wspólny wzór jest zupełnie oczywisty.

– To fałszywe uogólnienie. Nie widzę w nim żadnego sensu.

– Och, a przypisywanie rodzajów stołom, krzesłom i kapeluszom albo odmienianie rzeczowników na tej podstawie ma jakiś sens? Język jest arbitralny z samej swojej natury. Jeśli szukasz sensu, studiuj rachunek różniczkowy.

– Sarkazm nie jest argumentem, Sandoz.

Emilio wziął głęboki oddech i zaczął wszystko od początku.

– No dobra. Jeszcze raz. Tu nie chodzi o przeciwstawianie abstrakcji konkretowi. Jeśli spróbujesz narzucić tę zasadę językowi *Ruanja*, będziesz wciąż robić błędy. Tu chodzi o przeciwstawienie przestrzenności niewidzialnemu albo nie zwizualizowanemu. – Sięgnął po notes elektroniczny, który leżał pomiędzy nimi na stole, i stuknął lekko w klawisz edycji, dbając, by nie przestraszyć Askamy, która właśnie usnęła w jego ramionach. – Spójrz na tę grupę. Zwierzę, roślina albo minerał: te słowa oznaczają coś, co zajmuje jakąś objętość, a wszystkie odmieniają się według tego wzoru. Rozumiesz? – Wskazał na inną sekcję na ekranie. – Teraz dla kontrastu: te rzeczowniki odnoszą się do pojęć nie związanych z objętością. Myśl, nadzieja, uczucie, nauczanie. Ta grupa odmienia się według drugiego wzoru. Jasne?

Konkret i abstrakcja, cholera, myślała uparcie.

– Tak, to jasne. Ale nie rozumiem, dlaczego...

– Wiem, czego nie rozumiesz! Przystań się ze mną kłócić i słuchaj! – Zignorował jej wściekłe spojrzenie. – Ogólna zasada brzmi następująco: wszystko, co można zobaczyć, jest zawsze sklasyfikowane jako mające objętość, bo widzenie to nic innego, jak wiedza, że coś jest przestrzenne. I ta grupa podlega pierwszej deklinacji. Natomiast wszystko, czego nie widzisz, włączając w to rzeczy niewidzialne z samej swojej natury, należy do drugiej deklinacji. – Odchylił się gwałtownie do tyłu i natychmiast zerknął z niepokojem na Askamę, ale dziewczynka wciąż spała. – A teraz spróbuj obalić tę zasadę. No, proszę. Po prostu spróbuj.

Mam cię, pomyślała Sofia. Z twarzą rozjaśnioną słońcem, jak kość słoniowa, wychyliła się do niego, gotowa zadać mu ostateczny cios.

– Nie minęło dziesięć minut, jak Askama powiedziała: *Chaypas-ru zhari i washan*, używając przy tym tego, co nazywasz deklinacją niewizualną. A przecież Chaypas jest duży. Chyba się ze mną zgodzisz, że zajmuje kawał przestrzeni.

– Tak jest. Brawo! Wspaniale. A teraz pomyśl!

Traktował ją jak dziecko. Wlepiała w niego wzrok, gotowa wybuchnąć, aż nagle wszystko zrozumiała. Opuściła głowę między dłonie i mruknęła:

– Ale Chaypas odszedł. Więc nie można go widzieć. Więc nie użyje się deklinacji przestrzennej. Używa się deklinacji niewizualnej, choć Chaypas jest konkretem, nie abstrakcją. – Podniosła głowę. Sandoz uśmiechał się promiennie. – Nie cierpię, kiedy jesteś taki zadowolony z siebie.

Czarne, wesole oczy jarzyły się triumfem. Emilio Sandoz nie składał ślubów fałszywej skromności. Odwalił kawał porządnej analizy i był z siebie dumny, a przy tym nie uszło jego uwadze, że wygrał zakład Sofii z Alanem Pace'em. Nawiązali kontakt z Runami zaledwie siedem tygodni temu, a on już opanował podstawy ich gramatyki. Cholera, jestem naprawdę dobry, pomyślał i uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc, jak Sofia przygląda mu się zwięzonymi oczami, próbując wymyślić jakiś przykład, który by nie pasował do wyłożonych przed chwilą zasad.

– No dobra – burknęła, biorąc swój notes. – Poddaję się. Daj mi pięć minut na spisanie tego wszystkiego.

Stanowili dobry zespół. Sandoz był mistrzem w tej dziedzinie, za to Sofia o wiele lepiej pisała. Szybko i klarownie. Przekazali już na Ziemię trzy rozprawki autorstwa EJ. Sandoza i S.R. Mendes.

Skończywszy notatki, Sofia podniosła głowę znad ekranu notesu i obdarzyła go uśmiechem. Kiedyś, jako dziewczynka, spotkała już tę mieszaninę drapieżnej inteligencji i marzycielstwa, radosnej intelektualnej zadziorności i skłonności do przenoszenia się w zupełnie inny świat, całkowicie absorbujący i odległy. Te cechy przejawiali uczniowie jesziwy, których jej rodzice często zapraszali na obiad. Sandoz, który pozbył się niewygodnej w tym klimacie sutanny, miał na sobie luźne spodenki khaki i czarną koszulkę; jego skóra nabrała barwy cynamonu. Sofia, też już zbrązowiła, równie jak on smukła i podobnie ubrana, zrozumiała nagle, dlaczego Manuzhai była początkowo przekonana, że ona i Sandoz są „z jednego miotu”. Kiedy Manuzhai starała się im wyjaśnić na migi, o co chodzi, było to śmieszne i trochę krępujące, ale teraz już wiedziała, skąd Runao mógł dojść do takiego wniosku.

Askama przeciągnęła się i westchnęła. Emilio ocknął się i spojrzał na Sofię ze strachem. Askama była ukochaną istotą, ale bez przerwy paplała; takie drzemki były dla niego dobroczynnym wytchnieniem.

– Ciekawa jestem – powiedziała Sofia bardzo cicho, kiedy się upewnili, że Askama wciąż śpi – czy niewidomy Runao zawsze używa deklinacji niewizualnej.

– A to rzeczywiście jest ciekawe – przyznał, chyląc głowę z szacunkiem, a Sofia poczuła ciepłą satysfakcję, mogąc również pochwalić się inteligencją.

Rozmyślał przez chwilę, kołysząc się lekko na hamakowym krześle, z jedną nogą wspartą o łodygę *hampiy*, i przebierając palcami w miękkim futerku za uszami Askamy. Słoneczny uśmiech znowu zagościł na jego twarzy.

– Jeśli możesz wyczuć jakąś rzecz dotykiem, to tym samym wiesz, że zajmuje jakąś przestrzeń! Znajdź coś, co ma kształt albo fakturę. Zakład?

– Może *lejano* albo *tinguen* – podsunęła. – Nie wchodzę.

– Nie łam się! Mogę się mylić... ale wątpię. Spróbuj najpierw *lejano*.

Uśmiechnął się do wtulonej w jego pierś Askamy, a potem znowu spojrzął na stadko *piyanotów*, pasące się na równinie poza kępą *hampiy*, w której siedzieli.

– Tworzą uroczą parę, prawda? – powiedziała Anne do D.W., kiedy szli skrajem wąwozu, ponad wioską.

– Tak jest, szanowna pani – zgodził się D.W. – Rzeczywiście tworzą.

Reszta była czymś zajęta albo spała, więc Anne zaproponowała mu spacer, a D.W. był rad, że może jej towarzyszyć. Manuzhai ostrzegала ich wiele razy, żeby nigdy nie wychodzili z wioski w pojedynkę. Może ich porwać *djanada*. Nie mieli pojęcia, co to takiego, ale wędrowali parami, bardziej by uspokoić Manuzhai i innych Runów, niż z powodu strachu przed jakimiś drapieżnikami i zmorami.

– Jesteś zazdrosny? – zapytała Anne. – W jakiś sposób oboje do ciebie należą.

– Daj spokój. Zazdrość to chyba nie jest odpowiednie słowo – odpowiedział D.W., zatrzymując się na chwilę, by popatrzeć na Sofię i Emilia, bawiących się z Askamą w chowanego. Odwrócił się ponownie do Anne i uśmiechnął się do niej krzywo, a potem znowu spojrzął na zachód, poprzez rzekę. – To jest coś takiego, jak obserwowanie meczu, w którym Notre Dame gra z University of Texas w Bawelnianym Pucharze. Cholernie trudno przewidzieć, co z tego wyjdzie.

Anne roześmiała się i złożyła głowę na jego ramieniu.

– Och, D.W., kocham cię. Naprawdę. Zawsze miałam słabość do mężczyzn w mundurach.

Był to wyraźny wstęp i D.W. pozwalał jej się wciągnąć w tę rozmowę.

– Ty też? – Uśmiechnął się do niej.

– Piechota morska potrzebuje prawdziwych mężczyzn – zaintonowała Anne, cytując stare hasło dla rekrutów.

– Aha. No tak. No więc byłem. – Nadal wpatrywał się przed siebie. – Ale to było bardzo dawno i bardzo daleko stąd – zanucił cicho.

– O to chodzi. – Anne uśmiechnęła się. – Kochany, najbliższe ustronne miejsce znajduje się ponad cztery lata świetlne stąd. Sofia wie. Ja wiem. Marc...

– Jest moim spowiednikiem.

– Jimmy i George nie mają pojęcia, ale gdyby mieli, nie robiłoby im to żadnej różnicy. Zostaje Emilio.

D.W. osunął się powoli na kolana i zatrzymał Anne gestem ręki. Poruszając się ostrożnie, wyciągnął rękę ku kępce zakurzonych liści i zamarł w tej pozycji na kilka sekund. Potem błyskawicznym ruchem przykrył coś stuloną dłonią i podniósł: małe, dwunożne stworzonko, nazwane przez nich żmijoszyjką, które pracowicie drążyło sobie korytarz do czyjejs nory, w nadziei znalezienia tam smacznej przekąski. Podał je Anne.

– Czyż nie jest śliczna! Zobacz, widać parę śladowych przednich nówek! – zawołała, wyciągając zwierzątko do niego. – Nigdy nie udało mi się znaleźć czegoś takiego. Jesteś niesamowity.

– Jak będziesz miała tyle lat co ja, panienko, to będziesz wiedziała o wiele więcej o kamuflażu.

– Założę się, że ty wiesz o tym sporo. – Położyła z powrotem zmijoszyjkę przy kupce liści i ruszyli dalej. – Emilio cholernie cię podziwia, D.W. I trudno się dziwić. Prawdopodobnie nosi w sobie jakieś niewyżyte kompleksy na punkcie prawdziwego macho i tym podobnych bzdur. Powinien nad tym popracować. Na pewno by sobie z tym poradził.

– Do diabła, przecież wiem o tym. I nie wstydzę się, że jestem, jaki jestem. Ale powiem ci coś: gdyby Emilio o tym wiedział, kiedy był chłopcem, nie zbliżyłby się do mnie nawet na miłą. Przez tyle lat nie wiedział... Czy jest sens, aby teraz coś mówić? Niby po co?

– Żeby się uwolnić od ciężaru. Żeby być akceptowanym, całkowicie, tak jak ty. – D.W. uśmiechnął się i objął ją ramieniem. – A może się boisz, że stracisz w jego oczach?

– Zaraz, poczekaj. Widzisz, tu jest pewien problem, ale innego rodzaju. Boję się, że zyskam w jego oczach. To znaczy... boję się, że zaczęłyby to wszystko roztrząsać, a nie chcę, żeby teraz zawracał sobie głowę takimi błahostkami. Oczywiście powinien to kiedyś przemyśleć i zdać sobie sprawę, że zawsze grałem z nim uczciwie...

– Powiedzmy.

Roześmiał się.

– Rzeczywiście, może nie jest to najszcześliwszy dobór słów. – Zatrzymał się i czubkiem buta wydlubał z ziemi kamień.

– Ale nie kłamałem. Po prostu nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Nigdy go nie zapytałem, czy jest ze mną szczery, a on nigdy nie starał się dowiedzieć, czy ja coś przed nim ukrywam. Raz się zdarzyło, że byliśmy blisko tego tematu, kiedy mnie zapytał o innego faceta. Powiedziałem mu, że nie wszyscy powstrzymują się od tego samego.

– I co on z tego zrozumiał? – zapytała Anne, uśmiechając się lekko.

– Zrozumiał to dosłownie. – Spojrzał na południe, na góry, za którymi był grób Alana Pace’a. – Zrozum, Anne. Nie trzeba niczego zmieniać. Nie chcę nic od Emilia. To, co się działo w mojej głowie przed laty, to moja sprawa. I to już historia.

Nie mogła temu zaprzeczyć. Sama by tak powiedziała na jego miejscu. – Okay, okay. Zrozumiałam. – Doceniam twoje dobre chęci, Anne, naprawdę, i w innych warunkach może przyznałbym ci rację. Ale tutaj, teraz... – Nachylił się i podniósł kamień, który wygrzebał z ziemi, a potem cisnął go zgrabnie przez wąwóz. Kamień upadł po drugiej stronie i, grzechocząc po urwisku, potoczył się do rzeki. – Chodzi o większą sprawę. Doskonale wiesz, jak ja, że cała ta misja wciąż graniczy z cudem. A Emilio jest tu najważniejszy. Jest kluczem do całej tej wielkiej sprawy. Nie chcę mącić wody! Nie chcę, żeby teraz myślał o mnie. Albo o Mendes, jeżeli już o tym mowa. Nie zamierzam robić problemu z tego, że pracują razem, bo wychodzi im to bardzo dobrze. I odwalają kawał porządnej roboty naukowej. Ale... szczerze mówiąc, wstrzymuję oddech...

Zapadło milczenie. Anne usiadła na samej krawędzi skalnego urwiska, opuściwszy nogi w dół. D.W. stał przez chwilę, trochę mniej ufając stabilności skalnej formacji, ale w końcu usiadł obok niej i zaczął rzucać kamykami w przepaść.

– D.W., nie sprzeczam się z tobą. Po prostu pytam, rozumiesz? – Kiwnął głową, więc ciągnęła dalej: – Załóżmy, że Wiek Cudów jeszcze nie przeminął. Po prostu na użytek tej dyskusji. I zgódźmy się, że Emilio jest kimś wyjątkowym. Ale Sofia też jest kimś wyjątkowym, prawda?

– Jak dotąd zgadzam się z tobą.

– No dobra, więc mnie się po prostu wydaje, że takie sprawy, jak miłość, seks, rodzina, mają bardzo mocne, teologiczne uzasadnienie. Pewna obdarzona naprawdę dużym autorytetem Figura powiedziała kiedyś, że nie jest dobrze człowiekowi być samemu. Rzym, z jego wszystkimi samotniami, jest bardzo daleko. Na Ziemi minęło już dwadzieścia lat! Może księżom wolno już się żenić! Tak czy owak, nie potrafię zrozumieć, dlaczego Emilio miałby oszukiwać Boga, kochając Sofię.

– Anne, to jest naprawdę cholernie wydeptana ścieżka. – D.W. sięgnął za siebie i zgarpnął jeszcze jedną garść kamyków. Grymas bólu przemknął mu przez twarz, ale Anne uznała, że to reakcja na to, o czym mówią. – Och, do diabła, nie wiem! Może to by niczego nie zmieniło. Może byliby po prostu szczęśliwi i mieli gromadkę dzieciaków, i może Bóg kochałby ich wszystkich...

Siedzieli przez jakiś czas, przysłuchując się odgłosom rzeki i wpatrując w zachodnie niebo, rozpalone już barwami pierwszego zachodu. D.W. zdawał się nad czymś rozmyślać, więc Anne po prostu czekała, aż znowu przemówi.

– Nie złość się na mnie, Anne, ja po prostu jeszcze nie wiem wszystkiego. Działam na oślep. Ale wydaje mi się, że świętość, podobnie jak geniusz, wyrasta z natchnionej wytrwałości. To ustawiczne pragnienie jednego. I taką właśnie żelazną konsekwencję, taką koncentrację obserwuję u Emilia.

– D.W., mówisz poważnie? – Anne zamarła i wytrzeszczyła na niego oczy. – Myślisz, że Emilio jest ś...

– Wcale tego nie powiedziałem! Mówię abstrakcyjnie. Ale Marc i ja sporo się nad tym zastanawialiśmy i... widzę ku temu zadatki, a moim obowiązkiem jest je chronić, Anne. – Zawahał się przez chwilę, zanim wyznał: – Może nie powinienem tego robić, ale użyłem tego słowa w jednym z raportów do Rzymu. Powiedziałem im, że według mnie mamy tu do czynienia z autentycznym wielkim mistykiem. „Całkowicie oddany Bogu, a w pewnych momentach w pełnej komunii z Bożą miłością”, tak to ująłem. – Rzucił kilka ostatnich kamieni, otrzepał ręce z kurzu i wychyliwszy się, obserwował, jak kamienie toczą się z grzechotem po urwisku; łokcie wsparł na kolanach, grubokościste dłonie opuścił luźno między nogami. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie się z tym wiązą problemy techniczne – powiedział po chwili. – Nie uczyli nas tego w Słynnej Szkole Wyższych Przełożonych.

Anne uznała, że nie ma nic do powiedzenia. Patrzyła na obłoki na zachodnim niebie, puszyste jak bita śmietana zabarwiona truskawkami i malinami, jagodami i mango. Kolory wciąż ją tutaj zachwycały.

– I wierz mi, Anne, naprawdę nie zapominam w tym wszystkim o Mendes. Bardzo lubię tę dziewczynę i nie chcę, by stała się jej krzywda. Na zewnątrz to twarda sztuka, bardzo inteligentna, ale w środku to dziecko z poranionym sercem. Gdyby doszło do tego, że Milio miałby wybierać, wybrałby Boga, i aż boję się pomyśleć, jak by to przyjęła Sofia. Więc nie zachęcaj jej do przejęcia inicjatywy, dobrze? – Wstał. Anne zauważyła, że jest trochę blady, ale następne zdanie tak ją zaskoczyło, że przestała się zastanawiać nad jego wyglądem. – Szkoda, że Sofia nie zajęła się Quinnem albo Robichaux.

Anne też wstała i spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Jimmy, rozumiem, ale Marc? Myślałam, że on... no, wiesz. Myślałam...

– Że Robichaux jest gejem? – ryknął D.W. i pół tuzina zakrzepnic uleciało w powietrze. Objął ją kościstym ramieniem, najwyraźniej rozbawiony tym pomysłem. – Och, Anne! Nie-e-e-e. Trafiłaś jak kulą w płot. Marc Robichaux jest zakochany w Naturze przez duże „N”, a kobiety są dla niego najwspanialszą częścią Natury! To straszliwy kobieciarz. Na swój sposób też jest mistykiem. Dla niego Bóg jest wszędzie. Prawie jak w teologii islamu. Robichaux nie oddziela tego, co przyrodzone, od nadprzyrodzonego. Dla niego to jedna rzeczywistość i wielbi ją całą. Szczególnie, kiedy jest rodzaju żeńskiego. – Spojrzał z góry na Anne, wciąż gapiącą się na niego z otwartymi ustami, i roześmiał się. – To są dopiero problemy! Prowincja musiała posłać Marca do szkoły dla chłopców, żeby nie wpadł w jakieś kłopoty. Jak dotąd żadnej nie uwiódł, ale to cholernie przystojny facet, a jedno prowadzi do drugiego. Nie potrafiły odmówić, gdyby jakaś babka sama do niego przyszła. A przychodziły, to fakt. Wiesz, jak o nim mówiono? Najlepsza terapeutyczna kanapa w Quebecu.

– Będę o tym pamiętać – powiedziała Anne, zanosząc się śmiechem, ale nie byłaby sobą, gdyby nie dodała: – Więc celibat to tylko opcja.

– No... dla Marca, w pewnym sensie... tak, oczywiście w tych wczesnych latach. Bo później się ustatkował. Ale posłuchaj! Teraz lepiej zrozumiesz to, co chciałem ci powiedzieć o Emiliu. Dla Emilia podział na sferę przyrodzoną i nadprzyrodzoną jest czymś podstawowym. Bóg nie jest wszędzie. Bóg nie jest immanentny. Bóg jest gdzieś poza naturą, można Go tylko pragnąć, można do Niego dążyć. I musisz mi uwierzyć na słowo, ale dla Emilia celibat jest koniecznym warunkiem osiągnięcia Boga. To jedna z form koncentracji całego życia na jednej sprawie. I wydaje mi się, że to się u niego sprawdza. Nie wiem, czy on sam odnalazł Boga, czy może to Bóg odnalazł jego i wziął w posiadanie...

Teraz znowu zobaczyli kępę *hampiy*, kiedy blask słońca rozlał się z zachodu jak płynna miedź. Askama wciąż spoczywała w objęciach Emilia, najwyraźniej śpiąc. Głowa Sofii pochylała się nad ekranem przenośnego komputera. Emilio dostrzegł ich i podniósł rękę. Pomachali mu w odpowiedzi.

– Okay. Okay, teraz rozumiem – powiedziała Anne. – Będę się trzymała z daleka. Może to się jakoś samo rozwiąże.

– Mam nadzieję. To duża stawka, dla niego i dla niej. Dla nas wszystkich. – Przycisnął rękę do brzucha i skrzywił się. – Cholera.

– Nic ci nie jest?

– Nie, nic. To nerwy. Na wszystko reaguję żołądkiem. Wiedziałem, że ty wiesz, ale powiedzenie tego trochę mnie kosztowało.

– A jaka jest twoja teologia, D.W.? – zapytała, zatrzymując się na skraju ścieżki wiodącej w dół zbrocza.

– A niech cię, ale pytanie. W najlepsze dni? Staram się być otwarty na oba doświadczenia Boga: transcendentne i intymne. Ale są dni – dodał, uśmiechając się krótko – kiedy myślę, że tak naprawdę, to Bóg musi być jakimś kosmicznym błaznem.

Anne spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Anne, dobry Pan postanowił uczynić D.W. Yarbrougha katolikiem, liberałem, brzydalem, gejem i niezłym poetą, a potem kazał mu urodzić się w Waco, w stanie Teksas. Pytam się, czy to wygląda na robotę jakiegoś poważnego Boga?

Zaśmiewając się, ruszyli w dół stromą ścieżką, wiodącą do wykutego w kamieniu pomieszczenia, które teraz nazywali domem.

Osoba, o której rozmawiali, była całkowicie nieświadoma namiętności, jakie wzbudził w nich stan jego duszy. Emilio Sandoz pocił się niemiłosiernie, z Askamą wtuloną w jego łono i grzejącą go w to późne popołudnie jak czwarte słońce. Gdyby go teraz ktoś zapytał – zamiast spekulować, czy medytuje nad chwałą Boga, czy też dokonuje syntezy jakiegoś nowego i wysoce prawdopodobnego modelu gramatyki języka *Ruanja* – o czym właściwie myśli, odpowiedziałby bez wahania: „Myślę, że napiłbym się piwa”.

Piwo i sącząca się przez radio transmisja meczu piłki nożnej – to by był stan doskonałej pełni. Ale nawet wobec braku tych dwóch elementów prawdziwej rozkoszy, czuł się całkowicie szczęśliwy. I wiedział o tym.

Ostatnie tygodnie były zabarwione objawieniem. W La Perla, w Sudanie, w Arktyce, był świadkiem aktów wielkiej wspaniałomyślności, bezinteresowności i hojności serca i czuł, że w takich momentach bliski jest prawdziwego poznania Boga. Kiedyś zastanawiał się, dlaczego doskonały Bóg stworzył świat. Teraz wierzył, że po to, by okazać swoją szczodroblivość. Aby rozkoszować się docenieniem przez ludzi Jego wspaniałomyślnych darów. Może właśnie to oznacza odnalezienie Boga: dostrzeżenie tych darów, poznanie Bożej szczodroblivości, docenienie wartości rzeczy wielkich i małych...

Nieuchronnie przeminął ów czas, kiedy czuł się pochłonięty – wchłonięty i oczarowany – przez rzeczywistość o wiele większą od niego samego i wszystkiego, co go otaczało. Nikt nie może żyć długo w takim stanie. Wciąż to pamiętał, wciąż od czasu do czasu czuł ową tajemniczą moc, która niby potężna fala odpływu czai się w głębinach jego duszy, chcąc go ponownie porwać i pochłonąć. Przedtem zdarzało się, że nie potrafił skończyć żadnej modlitwy, że z najwyższym trudem zaczynał się modlić, bo słowa były niczym wobec tego, co odczuwał. Ale ten czas minął i nastały zwyczajne dni, choć nadal czuł, że jego istnienie jest niczym nie zasłużonym darem. Miał tu wszystko. Pracę, przyjaciół, prawdziwą radość. Czasami przenikała go fala świadomości tego wszystkiego, a intensywność wdzięczności sprawiała, że czuł ucisk w piersi.

Odnajdywał rozkosz w najprostszych czynnościach i najbardziej zwykłych chwilach. Jak teraz, kiedy siedział pod osłoną drzewa *hampiy* z Sofią i Askamą, na równinie, gdzie mógł pracować popołudniami, kiedy inni spali, bez tych wszystkich nużących przerw i dogadywania. Chaypas pokazał im, jak zrobić sobie cudowne przewiewne schronienie, wycinając korytarz wiodący do naturalnej samotni pośród drzewa. Starsze drzewa miały w średnicy od piętnastu do dwudziestu stóp, a zbudowane były z trzydziestu do czterdziestu prostych łądyg zakończonych baldachimem liści. Ten baldachim był tak gęsty, że chronił przed deszczem. Wewnętrzne łądygi same obumierały, tak że wystarczyło je powycinać i przynieść sobie poduszki albo hamaki.

Ukołysana popołudniowym skwarem, nudnymi dyskusjami i tą szczególną monotonią cudzoziemskich głosów, Askama zasypiała, w pełni odprężona, a on czuł jej leniwy oddech i słodki ciężar jej ciała. Sofia z uśmiechem wskazywała dziecko ruchem głowy i oboje jeszcze bardziej przyciszali głos. Niekiedy po prostu siedzieli i czuwali nad jej snem, ciesząc się rzadkimi chwilami ciszy.

Inni uskarżali się na ustawiczną gadaninę i fizyczne natręctwo Runów, którzy uwielbiali bliskość ciał: plecy przy plecach, głowy złożone na cudzych piersiach, ramiona oplecione wokół ramion, ogony owinięte wokół nóg, gęste ciepło buchające z rozgrzanych ciał w chłodnych, jaskiniowatych pomieszczeniach wydrążonych w skalistym zboczu. Dla Emilia było to cudowne. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo brakowało mu cudzego dotyku, jak był osamotniony przez blisko ćwierć stulecia, otoczony niewidzialną barierą, oddzielony od innych grubą warstwą powietrza. Runowie byli instynktownie fizyczni i uczuciowi. Jak Anne, myślał, ale o wiele bardziej.

Emilio odgarnął jedną ręką włosy z czoła i patrzył na Askamę, kołysząc się w hamakowym krześle, które zaprojektował dla niego George. Wykonała je Manuzhai, korzystając ze szkicu George'a, ale wkładając w to własną inwencję i zdobiąc trzciniową plecionkę skomplikowanym deseniem. Manuzhai często towarzyszyła im, gdy kryli się z Askamą wewnątrz drzewa *hampiy*, a Emilio uwielbiał jej niski, chrapliwy głos. Trochę podobny do głosu Sofii, ale dość niezwykły, jak na Runę. Uwielbiał też melodykę języka *Ruanja*. Jego rytm i dźwięki przypominały mu portugalski, tak miękki i liryczny. Co za rozkosz pracować nad takim językiem, pełnym strukturalnych niespodzianek i konceptualnych perełek...

Sofia odchrząknęła, a on wiedział już, że coś znalazła, kiedy odchyliła się do tyłu i spojrzała na niego złowrogo.

– *Lejano 'nta banalja* – przeczytała. – *Tinguen'ta sinoa da*. I to, i to przestrzenne.

– Zauważ, jeśli łaska – odpowiedział z powagą na twarzy i z uśmiechem w oczach – że przyjmuję twoje rewelacje z godnym podziwu brakiem samozadowolenia.

Uśmiechnęła się uroczo do tego mężczyzny, którego z dumą nazywała swoim kolegą i przyjacielem.

– Udław się gównem – powiedziała łagodnym tonem.

– Doktor Edwards ma żaloszny wpływ na twoje słownictwo – zauważył Emilio z suchą naganą w głosie, a potem dodał: – *Á propos*, gówno z pewnością odmienia się według wzoru deklinacji przestrzennej, ale co z pierdnięciem? Jak sądzisz, czy to kategoria obiektów niewizualnych, czy też może Runowie uważają, że takie zapachy implikują istnienie czegoś konkretnego i namacalnego? Twoja beztroska jest niepożądana, Mendes. To poważny problem lingwistyczny. Możemy z tego zrobić jeszcze jeden niezły artykuł.

Sofia ocierała łzy.

– I gdzie go opublikujemy? W „Międzyplanetarnym Kwartalniku Gazów Jelitowych i Nieprzyzwoitych Odgłosów”?

– Poczekaj! Mamy tu inną kategorię. Odgłos. Zaraz. Niewizualne. Musi być. No, może nie. Spróbuj *enroa*.

– Poddaję się. Mam dosyć – oświadczyła Sofia. – Za gorąco i twoje wygłupy zaczynają przekraczać granice dobrego tonu.

– Ale przynajmniej nie okazuję samozadowolenia.

Askama, obudzona wybuchami śmiechu, ziewnęła i wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na Emilia.

– *Sipaj*, Milo. Co to jest samozadowolenie?

– Zaraz zobaczymy – powiedziała Sofia, udając, że szuka w komputerowym słowniku. – Jest! Samozadowolenie. To znaczy: Sandoz, przecinek, Emilio, patrz również: nieżnośny.

Ostentacyjnie ignorując Sofię, Emilio obdarzył Askamę czułym spojrzeniem i zapewnił ją z powagą:

– To takie pieśczośliwe wyrażenie.

Zebrali zabawki Askamy, laptopy i filiżankę Sofii, którą opróżniła jednym haustem, i ruszyli przez równinę ku kamiennej wiosce w ukośnych promieniach słońc. Jedno już zachodziło, drugie szybko opadało ku horyzontowi, tylko trzecie, o wiele bardziej przyćmione i czerwone, widniało jeszcze wysoko na niebie. Wciąż było bardzo gorąco, choć Jimmy Quinn przepowiadał, że pogoda może się wkrótce zmienić. Deszcze były coraz bardziej skąpe, a gorące powietrze bardziej suche. Runowie nie potrafili powiedzieć nic na ten temat. Pogoda to pogoda, nie ma tu nic do rozważania, z wyjątkiem grzmotów, których się bali i które wywoływały mnóstwo komentarzy.

Sofia wyprzedziła ich i przybyła do wioski nie niepokojona przez dzieci, które opadły chmarą Sandoza w nadziei, że pokaże im jakąś zadziwiającą sztukę. Większość VaKashani drzemała w czasie upału i wioska dopiero się budziła do drugiej rundy codziennych czynności. Emilio zatrzymywał się co chwila, by porozmawiać z wieśniakami w wąskich przejściach i na zalanych słońcem tarasach, podziwiając świeżo nabyte umiejętności maluchów, zadając pytania, które pozwalały dzieciom pochwalić się jakimiś nowymi kompetencjami i przyjąć drobne poczęstunki. Kiedy dotarł do domu, zapadał zmierzch i Anne pozapalała już obozowe latarnie, źródło niemego podziwu Runów, których z początku dziwiło, że cudzoziemcy mają takie małe oczy i w dodatku bez podwójnych źrenic, ale którzy z dużym zainteresowaniem przyglądali się wszystkim sposobom kompensacji tego niewątpliwego upośledzenia.

– Małe Aychi już chodzi – oznajmił Emilio, wchodząc do chłodnego pomieszczenia z tarasu, w towarzystwie Askamy i jej trzech przyjaciółek, połączonych z nim różnymi członkami i oczywiście rozgadanych.

– Małe Suway też – odpowiedziała Anne. – Czy to nie czarujące? W okresie, w którym ludzkie dzieciaki zaledwie siadają na pupie, te brzdące strzelają ogonkami i łapią się jak kociaki. Nie ma nic tak uroczego, jak niezdarne funkcjonowanie nierozwiniętego systemu nerwowego.

– Czy ktoś widział już jakieś niemowlę? – zapytał Marc z kąta wielkiego pokoju o nieregularnych kształtach. Tego ranka zakończył dokonywanie spisu ludności; prawdę mówiąc, były to bardzo przybliżone dane, bo miał duże kłopoty z oddzieleniem jednych od drugich i od siebie. – Struktura zaludnienia jest tu bardzo osobliwa, chyba że mają jakieś specjalne okresy, w których się rozmnażają. Między grupami wiekowymi istnieją długie przerwy. Biorąc pod uwagę liczbę dojrzałych dorosłych, powinno tu być o wiele więcej dzieci.

– A ja sądzę, że jest aż za dużo – odpowiedział Emilio, podnosząc nieco głos, żeby przekrzyczeć hałas, jaki robiła czwórka dzieci. – Legiony. Hordy. Armie.

Anne i Marc wdali się w dyskusję nad śmiertelnością niemowląt, w którą Emilio daremnie próbował się włączyć, bo Askama ciągnęła go za rękę, a Kinsa włożyła mu na plecy.

– Ale wszystkie wyglądają na bardzo zdrowe – mówiła Anne.

– Zdrowe i głośne – powiedział Emilio. – *Sipaj, Askama! Asukar hawas Djordj. Kinsa, tupa sinchiz k'jna, je?* George, błagam, tylko dziesięć minut! Jimmy...

George porwał Askamę w objęcia, a Jimmy odciągnął uwagę reszty dzieci na tyle, że Emilio mógł wymknąć się samotnie nad rzekę i w spokoju wykapać przed obiadem. Po powrocie stwierdził, że domowników jest mniej niż zwykle. Askama poszła bawić się z przyjaciółmi, jak to często robiła, kiedy traciła Emilię z pola widzenia. Manuzhai wybrała się z jakąś wizytą. Mogła w ogóle nie wrócić, a mogła wrócić z pięcioma lub sześcioma gośćmi i zaprosić ich na noc. Chaypasa już dawno nie było i nikt nie wiedział, kiedy wróci. Runowie dość często tak znikali – na kilka godzin, dni lub tygodni. Wydawało się, że nie przywiązują żadnej uwagi do czasu. Nie używali kalendarzy ani zegarów. Najbliższe pojęcie, jakie udało się znaleźć Sandozowi, dotyczyło dojrzewania i składało się z całej serii słów.

– Pani Mendes powiada, że zachowywałeś się dziś nienagannie – powiedział D.W., zaciągając niemilosiernie.

– Nic takiego nie mówiłam – warknęła Sofia. – Powiedziałam, że spędził popołudnie, nie czyniąc dzieła sztuki ze swojego samozadowolenia. To jego analiza językowa była wspinała.

– Istotna różnica – odezwała się Anne. Postawiła z hałasem misę na drewnianym stole i opadła na poduszki obok George’a.

– Czy on nie jest okropny, kiedy ma rację?

– Jestem prostym człowiekiem, staram się tylko robić to, co do mnie należy – powiedział Emilio zbołałym tonem i ciągnął dalej, nie zważając na ich jęki: – I za to sypią mi się na głowę same drwiny i sarkastyczne docinki.

– No dobra, ale co z tą wspinałą analizą? – zapytał D.W. zrzędlwym tonem. – Chyba wiesz, synu, że muszę pisać raporty.

Odstawił swój talerz, a Emilio zrobił to samo, nasycony kąskami, które mu wciskano, kiedy szedł przez wioskę. D.W. zauważył kiedyś, że Runowie, podobnie jak Jimmy Quinn, nieustannie coś jedzą. Nie było sposobu, by odwiedzając kogoś, uniknąć poczęstunku, a pojęcia „nie jestem głodny” chyba w ogóle nie znali.

W ten sposób zapasy przywiezione z Ziemi mogły starczyć na dłużej, niż się spodziewał. Co prawda jedzenie, którym częstowali ich Runowie, nie stawało się przez to łatwiejsze do przełknięcia, ale zawierało wystarczającą ilość substancji odżywczych.

Przez następne dziesięć minut Emilio wyjaśniał zasady deklinacji, które wykrył tego ranka. Ku głębokiej satysfakcji Sofii, wszyscy początkowo pomylili te pojęcia z kategoriami rzeczowników abstrakcyjnych i konkretnych. Kiedy już zrozumieli, uznali model Emilia za doskonały, a Anne oświadczyła, że Emilio otrzymuje prawo czucia się lepszym od wszystkich przez trzydzieści minut, które zobowiązała się liczyć. Odmówił przyjęcia tego zaszczytu, twierdząc, że już sam zaspokoił swoje potrzeby w tym względzie.

– Nie osiągnąłbym tak wiele w tak krótkim czasie, gdyby nie Askama. A zresztą – dodał z powagą – całe obszary tego języka są dla mnie wciąż niedostępne. Na przykład nie mam pojęcia o rodzajach.

Jimmy opadł na poduszki, a D.W. mruknął:

– Nie dotykałbym tego nawet dziesięciostopową tyczką.

Anne zakrzuszyła się jedzeniem, a wszyscy ryknęli śmiechem.

Emilio zaczerwienił się i poradził im, żeby wreszcie dorośli.

– Ciekaw jestem, jak by zareagowali na przekaz audiowizualny. Albo na zapis wideo – powiedział George, waląc Anne w plecy, żeby pomóc jej złapać oddech. Jak dotąd dbali o to, by nie ujawniać przed Runami wszystkich technicznych możliwości. Każdy używał komputera do swoich badań, ale poza tym starali się żyć tak, jak ich gospodarze.

– Marc, jakiej deklinacji używają, kiedy mówią o twoich szkicach? – zapytał Emilio. – Tworzysz iluzję przestrzeni. Powinni używać deklinacji przestrzennej, mówiąc o samym papierze, ale co z rysunkami?

– Nie pamiętam. Następnym razem zwrócę na to uwagę. Czy ktoś widział, co robi Kanchay? Obserwowała mnie, kiedy parę tygodni temu robiłem jakiś portret, a potem poprosiła o materiały. Chyba nigdy przedtem nie widziała dwuwymiarowych przedstawień, a już namalowała coś naprawdę pięknego.

– A więc tak to się zaczęło! – zawołał George. Sprawiało to wrażenie spontanicznego zapłonu. Nagle, ni stąd, ni zowąd, na kupieckich łodziach pojawiły się tusze, barwniki i papier. I każdy rysował i malował. Takie nagłe mody często opanowywały wioskę. Czasami było to dość denerwujące. Należało uważać, żeby publicznie nie wydmuchać nosa, w obawie, że zacznie to robić cała wioska, traktując jako modne hobby.

– Wiecie co? Zaczynam myśleć, że Bóg naprawdę ukochał ich najbardziej – powiedziała Anne tonem zazdrosnego dziecka. – Po pierwsze, ich planeta jest o wiele milsza od naszej. Cudowne rośliny, wspanialsze barwy. Po drugie, są od nas ładniejsi. I mają zwinniejsze ręce.

Runowie też mieli po pięć palców, ale oba zewnętrzne poruszały się samodzielnie, co sprawiało wrażenie, że przy pracy posługują się czterema dłońmi. Anne fascynował sposób, w jaki Askama siadała Sandozowi na kolanach i zabierała się do splatania swoich wstążek, tworząc najrozmaitsze wzory. Każdy splot miał inny zapach i inny zestaw kolorów; głównie na tym polegała aktualna moda, i chyba na tym, wokół czego wstążki oplatano.

– Nasze kciuki i palce wskazujące są dość sprawne, ale Runowie muszą nas chyba uważać za kaleki.

– Nie, nie zgadzam się z tym – powiedziała Sofia. – Kiedyś zapytałam Warsoę, czy nasze ręce wydają im się dziwne, a on odpowiedział: „Jeśli możesz wziąć nimi jedzenie, masz dobre ręce”. Bardzo praktyczny punkt widzenia.

– To naprawdę wspaniali rzemieślnicy – stwierdził Marc.

Zgoda, ręce mają wyjątkowo zręczne – powiedział George – ale to nie oni wynaleźli radio. Ani cokolwiek, co wykracza poza dłuto.

– Znają szkło, metale, ceramikę – zauważył Marc.

– To przedmioty handlu – upierał się George. – Nie wytwarzają tego w tej wiosce. Przykro mi to stwierdzić, chłopcy i dziewczęta, ale nie uważam ich za bardzo inteligentnych.

Emilio już miał zaprotestować, powołując się na szybkość, z jaką przyswajała sobie wszystko Askama, ale pomyślał, że George ma chyba rację. Runowie byli bardzo dobrymi obserwatorami i łatwo się uczyli, ale rzeczywiście niektórych można było podejrzewać, że są umyślowo ograniczeni.

– Technologiczną podstawą tej społeczności jest zbieractwo – mówił dalej George. – Zbierają żywność. I kwiaty. Niech mnie szlag, jeśli wiem, po co.

– Handel wonnościami – powiedziała Sofia. – Odnoszę wrażenie, że w mieście jest rozwinięta wytwórczość. Sandoz, czy ja ci mówiłam, że odkryłam, jak się to miasto nazywa? Gaiger albo Gaidjur, coś takiego. Każda wioska specjalizuje się w handlu jakimś surowcem. – Pozwolono jej uczestniczyć w czymś, co wyglądało na radę wioskową, i zebrała tam mnóstwo ciekawych informacji. – W Kashanie są nim kwiaty potrzebne do wyrobu wonności. Myślę, że Runowie interesują się zapachami i wonnościami o wiele bardziej od nas. Właśnie dlatego tak sobie cenią naszą kawę.

Anne odchrząknęła i lekko wskazała głową na D.W., szczerząc zęby.

Yarbrough burknął coś, ale starał się nie dać wyprowadzić z równowagi. Ku jego rozpaczy, kawa okazała się ich najcenniejszym produktem wymiennym. A właściwie gorzej, bo chodziło nie tyle o kawę, ile o sam jej aromat. Sofia naparzała sobie kubek piekielnego wywaru po turecku, a Manuzhai brała kubek w obie dłonie, wdychała aromat, a potem przekazywała sąsiadowi. W ten sposób kubek okrążał wszystkich gości, a kiedy kawa wystygła, oddawali ją Sofii, która musiała wypić to zimne świństwo. Za podzielenie się z kimś zapachem kawy mogli dostać prawie wszystko.

– Ale George ma rację – powiedział Jimmy, który również miał już trochę dosyć Runów. Obaj pracowali ostatnio nad gromadzeniem danych astronomicznych i meteorologicznych, ale kusiło ich miasto z nadajnikami radiowymi. – Przecież tu prawie nie ma rozwiniętej technologii. Nie zauważyłem, żeby mieli radio. To nie mogą być Śpiewacy. Oni w ogóle nie lubią muzyki!

D.W. chrząknął potwierdzająco. Od czasu pierwszej mszy, na którą zaprosili Runów, zrezygnowali ze śpiewu, który wyraźnie niepokoił i drażnił mieszkańców wioski. Z początku sądził, że to skutek rytualnych aspektów nabożeństwa, bo sami Runowie zdawali się nie mieć własnych ceremonii religijnych. Okazało się jednak, że jeśli liturgia jest cicha, Runowie byli zachwyceni, zwłaszcza kadzidłem. Nie chodziło więc o rytuał; wyraźnie przeszkadzał im sam śpiew.

– Ktoś musi robić łodzie, szkło i całą resztę – powiedział Marc. – Przypomnijcie sobie, jak to jest na Ziemi. Gdy się odwiedzi wyżyny Boliwii, to jakby się przeniosło do średniowiecza. A wystarczy pojechać do La Paz. Projektują tam elementy satelitów i dokonują skomplikowanej syntezy farmaceutyków. Ta wioska funkcjonuje po prostu na krawędzi jakiejś bardziej rozwiniętej kultury.

– I, prawdę mówiąc, nie ma tu większego zapotrzebowania na wytwory przemysłu – dodała Anne. – Prawie zawsze jest jasno, komu zatem potrzebne jest światło elektryczne? Wszędzie pełno rzek, więc po co budować drogi i środki transportu? Jedzą różne świnięta, tylko czekają, aż coś dojrzeje. Po co orać, skoro można po prostu zerwać albo podnieść?

– Gdyby tacy jak ty zarządzili światem – powiedział George – wciąż byśmy żyli w jaskiniach.

– *Quod erat demonstrandum* – zaintonował Jimmy, wskazując ręką na kamienne ściany. Rozległy się okrzyki aplauzu, tylko Anne milczała.

Emilio śmiał się, ale w tym czasie stracił już wątek dyskusji, jak mu się to często zdarzało, kiedy zbyt wielu ludzi wyrażało zdecydowane opinie; nigdy nie znosił ćwiczeń seminaryjnych. Gdzie jest Askama, zastanawiał się, i już mu jej brakowało. Towarzyszyła mu nieustannie, więc traktował ją trochę jak własne dziecko, a pewne aspekty tego dziwnego międzygatunkowego pseudoojcostwa sprawiały mu dużą przyjemność. A jednak VaKashani, choć zwykle zwracali się do niego po imieniu, czasami używali terminu, który czynił z niego starszego brata Askamy.

A kiedy zdarzało mu się nieopatrznie pogwałcić jakieś miejscowe zasady, Manuzhai strofowała go ostro, jakby i on był jej dzieckiem. Z drugiej strony istniał przecież pewien rodzaj ich wzajemnych stosunków, który można było nazwać handlowym, bo dotyczył wymiany dóbr. Tworzyło to dość skomplikowaną sytuację, w której nie bardzo wiedział, czego się po nim spodziewają.

Jego status wśród reszty załogi również nie był jasny. Kiedy po raz pierwszy stracił kontakt z rzeczywistością podczas mszy, wzbudziło to ogólny niepokój, ale ani Marc, ani D.W. nie okazali tego na zewnątrz; potraktowali go raczej troskliwie, jakby był w ciąży – tylko takie porównanie przyszło mu do głowy. Natomiast Sofia bezbłędnie przybrała w słowa to, co czuł. „Upijasz się Bogiem, Sandoz”, powiedziała pewnego popołudnia, a on dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że to, co wydawało mu się jego skrytym, wewnętrznym przeżyciem, jest widoczne dla innych. Chciałby mieć dość czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć, ale wciąż coś się działo, a nawet wówczas, kiedy miał chwilę dla siebie, jego myśli błądziły wokół piwa i baseballu.

Kamyk wylądował na jego piersi.

– Sandoz – powiedziała Sofia – mówię do ciebie!

Uniósł się na łokciu.

– Co?

– Moje pytanie brzmiało: czy język *Ruanja* wykazuje jakieś pokrewieństwo z językiem tych pieśni?

– Wątpię. Podejrzewam, że są całkowicie różne.

– No właśnie! – zawołał George. – Widzicie? Powtarzam: powinniśmy odwiedzić to miasto...

Emilio poczuł się nieswojo. Wyprawa do miasta nie budziła w nim entuzjazmu. Tutaj czuł się bardzo dobrze, co pewnie wiązało się z uczuciowym przywiązaniem do Askamy i innych mieszkańców wioski, zniechęcała go też perspektywa uczenia się nowego języka. Zdarzało się już, że musiał mieć do czynienia z dwoma lub nawet trzema językami równocześnie, ale zawsze w pobliżu był ktoś, kto mówił po łacinie albo po angielsku. Bez Askamy lub kogoś takiego jak ona poznanie języka Śpiewaków nie będzie takie proste. Poczekał na przerwę we wznieconej na nowo dyskusji i powiedział:

– Myślę, że jeszcze za wcześnie na wyprawę do miasta.

– A niby dlaczego tak myślisz, synu? – zapytał D.W.

– To dopiero siedem tygodni! Po prostu nie jestem jeszcze przygotowany do poznawania innego języka i kultury. Zrobię to, jeśli będę musiał, ale wolałbym najpierw zdobyć gruntowną znajomość *Ruanja*. – Nagle zmienił ton i zaczął się usprawiedliwiać.

– Wybaczcie mi. Zdaje się, że was wstrzymuję. W porządku. Dam sobie radę. Jeśli wszyscy tego chcą, powinniśmy tam iść.

Marc przeniósł powoli wzrok z twarzy Emilia na twarz D.W.

– Jak dotąd instynkt Emilia nas nie zawiódł. Posuwamy się krok po kroku i możemy być zadowoleni z wyników. Tutaj możemy się jeszcze wiele nauczyć. Nie powinniśmy go przynaglać. – Zamilkł na chwilę, odchrząknął i zakończył konkluzją:

– Myślę, że moglibyśmy jeszcze trochę tutaj zostać.

– Przybyliśmy tu z powodu tych pieśni – upierał się Jimmy.

– To jest cel naszej wyprawy: poznać tych Śpiewaków.

– To prawda – powiedział Emilio do Marca, wzruszając ramionami.

Było mu już wszystko jedno.

– No dobra. – D.W. przerwał dyskusję, podnosząc rękę. – Podejmiemy decyzję wieczorem, ale już czas, żeby się zastanowić, co dalej.

– George, przyznaję, że sposób myślenia Runów bywa dość prymitywny, ale zaledwie poznaliśmy podstawy ich języka i trudno powiedzieć, że wiemy o nich wszystko – powiedział Emilio.

– To, co wydaje nam się naiwnością, może być subtelnością, do której nie mamy dostępu. Czasami bardzo trudno jest odróżnić ignorancję od braku inteligencji. My sami możemy być trochę niezrozumiali dla Runów.

Opadł z powrotem na poduszki.

– Słusznie – poparła go Anne. – No i co wy na to, jajogłowi?

– Skoro mowa o jajkach, to wolałbym zjeść prawdziwą jajecznicę z czterech jaj niż to – powiedział George, wskazując na misę z resztkami czegoś, co nazywali „paszą”. Manuzhai obrażała się, kiedy coś zostawiali. – To nie jedzenie. To przeżuwanie.

– Pomaga, jak się myśli o tym jako o sałatce – poradził Emilio, patrząc w sufit. – Ale nie bardzo.

– Można by dodać trochę roquefortu – mruknął Marc. Wziął jeden liść i przyjrzał mu się krytycznie. – Kuchnia Runów ma chyba w sobie jakieś *je ne sais quoi*.

– O wiele za dużo tego *quoi*, jak na mój gust – powiedział kwaśno D.W.

Emilio uśmiechnął się i już miał to skomentować, kiedy spostrzegł, że D.W. ma zamknięte oczy, co było dość dziwne.

– Emilio – odezwał się Marc, przerywając mu myśli – zapytałeś kogoś, czy moglibyśmy tu założyć coś w rodzaju poletka doświadczalnego? Chciałbym spróbować.

– Gdyby się nam udało wyhodować własną żywność, może przestaliby uważać, że muszą nas karmić tym świństwem – powiedział George. Wiedział, że jeśli wezmą się do hodowli, będą musieli zostać tu dłużej, ale w Cleveland słynął jako dobry ogrodnik i perspektywa doglądania wzrostu roślin wydała mu się całkiem niezłą rekompensatą. Jimmy będzie się niecierpliwił, ale to już jego problem. – Może po prostu chcą być uprzejmi.

Anne pokiwała głową.

– Nie jestem wybredna, ale nie jestem też jakąś Bambi. W tym świństwie jest za dużo gałązek.

– Te gałązki są w tym wszystkim najlepsze! – zawołał Jimmy. Anne wytrzeszczyła na niego oczy. – Naprawdę! Smakują jak chiński makaron!

– A mnie to smakuje – oświadczyła Sofia. Rozległy się jęki, ale Jimmy popatrzył na nich triumfująco. – Poważnie. Przypomina mi kuchnię z Kyoto. Albo z Osaki.

– *De gustibus non est disputandum* – warknął D.W. i dodał ponuro: – Ale fakt, że są ludzie, którym smakuje gówno. To żarcie jest po prostu straszne.

Emilio usiadł i spojrzął na niego, ale w końcu oświadczył, że według niego Manuzhai trudno będzie przekonać do idei ogródka.

Jimmy zaczął zmywać naczynia, co należało do jego obowiązków od czasu, gdy ciężar zadań badawczych przejęli lingwiści. Emilio odczekał, aż pomieszczenie trochę się opróżni, bo wszyscy zaczęli się rozchodzić do swoich popołudniowych zajęć, i podszedł do D.W., wciąż ślęczącego nad nietkniętym talerzem.

– *¿Padre?* – powiedział, siadając obok niego tak, aby spojrzeć na jego twarz, pomarszczoną i posępną, teraz zakrytą kościstymi palcami. – *¿Estas enfermo?*

Anne usłyszała to pytanie i podeszła do stołu. D.W. oddychał szybko, ale kiedy Emilio dotknął jego ramienia, podskoczył, jakby go ktoś dźgnął szpikulcem.

– Przestań! – krzyknął.

Anne stanęła między nimi i przemówiła do niego łagodnie, a on odpowiadał monosylabami na jej pytania. Potem nagle wyprostował się, jęknął i mocno uściskał ramię Emilia.

WIOSKA KASHANI MIASTO GAYJUR

Trzecia Piąta Na'alpy

W ciągu godziny okazało się, że D.W. Yarbrough jest ciężko chory. Emilio wyszedł, żeby poszukać Manuzhai, i znalazł ją w jednym z największych pomieszczeń, otoczoną krewniakami rozprawiającymi o jakimś *pik*. Kiedy wszedł, wszyscy zastrzygli wyczekująco uszami, więc próbował im wyjaśnić, że coś niedobrego dzieje się z D.W., i spytał ich, czy rozpoznają te objawy, co mogło je spowodować i co można na to poradzić.

– Z każdą chorobą jest tak samo – powiedziała mu Manuzhai. – Jego serce chce czegoś, czego nie może dostać.

– A nie mogło tego zrobić jakieś zwierzę? Jego brzuch... jego jelita... tak. – Zaciśnął dłonie. – Może robi to jakieś jedzenie?

Spowodowało to ożywioną dyskusję, polegającą głównie na wyliczaniu uświęconych zasad dotyczących spożywania różnych rzeczy, przy czym każdy po kolei raczył go opowieściami, jak to ten i ów zachorował, bo pomieszał długie rzeczy z okrągłymi, co z kolei wyzwoliło masę sceptycznych komentarzy, z których wynikało, że niektórzy udają, że coś im dolega, żeby wymówić się od roboty, bo można do woli mieszać okrągłe z długim i nic się nie dzieje. W końcu Emilio zaczął się ostentacyjnie kołysać na boki, aby dać im do zrozumienia, że poważnie się niepokoi.

Manuzhai chyba zrozumiała jego niepokój, bo wstała i wyprowadziła go na zewnątrz, upierając się, że sama zaprowadzi go z powrotem do domu; nigdy nie zdołali jej przekonać, że widzą dobrze w mętным świetle najmniejszego z rakhatańskich słońc. Askama wyszła razem z nimi, trzymając się matki, ale w końcu spojrzała na Emilia i zapytała z dziecięcą naiwnością:

– *Sipaj*, Milo, czy rano Di już nie będzie?

Emilio nie odpowiadał. Uważał, że zawsze trzeba mówić prawdę, a po śmierci Alana Pace'a wszystko wskazywało na to, że Yarbrough nie przeżyje tej nocy. Brakowało mu jednak słów, by wypowiedzieć to na głos.

– Może – odpowiedziała za niego Manuzhai, podnosząc ogon i pozwalając mu opaść, co, jak mu się wydawało, było odpowiednikiem wzruszenia ramionami. – Chyba że dostanie to, czego chce jego serce.

Emilio odzyskał głos i powiedział:

– Ktoś myśli, że Di coś zjadł albo wypił i dlatego jest chory.

– Czasami jesteś chory, bo coś zjesz – zgodziła się Manuzhai – ale wielu jadło to samo co Di, a tylko Di jest chory. Musisz się dowiedzieć, czego chce, i dać mu to.

W życiu Runów nie było miejsca na prawdziwą intymność. Wspólne pomieszczenia miały alkowy lub nisze, które mogły być wykorzystywane do różnych celów, ale wszystko wskazywało na to, że nie istnieje coś takiego, jak prawo własności siedziby mieszkalnej. Czasami całe rodziny udawały się do innych wiosek, by odwiedzić znajomych lub krewnych, a zajmowane przez nie pomieszczenia mogły przez jakiś czas być puste, ale jeśli spodobały się innym rodzinom, przenosiły się do nich bez ceregieli; kiedy pierwotni mieszkańcy wracali, po prostu wybierali sobie inne wolne pomieszczenie. Dla Anne i George'a Edwardsów było to dość kłopotliwe. Zajęli więc najgłębszą część siedziby Manuzhai i Chaypasa, rozbijając tam namiot. Pozostali członkowie misji rozkładali sobie łóżka polowe co wieczór w innym miejscu, a kiedy pomieszczenie wypełnione było gośćmi, kładli się na poduszkach tam, gdzie akurat było wolne miejsce.

D.W. stawiał zwykle swoje łóżko w głębi pomieszczenia, ale Anne przeniosła je bliżej wyjścia, tak aby mu było łatwiej wydostać się na zewnątrz. Po kilku gwałtownych buntach żołądka leżał spokojnie, przytulony do ogrzanego kamienia i przykryty kocem; oczy miał zamknięte, a twarz ściągniętą bólem. Anne siedziała przy łóżku na podłodze, trzymając rękę na jego wilgotnym czole.

– Zawołaj, jak będziesz mnie potrzebował, dobrze?

Nie dał znaku, że to usłyszał, ale i tak wstała, aby podejść do Emilia, który właśnie wrócił z Manuzhai i Askamą.

– Znalazłeś coś? – zapytała, wyprowadzając go na taras, gdzie mogli spokojnie porozmawiać.

– Nic konkretnego. – Powtórzył jej jednak słowa Manuzhai.

– Słamszone potrzeby, tak? Jakie to Freudowskie!

Spotkała się już z tym pojęciem wśród Runów i teraz pomyślała, że może to właśnie jest podstawowy paradygmat ich życia społecznego. Musi to przemyśleć później, kiedy będzie w stanie zająć się tym jako antropolog.

Podeszła do nich Sofia.

– No więc tak – powiedziała Anne spokojnym tonem. – Jego stan szybko się pogarsza. Okropna biegunka. Jestem zaniepokojona. To wygląda prawie jak bengalska cholera. Jeśli zaczną się wymioty i nastąpi poważne odwodnienie, może być naprawdę źle.

– Anne, przecież każdy z nas miewa od czasu do czasu biegunki i bóle brzucha – powiedział Emilio. – Może po prostu będzie miał ciężką noc, a rano obudzi się zdrowy.

– Ale... – Anne spojrzała na niego z powagą.

– Rozumiem. Ale.

– Więc co teraz robimy? – zapytała Sofia.

– Zagotujemy wody i zagwiżdżemy w ciemność – odpowiedziała Anne.

Podeszła do samego skraju tarasu i spojrzała poprzez wąwóz. Noc była dość niezwykła jak na Rakhat, bezchmurna i gwiaździsta, z jednym księżycem prawie w pełni. Gdzieś z dołu dobiegał plusk rzeki rozbijającej się o skały i metaliczny jęk, przypominający odgłos, jaki wydają zardzewiałe wrota targane wiatrem – dziwacznym krzykiem czerwonoookiego *moranora*.

– Na Ziemi podłączyłabym go do kroplówki i wpompowałabym w niego mnóstwo leków – powiedziała. – Mogę sprokurować coś w rodzaju płynu nawadniającego, ale to, czego mu naprawdę potrzeba, znajduje się na promie. – Niech to szlag, pomyślała i odwróciła się, by spojrzeć na Sofię. – Gdyby George złożył do kupy Super-Lekkiego, mogłabyś...

– Nikt nie będzie wracał do promu! – rozległ się krzyk D.W. – Był w ciężkim stanie, ale to usłyszał. – Nie było nas tam od tygodni i pas startowy na pewno zarósł. Nie chcę, żeby ktoś zabił się tylko dlatego, że mnie cholernie rozboleł brzuch.

Sofia wróciła do środka i uklękła przy jego łóżku.

– Potrafię wylądować na nierównym gruncie. Kiedyś i tak musimy wrócić. Im dłużej będziemy czekać, tym bardziej wszystko zarośnie. Jeśli musisz dostać roztwór soli i antybiotyki, wracam tam.

Teraz każdy miał na ten temat swoje zdanie. D.W. zacisnął zęby i starał się usiąść na łóżku, żeby udowodnić Sofii, że nic mu nie jest. Jimmy i George zaczęli się sprzeczać, aż w końcu włączył się w to Marc. Powinni byli wcześniej przewidzieć taką możliwość, ale czas płynął za szybko, a zresztą nie zaznajomili dotąd Runów z pojęciem pojazdu załogowego i jego lotu. Podejmowali decyzje, kiedy byli do tego zmuszeni; nie dysponowali przecież żadnymi wskazówkami, jak należy się zachować w różnych sytuacjach, prócz zdecydowanie negatywnych, jakimi były katastrofalne w skutkach działania, podejmowane przez ich ziemskich przodków w spotkaniu z prymitywnymi kulturami na Ziemi. Nie chcieli, by uznano ich za bogów, nie chcieli inicjować tu kultu cargo. Ale i tak będą musieli w końcu wrócić po nowe zapasy, a to oznaczało konieczność odbudowy pasa startowego.

Manuzhai, wyraźnie zaniepokojona ich ożywioną dyskusją, wzięła Askamę za rękę i wyszła na taras. Emilio spokojnie przeprosił ją za to całe zamieszanie, a potem wszedł do środka.

– Dosyć – powiedział spokojnie i zapadło milczenie. – D.W., połóż się i bądź cicho. Wy wszyscy przestańcie się kłócić. Obrażacie naszych gospodarzy, a cała ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Super-Lekki i tak nie wystartuje po ciemku, prawda? – Rozległy się nerwowe śmiechy. W obliczu kryzysu jakoś nikt o tym nie pomyślał. Emilio przygładził sobie włosy. – W porządku. Jutro i tak powinniśmy odbyć lot rozpoznawczy, bez względu na to, czy D.W. jest chory czy nie. Jakoś im wyjaśnię pojęcie samolotu. Anne, biorę nocny dyżur. Reszta niech się zabiera do spania.

Z początku nikt się nie poruszył. To niesłychane, Emilio Sandoz wydaje nam autentyczne polecenia, pomyślała Sofia. D.W. chyba też był zdumiony, bo opadł na poduszki, zaśmiał się cicho i powiedział:

– A ja myślałam, że kompletnie się nie nadajesz do kierowania żadnym zespołem...

Emilio odpowiedział coś niezbyt przyzwoitego po hiszpańsku i wszyscy zaczęli się rozchodzić w poszukiwaniu miejsc do spania. Anne powtórzyła mu kilka razy instrukcje: wmuszać w D.W. płyny i zawołać ją, gdyby pojawiły się wymioty.

Tej nocy wszyscy wciąż się budzili, kiedy skurcze jelit zmuszały D.W. do zrywania się z łóżka. Tuż przed świtem jeszcze raz się obudzili, bezbłędnie rozpoznając zapach i słysząc jęk: „O mój Boże!”, a potem leżeli cicho, udając, że śpią, podczas gdy Emilio pocieszał D.W. po hiszpańsku, a Tekszańczyk, ponizony, łkał cicho.

Askama nie obudziła się, ale Manuzhai nagle wstała i wyszła. Anne leżała obok George'a, nasłuchując i zastanawiając się, co zrobić, kiedy Emilio zbierał i zmywał to wszystko, sprawny i opanowany jak wykwalifikowana pielęgniarka na nocnym dyżurze. D.W. i tak musiał już czuć się poniżony: trzydziestoletnie tabu dotyku już i tak zostało złamane. W końcu uznała, że obecność kobiety tylko by to pogorszyła. Słyszała, jak Emilio nalega, by D.W. wypił jeszcze trochę przegotowanej wody z solą i cukrem. Musiało to mieć okropny smak, bo Yarbrough krztusił się i dławił, ale Emilio przypomniał mu, że odwodnienie może go zabić. Zamknęła więc oczy, wracając do snu z łatwością doświadczonej internistki, zawierzywszy instynktowi Emilia, jeśli nie samemu Bogu.

W jakiś czas później Manuzhai wróciła z naręczem mat przeznaczonych dla niemowląt. Emilio pomógł D.W. unieść biodra i wsunął mu jedną taką matę, po czym ponownie przykrył go kocem. Manuzhai, która tej nocy wielokrotnie wstawała, by prowadzić tych dwóch cudzoziemców stromą ścieżką do rzeki, i która widziała, z jaką czułością jeden pielęgnuje drugiego, teraz poklepała D.W. po ramieniu gestem zadziwiająco ludzkim i wyszła, by resztę nocy spędzić gdzie indziej.

Dawno temu Marc Robichaux doszedł do wniosku, że naturalna skłonność do wczesnego budzenia się jest koniecznym, choć niewystarczającym warunkiem przetrwania okresu formacji i osiągnięcia progu święceń kapłańskich. Poznał wielu mężczyzn, którzy mogliby zostać kapłanami, gdyby budzenie się o świcie nie stanowiło takiego pogwałcenia ich przyzwyczajień.

Wśród członków jezuickiej misji na Rakhat, Marc Robichaux był zwykle alfą wobec omegi, jaką był Jimmy Quinn. Kiedy się obudził i rozejrzał, wokoło panowała cisza. W owej krótkiej chwili oszołomienia nawet on nie pamiętał wydarzeń tej nocy, ale przypomniał sobie o nich natychmiast, gdy tylko zobaczył Sandoza w śpiworze tuż przy łóżku ojca przełożonego. Spojrzał na Yarbrougha i odetchnął z ulgą, widząc, że i on śpi.

Włożył szorty i boso wyszedł na taras, gdzie zobaczył Askamę, która bez skutku próbowała nauczyć Anne niewiarygodnie skomplikowanej odmiany kociej kołyski, ulubionej zabawy Runów. Spojrzał na Anne pytająco, a ona uśmiechnęła się i wzniosła oczy ku niebu, kręcąc głową. □ – A czasami po prostu się z tego wychodzi – powiedział cicho Marc.

– *Deus vult* – odpowiedziała ironicznie.

Odzwajemnił jej uśmiech i ruszył w kierunku rzeki.

Niepewność ich egzystencji na tej planecie ponownie ujawniła się z całą grozą, a prawdopodobne ozdrowienie D.W. nie usunęło poczucia kroczenia po linie. Kiedy Emilio Sandoz wyszedł na taras, rozcierając sobie twarz w porannym świetle, George i Sofia zaczęli się zastanawiać, czy udałoby się sporządzić coś w rodzaju drabinki sznurowej, tak aby ktoś mógł opuścić się z Super-Lekkiego, przelatującego z możliwie najmniejszą szybkością nad polaną, i przygotować mu pas do wylądowania. Anne szkicowała różne bardzo ciekawe przypadki złamań otwartych, które według niej byłyby rezultatami takiego planu, a Marc dowodził, że potrafi ocenić z powietrza, czy grunt, na którym ma wylądować, jest miękki czy twardy. Emilio, zupełnie oteępiły, przypatrywał im się przez chwilę, po czym wrócił do śpiwora.

Kiedy obudził się po paru godzinach, nawet D.W. już nie spał, błądy i mizerny, ale czuł się już trochę lepiej i nawet żartował na temat Zemsty Runów. Jimmy wrócił skądś, przynosząc nowinę, która rozwiązywała przynajmniej jeden problem. Dowiedział się, że Runowie zamierzają opuścić wioskę, aby zebrać jakieś rośliny.

– Korzenie *pik* – powiedział Emilio, ziewając. – Słyszałem o tym wczoraj wieczorem.

– Chcą wiedzieć, czy idziemy z nimi – dodał Jimmy.

– A chcą, żebyśmy poszli? – zapytał George.

– Chyba nie. Jeden powiedział, że to długa droga, i zapytał, czy zamierzam nieść was wszystkich. Najwidoczniej to miał być dowcip. Było sporo machania ogonami i dyszenia. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko, jeśli zostaniemy.

Prawdę mówiąc, odniósł wrażenie, że Runowie byliby bardzo radzi, gdyby cudzoziemcy nie wyrazili ochoty towarzyszenia im w wyprawie. Zwykle dostosowywali tempo marszu do najwolniej poruszających się członków grupy. Jak dotąd, nie uskarżali się, kiedy w wyprawie po jakieś kwiaty towarzyszyła im Anne lub Sofia, ale często okazywało się, że część kwiatów już przekwitła, kiedy dotarli na miejsce.

– Jeśli wszyscy opuszczą wioskę, nie będziemy musieli opowiadać im o samolocie – zauważył Emilio, siadając. Niebo było zamglone, czuło się nadchodzący upał. Sofia wręczyła mu kubek z kawą. Askama wypatrzyła go z któregoś z dolnych tarasów i po chwili już była koło niego, pełna pytań o D.W., do którego nie śmiała się zbliżyć. I dlaczego Milo tak długo spał? I czy wszyscy pójną kopać korzenie *pik*?

– *Sipaj*, Askama – odpowiedział Emilio. – Di był bardzo chory. Ktoś myśli, że zostaniemy z nim, aż wypocznie.

Dziewczynka wyraźnie się zmartwiła, opuściła uszy i ogon, ale przez następne pół godziny próbowała namówić ich do udziału w wyprawie. Kiedy stało się jasne, że to nie odnosi skutku, oświadczyła, że jest pora; i zagroziła, że zachoruje tak samo jak Di, bo jej serce jest smutne. Anne dostrzegła możliwość dowiedzenia się, co właściwie oznaczają te wszystkie „choroby serca” i „porai”, i zabrała ją na inny taras.

– Okay. Teraz słuchajcie – powiedział D.W., kiedy Askama znalazła się poza zasięgiem głosu. Wciąż był bardzo słaby, ale chciał odzyskać swoją kierowniczą pozycję. – Plan A. Jak tylko wybrzeże będzie czyste, George złoży Super-Lekkiego do kupy, a Mendes i Robichaux polecą na rekonesans. Zakładam, że strach Marca przed przedwczesną śmiercią zrównoważy zbytnią pewność siebie Sofii jako pilota. Jeśli Marc uzna, że można wylądować, Sofia wyląduje. Jeśli nie roztrzaskają się na kawałki, w nagrodę będą mogli oczyścić pas do startu. Jeśli Marc uzna, że lądowanie to czyste wariactwo, masz zawrócić, Mendes. Bez żadnych sporów.

– A wtedy co? – zapytała Sofia.

– Wtedy spróbujemy planu B.

– Czyli?

– Jeszcze nad tym nie pomyślałem, do jasnej cholery! – zawołał ojciec Dalton Wesley Yarbrough, przełożony jezuickiej misji na Rakhat, uciszając drwiące okrzyki swoich podwładnych. – Zejdźcie ze mnie! Do diabła, nie widzicie, że jestem chory?!

Runowie dyskutowali nad wyprawą po *pik* całymi dniami, ale kiedy już podjęli decyzję, cała wioska zmobilizowała się z podziwu godną skutecznością. George i Sofia odczekali, aż zniknie ostatni ogon, i natychmiast wyruszyli w przeciwnym kierunku, tam, gdzie ukryli Super-Lekkiego. W ciągu godziny złożyli samolocik i Sofia wystartowała do krótkiego lotu sprawdzającego. Jimmy połączył się z systemami na pokładzie *Stelli Maris* i ocenił, że po obu stronach łańcucha gór pogoda jest dobra. Mieli do dyspozycji około siedmiu godzin dobrego oświetlenia.

Kiedy Sofia i Marc siedzieli już w ciasnej kabinie, a reszta zgromadziła się, by obserwować start, ojciec Yarbrough podszedł do maszyny i wetknąwszy głowę do kabiny, zaczął wymachiwać rękami, przypominając im manewry w razie zagrożenia. W końcu Sofia zapaliła motor, a D.W. cofnął się i zawołał groźnie:

– Macie się nie rozwalić, zrozumiano? To rozkaz. Mamy tylko jednego Super-Lekkiego. Wracać mi cało!

Sofia roześmiała się i odchrząknęła:

– To ty bądź cały, gdy wrócimy!

Mały samolot uniósł się lekko w powietrze, zatoczył koło, dwukrotnie zamachał skrzydłami na pożegnanie i odleciał.

– Nienawidzę tego – mruknęła Anne, kiedy ucichł warkot motoru.

– Jesteś po prostu męczyduszą – powiedział George, ale objął ją od tyłu i pocałował w czubek głowy.

Jimmy milczał, ale w duchu żałował, że nie kazał George'owi rzucić okiem na front atmosferyczny nadchodzący z południowego zachodu.

– Nic im się nie stanie – powiedział Emilio.

– Sofia jest naprawdę dobrym pilotem – dodał D.W.

– A ja i tak tego nienawidzę – oświadczyła Anne.

Siedem dni marszu na północ od wioski Kashan, w swojej nadbrzeżnej siedzibie nad wysoką tamą, która była granicą jego posiadłości, Supaari VaGayjur rozpoczął ten dzień z podobnym poczuciem niepewności swojej egzystencji. Miał jednak ryzykować nie życie lub zdrowie, ale swój status społeczny i godność. Wiedział, że jeśli mu się nie uda, będzie to oznaczało koniec marzeń, których wielkości nawet nie śmiał rozważać. W tym sensie stawka była rzeczywiście wysoka.

Zjadł zupełnie przyzwoite śniadanie, dbając, by się nie przejeść: akurat tyle, by nie było potrzeby po raz drugi tego dnia sięgać po mięso, ale dość, by myśli nie biegły zbyt ospale. Poranek spędził na załatwianiu różnych spraw handlowych, koncentrując się na nich z intensywnością pierworodnego oficera i dokładnością urodzonego jako drugie dziecko biurokraty. Odprężył się tylko wówczas, kiedy przemierzał dziedziniec, aby zajrzeć do magazynu. Nie mógł się oprzeć, aby nie spojrzeć na górujący nad miastem Pałac Galatny, tak odległy i nieosiągalny, jak jego mieszkańcy: wspaniały i bezużyteczny.

Wokół niego miasto rozbrzmiewało różnorodnymi odgłosami handlu i rękodzielnictwa. Wysokie, śpiewne podzwanianie metalu o metal raz po raz zagłuszał na chwilę basowy turkot drewnianych kół, dudniących po bruku tuż za jego składem; zgiełk towarzyszący transakcjom i ciężkiej pracy rąk mieszał się z hałasem doków i nadbrzeży, do których zmierzało sześć setek okrętów, wyładowanych surowcami i towarami z całego południowego wybrzeża największego kontynentu Rakhatu. Gayjur był największym rynkiem zbytu w tej części kontynentu.

Z nieubłaganą mocą, jak brzeg lądu przyciągający falę przypływu podczas pełni dwóch księżyców, Gayjur wcześniej przyciągnął Supaariego. Któregoś dnia porzucił rodzinną wioskę i wsiadł na pokład rzecznej barki Runów, wyładowanej kosztami karminowych i fioletowych *datinsa*. Duma była luksusem, na który nie mógł sobie wówczas pozwolić; nie mając czym zapłacić za przejazd, zgodził się pomagać kucharzowi w przygotowywaniu posiłków dla marynarzy. Spodziewał się poniżenia i wzdury, bo tylko tego zdążył zaznać w swoim dotychczasowym życiu. Okazało się jednak, że w ciągu tych czterech dni spędzonych na barce, płynącej powoli w dół rzeki, a potem wzdłuż wyłobionych przez morze filigranów wybrzeża Masna'a Tafa'i, doświadczył więcej uprzejmości i przyjaźni niż w ciągu całego dzieciństwa. Runowie też byli ludem pogardzanym, tak jak on; do czasu, gdy poznał metaliczny posmak mgieł i oleistych zapachów Gayjuru, snujących się ciężko nad Zatoką Radina, kucharz nazywał go już bratem, a Supaari nie czuł się wyrostkiem skazanym na wygnanie, lecz szczęśliwcem, który jest bliski znalezienia wielkiego skarbu.

Nie minęła nawet jedna pora roku, gdy Supaari, wchłonięty i zaakceptowany przez to największe na świecie handlowe miasto, zrozumiał, że odnalazł swoje miejsce, i przybrał formalnie drugie imię: VaGayjur. Zaczął jako goniec, pracując dla innego trzeciaka, który przybył do Gayjuru zaledwie pięć lat wcześniej i który już posiadał tyle bogactwa, że przekraczało to możliwości wyobraźni młodego chłopca. Nauczył się uniwersalnych prawideł handlu: kupuj tanio, sprzedawaj drogo; obniżaj koszty, zwiększaj zyski; wyczuwaj emocje rynku, ale im się nie poddawaj. Odkrył też swoje własne miejsce, swoją niszę, którą chciał zawładnąć i w której chciał się zadomowić. Postanowił nauczyć się języka Runów, poznać ich zwyczaje i prowadzić z nimi handel bez pośredników. Nie był to tylko rezultat kalkulacji, chłodnego wyrachowania. Supaari naprawdę ich pokochał i czuł się między nimi dobrze.

Początkiem jego fortuny stała się przypadkowa uwaga jakiejś Runao, która odwiedziła Gayjur w poszukiwaniu rynku zbytu dla wyrobów tkackich ze swojej wioski. Powiedziała, że wyżynę Sintaron, z której pochodziła, nawiedziły niezwykle deszcze, i dodała: „*Rakari* będą w tym roku bardzo dobre”. Tego samego dnia Supaari odwiedził kilku przewoźników, którzy obsługiwali szlak wodny wzdłuż rzeki Pon. Wybierali się w górę rzeki za pięć dni. Powiedzieli mu, że poziom wody jest wysoki, prąd szybki. Wydobył wszystkie oszczędności, jakie udało mu się zgromadzić przez dwa lata ciężkiej pracy, i pozawierał kontrakty na dostawę *rakari*, umawiając się na trzy *bhali* za belę pod koniec sezonu. Wyprawił się w głąb łądu, tam, gdzie zbiory *rakari* były największe i obiecał zapłacić po pół *bhala* za każdą belę. Zbieracze byli zadowoleni, przetwórcy *rakaru* musieli zapłacić umówioną cenę, a Supaari VaGayjur kupił swój pierwszy skład.

Wkrótce zyskał sobie sławę znawcy Runów, a choć dzięki temu osiągał znaczne dochody, ich źródło otaczane było pogardą, więc pozostał outsiderem wśród szanowanych Jana'atów Gayjuru. Przebywał w towarzystwie innych trzeciaków, swoich handlowych rywali, i Runów, których wykorzystywał – niezależnie od tego, że naprawdę ich lubił.

Oczywiście drażniła go pogarda, jaką okazywali mu Jana'atowie, ale istniało głębsze źródło jego niezadowolenia – coś, co odbierało urok całemu życiu, tak że zaczynał się już zastanawiać, na co mu te wszystkie wysiłki. Teraz, kiedy władał dużym i dobrze zarządzanym przedsiębiorstwem, zatrudniającym dość liczny personel i przynoszącym spore dochody, nie zazdrościł już tak bardzo swoim braciom, których dziedzictwo przywiązało do prowincjonalnego miasteczka, miejsca jego i ich urodzin. Mieli oni jednak coś, czego jemu, jako trzeciemu dziecku, nadal brakowało: potomstwo, prawowitych dziedziców majątku.

Teoretycznie rzecz biorąc, były wyjścia z tej pułapki. Śmierć starszych braci, zanim wydali na świat potomstwo, otwierała drogę trzeciemu dziecku, pod warunkiem że nie udowodniono mu ich zabójstwa. Możliwość założenia rodziny dawałaby mu również bezpłodność starszych braci, jeśliby tylko zechcieli ujawnić ten smutny fakt publicznie i oświadczyć, że jest to stan trwały. Wreszcie istniała trzecia możliwość, niesłychanie rzadka, polegająca na tym, że trzeciak uzyska tytuł Założyciela i ustanowi nową linię rodową.

Z tą właśnie trzecią możliwością – i z siedmioma brązowymi pestkami o nadzwyczajnej woni, a także z wyraźnym znudzeniem Hlavina Kitheriego – związał Supaari VaGayjur wszystkie swoje nadzieje.

W południe, po załatwieniu przypadających na ten dzień spraw, Supaari wynajął ślizgacz, by przeprawić się przez zatokę na wyspę Fatzna, gdzie mieli swoje pracownie szklarze. Kiedy płaskodenna łódź wśliznęła się na sypki, biały piasek, przyszło mu na myśl poniewczasie, że źle zrobił, nie zabierając ze sobą Chaypas, która doradziłaby mu wybór odpowiedniej butelki próżniowej. Za późno, powiedział sobie w duchu, płacąc właścicielce ślizgacza i prosząc, by wróciła po niego po pierwszym zachodzie słońca. Potem rozpoczął systematyczne przeszukiwanie sklepów. W końcu kupił nie jeden, a trzy ozdobne flakoniki, każdy najlepszy w swoim rodzaju, od klasycznie zdobionego po wyszukany w swojej prostocie czysty kryształ.

Kiedy przewoźniczka wróciła, kazał jej podpłynąć w pobliże Ezao. Odnotowując z satysfakcją, że mnóstwo osób nosi już całe masy wstążek, Supaari wyszedł w końcu Chaypas w jednej z jadłodajni i poprosił ją o wyrażenie opinii na temat flakonów.

Chaypas wstała. Zostawiwszy nie dokończone jedzenie i Supaariego, wyszła na zewnątrz, aby wspiąć się na wzgórze, z którego miała dobry widok na Pałac Galatny, z jego rzeźbionymi kolumnami, misternie wykutymi posrebrzonymi wrotami, jedwabnymi markizami i pokrytymi glazurą murami, w których odbijały się złote refleksy z podwójnych trójbocznych fontann, wyrzucających w powietrze kropelki cennych wonnych olejków, lśniące w słońcu jak iskry.

– Kiedy jest powódź, serce tęskni za suszą – oświadczyła po powrocie i postawiła przed nim najprostszy flakon. Potem wyciągnęła do niego obie ręce i powiedziała z serdecznością, która sięgnęła jego duszy: – *Sipaj*, Supaari. Obyś miał dzieci!

Hlavin Kitheri był poetą i zawsze ubolewał nad tym, że ów tytuł, resztar, brzmi tak pompatycznie. Resztar. Wymawiano to słowo, dzieląc je na dwie części, powoli, z namaszczeniem. Nie można było tego wypowiedzieć szybko albo lekceważąco. Był w tym tytule pewien majestat, którego nigdy nie miała społeczna ranga jego właściciela. Samo słowo znaczyło po prostu „zapasowy”, „dodatkowy”. Podobnie bowiem jak kupiec Supaari VaGayjur, Hlavin Kitheri też był trzecim z kolei synem.

Nie tylko to ich łączyło. Urodzili się w tej samej porze roku, przed trzydziestoma laty. Obaj, jako trzeciacy, egzystowali w stanie ustawowej bezpłodności – nie wolno im było się żenić ani mieć dzieci. Obaj zdołali osiągnąć w życiu wiele, biorąc pod uwagę ich status wynikający z urodzenia. A jednak obaj czuli się pariasami, ponieważ nie odziedziczyli tego, co osiągnęli.

Na tym podobieństwa się kończyły. Supaari miał poślednie pochodzenie, natomiast Hlavin Kitheri był potomkiem jednego z najstarszych i najbardziej czcigodnych rodów i kiedyś był trzecim w kolejności sukcesorem Inbrokaru. To, że urodził się jako trzeci syn, w jego przypadku nie było rodzinnym skandalem, tylko nieszczęśliwą konsekwencją splotu okoliczności. Członkowie arystokratycznych rodów tradycyjnie miewali dużo dzieci, bo śmiertelność ich synów była wyższa od przeciętnej. Rodzice Supaariego nie mieli takiego usprawiedliwienia dla swojego uchybienia dobrym obyczajom. I podczas gdy tacy jak Supaari często zastanawiali się, po co w ogóle przyszli na świat, reszta nie musiał się nad tym głowić, bo wiedział, że celem jego egzystencji – jako „zapasowego” członka rodu – jest wyczekiwanie na śmierć któregoś ze starszych braci przed spółdzeniem potomka. Resztarowie otrzymywali więc wszechstronne wykształcenie: musieli być gotowi zarówno do prowadzenia wojen, jak i do sprawowania rządów, choć ani jedno, ani drugie nie musiało być im sążone.

Za dawnych czasów prawdopodobieństwo dziedziczenia przez resztara było wysokie. Teraz, w okresie trwałego pokoju Potrójnego Przymierza, większość trzeciaków z arystokratycznych rodów wiodła bezcelowe życie, łatwe i przyjemne, ale przeraźliwie nudne i jałowe.

Przed resztarami otwarta była jednak jeszcze jedna możliwość, którą nazywano Trzecią Drogą: kariera naukowa. Historia i literatura, chemia, fizyka i genetyka, zarówno teoretyczna, jak i stosowana, architektura i zdobnictwo, poezja i muzyka – wszystko to rozwijało się i kwitło dzięki trzeciakom z arystokratycznych rodów. Wydziedziczeni – lub uwolnieni – resztarowie Rakhatu mogli – albo musieli – szukać sensu życia gdzie indziej. Jeśli tylko dbali, by nie dać się wciągnąć w jakieś niebezpieczne gry polityczne i nie wzbudzić zwykłej wśród starszych braci chorobliwej podejrzliwości, mogli niekiedy spłodzić coś w rodzaju intelektualnego potomstwa, dając znaczący i trwały wkład w rozwój nauki lub sztuki.

Tak więc szlachetnie urodzeni trzeciacy tworzyli na Rakhacie element bardzo niestabilny, coś w rodzaju wolnych radykałów pośród Jana'atów, podobnie jak burżuazyjni trzeciacy w rodzaju Supaariego tworzyli element prężny i przedsiębiorczy. Twarde ograniczenia, jakim poddane było ich życie, wywierało na nich presję, podobną do ciśnienia niezbędnego do przemiany węgla w diament. Większość nie wytrzymała tego ciśnienia, zmiażdżona przez nie na pył; niektórym udawało się przetrwać i zajaśnieć jak cenny brylant.

Resztar Pałacu Galatny, Hlav'in Kitheri, należał do tych ostatnich. Przetrwał i nadał swojemu życiu znaczenie i rzadko spotykany blask. Pozbawiony przyszłości, stał się znawcą i mistrzem tego, co ulotne. Sam będąc postacią wyjątkową, poświęcił się temu, co niepowtarzalne. Wyczulony na przemijalność chwili, potrafił dostrzec w niej to, co umykało zwykłym śmiertelnikom, i unieśmiertelnić ją w pieśni. Samo jego życie stało się przejawem poezji, czerpiąc natchnienie z estetyki efemeryczności. Przydawał piękna temu, co bez smaku, wagi temu, co bez znaczenia, wymowy temu, co puste i jałowe. Życie Hlavina Kitheriego było triumfem sztuki nad przeznaczeniem.

Jego pierwsze utwory oszałamiały swoją oryginalnością. W kulturze, która od niepamiętnych czasów lubowała się w wyrafinowanych wonnościach, Hlavin Kitheri zwrócił najpierw uwagę na najbardziej pogardzane zapachy. Zesłany do brzydkiego, cuchnącego, rozwrzeszczanego miasta, zaczął komponować pieśni, które utrwały i sławiły metaliczne opary kamieniołomów, alkaliczne wyziewy czerwonych bagnisk, siarczane dymy, duszące odory fermentacji i cuchnące widma emanowane przez kopalnie i fabryki, roztwory olejów i soli bulgocące w dokach Gayjuru. To zapachy, kapryśne i trwałe, owe pierwociny smaku, instrumenty czujności, tajemne języki intymnych uczuć i wspomnień – to zapachy są esencją świata. Tak śpiewał Hlavin Kitheri. Był mistrzem gwałtownych uniesień, piewą wyrafinowanych przemian, którym podlegały wonie, wchodząc w intymne stosunki z błyskawicami, deszczem, roztańczonym wiatrem. Były to pieśni tak porywające, tak przykuwające uwagę, że jego koncerty zaczęto nadawać przez radio, a był to pierwszy w historii Rakhatu przypadek użycia radia do celów nie mających nic wspólnego ze sztuką wojny.

Zachwył, jaki wzbudziła jego poezja, nie osłabił jej mocy. Uznał go za uzasadnienie swojej twórczości i wzmocniony, przystąpił bez lęku do zbadania tak mrocznych rejonów swojej kultury, jakimi było życie resztków – a właściwie śmierć za życia. Sięgnął do najtajniejszych zakątków własnej duszy i mimo to przetrwał. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, ale w opinii wielu poezja, jaką wówczas stworzył, wywarła największy wpływ na kulturę Jana'atów.

Życie seksualne resztara, pozbawione jakiegokolwiek perspektywy płodności, było zredukowane do nagiej fizykności, a dusza czerpała z niego nie więcej niż z kichnięcia lub opróżnienia pęcherza. W młodości Hlavin Kitheri wpadł w pułapkę, w którą dało się schwytać wielu innych trzeciaków, kompensując sobie jałowość aktów seksualnych ich liczbą, w nadziei że samo powtarzanie przeżycia wynagrodzi brak jego głębi i sensu. Kiedy osiągnął dojrzałość, wzgardził haremem wysterylizowanych kurtyzan i wywodzących się z innych gatunków partnerów, o których stały dopływ dbali jego starsi bracia, zrozumiał bowiem, że to ochłapy rzucane z pańskiego stołu, by osłodzić mu potencjalnie niebezpieczną gorycz zazdrości.

Zaczął więc wykorzystywać swoją estetyczną wrażliwość do zbadania tajników orgazmu i odnalazł w sobie dość odwagi, by opiewać ów ulotny moment, który płodnym daje niepowtarzalną możliwość połączenia przyszłości z przeszłością, który jest kwintesencją wszystkich momentów, który wiąże przodków i potomków w jeden łańcuch bytów. Swoją poezją wydobywał ów moment z odmętów genetycznej historii, wynosił go ponad sferę instynktu rozrodczego i pragnienia zachowania ciągłości rodu, skupiał na nim myśl i duszę, by odnaleźć takie źródło olśniewającego erotycznego piękna, jakiego nikt poza nim nigdy nie podejrzewał.

W kulturze chronionej bastionami tradycji, ociężałej stabilnością, Hlavin Kitheri wykreował zupełnie nowy rodzaj subtelności, delikatności, nową jakość przeżycia, które dotąd było tylko czysto biologicznym spazmem. To, co kiedyś było uważane za odrażające i niegodne wzmianki, stało się teatrem i pieśnią: pełną niedopowiedzeń, zawołowaną operą woni. To, co było dotąd dynastycznym obowiązkiem lub pozbawioną znaczenia cielesnością, zostało oczyszczone i uwznioślone do poziomu estetycznej zmysłowości, jakiej przedtem na Rakhacie nie znano. I – co już było jawnym skandalem – reszta Galatny potrafił swoją poezją uwieść nawet tych, którzy mogli płodzić dzieci do woli, nadając ich życiu nową artystyczną jakość, otwierając przed nimi tajemne bramy wiodące do krótkotrwałej i bezpłodnej, lecz olśniewającej doskonałości, bo kiedy posłyszeli jego pieśni, ich świat nigdy już nie był taki, jak przedtem. Powstało pokolenie poetów, dzieci duszy, a ich pieśni – czasami chóralne, czasami solowe, często zbudowane według starożytnego wzoru wezwania i odpowiedzi – unosiły w przestrzeń niewidzialne fale, docierając do świata, którego nie byli w stanie sobie wyobrazić, i również ów świat przemieniając.

Temu właśnie Hlavinowi Kitheriemu, resztarowi Galatny, posłał Supaari VaGayjur siedem małych pestek w uderzająco prostym kryształowym flakonie.

Otworzywszy próżniowy flakon, Kitheri poczuł, jak nozdrza drażni mu przedziwny bukiet woni: słodkie, kamforowe enzymy, przywodzące na myśl bazylię i estragon, aromat czekolady, palony cukier i jakieś pyrazinowe związki zatracające wanilią, ślady muszkatałowej gałki, ziaren seleru i kminku – tchnący z produktów suchej destylacji podczas poddawania różnych substancji działaniu wysokiej temperatury. A na to wszystko nakładał się słaby zapach niestabilnych, krótkołańcuchowych węglanów, słone wspomnienie jakiegoś pozaplanetarnego oceanu: pot z palców Emilia Sandoza.

Hlavin Kitheri, poeta, nie potrafił odnaleźć słów, aby opisać organiczne piękno, którego pochodzenia nie mógł nawet podejrzewać. Wiedział tylko, że musi dowiedzieć się więcej. I dlatego świat znowu uległ przemianie.

25

NEAPOL

lipiec 2060

Stojąc w korytarzu, John Candotti i Edward Behr mogli wysłuchać połowę rozmowy, jaka miała miejsce wewnątrz gabinetu ojca generała. Nie trzeba było podsłuchiwać. Wystarczyło nie być głuchym.

– Więc nic z tego nie zostało opublikowane? Żaden z artykułów, które wysyłaliśmy na Ziemię...

– Może nie powinienem mu mówić – szepnęła John, pocierając swój złamany nos.

– I tak by się dowiedział – odrzekł spokojnie brat Edward. Wierzył, że gniew jest zdrowszy od depresji. – Postąpiłeś słusznie. Według mnie znosi to zupełnie dobrze.

Dlaczego, zapytał Johna Sandoz podczas lunchu, pytają go o rzeczy, które zostały opisane w wysłanych z Rakhatu raportach? Dlaczego ich po prostu nie przeczytają? John odpowiedział mu, że tylko ojciec generała miał do nich dostęp.

– A te wszystkie publikacje? – zapytał Sandoz, a kiedy otrzymał odpowiedź, wstał od stołu z kamienną twarzą i poszedł prosto do gabinetu ojca generała.

Candotti i Behr odwrócili się, słysząc kroki Johannesesa Voelkera. Stanął i słuchał razem z nimi z niekłamanym zainteresowaniem, jak Sandoz powiedział sarkastycznie:

– Ach, wspaniale! Więc astronomia i botanika podlega cenzurze. Miło mi to słyszeć, ale to oznacza, że dziewięćdziesiąt procent naszej pracy... – Jeszcze jedna pauza. – Vince, ludzie oddali życie, żeby zdobyć te dane!

Voelker uniósł brwi. Prawdopodobnie wstrząsnęło nim, kiedy usłyszał, że Sandoz zwraca się do Giulianiego po imieniu, pomyślał John. Voelker dbał o to, by do gabinetu ojca generała wchodziło się jak do sali tronowej, przestrzegając stosownej etykiety. W dość tendencyjnej opinii Johna chodziło o to, żeby samemu odgrywać rolę wielkiego wezyra.

– Żeby zdobyć dane? – zapytał Voelker oschłym tonem. – Nie za Chrystusa?

– Usprawiedliwieniem może być... – Nastąpiła przerwa, a potem słyszeli tylko cichy głos ojca generała, ale nie mogli zrozumieć, co mówił, chyba żeby przyłożyli ucho do drzwi, czego żaden z nich nie odważył się uczynić, zwłaszcza wobec świadków.

Nadszedł Felipe Reyes i uniósł brwi w niemym zapytaniu, gdy rozległ się podniesiony głos Sandoza:

– Nie, to ci się nie uda. Nie możesz mnie tym obarczyć. Nawet przy całej tej pokrętej logice i gołosłownych... Nie, pozwól mi skończyć! Mam w nosie, co o mnie myślisz. Nie ma usprawiedliwienia dla ukrywania wyników naszej pracy. To były absolutnie rewelacyjne dane!

– Candotti, twój podopieczny sprawia wrażenie zdenerwowanego – powiedział cicho Voelker, uśmiechając się.

– Jest naukowcem, a jego praca została pogrzebana. Ma prawo się denerwować – odpowiedział John z równie łagodnym uśmiechem. – A jak tam twoje sprawy, Voelker? Masz ostatnio dużo roboty jako sekretarz? Jakies ważne spotkania?

Zanosilo się na kłótnię, ale Felipe Reyes powstrzymał ich spojrzeniem. To już chyba u nich hormonalne, pomyślał Reyes. Wsadź Voelkera i Candottiego do jednego pokoju, a zobaczysz, jak im wyrastają metafizyczne rogi z głów.

Zdali sobie sprawę, że krzyki ucichły i przez dłuższy czas nie było wiadomo, co się dzieje w gabinecie. W końcu Voelker rzucił okiem na swój laptop i zapukał do drzwi.

Ku głębokiej satysfakcji Johna, usłyszeli ryk ojca generała:

– Nie teraz, do diabła!

W gabinecie Emilio Sandoz wpatrywał się w Vincenzo Giulianiego z głębokim niedowierzaniem.

– A więc, jak widzisz, była to, w retrospekcji, mądra decyzja – mówił Giuliani, rozkładając ręce. – Gdybyśmy publikowali wszystko po kolei, jak przychodziło, byłoby jeszcze gorzej.

Sandoz zamarł, nie mogąc w to uwierzyć. Chciał uwierzyć, że to niczego nie zmieniało – ale zmieniało. To zmieniało wszystko. Próbował sobie przypomnieć każde przesłuchanie, zmrożony strachem, że bezwiednie powiedział coś, co mogło ją zranić.

Giuliani podsunął mu krzesło.

– Usiądź, Emilio. Rozumiem, że to dla ciebie wstrząs.

Sam był uczonym i nie mógł pochwalać ukrywania wyników pracy naukowej, ale tu chodziło o ważniejsze sprawy, o których nie mógł powiedzieć Sandozowi. Wstydił się, że wciągnął w to wszystko Mendes, ale nagła zmiana tematu okazała się skuteczna i mogła ujawnić jakieś bardzo ważne aspekty, gdyby tylko Sandoz się otworzył.

– Nie wiedziałeś?

Emilio potrząsnął głową, wciąż oszołomiony.

– Raz coś powiedziała. Że woli niewolniczą pracę dla agenta od prostytutki. Myślałem, że mówi czysto hipotetycznie. Nie miałem pojęcia... Musiała być dzieckiem... – wyszeptał, ogarnięty zgrozą.

Jak zdołała to przetrwać? Jego, dorosłego, to zniszczyło.

Ocaliła mu życie. To ona stworzyła i zaprogramowała system AI, który zaprowadził *Stellę Maris* z powrotem do systemu słonecznego w rok po jej śmierci na Rakhacie. Był wrakiem człowieka, samotnym rozbitkiem, niezdolnym do zajęcia się nawigacją, nawet gdyby to potrafił. Wszystkiego dokonały programy Sofii: skuteczne, logiczne i kompetentne, jak ich twórczyni. Czasami wywoływał początkowy obraz, który uruchamiał program AI, i wpatrywał się w krótkie zdanie po hebrajsku: „Żyj i pamiętaj”. Nie, nie zniosę tego, nie mogę o tym myśleć, powtarzał sobie w duchu, walcząc z nadchodzącym atakiem migreny. Ona już umarła, ja też mogę umrzeć. To, czego dokonaliśmy, nie może pójść na marne.

– To nie ma znaczenia – powtórzył z uporem, a Giuliani zrozumiał, że podstęp się nie udał. – Chcę, żeby opublikowano nasze prace. Moralistyczne ataki na życie seksualne autorów są nieistotne. Cała robota Anne. I D.W.! Chcę, żeby to wszystko opublikowano. W ciągu trzech lat przesłaliśmy na Ziemię około dwustu prac. To wszystko, co po nas pozostało, Vince...

– No już dobrze, dobrze. Uspokój się. Możemy się tym zająć później. Tu chodzi o coś więcej. Nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie, teraz ja mówię – dodał stanowczo, widząc, że Sandoz otwiera usta. – Mówimy o nauce, a nie o dojrzałych brzoskwiniach. Te dane się nie zepsują. Opóźniliśmy już ich publikację o ponad dwadzieścia lat z powodów, które uznali za słuszne i wystarczające trzej kolejni generałowie. – Nie wahał się przed użyciem nacisku. – Im szybciej zakończą się te przesłuchania, im szybciej będziemy wiedzieć, co się wydarzyło na Rakhacie, tym szybciej Towarzystwo będzie mogło podjąć decyzję co do publikacji. I obiecuję ci, że będziesz konsultowany.

– Konsultowany! – krzyknął Sandoz. – Posłuchaj: chcę, żeby te prace opublikowano, a jeśli...

– Ojczy Sandoz – napomniał go generał Towarzystwa Jezusowego, złożwszy ręce na stole – te dane nie są ojca własnością.

Przez chwilę zapanowało milczenie, a potem Sandoz opadł na krzesło i odwrócił się, zamknąwszy oczy i zacisnąwszy zęby. Minutę później jedna z okrytych rękawiczką dłoni powędrowała bezwiednie do skroni, uciskając ją. Giuliani wstał i poszedł do łazienki po szklanę wody i flakonik z prograbną.

– Jedna czy dwie? – zapytał, kiedy wrócił. Jedna nie uwalniała od bólu, po dwóch Sandoz wyłączał się na całe godziny.

– Jedna, niech cię szlag.

Giuliani położył mu tabletkę na wyciągniętej dłoni i obserwował, jak Sandoz wrzucają sobie do ust i chwytą szklanę nadgarstkami. Z tymi rękawiczkami Candottiego radził sobie zupełnie nieźle. Rękawiczki przypominały Giulianiemu te, które kiedyś nosili rowerzyści, i może dlatego Sandoz wydawał się w nich jakby sprawniejszy, zwłaszcza bez protez, jeśli mu się nie przyglądało zbyt uważnie. Nowe protezy już były zamówione.

Giuliani odniósł szklanę do łazienki, a kiedy wrócił, Sandoz siedział nieruchomo z łokciami na stole, wspierając głowę na dłoniach. Usłyszawszy kroki Giulianiego, powiedział prawie niedosłyszalnym szeptem:

– Zgaś światło.

Giuliani zrobił to i podszedł do okna, by zaciągnąć ciężkie zasłony. Był jeszcze jeden szary dzień, ale nawet to mdłe światło zdawało się przeszkadzać Sandozowi, kiedy miał atak migreny.

– Nie chciałbyś się położyć?

– Nie, do cholery. Daj mi trochę czasu.

Giuliani podszedł do biurka. Zamiast otworzyć drzwi i samemu to powiedzieć, wolał przesłać polecenie do portiera, prosząc go, by powiadomił ludzi czekających pod drzwiami, że popołudniowe spotkanie jest odwołane. Brat Edward ma czekać w korytarzu na ojca Sandoza.

Dla zabicia czasu Giuliani zaczął „odwalać papierkową robotę”, jak to wciąż nazywał, przeglądając kilka listów przed ich podpisaniem. W ciszy, która teraz zaległa w gabinecie, słyszał starego ogrodnika, ojca Crosby’ego, pogwizdującego sobie za oknami przy pracy. Upłynęło jakieś dwadzieścia minut, zanim Emilio podniósł głowę i opadł na oparcie krzesła, choć nadal przyciskał dłoń do czoła. Giuliani zamknęła plik, nad którym pracował, i wróciwszy do stołu, usiadł naprzeciw Emilia.

Sandoz miał wciąż zamknięte oczy, ale na odgłos odsuwanego krzesła powiedział ledwo słyszalnym szeptem:

– Nie muszę tu być.

– Nie, nie musisz – zgodził się Giuliani pojednawczo.

– Chcę, żeby to opublikowano. Mogę napisać te artykuły od nowa.

– Jasne. Możesz.

– Musi być ktoś, kto mi za to zapłaci. John mówi, że ludzie dadzą dużo forsy, żeby zrobić ze mną wywiad. Mógłbym się gdzieś urządzić.

– Jestem tego pewien.

Sandoz, mrużąc oczy przed czymś, co wydawało mu się oślepiającym białym światłem, spojrział wprost na Giulianiego.

– Więc podaj mi choć jeden rozsądny powód, dla którego miałbym babrać się w tym gównie, Vince. Dlaczego miałbym zostać.

– A dlaczego to zrobiłeś?

Sandoz zamrugał powiekami, nie rozumiejąc.

– Dlaczego poleciałeś na Rakhat, Emilio? Czy to była czysto naukowa wyprawa? Czy znalazłeś się tam, bo byłeś lingwistą, a ta wyprawa wyglądała na bardzo interesujący projekt? Byłeś jeszcze jednym z tych akademików, którzy chcą mieć jak najwięcej publikacji? Czy twoi przyjaciele naprawdę umarli za te dane?

Powieki opadły ponownie i zapanowała długa cisza, zanim wargi ułożyły się w słowo „nie”.

– Nie. Nie sądzę. – Giuliani wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. – Emilio, wszystko, czego dowiedziałem się o tej misji, każe mi wierzyć, że udałeś się tam dla większej chwały Bożej. Z początku wszystko, co robiłeś, robiłeś z miłości do Boga. Dysponuję świadectwami dwóch twoich przełożonych, którzy byli przekonani, że na Rakhacie stało się z tobą coś bardzo niezwykłego, że... – Zawahał się, nie wiedząc, jak daleko może się posunąć. – Emilio, oni sądzili, że ty... w pewnym sensie... ujrzałeś oblicze Boga...

Sandoz wstał i odwrócił się, aby odejść. Giuliani wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na jego ramieniu, żeby go zatrzymać, ale natychmiast rozluźnił uchwyt, przerażony przedziwnym piskiem, z jakim Sandoz mu się wyrwał.

– Emilio, proszę cię, nie odchodź. Wybacz mi. Nie odchodź.

Widział już w swoim życiu taką panikę w oczach, takie przerażenie, które czasami ogarnia człowieka, kiedy się tego zupełnie nie spodziewa. To musi mieć z tym coś wspólnego, pomyślał. – Emilio, co cię tam spotkało? Co się stało, że wszystko uległo zmianie?

– Nie pytaj mnie, Vince – odrzekł Sandoz z goryczą. – Zapytaj Boga.

Poznał, że to Edward. Tylko jemu tak rzeziło w płucach. Emilio zatrzymał się, oślepiiony łzami i ćmiącym bólem, zaklął szpetnie i warknął, żeby go zostawiono w spokoju.

– Spóźniłeś się na asteroid? – zapytał brat Edward z zaciekawieniem.
– Jesteś tu sam.

Emilio mimo woli się uśmiechnął.

– Nie, nie spóźniłem się na asteroid – odpowiedział przez łyżę. Usiadł tam, gdzie stał, czując się sflaczały i wydrażony, i zakrył twarz resztkami dłoni. – To się nigdy nie skończy.

– A ja myślę, że ci się poprawiło – rzekł Edward, siadając obok niego. Emilio spojrzął na morze, sinogranatowe i oleiste pod płaskim, cynowym niebem. – Oczywiście są lepsze i gorsze dni, ale jesteś o wiele silniejszy niż przed paroma miesiącami. Nie powinieneś się wdawać w takie kłótnie. Fizycznie i umysłowo.

Trąc sobie oczy spodem rękawiczek, Emilio odpowiedział rozdrażnionym tonem:

– Wcale nie czuję się lepiej. Czuję, że to nigdy się nie skończy. Czuję, że nigdy sobie z tym nie poradzę.

– Ja mówię tylko o żalu. Tak wiele i tak wielu straciłeś. – Edward bardziej zobaczył, niż usłyszał, że Emilio szlocha, i powstrzymał się, by nie wyciągnąć ręki; Sandoz nie znosił, jak go dotykano. – Normalnie trzeba na to roku, kiedy utraci się kogoś, na kim ci naprawdę bardzo zależało. To znaczy zanim minie to najgorsze. Najtrudniej jest w rocznice. No, wiesz, nie chodzi mi o żadne formalne uroczystości, takie jak rocznica ślubu. Żyje się, funkcjonuje zupełnie normalnie i nagle przychodzi na myśl, że dzisiaj mija dziesięć lat, odkąd się poznaliśmy, albo sześć lat od przeniesienia się do Londynu, albo dwa lata od tej wycieczki do Francji. Takie małe rocznice, a kompletnie człowieka rozkładają.

– Jak umarła twoja żona, Ed? – zapytał Sandoz. Poczuł, że odzyskuje kontrolę nad sobą. Teraz brat Edward zapragnął odejść, ale czuł, że nie wolno mu się poddawać, że tego i tak nie wypłacze. – Nie musisz odpowiadać. Wybacz mi. Nie chcę być wścibski.

– Och, nie ma sprawy. Pomaga, jak o niej mówię. W ten sposób wciąż we mnie żyje. – Edward wychylił się do przodu, wsparł pulchne łokcie na kolanach, jego głowa znalazła się blisko głowy Emilia. – To był głupi wypadek, naprawdę. Sięgnąłem do skrytki, szukając papierowych chusteczek, żeby sobie wytrzeć nos. Masz pojęcie? Byłem przeziębiony! Ślepy traf. Zdarza się to setki razy i nic, aż tu pewnego zimowego poranka potrafi ci zmienić całe życie. Trafiłem na dziurę w asfalcie i straciłem panowanie nad kierownicą. Wyszedłem z tego z zadrapaniem, a ona umarła.

– Tak mi przykro. – Przez dobrą chwilę obaj milczeli. – To było dobre małżeństwo?

– Och, mieliśmy wzloty i upadki. Kiedy zdarzył się ten wypadek, nie było najlepiej, ale dalibyśmy sobie z tym radę. Myślę, że żadne z nas nie myślało poważnie o rozwodzie.

– Oskarżałeś siebie, Ed? Siebie czy Boga?

– To zabawne. Nigdy mi nie przyszło na myśl, by oskarżać Boga. Tak, oczywiście, oskarżałem siebie. I radę miejską, za to, że nie kazała załatać tej dziury. I tego głupiego szczeniaka z góry, od którego się zaraziłem grypą. I Laure, za to, że pozwoliła mi prowadzić, choć byłem chory.

Przez chwilę wsłuchiwali się w żalosne krzyki mew krążących nad ich głowami. Morze było za daleko, by słyszeć szum fal, ale samo obserwowanie ich rytmicznego uderzania o brzeg i cofania się działało kojąco. Ból w głowie Emilia zaczął również cofać się i powracać rytmicznie.

– Jak trafiłeś do zakonu, Ed? – zapytał.

– No cóż, jako dziecko byłem bardzo religijny. Potem na krótko przestałem wierzyć. Ten okres duchowego rozwoju chyba nazywają „dojrzewaniem”. A potem, jakieś dwa lata po śmierci Laury, pewien znajomy namówił mnie na jezuickie rekolekcje. Kiedy doszliśmy do tej części o naśladowaniu Chrystusa, pomyślałem sobie, dlaczego nie? Będę miał odskocznię. Wiesz, nie miałem wtedy nic do roboty. To na pewno nie było Pawłowe nawrócenie. Żadnych głosów. A ty, ojczy?

– Żadnych głosów – odpowiedział Sandoz. Głos miał znowu normalny, twardy. – Nigdy nie słyszałem żadnych głosów, a migreny nie ściskają mi głowy jak metalowe obręcze. Nie jestem psychotykiem, Ed.

– Nie sądzę, by ktokolwiek to sugerował – rzekł łagodnie brat Edward. – Pytam tylko, jak ojciec trafił do seminarium.

Minęło nieco czasu, zanim Sandoz odpowiedział. Głos miał płaski, bezbarwny.

– Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Brat Edward pomyślał, że to chyba koniec rozmowy, ale po kilku minutach Sandoz rzekł:

– Byłeś po obu stronach. Które życie jest lepsze?

– Nigdy nie zapomnę lat spędzonych z Laurą, ale uważam, że teraz jestem we właściwym miejscu. – Zawahał się, ale w końcu uznał, że może to dobra okazja, by poruszyć ten temat. – Opowiedz mi o pani Mendes. Widziałem zdjęcia. Była piękna.

– Piękna, inteligentna i bardzo dzielna – odpowiedział Sandoz bardzo cicho. Odchrząknął i przetarł oczy przedramieniem.

– Mężczyzna byłby głupcem, gdyby nie pokochał kogoś takiego – powiedział łagodnie Edward Behr. Niektórzy księża są dla siebie tak surowi.

– Tak, głupcem – zgodził się Sandoz i dodał: – ale wtedy tak nie myślałem. – Było to zagadkowe stwierdzenie, a to, co potem powiedział, było również bardzo nieoczekiwane. – Zastanawiałeś się kiedy nad historią Kaina, Ed? Złożył swoją ofiarę w dobrej wierze. Dlaczego Bóg ją odrzucił?

Sandoz wstał i zaczął schodzić długimi schodami ku morzu. Zanim do brata Edwarda dotarł sens tego, co usłyszał, Emilio był już w połowie plaży. Drobną figurka, zmniejszona przez perspektywę, zmierzająca do skały, na której tak często szukał samotności.

WIOSKA KASHAN I WIELKA PUSZCZA POŁUDNIOWA

osiem tygodni po kontakcie

Anne obudziła się w nocy, nie wiedząc, co ją tak zaniepokoiło. Z początku pomyślała – a adrenalina natychmiast kazała jej otworzyć oczy w ciemności – że D.W. znowu poczuł się gorzej albo że ktoś inny padł ofiarą zemsty Runów. Nasłuchiwała, czujna na każdy charakterystyczny dźwięk, ale słyszała tylko ciche pochrapywanie George’a. Wiedząc, że się nie uspokoi, zanim wszystkiego nie sprawdzi, westchnęła i pomyślała: zamieniłam się w matkę zastępczą dla bardzo dziwnej bandy dzieciaków. Wciągnęła jedną z olbrzymich koszulek Jimmy’ego i wyszła z namiotu.

Najpierw odwiedziła D.W., a potem, uspokojona, ruszyła do mającej w innym kącie sylwetki Jimmy'ego. Spojrzała na puste łóżka Marca i Sofii i poczuła żal, że nie potrafi się modlić, bo może wtedy ich nieobecność nie budziłaby w niej tak beznadziejnego niepokoju. A potem dostrzegła, że jeszcze jedno łóżko jest puste, ale zanim serce zdążyło w niej podskoczyć, usłyszała ciche klikanie klawiatury. Wspiąwszy się po wąskiej, wykutej w skale ścieżce – dobrej może dla kóz, ale nie dla człowieka – zajrzała do komory Aychy i zobaczyła swojego ulubionego przyszywanego syna, klęczącego jak uczona gejsza przy niskim stole i szybko coś piszącego.

– Emilio! – zawołała cicho. – Co ty, do cholery...

Potrząsnął głową, nie odwracając się do niej, i dalej pisał. Opadła na poduszkę obok niego i wsłuchiwała się w odgłosy nocy. W powietrzu czuć było deszcz, ale kamienie pozostawały suche. No cóż, pomyślała, spostrzegłszy obok Emilia monitor radiowy, nie tylko ja się pocę.

Marc i Sofia donieśli im, że zamierzają lądować i od tego czasu nie było od nich żadnej wiadomości. Jimmy zasugerował, że może jakaś silna burza po tamtej stronie gór udaremnia łączność, ale George stwierdził, że byłyby wówczas przerwy w odbiorze, a nie głucha cisza. Nikt nie wspomniał głośno o katastrofie.

Emilio pisał jeszcze przez chwilę, a potem zamknął plik, zadowolony, że utrwalił dość, aby rano odtworzyć całe rozumowanie.

– Wybacz mi, Anne. Cztery języki tłuką mi się po głowie, a jeśli mamy dodać czwarty... – Machnął rękami i wydał dźwięk imitujący wybuch.

– Jak ty to robisz, że wszystko ci się nie pomiesza?

Ziewnął i roztarł sobie policzki.

– Nie zawsze mi się udaje. To zabawne. Mogę zrozumieć całą rozmowę prowadzoną po arabsku lub amharsku, bez żadnych dziur, bez wątpliwości co do poszczególnych słów lub pojęć, a czasami przypominam ją sobie, ale już po hiszpańsku. I zapominam już polskiego i inupiackiego.

– Inupiakowie to ci z Alaski, gdzieś między Chuukiem i Sudanem, tak?

Pokiwał głową i opadł na poduszkę, trąc oczy.

– Może nie bardzo się przykładałem do tych języków, bo czułem, że to jest takie wymuszone. Nigdy nie zdołałem przywyknąć do zimna i ciemności, a zresztą czułem, że całe moje wykształcenie tylko się marnuje. Nie potrafiłem znaleźć w tym sensu. – Opuścił ręce i spojrzał na nią, przekrzywiając głowę. – Nie jest łatwo być posłusznym, jeśli się podejrzewa, że przełożeni są dupkami.

Anne parsknęła. To nie była świątobliwa uwaga.

– No, ale w Sudanie było ciepło.

– Nie ciepło. Gorąco. Za gorąco, nawet dla mnie. No i w tym czasie lepiej już sobie radziłem z uczeniem się języka w terenie. A potem... no cóż, zawodowe rozdrażnienie bywa takie trywialne... – Usiadł i spojrzał w ciemność. – To było straszne, Anne. Nie było na nic czasu, trzeba było dokarmiać tych ludzi. Utrzymywać dzieci przy życiu. – Otrząsnął się. – Wciąż się dziwię, że udało mi się podłapać trzy języki. To się po prostu stało. Przestałem się uważać za lingwistę.

– A za co się uważałeś?

– Za księdza. Właśnie wtedy zacząłem rozumieć, co znaczą te słowa podczas święceń: *Tu es sacerdos in aeternum*.

Jesteś kapłanem na wieczność. Na zawsze, bez końca. Wpatrywała się w tę twarz, tak zmienną, proteuszową. Hiszpan, Taino, kapłan, syn, ukochany, przyjaciel, święty.

– A teraz? – zapytała cicho. – Kim teraz jesteś, Emilio?

– Teraz jestem śpiący.

Objął ją za szyję i przyciągnął, żeby musnąć ustami jej włosy, potargane od snu, srebrnozłote w blasku polowej lampki. Anne wskazała na monitor.

– Coś słyszałeś?

– Powiedziałbym ci, Anne. Głośno i wyraźnie.

– D.W. nigdy sobie nie wybaczy, gdyby im się coś stało.

– Wróć.

– Skąd jesteś taki pewny, dałeś sobie w żyłę?

Przemówił słowami Księgi Powtórzonego Prawa, które wypłynęły wprost z jego serca:

– Widzieliście na własne oczy, co uczynił wasz Pan.

– Widziałam, co potrafią uczynić ludzkie istoty...

– Widziałas co – przerwał jej Emilio – ale nie dlatego! A tam właśnie jest Bóg, Anne. W tym dlatego, w znaczeniu. – Spojrzał na nią i zrozumiał, na czym polega sceptycyzm i zwątpienie. A w nim było tyle radości... – No dobrze. Spróbuj inaczej: poezja jest w tym dlatego.

– A jeśli Sofia i Marc leżą teraz pośród kupy złomu? Gdzie będzie wtedy ta twoja Boża poezja? Gdzie była poezja, kiedy umarł Alan?

– Bóg wie – odpowiedział, a w jego głosie zadźwięczało zarówno przyznanie się do klęski, jak i afirmacja wiary.

– No widzisz, właśnie to mi przeszkadza! – zawołała Anne. – Nie mogę znieść tego, że Bóg zawsze zasługuje na zaufanie, a nigdy na oskarżenie. Po prostu nie potrafię przełknąć takiego teologicznego cukierka. Albo Bóg jest odpowiedzialny, albo nie jest. A co robiłeś, jak umierały te dzieci, Emilio?

– Płakałem – odpowiedział. – Czasami myślę, że Bóg pragnie, żebyśmy płakali za Niego. – Zapadła długa cisza. – I próbuję zrozumieć.

– A teraz? Teraz rozumiesz? – Powiedziała to prawie błagalnym tonem. Uwierzy, jeśli jej odpowie, że rozumie. Tak pragnęła, żeby ktoś jej to wyjaśnił, a spośród wszystkich, których знаła, tylko Emilio Sandoz mógł tego dokonać. – Znajdujesz jakąś poezję w tym, że dzieci umierają?

– Nie – odpowiedział w końcu. A potem dodał: – Jeszcze nie. Ale pamiętaj, że poezja bywa tragiczna. Może trudniej ją docenić.

Anne wstała zmęczona, bo był środek nocy, i zamierzała wrócić do łóżka, kiedy spojrzała na niego przez ramię i dostrzegła znajomą minę na jego twarzy.

– Co? No co?

– Nic. – Wzruszył ramionami, dobrze znając swoją jednoosobową kongregację. – Ale jeśli tylko to powstrzymuje cię od wiary, może powinnaś po prostu sobie pofolgować i oskarżać Boga o wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

Na twarzy Anne pojawił się uśmiech. Usiadła z powrotem obok niego na poduszce; miała minę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

– Co? – Teraz on zapytał, bo Anne śmiała się niebezpiecznie. – O czym myślisz, Anne?

– Och, po prostu zastanawiam się, co by tu powiedzieć Bogu – odpowiedziała słodkim tonem, a potem zakryła sobie usta dłońmi, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. – Och, Emilio, mój ty kochany – powiedziała zza palców nieco szalonym i chytrym głosem: – Chyba wymyśliłeś sobie teologię, z którą mogę żyć! Mam na to twoje pozwolenie, tak, ojcze? Chcesz zostać uznany za współwinnego?

– A zamierzasz być bardzo niegrzeczna? – Emilio zaczął się ostrożnie uśmiechać, ale oczy mu płonęły. – Jestem tylko księdzem! Może powinniśmy zapytać jakiegoś biskupa albo...

– Niech cię szlag! Odwal się ode mnie!

I uklękawszy przed nim, zaczęła go walić pięściami w pierś, wyrzucając z siebie serię coraz bardziej obelżywych, świętokradczych i gwałtownych opinii na temat cierpień i przedwczesnych śmierci niewinnych dzieci, losu Cleveland podczas Światowej Serii 2018 roku, panoszenia się zła i republikanów z Teksasu, we wszechświecie rządzonym przez bóstwo, które każe się uznawać za wszechmocne i sprawiedliwe. Wszystko to Emilio przekładał na wyświechtane formułki teologiczne, szpikując je łaciną. Wkrótce obejmowali się jak szaleńcy i ryczeli ze śmiechu, aż w końcu George Edwards, obudzony tym hałasem, usłyszał coś, co sprawiło, że usiadł na łóżku:

– Emilio, przestań! – krzyczała jego żona, Anne. – Starsze kobiety mają słabe pęcherze!

– Sandoz! – ryknął George. – Co ty, do cholery, wyprawiasz z moją żoną?

– Dyskutujemy o teologii, kochanie – zaśpiewała Anne, krztusząc się powietrzem.

– Na miłość boską!

– Wciąż pracujemy nad teodyceą! – wrzasnął Emilio. – Jeszcze nie doszliśmy do niepokalanego poczęcia.

– Zabij ich, George – rozległ się głos D.W. – Zabójstwo w afekcie.

– Czy moglibyście się wszyscy zamknąć, do nędznej kurwy? – krzyknął Jimmy, co z jakiegoś powodu jeszcze bardziej rozśmieszyło Anne i Emilia.

– Nowojorskie echo! – zawołał Emilio. – Hellooo-o-o!

– Do nędznej ku-u-u-rwy-y-y-y! – zawyła Anne, zginając się wół ze śmiechu. – Och, co za piekło – dodała, już ciszej, wycierając oczy, kiedy śmiech zamarł i zaczęli łapać oddechy. – Może znowu wezmę się do religii. Myślisz, że Bóg zniósłby to całe gówno, jakie bym przed nim wywaliła?

Emilio opadł na poduszkę, wyczerpany i szczęśliwy.

– Anne – powiedział, podkładając sobie dłonie pod głowę – myślę, że Bóg będzie bardzo szczęśliwy, gdy do Niego wrócisz.

Ostatnią myślą, jaka przemknęła Marcowi Robichaux przed katastrofą, było: „*Merde*, ojciec przełożony będzie się wściekał!”

Nie przewidywał większych trudności. Lądowisko wydawało się znośne, roślinność miękka i liściasta. Był przekonany, że korzenie umocniły glebę, tak że koła samolotu się nie zapadną. Sofia lądowała na różnym terenie podczas szkolenia i uznała, że da sobie radę. Zdecydowali się więc na lądowanie.

Ani Marc, ani Sofia nie wzięli pod uwagę pnączy. Sądziili, że kiedy koła dotkną gruntu, wiotkie rośliny rozstąpią się przed nimi. Nie przewidzieli, że zdrewniałe, włókniste łodygi zaplączą się w delikatne wsporniki kół i zatrzymają lekki samolot. Nagłe szarpnięcie rzuciło nimi do przodu, a pasy zacisnęły się brutalnie. Siedząc z przodu, Marc obserwował ze zgrozą zbliżający się ku niemu grunt, ale stracił przytomność, zanim Super-Lekki rozerwał się na kawałki. Pasy bezpieczeństwa wyrwały się z obudowy, a ich ciała zostały wyrzucone do przodu jak z procy. □ Nie miał pojęcia, jak długo leżał bez świadomości. Kiedy się rozbili, było jasno. Teraz świeciły oba księżyce. Przez chwilę leżał nieruchomo, koncentrując się po kolei na każdym członku i na bólu w piersi, próbując ocenić swój stan. Nie miał czucia w nogach, więc serce zabiło mu ze strachu, że złamał kręgosłup. Kiedy jednak ostrożnie uniósł głowę, zobaczył, że leży na nim Sofia i brak czucia spowodowany jest zatrzymaniem krążenia krwi.

Twarz miała zakrwawioną, ale wciąż oddychała. Powoli wysunął się spod niej, starając się zrobić to najostrożniej jak mógł, bo przypomniał sobie wszystkie apokaliptyczne opisy złożonych złamań, jakimi straszyla ich Anne. Zdołał się obrócić i pochwycić jej głowę, jednocześnie uwalniając nogi. Przerażony jej stanem, przestał się martwić o własne ciało. Dopiero kiedy udało mu się uklęknąć, pomyślał, że chyba nie jest ciężko ranny, bo ból był do zniesienia.

Podciągnął sobie koszulę, żeby zobaczyć, co powoduje ów ból, i w księżycowym świetle zobaczył wyraźne ślady po pasach bezpieczeństwa, jakby wypalone na skórze, i okropne, podbarwione krwią siniaki. Zrobiło mu się słabo, ale pooddychał głęboko i po chwili poczuł się lepiej. Spojrzał na Sofię i zaczął ją wyplątywać z pogiętych rurek, linek naciągowych i polimerowej błony – tylko tyle pozostało z Super-Lekkiego. Potem wstał, poszedł do promu, otworzył luk bagażowy i zapalił lampkę, zasilaną bateriami. Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do światła, znalazł zestaw do pierwszej pomocy, przenośną lampę i komplet kocy ratunkowych, po czym zaniósł to wszystko do miejsca, w którym zostawił Sofię.

Przez te wszystkie miesiące, kiedy byli razem, Marc zachowywał dystans wobec Sofii Mendes. Uważał, że jest chłodna, zbyt pewna siebie, prawie pozbawiona kobiecości, ale jej fizyczne piękno czasami zapierało mu dech. Nigdy nie pozwolił sobie na zrobienie jej szkicu, na kontemplowanie jej kształtów choćby na papierze, z bezpiecznej odległości.

Teraz ukląkł przy niej. Proszę mi wybaczyć, *mademoiselle*, pomyślał i, starając się zachować zimną krew, obmacał jej nogi i ramiona w poszukiwaniu złamań i otwartych ran. Niewątpliwie była równie potłuczona co on, ale z wielu powodów nie mógł się przemóc, by zbadać, czy ma połamane żebra i jakieś obrażenia wewnętrzne. Zresztą i tak nic by na to nie mógł poradzić. Przesunął ją więc ostrożnie na jeden z koców i otulił drugim, po czym znalazł w promie pojemnik i wyprawił się na poszukiwanie jakiegoś strumienia.

Wrócił z pełnym pojemnikiem, zamoczył w wodzie czyste płótno z zestawu pierwszej pomocy i obmył jej twarz z krwi. Znalazł źródło krwawienia: miała głęboko rozciętą głowę. Powstrzymując mdłości na widok tak dużej ilości krwi, zmusił się do zbadania palcami brzegów rany. Nie był pewny, ale zdawało mu się, że nie wyczuwa złamania samej czaszki. Skupiony na tym, co robił, nie zauważył, że otworzyła oczy, zanim usłyszał jej głos:

– Jeśli mnie ochrzciłeś, będziesz miał mnóstwo kłopotów, Robichaux.

– *Mon Dieu!* – krzyknął, odskakując od niej i przewracając pojemnik z wodą, tak wstrząśnięty, że płótno wypadło mu z rąk.

W ciągu kilku minut na Sofię spadły całe potoki podnieconej francuszczyzny. Jej znajomość francuskiego była czysto akademicka, więc dialekt Robichaux zawsze był dla niej prawie niezrozumiały, a tym razem w ogóle niewiele do niej docierało. Zrozumiała tylko, że miotał się między ulgą i złością.

– Przykro mi, że tak cię przestraszyłam – jęknęła, gdy zaczął mówić wolniej.

Podniósł rękę, przelknął ślinę i potrząsnął głową, wciąż nie mogąc złapać tchu.

– *De rien.* – Minęła jeszcze chwila, zanim był w stanie przemówić po angielsku. – Proszę mi wybaczyć, *mademoiselle*. I proszę już nigdy tego nie robić.

– Spróbuję, ale wątpię, czy taka sytuacja się powtórzy – odpowiedziała sucho. – Jestem ranna? A co z tobą?

– Na tyle, na ile udało mi się ocenić, jesteśmy potłuczeni i poranieni, ale nie połamani. Jak się czujesz? – Podciągnął koszulę, by pokazać jej ślady pasów. – Rzuciło nas porządnie do przodu. Jak ci się wydaje, żebra masz całe?

Zajrzała pod koc, a na jej twarzy pojawił się wyraz niezwykłego skupienia.

– Na pewno jestem bardzo potłuczona. I głowa mi pęka z bólu. Ale to chyba wszystko.

Marc machnął ręką w kierunku szczątków samolotu.

– Albo Bóg bardzo nas kocha, albo mamy wielkie szczęście.

Uniosła się lekko i spojrzała na to, co zostało z Super-Lekkiego.

– Jedno jest pewne: Bóg nie kocha małych samolotów. W przeciwieństwie do D.W. Chyba będzie wściekły.

Marc tylko podniósł oczy ku niebu. Sofia przyjrzała się szczątkom samolotu i zrozumiała, że właśnie temu zawdzięczają życie; szkielet był tak skonstruowany, by w momencie uderzenia rozlatywać się na kawałki i osłabiać impet. Położyła się z powrotem, wciąż trochę oszołomiona, i zaczęła się zastanawiać, ile czasu mogło upłynąć od katastrofy.

– Marc, czy radio działa? Oni muszą się bardzo niepokoić. Przyłożył dłoń do czoła, a potem, mrucząc coś do siebie po francusku, poszedł do szczątków maszyny, gdzie zaczął grzebać w płataninie pogiętych rurek i naciągów. Zerwał się wiatr, łopocąc płachtami polimerowej folii.

– Robichaux, daj sobie spokój! – zawołała Sofia. – W promie jest nadajnik. – Usiadła ostrożnie, wsłuchując się w swoje ciało. Wszystko w niej jęczało, ale nie wrzeszczało. Zrzuciła koc, odciągnęła dekolt koszulki i zajrzała w dół. – Bardzo kolorowo – stwierdziła i dodała z otuchą: – Mamy całkiem niezłe klatki piersiowe.

– Choć ich topografia nieco się różni – zauważył Marc, siląc się na dowcip. Wrócił i osunął się na ziemię obok niej, zwiesiwszy głowę. Dopiero po dłuższym czasie podniósł ją i powiedział: – Stwierdzam to, oczywiście, na podstawie wnioskania, a nie bezpośredniej obserwacji.

– Marc – powiedziała drwiącym tonem – jeśli jeszcze raz rozbijemy jakiś samolot, bardzo cię proszę, nie miej oporów przed zbadaniem, czy mam całe zębra, dobrze? Skromność nie jest najbardziej pożądaną cnotą, gdy ratuje się komuś życie.

Mógł się zaczerwienić, ale nie była tego pewna w pomarańczowym świetle obozowej lampki. Przetoczył się grzmot. Spojrzała na drzewa, wygięte od wiatru.

– Powinniśmy wejść do promu.

Zebrali koce i zestaw pierwszej pomocy, a potem, przyświecając sobie lampą, wspięli się z trudem do wnętrza promu przez luk bagażowy. Wiatr wiał z przeciwnej strony, więc zostawili luk otwarty i obserwowali błyskawice. Z początku burza była bardzo gwałtowna, lecz wkrótce zamieniła się w stałą ulewę, bębniącą donośnie w poszycie promu, ale w jakiś sposób dodając im otuchy.

– No więc powiedz – odezwała się Sofia, kiedy hałas trochę osłabł – zrobiłeś to?

– Słucham? – Wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Ochrciłeś mnie?

– Och... – Zająknął się, a potem powiedział nieco oburzonym tonem: – Nie, skądże!

– Miło mi to słyszeć – odpowiedziała, ale poczuła się niepewnie. Gdyby to był Sandoz, na pewno by sobie z niego zakpiła. Powiedziałaaby mu: co z ciebie za misjonarz, ufając w jego poczucie humoru. Nie bardzo wiedziała, na co może sobie pozwolić z Markiem, choć sprawiał wrażenie, jakby katastrofa nie wyprowadziła go z równowagi. Sama też czuła się zupełnie nieźle.

– A nie powinieneś tego zrobić?

– Absolutnie nie. To by było całkowicie nieetyczne.

Postanowiła ciągnąć dalej rozmowę, widząc, że Marcowi dobrze to robi.

– Ale gdybym umierała... czy nie powinieneś zająć się ratowaniem mojej duszy?

– Nie żyjemy w siedemnastym wieku, *mademoiselle*. Nie zajmujemy się ratowaniem przed wiecznym potępieniem dusz umierających pogan – oświadczył z oburzeniem, ale dalej mówił już spokojniej. – Gdybyś wcześniej oświadczyła, że masz szczerzy zamiar ochrzcenia się, ale jeszcze nie znasz prawd wiary, ochrzciłbym cię, szanując twoje intencje. Albo gdybyś odzyskała świadomość i poprosiła o chrzest, postąpiłbym zgodnie z twoją wolą. Ale bez przyzwolenia? Bez uprzedniego zadeklarowania intencji? Nigdy.

Wciąż był nieco wzburzony, ale czuł się już lepiej. Podniósł się powoli, pojękując cicho. Stał przy konsoli i wywołał fotograficzną mapę regionu między obozem w puszczy a wioską Kashan.

– Wygląda na to, że do domu mamy kawał drogi.

Odwrócił się, słysząc jej ochryply śmiech. Na tej pięknej sefardyjskiej twarzy, wciąż poznaczonej źle zmytymi plamami krwi i ciemniejszymi siniakami, malowała się powaga, ale oczy jaśniały uśmiechem.

– Po co iść – zapytała, unosząc wysoko brwi – kiedy możemy tam polecieć?

Zasnęli, a kiedy się obudzili, odrętwiali i obolali, poczuli otuchę na widok słonecznego blasku. Zjedli proste śniadanie z zapasów na promie, a Sofia przećwiczyła sobie na symulatorze start i lądowanie. Marc zajął się oceną rzeźby terenu, wykorzystując dane, które zebrał w czasie pierwszych tygodni na Rakhacie, i robiąc notatki na temat możliwych zmian okresowych. Potem poszedł do grobu Alana Pace’a, oczyścił go z lian i pomodlił się chwilę.

W południe Sofia wyszła niezdarnie z promu i zaczęła spacerować.

– Za jakieś dwie godziny powinniśmy być gotowi do startu.

Marc nagle się wyprostował. Był to błąd i natychmiast jęknął z bólu, ale zapytał:

– Nawiązałaś już kontakt?

– Och, mój Boże! Na pewno myślą, że nie żyjemy! – krzyknęła Sofia, wyraźnie przerażona. – Chciałam wywołać ich w nocy. Zupełnie mi to wyleciało z głowy. Och, Marc, oni się zamartwiają!

Marc jeszcze nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej. Stała się przez to bardziej ludzka i po raz pierwszy pomyślał, że bardzo ją lubi.

– Sofio – powiedział, naśladowując jej kpiący ton z nocy – kiedy znowu rozbijemy samolot, na pewno będziesz pamiętała o przekazaniu przez radio, że żyjemy. W końcu jesteśmy tylko amatorami w tej dyscyplinie. Można się spodziewać paru błędów.

– Chyba doznałam większego wstrząsu, niż myślałam. – Pokręciła głową. – Chodźmy. Lepiej późno niż wcale.

Poszli do promu i próbowali nawiązać łączność z Kashanem, ale bez skutku.

– Przerwa – stwierdziła Sofia z niesmakiem. Znowu jedna z tych irytujących czarnych dziur w odbiorze satelitarnym. – Nasz sygnał powróci dopiero za cztery godziny.

– Nie ma się co martwić, wkrótce będziemy w domu, jakbyśmy zmartwychwstali! – zawołał Marc, a potem dodał konspiracyjnym tonem: – Może ojciec przełożony nie zwróci uwagi na to, że rozbiliśmy jego ukochany samolocik.

Sofia odwarknęła, żeby się zajął swoją roślinnością, a sama zaczęła sprawdzać systemy i dane. Istniały setki potencjalnych zagrożeń: małe, zielone stworki zagnieżdżone w silnikach, kilku Richardów Nixonów w podwoziu, jakieś cholerstwa w elektronice. Kiedy w końcu uzyskała pewność, że prom jest gotowy do lotu, przeszła do przedziału bagażowego i zawołała do Marca:

– Teraz zrobię test startu, a potem wystartuję, ale najpierw wykonam parę manewrów, żeby się oswoić. Chcesz się przelecieć czy masz już dość wrażeń na ten tydzień?

– Chyba wolę spędzić ten czas na zbieraniu próbek. Gdyby to był Sandoz, odpowiedziałyby na pewno: bez jaj, lecę z tobą.

Uśmiechnęła się do Marca.

– Wrócę za pół godziny.

Pomógł jej zamknąć luk bagażowy i poszedł na skraj lasu, poza zasięg płomieni wydobywających się z dyszy. Kiedy się odwrócił, zobaczył ją w oknie kabiny; krzywiła się z bólu, zapinając pasy. Potem spojrzała na niego, a on złożył dłonie i podniósł je nad głowę, życząc jej powodzenia. Kiwnęła głową i włączyła silniki.

W byłym pilocie wojskowym, jakim był D.W. Yarbrough, słowa „zaginiony w akcji” zawsze wywoływały skurcz żołądka. Samoloty spadały i nigdy się nie wiedziało: gdzie i dlaczego. Znało się szanse, ale nie znało się prawdy. A następny ruch nieodmiennie łączył się z ryzykiem, które trzeba było bardzo dokładnie skalkulować. Czy wysłać innych w nadziei mało prawdopodobnego ocalenia pilota, czy pogodzić się z rzeczywistością straty? Za każdym razem płaciło się jakąś cenę.

D.W. nie należał do tych, którzy po fakcie dokonują samobiczowania. Nie mógł się jednak oprzeć poczuciu żalu, że uległ naciskowi, pozwalając Sofii i Marcowi wystartować. Powinien odczekać, aż poczuje się lepiej, i sam polecieć.

W miarę jak mijały godziny, a oni nie dawali znaku życia, D.W. pocieszał się wymyślaniem w miarę najlepszych ze wszystkich złych możliwości. Jeśli się rozbili, a wszystko na to wskazywało, najlepiej by było, gdyby spadli w pobliżu promu. Mogli przeżyć, mogli być zbyt poranieni, by się stamtąd ruszyć. Dotarcie do nich zajęłoby ponad tydzień marszu przez nieznany teren, a nikt nie mógł przewidzieć, czy zastaną ich żywych. Nie było dobrego rozwiązania. Wiedział, że sam nie będzie w stanie przejść takiej trasy. Najlepsza byłaby Anne, ale wzdragał się przed wysłaniem jej w głąb łądu. Emilio znał się na medycynie i był twardy, ale chyba za mały. Lepiej wysłać Jimmy'ego, który przeszedł równie dobre przeszkolenie w udzielaniu pierwszej pomocy. Jeśli Marc i Sofia zdołają przeżyć siedem lub osiem dni, prawdopodobnie przeżyją jeszcze jeden dzień bez specjalistycznej pomocy lekarskiej. Tak, trzeba wysłać Jimmy'ego, który jest duży i silny, a z nim George'a, który jest wytrzymały i pilotował już prom w czasie ostatniej wyprawy na asteroid. Będzie musiał przetransportować Marca i Sofię prosto na *Stellę Maris*, zostawić z nimi Jimmy'ego i zatankować. Potem wróci do Kashanu po Anne. To ich pozbawi swobody ruchu. Pozostaną im tylko trzy loty. Nie ma jednak lepszego wyjścia.

Niech to szlag, pomyślał. Jeśli są ciężko ranni, mogą nie przeżyć G zero. Westchnął i miał już wezwać Anne, aby się z nią narodzić, kiedy usłyszał niespodziewany grzmot. W tej fazie deszczu słyszeli zwykle tylko jednostajne bębnienie ulewy i ryk wezbranej rzeki w dolinie.

– To prom – powiedział Emilio.

Pobożne życzenie, pomyślał D.W. Serce podskoczyło mu do gardła, kiedy zdał sobie sprawę, że Emilio może mieć rację. Wstał i wyszedł na taras, przemarznięty do szpiku kości. „Boże”, modlił się, przeszukując wzrokiem niebo, „tylko nie prom, błagam Cię, Panie, tylko nie prom”. Nasłuchiwał uważnie i nagle, rozdarty sprzecznymi uczuciami, rozpoznał ryk silnika.

Teraz otoczyli go inni, wrzeszcząc z podniecenia i radości. Pokuśtykał za nimi, gdy pobiegli stromymi, śliskimi ścieżkami w górę. Jimmy pędził wielkimi susami, George tuż za nim. D.W., z trudem łapiąc oddech, słyszał triumfalne okrzyki Emilia: „A mówiłem!” i „O wy, małej wiary!”, a potem głos Anne: „Okay, okay, *Deus* już *vult!*” Mrużąc oczy w strugach deszczu, włókł się za tym tryskającym energią pochodem. Choroba jeszcze dawała mu się we znaki; potrzebował czasu, żeby samemu uporać się z katastrofą, zanim powie o niej innym.

Kiedy zobaczył prom, Jimmy już otworzył luk bagażowy i wynosił Sofię. Marc zszedł o własnych siłach. Nawet z tej odległości D.W. widział podkrążone oczy, napuchłe twarze i bolesną sztywność, z jaką poruszali się Marc i Sofia. Dlaczego nie poczekali? Dlaczego nie połączyli się z nim przez radio, żeby dostać nowe instrukcje? Przecież mógł ich ostrzec! Potem, zły na siebie, że zwała winę na innych, zapytał sam siebie, dlaczego tego nie przewidział. Uznał, że są tylko dwie możliwości: mają wracać, kiedy uznają, że lądowanie jest zbyt niebezpieczne, albo wylądować bezpiecznie. Chory i oszołomiony, nie wziął pod uwagę tego, że kiedy Super-Lekki się rozbije, Sofia może po prostu wrócić promem.

Sofia też go zobaczyła i ruszyła w jego stronę. Twarz miała wilgotną i przebarwioną od potłuczeń. Jest taka piękna, myślał D.W. To, czego dokonała, musiało ją wiele kosztować. Dzielną dziewczyną, odważną, potrafiącą myśleć logicznie. Zresztą George też. Tak się cieszył, robiąc te wszystkie beczki i pętle, nie zdając sobie sprawy, że przecież czegoś ubywa. To nie nasze słabości doprowadziły do katastrofy, ale nasze mocne strony. Jak im to powiedzieć, jak złagodzić cios, jakim to będzie dla Sofii, dla George'a, dla wszystkich...

– No więc – powiedziała Sofia, podchodząc do niego z promiennym uśmiechem na twarzy – wróciliśmy jak Elias, na wozie ognistym!

Wyciągnął ramiona, a ona podeszła i dała mu się objąć, ale natychmiast skrzywiła się z bólu w jego uścisku, cofnęła i zaczęła opisywać katastrofę, jak pilot pilotowi, z szaloną emocją osoby, której udało się okpić śmierć. Inni też podeszli i słuchali w milczeniu tej opowieści. W końcu, kiedy deszcz zaczął słabnąć, a ona zaspokoiliła potrzebę wyrzucenia z siebie tego wszystkiego, D.W. spostrzegł, że wyczuła już coś niedobrego.

– O co chodzi? – zapytała. – W czym rzecz?

Spojrzał na George'a, a potem na nią – na córkę, o której istnieniu nie miał pojęcia. Była znikoma szansa. Jeśli nie szarżowała z szybkością. Jeśli poleciała prosto do Kashanu. Jeśli miała dostatecznie silny wiatr od ogona. Jeśli Bóg był po ich stronie.

– Sofio, to moja wina! Ja ponoszę całą odpowiedzialność. Powinienem cię ostrzec...

– Przed czym? – zapytała, teraz już poważnie zaniepokojona. – Przed czym ostrzec?

– Sofio, kochanie – powiedział łagodnie, widząc, że nie może już dłużej tego odkładać – ile paliwa zostało?

Wystarczył moment, aby zrozumiała. Podniosła rękę do ust, twarz jej zbieleła nawet pod siniakami. Objął ją, kiedy zaszlochała, czując, że kochają tak, jak jeszcze nikogo nie kochał. Wtedy wszyscy zrozumieli. Nie mogli już wydostać się z Rakhatu.

Pierwszy ochłonął Jimmy.

– Sofio – powiedział cicho, tuż przy jej głowie. – Sofio, spójrz na mnie.

Zareagowała na jego spokój i podniosła oczy, teraz jeszcze bardziej napuchnięte. Dygocąc i przelykając łzy, wciąż przytulona do D.W., spojrzała w czyste, niebieskie oczy, osadzone głęboko w twarzy, na której malowała się radość z powrotu do domu, teraz obrzeżonej śmiesznymi spiralami rudych włosów.

– Sofio – powiedział Jimmy; w jego głosie dźwięczała pewność, a spojrzenie miał spokojne – mamy tu wszystko, czego nam trzeba. Mamy wszystkich, o których się troszczymy. Witaj w domu, Sofio.

D.W. przekazał ją Jimmy’emu, a sam usiadł ze znużeniem na błotnistej ziemi, podczas gdy Sofię, płaczącą już z innego powodu, otoczyły długie ramiona. Inni też wychodzili z szoku: George przypominał Sofii, że i on ma w tym udział, Anne i Emilio żartowali już, że są kosmitami-rezydentami, i zastanawiali się, gdzie można złożyć podanie o zieloną kartę. Marc zapewniał Sofię, że tak widocznie chciał Bóg.

Panie, modlił się w duchu D.W. Yarbrough, oto najwspanialsza grupa bezogonowych naczelnych, jaką dysponuje Twój wszechświat. Mam nadzieję, że jesteś z nich dumny. Jasna cholera, jestem tego pewny!

Otoczony niebieskimi i purpurowymi roślinami, nasłuchując, jak jego ludzie biorą się za bary z nieubłagany losem i dodają sobie otuchy, D.W. wyciągnął ręce za siebie, wparł je w gliniastą glebę i odchylił się, wystawiając twarz na deszcz. Może Marc ma rację, pomyślał. Może tak właśnie miało być.

WIOSKA KASHAN

Siódma Na'alpa – Piąty Partan

Kiedy weszli do środka, chroniąc się przed deszczem, Anne zabrała się do działania. Zbadła Marca i Sofię i potwierdziła amatorską opinię Marca o ich stanie fizycznym, a następnie poinformowała D.W., że wygląda okropnie. George, Emilio i Jimmy pomogli jej powycierać i rozgrzać trójkę inwalidów, a potem, kiedy zrobiło się ciemniej, nakarmić i położyć do łóżek. Kiedy już było jasne, że nie będzie żonie pomocny, George Edwards wziął swój komputer i schował się w pustym pomieszczeniu Aychy. Anne to widziała. Przyszła do niego, kiedy zrobiła wszystko, co w jej mocy, i uklękła za nim na poduszce, żeby mu rozmasować kark, a potem objęła go z gwałtowną czułością. George uśmiechnął się i pocałował ją w policzek, ale zaraz wrócił do pracy, nic nie mówiąc.

Czterdzieści pięć lat wspólnego pożycia dało im poczucie pewności i zaufania do siebie, a może i do samego życia. Ich małżeństwo było przyjacielskim związkiem kompetentnych, samodzielnych, w pełni dojrzałych ludzi, równych sobie, rzadko zwracających się do siebie o pomoc lub wsparcie. Anne była przyzwyczajona do reakcji George'a na wszelkie kryzysy: nie wpadać w panikę, wszystko rozebrać na kawałki, znaleźć wszystkie okoliczności. Ale wiedziała też, że nad jego biurkiem wisiał od lat kartonik z jego ulubionym mottem Dilberta: „Celem każdego inżyniera jest dotrwanie do emerytury bez spowodowania żadnej większej katastrofy”. Nie można było tego uniknąć. To, co się stało, było w dużej mierze jego winą.

George skoncentrował się najpierw na wykazaniu, że ani D.W., ani Sofia nie mogą się obwiniać za katastrofalne w skutkach zużycie paliwa niezbędnego do powrotu. Sofia zużyła część tego paliwa, ale postąpiła rozsądnie w krytycznej sytuacji. Natomiast on wykazał politowania godną lekkomyślność, popisując się przed D.W., wypróbowując manewry, które przerabiał na symulatorze, bez zastanowienia zużywając skąpą rezerwę bezpieczeństwa. Uczynił więc wszystko, by przekonać resztę, że to on, George, wpakował ich w taką sytuację, nie Sofia. Co do D.W., który nie przewidział tego, co się stało, i nie ostrzegł Sofii, to George dowodził, że przecież nikt o tym nie pomyślał.

– Razem wzięci dysponujemy czterocyfrowym ilorazem inteligencji – powiedział Yarboroughowi, kiedy szli do wioski – a nikt z nas, razem czy osobno, tego nie przewidział. Przestań się biczować.

Inżynierowie nie idą do spowiedzi, kiedy nawalą: szukają wyjścia z krytycznej sytuacji. Anne obserwowała, jak George radzi sobie z własnym strachem i poczuciem winy, zabierając się do inżynierskiego różańca: serii obliczeń, w których brał pod uwagę ciężar promu, jego opór, siłę nośną, siłę ciągu, siłę i kierunek spodziewanych wiatrów, wysokość nad poziomem morza, kompensację obrotową wynikającą z szerokości geograficznej, odległość od *Stelli Maris* w jej najdogodniejszym położeniu względem ich obecnej pozycji. Anne wiedziała, że to jego sposób usprawiedliwienia się przed innymi, błagania o przebaczenie mu grzechu.

Jimmy został przy Sofii, dopóki nie upewnił się, że zasnęła, i kilka minut później przyłączył się do Anne i George'a. Emilio przyniósł im kawy i usiadł w pewnym oddaleniu, nieprzenikniony i zamknięty w sobie, podczas gdy Jimmy i George rozważali różne warianty. Ile obciążenia mogą się pozbyć, wyrzucając z promu wszystko, co nie jest konieczne do przeżycia? Użyć jednego pilota? Ale kogo? D.W. miał o wiele większe doświadczenie, ale ważył prawie dwa razy tyle, co Sofia. A może udałoby się przesunąć *Stellę Maris* na wygodniejszą orbitę? Czy można to zrobić, wykorzystując zdalne sterowanie? Czy można przeprogramować silniki promu, żeby wycisnąć z nich więcej mocy przy mniejszej ilości paliwa?

Kilka godzin później musieli uznać, że wynik tych rozważań nie różni się wiele od tego, co można było z góry przewidzieć. Na Rakhacie też działało prawo Murphy’ego. Niczego nie mogli być pewni. Jeśli wiatry będą im sprzyjać, a obliczenia wynikające z najmniejszej możliwej wagi promu okażą się poprawne, jeśli Sofia będzie pilotowała, wciąż pozostawał problem przesunięcia *Stelli Maris* na niższą orbitę.

– Możemy porozmawiać o tym z D.W., kiedy się obudzi, ale nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – oświadczył Jimmy, opierając głowę o ścianę i wyciągając swoje długie nogi. – Ten asteroid to wyjątkowo odporne bydlę. Nie trzeba wiele, żeby dostał się w macki grawitacji.

– A wtedy na Rakhacie zacznie się zabawa z dinozaurami? – Anne skrzyżowała ramiona wokół podciągniętych kolan, na których oparła brodę. – To niewarte ryzyka.

– Zabawa z dinozaurami? – zapytał Emilio, po raz pierwszy przerywając swoje milczenie.

– Jedna z najlepszych hipotez wyjaśniających wyginięcie dinozaurów głosi, że sporych rozmiarów asteroid uderzył w Ziemię. Zmienił klimat, pozbawił te giganty pożywienia.

Emilio podniósł rękę.

– Oczywiście. Czytałem o tym. Wybaczcie mi, nie słuchałem uważnie. Więc jeśli *Stella Maris* uderzyłaby w Rakhat, rozwaliby planetę?

– Nie. Nie byłoby aż tak źle – powiedział George. – Wprowadzając asteroid na orbitę, wytraciliśmy sporo szybkości. Gdyby spadł do oceanu, nic by się nie stało. Może gigantyczna fala, ale nie sądzę, żeby to zniszczyło ekosystem.

– Uważam, że byłoby nieetycznie ryzykować nawet taką falę – powiedział cicho Emilio. – Nas jest siedmioro. Na wybrzeżach zginęłaby cała populacja.

– Nie jestem pewien, czy warto szukać jakiejś nowej orbity, jeśli zakładamy, że asteroid rąbnie w ocean – zauważył Jimmy. – Teoretycznie to jest możliwe, ale pole manewru jest naprawdę bardzo wąskie.

– No cóż, chłopcy i dziewczęta, bardzo mi przykro, ale szanse na to, że tu ugrzęźliśmy na dobre, mają się jak osiem do jednego. – George potarł sobie twarz dłońmi i wzruszył ramionami, kiedy zapisał swoje wyliczenia, żeby je później pokazać D.W. – Możemy nadać SOS przez radio, ale otrzymają nasz sygnał za co najmniej cztery lata, ze dwa lub trzy lata zajmie im przygotowanie statku, a siedemnaście lat dotarcie tutaj. Młodszy z nas mogą jeszcze zobaczyć dom. To też jest coś.

– Jest jednak pewne pole manewru, a trzeba pamiętać, że mogło być o wiele gorzej – stwierdził rzeczowo Jimmy. Wyciągnął listę zapasów, jaką przygotowali dla George'a i D.W., kiedy polecili po zaopatrzenie. – Planowaliśmy, że musimy mieć zapasy na rok i odpowiednie wyposażenie. Marc umieścił na swojej liście nasiona. Możemy przetrwać, jedząc to, co tu żyje, ale jeśli założymy własny ogród, którego nie rozmyją te nie kończące się deszcze, będziemy mieć trochę swoich roślin. Myślę, że damy sobie radę.

George nagle się wyprostował.

– Wiecie co, jest pewna szansa, że uda nam się wyprodukować paliwo. Przecież jesteśmy pewni, że Śpiewacy znają chemię, prawda? – Popatrzył po nich. – Może gdy nawiążemy z nimi kontakt, uda nam się coś wyprodukować.

To była pierwsza uwaga, która rokowała jakąś nadzieję. Jimmy i Anne spojrzeli po sobie, a potem na George'a, który wyglądał jak świeżo ułaskawiony skazaniec. Już zabrał się z powrotem do pracy, szukając plików z danymi o składnikach paliwa.

– Jak długo będzie działała tuba Wolvertona bez obsługi? – zapytała Anne.

Podniósł głowę znad komputera.

– Zaprogramowana jest tak, żeby sama działała, ale co roku będziemy tracić jakieś dwadzieścia procent roślin. Marc będzie wiedział lepiej. Jest nas teraz siedmioro, więc będzie potrzeba mniej tlenu. Gdyby udało się wyprodukować dość paliwa, żeby wrócić tam tylko jeden raz, Marc albo ja moglibyśmy polecieć i dokonać optymalizacji systemów, zanim przybędzie reszta. Możemy też wykorzystać miejscowe rośliny.

Wyraźnie nabrał otuchy. Już uwierzył, że mogą się stąd wydostać.

– A póki co, możemy wciąż wykorzystywać *Stellę Maris*. Mamy pokładowe systemy komputerowe i przekaźnik radiowy.

– Spojrzał na Sandoza, który nie brał udziału w tej dyskusji.

Emilio pogrążony był w swoich myślach, ale większość rozmowy do niego dotarła, choć niewiele rozumiał z kalkulacji, które były źródłem ich nadziei. Nagle otrząsnął się i spojrzął na nich zupełnie przytomnie.

– Wydaje mi się, że istota naszej misji nie została naruszona. Przybyliśmy tu, żeby zgromadzić dane i nadal możemy przysyłać je na Ziemię. – Na nieodgadnionej twarzy pojawił się uśmiech, ale oczy pozostały pełne powagi. – Jak powiedziałaś: mamy tu wszystko, czego nam trzeba, i wszystkich, o których się troszczymy.

– Te łodygi nie są takie złe – powiedziała reżolutnie Anne. – Mogę je polubić.

– A ja – oświadczył George – ostatecznie mogę wyciągnąć królika z tego kapelusza.

Sofia Mendes obudziła się dwanaście godzin później, całkowicie zdezorientowana. Z jakiegoś powodu śniło jej się Puerto Rico, które rozpoznawała nie tyle po cechach geograficznych, ile po świeżości i łagodności powietrza. Słyszała jakąś muzykę i zapytała: „Czy ktoś nie będzie miał kłopotów przez śpiewanie?” A Alan Pace odpowiedział: „Nie, jeśli przyniesie kwiaty”, co nie miało dla niej żadnego sensu, nawet we śnie.

Kiedy otworzyła oczy, potrzebowała kilku chwil, aby uświadomić sobie, gdzie się znajduje, a wówczas ból każdego stawu i mięśnia przypomniał jej o tym, co przeżyła przez ostatnie dwa dni. Leżała nieruchomo, cierpiąc bardziej niż poprzedniego ranka w puszczy, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego śniła o Puerto Rico.

Ktoś gotował szmznemo, poznała cudownie ziemski zapach fasoli. Muzyka też była realna, ściągnięta radiem z biblioteki na *Stelli Maris*. Przypomniała sobie, że Runowie odeszli, więc można było puszczać muzykę, nie drażniąc ich. Bardzo ostrożnie usiadła i wzdrygnęła się, kiedy Jimmy Quinn, siedzący blisko, oznajmił:

– Śpiąca Królowna się obudziła!

D.W. pierwszy zajrzał do pomieszczenia i wybałuszył na nią oczy.

– Nie myślałem, że dożyję tego dnia, ale ty, Mendes, wyglądasz jak piętnaście mil parszywej drogi. Jak się czujesz?

– Gorzej – odpowiedziała. – A co z Markiem?

– Krwawiący, ale niepokonany – zawołał Marc z tarasu. – I zbyt sztywny, żeby wejść do środka i powiedzieć ci dzień dobry, *mademoiselle*.

– Na Boga, dziecino, podziwiam twoje panowanie nad pęcherzem – powiedziała Anne, wchodząc. – Pozwól, że zaprowadzę cię do najbliższej rzeki. Możesz iść sama, czy mam wezwać taksówkę firmy Quinn?

Sofia opuściła niepewnie nogi z niskiego polowego łóżka i odczekała kilka chwil, zanim przestało się jej kręcić w głowie. Jimmy wstał i pochylił się, podając jej ramię, którego się uchwyciła, by wstać.

– Czuję się, jakbym przeżyła katastrofę lotniczą – powiedziała, zdumiona, że można się czuć tak strasznie rozbitym, nie mając żadnego złamania. Zrobiła kilka kroków, jęknęła i roześmiała się, ale natychmiast tego pożałowała, bo klatka piersiowa zareagowała ostrym bólem.

– To jest okropne.

Wszedł George, weteran wielu spektakularnie przegranych potyczek z tak uporczywie nieruchomymi obiektami, jak planety. Przyjrzał się jej ze współczuciem i rzekł:

– Trzeci dzień jest zawsze najgorszy.

Zatrzymała się, zgięta w pół jak staruszka, i spojrzała na niego krzywo.

– A ten dzień jest według ciebie drugi czy trzeci?

Roześmiał się współczująco.

– Sama to jutro poznasz.

Potoczyła oczami, jedyną częścią ciała, która nie sprawiała jej bólu, i powoli wyszła na taras, wspierając się na ramieniu Jimmy'ego. Napotkała spojrzenie Marca, ale on sam pozostał nieruchomy, a jego twarz była zbyt potłuczona, by mógł się uśmiechnąć.

– Robichaux, wyglądasz okropnie – powiedziała, naprawdę przerażona.

– Dziękuję. Ty również.

– George ma nowy pomysł – oznajmił Emilio z poważną miną. – Będziemy budować katedry. Będziemy mogli zatrudnić was w charakterze gargulców. – Wyciągnął do niej kubek z kawą. – Spójrz, Sofio, oto powód, by żyć.

– Nie jestem pewna, czy to wystarczająca motywacja. – Spojrzała ze strachem na długą ścieżkę wiodącą ku rzece.

Jimmy, który przez cały czas przyglądał się jej swoimi niebieskimi oczami, zauważył to spojrzenie, ale uznał, że nie jest w stanie mieć jej w ramionach więcej niż raz w ciągu dwudziestu czterech godzin. Przyjaźń, powiedział sobie w duchu, to wszystko, na co może liczyć.

– Zniosę Marca – oświadczył zdawkowym tonem.

– To prawda, Mendes – zapewnił ją Emilio z uśmiechem na twarzy i nieodgadnionym spojrzeniem.

Wzruszyła ramionami, ale biorąc pod uwagę to, jak się czuła, był to na pewno zbyt pochopny gest.

– No dobrze. Ma pan klienta, panie Quinn.

Podniósł ją bez wysiłku, jakby była dzieckiem.

Przez następne dni po prostu odpoczywali; każdy oddzielnie oswajał się z sytuacją, ucząc się sztuki łagodzenia nagłych zmian nastrojów, od nadziei do rozpaczy, starając się zrównoważyć zwyczajowy optymizm rozsądną rezygnacją. Musieli też przygotować się wewnętrznie do następnej fazy życia na Rakhacie. Teraz dała o sobie znać nie tylko bezlitosna zmiana, jakiej to życie podległo, ale i straszliwy wysiłek, jaki każdy z nich włożył w ciągu ostatnich kilku lat. Wszyscy byli bliżej krawędzi umysłowego i emocjonalnego wyczerpania, niż ktokolwiek, prócz Emilia, zdawał sobie z tego sprawę. Wszyscy, prócz niego, już dawniej porzucili ojczyste kraje i języki, aby żyć w obcej kulturze, ale pracowali wewnątrz międzynarodowej kultury nauki i techniki. Tylko Emilio był raz po raz zmuszany do całkowicie obcych warunków kulturowych, a mógł polegać wyłącznie na swoich zdolnościach przystosowawczych i inteligencji, i dobrze wiedział, ile to kosztowało.

Cieszył się więc z tego okresu wytchnienia, widząc w nim dar, za który dziękował Bogu. Marc i Sofia głównie spali, podobnie jak D.W. Anne martwiła się, że Yarbrough złapał jakiś rodzaj pasożyta jelitowego. Wciąż był osłabiony i nie miał apetytu, a co jakiś czas powtarzały się napady biegunki. Miała teraz dostęp do szerokiej gamy środków parazytotropowych z zapasów na promie i zaczęła mu je podawać, mając nadzieję, że któryś z nich podziała. Uważnie przyglądała się innym, ale jak dotąd tylko D.W. miał takie objawy.

George nie mógł się otrząsnąć z przygnębienia. Jedynym środkiem uśmierzającym poczucie klęski była praca nad graficzną formułą składu paliwa, w nadziei, że znajdą kogoś, kto będzie chciał im pomóc, kiedy nawiążą kontakt z mieszkańcami miast. Jego samopoczucie było gorsze, niż mógł się tego spodziewać, ale miał Anne, której czujny wzrok często na nim spoczywał, chociaż starała się zostawić go w spokoju. George'owi, myślał Emilio, nic nie będzie, wkrótce dojdzie do siebie.

Najbardziej pogodny zdawał się być Jimmy, a przyczyna tego była dość oczywista. Okazywał natrętną gotowość do zaspokajania wszystkich potrzeb i życzeń Sofii w czasie jej rekonwalescencji. Opiekował się też Markiem. W jego żartobliwie bezceremonialnym nadskakiwaniu Sofii było coś wzruszającego. Wszystko, co mówił i robił od chwili jej powrotu, było tak wyważone, tak nie zobowiązujące i pełne szacunku... Emilio był pewny, że zostanie to dostrzeżone i docenione. A miłość, źródło tego wszystkiego, pewnego dnia może zostać odwzajemniona.

Przyszło mu do głowy, że mogą mieć dziecko, ludzkie dziecko na Rakhacie. Jak by to było dobrze! Dla Sofii i Jimmy'ego. Dla wszystkich.

I stało się, że w owych spokojnych dniach po katastrofie Emilio Sandoz zanurzył się sam w sobie i zaczął badać poczucie żalu, które nim owładnęło. Starał się zrozumieć, dlaczego tak mocno czuje, że coś w nim umiera.

Nim również, jak wszystkimi, wstrząsnęła myśl, że być może już nigdy nie ujrzy Ziemi. W miarę otrząsania się z szoku mijało jednak i otepiające poczucie utraty. Jimmy miał rację. Mogło być o wiele gorzej. Mieli wszystko, czego potrzebowali. Może kiedyś uda im się wrócić na *Stellę Maris*, a jeśli nie, istnieje realna możliwość długiego życia na Rakhacie. Nie przetrwania, ale naprawdę dobrego życia, pełnego nauki, pełnego miłości. W ten sposób Emilio zbliżył się o krok do śmierci, jaką w sobie wyczuwał.

W ciągu tych kilku miesięcy od przybycia na Rakhat poznał bezbrzeżny ocean miłości i rad był, mogąc na nim dryfować, nie zastanawiając się nad intensywnością i głębią swojego uczucia. Nie mógł zaprzeczyć, że towarzystwo Sofii sprawia mu wyjątkową przyjemność, ale w końcu nie było w tym nic nowego. Zawsze starał się być w zgodzie ze swoim sumieniem w tym, co robił, i w tym, co myślał. Potrafił ukrywać swoje uczucia i panować nad nimi, a nauczył się jeszcze bardziej nad nimi panować, odkąd zrozumiał, że jest w nim zakochana. Razem pracowali, żartowali ze sobą, byli przyjaciółmi. Ona też potrafiła nad sobą panować. Tylko że to wzmagało szacunek i podziw, jakimi ją darzył. Było mu o wiele trudniej nie kochać jej tak, jak George kochał Anne.

Ta myśl przyszła sama, niespodziewanie. Rabini mogą się żenić. Pastorzy mają żony. I powiedział sobie: tak, gdybym był rabinem lub pastorem, kochałbym ją całym sobą i dziękował Bogu za każdy dzień. Tak, pomyślał, a gdybym był Aztekiem, wrywałbym serca z piersi żyjących wrogów i składał słońcu ofiarę z ich krwi. A gdybym był Tybetańczykiem, obracałbym modlitewnymi kołowrotkami. Ale nie jestem żadnym z nich. Jestem jezuitą i ścieżka, którą kroczę, jest inna.

Poznał, co w nim umierało: możliwość bycia mężem i ojcem. Więcej: mężem Sofii i ojcem jej dzieci. Nie zdawał sobie w pełni sprawy, że część jego duszy pozostała otwarta na tę możliwość, dopóki nie zobaczył Sofii w ramionach Jimmy'ego Quinna. Padał deszcz i poczuł się, jakby spłynął na niego zimny potok gwałtownej zazdrości.

Po raz pierwszy celibat zdawał się naprawdę pozbawiać go czegoś. Przedtem był świadom jasności i wyjątkowości celu, koncentracji energii, owoców samodyscypliny. Teraz uświadomił sobie w o wiele głębszy sposób nie tyle swoją seksualność, ile utratę ludzkiej intymności, poświęcenie bliskości drugiej osoby ludzkiej. Czuł, z prawie fizycznym bólem, co to znaczy wyrzec się ostatniej możliwości kochania Sofii, co to znaczy oddać ją Jimmy'emu, który z pewnością będzie ją kochał i szanował tak, jak on sam mógłby ją kochać i szanować. Był wobec siebie uczciwy: wiedział, że zanim Sofia zwróci się ku innemu, będzie czekała na znak od niego. Gdyby uczynił cokolwiek, co by mogła odczytać jako zachętę, musiałby być przygotowany na przyjęcie jej całym sobą. Wiedział, że D.W. i Marc zaakceptowałyby to, a George i Anne bardzo by się ucieszyli. Nawet Jimmy był w stanie się z tym pogodzić...

A więc to nadeszło. Czas oczyszczenia lub odrzucenia ślubu, jaki złożył w młodości – i w niewiedzy – żeby żyć dalej bardziej dojrzałe i w pełnej zgodzie z samym sobą. Czas wyboru między niezwykłym, bezbrzeżnym, duchowym pięknem, jakie ukazał mu Bóg, a zwykłą, niewymierną, światową słodyczą ludzkiej miłości i rodziny. Chwila wyboru: czy zamienić wszystko, z czym wiązał dotąd nadzieje i co już otrzymał jako ksiądz, na wszystko, za czym tęsknił i czego pożądał jako mężczyzna.

Nie wzdrygnął się przed nożem. Sprawnie przeciął nić: kapłan na wieczność. Bóg był tak szczodry wobec niego. Nie mógł Mu niczego odmówić. Nie zastanawiał się, czy Sofia nie jest takim samym darem Boga, jak wszystko, co do tej pory od Niego otrzymał, albo czy on nie jest darem Boga dla niej. Przemówiło dwadzieścia wieków teologii, przemówiło pięć wieków jezuickiej tradycji, przemówiło jego własne życie.

Bóg milczał.

Później, tego samego dnia, Sofia napotkała jego spojrzenie, kiedy obserwował, jak Jimmy podaje jej kubek z kawą i kanapkę. Emilio rozumiał, że Sofia czyta w jego myślach. Spojrzał wówczas na Jimmy'ego: na tego umiłowanego już przyjaciela, stałego, dobrego, silnego, cierpliwego. Dostrzegł jej wahanie i poczuł się przez chwilę jak matka oddająca swoje dziecko do adopcji. Tak, to na pewno dobre rozwiązanie, najlepsze dla ukochanego dziecka, dobre dla wszystkich. Ale ból nie ustępował.

Podjąwszy decyzję, czekał na właściwy moment, by wykonać następny ruch. Moment ów nadszedł w tydzień później, podczas spokojnego przedpołudnia, kiedy Marc i Sofia, z siniakami bledniejącymi do żółci i zieleni, nie jęczeli już tak rozpaczliwie przy każdym ruchu. D.W. też wyglądał lepiej, a i George nieco się rozchmurzył. Wszyscy wyglądali na wypoczętych.

– Rozmyślałem nad moją obecną sytuacją – oświadczył Emilio. Wszyscy spojrzeli na niego z zaciekawieniem, zaskoczeni tak osobistym wyznaniem. Tylko Anne natychmiast wyczuła jego ton i już zaczynała się uśmiechać, czekając na pointę. – Uznałem, że nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy jak teraz. A jednak – ciągnął z uroczystą powagą – czegoś mi tu brakuje. Czegoś bardzo dobrze upieczonego, wysmażonego...

– *Bacalaitos fritos* – powiedział Jimmy, a Emilio jęknął z tęsknoty.

– Pączki obsypane cukrem pudrem – dodał Marc rozmarzonym tonem.

– Francuskie frytki – westchnął George.

– Serowe prażynki – oświadczyła stanowczo Anne. – Cholernie mi brakuje tego pomarańczowego barwnika.

– Stek z piersi kurczęcia – powiedział D.W., a potem dodał: – Niech to szlag. Stek, kropka.

Sofia wstała, sycząc cicho, i ruszyła w kierunku tarasu.

– Mendes, dokąd idziesz? – zawołał D.W.

– Do sklepu spożywczego.

D.W. spojrział na nią zdumiony, jakby właśnie pokazała swoją drugą głowę.

– Do najwymyślniejszej spiżarni na świecie – odpowiedziała Anne, idąc za nią. – Do promu, rzecz jasna! Żeby przygotować party!

Sandoz klasnął w dłonie, ciesząc się, że został właściwie zrozumiany, a na to mężczyźni zerwali się, by pobiec za Sofią i Anne. Tylko Marc pozostał, chociaż i on wstał. To było coś, co powinien zaordynować lekarz, tyle że Emilio wpadł na to pierwszy. Tego im było potrzeba: poczucia ekspansywności, zuchowatości, beztronski, podźwignięcia się po nokaucie.

Wspięli się na skarpę i szli w radosnym pochodzie do promu, wypełnionego ziemskimi przysmakami, kłócąc się po drodze na temat menu, aż w końcu uzgodnili, że każdy może sobie wybrać to, czego pragnie. Wkrótce się okazało, że wszyscy marzą o mięsie, nie tylko D.W. Skoro nie było Runów, mogli puścić sobie muzykę i tańczyć i, na Boga, jeść mięso, a każdy już się na to szykował. Runowie byli wegetarianami i podnieśli straszny lament, kiedy Ziemianie po raz pierwszy i ostatni otworzyli pojemnik próżniowy z wołowiną; pomieszczenie, w którym to się odbyło, zostało w jakiś niezrozumiały dla nich sposób uznane za przeklęte, nie wiadomo, czy czasowo czy na zawsze. Tak więc członkowie jezuickiej misji też musieli zostać wegetarianami, a przedtem, na *Stelli Maris*, żywili się głównie rybami.

Idąc w kierunku promu i stwierdzając z zadowoleniem, że D.W. też tam zmierza z zadziwiającą energią, Emilio przypomniał sobie, że widział strzelbę, i zaproponował, żeby D.W. upolował *piyanota*, co spotkało się z powszechną aprobatą. Tylko Sofia się skrzywiła i zaskoczyła wszystkich, mówiąc, że Żydzi nie jadają dziczyzny, dodała jednak, że znajdzie sobie coś w spiżarni promu. Zatrzymali się i spojrzeli na nią, zdumieni.

– Polowanie nie jest czynnością kosztowną – wyjaśniła. – Ja sama, jak wicie, nie przestrzegam zasad – dodała, trochę zakłopotana. – Nie mogę się jednak zmusić do zjedzenia wieprzowiny albo skorupiaków i jeszcze nigdy nie jadłam dziczyzny. Ale jeśli potraficie zabić zwierzę czysto, to chyba spróbuję.

– Kochana, jeśli chodzi ci tylko o to, będę szczęśliwy, mogąc ci to obiecać – powiedział D.W., kiedy doszli do promu.

Otworzył z rozmachem luk bagażowy i wkrótce pojawił się ze strzelbą, starym, kochanym winczesterem, którym nauczył go strzelać jego dziadek i z którym nie potrafił się rozstać, wyruszając w kosmos. Obejrzał go dokładnie, załadował, a potem podszedł do stada *piyanotów* pasącego się na równinie ponad rzeką i usiadł, wykorzystując kościste kolano jako podporę dla strzelby. Anne przyglądała mu się sceptycznie, wiedząc, że ma kłopoty ze wzrokiem, ale powalić *piyanota* jednym celnym strzałem z odległości trzystu jardów. Echo wystrzału odbiło się od wzgórz na północy.

– Uau – powiedział George.

– To był rzeczywiście czysty strzał – przyznała Sofia. D.W., pusząc się, jakby otrzymał tytuł Potężnego Łowcy przynajmniej na parę godzin, wziął się do oprawiania zwierzyny z Anne, która wyznała później, że było to całkiem interesujące doświadczenie z zakresu anatomii terenowej, podczas gdy reszta zaczęła przygotowywać barbecue. Wczesnym popołudniem wszyscy byli szczęśliwi i odprężeni jak grupa olduwajskich łowców, napełnieni wreszcie tak pożądanymi proteinami i tłuszczem, po raz pierwszy od miesiący naprawdę najedzeni. Gdzieś głęboko, w genach, byli mieszkańcami sawanny i na tej trawiastej równinie z kępami rozłożystych drzew czuli się dobrze, choć nie wiedzieli dlaczego. Zнали już tutejsze rośliny i wiedzieli, że wiele z nich nadaje się do jedzenia. Z wieńcówek się śmiali, a choć ukąszenia węzowych szyjek były bolesne, wiedzieli, że ich jad nie jest groźny, mimo że zabijał mniejsze zwierzęta. W krainie, która ich otaczała, zaczęli już czuć się swojsko, przestało ich też niepokoić, że nie byli tu pod ochroną gęsto rosnących drzew.

Znali już Rakhat, więc kiedy zauważyli obcego, zmierzającego wyraźnie ku nim, byli tylko trochę zaskoczeni. Sądziли, że to jakiś kupiec przybił tu swoją barką po kwiaty, nie wiedząc, że VaKashani wyprawili się gdzieś na zbieranie korzeni *pik*. Nie wzbudził w nich niepokoju, bo wiedzieli, że Runowie są całkowicie niegroźni.

Później D.W. Yarbrough przypomniał sobie, jak wiele uwagi poświęcał Alan Pace muzyce, którą mieli zaprezentować Śpiewakom podczas pierwszego kontaktu jako wizytówkę ziemskiej kultury. Wszystko było rozważane: subtelna, matematycznie doskonała kantata Bacha, budzące dreszcz harmonie sekstetu z *Łucji z Lammermoor*, spokojne, głęboko poruszające piękno Saint-Saensa, majestat symfonii Beethovena, natchniona perfekcja kwartetu Mozarta. W tym wydarzeniu było jakieś niezamierzone wspomnienie Alana Pace'a. To George, który miał równie eklektyczne upodobania, wybrał muzykę, jaka rozbrzmiewała z głośników promu, kiedy zbliżył się do nich Supaari VaGayjur. I chociaż Alan nie wybrałby akurat tego utworu, by zaprezentować Rakhatowi ziemską muzykę, to, co Supaari usłyszał, było jednym z jego odkryć: rytmiczna moc, narastające chóry i instrumentalna wirtuozeria – nie *Dziewiątej Symfonii* Beethovena, ale rockowego albumu Van Halena, „5150”. Anne zwróciła później uwagę, że kompozycja, która właśnie brzmiała, była nadzwyczaj odpowiednia, bo nosiła tytuł: „To, co najlepsze z obu światów”.

Emilio odwrócony był tyłem do przybysza, a na dodatek pochłonięty śpiewaniem razem z chórem, więc dopiero na podstawie kierunku, w jakim zbiegły się wszystkie spojrzenia, zdał sobie sprawę, że tuż nad nim pojawiło się coś wielkiego i groźnego. Podniósł się i odwrócił akurat w tym momencie, kiedy przybysz zaatakował.

Gdyby ten cios został wymierzony w kogoś innego, na pewno okazałby się miażdżący lub nawet śmiertelny. Emilio Sandoz znał jednak od wczesnego dzieciństwa wygląd kogoś, kto zamierza wdeptać go w ziemię, kto chce go po prostu unicestwić. Bez chwili zastanowienia zrobił unik, a kiedy potężne ramię przemknęło obok jego głowy, wyprostował kolana i z całej siły uderzył napastnika ramieniem w brzuch. Po głuchym stęknieniu, jakie usłyszał ponad sobą, poznał, że uderzenie pozbawiło tamtego tchu. Rzucił się na padające ciało, przygważdżając ramiona napastnika kolanami, a przedramieniem uciskając mu szyję jak żelazną sztabą. Nawet dla kogoś, kto jeszcze nigdy nie widział jego oczu, musiało być oczywiste, że wystarczy krótki ruch, a zmiażdży przeciwnikowi krtań całym swoim ciężarem, raz na zawsze przerywając mu oddech.

Zaległa raptowna cisza – Anne rzuciła się do promu i wyłączyła muzykę – a Emilio usłyszał metaliczny szcęk zamka winczestera, ale nie spuszczał oczu z osoby, którą dusił.

– Przestałem się bać takich zasańców, kiedy miałem czternaście lat – powiedział spokojnie po hiszpańsku, a potem dodał, już w miękkim i melodyjnym języku Runów: – Ktoś żałuje, że sprawia ci niewygodę. Mimo to krzywda nie jest dozwolona. Jeśli ktoś cię puści, czy twoje serce będzie spokojne?

Supaari poruszył nieznacznie brodą, językiem ciała wyrażając zgodę lub potwierdzenie. Emilio powoli uniósł ramię, bacznie obserwując, czy przeciwnik nie wykorzysta przewagi siły i wzrostu, by zaatakować ponownie. Bogate doświadczenie mówiło mu, że jeśli da się choć raz objąć komuś tak wielkiemu, może się pożegnać z życiem, więc od najmłodszych lat jego taktyka walki polegała na zadaniu szybkiego i niekoniecznie czystego ciosu, tak aby przeciwnik padł, nie wiedząc dlaczego. Miał długą przerwę w praktyce, ale umiejętności pozostały.

Supaari VaGayjur, całkowicie oniemiały, z załzawionymi oczami i z trudem łapiący oddech, po prostu wpatrywał się w... w to coś, co się nad nim pochylało. W końcu, kiedy już nabrał w płuca dość powietrza i trochę się uspokoił, zapytał:

– Kto wy jesteście?

– Cudzoziemcy – odpowiedział mały potwór przyjaznym tonem, zdejmując ramię z szyi Supaariego.

– To chyba za mało powiedziane – zauważył Supaari, rozcierając sobie gardło.

Ku jego zdumieniu potwór roześmiał się.

– To prawda – odrzekł, rozchylając wargi i ukazując białe, dziwnie równe zęby. – Czy ktoś może cię poczęstować kawą?

– *Kafay!* To jest właśnie to, po co tu przybyłem! – zawołał Supaari prawie tak samo przyjaznym tonem, odzyskując wielkomięską ogładę.

Niewiarygodna istota wstała i podała mu dziwną rękę, najwidoczniej oferując pomoc. Supaari też wyciągnął rękę. Następnie spostrzegł, że półnaga twarz cudzoziemca zmieniła gwałtownie barwę w sposób trudny do opisanego, ale zanim zdążył to przeanalizować, jego uwagę zaprzętnął inny fakt: potwór nie miał ogona. Supaari był tak wstrząśnięty widokiem istoty, która stoi na dwóch nogach, nie wspierając się na ogonie, że sam nie wiedział, kiedy złapała go mocno za nadgarstek i pomogła mu wstać. A wówczas czekała go jeszcze jedna zdumiewająca niespodzianka, wzrost owej istoty, który sprawił, że Supaari poczuł się jeszcze bardziej upokorzony swoją niedawną klęską.

Nie miał, oczywiście, pojęcia, że potwór, wyciągając szyję do góry, był w tym samym momencie równie jak on wstrząśnięty jego wzrostem. Prawdę mówiąc, Emilio Sandoz po raz drugi w swym życiu bliski był omdlenia na widok trzyciałowych pazurów, które przecięłyby mu kark jak masło, gdyby choć na ułamek sekundy zawahał się przed zrobieniem uniku. □ Supaari starał się rozpaczliwie opanować skutki o wiele głębszego wstrząsu. Ostatecznie Sandoz przybył na Rakhat, spodziewając się spotkania z zupełnie obcymi istotami, natomiast Supaari VaGayjur wyprawił się do Kashanu tylko po to, by spotkać się z jakąś nową delegacją handlową i był przekonany, że cudzoziemcy i ich *kafay* pochodzą z jakiegoś niezbadanego jeszcze regionu puszczy na dalekim południu.

Przycumowawszy barkę w wioskowej przystani, Supaari nie był wcale zaskoczony tym, że wioska wygląda na opuszczoną, bo Chaypas uprzedziła go, że wszyscy wybierają się na zbieranie korzeni *pik*. Natychmiast wykrył odór piekącego się mięsa, połączony z jakąś bardzo dziwną mieszaniną spalonych węglowodorów i jeszcze silniejszym zapachem krótkołańcuchowych węgli i aminów. Mięso wskazywało na to, że kupcy są Jana'atami, ale te inne zapachy były bardzo osobliwe.

Nie należał do tych, którzy tolerowaliby kłusownictwo, ale gotów był na kroki pojednawcze, gdyby obcy kupcy zaproponowali jakieś odszkodowanie. Potem, wbiegłszy na skarpe, zatrzymał się gwałtownie na widok wielkiej, całkowicie mu nie znanej i niezrozumiałej maszyny spoczywającej na równinie, jakieś pół *cha'ara* od wąwozu, a węsząc uważniej, zdał sobie sprawę, że tam jest właśnie źródło owego węglowodorowego smrodu. Promieniował on z grupy istot, siedzących kręgiem przy maszynie. Kiedy ruszył w ich kierunku, miotało nim wiele emocji: gniew na samą myśl o kłusownictwie, wstręt z powodu tych obrzydliwych zapachów i odrażających dźwięków, jakie wydawała machina, zmęczenie po długiej, samotnej podróży, niechęć do poroziadanych na łące cudzoziemców, pragnienie odzyskania panowania nad sobą, bo przecież od tego spotkania zależało, czy zostanie dostawcą resztara Galatny, wreszcie zdumienie i fascynacja, kiedy podszedł na tyle blisko, by dostrzec, że nie są to wcale Jana'atowie albo Runowie, ale zupełnie inne istoty, których nie był w stanie zidentyfikować.

Nie zastanawiał się nad odruchem, który nakazał mu zaatakować. Zareagował podobnie jak ludzie, kiedy w ich obozie nagle pojawi się skorpion albo grzechotnik; Supaari nie tyle pragnął zabić, ile zniszczyć, zredukować do molekuł. I w tym stanie ducha próbował bezskutecznie zmiażdżyć głowę Sandozowi.

Sofia Mendes przerwała ów impas. Widząc, że Emilio zamarł bez ruchu, wzięła to za świadomą demonstrację spokoju i przyniosła przybyszowi kubek kawy, który mu zaoferował Emilio.

– Większość Runów woli wdychać – powiedziała, wyciągając ku niemu kubek na całą długość ramion. – Może spróbujesz trochę wypić, jak my – dodała, z szacunkiem uznając jego wyraźną inność.

Supaari spojrział z góry na tego nowego chochlika, na tę zupełnie niewiarygodną drobinę, która przemówiła do niego w całym przyzwoitym języku Runów. Stworzonko miało nagą twarz i szyję, ale miało też czarną grzywę. Wstążki! Natychmiast przypomniał sobie o nowym stylu Chaypas.

– Ktoś ci dziękuje – odpowiedział w końcu.

Otrzepał szatę z pyłu i strzępów roślin i wziął kubek, chwytając go za krawędź i dno pierwszym i trzecim pazurem, podczas gdy środkowy odchylił się wdzięcznie, i starając się pozostać obojętnym wobec faktu, że właśnie zaproszono go do wdychania roztworu *kafay* wartego zapewne jakieś czterdzieści tysięcy *bahli*.

– To jest gorące – ostrzegła go drobinka. – I gorzkie.

Supaari upił nieco czarnego płynu. Nos mu się zmarszczył, ale oświadczył:

– Zapach jest bardzo przyjemny.

Jest taktowny, pomyślała Anne, przyglądając się potężnym zębom i pazurom. Jezu Chryste, taktowny mięsożerca! Ale gest Sofii pozwolił jej otrząsnąć się z szoku.

– Nasze serca będą rade, jeśli przyjmiesz nasze jedzenie – powiedziała Anne, używając formuły Runów, którą wszyscy dobrze już znali. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, pomyślała. Robię za Miss Dobrych Manier w spotkaniu z mięsożernym kosmitą, który dopiero co próbował pozbawić Emilia głowy!

Supaari zwrócił się ku następnej zjawie i zobaczył jeszcze jedną nagą twarz, tym razem z białą grzywą, w którą wplecione były wstążki. Nie odpowiadając na zaproszenie Anne, rozejrzał się po raz pierwszy i na widok Jimmy’ego Quinna zapytał z niedowierzaniem:

– Czy to wszystko twoje dzieci?

– Nie – odrzekł Jimmy. – Ktoś jest najmłodszy. Runowie uparcie brali to za przejaw wspaniałego poczucia humoru Jimmy’ego. Supaari po prostu zaakceptował tę odpowiedź. To ich utwierdziło w przekonaniu, że mają do czynienia z zupełnie innym gatunkiem.

Supaari spojrzął na innych.

– Więc kto jest Starszym?

Emilio odchrząknął, aby się upewnić, że jest w stanie wydać z siebie dźwięk i w ten sposób zwrócić na siebie uwagę Supaariego. Odwrócił się i wskazał na D.W. Yarbrougha.

D.W., któremu serce waliło jak młotem, nie poruszył się i nie przemówił, odkąd sięgnął po winczestera i – kapłan nie kapłan – przygotowany był do wysłania tego kosmicznego skurczybyka prosto do piekła. Parę minut temu był przekonany, że ujrzy głowę Emilia, toczącą mu się do stóp, i wątpił, by miał kiedykolwiek zapomnieć tę chwilę lub falę ślepej wściekłości, która z całą pewnością doprowadziłaby go do uśmiercenia Supaariego, gdyby Emilio sam nie opanował sytuacji z tak podziwu godną zręcznością i szybkością.

– Ten jest Starszym – powiedział Emilio – chociaż nie jest najstarszy. Jego wszyscy słuchamy.

Supaari zobaczył tylko średniego wzrostu potwora, trzymającego pręt, który śmierdział węglową stałą, siarką i ołowiem. Nie mając pośrednika, który by go przedstawił, przejął inicjatywę i podniósł ręce do czoła.

– Ten nazywa się Supaari, urodzony jako trzeci, z rodu Gaha’ana, którego miejscowe imię jest VaGayjur. – I czekał, skierowawszy wyczekująco uszy ku Sandozowi.

Emilio pojął, że jako tłumacz powinien przedstawić Yarbrougha.

– Starszy nazywa się Di, urodzony pierwszy, z rodu Yarbrough, którego miejscowe imię jest VaWaco.

A więc wojownik, pomyślał Supaari, całkiem słusznie, choć z błędnego powodu. Ponieważ rozmawiali w języku *Ruanja*, wyciągnął obie ręce, nie wiedząc, co począć dalej.

– *Challalla khaeri*, Di.

Yarbrough wręczył strzelbę George’owi, patrząc na niego wymownie, jakby chciał powiedzieć: „Użyj jej, jeśli zajdzie potrzeba”. Potem wystąpił do przodu i włożył palce między szpony Supaariego.

– *Challalla khaeri*, Supaari – powiedział, mrużąc oczy, z wyraźnym teksańskim akcentem i miną, która dopowiadała: „Ty przeklęty skurczybyku”.

Anne miała wielką ochotę wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymała; czterdzieści pięć lat prozonych kolacji zrobiło swoje. Zamiast tego podeszła do przybysza i pozdrowiła go w języku *Ruanja*. Kiedy cofnęła rękę, powiedziała:

– *Sipaj*, Supaari! Na pewno jesteś głodny po podróży. Teraz z nami zjesz?

Zjadł. W sumie był to udany dzień.

28
NEAPOL
sierpień 2060

Kierując się wskazówkami portiera i ślepym instynktem, John Candotti trafił do słabo oświetlonej piwnicy domu rekolekcyjnego, którą w latach trzydziestych XX wieku zamieniono na pralnię i od tego czasu tylko raz, po stu latach, zmodernizowano. Nasze kochane Towarzystwo Jezusowe, pomyślał Candotti, potrafi w ciągu dwu tygodni podjąć decyzję o misji międzygwiazdnej, ale nie spieszy się z czymś takim, jak zakupienie nowego wyposażenia pralni. Ultradźwiękowe pralnice były już zabytkami, ale wciąż działały. Kiedy była pogoda, bieliznę nadal suszono na słońcu. Pralnia przypominała mu piwnicę jego babki, z tą różnicą, że tam używało się mikrofalowej suszarki bez względu na pogodę.

Przeszedł przez prawie całe pomieszczenie, kiedy zdał sobie sprawę, że usłyszał głos Sandoza, który coś nucił. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy to Sandoz, bo jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Emilio nucił. Ale tak, to był on, nie ogolony, w jakimś starym ubraniu – wyciągał z pralki mokrą bieliznę i wkładał ją do ratanowego kosza, który wyglądał na starszy od Watykanu.

John odchrząknął i przełknął ślinę. Emilio odwrócił się i spojrzał na niego groźnie.

– Chyba nie oczekujesz, że wejdiesz, ot tak sobie, do mojego gabinetu i spotkasz się ze mną bez zaproszenia, młody człowieku.

John wyszczerzył zęby i rozejrzał się.

– Brat Edward powiedział mi, że zesłali cię tutaj na roboty. Bardzo tu ładnie. Coś w rodzaju Bauhausu.

– Forma odpowiada funkcji. Brudna pralnia wymaga takiej atmosfery. – Emilio podniósł mokrą poszewkę. – Przygotuj się na oślepienie.

Strzepnął poszwę parę razy z godną podziwu siłą, zanim wrzucił ją do kosza.

– A więc to są te nowe protezy! – zawołał John.

Przesłuchania zawieszono na parę tygodni, podczas których Sandoz współpracował z Paolą Marino, bioinżynierem z Mediolanu, którą Giuliani ściągnął, kiedy się okazało, że ojciec Singh nie jest w stanie poprawić swoich protez. Sandoz długo się opierał, ale Giuliani nie ustąpił. Przedsięwzięcie najwyraźniej się powiodło.

– Jestem oszołomiony – przyznał John. – To cudowne.

– Tak jest. Jestem równie olśniewający, kiedy strzepuję ręczniki, ale są pewne granice. – Emilio odwrócił się do pralnicy.

– Na przykład skarpetki. Wy, chłopcy, wysyłacie je tu na dół wywrócone na lewą stronę i na górę wracają czyste, ale nie wyobrażajcie sobie, że będę je wywracał na prawą stronę.

– Hej, mój tata miał taką samą zasadę w domu! – John przyglądał się, jak Emilio pracuje. Wciąż miał słaby uchwyt i musiał uważnie kontrolować ruchy, ale poprawa była uderzająca. – Są naprawdę dobre, nie sądzisz?

– O wiele łatwiej nad nimi panować. Lżejsze. Zobacz: siniaki już bledną.

Wyciągnął obie ręce. Nowe klamry były całkowicie inne, mniej przypominały klatkę, a bardziej łubki nadgarstkowe z elektronicznymi wysięgnikami. Palce były podtrzymywane od spodu płaskimi taśmami, przylegającymi do rąk. Nieco cieńsze taśmy krzyżowały się na szczytach paliczków, a zestaw trzech płaskich ramiączek łączył łubki ze śródrczem, nadgarstkiem i przedramieniem. John starał się nie zwracać uwagi na zanik mięśni i skoncentrował się na mechanizmie.

– Odczuwam ból w dłoniach i ramionach – mówił Sandoz – ale chyba dlatego, że częściej ich używam. – A teraz pokażę ci coś najlepszego. Popatrz.

Podszedł do wielkiego stołu, przeznaczonego do sortowania i składania bielizny, i pochyliwszy się, położył na nim jedno ramię. Potrząsnął lekko ramieniem, aktywizując mały przełącznik, a klamry rozchyliły się i zawisły z boku, jak dziwaczne kwiaty. Wyciągnął z nich ramię, a potem włożył je z powrotem bez pomocy Johna, chociaż kosztowało go trochę wysiłku, zanim mu się udało ponownie przesunąć przełącznik, a wówczas klamry same się zamknęły.

– Potlafię to łobić sam – powiedział, sepleniąc jak trzyletnie dziecko, a potem dodał, już własnym głosem: – Nie wyobrażasz sobie, jaka to różnica.

John rozpromienił się, rad, że widzi go tak szczęśliwym. Podejrzewał, że nikt, może nawet i sam Sandoz, nie zdawał sobie w pełni sprawy z depresyjnego oddziaływania *hasta 'akali*. Po raz pierwszy od okaleczenia Emilio odkrywał od czasu do czasu, że jest w stanie robić różne rzeczy, podczas gdy przedtem wciąż zauważał, że czegoś nie potrafi. Jakby czytając w jego myślach, Emilio odwrócił się z dumnym uśmiechem na twarzy, schylił się, podniósł kosz i wyprostował się z nim, czekając na komentarz.

– To robi wrażenie – powiedział John. Sandoz zaniósł kosz do drzwi i otworzył je plecami. John wyszedł za nim.

– Ile to może ważyć? Siedem albo osiem kilo, co? – zapytał, kiedy Sandoz postawił kosz przy sznurze do suszenia bielizny.

– Lepsza mikroprzekładnia – wyjaśnił mu Emilio i zaczął rozwieszać pranie. Nie szło mu to szybko. Radził sobie nieźle, ale żabki do wieszania miały tendencję do wypadania mu z rąk. – Pani Marino będzie chyba musiała dodać jakieś szorstkie ochraniacze na kciuk i palec wskazujący – powiedział nieco zirytowany, kiedy zdarzyło się to po raz czwarty.

To był ten sam człowiek, który znosił stare protezy przez całe miesiące bez najmniejszej skargi! Miło było słyszeć, jak się przechwala. Tego faceta wystarczyło raz porządnie opieprzyć i od razu wziął się w garść, pomyślał John. Wiedział, że to duże uproszczenie, ale był rad, że widzi go w tak dobrej kondycji.

– Może to głupio zabrzmieć – powiedział – ale naprawdę kapitalnie wyglądają.

– Włoskie wzornictwo. – Emilio wyciągnął jedną rękę i przyglądał się jej, jak panna młoda podziwiająca swoją nową obrączkę, a potem powiedział z beztroskim angielskim akcentem:

– W przyszłym roku wszyscy będą je nosić.

– *Princess Bride!* – zawołał John, natychmiast rozpoznając cytaty.

– Ach, widzę, że wykorzystujesz obronę Bonettiego – powiedział Emilio, tym razem ze złym hiszpańskim akcentem.

– Nigdy nie stawaj przeciwko Sycylijczykowi, kiedy śmierć puka do drzwi! – ostrzegł go John, siadając na niskim kamiennym murku otaczającym podwórko. Przez jakiś czas przrzucali się cytatami z tego filmu, aż w końcu John odchylił się do tyłu, ściskając dłońmi kolano, i powiedział: – To duża sprawa, stary. Nigdy nie myślałem, że zobaczę cię w tak dobrej formie.

Emilio zamarł z prześcieradłem w ręku, uświadamiając sobie nagle, że się cieszy. Doznał wstrząsu. Nie wiedział, co począć z tym doznaniem. Reakcja była prawie automatyczna: impuls, by wyrazić wdzięczność Bogu. Zdusił go w sobie, trzymając się kurczowo faktów: rozwiesza pranie i powtarza z Johnem Candottim dialogi z *Princess Bride*. I cieszy się. To wszystko. To robota Paoli Marino, nie Boga. I sam sobie pomógł. Kiedy poznał możliwości nowych protez, sam poprosił o przydzielenie do pralni. Chciał trochę popracować, a to mogło być niezłe ćwiczenie, dowodził, coś w rodzaju naturalnej terapii dla jego rąk. Zaczął więcej jeść i lepiej sypiać, łatwiej znosił noce. I odzyskiwał siły. Oczywiście musiał co jakiś czas odpocząć, trochę zmęczony tym ustawicznym nachylaniem się i sięganiem nad głowę, ale za to...

John opuścił swoją grzędę, zaniepokojony, jak zawsze, nagłym bezruchem Emilia.

– Poczekaj. Pomogę ci – zaproponował przyjaznym tonem, żeby przerwać milczenie, i wziął z kosza jedno z prześcieradeł.

– Nie!

John puścił prześcieradło i cofnął się.

Sandoz stał przez chwilę w milczeniu, dysząc ciężko.

– Posłuchaj, John. Wybacz mi – powiedział wreszcie. – Przestraszyłeś mnie, rozumiesz? Nie spodziewałem się, że znajdziesz się tak blisko. I nie chcę żadnej pomocy! Ludzie bez przerwy chcą mi pomagać! Przykro mi, ale ja tego nienawidzę. Może byś wyświadczył mi grzeczność i pozwolił, że sam ocenię, czy... – Odwrócił się, doprowadzony do rozpacz i bliski płaczu. W końcu uspokoił się trochę i dodał: – Wybacz mi. Wiem, że masz ze mną dopust Boży. Pogubiłem się, John. Złożyło się na to mnóstwo spraw.

Zażenowany i zawstydzony tym wybuchem, Emilio odwrócił się i pochylił nad koszem, wracając do pracy. Po kilku minutach rzucił przez ramię:

– Nie stój tak z rozdziawioną gębą. Pomóż mi, dobra? John wybałuszył oczy, pokręcił głową i wypuścił powietrze, ale wyjął z kosza poszewkę i powiesił na sznurze.

Opróżnili kosz w milczeniu i wrócili do ponurej piwnicy po następną porcję bielizny. Postawiwszy kosz, Emilio poczekał na Johna, a potem westchnął, znowu spoglądając na swoje klamry.

– Tak, teraz jest o wiele lepiej, ale wciąż nie mogę grać na skrzypcach...

John zamruczał współczująco, ale widząc szelmowski uśmiech Emilia, zrozumiał, że to żart.

– Niech cię szlag – zaśmiał się i napięcie między nimi znikło. – Nie mogę uwierzyć, że ci się udało. Nigdy nie grałeś na skrzypcach, prawda?

– Baseball, John. Jeżeli grałem, to tylko w baseball. – Emilio otworzył następną pralkę i zaczął wrzucać ręczniki do kosza, czując, że znowu jest mu dobrze. – Może jestem już za stary i trochę sflaczały, żeby biegać naokoło boiska, ale kiedyś miałem dobre uderzenie.

– Na jakiej pozycji grałeś?

– Zwykle na drugiej bazie. Za krótkie ręce, żeby grać w rogu. Dobrze odbijałem, przeważnie jedynki i dwójki. Może nie byłem mistrzem, ale kochałem to.

– Ojciec generał twierdzi, że wciąż ma ślad na kostce nogi, za którą go kiedyś złapałeś, biegnąc do trzeciej. Mówi, że byłeś brutalny.

– To potwarz! – Emilio, z obrażoną miną, chwycił kosz i wyniósł na podwórko. – Mogłem być bardzo poważny, zgoda. Czasami zachowywałem się po barbarzyńsku. Ale brutalny? Tylko wtedy, kiedy kończył się czas.

Rozwieszali bieliznę ramię przy ramieniu, wsłuchując się w odgłosy późnego przedpołudnia. Z pobliskiej kuchni dochodziło postukiwanie garnkami i patelniami; brat Cosimo zabierał się do przygotowania lunchu.

– Znasz się trochę na baseballu, John? – zapytał Emilio spoza mokrego ręcznika.

– Kibic Wilczków – mruknął John. Chicagowskie przekleństwo.

Sandoz przesunął ręcznik i wytrzeszczył oczy.

– Jak źle?

– Każdy może stracić parę setek punktów.

– No tak. Uou. – Ręcznik wrócił na swoje miejsce. Chwila milczenia. – No tak, to wyjaśnia, dlaczego Giuliani ściągnął właśnie ciebie.

Nagle John usłyszał głos ojca generała, który mówił: „Voelker, potrzebuję kogoś, kto by się zaopiekował beznadziejnym ludzkim wrakiem, który wrócił z Rakhatu. Znajdź mi kibica Wilczków!”

– Nie jesteś beznadziejnym wrakiem, Emilio.

– John, mogę ci opowiedzieć tyle o beznadziejności, że nawet kibic Wilczków tego nie zrozumie.

– Spróbuj.

Kiedy Sandoz odezwał się po długim milczeniu z drugiego końca pralni, zrobił to, zmieniając temat.

– A jak tam San Juan w tym roku?

– Trzy gry z pierwszego miejsca. W pięćdziesiątym ósmym wygrali eliminacje. – John był rad, mogąc przekazać dobre nowiny. Emilio wyszedł z pralni, uśmiechając się błogo, pokiwał głową i wrócił do pracy. John zrobił sobie krótką przerwę i spojrzał na niego przez szparę między ręcznikami. – Wiesz, że po raz pierwszy zapytałeś mnie o bieżące wiadomości? Słuchaj, to mnie doprowadza do szału! Przecież poleciałeś tam, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie! Nie jesteś ciekaw, co się wydarzyło? Jakie wojny się skończyły, kto zwyciężył i takie inne sprawy? Rewolucje w technice, osiągnięcia medycyny? Nie jesteś tego ciekawy?

Sandoz utkwiał w nim wzrok, usta miał półotwarte. W końcu wrzucił ręcznik do kosza i cofnął się o kilka kroków, aż do kamiennego murku, na którym usiadł, czując falę zmęczenia.

Roześmiał się i potrząsnął głową, zanim spojrzał na Johna przez zasłonę czarnych i srebrnych włosów, które opadły mu na oczy.

– Mój drogi ojciec Candotti – powiedział ze znużeniem – pozwól mi coś sobie wyjaśnić. Jak ci się wydaje, gdzie musiałem żyć w ciągu minionych piętnastu lat? W trzydziestu różnych miejscach? Policzmy. Cztery kontynenty, dwie wyspy. Dwie planety! Asteroid! Siedem lub osiem ekosystemów, od pustyni do tundry. Dormitoria, chaty, jaskinie, namioty, lepianki, *hampiye*... Musiałem się porozumiewać w piętnastu różnych językach, często w trzech jednocześnie. Spotykałem tysiące obcych ludzi, zanurzałem się w najdziwniejszych kulturach trzech różnych gatunków i chyba dwudziestu narodowości. Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale pojemność mojej ciekawości została wyczerpana. – Westchnął i oparł głowę na dłoniach, uważając, by wysięgniki i taśmy nie zaplątały mu się we włosy. – John, jeśli z tego wyjdę i pozwolą mi żyć tak, jak chcę, nic nowego lub interesującego nie spotka mnie aż do śmierci. Pralnia to wszystko, na co mnie stać. Żadnych szybkich ruchów, żadnych nagłych hałasów, żadnych intelektualnych wyzwiań.

– I żadnych cholernych pytań? – zapytał John ze smutkiem, siadając obok niego na murku.

– Żadnych cholernych pytań. – Podniósł głowę i spojrzał na skaliste wzgórze na wschodzie. – I jak najdalej od śmierci, wyniszczenia i poniżenia, mój drogi. To były ciężkie lata.

John Candotti już dawno przestał się dziwić, że ludzie chętnie się u niego spowiadają. Był tolerancyjny wobec ludzkich słabości i upadków, nie wahał się powiedzieć: „No cóż, nawaliłeś. Każdemu to się zdarza. To normalne”. Największą satysfakcją była dla niego możliwość udzielenia rozgrzeszenia, nakłonienia ludzi do wybaczenia sobie, że nie są doskonali, do poprawy i powrotu do życia. Może jesteśmy już bliscy przełomu, pomyślał.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Sandoz wstał i wrócił do kosza z ręcznikami. Kiedy go opróżnił, odwrócił się i zobaczył, że Candotti wciąż siedzi na murku.

– Mogę to skończyć sam – powiedział szorstko i zniknął w piwnicy.

W tym okresie Vincenzo Giuliani nie próżnował, a dochodzenie w sprawie misji na Rakhat nie zostało wstrzymane. Ojciec generał wykorzystał ów okres na przemyślenie swojej taktyki. Uznał, że sytuacja wymaga zmiany kursu i więcej żagla, wezwał więc na naradę Candottiego, Behra, Reyesa i Voelkera. Powiedział im, że podczas tych przesłuchań mają do wykonania dwa różne zadania. Jedno miało charakter instytucjonalny: zebrać jak najwięcej informacji o samej misji, o planecie Rakhat i o jej mieszkańcach. Drugie ma charakter duszpasterski. Jeden z członków Towarzystwa Jezusowego przeszedł przez bardzo ciężkie i niezwykle doświadczenie i potrzebuje pomocy, niezależnie od tego, czy się do tego przyznaje czy nie.

– Po głębokiej refleksji – oznajmił im – postanowiłem udostępnić wam transkrypcje oficjalnych raportów przesyłanych przez Yarbrougha i Robichaux, a także pewne prywatne przekazy, jakie od nich przysły. – Podał im hasło, otwierające dostęp do plików. – Nie muszę wam chyba mówić, że to poufna informacja. Zapoznając się z tymi danymi, stwierdzicie, że jak dotąd, Emilio niczego nie ukrywał. Wierzę, że będzie z nami współpracował w realizacji pierwszego zadania. Będzie nam opowiadał, co się wydarzyło na Rakhacie, dopóki nie zaczniemy go wypytwać o jego własne przeżycia wewnętrzne, przeszłe lub obecne. A to prowadzi nas do drugiego zadania. – Wstał i zaczął się przechadzać. – Stało się dla mnie jasne, że emocjonalny kryzys, jakiemu wciąż podlega Emilio, ma pewien indywidualny, teologiczny aspekt. Osobiście jestem przekonany o szczerości i prawidłowości jego duchowego zaangażowania na początku misji. – Przesłał się przechadzać i stanął po drugiej stronie stołu, dokładnie naprzeciw Johannaesa Voelkera. – Nie żądam, żebyście byli łatwowierni, czytając te raporty, proszę was tylko o przyjęcie hipotezy roboczej, że jego przełożeni nie mylili się w ocenach jego stanu ducha. – Voelker automatycznie kiwnął głową, a Giuliani znowu zaczął okrążyć pokój, aż zatrzymał się przy oknie. Odgarnął firanki i wyjrzał na zewnątrz. – Coś się z nim stało. Coś, co wszystko zmieniło. Dopóki nie będziemy wiedzieli, co to takiego, żeglujemy w ciemnościach.

W miarę upływu dni Giuliani dostrzegał zmiany, zachodzące w samym Sandozie. Jego zdrowie znowu zaczęło się poprawiać, zapewne dzięki wyraźnemu złagodzeniu depresji psychicznej oraz nowemu zestawowi półprzepuszczalnych implantów, które wprowadzały prosto do jego krwi stałe dawki witamin C i D, związków wapniowych i środków hamujących zanik tkanki kostnej. Zmęczenie stopniowo ustępowało, chociaż nie było do końca jasne, czy jest to skutek lepszego samopoczucia i większego ruchu czy poprawy ogólnego stanu fizycznego. W każdym razie sine plamy pojawiały się o wiele rzadziej, a prawdopodobieństwo samoistnego złamania kości zaczęło się wyraźnie zmniejszać.

Za radą brata Edwarda stworzono Sandozowi swobodny dostęp do prograiny i związków dHE, środków łagodzących ból mięśni, który teraz był częściej spowodowany przemęczeniem fizycznym niż zadawnionymi skutkami szkorbutu. Edward wierzył, że Sandoz będzie używał leków w rozsądny sposób, a na pewno będzie łatwiej po nie sięgał, żeby przynieść sobie ulgę, kiedy nie będzie musiał nikogo prosić o pozwolenie.

Po jakimś czasie Sandoz poprosił o tabletki nasenne. Ojciec generał gotów był spełnić jego każdą rozsądną prośbę, ale Emilio kilka razy wspominał o samobójstwie, więc Giuliani nie chciał ryzykować. Zaproponował kompromis, który Sandoz odrzucił: dostanie tabletki nasenne, jeśli połknie je przy kimś. Trudno było powiedzieć, czy Emilio uznał to za zbyt poniżające, czy też naprawdę zamierzał gromadzić tabletki, żeby mieć w przyszłości swobodę w decydowaniu o swoim życiu.

W każdym razie Sandoz nie pozwalał już nikomu wchodzić do swojego pokoju. Odkrył i usunął mikrofon przy swoim łóżku. Sny i ich następstwa były jego prywatną sprawą. Być może mdłości ustąpiły, a może nauczył się nad nimi panować, tak jak nad rękami, twarzą i głosem, i wymiotował cicho w samotności, wyrzucając z siebie ohydne resztki nocy. Jedynie pora, o której wstawał, wskazywała, że sny nadal go nawiedzają. Jeśli noc była spokojna, wstawał o świcie. Jeśli nie, mógł się zjawić w refektarzu o dziesiątej, żeby zjeść skromne śniadanie, które teraz sam sobie przygotowywał. Po pierwszej nieudanej próbie brat Cosimo zrezygnował z oferowania mu pomocy.

Felipe Reyes zapytał go o syndrom iluzji bólu w miejscu amputowanych członków, a Sandoz niechętnie przyznał, że to odczuwa, i zapytał, czy Reyesa też nękała taka neuralgia. Felipe sam tego nie doświadczył, ale znał takich, którzy po amputacji cierpieli męki. Niektórzy nie mogli ich niczym zwalczyć. Ta informacja wyraźnie zaniepokoiła Sandoza, co dało Reyesowi dużo do myślenia na temat jego rzeczywistego stanu, poradził mu więc, żeby prosił o przerwę w przesłuchaniu, kiedy poczuje się gorzej. Kilka dni później Sandoz rzeczywiście to uczynił, a ojciec generał zapewnił go, że może zawsze przerwać przesłuchanie, nie podając żadnego powodu. Emilio był mu za to wdzięczny, bo wolał nie odpowiadać na pytania, kiedy nie był w stanie nad sobą panować, i nie narażać się na gwałtowne załamanie, takie, jakiego doświadczył w owym dniu, w którym rozbił filizankę.

Ojciec generał dał też do zrozumienia Voelkerowi w prywatnej rozmowie, że nie wolno więcej oskarżać Sandoza o symulację. Voelker zgodził się i zaraz dodał, że i tak nic to nie dało. Pozostali uczestnicy przesłuchań też otrzymali instrukcję: kiedy Sandoz milknie, nikomu nie wolno wywierać na niego żadnego nacisku. Nawet bardzo łagodna perswazja, jaką czasem stosował John Candotti, powodowała, że Emilio zamykał się w sobie.

Kiedy przesłuchania wznowiono, nikt nie miał wątpliwości, że zaszła duża zmiana. Zauważyli to od razu, kiedy po raz pierwszy po dłuższej przerwie pojawił się w gabinecie ojca generała: potrafił już o wiele lepiej posługiwać się brzytwą. Znowu zapuścił brodę, ale teraz była schludnie przystrzyżona i podgolona, wciąż czarna, ale z szarymi pasemkami wokół warg. Srebrne smugi pojawiły się też w grzywie włosów nad ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami.

Mieli teraz do czynienia z różnymi jego wcieleniami. Czasami był hiszpańskim arystokratą, dumnym i odpornym na ciosy, człowiekiem, który odbudował mury zamku i znalazł sobie bastion, z którego mógł bronić swojej integralności; nie mogły go wytrącić z równowagi żadne uszczypliwe pytania o jego ukochane dzieci, teraz już nie żyjące. Innym razem mieli do czynienia z Mefistofelesem, nieczułym i powściągliwym, któremu dobrze były znane głębiny piekieł i który pozbawiony był ludzkich uczuć. Najczęściej jednak rozmawiali z doktorem Emiliem Sandozem, lingwistą, uczonym, człowiekiem o bogatym doświadczeniu, biorącym udział w drętwym kolokwium, które mogło mieć wpływ na jego dalszą karierę naukową, bo od jego wyniku zależała decyzja, czy prace jego samego i jego kolegów zostaną opublikowane.

Sesje rozpoczęły się od rozważań nad problemem, postawionym przez Felipe Reyesa, profesora teologii porównawczej, który chciał dociec, czy Runowie znali jakieś pojęcie duszy. Doktor Sandoz, lingwista, nie wyszedł poza swoją specjalizację i zacytował gramatyczne kategorie Runów, odnoszące się do rzeczy niewidzialnych i nie widzianych. Reyes stwierdził, że może to wskazywać przynajmniej na zdolność zrozumienia pojęcia duszy, nawet jeśli Runowie jeszcze go nie znali.

– Bardzo prawdopodobne – zgodził się Sandoz. – W porównaniu z Jana’atami i ludźmi Runowie nie są zbyt twórczymi myślicielami. Albo może powinienem powiedzieć, niezbyt oryginalnymi. Kiedy dostarczy się im jakąś gotową ideę podstawową, bardzo często twórczo ją rozwijają.

– Wydaje mi się, że ta idea „serca”, które się wznosi, może być analogią duszy – zauważył Felipe.

– Proszę pamiętać, że „serce” to moje tłumaczenie – powiedział Sandoz. – Może być bliskie pojęciu duszy w żywej osobie, ale nie wiem, czy Runowie wierzą, że esencja osoby trwa nadal po śmierci... – Nagle urwał. Jego ciało wyprężyło się, jakby zamierzał wstać, ale zamiast tego przemówił hiszpański arystokrata. – Trudno wymagać, żebym wypytywał Runów o ich wierzenia, kiedy ktoś umarł. – A w chwilę później przemówił doktor Sandoz, zwracając się do Giulianiego. – Anne Edwards wysłała na Ziemię kilka prac na temat owego „serca”. Czy mogę podsumować jej obserwacje, ojcze generale? A może uważa to ojciec generał za coś w rodzaju przedwczesnej publikacji?

– Nic z tego, co mówi się w tym pokoju, nie jest przeznaczone do publikacji. Proszę.

Sandoz zwrócił się ponownie do Reyesa.

– Doktor Edwards sądzi, że u Runów koncepcja „serca” i koncepcja choroby są ze sobą ściśle związane, a obie są łagodnymi środkami kontroli społecznej. Runowie nie są otwarcie agresywni i twierdzą, że nigdy nie wpadają w gniew. Jeśli, na przykład, komuś czegoś się odmówi, komuś coś się popsuje albo kogoś spotka jakieś rozczarowanie, osoba taka wpada w stan *porai*. Kiedy się jest *porai*, serce jest smutne i można zachorować albo ulec jakiemuś wypadkowi. Nie można pochwalać zasmucania kogoś, prawda? Jeśli czyni się kogoś *porai*, odczuwa się wyraźną presję społeczną, żeby jednak zaspokoić życzenie tego kogoś albo mu zadośćuczynić: przeprosić, usprawiedliwić się, dać mu jakiś podarunek, co przywróci sercu szczęście.

– To stwarza szerokie pole do nadużyć – zauważył Voelker. – Co miałoby powstrzymać kogoś od udawania, że jest *porai*, żeby dostać prezenty?

– Runowie prawie nigdy nie są sami. Każde społeczne zachowanie zawsze ma świadków, więc trudno byłoby komuś po prostu udawać. Jednak często brak zgody co do powagi stanu *porai* i związanej z tym kompensacji. Jeśli spór staje się zbyt głośny, jego uczestnikom przypomina się, że robią *fierno*, to znaczy wielki hałas. A jeśli się robi *fierno*, można ściągnąć burzę z piorunami, bardzo gwałtowną i przerażającą.

Zamilkł, żeby napić się wody, trzymając szklanekę z godną podziwu sprawnością, chociaż musiał przestać mówić i skoncentrować się na tej czynności. Podniósł szklanekę w kierunku Johna, jakby do niego przepijał. – Nowe szorstkie ochraniacze. – John pokiwał głową z uznaniem, a Emilio ciągnął dalej: – Rodzice straszą dzieci burzami z piorunami, żeby je nauczyć unikania kłótni albo dąsania się i naprzykrzania o coś. „Uspokój swoje serce, bo będziemy mieć burzę z piorunami”. Burze są dość częste. Dzieciom łatwo przychodzi uwierzyć, że jest jakiś związek między ich zachowaniem a złą pogodą.

– A jeśli jest burza, chociaż nikt się nie kłóci? – zapytał John. Emilio wzruszył ramionami i zrobił minę, która mówiła: to przecież oczywiste.

– Ktoś w sąsiedniej wiosce zrobił *fierno*.

Wszyscy się uśmiechnęli.

– Czy przed pojawieniem się Supaariego VaGayjura mieliście pojęcie, że na Rakhacie istnieje drugi rozumny gatunek? – zapytał Voelker.

Wyglądało to na nagłą zmianę tematu i natychmiast przemówił Hiszpan, wyraźnie spodziewający się ataku i gotowy do jego odparcia.

– Nie. – Ale po chwili dodał: – Były pewne wskazówki, ale nie zwróciliśmy na nie uwagi. Na przykład to, że Runowie mają po dziesięć palców, ale ich system liczebny bazuje na szóstce. Wyjaśniło się to dopiero wtedy, kiedy zobaczyliśmy, że Jana’atowie mają po trzy palce. No i od samego początku pani Edwards i pan Quinn dostrzegali brak zborności między kulturą Runów, obserwowaną przez nas w Kashanie, a kulturą, jaką znaleźliśmy z sygnałów radiowych, które zawiodły nas na Rakhat.

Austriak okazał zdumiewającą skłonność do pojednania.

– Tak. Jak sobie przypominam, ojciec Robichaux tłumaczył tę anomalię różnicami w rozwoju gospodarczym i technologicznym. Wydaje mi się... Myślę o tej osobliwości języka Runów, o tym, że rzeczy, których nie widzi się w danym momencie, są gramatycznie tożsame z niewidzialnymi. Powodem może być poczucie zaskoczenia. Nawet gdyby Runowie powiedzieli wam o Jana’atach, nie moglibyście wiedzieć, że to istoty realne, a nie mityczne.

Sandoz przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jakby chciał zdecydować, jakiego tonu użyć.

– Tak – przyznał w końcu. – Istotnie, mówiono nam, żebyśmy się strzegli *djanada*. Oczywiście to pokrewne słowo. Sądziliśmy, że *djanada* to coś w rodzaju upiora, którym straszy się dzieci, żeby się nie oddalały. Trzeba pamiętać, że przez długi czas my wszyscy, z wyjątkiem pana Quinna, nie byliśmy uważani przez Runów za dorosłych.

– Ojciec Yarbrough doniósł, że kiedy po raz pierwszy zobaczyliście Supaariego VaGayjura, sądziliście, że to Runao. Czy te dwa gatunki są tak do siebie podobne, czy też po prostu nie spodziewaliście się innego?
– zapytał Voelker.

– Z początku po prostu nie byliśmy przygotowani na istnienie Jana’atów. Jest wiele subtelnych różnic, ale zaczęliśmy je dostrzegać dopiero wówczas, gdy już wiedzieliśmy, na co zwracać uwagę. Otóż, wzrostem i ogólnym wyglądem męscy Jana’atowie bardzo przypominają żeńskich Runów.

– Jakie to dziwne! Tylko męscy? – zapytał Felipe.

– Żeńskich po prostu się nie widuje, są strzeżone. Trudno mi powiedzieć, jak dalece przypominają Runów, męskiego czy żeńskiego rodzaju. Jeśli chodzi o Runów, to różnica między płciami jest niewielka, polega głównie na wzroście. Płeć męska jest o wiele niższa. Przez dłuższy czas nie mogliśmy się w tym połapać, zwłaszcza że role społeczne odgrywane przez obie płci nie odpowiadały naszym oczekiwaniom. „Madonna z Dzieciątkiem” Robichaux powinna nosić tytuł „Święty Józef z Dzieciątkiem”... Manuzhai był osobnikiem męskim. – Rozległy się śmiechy i komentarze; ktoś przypomniał, jak ich to zaskoczyło, kiedy czytali raporty. – Manuzhai wychowywał Askamę i był mniejszy od swojej żony – ciągnął Sandoz – więc z początku sądziliśmy, że ma płeć żeńską. Chaypas wciąż podróżowała i zajmowała się handlem, co kazało nam sądzić, że to osobnik męski. Zresztą Runowie mieli podobne kłopoty z określeniem naszej płci.

– Gdyby Runowie nie nosili nic oprócz tych wstążek, to moglibyście... no... – powiedział John i odchrząknął.

– Narządy płciowe Runów są widoczne tylko w czasie kopulacji – powiedział Sandoz rzeczowym tonem. – Prócz uzębienia i pazurów jest to jedyna cecha, która odróżnia męskich Jana’atów od Runów obojga płci. Ale nie jest ona natychmiast zauważalna, bo Jana’atowie na ogół są ubrani.

Edward Behr, jak zwykle siedzący w drugim końcu pokoju, nagle zakaszłał. Jakby Emilio wypróbowywał własne siły, pomyślał Giuliani, sprawdzając, jak daleko może się posunąć.

– To chyba prowadzi do wniosku, że narządy płciowe Jana’atów są dobrze widoczne. Czy ojciec chce nas zaszokować? – zapytał niedbałym, lekko znudzonym tonem, mając nadzieję, że brzmi przekonująco.

– Nie odważyłbym się zastanawiać nad tym, co może was zaszokować, ojczcie generale. Wyjaśniałem granice podobieństwa między osobnikami różnej płci.

– Ten Supaari VaGayjur – odezwał się Johannes Voelker – czy on był właścicielem wioski Kashan?

Giuliani spojrział na niego badawczo. A któż to teraz zmienia temat?

– Nie. No, może sprawiał takie wrażenie. W ogóle nie miał żadnej posiadłości ziemskiej. – Sandoz potrząsnął głową, jeszcze bardziej pewny, kiedy to sobie przemyślał. – Nie. Według mnie posiadał tylko prawo do handlowania z mieszkańcami wioski. Ale gdyby VaKashani uznali, że nie są z niego zadowoleni, mogliby poszukać jakiegoś innego kupca, który by odkupił to prawo. Najpierw jednak daliby Supaariemu szansę przystosowania się do ich warunków. To był pod wieloma względami kontrakt między równymi sobie stronami.

– Jak płacił Runom? – zapytał nagle Felipe. – Opis ich wioski zdaje się wskazywać, że nie byli materialistami.

– Za zbiory kwiatów otrzymywali gotowe wyroby. Perfumy, łódzie, ceramikę, wstążki i tak dalej. Był też system bankowy, w którym zyski ulegały akumulacji. W każdej wiosce dochody tworzyły wspólny fundusz. Nie wiem, jak sobie radzili, kiedy jakaś rodzina przenosiła się z jednej wioski do drugiej. – Sandoz zamilkł, jakby po raz pierwszy zastanawiał się nad tym problemem. – Przypuszczam, że gdyby jakaś wioska słynęła z dużych zysków, a inni przenieśli się do niej, żeby z tego skorzystać, wiele serc byłoby *porai*, a przybysze poczuliby się zakłopotani.

– Kto nadzoruje kontrakty między Runami i kupcami takimi jak Supaari? – zapytał Giuliani.

– Jana’atański rząd. Istnieje dziedziczny system biurokracji, którym zarządzają drudzy synowie. Oni dbają o legalne aspekty handlu, istnieją też specjalne sądy do rozstrzygnięcia sporów między gatunkami. Wyroki są wcielane w życie przez policję wojskową, w której służą pierworodni Jana’atowie.

– A Runowie wykonują wszystkie prace – domyślił się John, wyraźnie zde gustowany.

– Tak. Urodzeni jako trzeci synowie kupcy, jak Supaari VaGayjur, prowadzą handel między gatunkami. Korporacje wiejskie zajmujące się handlem są opodatkowane, żeby utrzymywać populację Jana’atów.

– Czy Runowie są traktowani w tych sądach sprawiedliwie? – zapytał Felipe.

– Miałem ograniczone pole obserwacji w tym względzie. Mówiono mi, że Jana’atowie cenią sobie honor i sprawiedliwość. Uważają się za opiekunów i mężów zaufania Runów. Są dumni z tego, że wypełniają swoje obowiązki względem słabszych i od nich zależnych. – Przez chwilę milczał, a potem dodał: – Tak jest w większości przypadków. Trzeba pamiętać, że Jana’atowie stanowią zaledwie trzy do czterech procent populacji VaRakhati. Gdyby ich władza przestała odpowiadać Runom, ci mogliby się zbuntować.

– Ale Runowie nienawidzą przemocy – zauważył Felipe Reyes. Stworzył już sobie własny wizerunek Runów, niewinnych, pokojowo nastawionych mieszkańców Edenu, na co zdawały się wskazywać raporty Konsorcjum Kontakt. Dla Felipe stanowiło to jedną z największych zagadek misji na Rakhat.

– Widziałem Runów broniących swoich dzieci. – Nastąpiła przerwa; Giuliani wyczuł pewne napięcie, ale po chwili Sandoz ciągnął dalej: – Z tego, co czytałem w raporcie Wu i Isleya, wynika, że są Runowie, których tolerancja osiągnęła granice wytrzymałości. Ich jedyna broń to liczebność. Jana’atańska policja wojskowa jest bezwzględna. Musi taka być. Właśnie ze względu na liczebność Runów.

To coś nowego, pomyślał Giuliani.

– Emilio, może sobie przypominasz, iż Supaari VaGayjur rzekomo powiedział Wu i Isleyowi, że między Jana’atami i Runami nigdy nie dochodziło do konfliktów przed przybyciem misji.

– Supaari mógł tak myśleć. Runowie nie prowadzą kronik. – Sandoz zamilkł, by napić się wody. Potem uniósł brwi i spojrzał na nich oczami pozbawionymi wyrazu. – Panowie, mówię jedynie *per analogiam*. Tainowie, Arawakowie czy mieszkańcy Karaibów nie mieli historyków, ale wiemy z całą pewnością, że na Karaibach były konflikty. I to zarówno przed, jak i po przybyciu Kolumba.

Voelker przerwał milczenie, jakie zapadło po tych słowach, wracając do poprzedniego tematu.

– To niezwykle, żeby dwa odrębne gatunki były tak do siebie podobne. Czy biologicznie też są pokrewne, podobnie jak kulturowo?

– Doktor Edwards udało się pobrać próbki krwi i dokonać analizy genetycznej. Te dwa gatunki prawie na pewno nie są ze sobą spokrewnione, chyba że w bardzo odległy sposób, tak jak ssaki, na przykład lwy i zebry. Pani Edwards i ojciec Robichaux sądzili, że podobieństwa mogą być skutkiem konwergencji: selekcja naturalna w ewolucji wrażliwości doprowadziła do podobnych cech morfologicznych i behawioralnych w obu gatunkach. Ja się z nimi nie zgadzam. – Zamilkł i spojrzał na Giulianiego, uczonego, który powinien zrozumieć, skąd te wątpliwości. – To chyba zrozumiałe, że w tej chwili tylko spekuluję, prawda? To nie jest moja specjalność, ale...

– Oczywiście.

Sandoz wstał i podszedł do okna.

– Jana’atowie to mięsożercy. Ich uzębienie i przednie członki są przystosowane do zabijania. Ich inteligencja i zdolność stworzenia złożonej organizacji społecznej prawdopodobnie ewoluowały w kontekście wspólnotowych łowów. Runowie są wegetarianami, ich dieta jest jednak dość urozmaicona. Zdumiewającą sprawność motoryczną osiągnęli prawdopodobnie poprzez wykonywanie czynności związanych z eksploatacją małych ziarenek, ze zbieraniem kwiatów i tak dalej. Ich trójwymiarowa pamięć jest godna uwagi: noszą w niej bardzo dokładne mapy środowiska, w którym żyją, a także wszystkie sezonowe zmiany roślinności. To może częściowo wyjaśniać ewolucję ich inteligencji. – Znowu zamilkł i przez dłuższy czas wyglądał przez okno. Zaczyna się męczyć, pomyślał Edward Behr, ale nieźle sobie radzi. – Paleontologia zna wiele przykładów drapieżników i ich ofiar, rywalizujących ze sobą o przetrwanie poprzez rozwój inteligencji i wymyślnych form adaptacji. Taki biologiczny wyścig zbrojeń, można powiedzieć. Według mnie, na Rakhacie ta rywalizacja doprowadziła do powstania dwu rozumnych gatunków.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Runowie byli ofiarami? – zapytał John z przerażeniem.

Sandoz odwrócił się, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Oczywiście. Sądzę, że morfologia Jana’atów jest czymś w rodzaju mimikry, służącej łowom na stada Runów. Nawet teraz Runowie wolą wędrować w dużych grupach, z osobnikami męskimi i młodszymi w środku, a większymi i dorosłymi osobnikami żeńskimi na zewnątrz. Sto, może dwieście tysięcy lat temu podobieństwo między tymi dwoma gatunkami mogło nie być tak uderzające. Ale to Jana’atowie, którzy mogli się parzyć z samicami Runów na obrzeżu stada, okazali się zwycięskimi łowcami. Jana’atowie mają chwytne stopy. – Zrobił przerwę i Giuliani znowu dostrzegł, ile go to kosztowało wysiłku. – Wyobrażam sobie, że taki łowca po prostu skradał się za samicą idącą z tyłu stada, łapał ją za kostkę u nogi i powalał na ziemię. Im bardziej przypominał swoją zdobycz wyglądem, zachowaniem i zapachem, tym skuteczniej mógł na nią zapolować.

– Ale teraz ze sobą współpracują – zauważył Felipe. – Jana’atowie co prawda sprawują władzę, ale prowadzą z Runami handel, razem pracują... – Nie mógł się zdecydować, czy ulec odrazie wobec brutalności prehistorii, czy podziwiać współczesną fazę współistnienia.

– Och, tak – zgodził się Sandoz. – Wzajemne stosunki z pewnością uległy zmianie, podobnie jak same gatunki. Zresztą to tylko spekulacja, choć oparta na faktach, które zaobserwowałem.

Wrócił do stołu i usiadł.

– Panowie, Runowie pełnią wiele funkcji w jana’atańskiej kulturze. Są zręcznymi rzemieślnikami, kupcami i służącymi, robotnikami, księgowymi. Nawet asystentami naukowymi. Nawet konkubinami. – Spodziewał się wybuchu, był przygotowany, ćwiczył sposób przedstawienia tego tematu, więc teraz mówił dalej suchym, rzeczowym tonem. – To jest forma kontroli narodzin. Wyjaśnił mi to Supaari VaGayjur. Jako strażnicy i opiekunowie tego świata, Jana’atowie narzucili bardzo rygorystyczne zasady kontroli populacji. Małżeństwa Jana’atów mogą mieć więcej niż dwoje dzieci, ale tylko pierwszych dwoje może wstępować w związki małżeńskie i zakładać rodziny. Reszta musi pozostać bezdzietna. Jeśli zdarzy się, że trzeci lub czwarty syn spłodzi dziecko, zostaje wysterylizowany, podobnie jak jego potomstwo.

Byli wstrząśnięci, milczeli. Dla Supaariego było to, rzecz jasna, najzupełniej rozsądne postępowanie.

– Wysterylizowani Jana’atowie czasami stają się prostytutkami. Ale stosunki międzygatunkowe są bezpłodne z samej definicji. Uprawianie seksu z partnerami wywodzącymi się z Runów nie stwarza ryzyka zajścia w ciążę czy nawet choroby. Dlatego ruńskie konkubiny są powszechnie partnerkami seksualnymi osobników, którym nie wolno już mieć więcej dzieci albo którym w ogóle nie wolno się rozmnażać.

– I Runowie godzą się z tym? – zapytał Felipe, wyraźnie wstrząśnięty.

Śmiech, który się rozległ, był śmiechem Mefistofelesa.

– Pojęcie zgody jest tu nie na miejscu. Konkubiny płodzi się właśnie w tym celu. – Popatrzył po wszystkich, obserwując, jak każdy zмага się z konsekwencjami tego, co przed chwilą powiedział, a potem zaskoczył ich następnym zdaniem: – Runowie są inteligentni, a niektórzy – zdumiewająco utalentowani, ale to coś w rodzaju zwierząt domowych. Jana’atowie hodują ich, tak jak my hodujemy psy.

29

WIOSKA KASHAN

rok drugi

Supaari VaGayjur okazał się idealnym źródłem informacji zarówno o Runach, jak i Jana’atach, a rola pośrednika między tymi dwoma gatunkami dawała mu wgląd w życie jednych i drugich, i to z wyjątkowej perspektywy, którą wyznaczały zbieżne linie ironii i obiektywizmu. Był bystrym i obdarzonym poczuciem humoru obserwatorem, który potrafił dostrzec, co różne osoby naprawdę robią, bez względu na to, co o sobie mówią. Chyba nikt nie potrafiłby lepiej wyjaśnić im kultury i obyczajów mieszkańców Rakhatu.

Anne, sama bystra i dowcipna, polubiła go od momentu, w którym oświadczył Sofii, że zapach kawy jest „zupełnie znośny”, chociaż mogła dać głowę, że naprawdę był dla niego odrażający. Kosmiczny savoir-faire, pomyślała z zachwytem, widząc, z jakim wdziękiem Supaari panuje nad swoimi reakcjami na wydarzenie, które musiało być dla niego prawdziwym wstrząsem. Godne podziwu opanowanie. Co za facet!

Odkrycie, że podstawowe emocje VaRakhati są bardzo podobne do ludzkich, wzbudziło w niej zachwyt, bo chociaż obdarzona była wielką inteligencją, wzbogaconą głęboką wiedzą, nie potrafiła oddzielić doświadczeń od emocji. Jako antropolog darzyła głębokim uczuciem kopalnych neandertalczyków, bo wydawali się jej ofiarami swojej brzydoty. Wydatne łuki brwiowe i grube kości nie miały większego znaczenia w zestawieniu z ich troską o chorych i zniechęconych i z owymi wzruszającymi pochówkami dzieci. Kiedyś prawie się rozpląkała w pewnym muzeum belgijskim, kiedy dotarło do niej, że te dzieci prawdopodobnie umarły na wiosnę, kiedy młodsze, dopiero co urodzone, zajęły ich miejsce przy piersiach matek, a one same były jeszcze zbyt małe, by przeżyć tę najbardziej jałową porę roku bez matczyne mleka. Czym są różnice fizyczne, jeśli się wie, że te dzieci zostały pochowane z kwiatami, na gałązkach jodłowych?

Anne nie zwracała zatem większej uwagi na pazury i zęby Supaariego czy na jego ogon. Zainteresowanie wzbudziły w niej tylko jego chwytne stopy, które zobaczyła już przy pierwszym spotkaniu, gdy poczuł się na tyle swobodnie, że po wspólnym posiłku zdjął wysokie buty. Ale pokochała go przede wszystkim za sposób, w jaki się śmiał, okazywał zdumienie, sceptycyzm i zakłopotanie, dumę, złość i uprzejmość.

Nie potrafił wymówić jej imienia, choć ludziom wydawało się tak proste. Nazywał ją Ha'an. W ciągu pierwszych tygodni tej niezwykle przyjaźni spędzali razem mnóstwo czasu, zadając sobie tysiące pytań i starając się na nie odpowiedzieć, co było wyczerpujące dla obu stron, ale nie zwracali na to uwagi, pochłonięci sobą, jakby ich porwał wir miłości, tak że George stał się nieco osowiały i chyba zazdrosny. Niekiedy i ona, i Supaari, dostrzegali nagle niezwykłość tej sytuacji, ale oboje potrafili wznieść się ponad zakłopotanie i wybuchnąć śmiechem.

Pomimo dobrej woli z obu stron często natrafiali na przeszkody nie do pokonania. Czasami trudno było opisać w języku Runów jakieś pojęcie Jana'atów, albo też słownictwo Anne okazywało się zbyt ubogie, by mogła zrozumieć, o co chodzi. Często towarzyszył im Emilio, służąc za tłumacza w trudniejszych momentach, poszerzając swoją znajomość języka *Ruanja* i starając się poznać rodzimy język Supaariego, K'Sat, który miał piekielnie trudną gramatykę. W tych spotkaniach brała też udział Sofia, która znała wiele terminów handlowych, a miała już zupełnie niezłą wiedzę o miejscowych stosunkach handlowych, choć wcześniej była przekonana, że różnice między Runami i Jana'atami polegają głównie na tym, że jedni mieszkają na wsi, a drudzy w mieście.

Często wzywali Marca, żeby naszkicował jakiś przedmiot lub sytuację, których nie potrafili opisać słowami. Pierwsze szkice wzbudziły w Supaarim wielkie zdumienie, ale kiedy już się z nimi oswoił, chętnie wykorzystywał je dla ukazania podobieństw lub różnic. Spoglądał na szkic, słuchał wyjaśnień i mówił: „To jest zrobione w podobny sposób” albo: „Nie mamy czegoś takiego”, albo: „Kiedy to się zdarzy, postępujemy tak a tak”. Gdy Anne uznała, że jest już dostatecznie przygotowany, poprosiła George’a, żeby przystosował dla niego hełm VR i zaczął mu pokazywać wirtualną Ziemi. Supaari przeżył to bardziej, niż się Anne spodziewała; kilka razy zdarł hełm z głowy, ale znów po niego sięgał, wyraźnie zafascynowany.

Jeśli chodzi o D.W., to nie pozbył się chłodnej rezerwy wobec Supaariego, ale winczester powędrował z powrotem do magazynu. Podczas tych wspólnych posiedzeń rzadko się odzywał, natomiast często sugerował tematy pytań na następny dzień, kiedy Supaari, ziewając szeroko, udawał się na spoczynek po drugim zachodzie słońca. Było ich siedmioro, a Supaari tylko jeden, więc starali się być powściągliwi, żeby ich rozmowy nie sprawiały wrażenia przesłuchań. On sam wciąż nie mógł się otrząsnąć z szoku, jaki przeżył, gdy uświadomił sobie, że oni naprawdę istnieją, że przybyli z innej planety, że pokonali tak niewyobrażalną przestrzeń – posługując się silnikami odrzutowymi, których działania zupełnie nie był w stanie zrozumieć – tylko po to, by dowiedzieć się czegoś o nim i o jego planecie.

Od samego początku uznali za bardzo prawdopodobne, że to Jana'atowie są dominującym gatunkiem na Rakhacie. Przemawiała za tym ich mięsożerność i zdolność zabijania. Prawdę mówiąc, byli też nieco rozczarowani Runami. Ich pewna majestatyczność, powolność i rozważa nużyły, a ustawiczne jedzenie, debatowanie i dotykanie pozbawiło ludzi energii. „Są tacy uroczy”, powiedziała Anne któregoś wieczoru. „Są straszliwie nudni”, odpowiedział na to George. A kiedy byli sami w swoim namiocie, Anne przyznała, że często kusi ją, by podczas nie kończących się dyskusji z Runami, zawołać: „Och, na miłość boską, a kogo to obchodzi? Dajcie sobie z tym spokój!”

Tak więc, pomimo nie wróżącego sukcesu incydentu na samym początku ich znajomości z Supaarim, radzi byli, że mają do czynienia z kimś, kto potrafi podjąć szybką, samodzielną decyzję, nawet jeśli to była decyzja, oderwania komuś głowy pazurami. Cieszyli się, że spotkali na Rakhacie kogoś, kto był bystry, w lot chwycił dowcipy i sam ich nimi raczył, kto potrafił szybko dostrzec najróżniejsze możliwości i konsekwencje. Poruszał się szybciej niż Runowie i robił w ciągu dnia o wiele więcej rzeczy, bez tak charakterystycznego dla nich naradzania się, gestykulowania, robienia ze wszystkiego wielkiego przedstawienia. Energią dorównywał ludziom, a zdarzało się, że oni mieli już dosyć, a on wciąż gotów był do dalszej rozmowy. Dopiero kiedy nadchodził drugi zachód słońca, padał i spał przez piętnaście godzin jak wielkie, mięsożerne dziecko.

To, że stosunki między Jana'atami i Runami nie są równorzędne, stało się oczywiste, kiedy kilka dni po przybyciu Supaariego Runowie powrócili do wioski z koszami pełnymi korzeni *pik*. Okazano mu wielki szacunek. Był dla nich niczym ojciec chrzestny mafii albo średniowieczny baron, dopuszczał ruńskie rodziny przed swoje oblicze i kładł dłonie na głowach dzieci. Jednak ów szacunek był nasycony uczuciem. Sprawował władzę, jeśli to właściwie słowo, łagodnie i dobrotliwie. Wysłuchiwał cierpliwie każdego, rozstrzygał spory w sposób, który wszyscy uznawali za bardzo sprawiedliwy, i to nie apodyktycznie, lecz zręcznie pomagając stronom dojść do logicznej konkluzji. Nie budził lęku w mieszkańcach Kashanu.

Członkowie jezuickiej misji nie potrafili dostrzec, jakie to wszystko było mylące, jak niezwykłym Jana'atą był Supaari. Wszyscy wywodzili się z kultur, w których ceniono samodzielność i wytrwałość w osiągnięciu życiowych celów, a pogardzano dziedzicznymi przywilejami. Supaari chętnie im opowiadał o swoim wcześniejszym życiu i obecnym statusie społecznym, a oni uważali go za kogoś w rodzaju bohatera, odważnego chłopca, który sam pokierował swoim życiem i zrobił karierę.

Alan Pace byłby lepiej przygotowany na zrozumienie niuansów klasowej struktury rakhatańskiego społeczeństwa, jako że w Wielkiej Brytanii zachowały się jeszcze pewne ślady dawnej kultury, w której dobre pochodzenie i wychowanie traktowano z powagą. Alan mógłby dostrzec, że w rzeczywistości Supaari znajdował się na marginesie społecznej struktury Jana'atów i miał niewielki dostęp do prawdziwych źródeł władzy i wpływów oraz że tak bardzo pragnął owego dostępu. Ale Alana Pace'a już nie było wśród nich.

Kiedy pod koniec Partanu nadszedł czas pożegnania się z Jana'atą po tych kilku niezwykłych tygodniach, wszyscy mieszkańcy Kashanu, łącznie z cudzoziemcami, odprowadzili go do przystani lub zalegli tarasy, by życzyć mu szczęśliwej drogi, rzucać kwiaty na wodę i powiewać długimi wstążkami.

– *Sipaj*, Supaari! – zawołała Anne, kiedy Jana'ata gotów był już do odwiązania barki, a wokół tłoczyli się i trajkotali podnieceni Runowie. – Czy ktoś może ci pokazać, jak nasz lud żegna tych, których darzy czułością?

Był tym wyraźnie wzruszony.

– Oczywiście, Ha'an – odrzekł niskim i nieco dudniącym głosem, do którego zdążyła się już przyzwyczać.

Anne pokazała mu gestem, by zbliżył ku niej głowę. Pochylił się, nie wiedząc, czego ma się spodziewać. Wspięła się na palcach, otoczyła jego szyję ramionami i lekko uściśliła. Kiedy się cofnęła, zauważył, że jej niebieskie oczy, zwykle matowe, rozblęły.

– Ktoś ma nadzieję, że wkrótce tu wrócisz, Supaari.

– Czyjeś serce będzie szczęśliwe, mogąc cię znowu zobaczyć, Ha'an.

Sam był zaskoczony, czując żal, że ma ją opuścić. Zszedł do kokpitu i spojrzał na tych dziwnych przybyszów: każdy był inny, każdy stanowił oddzielną i szczególną zagadkę. Nagle, ponieważ Ha'an tego chciała, Supaari poczuł, że musi coś dla nich zrobić, i w ostatniej chwili podjął decyzję, którą uprzednio uznawał za kłopotliwą. Odszukał spojrzeniem Starszego i zwrócił się do niego:

– Ktoś poczyni starania, żebyście mogli odwiedzić Gayjur. Jest wiele spraw do rozważenia, ale ktoś pomyśli, jak to wszystko załatwić.

– No, moje kochane dziatki – oświadczyła wesoło Anne, otrząsnąwszy się ze smutku po odejździe Supaariego, gdy jego łódź zniknęła za północnym zakolem rzeki, a Runowie zaczęli wracać do swoich kamiennych domów – czas, by trochę pogadać o seksie.

– Pamięć zawodzi – rzekł Emilio z powagą na twarzy, a Marc wybuchnął śmiechem.

– Może urządzimy sobie sesję pogładową? – zaproponował Jimmy.

Sofia uśmiechnęła się i pokręciła głową, a serce Jimmy’ego podskoczyło, ale natychmiast powróciło na swoje miejsce.

– Co ci przyszło do głowy z tym seksem? – zapytał George, uciszając Askamę i odwracając się, by spojrzeć na Anne.

– Na Boga, kobieto, czy ty nigdy nie przestajesz o tym myśleć? – zagrział D.W.

Anne wyszczerzyła zęby jak kotka rasy cheshire. Zaczęli się wspinać na skarpę.

– Zdziwicie się, chłopcy, jak się dowiecie, co mi Supaari wczoraj powiedział!

Ścieżka zaczęła się zwęzać i szli teraz gęsiego; Askama paplała do George’a, opowiadając mu jakąś długą i rozbudowaną historię, ale porzuciła go, gdy tylko zobaczyła Kinsę i Fayera, i pobiegła się z nimi pobawić.

– Wygląda na to, kochani, że jesteśmy w szponach seksizmu, podobnie zresztą, jak nasi gospodarze – powiedziała im Anne, kiedy weszli do kamiennego domu. Pełno tam już było Runów, ale ich nie kończące się rozmowy były już dla nich czymś normalnym, więc nie zwracali na to uwagi. – Jimmy, Runowie sądzą, że jesteś panią, i w dodatku matką nas wszystkich. A ciebie, Sofio, uważają za niedojrzałego osobnika płci męskiej. Emilio to niedojrzały osobnik płci żeńskiej. Nie są pewni co do D.W., Marca i mnie, ale George nie budzi żadnych wątpliwości: jest płci męskiej. Czy to nie miłe z ich strony, kochanie?

– Nie jestem pewny – odpowiedział George podejrzliwym tonem, opadając na poduszkę. – W jaki sposób doszli do takich wniosków?

– No cóż, jest w tym wszystkim pewna logika. Emilio, ty odgadłeś, że Askama jest dziewczynką. Szanse były pół na pół, a jednak ci się udało. Rzecz w tym, że to Chaypas jest jej matką, nie Manuzhai. Tak, moi drodzy! – Wszyscy wytrzeszczyli na nią oczy, naprawdę wstrząśnięci. – Jeszcze do tego wróć. W każdym razie Supaari mówił, że w wioskach Runów interesami zajmuje się wyłącznie płęć żeńska. Słuchaj, Sofio, bo zaraz będzie niespodzianka. Cięża trwa bardzo krótko, a dzieci nie sprawiają paniom większego kłopotu. Zaraz po urodzeniu mamuśka wręcza małeństwo tatusiowi i wraca do swoich spraw.

– Nic dziwnego, że nie mogłem pojąć reguł gramatycznych rządzących rodzajami! – zawołał Emilio. – Zatem Askamę wychowują na kupca, a ja muszę być żeńskiego rodzaju, bo przecież jestem formalnym tłumaczem naszej grupy.

– Bingo – powiedziała Anne. – A Jimmy musi być naszą matką, bo tylko on jest dostatecznie duży, żeby wyglądać na dorosłą samicę. Chyba właśnie dlatego zawsze zwracają się do niego, kiedy chodzi o jakąś decyzję w imieniu nas wszystkich. Do D.W. zwracają się tylko przez grzeczność. – Yarbrough parsknął, a Anne wyszczerzyła zęby. – No dobra, przygotujcie się na nową niespodziankę. Manuzhai jest mężem Chaypas, ale nie jest genetycznym ojcem Askamy. Ruńskie panie poślubiają tych panów, których uważają za potencjalnie dobrych ojców, i Manuzhai na pewno taki jest. Ale Supaari twierdzi, że partnerzy seksualni są wybierani – odchrząknęła – według zupełnie innych kryteriów.

– Wyszukują dobrych ogierów – powiedział D.W.

– Nie bądź wulgarny – skarciła go Anne. Chaypas i jej goście postanowili przenieść się do Aychy, żeby coś zjeść, i pomieszczenie nagle opustoszało. Kiedy już byli sami, Anne wychyliła się do przodu i ciągnęła konspiracyjnym tonem: – Ale... masz rację, z pewnością o to właśnie chodzi. Muszę przyznać, że ten zwyczaj ma w sobie coś nieprzyzwoitego. Przynajmniej teoretycznie – dodała, kiedy George wyduł wargi.

– Więc niby dlaczego są całkowicie pewni tylko tego, że ja jestem samcem? – zapytał urażonym tonem, widząc, że jego męskość atakowana jest z dwu stron.

– No, oprócz twojego wybitnie męskiego wyglądu, zauważyli również, że wspaniale sobie dajesz radę z dziećmi. Z drugiej strony nie wykazujesz większego zainteresowania zbieraniem kwiatów, więc są trochę zbici z tropu. To samo dotyczy Marca, D.W. i mnie. Myślę, że jestem męskiego rodzaju, bo to ja najczęściej zajmuję się gotowaniem. Może jestem czymś w rodzaju tatusia? Och, Jimmy, może myślę, że ty i ja jesteśmy małżeństwem! Bo przecież nie mają pojęcia o tym, kto tu jest starszy, a kto młodszy, i o ile.

Emilio coraz bardziej się zamyślał, a D.W., który go obserwował, zaczął chichotać. Emilio spojrzał na niego badawczo.

– O co chodzi? – zapytała Anne. – Co jest takie śmieszne?

– Nie jestem pewien, czy to właściwe słowo – odpowiedział D.W., łypiąc na Emilia prawym okiem i unosząc jedną brew.

Emilio wzruszył ramionami.

– Nic takiego. Po prostu sobie pomyślałem, że taki podział ról na ojca genetycznego i ojca społecznego mógłby być całkiem pożyteczny w mojej rodzinie.

– Mogłoby ci to zaoszczędzić trochę sińców na twoim biednym szczeniackim tyłku – zgodził się D.W.

Emilio roześmiał się pogodnie i przegarnął palcami włosy. Wszyscy utkwili w nim zaciekawione spojrzenia. Zawahał się, sprawdzając dawne rany, ale uznał, że są zabliznione. – Moja matka miała w sobie dużo ciepła i bardzo żywą naturę – powiedział, starannie dobierając słowa. – Jej mąż był przystojnym, wysokim i silnym mężczyzną. Brunet z bardzo jasną skórą, rozumiecie? Moja matka też była bardzo piękna. – Zamilkł na chwilę, pozwalając im to sobie przyswoić; nie trzeba było genetyka, żeby dostrzec wszystkie implikacje. – Mąż mojej matki opuścił dom na kilka lat...

– W interesach, rzecz jasna – wtrącił D.W.

– ...a kiedy wrócił, zastał drugiego syna, prawie rocznego. I o bardzo ciemnej skórze. – Zrobiło się cicho. – Nie rozwiedli się. Musiał bardzo kochać moją matkę. – Uderzyło go, że nigdy przedtem o tym nie pomyślał, i nie miał pojęcia, jak na to zareaguje. – Była czarująca, rozumiecie? Łatwo się ją kochało, jak by powiedziała Anne.

– Więc wszystko skrupiło się na tobie – domyśliła się Anne, wściekła na tę kobietę za to, że do tego dopuściła, i na Boga, że dał syna niewłaściwej kobiecie.

– Oczywiście. To w bardzo złym guście, tak się urodzić. – Emilio rzucił krótkie spojrzenie na Anne, ale natychmiast przeniósł je gdzie indziej. To błąd, pomyślał, że o tym opowiadam. Kiedy był dzieckiem, tak bardzo pragnął to wszystko zrozumieć. Wzruszył ponownie ramionami i postanowił nie mówić już o Elenie Sandoz. – Mąż mojej matki zabawiał się ze mną w Wybijanie Gówna ze Skurwysyna. Miałem jedenaście lat, kiedy zrozumiałem, co to imię znaczy. – Wyprostował się i odrzucił włosy z czoła mocnym ruchem głowy. – A kiedy miałem czternaście lat, zmieniłem zasady tej gry – dodał, wciąż z tego dumny, nawet po tylu latach.

D.W., który wiedział, co teraz nastąpi, uśmiechnął się mimo woli. Poznał brutalne reguły gry obowiązujące w La Perla i włożył wiele wysiłku w znalezienie sposobów na to, by takie dzieciaki jak Emilio nie rozstrzygały spraw za pomocą noża. Była to żmudna walka w miejscu, w którym ojcowie mówili swoim ośmioletnim synom: „Jak ci ktoś ubliży, potnij mu twarz”.

– Nasz czcigodny ojciec superior – mówił Emilio z wielką uciechą – był w owym czasie proboszczem w La Perla. Oczywiście nie akceptował incydentów między członkami jednej rodziny, choćby więzi między nimi nie należały do najmocniejszych. Przekazywał jednak swoim młodym akolitom pewną dawkę niezbędnej mądrości życiowej. Uczył nas, na przykład, że kiedy pomiędzy przeciwnikami zachodzi wyraźna różnica wzrostu, większy nie walczy uczciwie, bo wykorzystuje swoją przewagę nad o wiele mniejszym...

– Więc trzeba przywoździć skurczybyka, zanim zdąży cię dotknąć – skończył za niego D.W., przemawiając tonem, który sugerował, że mądrość takiej maksymy jest oczywista. To prawda, że nauczył Emilia kilku takich sztuczek w gimnazjum. Emilio był drobny i szczupły, więc musiał wykorzystywać moment zaskoczenia przeciwnika. Subtelność tych dobrych rad polegała na tym, by chłopiec zrozumiał, że może się bronić, kiedy Miguel przyjdzie do domu pijany, ale nie musi wykorzystywać tych sztuczek do rozprawiania się ze wszystkimi chłopakami z dzielnicy, którzy mieli ochotę z niego zadrwić, a zdarzało się to dość często.

– ...a chociaż w przywaleniu jakiemuś dupkowi można znaleźć pewną prymitywną satysfakcję – mówił Emilio z pogodnym szacunkiem dla swojego mentora – to nie wolno tego robić bez umiarkowania i powściągliwości.

– Trochę się zastanawiałem, gdzie się nauczyłeś tego, co zrobiłeś z Supaarim – powiedział Jimmy. – To było coś.

Zaczął im opowiadać o pewnym znajomym księdzu z Bostonu, który brał udział w Olimpiadzie jako bokser, a potem D.W. zaczął wspominać kilku swoich sierżantów z piechoty morskiej. Anne i Sofia zabrały się do przygotowania lunchu, ale słuchały, kręcąc głowami, opowieści o pewnych niezbyt zgodnych z regułami, ale wyjątkowo skutecznych chwytach, jakie stosowali hokeiści walczący w lidze Quebecu. Potem rozmowa powróciła do tematu Uścisku Jana'aty, jak nazywano atak Supaariego na Emilia, a kiedy znowu wspomniano o jego dzieciństwie, wstał i oświadczył tonem kończącym rozmowę:

– Nigdy się nie wie, kiedy może się przydać jakaś dawna umiejętność. – Ruszył w kierunku tarasu, ale nagle zatrzymał się i dodał nieco uroczyście: – Niezbadane są ścieżki Pana.

Trudno było ocenić, czy powiedział to poważnie, czy żartował.

Podróż w dół rzeki z Kashanu wydała się Supaariemu o wiele krótsza niż podróż z Gayjuru. Pierwszego dnia tylko wypoczywał, pozwalając sobie wyłącznie na bezmyślne obserwowanie zawirowań wody i unoszonych prądem gałęzi, piaszczystych łąch i skał. Ale drugiego dnia pogrążył się w rozmyślaniach.

Nowe fakty, nowe pomysły, nowe możliwości spadły na niego jak lawina, Supaari jednak zawsze szybko chwycił nadarzające się okazje i łatwo nawiązywał przyjaźnie. Ci cudzoziemcy, podobnie jak Runowie, w wielu sprawach bardzo się różnili od Jana'atów, a często trudno było w ogóle ich pojąć, ale bardzo polubił Ha'an, doceniając jej bystry umysł i intelektualną odwagę. Reszta pozostawała w tle; uważał ich jedynie za pomocników Ha'an, którzy tłumaczyli i ilustrowali to, co ona mówiła, a prócz tego podawali jedzenie i napoje o bardzo dziwnych porach. No i, prawdę mówiąc, prawie wszyscy podobnie cuchnęli.

Po powrocie musi kupić tę łódź motorową, którą wynajął, postanowił, obserwując wielką falę, wzbudzoną przez przepływający opodal *kivnest*. Cena nabywca, o jakiej wspomniano, jest naprawdę niewielka, a teraz, kiedy już zapoznał się z tym, co cudzoziemcy mają do zaoferowania, wiedział, w czym może pośredniczyć. Wiedział też, że ma zagwarantowane trudne do wyobrażenia bogactwo. Już ta jedna wyprawa przyniosła mu fortunę w postaci egzotycznych osobliwości. Wyjaśnił cudzoziemcom, czego mu potrzeba, a oni byli szczęśliwi, mogąc mu dać mnóstwo paczuszek z aromatami o nazwach równie zadziwiających, jak ich zapachy. Goździki, wanilia, drożdże, szałwia, tymianek, kminek, kadzidło. Pałeczki brązowego cynamonu, białe walce woskowe, które po zapaleniu wydzielają upajającą woń. Dali mu też kilkanaście „krajobrazów”, które jeden z nich narysował na papierze. Cudowne rzeczy, naprawdę zadziwiające. Supaari miał skrytą nadzieję, że reszta je odrzuci – wolałby zatrzymać je dla siebie.

Było oczywiste, że cudzoziemcy nie mają pojęcia o wartości swoich towarów, ale Supaari VaGayjur jako człowiek honoru zaoferował tłumaczowi godziwą cenę, jedną dwunastą tego, co otrzymał od Kitheriego. Spowodowało to serię bardzo kłopotliwych reakcji. Najpierw Ha'an upierała się, że te wszystkie cudowności są podarunkami dla niego; byłoby to katastrofalne, bo wówczas się nie sprzedaje. Ten mały, ciemnowłosy tłumacz i jego siostra z grzywą w końcu zrozumieli, o co chodzi, ale potem ów... jak on się nazywa... Sahn? Sahndos?... próbował wręczyć mu paczuski na osobności! Skąd się tacy wzięli na świecie? Kto ich wychował? Gdyby Askama nie wzięła ich do rąk i nie włożyła w ręce Chaypas, VaKashani nie mieliby żadnego udziału w transakcji. Szokujące maniery, chociaż ów tłumacz strasznie się poniżył, kiedy zrozumiał błąd.

Ponieważ VaKashani byli gospodarzami cudzoziemskiej delegacji, mieli prawo do części zysku Supaariego, co zbliżyło całą wioskę prawie o rok do uzyskania praw rozrodczych. Supaari cieszył się z tego, choć był trochę zazdrosny. Gdyby życie było tak proste dla trzeciego syna Jana'aty, jak dla korporacji Runów, to jego problem byłyby rozwiązany. Mógłby po prostu kupić sobie prawa rozrodcze, wykazawszy odpowiednim władzom, że pod względem płatności jest odpowiedzialnym i posłusznym obywatelem. Ale życie Jana'atów nigdy nie było proste. W każdej jana'atańskiej duszy tkwiło niewzruszone przekonanie, że wszystko musi być poddane kontroli, wszystko musi być dokładnie przemyślane i wykonane poprawnie, że istnieje bardzo wąski margines błędu. Tradycja to bezpieczeństwo, zmiana to zagrożenie. Odczuwał to nawet Supaari, choć często lekcewał ów instynkt, aby osiągnąć to, co już osiągnął.

Piewcy dziejów dowodzili, że pierwszych pięciu jana'atańskich łowców i pierwsze pięć ruńskich stad stworzył Ingwy na pewnej wyspie, gdzie łatwo było o zachwianie równowagi, a ceną za złe zarządzanie było unicestwienie. Pięć razy łowcy i ich towarzyszkę popełnili błąd, tracąc kontrolę nad wydarzeniami, zabijając bezmyślnie, rozmnażając się bez planu. Za szóstym razem Tikat, Ojciec Nas Wszystkich, nauczył się współżyć z Runami, a jego małżonką została Sa'arhi, Nasza Matka. Ingwy przeniósł ich na ląd i dał nad sobą zwierzchnictwo. Było też wiele opowieści o Pa'au i Tiha'ai, i o pierwszych braciach. Kto wie? Może jest w tym wszystkim trochę prawdy? Supaari był jednak sceptykiem. Cykl opowieści o Ingwym wydawał mu się zbyt gładkim wyjaśnieniem duogenitury, zbyt wygodnym uzasadnieniem dominacji pierwszych i drugich synów nad światem.

Zresztą nie miało to większego znaczenia. Niezależnie od tego, czy owe legendy wyrosły z pradawnych ziaren myśli, czy pojawiły się nagle już całkowicie uformowane, jako uzasadnienie praw władców, życie jest takie, jakie jest. Jestem trzecim synem, powtarzał sobie z goryczą Supaari, jak więc mam przekonać resztarę Galatny, że jestem godzien otrzymać miano Założyciela? Była to bardzo delikatna sprawa, wymagająca dużo sprytu i przemyślności, bo resztarowie niezmiernie rzadko udzielali innym przywilejów, których sami byli pozbawieni. Trzeba w jakiś sposób przekonać Hlavina Kitheriego, że udzielenie tego przywileju Supaariemu leży w jego interesie. Prawdziwa łamigłówka. Ale Supaari VaGayjur lubił łamigłówki.

Uznał, że trzeba pozostawić rzeczy swojemu biegowi, bo pościg może tylko wystraszyć zwierzynę. Lepiej być czujnym i nie marnować sił na szalone gesty i poniżające pościgi. Jeśli jest się cierpliwym, zawsze coś samo wpadnie w ręce.

Po pierwszej wizycie Supaariego rozpoczął się okres wyęzionej, nieco monotonnej pracy, prowadzonej według ustalonego porządku zajęć i podziału ról.

Dzięki Supaariemu otrzymali dwa pomieszczenia tylko do swojej dyspozycji. Anne powiedziała mu, że przebywanie przez cały czas z Runami jest dla nich męczące, dodała też, że D.W. nie czuje się dobrze i czasami trudno mu pokonywać odległość dzielącą ich od rzeki. Supaari nie potrafił określić przyczyny choroby ani sposobu jej wyleczenia, ale spowodował, że ich nowe pomieszczenia mieszkalne położone były o wiele niżej na zboczu niż dom Manuzhaiego.

Sofia zamieszkała z Anne i George'em. Drugie pomieszczenie pełniło funkcję dormitorium dla jezuitów i pracowni. Anne powierzono opiekę nad domem. Okazało się to o wiele lepszym rozwiązaniem od codziennych improwizacji kulinarnych, do których przywykli, kiedy mieszkali z Manuzhaim i Chaypas.

Supaari dał im do zrozumienia, że nie muszą się czuć zażenowani, korzystając z gościnności VaKashanich, bo transakcja handlowa z Jana'atą przysporzyła wiosce dochodu i znaczenia, więc stali się bardzo cenionymi gośćmi. Ośmieliło ich to do przedstawienia swoim gospodarzom drobnych życzeń, takich jak ograniczenie całonocnych wizyt i uszanowanie ich prywatności w pewnych porach dnia. Nadal odwiedzali VaKashanich i sami często przyjmowali gości, którzy zostawali na noc, ale teraz mieli już trochę czasu wyłącznie dla siebie. Wszyscy odczuli wyraźną ulgę.

Anne, Sofia i D.W. poświęcali większość czasu na spisywanie rozmów z Supaarim, kładąc nacisk na biologię Runów, ich strukturę społeczną i gospodarkę, a także stosunki z Jana'atami. Każdy akapit po zapisaniu prowokował setki nowych pytań, ale postanowili posuwać się krok po kroku i wkrótce do Rzymu zaczęły regularnie wędrować długie kolumny prac naukowych. Anne zaproponowała, by Supaari figurował na kartach tytułowych jako drugi autor. Sofia, zachęcona do tego przez Emilia, natychmiast się zgodziła. D.W., po namyśle, też zaczął to stosować.

Emilio Sandoz, zadowolony pajak, tkwiący w środku tej intelektualnej sieci, gromadził leksemy, grupy znaczeniowe, prozodie i idiomy, zgłębiał semantyczną i gramatyczną strukturę języka Runów. Odpowiadał na pytania, tłumaczył i pomagał wszystkim w badaniach, współpracując jednocześnie z Sofią nad programem instruktażowym, a z Askamą i Manuzhaim nad słownikiem języka *Ruanja*. Marc od samego początku szkicował i malował Runów i ich życie codzienne, a teraz dokumentował w ten sposób cykl zajęć związanych z porami roku. Ku uciesze Emilia, Runowie mówiąc o rysunkach i obrazach Marca, używali deklinacji przestrzennej. Teraz, kiedy kobiety opuszczały wioskę, udając się na wyprawy handlowe, zamawiały u Marca lub jego uczniów swoje portrety, aby pozostawać ze swoimi rodzinami, choć same były w podróży. Chaypas wyjaśniła, że w ten sposób matki są nieobecne, ale nie niewidzialne.

George i Jimmy zaprojektowali prosty system wodnokanalizacyjny, a także układ wielokrążkowy do wciągania przedmiotów na skarpe. Wkrótce takie urządzenia pojawiły się w każdym domostwie. Na skraju rzeki George zbudował system wodnych zjeżdżalni, nieustannie okupowanych przez zachwycone dzieci.

Runowie podchodzili do wszystkiego ze stoickim spokojem. Nigdy nic ich nie zaskakiwało i Ziemianie doszli do wniosku, że po prostu nie potrafią się dziwić. A jednak zdarzyło się coś, co wprawiło Runów w zdumienie. Pod koniec pobytu Supaariego Marc zapytał go, czy nie istnieją jakieś przeszkody, by cudzoziemcy założyli hodowlę roślin. Emilio stwierdził, że w *Ruanja* nie ma słowa na sztucznie hodowane rośliny, więc pokazano Supaariemu zdjęcia i rysunki ogrodów. Supaari przedstawił sprawę kashańskiej starszyźnie i uzyskał pozwolenie dla Marca na założenie takiego ogrodu.

Tak więc, z powodów, które dla VaKashanich były całkowicie niezrozumiałe, Marc Robichaux, George Edwards i Jimmy Quinn zaczęli ryć w ziemi, i to w miejscu, gdzie nigdy nie rosły żadne pożyteczne korzenie czy bulwy. Za pomocą wielkich łyżek podnosili bryły ziemi, a potem kładli je z powrotem, tyle że do góry nogami. Wprawiło to Runów w kompletne oszołomienie. Owa tajemnicza czynność była przy tym ciężką pracą fizyczną, co czyniło ją źródłem powszechnej wesołości. George przerywał na chwilę kopanie, żeby obetrzeć czoło, a Runowie trzęśli się ze śmiechu. Marc siadał, aby złapać oddech, a Runowie uznawali to za dobry dowcip. Jimmy kopał zajadle, aż ruda czupryna lśniła od kropelek potu, a Runowie kpili: „Ach, teraz ta ziemia wygląda o wiele lepiej!” i rzeli ze śmiechu. Sarkazm nie był im obcy.

Wkrótce zaczęli przybywać Runowie z innych wiosek, aby podziwiać ogrodników, podczas gdy ich dzieci bawiły się na wodnej jeźdźalni. Dopiero teraz George poczuł sympatię do Amiszów z Ohio, którzy pracując w polu, musieli nieustannie znosić spojżenia i wyciągnięte palce turystów. Początkowa ogólna wesołość osłabła jednak, kiedy zaczęły się pojawiać geometryczne zarysy poszczególnych działek i stało się oczywiste, że ta tajemnicza praca cudzoziemców prowadzona jest według jakiegoś planu. Ogród był poważnym eksperymentem naukowym, którego poszczególne fazy drobiazgowo dokumentowano, a że wszystko, co robił Marc Robichaux, musiało być piękne, więc działki zostały zaplanowane jako system zachodzących na siebie rombów i koncentrycznych kręgów, obrzeżonych ziołami i kwiatami. George i Jimmy skonstruowali treliże, wykorzystali też ruńskie parasole tarasowe do ocienienia grządek z sałatą i groszkiem i do odpowiedniego dozowania wilgotności. Manuzhai, teraz wyraźnie zaintrygowany, zaczął im w tym pomagać, a rezultaty tej pracy były naprawdę godne podziwu.

„Sucha” pora na Rakhacie okazała się bardzo sprzyjająca dla vegetacji ziemskich roślin. Wkrótce na każdej grządce pojawiły się zielone pędy i można było dostrzec, że wszystko zostało dokładnie przemyślane i zaplanowane. Rzędy szwajcarskich róż o szkarłatnych łodygach wznosiły się nad poletkami szmaragdowego szpinaku. Cukinia, kukurydza i ziemniaki, pomidory, kapusta i rzodkiewki, ogórki i pierzaste marchewki, czerwone buraki i purpurowe rzepy – wszystko to było wkomponowane w plamy i pasy jadalnych lub leczniczych kwiatów: bratków i słoneczników, nagietków i indyjskich nasturcji. Widok był wspaniały.

Supaari co jakiś czas odwiedzał Kashan i podczas trzeciej wizyty wyraził obowiązkowy zachwyt nad kwitnącym ogrodem.

– My, Jana’atowie, też mamy takie ogrody. Wonie są inne – dodał taktownie, bo niektóre z tych zapachów były wprost odrażające – ale wasz jest piękniejszy dla oka.

Później nie wracał już do tego tematu, uważając cały pomysł za nieszkodliwy wykwit ekscentryczności cudzoziemców.

Zauważyli, że Supaari przywoził ze sobą własne jedzenie, które spożywał na osobności, w kabinie łodzi. Niekiedy towarzyszyli mu Runowie z miasta, specjaliści od zapamiętywania, którzy byli czymś w rodzaju żywych ksiąg i odpowiadali na wszystkie bardziej techniczne pytania cudzoziemców. Okazało się, że istnieją również pisane dokumenty, niestety, w języku *K’san*, więc całkowicie dla Ziemian niezrozumiałe, z wyjątkiem schematów technicznych. George i Jimmy byli szczególnie zainteresowani radiem i chcieli się dowiedzieć czegoś o źródle mocy, generowaniu sygnału, urządzeniach odbiorczych i tak dalej. Supaari uznał to za zrozumiałe, bo dotarło do niego mgliście, że powodem przybycia cudzoziemców na Rakhat były Koncerty Galatnańskie, ale nie był w stanie udzielić im informacji na ten temat. Znał radio tylko jako jego słuchacz. Ta ignorancja bardzo frustrowała technofilów.

– Jest kupcem, a nie inżynierem – broniła go Anne. – Zresztą ostatnim człowiekiem, który dobrze się znał na całej technice, jaką wykorzystywał, był chyba Leonardo da Vinci.

I zaproponowała rozczarowanemu George’owi, żeby wyjaśnił Supaariemu, jak działa aspiryna.

Supaari potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego Runowie nie lubią muzyki.

– My, Jana’atowie, używamy pieśni do organizowania czynności – powiedział do Anne i Emilia, kiedy siedzieli w wyłożonym poduszkami *hampiy*, nie przejmując się lekką mżawką. Zdawał się mieć trudność ze znalezieniem odpowiedniej ruńskiej frazy. – To coś, co robimy tylko my, gdy jesteśmy razem. W Runach budzi to lęk.

– Te pieśni czy czynności? – zapytała Anne.

– Ktoś myśli: i to, i to. Mamy też... nie ma na to odpowiednika w *Ruanja... ba’ardali basnu charpi*. Są dwie grupy, jedna tu, druga tam. – Pokazał, że obie grupy stoją naprzeciw siebie. – Śpiewają, najpierw jedna grupa, potem druga. I osądza się, która dostaje nagrodę. Runowie nie lubią takich rzeczy.

– Zawody śpiewacze! – zawołała Anne po angielsku. – Co o tym myślisz, Emilio? Czy to ma sens? Sądzę, że to coś w rodzaju zawodów. Jak w Walii. Te ich słynne chóry.

– Tak. I chyba rozumiem, dlaczego Runowie tego nie lubią. W tę sytuację wbudowane jest *porai*. Wszyscy uczestnicy chcieliby otrzymać nagrodę. – Przeszedł na język Runów. – Ktoś myśli, że może serca Runów stają się *porai*, kiedy jedna grupa zostaje nagrodzona, a druga nie.

– Tak, Ha’an – odpowiedział Jana’ata, sądząc, że Emilio jest tylko tłumaczem. Oparł się wygodnie na jednym łokciu i dodał tonem, który Anne uznała za kpiący: – My, Jana’atowie, nie mamy takich serc.

Ale Supaari nie przywiózł ze sobą żadnego innego Jana’aty i wyraźnie grał na zwłokę, kiedy George i Jimmy powtórzyli, że chcieliby zobaczyć miasto i spotkać się z innymi Jana’atami.

– Jana’atowie mówią tylko w języku *K’san* – powiedział, kiedy zaczęli go naciskać, by wyjawiał im powód trudności.

To, że on sam nauczył się języka *Ruanja*, jest czymś wyjątkowym, wyjaśnił im; zwykle to Runowie muszą się uczyć języków Jana'atów. Była to dość kulawa wymówka i uznali ją za uprzejmy wymysł, a D.W. wyraził opinię, że ten cholerny Supaari prawdopodobnie nie mówi nikomu o ich istnieniu, żeby zapewnić sobie monopol na handel z nimi. Członkom wyprawy nieobcy był kapitalizm, więc rozumieli te intencje. D.W. niecierpliwił się coraz bardziej, pragnąc nawiązać kontakt z jakimś przedstawicielem władzy, ale reszta starała się zachować spokój. Ostatecznie *Cunctando regitur mundus*. A tymczasem Emilio robił postępy w poznawaniu języka *K'san*.

W końcu nadszedł dzień – półtora rakhatańskiego roku od ich przybycia do Kashanu – kiedy Supaari powiedział im, że znalazł sposób na odwiedzenie przez nich Gayjuru. Zabierze to jednak trochę czasu; trzeba dokonać niezbędnych przygotowań i załatwić mnóstwo spraw, więc muszą poczekać do końca następnej pory deszczowej. Sam nie będzie mógł już odwiedzić ich w tym czasie, ale wróci na początku Partanu i zabierze ich do miasta. Ten plan miał coś wspólnego z właściwą im zdolnością widzenia w czerwonym świetle, ale Supaari nie wyjaśnił, na czym to polega.

W każdym razie nappełniło ich to umiarkowaną otuchą. Każdy miał jeszcze mnóstwo roboty, a skoro Supaari okazał się tak pomocny, nie chcieli wywierać na niego żadnego nacisku.

– Krok po kroku – powtarzał Emilio, a Marc dodawał: – Wszystko w swoim czasie.

Przez cały ten czas nie mieli większych problemów ze zdrowiem. Żadne choroby wirusowe ich nie nękały, bo nie było ich wirusów. Jimmy złamał palec. Marka coś fatalnie pogryzło, kiedy podniósł jakiś kamień, ale zaraz uciekło, więc nigdy się nie dowiedzieli, co to było, a cała przygoda nie miała poważniejszych konsekwencji. George potwierdził obawy Manuzhaiego, spadając któregoś wieczoru ze stromej ścieżki, ale nie odniósł poważniejszych obrażeń. Zdarzały się rozcięcia, stłuczenia, pęcherze i naciągnięcia mięśni, ale było to normalne przy każdej pracy w terenie. Przez jakiś czas Sofia miała bóle głowy, próbując odzwyczaić się od kawy, bo VaKashani teraz kołysali się z odrazą, kiedy cudzoziemcy pili ją sami, zamiast sprzedawać. Po miesiącu podawania jej środków przeciwbólowych Anne uznała, że będzie lepiej, jak Sofia wróci do kawy, pijąc ją na osobności. Sofia z ulgą zgodziła się na takie rozwiązanie.

Ogólnie rzecz biorąc, Anne nie miała zbyt wiele roboty; tylko jeden pacjent doprowadzał ją do rozpacz. D.W. Yarbrough był całkowicie sprawny umysłowo i wykazywał podziwu godny hart ducha, ale jego ciało coraz bardziej go zawodziło. Niestety, Anne nic potrafiła rozpoznać przyczyny tej choroby i musiała uznać swą całkowitą porażkę w zwalczaniu jej objawów.

Można było przewidzieć, kiedy później o tym rozmyślali, że Runowie także zajmą się hodowlą roślin. Kiedy w końcu zrozumieli, na co były te wszystkie zabawne wysiłki, kiedy zobaczyli, jak piękny może być ogród, kiedy pojęli, że można mieć żywność tuż koło domu, zabrali się do ogrodnictwa z typowym dla siebie zapałem i pomysłowością. Z Kashanu ta praktyka szybko przeniosła się wzdłuż rzek do innych wiosek, a wzdłuż wybrzeża w kierunku Gayjuru. Anne, wypytyując odwiedzających i czerpiąc dane przekazywane przez satelitę, monitorowała rozprzestrzenianie się tej idei, twierdząc, że to zupełnie podręcznikowy przykład dyfuzji kulturowej.

Marc i George towarzyszyli pierwszym ruńskim ogrodnikom w wyprawie po nasiona i bulwy *pik* i *k'jip*, pomagając im przy wyborze nasion i sadzonek. Jedne uprawy nie wzeszły, inne się udały. Zaczęto uprawiać nowe gatunki roślin. Cudzoziemcy chętnie udostępnili im ziemniaki, które Runowie uwielbiali, a także buraki i prażoną kukurydzę. Ta ostatnia okazała się przebojem sezonu, zarówno jako źródło rozrywki, jak i pożywienia. Kiedy Sofia wyraziła obawę, że takie rozpowszechnianie nasion i sadzonek może doprowadzić do jakiejś ekologicznej katastrofy, Marc odpowiedział:

– Wszystkie odmiany, jakie zabrałem, mają bardzo niskie współczynniki samoczynnego kiełkowania. Jeśli zaprzestanie się je pielęgnować, wygina w ciągu jednego roku.

VaKashanim i ich sąsiadom, uwolnionym od przymusu odbywania nieustannych wypraw po dziko rosnące bulwy i kwiaty, wyraźnie powodziło się coraz lepiej. Zaczęli obrastać w tłuszcz. Wzmoczona produkcja hormonów sprzyjała częstym rujom. W Kashanie i okolicznych wioskach życie stało się o wiele ciekawsze. Nawet gdyby Supaari nie dostarczył Anne podstawowych informacji o życiu seksualnym Runów, w ciągu tego roku sama dobrze by się w nim zorientowała: Runowie nie znali potrzeby intymności.

Odkryła też, że w rzeczywistości bardzo ich ciekawi, skąd ci mali cudzoziemcy pochodzą. „Ziemia” nie była pojęciem, które by im cokolwiek mówiło. Wykorzystując więc nagłe i powszechne zainteresowanie życiem seksualnym, ciążami i zakładaniem nowych domostw, wyjaśniała im pewne aspekty zachowań, fizjologii i anatomii ludzi. Przyczyniło się to do właściwego stosowania przez Runów zaimków osobowych w odniesieniu do poszczególnych członków wyprawy.

I choć w naładowanej seksem atmosferze Kashanu spojrzenia tych dziwnych oczu o pojedynczych tęczówkach unikały siebie nawzajem, a ludzkie komentarze były zadziwiająco oszczędne i ostrożne, nie było sposobu, by zaloty Jimmy'ego Quinna i Sofii Mendes pozostały nie zauważone. VaKashani byli zachwyceni tą parą. Nie było końca zaczepkom i sprośnym komentarzom, dość często dalekim od aluzyjności. Jimmy i Sofia znosili je z humorem, biorąc pod uwagę dobroduszość Runów i atmosferę, w jakiej je czyniono. Wstydlivość nie była luksusem, na jaki mogli sobie pozwolić. Szczerze mówiąc, w miarę jak pogłębiała się ich przyjaźń i nic nie stało na przeszkodzie w rozkwicie miłości, tylko wobec jednej osoby w całym otoczeniu odczuwali pewne zażenowanie. Nigdy o tym we troje nie rozmawiali; rozmowa jedynie przydałaby realności prawdom, które wszyscy, z pewnym wysiłkiem, uznali za nieistotne. Emilio nie przyłączał się do rubasznych dowcipów na ich temat, choć z pewnością robiłby to, gdyby chodziło o jakąś inną parę. Lecz raz po raz, kiedy wracali z przechadzki albo spoglądali na niego z drugiego końca pokoju, wiedzieli, że im się przyglądał, a w jego martwej twarzy i spokojnym spojrzeniu dostrzegali błogosławieństwo.

Kiedy w końcu, po dwu miesiącach, Jimmy dojrzał do oświadczenia, zrobił to w typowy dla siebie komiczny sposób, a odpowiedź Sofii była stanowcza, typowa dla niej.

– Sofio – powiedział – mam bolesną świadomość faktu, że biorąc pod uwagę wszystkie praktyczne powody, jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi, którego...

– Tak – przerwała mu.

I tak, piątego dnia miesiąca Stan'ja, czyli w przybliżeniu 26 listopada 2041 roku, w wiosce Kashan, w Południowej Prowincji Inbrodu, na lawendowej, niebieskiej i zielonej planecie Rakhat, James Connor Quinn i Sofia Rachel Mendes wzięli ślub pod chupą, tradycyjnym żydowskim baldachimem ślubnym, ozdobionym na rogach żółtymi, ametystowymi, zielonymi, różowymi i fioletowymi serpentynami, pachnącymi czymś co przypominało gardenię i lilie.

Panna młoda miała na sobie prostą suknię, którą Anne uszyła z jedwabistej tkaniny dostarczonej przez Supaario. Manuzhai zrobił wianek ze wstążek i kwiatów, z którego spływały aż do ziemi barwne serpentyny. D.W., teraz niewiele cięższy od Sofii i bardzo słaby, pożegnał pannę młodą w imieniu jej rodziców. George był pierwszym drużbą. Anne miała pełnić rolę honorowej matrony, ale się rozplakała. Askama, rzecz jasna, była dziewczynką od kwiatów; VaKashanim bardzo się podobał ten element obrzędku, tak bliski ich poczuciu piękna. Ekumenicznej ceremonii przewodził Marc Robichaux, wplatając ruńskie poematy do tekstów mszy ślubnej. Anne wiedziała, że na końcu żydowskiej ceremonii zaślubin oblubieniec musi rozdeptać szklany kieliszek, ale jedynym szklanym przedmiotem był tutaj ruński flakonik do perfum. D.W. zaproponował jednak, że biorąc pod uwagę nałóg Sofii, lepszym symbolem będzie kubek od kawy. Tak więc ostatecznie Jimmy rozbił obcasem fajansowy kubek. Marc zakończył ceremonię hebrajską modlitwą o dobre plody i nowe początki. Sofia wytrzeszczyła oczy, kiedy rozpoznała akcentowane po francusku hebrajskie słowa, a potem spostrzegła, że Marc wpatruje się pilnie w wargi Emilia, który stał nieco dalej. Uśmiechnęła się: w ten sposób otrzymała od niego ślubny podarunek.

Potem była uczta weselna z mnóstwem łądyg i prażonej kukurydzy. Były zawody i wyścigi, a więc zwycięzcy i pokonani, ale nikt nie poczuł się *porai*, bo nie było nagród. Wesele stało się beztruską mieszaniną ruńskich i ludzkich zwyczajów i potraw. Później Anne, która w przygotowania do ceremonii włożyła tyle wysiłku, ile zwykle wkłada w nie każda matka panny młodej na Ziemi, dała wszystkim jasno do zrozumienia, że Jimmy i Sofia mają zostać sami podczas swojej nocy poślubnej. VaKashani, przejęci kategorycznością tego dziwnego obyczaju, natychmiast wczuli się w istotę rzeczy i skonstruowali coś w rodzaju drzwi do sypialni młodej pary: kunsztowną kratę z winorośli, ozdobioną kwiatami i wstążkami. Jimmy i Sofia, odprowadzeni do tych drzwi w wesołym pochodzie, podziękowali każdemu ze śmiechem za udzielane im pożyteczne instrukcje i w końcu zostali sami słysząc oddalające się odgłosy ogólnospółnotowego wesela, które o trzecim zachodzie słońca przerodziło się w serię bardziej kameralnych obrządków.

Już dawno, na długo przed tą nocą, powiedzieli sobie prawie wszystko. W owych cudownych dniach oczekiwania, kiedy wokoło nich planowano wesele, spędzali wiele godzin w cienistym ustroniu *hampiy*, gdzie przesiane przez łądygi i liście słońce padało na rozłożone poduszki. Mieli sobie wiele do powiedzenia: rodzinne legendy, zabawne wydarzenia, szczegóły życiorysów. Pewnego popołudnia Jimmy leżał obok Sofii, zdumiewając się doskonałością jej drobnych kształtów i swoim szczęściem. Był przekonany, że nie jest niewinną dziewicą, więc przesuwając delikatnie palec wzdłuż profilu jej twarzy, spojrzął na jej ciało oczami pełnymi erotycznych domysłów i zapytał cicho tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do intymności owego pytania:

– Co sprawia ci przyjemność, Sofio?

Rozplakala się i odpowiedziała:

– Nie wiem...

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ktoś może ją o to zapytać. Jimmy, poruszony, scałował słone łzy z jej policzków i rzekł:

– Więc będziemy musieli odkryć to razem.

Zaskoczony gwałtownością jej reakcji, wyczuł jednak, że coś jeszcze za nią się kryje, i wpatrywał się w nią wyczekująco.

Sofia zamierzała zachować ten jeden region swojej osobowości poza jego starym obronnym murem, ale teraz poczuła, że już nic nie może ich dzielić. Kiedy opowiedziała mu o wszystkim, Jimmy myślał, że serce mu pęknie z żalu i współczucia, ale nie powiedział nic, tuląc ją do siebie i czekając, aż się uspokoi. Potem uśmiechnął się i zapytał suchym, akademickim tonem, jak astronom dyskutujący ze swoim kolegą nad jakąś hipotezą naukową:

– Jak myślisz, jak długo będę cię kochał coraz bardziej każdego dnia?

I wymyślił naprędce wzór na swoją miłość, w którym czas był wartością nieskończoną, co spowodowało, że uśmiech powrócił na jej twarz.

Nie było więc już murów do zdobycia i warowni do obrony owego piątego dnia Stan'ja, miesiąca, w którym na Rakhacie rozpoczyna się lato, kiedy noce stają się bardzo krótkie, a niebo jest pełne gwiazd, pędzących obłoków i księżyców. Ta pierwsza noc była jednak wystarczająco długa, by powiódł ją do swojego weselnego tańca, czujnie nasłuchując rytmu jej serca. A blask księżyca, sączący się przez kwiaty i winoroślą, przez girlandy barw i upajających woni, pomagał im odnaleźć wspólną drogę do momentów wartych pieśni jakiegoś rakhatańskiego poety.

Tego lata, kiedy spadły pierwsze deszcze, jeden z takich momentów zamigotał i zatrzymał się na samej krawędzi, a wówczas rozpoczął się pradawny taniec liczb: dwa, cztery, osiem, szesnaście, trzydzieści dwa. Nowe życie zapuściło korzenie i zaczęło rosnąć. I w ten sposób poprzednie pokolenia połączyły się z przyszłością, której nikt nie mógł poznać ani przewidzieć.

30

WIOSKA KASHANI MIASTO GAYJUR rok trzeci

– Więc co o tym myślisz? – zapytała Anne D.W. – Deszczu już chyba dzisiaj nie będzie. Masz ochotę na przechadzkę?

– No... wiesz, nie mogę powiedzieć, żebym się skłaniał do tak gwałtownej decyzji. – Wypił łyk bulionu, który mu przyniosła, po czym z powrotem odchylił głowę, umieszczając ją na oparciu hamakowego krzesła. Jego spojrzenie powędrowało wzdłuż krzywego grzbietu kości nosowej i spoczęło na niej, pełne rozważań. – Myślę, że może lepiej teraz zaoszczędzić trochę sił, żeby później obejrzeć sobie trochę tego błota.

Uśmiechnęła się: jak to dobrze, że D.W. wciąż potrafi rozśmieszać ludzi.

Przez chwilę trzymał kubek w dłoniach, żeby je ogrzać, ale później poczuł obawę, że wyśliznie mu się z rąk, więc odstawił go na stół, który Sofii i Emiliowi służył kiedyś jako biurko w tym *hampiy*. Teraz altanka należała do niego i przebywał w niej prawie przez cały czas, z wyjątkiem bardzo złej pogody. Lubił patrzeć na góry na południu lub na rozległą równinę na północnym wschodzie, gdzie horyzont zlewał się z niebem. Kiedy pogoda się psuła, Manuzhai albo Jimmy znosili go do domu, a gdy się poprawiała, zanosili go ponownie do *hampiy*. Nie był już w stanie wspiąć się na skarpe o własnych siłach. Emilio zostawał z nim na noc, więc nigdy nie był sam. D.W. był zmartwiony tym, że jest wrzodem na tyłku każdego członka wyprawy, ale poczuł się lepiej, kiedy mu Sofia powiedziała: „To twój obowiązek pozwolić nam tobie pomagać. Wiedział o tym nawet twój Jezus: troska o chorych to jedno z przykazań. Dla nas to miewa”.

– Skończ tę zupę – powiedziała Anne, przerywając mu rozmyślenia.
– To rozkaz lekarza.

– Skończ tę zupę! Skąd u ciebie tyle cholernej energii? – Podniósł jednak kubek szczupłymi dłońmi i zmusił się do wypicia całego bulionu. Skrzywił się, co niewiele dało, biorąc pod uwagę to, jak wyglądał, kiedy się nie krzywił. – Wszystko ma metaliczny posmak – poskarżył się.

– Wiem, ale proteiny są ci potrzebne. – Wyciągnęła rękę i ucisnęła mu nadgarstek.

Próbowała już wszystkiego, co przyszło jej do głowy. Zadręczała go środkami przeciw najróżniejszym pasożytom. Stosowała rozmaite diety, wykorzystując zapasy z promu. Pił wodę deszczową po przepuszczeniu jej przez wszystkie możliwe filtry i po dodaniu do niej bakteriobójczych środków. Potem Anne przestała ich dodawać, sądząc, że może pogarszają jego stan. Dwa albo trzy razy już miała nadzieję, że objawy tej przekłętej choroby zaczynają się cofać. Przybywało mu na wadze, odyskiwał kolor i energię. Ale po kilku dniach wszystko zaczynało się od nowa.

Tylko jego dopadła ta choroba, więc trochę się bała, że przywłókł coś z Ziemi. Przed wyprawą cała załoga została przepuszczona przez sito najwymyślniejszych analiz i badań, a sam Yarbrough był wyjątkowo zdrowy i silny jak żyłasty stary koń wyścigowy. Może coś nawaliło w jego fizjologii, może zalega w nim coś, co zwykle jest przez organizm wydalane, może nastąpiło zahamowanie jakichś procesów enzymatycznych.

– Nie jest tak źle – powiedział jej kiedyś. – Czuję się po prostu zmęczony.

– Jeśli mnie naprawdę kochasz, wyzdrowiejesz. Nienawidzę pacjentów, którzy urągają wszechmocy swoich lekarzy. To zwykłe chamstwo.

– Ludzie są śmiertelni, Anne. Oboje wiemy, że jest mnóstwo gorszych sposobów umierania.

Anne odwróciła głowę, mrugając szybko powiekami, ale wzięła głęboki oddech i odzyskała panowanie nad sobą. Kiedy znowu przemówiła, jej głos był mocny i pełen gniewu.

– Nie chodzi mi o sam fakt albo o sposób. Chodzi mi o ten kurewski czas.

D.W. wzdrygnął się nagle, nie wiedząc, czy drzemał, czy tylko błędził gdzieś myślami.

– Wiesz co? – powiedział, gramoląc się z wiszącego krzesła. – Chodźmy się przejść. Mam ochotę rozpieprzyć to cholerne błocko.

– Słusznie. – Anne klasnęła dłońmi o kolana i wstała, otrząsając się z ponurych myśli. – Zrób sobie przerwę. Żyj jeszcze przez chwilę.

Szli powoli, niewiele do siebie mówiąc, skrajem wąwozu ku południowym górcom. D.W. wyznaczał tempo marszu. Anne nie spuszczała z niego wzroku, wiedząc, że nie powinni odchodzić za daleko, bo D.W. w każdej chwili może zechcieć wracać. Zwykle mogła liczyć na to, że ktoś zaniesie go do domu, jeśli się zbyt zmęczy, ale teraz byli po raz pierwszy sami w Kashanie. Runowie wyprawili się na zbiory jakichś kwiatów, które nazywali *anukar*. Georgie, Marc i Jimmy popłynęli łodzią z Supaarim, żeby w końcu zobaczyć miasto Gayjur. Nie było więc nikogo do pomocy prócz Sofii, która była w ciąży i którą wciąż męczyły wymioty, i Emilia, który spał. Odsypiał noc spędzoną przy D.W., który poczuł się gorzej.

Ku jej zaskoczeniu, D.W. radził sobie zupełnie nieźle. Doszli aż do swojego dawnego miejsca na skalnej półce, skąd rozpościerał się widok na skalną rozpadlinę i na zachodnie niebo.

– Myślisz, że jak sobie usiądę, to będziesz później w stanie podnieść mój stary sflaczały tyłek? – zapytał D.W.

– Dźwignia, kochanie. Jeśli potrafisz wbić stopy w ziemię, postawię cię na nogi.

Chwycił ją za ramię i powoli opadł na ziemię, a ona usiadła obok niego. Przez chwilę milczeli; D.W. uspokajał oddech.

– Kiedy odejdę... – zaczął. Anne otworzyła usta, ale zamknęła je, widząc jego spojrzenie. – Kiedy odejdę, a myślę, że to nastąpi za jakieś trzy do czterech dni, ojcem superiorem będzie *de facto* Marc Robichaux. Sam nie mogę nadać mu tej godności, a zanim przyjdzie mianowanie z Rzymu, minie dziewięć lat. – Zamilkł i zaczął bezwiednie macać dłonią grunt, szukając kamieni, ale już dawno temu ogołocił z nich to miejsce, więc dał spokój i złożył dłonie na podołku. – Teraz wysłuchaj mnie uważnie, Anne. Marc to dobry chłop, ale żaden z niego przywódca. Emilio czasami mnie zaskakuje, ale przeważnie przebywa w swoim własnym świecie. Żaden z nich nie da sobie rady w kryzysie...

– Bo zawsze mieli ciebie albo jakiegoś innego przełożonego, więc nie musieli sami podejmować decyzji. Może dojrzeją, kiedy zmuszą ich okoliczności.

– Taak. Myślałem nad tym. Martwię się, Anne. George jest dobrym członkiem załogi, ale... wybac mi, nie widzę go jako oficera liniowego. A jeśli nie wrócicie, Anne, jeśli ten pomysł George'a z paliwem okaże się gównem wart? Jeśli zostanieie tu na dobre, musicie stworzyć sobie jakąś strukturę, żeby nie zwariować. – Zamilkł na chwilę. – Długo nad tym myślałem. Musi być ktoś, kto wydaje rozkazy. Jestem za naradami i wypracowywaniem kompromisów, ale będziecie tu zbyt osamotnieni i zbyt narażeni na kryzysowe sytuacje, żeby nie mieć wyraźnie określonego systemu dowodzenia. Jeden głos. Ale nie musi to być wcale głos jezuita. Uważam, że ty i Sofia będziecie mózgiem ekipy. Nie kłóć się ze mną, nie mam na to czasu ani energii. Ten Quinn to chłopak ze stali. Musicie tak to zorganizować, żeby Jimmy został uznany za tego jednego, który podejmuje decyzje.

Zaczęła protestować, ale natychmiast sobie przypomniała godziny po śmierci Alana i sposób, w jaki Jimmy zareagował na wiadomość, że nie mają czym wrócić na asteroid. Kiwnęła głową. □ – Przekazałem już coś między wierszami Marcowi i Sandozowi. Nie w taki sposób jak tobie, ale zrozumieli, o co mi chodzi.

– Najtrudniejsze będzie przekonanie samego Jimmy’ego. Będzie chciał, żebyś to ty przejęła dowodzenie. Albo Sofia. – Podniósł ramię, aby ją objąć, ale zorientował się, że za wiele by go to kosztowało, więc tylko chwycił ją za rękę. – Anne, ty jesteś zbyt wrażliwa, a Sofia za szybko myśli. Jimmy jest cholernie zrównoważony. Wspomóżecie go waszą intuicją, waszą inteligencją i wiedzą. Ale niech to on podejmuje decyzje.

– A więc Jimmy zostanie jednak Starszym – powiedziała, żeby trochę rozładować napięcie. Była to jednak chwila pełna powagi, więc dodała: – To dobry plan, D.W. Będę jego najsumienniejszą akuszerką.

D.W. uśmiechnął się, a Anne poczuła, że jego palce zaciskają się lekko na jej dłoniach, ale on tylko spojrział na niebo, czując w sobie pustkę.

Zamierzał jej opowiedzieć o swojej babce, która dożyła dziewięćdziesięciu czterech lat i nikomu tego nie życzyła. Zamierzał jej powiedzieć, żeby uważnie obserwowała tego Supaariego, bo jest w nim coś, co go niepokoi, a Anne nie powinna dać się osłepić uczuciu. Zamierzał jej powiedzieć, że naprawdę był i jest szczęśliwy, nawet w ciągu tych ostatnich miesięcy. Myślał, że jeszcze zdąży, że ma jeszcze przed sobą te kilka dni. Ale śmierć ma własny rozkład jazdy i rządzi się własną logiką. Zaskoczyła ich oboje, a sygnały ostrzegawcze były słabsze, niż się spodziewali.

– O Boże – wysapał George. – Oto ono.

– Jezus, Maria, Józef – wyszeptał Jimmy. – Warto było poczekać.

Marc Robichaux oderwał wzrok od panoramy miasta i spojrzał na Supaariego VaGayjura, spokojnie kierującego małą motorówką ku miastu, przez oznaczone bojami kanały.

– *Sipaj*, Supaari. Dziękujemy ci za to.

W odpowiedzi Jana'ata uniósł lekko podbródek. Zaplanował przybycie do miasta z rozmysłem, okrążając przylądek i wpływając na wody Zatoki Radina tuż przed drugim zachodem słońca. Zamknięty z trzech stron pierścieniem gór, Gayjur rozciągał się z południowego wschodu na północny zachód długim pasem białego kamienia i czerwonej cegły, połyskującym w perłowej poświacie, ponad ciemniejącym już półksiężycem przystani, w której można było dostrzec splątane zarysy okrętów, dźwigów, składów i sklepów. Wyżej, jak klejnot osadzony w akwamarynowej zieleni środkowego szczytu, wznosił się Pałac Galatna. Była to najlepsza pora dnia, by zobaczyć miasto, kiedy niebo przybierało barwę, która Supaariemu zawsze przypominała marmur z Gardhanu. Była to również najbezpieczniejsza pora, by wprowadzić cudzoziemców do portu.

Marc uśmiechnął się do Jimmy'ego i George'a, urzeczonych tym widokiem. Cieszyła go ich radość. Przez prawie sześć ziemskich lat tych dwóch ludzi marzyło o zobaczeniu Miasta Pieśni – teraz wiedzieli już, że jest nim Gayjur. Za każdym razem, kiedy Supaari odwiedzał Kasha, robili aluzje, targowali się, domagali, błagali, by ich tutaj zabrał. Mówili mu, że chcą zobaczyć prawdziwe miasto. Mieli trudności z wyjaśnieniem, dlaczego tak im na tym zależy. Brakowało im ruńskich słów na określenie tego, co ich interesowało, a interesowało ich wszystko. Chcieli wiedzieć, jak wyglądają miejskie budowle, skąd pochodzi żywność, dokąd odprowadza się ścieki, jak funkcjonują uniwersytety, instytucje rządowe i szpitale, jak jest zorganizowany transport, skąd czerpią elektryczność, jak ją magazynują i wykorzystują. Chcieli rozmawiać z chemikami, fizykami, astronomami, matematykami. Chcieli poznać, jak wykorzystywane są na tej planecie zasady koła, dźwigni i równi pochyłej. Chcieli wiedzieć wszystko.

Sam Marc nie marzył aż tak gorączkowo o opuszczeniu Kashanu, ale i on chciał zobaczyć rakhatańską architekturę i sztukę, posłuchać ich muzyki i podziwiać widoki. Czy mają parki? Muzea? Ogrody zoologiczne? Supaari powiedział im, że mają ogrody. Ale jakie? Dokładnie zaplanowane czy dzikie, wykorzystywane do celów gospodarczych czy czysto dekoracyjne? Są jakieś miejsca kultu? Kto je obsługuje? Mają jakichś specjalistów od religii – kapłanów czy kapłanki, mnichów, adeptów? Wierzą w magię, w Boga lub w bogów, w przeznaczenie, w nagrodę za dobro i karę za zło? Co wyznacza kamienie milowe życia? Jakies ustalone ceremonie czy krótkie nieformalne spotkania w gronie bliskich? A jedzenie – jest lepsze niż na wsi? W co się ubierają? I jacy są – uprzejmi czy natarczywi, pedantyczni czy swobodni? Co uważają za zbrodnię? W jaki sposób wymierzają kary? Co jest dla nich cnotą, a co przywarą? Co ich śmieszy? Interesowało go wszystko. Marc chciał dowiedzieć się wszystkiego.

W końcu, po zwodzeniu ich przez cały rakhatański rok, Supaari VaGayjur uznał, że wszystko zostało gruntownie przemyślane, odpowiednie przygotowania zakończone i nadszedł czas, by pokazać im miasto, które stało się jego miastem. W ciągu trzydniowej podróży w dół rzeki, mijając powolne barki i małe skify, odpowiedział na tyle pytań, ile zdołał. Interesowały ich siarczano-aluminiowe baterie napędzające motor łodzi, materiał, z którego zrobiony był kadłub, wodoodporne poszycie, urządzenia nawigacyjne. Kiedy w końcu zdołał ich przekonać, że po prostu używa łodzi, a nie jest jej konstruktorem, zaczęli go wypytывать o miasto, a gdy nie mógł już znieść tych pytań i powiedział im: „Poczekajcie! Sami to wszystko zaraz zobaczycie!”, pogrążyli się w rozmowach w swoim *h'inglish*, nienasyceń w tej dziwacznej ciekawości.

Zatrzymali się na noc w dwu wioskach: pierwsza leżała tuż nad deltą Ponu, druga na wybrzeżu Masna'a Tafa'i, w odległości około dwunastu godzin od Gayjuru. Podobnie jak w Kashanie, widok cudzoziemców nie wzbudzał w tamtejszych Runach większego zdziwienia. Supaari przedstawiał ich po prostu jako kupców z dalekich stron. Zakładał, że Runowie VaGayjuri też tak ich przyjmą, więc rad był, że nawet w tych odległych wioskach nie wzbudzą sensacji, czego się bardzo obawiał. Zaczął mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Wciąż jednak nalegał, by obiecali mu, że będą wychodzić tylko w porze czerwonego światła, a nawet wówczas musi im zawsze towarzyszyć jego ruński sekretarz, Awijan. To bardzo ważne, powtarzał im, żeby nie zobaczyli ich inni Jana'atowie.

To ograniczenie kłóciło się jawnie z pragnieniem D.W. Yarbrougha, by nawiązali kontakt z jana'atańskim rządem. Minęło już wystarczająco dużo czasu. Jeśli będą dłużej się ukrywać, przedstawiciele władzy mogą zacząć coś podejrzewać. Mieli jednak dług wdzięczności wobec Supaariego za tak wszechstronną pomoc i D.W. uznał w końcu, że powinni podporządkować się ustalonym przez niego regułom. „Tym razem poznajcie dobrze kraj”, powiedział Marcowi, George'owi i Jimmy'emu przed odjazdem. „Jak wrócicie, wszystko to przedyskutujemy i postanowimy, co robić dalej”. Wiedział, że sam nie weźmie już udziału w tej dyskusji. Wiedział, że umiera. Wszyscy o tym wiedzieli.

Teraz, spoglądając na panoramę Gayjuru, zrozumieli, że trudno będzie poznać to miasto w ciągu wyznaczonych sześciu dni. Marc Robichaux poczuł, że oto znowu muszą uzbroić się w cierpliwość i zaspokajać ciekawość krok po kroku.

Zbliżając się do swojego składu, Supaari wywołał przez radio Awijan, oznajmiając jej ich przybycie, i pokierował łódź przez labirynt zatłoczonych statkami nadbrzeży. Zręcznie przycumował, ziewnął i ze źle ukrywaną dumą wskazał na bramę wiodącą na teren jego posiadłości, mając nadzieję, że jej okazałe rozmiary i widoczne oznaki bogactwa potwierdzą jego gościom, że nie mają do czynienia z byle kim.

– Chcecie teraz odpocząć czy obejrzyć miasto? – zapytał, dobrze wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

Kiedy ją usłyszał, przekazał ich swojemu osobistemu sekretarzowi, zapewniając, że Awijan dobrze ich poprowadzi i odpowie na ich pytania. On, Supaari, zamierza teraz pójść spać. Zobaczą się nazajutrz, o drugim wschodzie słońca. I w końcu, po tak długim oczekiwaniu, otoczeni czujną opieką osobistego sekretarza jednego z Jana'atów, Marc Robichaux, Jimmy Quinn i George Edwards zagłębili się po raz pierwszy w całości im obce, pozaziemskie miasto. Spodziewali się, oczywiście, że będą zaskoczeni i oszołomieni, ale okazało się, że natłok zupełnie nowych wrażeń zrodził poczucie chaosu. Najpierw zaatakowały ich wonie i dźwięki: z wielkich składów napływały ku nim słodkie, korzenne i trawiaste zapachy składników najróżniejszych wonności; nadbrzeża i stocznie, pachnące mokrymi żaglami, gnijącymi wodorostami, uszczelniającymi smołami i farbą, rozbrzmiewały krzykami marynarzy i tragarzy; z kolei z ulicznych garkuchni, ze straganów i wytwórni buchały zapachy zup i amoniaku, duszonych warzyw i rozpuszczalników. W przenośnych, ale zupełnie przyzwoicie zbudowanych stoiskach kwitł ożywiony handel, kupowanie i sprzedawanie, negocjowanie i załatwianie najróżniejszych interesów. Solidna, ciesząca oczy armatura oplatała wspaniale zbudowane mury. Uliczni sprzedawcy wyławiali jakieś trudne do zidentyfikowania przedmioty z ręcznych wózków, prostych w konstrukcji i dobrze wyważonych. Idąc ciasnymi bocznymi uliczkami, zaglądali przez półotwarte drzwi do warsztatów i pracowni, gdzie uwijali się Runowie, z uszami stulonymi w ogłuszającym hałasie młotów i świrdrów, dźwięki i elektrycznych pił.

Tempo życia było tu o wiele szybsze niż w Kashanie, widziało się też więcej różnych typów fizycznych. Dokerzy byli bardziej krępi, mocniej zbudowani, z obwisłymi uszami; spotykali też innych, ubranych jak Supaari, kiedy zetknęli się z nim po raz pierwszy, ale mniejszych i o nieco odmiennych twarzach, czujnych, bystrych, o śmiałym, świdrującym spojrzeniu – Awijan należała do takiego typu. Różne też mieli futra: jedne szorstkie i poskręcane jak runo, inne bardziej jedwabiste i dłuższe niż w Kashanie, o różnym zabarwieniu. Regionalne odmiany, pomyślał Marc. Ludność napływowa, jak to zwykle bywa w portowym mieście.

Dziwne to było uczucie, kroczyć przez ulice tego zupełnie obcego im miasta na planecie oddalonej od Ziemi o kilka lat świetlnych, a jednak nie budzić powszechnego zainteresowania. Nie gromadziły się wokół nich tłumy, dzieci nie piszczwały, nie pokazywały ich palcami, nie chowały się przed nimi ze strachu. Dostrzegano ich odmiennosc i komentowano ją cicho, ale kiedy Awijan zatrzymała się przy jednym z wózków, by kupić im podobne do kebabu pałeczki pieczonych warzyw, sprzedawca po prostu wręczył im jedzenie ze zwykłą uprzejmością. Zupełnie jakby kupowali precle w Filadelfii.

Kiedy zapadła noc, Awijan zaprowadziła ich z powrotem do posiadłości Supaariego, wiodąc przez otwarty dziedziniec, najpierw wzdłuż rzędu niskich zabudowań magazynowych, potem wzdłuż krawędzi imponującego składu towarowego, aż weszli do pomieszczeń mieszkalnych, pozbawionych przepychu, ale obwieszonych pięknymi tkaninami ściennymi i wyłożonych grubymi dywanami. Po latach spania razem z tłumem Runów zdumieli się, kiedy przydzielono im małe osobne pokoiki, wyposażone w okrągłe posłania na platformach, przywodzące na myśl gniazda i bardzo wygodne. Tej nocy spali dobrze, a obudzili się długo po pierwszym wschodzie słońca.

Było południe, kiedy spotkali się z Supaarim na swoim pierwszym, a jego jedynym w ciągu dnia posiłku. Gdy rozsiedli się na dywanach i poduszkach rozłożonych pod ścianami, wniesiono długi, niski stół, który wnet zastawiono rzędami półmisek, mis i talerzy, przynoszonych z kuchni. Były różne odmiany pieczonego mięsa, zupy, jakieś pyszne potrawy, które okazały się owocami morza nadziewanymi pikantną pastą, a potem zawiniętymi w liście i pokrojonymi na plastry. Były owoce, których nigdy przedtem nie widzieli, i wiele różnych jarzyn, surowych i gotowanych, pieczonych i duszonych w sosach, przemyślnie pokrojonych i w całości. Unosiły się różne zapachy: delikatne, mdłe i korzenne. Służba była cicha i dyskretna, a posiłek ciągnął się godzinami. Awijan siedziała na uboczu, niewiele jedząc i bacznie wszystko obserwując. Następnego dnia Marc zauważył, że dania, które nikomu nie smakowały, zniknęły z menu, a te, którymi goście się zachwycali, pojawiły się w obfitości, w towarzystwie nowych, jeszcze im nie znanych.

Tego drugiego wieczoru Awijan zaprowadziła cudzoziemców dalej, do górnego miasta, i dopiero stamtąd mieli możliwość dostrzec dziwnie hybrydowy układ miasta. Widać było wyraźnie szkielet prostopadłych głównych ulic, starannie wybrukowanych, i system kanałów, dzielących miasto na segmenty, przez które cała masa towarów z głębi kraju lub z oceanu przekazywana była do ośrodków przetwórstwa lub dystrybucji.

Miasto nie było zatłoczone tak, jak niegdyś rojne porty Ziemi. Nie widzieli żebraków, kalek, wychudzonych samotników grzebiących w śmieciach lub dzieci o wzdętych brzuskach, wlokących się za rachitycznymi rodzicami. W miarę jak wchodzili wyżej, gdzie ruch był mniejszy, a budowle okazałszy, coraz bardziej zauważalny stał się kontrast między bogatymi i biednymi, ale w Ziemianach nie wywoływał tak przykrych doznań, jak w Rio, Kalkucie, Limie czy Nowym Jorku. Tutaj odnosiło się wrażenie, że powodzenie w życiu jest ogólnie dostępne, że każdy jest fachowcem w jakiejś dziedzinie i albo pracowicie pnie się po szczeblach kariery, albo jest zadowolony z tego, co ma. Na rynkach, w wytwórniach i pracowniach nie było widać przesadnej troski o przyciągnięcie klientów. Dostrzegało się w tym jakieś dziwne piękno.

Nie dostrzegli nigdzie szkół, ale w wielu małych sklepach, warsztatach, fabryczkach i miniodlewniach zauważali uczniów, uczących się zawodu przez cierpliwą obserwację. Na ulicach było tłoczno i gwarno, ale przez uchylone bramy widzieli małe podwórka, na których pod głębokimi okapami siedziały rodziny, jedząc lub odpoczywając. Na niektórych ulicach zaskakiwał dziwny spokój; były to dzielnice, w których królowały „ciche” rzemiosła, takie jak krawiectwo czy tkactwo. Tu słychać było tylko kroki przechodniów w długich, miękkich butach, i melodyjne głosy Runów.

Trzeciego wieczoru Awijan zabrała ich na drugą stronę zatoki, do dzielnicy szklarzy, żeby pokazać im wytwórną wykwintną zastawę stołową, takiej, jaka zdobiła stół Supaarięgo: ciężkich naczyń z czystego, polerowanego szkła, z opalizującym ornamentem awentynowym o barwie brązu. Marc odniósł wrażenie, że istnieją tu dwie tradycje estetyczne: jedna lubiąca się w inkrustacjach i ozdobach, druga – oszczędna i prosta. Nietrudno było zgadnąć, że pierwsza przeznaczona była dla Jana’atów, a druga dla Runów, kiedy się spojrzano poprzez zatokę na Pałac Galatna i zabudowę otaczających go wzgórz, z ich mozaikami i fontannami, z wysokimi murami ozdobionymi blankami i konsolami, z fasadami pokrytymi naroślami ozdób. Więcej pieniędzy niż dobrego smaku, pomyślał Marc. Galatna sprawiała wrażenie budowli przesadnie wybujałej, jak owe chińskie pałace i świątynie z okresu klasycznego, nad którymi zbyt długo pracowano, do których każde pokolenie dokładało nowe elementy i zdobienia, aż zagubił się pierwotny styl.

Zapytał o to Awijan, kiedy zwiedzali kolejną pracownię.

– Większość Jana’atów woli takie rzeczy – odpowiedziała, wskazując na przesadnie zdobione misy, a potem dodała konfidenckim tonem: – Czyjeś oczy męczą się, jak na to patrzą.

Potwierdziło to przekonanie Marca o zmyśle artystycznym Runów.

A jednak ostatniego dnia ich pobytu w Gayjurze musiał zrewidować swój pogląd na jana'atańską sztukę. George i Jimmy oświadczyli stanowczo, że jedno muszą zrobić za wszelką cenę: porozmawiać z jakimś chemikiem o paliwie do promu. Wymagało to trochę więcej wyjaśnień niż zwykle, ale w końcu Supaari pojął, co próbują mu powiedzieć, i Awijan wysłała do miejscowej wytwórni perfum gońca, który wrócił z nieco nerwowo rozglądającym się chemikiem o chudej twarzy. Posługując się graficznym wykresem tablicy pierwiastków i trójwymiarowymi obrazami struktury składników paliwa, bez większych trudności wyjaśnili chemikowi, czego im trzeba. Ku ich głębokiej uldze, formuła składu wcale go nie zniechęciła.

Podczas wysoce technicznej dyskusji, jaka po tym nastąpiła, Marc, który niewiele z niej rozumiał, milczał, rozglądając się niezbyt przytomnie, i Supaari, równie znudzony, zapytał go, czy nie chciałby zobaczyć czegoś z jana'atańskiej sztuki. Propozycja została rzucona jakby od niechcienia, zdawkowym tonem, i Marc, który już zaczął poznawać Supaariego, natychmiast powziął podejrzenie, że Jana'ata z góry to zaplanował. Wezwano dwuosobową lektykę; Marc otrzymał obszerną szatę z kapturem, o wiele na niego za dużą, po czym wsiadł do pojazdu z opuszczonymi zasłonami. Supaari oświadczył, że tym razem sam będzie mu towarzyszył, a Awijan zostawił, by towarzyszyła George'owi i Jimmy'emu w rozmowie z chemikiem.

Było zupełnie jasno i Marc zerkał zaciekawiony przez szpary między zasłonami, widząc, że zmierzają przez zupełnie mu nie znane i całkowicie odmienne dzielnice górnego miasta. Tutaj pełno było Jana'atów, dumnych i zwracających na siebie uwagę.

– W sukniach – mruknął Supaari nieco sarkastycznym tonem – równie ciężkich, jak obowiązki, które na nich spoczywają, i nakryciach głowy tak wzniosłych, jak ich ideały.

Twarze mieli bardzo podobne do twarzy Runów, ale szczuplejsze, z zapadniętymi policzkami, mające w sobie coś wilczego i niepokojącego. W przeciwieństwie do Supaariego sprawiali wrażenie istot skupionych, chłodnych, bacznie wszystko obserwujących, a przede wszystkim – przerażająco niedostępnych. Na ich widok Runowie cofali się, kłaniali albo odwracali. Marc opadł na oparcie siedziska, czując teraz sam, co Supaari miał na myśli, kiedy wciąż ostrzegał ich przed innymi Jana’atami, i dziękował Bogu, że pierwszymi istotami, jakie spotkali na Rakhacie, byli Runowie.

Ruch na ulicach zamierał, w miarę jak wspinali się w górę, ku szczytowi na południe od Gayjuru. W końcu lekyka zatrzymała się przed samotnym kamiennym budynkiem, niskim, o horyzontalnym rozplanowaniu, otoczonym galeriami. Supaari powiedział Marcowi, żeby na niego zaczekał, a sam zniknął na jakiś czas. Kiedy wrócił, wsadził głowę między zasłony i szepnął:

– Jesteś starszą jana’atańską damą, która przybyła tu, by uspokoić swe serce widokiem ceremonii. Dlatego nie pragniesz towarzystwa. Zrozumiałeś?

Marc kiwnął głową – zrozumiał bardzo dobrze. A więc Jana’atowie potrafią kłamać, pomyślał z pewnym rozbawieniem.

– Ktoś nabył prawo wyłączności – ciągnął spokojnie Supaari. – Oczyszczą dziedziniec, żebyś mógł wejść na balkon. Tutaj nie wolno mówić językiem Runów. Nic nie mów.

Kiedy na dziedzińcu nie było już nikogo prócz ruńskich tragarzy, Supaari pomógł Marcowi wysiąść z lekyki i powiódł go – czującego się trochę jak dziecko przebrane w strój dorosłych – do wnętrza budynku, a potem przez otwarty dziedziniec wewnętrzny z roztaczającymi słodkie wonie fontannami. Podciągając sobie ciężką suknię i starając się przy tym nie pokazać dłoni, Marc wstępował za nim po rampie na drugą galerię. Był tak skupiony na tym, by nie przydepnąć sukni i ukryć szczegóły swojej ziemskiej anatomii pod jej fałdami, że w ogóle nie rozglądał się wokół siebie aż do chwili, gdy znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu z kotarami, przywodzącym na myśl łożę w operze. Supaari wszedł pierwszy i zasunął przednią kotarę, dał znak Marcowi, by wszedł do środka, po czym zasunął tylną kotarę, pogrążając łożę w półcieniu. Dopiero teraz pokazał cudzoziemcowi gestem, że może odrzucić kaptur.

– Trzymaj się nieco w głębi, ale patrz uważnie – szepnął. – To bardzo piękne. Jak twoje krajobrazy.

Marc był oczarowany tym komplementem, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że wszystko to związane jest z jakimś strasznym ryzykiem. Zanim zdążył coś powiedzieć, uroczystość się rozpoczęła, a skoro już się tu znaleźli, postanowił zaufać rozsądkowi Supaariego i zamysłowi Boga.

Przechylając się nieco, by mieć możliwość zerkania przez wąską szparę między kotarami, zobaczył w dole niewielkie pomieszczenie, tchnące spokojną doskonałością: szare, kamienne lico ścian prawie pozbawione spoin lśniło jak polerowany granit, natomiast posadzka wyłożona była płytami przypominającymi różowy, delikatnie pożyłkowany marmur. Pośrodku stała wielka płytka misa z czarnego kamienia, wypełniona jakimś bezbarwnym płynem, a wokół niej klęczało sześciu Jana'atów w prostych szatach. Każdy miał przy kolanach zestaw glinianych naczyń, zawierających barwniki, a za plecami mały piecyk, na którym żarzyło się jakieś kadzidło. Jego zapach dotarł do Marca, gdy tylko rozległy się śpiewy, a chociaż powiedziano mu, że to są artyści, wszystko przypominało raczej podniosły nastrój religijnego kultu.

Potem, snując chóralnie jakiś epicki poemat, Jana'atowie pochylili się wystudiowanym ruchem, zanurzyli długie pazury w pojemnikach z barwnikami i musnęli nimi powierzchnię płynu wypełniającego czarną misę. Natychmiast pojawiły się barwy, mieszając się, rozchodząc, rozpraszając w promienistą mandalę. Raz po raz, wciąż śpiewając, kołyszając się i pochylając, dotykali płynnej powierzchni, tworząc na niej feerię barw. Rozmigotane wzory zmieniały się wraz z każdym hipnotycznym wersem, zapach kadzidła stawał się coraz bardziej intensywny, coraz bardziej oszałamiał...

Marc nie pamiętał, w jaki sposób opuścił łóżę i wszedł do lektyki. Kołyszący krok tragarzy zmieszał się w jego świadomości z hipnotycznym śpiewem artystów, a podróż powrotna do siedziby Supaariego VaGayjura była mieszanką sennych wizji i odprysków widzialnej rzeczywistości. Wsparty na Supaarim, spoglądający rozszerzonymi źrenicami z wnętrza swojego tekstylnego kokonu, spostrzegł w pewnym momencie z niejasnym, jakby przytłumionym zainteresowaniem, że lektyka przemierza jakiś publiczny plac. Przez szparę między zasłonami ujrzał trzech Runów klęczących tyłem do jana'atańskich katów, którzy jednym ruchem przecięli im pazurami gardła, tak sprawnie i czysto, jak żydowski rzeźnik pozbawiający życia bydło podczas rytualnego uboju.

Ta scena została zanotowana na jakimś poziomie jego świadomości, ale nie był pewien, czy wydarzyła się naprawdę, czy była halucynacją. Zanim zdążył się nad tym dobrze zastanowić, obraz znikł, pochłonięty przez pulsujące wybuchy przesyconych światłem kolorów i rytmicznego śpiewu.

Nie był to, najwidoczniej, dzień trzeźwości i powagi.

Pewni już, że synteza paliwa promowego jest możliwa, George i Jimmy miotali się pomiędzy poczuciem bezbrzeżnej ulgi i frenetycznej radości. Awijan nie bardzo rozumiała motywy, kryjące się za dokonaną właśnie transakcją, ale wyczuła, że cudzoziemcy chcieliby uczcić ją w jakiś sposób. Zapragnęła im to umożliwić.

Nie od razu poddała się temu impulsowi. Była istotą zdumiewająco, jak na Runę, opanowaną i pozbawioną wszelkich przejawów spontaniczności, produktem kilkuset pokoleń selektywnej hodowli i gruntownej edukacji. Będąc pierwszym zarządcą doków Supaariego, szybko awansowała do stanowiska jego osobistego sekretarza, a on zawsze traktował ją jak osobę równą, podporządkowaną sobie zgodnie ze stanowiskiem, ale na pewno nie pośledniejszą. Pochodziła zresztą ze starożytnego rodu, pod pewnymi względami godniejszego od rodu samego Supaariego – fakt, który odnotował z charakterystyczną dla siebie ironią. I chociaż inni jana’atańscy kupcy nie pochwalali prawie egalitarnego stosunku Supaariego do Runów – a krążyły też plotki o nim i o Awijan – zyskała wiele materialnych przywilejów i mogła w pełni wykorzystywać swoje możliwości. Ceną, jaką za to płaciła, była samotność. Nie miała równych sobie pobratymców, nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć lub u kogo mogłaby szukać porady. Rzadko opuszczała doki Supaariego, a jeśli to czyniła, to tylko w interesach, nosząc właściwy identyfikator i okazując szacunek zarówno Jana’atom, jak i Runom. Nie chciała wzbudzać ani złości, ani zazdrości. Wymagało to życia w nieustannym napięciu. A kiedy prowadzi się takie życie, trzeba od czasu do czasu odprężenia.

– Jutro powrócicie do Kashanu – powiedziała cudzoziemcom, którzy odnosili się do niej z szacunkiem. – Ktoś chciałby zaprosić was na wspólny posiłek. Czy przyjmiecie zaproszenie?

Przyjęli. Przyjęli z wdzięcznością. I w ten sposób, kiedy Marc Robichaux drzemał w lektyce, zdążającej przez ulice Gayjuru ku Zatoce Radina, Jimmy Quinn i George Edwards poszli za Awijan do sąsiedniej dzielnicy Runów, nieco oddalonej od przystani. Stanąwszy z nią w jakichś otwartych drzwiach, zobaczyli coś w rodzaju restauracji lub prywatnego klubu, wypełnionego różnego typu Runami, tryskającymi energią i o wiele głośniejszymi od tych, do których do tej pory byli przyzwyczajeni.

– Jezu, zupełnie jak na weselu – mruknął Jimmy, uśmiechając się szeroko.

Weszli do środka i Awijan poprowadziła ich w róg pomieszczenia, gdzie zrobiono im miejsce na wyściełanej podłodze. Olbrzymie półmiski zjedzeniem krążyły z rąk do rąk, podawano też jakieś małe słodkie galaretki, które bardzo im smakowały. Nie było żadnej muzyki i nikt nie tańczył, tylko jakiś bazarz wyśpiewywał dawne opowieści melodyjnym głosem, za to prawie wszyscy pochłonięci byli jakimiś gramami i zawodami siłowymi, które niewątpliwie miały coś wspólnego z hazardem, bo pieniądze często zmieniały właścicieli. Jimmy szturchnął George’a w bok, kiedy usiedli na poduszkach, i mruknął:

– Podejrzewam, że miejscy Runowie nie są tak podatni na *porai*, jak więjscy.

Wkrótce nawet powściągliwa i zawsze opanowana Awijan przyłączyła się do hałaśliwych komentarzy dotyczących opowieści bajarza, a Jimmy i George byli zachwyceni, kiedy się okazało, że ich znajomość *Ruanja* zupełnie wystarczy do zrozumienia dowcipów. Jedli więc, przyglądali się, słuchali i rozmawiali, a w pewnej chwili jeden z Runów wyzwał Jimmy'ego, by zmierzył się z nim na ręce. Jimmy próbował się wymówić, odpowiadając: „Ktoś będzie smutny, czyniąc twoje serce *porai*”, ale odczytane to zostało jako zawołowana obelga, którymi zwykle obrzucali się zawodnicy przed walką ku uciechu tłumu. Zasiadli więc naprzeciw siebie przy niskim stole, a Awijan próbowała szybko przekazać Jimmy'emu najcenniejsze rady trenerskie, które na niewiele się przydały z tej prostej przyczyny, że dotyczyły głównie stabilizującej pozycji ogona podczas pojedynku. Mimo to Jimmy, dopingowany dzikim wrzaskiem George'a, wygrał dwie z pięciu tur. Potem, żeby to uczcić, znowu zjedli trochę owych galaretek, słodkich, nieco cierpkich i chłodzących język.

Uwaga tłumu przeniosła się na inną parę uradowanych zawodników, a Jimmy rozłożył się wygodnie na plecach, wyciągnąwszy nogi i założywszy ręce pod głowę, uśmiechając się pogodnie do Awijan i George'a, który siedział nieruchomo tuż obok niego. To niesamowicie przystojny facet, pomyślał nagle Jimmy. George Edwards, ze swoją opaloną, jakby wykutą z brązu twarzą, z białymi włosami, zaczesanymi do tyłu i opadającymi na kark jedwabistymi falami, wydał mu się wcieleniem szlachetności i godności: Seneka pośród zgromadzenia rzymskich obywateli spoczywających na sofach – jeśli tylko nie brało się pod uwagę ogonów. George odwrócił się do niego, jakby wyczuwając to pełne zachwyty spojrzenie. Zapadło krótkie, dwuznaczne milczenie.

– Nie czuję warg – oświadczył George i zachichotał.

– Ja też. Ale czuję coś innego. – Jimmy zastanowił się przez chwilę; wymagało to sporej koncentracji. – Czuję, że nagle naszła mnie nieprzeparta ochota, żeby zaśpiewać *Danny Boy*.

George zatrząsł się ze śmiechu, waląc pięściami w poduszkę po obu stronach kolan. Jimmy usiadł i wyciągnął rękę, by ściągnąć jeszcze jedną galaretkę z krążącej w pobliżu tacy. Przyjrzał się jej z jakimś głupkowatym zainteresowaniem i powiedział:

– Jezus, Maria, Józef! Co to za świństwo, do kurwy nędznej?

– Kosmiczne żelatynowe prochy! – jęknął George. Nachylił się do Jimmy’ego, żeby mu coś szepnąć, ale stracił równowagę i padł na poduszki. – Bill Cosby byłby dumny! – zawołał, leżąc na boku.

– A kim, do kurwy nędznej, jest ten Bill Cosby? – zapytał Jimmy. Nie czekając na odpowiedź, mrugnął do George’a jak sowa i wyznał z czystym południowobostońskim akcentem: – Jestem ullullane.

George Edwards mówił zupełnie nieźle w *Ruanja*, znał też hiszpański i świetnie władał standardowym angielskim. Zaczął rozważać, co też może oznaczać to ullullane. Przymierzył dźwięk do wielu mentalnych szablonów. W końcu znalazł.

– Ululany! – zawołał z triumfem, wciąż leżąc na boku. – Wstawiony. Na rauszu. Podchmielony. Ubzdryngolony. Pijany w trupa. Wykończony. Denat.

Jimmy spojrział na małą żelatynową bombkę zegarową, połyskującą niewinnie w jego dłoni.

– To jest potęga – oświadczył, nie zwracając się do nikogo w szczególności, ponieważ George wciąż wymyślał nowe synonimy, nie zważając na brak audytorium. – Bombowe przyjęcie. Nie ma nawet czasu, żeby pójść się wysiusiać.

A Awijan, która nie rozumiała ani słowa z rozmowy swoich gości i nie bardzo wiedziała, dlaczego wciąż wyją, spoglądała jednak na nich z dobrotliwym zadowoleniem. Bo Awijan była całkowicie odprężona i zupełnie zapomniała o swoim szczególnym życiu i towarzyszących mu nieodłącznie napięciach: była spokojnie, celowo, cudownie pijana. Wśród przyjaciół.

Supaari był świadom tego, że jego sekretarz potrzebuje od czasu do czasu pozbyć się męczącego napięcia, a chociaż zaskoczyło go trochę, że zabrała do klubu cudzoziemców, nie gniewał się na nią z tego powodu. Prawdę mówiąc, był zadowolony z ich prawie kompletnego milczenia, które trwało przez cały pierwszy dzień powrotnej podróży do Kashanu.

Drugiego dnia cudzoziemcy nieco się ożywili, ale nadal sprawiali wrażenie głęboko zamyślonych. Supaari podejrzewał, że będą mieli sobie wiele do powiedzenia, kiedy znajdą się w swoich domach, razem z resztą towarzyszy. Po ich pytaniach i komentarzach, wypowiedzianych podczas wspólnych posiłków, zdołał się już przekonać, że Gayjur nie sprawił im zawodu i że doceniają jego gościnność. To sprawiało mu satysfakcję. Już przemyślał, że warto by zorganizować podobny pobyt w mieście Ha'an i innym, zwłaszcza że teraz był spokojniejszy o bezpieczeństwo swoje i cudzoziemców.

Supaari wyczuł, że ich milczenie w trzecim dniu podróży miało nieco odmienny charakter, choć nie wiedział, jaka jest tego przyczyna. W rzeczywistości, kiedy okrążyli ostatnie zakole rzeki, a Supaari przycumował łódź do kashańskiego nadbrzeża, Marc Robichaux, George Edwards i Jimmy Quinn przygotowywali się na spotkanie ludzi pogrążonych w żałobie.

Wiedząc, że D.W. bliski jest pożegnania się z tym światem, początkowo chcieli zrezygnować z wyprawy do Gayjuru, ale on sam nalegał, by pojechali, obawiając się, że Supaari, który przecież zwodził ich przez cały rok, może już nie powtórzyć zaproszenia. Pożegnali się więc z nim przed odjazdem. Teraz dostrzegli już Sofię, która pomachała im ręką z tarasu, a potem patrzyli, jak ona i Sandoz schodzą wąską ścieżką po zboczu skarpy, zmierzając ku przystani. Rozpacz na ich twarzach powiedziała im wszystko – tak przynajmniej myśleli. Zeskoczywszy na ląd, Jimmy podszedł do swojej żony i pochylił się nisko, by utulić ją, kiedy się rozpłakała. Marc Robichaux, uważając, że to oczywiste, powiedział cicho:

– Ojciec superior.

Emilio kiwnął głową, ale wciąż patrzył na George'a.

– I Anne – dopowiedział George. Jeszcze nie rozumiał, ale już wiedział, czuł jak zamiera mu serce.

Emilio ponownie kiwnął głową.

Runowie jeszcze nie wrócili ze zbiorów *anukaru*, więc byli sami. Supaari poszedł z nimi do siedziby Sofii i Jimmy'ego; na razie powiedziano mu tylko, że Ha'an i Starszy zostali zabici. Był wstrząśnięty i dostrzegał ich przygnębienie. Kochają się, pomyślał, nie wiedząc, czy im zazdrościć, czy ich żałować.

Fia, ta mała z czarną grzywą, opowiedziała, co się stało. Wiedząc, że Supaari bardzo lubił Ha'an, powtórzyła część opowieści w języku Runów. Di i Ha'an zostali zabici przez jakieś zwierzę.

– Manuzhai i inni mówili nam, żebyśmy się strzegli *djanady*. Ktoś myśli, że zaatakowała ich *djanada*.

– To nie było zwierzę – oświadczył Supaari. – *Djanada* to Jana'ata, rozumiecie? Ale to Jana'atowie bez honoru. Zabójcą był jakiś VaHaptaa. Rozumiecie to słowo? *Haptaa*? W *Ruanja* to *brai noa*.

Mały, ciemnoskóry tłumacz przemówił po raz pierwszy, najpierw w *Ruanja*, a potem w *h'inglish*.

– *Brai noa*. Bez domu. VaHaptaa znaczy „znikąd”. Może „bez ziemi”.

Sandoz, przypomniał sobie Supaari. Powoli nauczył się imion towarzyszy Ha'an, ale wciąż miał kłopoty z tym tłumaczem. Milo, tak go nazywali Runowie. A Ha'an nazywała go Emilio. A Starszy nazywał go Syn, a inni Sandoz. Tyle imion! Z początku nie mógł się połapać.

– VaHaptaa to przestępcy – wyjaśnił im. – Nie mają miejsca. Żyją daleko *u'jorni*. – Szukał jakiegoś prostego porównania. – Pamiętacie pierwszy dzień, kiedy się spotkaliśmy? Ktoś się gniewał, bo branie mięsa bez pozwolenia jest przestępstwem. Mówi się: *khukurik*.

– Kradzież – powiedział Sandoz po angielsku, unosząc podbródek na znak, że zrozumiął.

– VaHaptaa zabierają bez pozwolenia. *Khukurik* jest niedozwolone. Powinniście zabić tego, jeśli go jeszcze raz zobaczycie. Ktoś podziękuje wam za tę przysługę. A VaKashani też będą wdzięczni. VaHaptaa są dla nich niebezpieczni: *djanada*, rozumiecie?

Teraz rozumieją. Za późno, ale zrozumieli.

Po tych słowach Supaari pożegnał się z nimi, czując, że trzeba zostawić cudzoziemców, by odprawili swoje pogrzebowe obrządki. Sandoz odprowadził go do przystani, uprzejmy jak zwykle, jeśli tylko wiedział, jak wyrazić szacunek. Supaari poznał już cudzoziemców na tyle, by wiedzieć, że jeśli mówili lub zachowywali się obraźliwie, to powodem była zawsze ignorancja, a nie zła wola.

– *Sipaj*, Sandoz. Komuś jest przykro z powodu waszej straty – rzekł, wchodząc do łodzi.

Sandoz patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Te dziwne, brązowe oczy już nie budziły w Supaarim takiego lęku, jak na początku; przyzwyczaił się do tych małych, okrągłych źrenic i wiedział, że Sandoz i jego towarzysze widzą normalnie, a nie dzięki jakimś czarom.

– Jesteś życzliwy – powiedział w końcu Sandoz.

– Ktoś wróci przed końcem Partanu.

– Nasze serca będą z tego rade.

Supaari odbił od brzegu i obrócił łódź, kierując ją do ujścia południowego kanału, w stronę wioski Lanjeri, gdzie miał interes do załatwienia. Zanim łódź okrążyła zakole, odwrócił się i zobaczył, że cudzoziemiec wciąż stoi na nadbrzeżu – mała czarna sylwetka na tle klifu Kashanu.

W ciągu tego długiego wieczoru George nie mógł sobie znaleźć miejsca, siedział, przechadzał się, nagle wybuchał szlochem, by równie niespodziewanie roześmiać się przez łzy, opowiadał Jimmy’emu i Sofii o Anne i o ich małżeństwie, a potem milkł i siedział osowiały. Wejście do domu, w którym Anne już nie było, wydawało mu się prawie niemożliwe, ale w końcu wstał, szykując się do wyjścia. Sofia znowu się rozplakała, całkowicie rozklejona wspomnieniem bólu swojego owdowiałego ojca, poczuciem dotkliwej straty i lękiem o to, że może utracić Jimmy’ego, tak jak George stracił Anne. Wzięła George’a za rękę, przycisnęła ją do swojego brzucha i powiedziała z namiętnym przekonaniem:

– Ty jesteś dziadkiem tego dziecka. Będziesz mieszkał z nami.

Przytuliła go do siebie i trwali tak, póki nie ustał płacz, a wówczas zaprowadziła go do łóżka, które posłał Jimmy. Siedzieli przy nim, aż usnął.

– Już dobrze, nic mi nie jest – szepnęła do Jimmy’ego. – Zobacz, co się dzieje z Emiliem. To było straszne, Jimmy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak straszne.

Jimmy kiwnął głową, pocałował ją i wyszedł, żeby znaleźć księży, których żadne z nich nie widziało od dobrych kilku godzin. Zajrzał do ich pokoju i wywołał Marca gestem ręki.

– D.W. powiedzialby ci, żebyś napisał ten cholerny raport – rzekł bardzo łagodnie, wychodząc z nim na taras. – Ale chyba można z tym poczekać do jutra, jeśli nie czujesz się na siłach.

Na bladej w świetle księżycy twarzy Marca pojawił się niespokojny uśmiech. Zrozumiał, że Jimmy podsunął mu dobre usprawiedliwienie, by wymigać się od ciężkiego obowiązku, jakim było pocieszenie Emilia. Poczul żal, że nie ma żadnego doświadczenia duszpasterskiego. Co powinno się powiedzieć w takim przypadku? Wiedział, że Sandoz był przygotowany na śmierć ojca superiora, ale nie Anne... to cios, który każdego mógłby powalić, stracić jednocześnie ich dwoje, i to w tak straszny sposób. – Dziękuję ci. Teraz napiszę raport. Dobrze jest czymś się zająć.

Marc wrócił do pomieszczenia po swój elektroniczny notes, zawahał się, po czym wziął notes ojca superiora, z zaprogramowanymi kodami transmisji. Yarbrough pokazał mu, jak się nimi posługiwać, wiedząc, że ten dzień wkrótce nadejdzie. Spojrzał na Sandoza, z obawą, że ten praktyczny gest jeszcze bardziej pogorszy sytuację, ale Emilio zdawał się w ogóle nie dostrzegać, że Marc jest w pokoju. Wrócił na taras i szepnął do Jimmy'ego:

– Będę w domu Aychy.

Jeszcze raz spojrzal na Sandoza, znowu odwrócił się do Jimmy'ego i lekko wzruszył ramionami. Jimmy położył dłoń na jego ramieniu i patrząc na siedzącego w mroku Sandoza, powiedział łagodnie:

– W porządku. Ja się nim zajmę.

Wszedł do środka. Przez chwilę poczuł się równie bezsilny jak Marc. Nie miał pojęcia, co może pomóc takiemu człowiekowi, co może go uchronić przed załamaniem. Irlandczycy płaczą, piją, śpiewają i opowiadają o zmarłym, więc reakcja George'a wydawała mu się normalna i przewidywalna. Był to ten rodzaj żalu, który rozumiał. Ale ten... Ty cholerny macho, pomyślał nagle, zdawszy sobie sprawę z tego, że Sandoz prawdopodobnie chce być sam, żeby w końcu wypłakać się bez świadków. Wstał, ale po chwili znowu przysiadł na piętach, żeby zobaczyć twarz Emilia.

– *Quieres companeros o estar solo?* – zapytał łagodnie, żeby się upewnić, czy może go zostawić samego.

– *Soy solo.*

Jimmy już wychodził, kiedy nagle dotarła do niego forma czasownika. Wrócił.

– *Mirame, ,mano.* Spójrz na mnie! – zawołał i ponownie przykucnął przed Sandozem. Położył mu dłonie na ramionach i potrząsnął nim lekko. Spojrzenie Emilia powróciło z daleka i spoczęło na nim. – Nie jesteś sam, Emilio. Sofia ich kochała, ja ich kochałem. Słyszysz? Może nie tak długo, może nie tak głęboko, ale prawdziwie i szczerze. My też ich kochaliśmy. – Dopiero teraz, kiedy to powiedział, ugodziła go realność tych śmierci i nie mógł już powstrzymać łez. Emilio miał oczy zamknięte; odwrócił głowę i nagle Jimmy zrozumiał wszystko.

– Och, Jezu. Nie jesteś sam, Emilio. Kocham cię. Sofia cię kocha. I... słuchaj, stary, nasze dzieci będą potrzebowały wujka. Nie jesteś sam. Masz jeszcze nas, rozumiesz? Och, Jezu... – Objął go i mocno przytulił. – Tak jest lepiej. Dzięki Bogu! Tak jest lepiej...

Doszło do tego szybciej, niż się spodziewał, może nawet trochę za wcześnie, ale w końcu poczuł ulgę. Odczekał chwilę, a potem przetarł oczy rękawem i podniósł Emilia.

– No, chodź. Tej nocy nikt nie będzie spał samotnie. Idziesz ze mną.

– Wyprowadził go z ciemnego pomieszczenia i zawołał głosem nieco ochrypłym od łez:

– Marc, ty też choć do nas! Tej nocy nikt nie będzie spał sam.

Kiedy Jimmy przyprowadził Emilia i Marca, Sofia jeszcze nie spała. Czarne, wielkie oczy błyszczały w jej drobnej twarzy, wargi i powieki miała opuchnięte. Słyszała, jak jej mąż wzywał Marca i domyśliła się dlaczego. Ogarnęła ją fala miłości. Pomyślała: dobrze wybrałam. Nie miała sił, by wstać, więc tylko patrzyła, jak Jimmy układa poduszki, żeby zrobić posłania dla obu księży. Marc był przygnębiony, ale się trzymał. Z Emiliem było gorzej, ale był tak wyczerpany, że zasnął prawie natychmiast, kiedy Jimmy go przykrył.

Potem Jimmy podszedł do niej, wziął ją za rękę i pociągnął, stawiając na nogi. Wyszli razem na taras i usiedli w dwuosobowym fotelu bujanym, zbudowanym przez George'a i Manuzhaiego; Sofia ukryła się pod jego ramieniem, ściskając go za udo. Przez chwilę kołysał fotelem, czerpiąc ulgę i siłę z jej milczącej obecności. Chmurzyło się. Księżycy, jasne jeszcze pół godziny wcześniej, zamieniły się w zamglone dyski. Sofia poczuła ruchy dziecka i przyłożyła rękę Jimmy'ego do swojego brzucha, a potem patrzyła na jego rozpromienioną twarz, na roztapiające się szczęściem oczy z czerwonymi obwódkami, kiedy wsłuchiwał się palcami w taniec wewnątrz niej.

A potem rozmawiali jak stare dobre małżeństwo w obliczu burzy. George jakoś się trzyma, mimo wszystko. Marc znosi to dzielnie. Emilio sprawia wrażenie otępiąłego, ale zdobył się na płacz, a to już zapowiedź wyjścia z kryzysu.

– A ty, Sofio? Wyglądasz na strasznie zmęczoną – powiedział Jimmy, niepokojąc się o nią i o dziecko.

Boże, pomyślał nagle, co my zrobimy bez Anne? A jeśli dziecko będzie ułożone pośladkowo? Błagam Cię, Boże, niech to będzie dziewczynka, mała dziewczynka, podobna do Anne. I do mojej matki. I spraw, Boże, żeby to był łatwy poród. Czy zdążymy wrócić przed czasem, jeśli wyprodukujemy to paliwo? Ale nie podzielił się z nią tymi wszystkimi lękami. Zapytał tylko:

– Chcesz mi o tym powiedzieć teraz czy trochę później?

Przysięgła sobie, że już nic nie będzie przed nim ukrywać.

Ślubowała sobie i jemu: nie będzie sama dźwigać żadnych ciężarów. Więc zaczęła mu opowiadać o tych dwu ostatnich dniach.

– Sandoz? Przepraszam cię, ale... – Patrzyła, jak się otrząsa ze snu; czuła się fatalnie, że musiała go obudzić. – Przepraszam cię – powtórzyła, kiedy usiadł, mrugając powiekami.

Emilio rozejrzał się trochę nieprzytomnie. Potem otworzył szeroko oczy i zapytał z niepokojem:

– D.W.?

Sofia potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

– Nie, chodzi o to, że przed chwilą coś usłyszałam. Może jestem przewrażliwiona, ale Anne i D.W. nie ma już bardzo długo. Myślę, że powinniśmy ich poszukać.

Kiwnął głową, wciąż nie mogąc zebrać myśli: oczywiście, skoro tak mówisz. Rozejrzył się za swoim ubraniem, chwycił porzuconą niedbale koszulę, popatrzył na nią przez chwilę, jakby nie wiedząc, co z nią zrobić. W końcu, widząc, że jest już w pełni rozbudzony, powiedziała:

– Poczekam na zewnątrz.

Kiedy się ubierał, skłęła się w duchu za swoją wstydlivość.

– Po co ja cię obudziłam! – zawołała. – Przecież mogłam pójść sama.

Emilio całymi nocami przesiadywał przy D.W. i widać już było tego skutki; kiedy tylko mógł, kładł się w ciągu dnia, żeby choć trochę się przespać. Poczula się jak karykatura ciężarnej kobiety: byle co doprowadzało ją do łez, przestraszył ją jakiś hałas. Huśtawka emocji w tych pierwszych tygodniach ciąży była naprawdę męcząca.

– Nie. W porządku. Dobrze zrobiłaś.

W chwilę później Sandoz pojawił się na tarasie; wyglądał na zupełnie rozbudzonego. Udało mu się przespać cztery godziny, może pięć.

Najpierw poszli do *hatnpiy* i zobaczyli kubek z resztką zupy. Wyszędłszy na zewnątrz, Sandoz rozejrzył się dookoła.

– Jest spokojnie – wycodził przez zęby, mrużąc oczy jak kowboj ze starego westernu. – Za spokojnie.

Udało mu się ją rozśmieszyć, ale wolałaby zobaczyć wreszcie Anne i D.W.

– Zwykle tam idą na przechadzkę. – Machnął ręką w kierunku południa. – Zostań tutaj. Dam sobie radę sam. – D.W. był już taki chudy, że Emilio chyba by go sam udźwignął. Mogli też spleść dłonie i nieść go razem.

– Nie – odpowiedziała Sofia, praktyczna jak zawsze, mimo tych emocjonalnych załamań. – Mam tu siedzieć i się zamartwiać? Wolę pójść z tobą. – Spojrzał na nią sceptycznie, więc dodała: – W porządku. Czuję się dobrze. Naprawdę.

Znajdowali się wciąż na północ od promu, kiedy zaczęło do nich docierać, że stało się coś złego. Wiatr musiał zmienić kierunek, bo poczuli ten odór, którego nic można było pomylić z czymś innym: zapach krwi. Emilio podszedł do promu, spokojnie uchylił drzwi do luku towarowego, na tyle by wyjąć winczester D.W.

– Właź do środka, zamknij drzwi i nie ruszaj się stamtąd – powiedział do Sofii.

Sprawdził, czy winczester jest załadowany, i ruszył wokół promu, nie oglądając się na nią.

Nie była pewna, dlaczego nie posłuchała tego polecenia. Może za bardzo się bała, a może po prostu postanowiła, że nie cofnie się przed niczym, że musi stawić czoło temu, co ich spotka, więc poszła za nim i wkrótce zobaczyła, tak jak on, tę krwawą jatkę. Nawet z tak dużej odległości pewne rzeczy wydawały się oczywiste. Cokolwiek Sandoz zamierzał zrobić ze strzelbą, teraz i tak było na to za późno. Odwrócił się z poszarzałą twarzą i zobaczył Sofię.

– Zostań tutaj – powiedział, i tym razem posłuchała go, zmrożona wspomnieniem trupa swojej matki.

Patrzyła, jak Emilio podchodzi do ciała, jak strzelba wypada mu z rąk, jak opuszcza i odwraca głowę. Prawie natychmiast spojrział znowu i złapał się za głowę, wchłaniając wszystkie szczegóły. Nagle zrozumiała, że Emilio nie może być w tej chwili sam. Jestem Mendes, powiedziała sobie w duchu i zmusiła się, by podejść bliżej, ale na widok tego, co zobaczyła, potknęła się i całym wysiłkiem woli przezwyciężyła podchodzącą jej do gardła zawartość żołądka. Nimrod, przyszło jej na myśl. Łowca z Księgi Rodzaju, którego zwierzyną był człowiek.

Emilio odwrócił się i zobaczył, jak idzie ku niemu. Zamierzała go odciągnąć albo objąć, ale zanim doszła, powiedział cichym, martwym głosem:

– W promie jest brezent i szpadel.

Patrzył na nią spokojnymi, suchymi oczami, aż w końcu zrozumiała, dlaczego chce, aby odeszła. I natychmiast chętnie to uczyniła. Kiedy wróciła, był umazany krwią, a oba ciała leżały już w normalnej pozycji, z członkami na swoich miejscach. Wytrzeł rękę w koszulę, pozamykał im oczy i przygładził włosy.

Teraz niewiele już widziała, oślepiona łzami, ale milczała, tak jak Emilio. Chciała mu pomóc rozwinąć brezentowe płachty, nie była jednak w stanie poruszyć ramionami, więc sam przykrył ciała: ciało ojca swojej duszy i ciało matki swojego serca. Sofia znowu poczuła mdłości i poszła na skraj klifu, gdzie zwymiotowała poza krawędź skały.

Grunt był kamienisty i twardy, toteż wykopanie grobów zajęło wiele czasu. Emilio kopał je tuż obok; przenoszenie ciał w kawałkach było nie do pomyślenia. Nie był przyzwyczajony do pracy w ogrodzie, bo przez cały czas pochłaniały go studia językowe, więc dłonie miał miękkie. Po jakimś czasie Sofia zdała sobie z tego sprawę i poszła po rękawice, ciesząc się, że może mu pomóc choćby w ten sposób. Później postanowiła pozbierać kamienie i ułożyć je w stos, żeby przykryć groby, gdy nadejdzie czas. Zrobiła to i usiadła, przyglądając się jego pracy, ale po godzinie odeszła, aby przynieść mu wody. Zapadł długi rakhatafiski wieczór, a on kopał, przerywając co jakiś czas i patrząc w dal pustymi oczami, wtedy podawała mu pojemnik z wodą, a on brał go bez słowa i pił. Potem znowu zabierał się do kopania, a cały świat wypełniał się tym jedynym, bezlitosnym dźwiękiem: szczękiem szpadla uderzającego o kamienie i chrzęstem odsypywanego żwiru. Kiedy zrobiło się ciemniej, Sofia przyniosła z promu obozową lampę i została z nim aż do północy, dopóki nie skończył.

Wygramolił się z drugiego grobu i usiadł, ukrywszy głowę w dłoniach. Po jakimś czasie otrząsnął się i wstał. Sofia przeszła już punkt krytyczny, teraz była zdolna do wszystkiego. Razem złożyli szczątki D.W. Yarbrougha i Anne Edwards do grobów, a potem znowu rozległ się chrzęst żwiru i złowrogie podzwanianie szpadla.

Kiedy przykryli groby kamieniami, noc już się skończyła. Stali, patrząc na mogiły, zbyt zmęczeni, by myśleć lub mówić. Sofia pochyliła się i zgasła lampę. Kiedy się wyprostowała, stwierdziła, że patrzy prosto w oczy Emilio Sandoza, i wstrząsnęła nią to, co w nich zobaczyła.

Od jak dawna się znają? Od dziesięciu lat? Przez cały ten czas jeszcze nigdy nie zwróciła się do niego po imieniu... Próbowała znaleźć jakieś słowa, jakiś sposób na przekazanie mu, że zna miarę jego straty, jej ciężar, głębokość i rozległość.

– Emilio – powiedziała w końcu – jestem twoją siostrą. Zostaliśmy sierotami.

Jest zbyt wyczerpany, zbyt wstrząśnięty, żeby płakać, pomyślała. Spojrzała na nią i pokiwał głową, godząc się z tym, co powiedziała; teraz powinna podejść i objąć go. Zrobiła to w końcu, była przecież mężatką oczekującą dziecka jego przyjaciela, a on kapłanem na wieczność, którego powalił ból utraty najbliższych sobie osób. Przywarli do siebie, łącząc się w tym samym nieszczęściu, w tym samym straszliwym osamotnieniu.

Potem chwyciła go za rękę i sprowadziła ze skarpy, zatrzymując się, żeby zabrać czystą odzież. Poszli nad rzekę, gdzie zmyli z siebie krew, brud i pot, przebrali się, a ona powiodła go do swojego domu, tak niesamowicie cichego, jak owego pierwszego dnia, kiedy weszli do tej dziwnej i pięknej wioski. Zrobiła coś do zjedzenia; odmówił, ale ona nalegała.

– To żydowski obyczaj – powiedziała. – Musisz jeść. Życie trwa.

Przełknął pierwszy kęs, a potem pochłonął łapczywie wszystko, co przed nim postawiła.

Wiedziała dobrze, podobnie jak następnego wieczoru wiedział o tym jej mąż, że nikt nie powinien spać sam, nie teraz, nie po tym wszystkim, więc położyła go do swojego łóżka, tam gdzie zwykle kładł się Jimmy. Trochę posprzątała i położyła się obok niego. Właśnie wtedy poczuła po raz pierwszy ruch swojego dziecka. Przez chwilę leżała bez ruchu, zdumiona i całkowicie pochłonięta tym cudownym przeżyciem. Potem wzięła go za rękę i położyła ją na swoim brzuchu. Oboje wstrzymali oddechy i znowu zdarzył się ów cud, ten zdumiewający ruch wewnątrz jej ciała. Chciała, żeby zrozumiał: życie trwa, życie toczy się dalej. Śmierć została zrównoważona.

– Nie chciałam być okrutna – powiedziała następnej nocy Jimmy’emu, zrozpaczona, zaciskając drobne pięści. – Chciałam tylko, żeby znowu poczuł życie.

Emilio usiadł i odwrócił się od niej gwałtownie, w końcu zdruzgotany. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, czym to musiało być dla niego. Błagała o przebaczenie, próbowała mu wyjaśnić. Zrozumiał, ale nie był w stanie nic powiedzieć; to przeżycie było zbyt żywe, zbyt namacalne, a jego osamotnienie dosięgło granic ludzkiej wytrzymałości. Uklękła przed nim i przytuliła tak mocno, jak zdołała, jakby chciała powstrzymać to ciało przed rozpadnięciem się na kawałki. Był straszliwie wyczerpany, ale długo nie mógł opanować łkania. W końcu położył się, odwrócony do niej plecami, zakrywając twarz dłońmi.

– Boże – szeptał cały czas. – Boże.

Położyła się za nim i przywarła do niego kolanami, tuląc to wstrząsane szlochem ciało, aż poczuła, że uspokaja się, a oddech powolnie i odzyskuje normalny rytm. I tak zasnęli: osieroceni i pozbawieni sił, z żalobą jako przyzwoitką.

31

NEAPOL sierpień 2060

Wersja opowieści Sofii, którą ojciec generał i jego podwładni (usłyszeli z ust Emilia, była sucha i krótka, ale dysponowali też raportem Marca Robichaux, opisującym wydarzenia tamtej nocy i dni następnych.

– VaKashani byli dla nas bardzo dobrzy – powiedział im Sandoz. – Kiedy wrócili i zrozumieli, co się stało, nieustannie towarzyszyli każdemu z nas. Myślę, że wynikało to po części z chęci pocieszenia nas, ale i z obawy przed kolejnym atakiem owego VaHapty, który mógł wciąż krążyć po okolicy, szukając nowej łatwej zdobyczy. Oczywiście lękali się o swoje dzieci, ale i o nas, bo uważali, że nie potrafimy sami zadbać o siebie. Przecież sami ściągaliśmy na siebie nieszczęście.

Co kilka godzin nękały go straszliwe bóle głowy, które druzgotały myśli i modlitwy, niweczyły nawet rozpacz. Runowie obawiali się, że emocjonalny wstrząs spowoduje jakąś chorobę fizyczną, ale wiedzieli, że nie mogą na to nic poradzić. Askama kładła się koło niego w ciemności, czuwając, aż nadejdzie kolejny atak bólu, a kiedy się budził, widział jej oczy utkwione w nim, wypatrujące oznak poprawy. Była już wówczas starsza, bardziej dojrzała.

– Milo – powiedziała po angielsku pewnego ranka – czy już nie potrafisz być zadowolony? Boję się, że umrzesz.

Był to punkt zwrotny, ręka podana tonącemu; podziękował Bogu, że był w stanie ją uchwycić. Nie chciał, by się bała.

– Ojciec Robichaux donosił, że w tym czasie pojawiło się sporo dzieci – powiedział John. Kiedy czytał raporty, odniósł wrażenie, że te liczne nowe narodziny mogły w nich wzbudzić coś w rodzaju poczucia odnowy. I rzeczywiście, Robichaux odnotował swoje zdumienie, kiedy odkrył na nowo. „jaką radością może być nowo narodzone dziecko, jak miło jest poczuć wilgotną główkę na swoim ramieniu”. W ostatnim raporcie, sporządzonym około dwu tygodni po śmierci Anne Edwards i D.W. Yarbrougha, napisał, że George Edwards okazywał głębokie wzruszenie, kiedy Runowie kładli mu w ramiona swoje niemowlęta. Napór nowego życia przynosił mu widoczną ulgę. Quinnowie też oczekiwali narodzin swojego dziecka.

Lecz teraz, kiedy John to powiedział, twarz Emilia natychmiast zobojętniała, jak zawsze, gdy się nad czymś głęboko zastanawiał, podejrzewając pułapkę.

– Tak. Było dużo dzieci. – Zesztywniał cały, wpatrując się w Johanna Voelkera. – Prawdziwy dzieciniec.

Voelker, widząc, że te słowa skierowane były wprost do niego, potrząsnął głową.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

– Błąd. To, na co czekasz. Fatalna pomyłka.

Voelker zaczerwienił się i spojrzał na ojca generała, który nie okazywał żadnego zainteresowania tą wymianą zdań, a potem znowu popatrzył na Sandoza.

– Chyba sobie na to zasłużyłem – powiedział. Sandoz milczał wyczekująco. – Zasłużyłem sobie na to – powtórzył Voelker, powstrzymując się od oceny.

– Mieliśmy wszystkie dane, naprawdę – powiedział Emilio. – Wszystkie. Po prostu ich nie zrozumieliśmy. Myślę, że gdyby nawet powiedziano nam to wprost, i tak byśmy nie zrozumieli.

Wśluchiwali się w tykanie wielkiego zegara, obserwując Sandoza, nie mając pewności, czy jest już myślami gdzie indziej, czy dopiero zamierza się od nich oddalić. Sandoz wrócił z miejsca, w którym przebywał, i znowu zaczął mówić.

Najpierw usłyszeli śpiew. Wojowniczy i mocno akcentowany. Strzępy śpiewu, przynieszone przez wiatr. W wiosce wybuchło poruszenie; VaKashani zbiegli się i ruszyli na równinę, aby dostrzec nadchodzący patrol. Dlaczego nie pochowali się w domach? Dlaczego nie uciekli? Mogli gdzieś ukryć dzieci, myślał później. No tak, ale pozostawiliby za sobą ślady, które dostrzegłby każdy, nawet niezbyt wytrawny prześladowca. Nic by to nie dało. Więc utworzyli zwarty krąg – niemowlęta, dzieci, ojcowie w środku – i czekali na równinie na nadejście patrolu.

Później, kiedy przez pewien czas mieszkał w mieście Gayjur, rozumiał lepiej ograniczenia, jakim podlegali wiejscy Runowie, ale wówczas nie mógł pojąć ich zachowania. Po prostu oddali dzieci. Musieli wiedzieć, że nie pozwolą im ich zatrzymać, ale wezbrały w nich soki życia, więc połączyli się w pary, a reszty dokonała sama natura, wspomagana przez niezwykle dopływ żywności, jakim były płody z poletek uprawianych przez cudzoziemców.

– Ich rozmnażanie się było uzależnione od ilości pożywienia – wyjaśnił Sandoz. – Zdałem sobie z tego sprawę później, a Supaari to potwierdził. Jest to zależność równowagi. Normalnie nie odczuwają pociągu płciowego. Prowadzą życie rodzinne, ale nie rozmnażają się, dopóki Jana’atowie im na to nie pozwolą. Poziom tłuszczu w ich organizmach jest zwykle niski. Odbywają dalekie wędrówki do miejsc, w których rośnie dziko ich pożywienie. To wymaga zużycia energii, prawda? Nasze uprawy zniszczyły tę równowagę. – Patrzył po ich twarzach, upewniając się, że zrozumieli. – Trudno się z tym pogodzić, prawda? Ale tak to się przedstawia. Jana’atowie nie trzymają Runów w swoich stoczniach, nie robią z nich niewolników. Tolerują Runów we wnętrzu swojej kultury, bo tak im się podoba, ale w pełni kontrolują ich przyrost naturalny. Kiedy jakaś wspólnota wiejska osiągnie pewien poziom dochodu, dostarcza się jej dodatkową ilość żywności, dodatkowe kalorie, a to powoduje, że osobniki żeńskie mają ruję.

Giuliani przypomniał sobie nagle pewną frazę z raportu.

– Dobór pasywny – powiedział. – Dziwiło mnie to, kiedy o tym czytałem. Doktor Edwards pisała, że kryteria doboru partnerów seksualnych różnią się od tych, które są stosowane przy wyborze małżonków.

– Tak. Subtelna taktyka, prawda? To nie oni wybierają sobie partnerów: pary kojarzą jana’atańscy genetycy. Runowie mogą się żenić z kim chcą, ale rozmnażają się tak, jak chcą Jana’atowie. – Roześmiał się, ale nie zabrzmiało to przyjemnie. – Jak się nad tym zastanowić, to system. W ten sam sposób hodujemy zwierzęta przeznaczone na ubój.

– O mój Boże – szepnął Felipe Reyes z pobladłą twarzą.

– Tak. Teraz już rozumiecie, prawda? – Sandoz spojrział na Voelkera, do którego to jeszcze nie dotarło. A potem Voelker zamknął oczy. – Teraz rozumiecie – powtórzył Sandoz, kiedy to zobaczył. – Standardy miejskie, zwłaszcza dla specjalistów, są bardzo wysokie. Ale nic się nie marnuje. Jeśli rezultat zapłodnienia nie mieści się w tych standardach, jest likwidowany jak najszybciej, zanim ukształtują się więzy uczuciowe. Coś w rodzaju cielęciny, można by powiedzieć. – Johannes Voelker zrobił taką minę, jakby mu się zebrało na wymioty. – Wiejscy Runowie znajdują się, w pewnym sensie, w najszcześniejszym położeniu. Zbierają żywność, włókna i inne produkty roślinne właściwie tak samo, jakby to robili bez interwencji Jana’atów. Rozmnażają się pod ścisłą kontrolą, ale nie poluje się na nich tak, jak w czasach prehistorycznych, chyba że gdzieś znajdzie się jakiś VaHaptaa, kłusownik, dla którego Runowie są nadal przypadkową zwierzyną, jak za dawnych czasów. Powiedział nam to Supaari. Kiedy to było? Jakies dwa dni po śmierci Anne i D.W. Ja sam użyłem tego słowa: kłusownik. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że to słowo implikuje możliwość legalnego wykorzystywania takiego mięsa.

– Emilio, przecież to by niczego nie zmieniało – zauważył John.

Sandoz nagle wstał i zaczął się przechadzać.

– Nie. Niczego by nie zmieniało. Rozumiem, John. Wszędzie płodzono dzieci. W całym Imbrokarze. Nawet gdybym to rozumiał w owym dniu, w którym Supaari nam o tym powiedział, niczego by to nie zmieniło. – Zatrzymał się przed Voelkerem. – Prosił się o pozwolenie. Rozważaliśmy możliwy wpływ na środowisko. Po prostu chcieliśmy mieć swoją żywność, żeby nie być ciężarem dla wioski. – Zrobił przerwę, a potem dodał z rozbrajającą szczerością: – I chcieliśmy mieć do jedzenia coś, do czego przywykliśmy. Nikt nie dostrzegał w tym nic złego. Nawet Supaari. Ale on był istotą mięsożerną! Myślał, że hodujemy rośliny dla ozdoby. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że hodujemy je na pożywienie.

Ojciec generał odchylił się na krześle, aż jego plecy natrafiły na oparcie.

– Powiedz nam, co się stało.

Emilio, wciąż stojąc nieruchomo, wpatrywał się w niego przez długą chwilę, głęboko poruszony. A potem im powiedział.

Jana'atański oficer najwyraźniej wiedział już o nielegalnych narodzinach i rozkazał Runom, by wynieśli dzieci na zewnątrz kręgu. Uczyniono to w całkowitej ciszy, tylko kilkoro starszych dzieci, takich jak Askama, zaczęło płakać. Ludzie byli ukryci w samym środku kręgu. Może by ich nie dostrzeżono, myślał Sandoz, gdyby Sofia nie wyszła razem z dziećmi. Może tak, może nie. Może i tak zdradziły ich odmienny zapach.

– Nie mieliśmy pojęcia, co ma się wydarzyć. Wyszliśmy na równinę, bo każdy tam siedł. Tylko Marc widział już uprzednio Jana’atów, oczywiście poza Supaarim, i ten patrol bardzo go niepokoił. VaKashani powiedzieli nam, żebyśmy stali w środku i nic nie mówili, a Marc uznał, że to rozsądna rada. Ale bardzo się niepokoił. Powiedział mi, że widział coś podobnego w mieście, ale nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Manuzhai uciszył nas, więc nigdy się nie dowiedziałem, co miał na myśli. Widziałem tylko, że Marc jest przerażony, ale Runowie wydawali się zachowywać spokój. A potem patrol zaczął zabijać dzieci.

Emilio usiadł i zakrył sobie twarz rękami. Brat Edward poszedł do łazienki po prograinę, ale kiedy wrócił, Sandoz już znowu mówił, ignorując pigułki, które Behr położył przy nim na stole.

– Jest takie hebrajskie wyrażenie: *eszet chail*. Mężna kobieta. Sofia pierwsza zdała sobie sprawę z tego, co się naprawdę dzieje.

– I postanowiła stawić opór – powiedział Giuliani, który zaczął wreszcie rozumieć, w jaki sposób doszło do aktu przemocy wobec członków misji.

– Tak. Ona pierwsza to powiedziała, ale VaKashani podchwycili i wkrótce zaczęli wyśpiewywać: „Jest nas wielu, ich jest kilku”. Powiedziała to i wyszła z kręgu. – Widział ją często w nocy, w snach: podniesiona głowa, krok księżniczki. – Podniosła z ziemi jedno niemowlę. Sądzę, że Jana’atański oficer był tak zdumiony jej widokiem, że po prostu nie mógł się poruszyć. Ale po chwili cała wioska runęła naprzód, by porwać swoje dzieci, a kiedy ruszyli Runowie, patrol zareagował bardzo szybko. – Usiadł, oddychając ciężko, wpatrując się w stół szeroko otwartymi oczami. – To była krwawa jatka – powiedział w końcu.

Voelker wychylił się do przodu.

– Może chciałbyś teraz przerwać?

– Nie. Nie. Muszę skończyć. – Emilio podniósł głowę i spojrzał na fiolkę z prograiną, ale jej nie dotknął. – Wydaje mi się, że przez pewien czas patrol działał poza wszelką kontrolą. Szok wywołany naszą obecnością połączył się ze wściekłością na widok biegnących ku nim Runów. No i przeraziły ich słowa Sofii. Musicie zrozumieć, że Jana’atowie ściśle ograniczają również i swoją liczebność, do poziomu, który można wyżywić, dysponując takim systemem hodowli mięsa. Struktura zaludnienia przypomina do złudzenia proporcje między drapieżnikami a ich zwierzyną na Ziemi: około czterech procent zwierzyny łownej. Wyjaśnił mi to Supaari. Kiedy Runowie zaczęli zawodzić: „Nas jest wielu, ich jest kilku”, Jana’atowie musieli przeżyć prawdziwy koszmar.

– Nie mogę uwierzyć własnym uszom! – zawołał Felipe. – Ty ich bronisz!

Wszyscy zaczęli mówić, spierając się o syndrom sztokholmski. Emilio, słuchając ich, złapał się za głowę. Nagle powoli opuścił dłonie na stół, uważając, by nie uszkodzić protez, i powiedział spokojnie, ale dobitnie:

– Jeśli nie przestaniecie wrzeszczeć, będę musiał odejść.

Zrobiło się cicho, a Emilio ostrożnie nabrał powietrza w płuca.

– Nie bronię ich. Próbuję wam wyjaśnić, co się wydarzyło i dlaczego. Ale to jest ich społeczeństwo i to oni płacą własną cenę za sposób, w jaki żyją. – Spojrzał twardo na Reyesa i zapytał: – Jakie jest teraz zaludnienie Ziemi, Felipe? Czternaście, piętnaście miliardów?

– Prawie szesnaście – odpowiedział spokojnie Felipe.

– Na Rakhacie nie ma żebraków. Nie ma bezrobocia. Nie ma przeludnienia. Nie ma głodu. Nie ma niszczenia środowiska. Nie ma chorób genetycznych. Starszym nie grozi degradacja. Śmiertelnie chorzy nie wegetują. Płacą straszną cenę za taki system, ale my też płacimy swoją, Felipe, a monetą, jaką płacimy, jest cierpienie dzieci. Ile dzieci umarło z głodu tego popołudnia, kiedy tu siedzimy? To, że ich ciała nie zostały zjedzone, nie czyni naszego gatunku bardziej moralnym!

Giuliani pozwolił mu się wykrzyzczyć, a potem powtórzył spokojnie:

– Powiedz nam, co się stało.

Emilio popatrzył na niego, jakby nie rozumiał, o co chodzi, a potem zdał sobie sprawę, że zбочzył z tematu.

– Myślę, że początkowo patrol zamierzał pozabijać tylko niemowlęta. Supaari powiedział mi później, że dopiero gdyby mieszkańcy wioski rozmnożyli się bez pozwolenia po raz drugi, matki oskarżono by o przestępstwo, za które grozi śmierć. Ale patrol zareagował tak gwałtownie, bo Runowie stawili opór. Jana’atowie chcieli po prostu zdusić bunt.

– Ilu zabito? – zapytał Giuliani bezbarwnym głosem.

– Nie wiem. Może jedną trzecią. Może więcej. – Popatrzył w przestrzeń. – I Sofię. I Jimmy’ego. I George’a. – Poddał się i sięgnął po programę. Prawdopodobnie za późno, bo nie odczuł ulgi. Obserwowali go, jak połknął dwie tabletki i popił szklanką wody.

– A gdzie ty byłeś? – zapytał Giuliani.

– W środku tłumu. Askama była przerażona. Kiedy zaczęło się mordowanie, Manuzhai i ja próbowaliśmy ją osłonić własnymi ciałami. Chaypas zginęła, broniąc nas.

– A ojciec Robichaux?

– Uciekł. – Sandoz spojrział na Reyesa i dodał łagodnie: – Jego też nie bronię, ale i tak nie mógł nic zrobić. Biorąc pod uwagę wzrost Jana’atów, my byliśmy jak dzieci. Zrobiło się straszne zamieszanie. To nie była walka. Nie było miejsca na rycerskość. Padał każdy, kto znalazł się w ich zasięgu. – Prawie ich błagał, by zrozumieli. – Zupełnie nie byliśmy na to przygotowani! Supaari był całkiem inny! Spróbujcie to sobie wyobrazić!

– Jana’atańskie wojsko to zbrojne ramię rozumnego gatunku drapieżców – powiedział spokojnie Voelker. – Bronili swojej cywilizacji. To musiało być straszne.

– Tak. Muszę prosić o zgaszenie światła.

Voelker wstał, by tego dopilnować. Potem rozległ się znowu głos ojca generała.

– Powiedz nam.

– Zostałem natychmiast uwięziony. – Słyszał głos Askamy, słyszał, jak wykrzykuje jego imię. – Marca złapali bez trudności. Zabrali nas ze sobą. Od wioski do wioski. Chyba nie wiedzieli, że to my jesteśmy odpowiedzialni za te uprawy. Nie wiedzieli, co z nami zrobić. Mieli swoje rozkazy, jakieś zadania i po prostu zabrali nas ze sobą. Myślę, że z początku zamierzali nas zaprowadzić do miasta, do stolicy. W każdej wiosce palili uprawy i dokonywali rzezi niewinnych. Muszę to skończyć. – Umilkł, koncentrując się na uspokojeniu oddechu. – Marc... Już wiecie, że uprawy to dzieło Marca, tak? Być świadkiem tej rzezi... – Znowu kilka minut milczenia. – Jana’atowie jedli tylko raz na dzień. Dawali nam coś do zjedzenia rano, a potem zmuszali do marszu przez wiele godzin. Marc odmawiał jedzenia. Próbowałem go przekonać, żeby coś zjadł, ale on tylko powiedział coś po francusku. Kilka słów.

Opuścił ręce i starał się na nich spojrzeć.

– W wielu językach nie potrafię, niestety, czytać. Nauczyłem się mówić po arabsku, po amharsku, w języku *K’san*. Mówić, ale nie czytać. Francuski to jedyny język, w którym czytam, ale którym nie mówię. A akurat francuski bardzo się różni w wymowie od formy pisanej. – Światła było wciąż za dużo. Ponownie zamknął oczy. – Kiedy próbowałem namówić Marca do jedzenia, powiedział: *Ill son, less and sawn*. Coś takiego. Powinienem to zrozumieć, ale...

– *Ils sont les innocents*. – To był głos Giulianiego. – Trudno pomyśleć o czymś, co jest nie do pomyślenia. Częstowali was mięsem niemowląt.

Emilio dygotał.

– Tak. Później sam zobaczyłem, co... Nic się nie zmarnowało. Ed...

Udało mu się jakoś wytrzymać do chwili, gdy brat Edward doprowadził go do łazienki. Kiedy młodości minęły, Ed zrobił mu zastrzyk z prograiny. Nie miał pojęcia, kto zaprowadził go do pokoju, ale zanim usnął, powiedział:

– Czasem mi się to śni.

Kiedy się obudził, siedział przy nim Johannes Voelker, palcami przesuając paciorki różańca.

– Przepraszam cię – powiedział Voelker.

Dopiero po dwóch dniach Sandoz był w stanie kontynuować swą opowieść.

– Zgodnie z tym, co nam powiedziałaś, sądziłeś, że patrol prowadzi cię do stolicy – zaczął Giuliani. – Rozumiem, że nigdy nie dotarłeś do...

– zajrzał do swoich notatek – do Inbrokaru.

Nie. Supaari powiedział mi później, że przybył do Kashanu dwa dni po masakrze. Załatwiał jakieś sprawy, a potem ruszył za nami. Chyba się domyślił, jaką drogą posuwał się patrol. Myślę, że byliśmy w drodze ze dwa tygodnie, zanim nas wreszcie dogonił. Trudno mi powiedzieć, bo miałem straszny zamęt w głowie. Chyba nie funkcjonowaliśmy normalnie. Próbowałem namówić Marca do jedzenia. Ja... Nie był w stanie się zmusić. Po kilku próbach poddałem się.

– Ale sam jadłeś to mięso – odezwał się John. – Kiedy już wiedziałeś.

– Tak. – Emilio zamilkł, zastanawiając się, jak im to wytłumaczyć. – Kiedyś w armii brytyjskiej można było ukarać żołnierza chłostą. Do ośmiuset uderzeń. Czytaliście o tym? Byli tacy, którzy to przeżyli i opowiadali, że po jakimś czasie przestaje się odczuwać ból. Czuli tylko uderzenia, nie ból. Jakby coś bębniło po skórze. Ze mną było podobnie. Rozumiecie to? Rozumiecie, co to znaczy patrzeć wciąż na mordowanie dzieci, jeść ich mięso? Po jakimś czasie czułem tylko mrowienie, bębnienie po skórze. – Wzruszył ramionami. Bardzo się starali, ale wiedział, że nigdy tego nie zrozumieją, że to przerasta ich wyobraźnię. – W każdym razie Supaari dogonił patrol. Kiedy nas odnalazł, Marc był już bardzo osłabiony. Myślę, że dowódca wkrótce by go zabił. Tracili przez niego tempo.

Pojawienie się Supaariego nie wzbudziło w nich żadnych uczuć. Po prostu siedzieli na ziemi, zbyt zmęczeni, by myśleć, mieć jakies nadzieje, modlić się. Sandoz też był wyczerpany, choć jadł to mięso. Wiedział, że już dłużej nie zdoła podtrzymać Marca, że w końcu sam upadnie.

– Myślę, że Supaari przekupił dowódcę. Była jakaś długa dyskusja. W języku, którego nie znałem.

– Więc Supaari zabrał was z powrotem do Kashanu? – zapytał John, kiedy milczenie trwało już zbyt długo.

Sandoz podniósł się.

– Nie. Nie wiem, czy bylibyśmy tam mile widziani. Zabrał nas do Gayjuru. Do swojej posiadłości. Już nigdy nie zobaczyłem Kashanu.

– Jeśli wierzyć raportowi ojca Robichaux – powiedział ojciec generał – w tym okresie byliście stosunkowo bezpieczni, jeśli tylko pozostawaliście w ukryciu. A może się mylę?

– Sądzę, że początkowo Supaari chciał, żebyśmy byli tam bezpieczni, choć jego motywy nie do końca są jasne. Może czuł się w jakiś sposób zobowiązany. Wierzę, że naprawdę polubił Anne. No i uczyniliśmy go bardzo bogatym. Jak na Jana’atę, był dość wrażliwy. Sądzę, że potrafił sobie wyobrazić, jak to jest być osamotnionym, pozbawionym pomocy.

Vincenzo Giuliani znieruchomiał, ale Sandoz tego nie zauważył. Zasłużyłem sobie na to, pomyślał Giuliani, bezwiednie powtarzając słowa Voelkera.

– W każdym razie – mówił Sandoz – postanowił nas wykupić, zabrać do swojego domu i zaopiekować się nami. To było oczywiste. Uczynił z nas swoich domowników.

– To wtedy pokazał ci ten bluszcz, *sta’akal* – zapytał John.

– Tak.

Choć raz nie musiał im tego wyjaśniać. Siedział obojętnie, pozwalając myślom błądzić, kiedy John Candotti opowiadał reszcie o *hasta’akali*. O tym, co robiono z rękami, żeby wyglądały jak gałązki bluszczu, który pnie się po silniejszych roślinach. Żeby symbolizowały podległość. John nagle zrozumiał, dlaczego Marc umarł.

– A jeśli Marc miał szkorbut? – zapytał wtedy Sandoza. – Czy jadłeś coś, czego nie jadł Marc?

Ale to nie szkorbut zabił Marca Robichaux, tylko głód i anemia. I chyba rozpacz.

Później zdał sobie sprawę z tego, że gdzieś w połowie fazy niszczenia jego prawej ręki doznał klinicznego wstrząsu. Przez następne kilka dni odzyskiwał co jakiś czas przytomność, obłany zimnym potem i udręczony straszliwym pragnieniem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czuł. Wydawało mu się, że nie jest w stanie zaczerpnąć wystarczającej ilości powietrza, a kiedy znowu pogrążał się we śnie, męczyły go koszmary, w których dusił się i tonął. Czasami, śniąc, sięgał po coś, próbował wzbic się w powietrze, a wówczas jego ręce drgały spazmatycznie jak łapy psa, któremu śni się, że biegnie. Budził się z jękiem, kiedy owe bezwolne ruchy krzeszały igły fosforyzującego bólu, które mknęły wzdłuż podłużnych nerwów jego ramion.

Utracił tyle krwi, że przez jakiś czas nie miał siły, by spojrzeć, co zrobiono z jego rękami. Czuł, że są obrzmiałe, napuchłe, rozdygotane, ale nie był w stanie unieść głowy, aby je obejrzeć. W regularnych odstępach czasu ktoś przychodził i oglądał jego palce, rozciągając je na płask. Nie wiedział, czemu to służy. Wiedział tylko, że to rozciąganie palców jest straszliwą męczarnią, i łkając z bólu, błagał, aby przestano to robić. Błagał po hiszpańsku, więc nikt go nie rozumiał, ale nie miało to większego znaczenia, bo i tak by go nie usłuchano, choćby przemawiał najczystszy *K'sanem*. Uważano po prostu, że trzeba zapobiec, by mięśnie ściągające nie zepsuły linii palców, opadających teraz prosto z nadgarstka. Więc pozwalano mu jęczeć.

Stopniowo, kiedy jego organizm powoli odnawiał utraconą krew, odzyskiwał zdolność poruszania się, ale nie mógł z niej korzystać. Tworzyły się strupy, a nieznośne swędzenie, zwiastujące ozdrowienie, doprowadzało go do szału. Przywiązano go do łóżka, bo próbował rozerwać bandażę zębami, ale i tak szarpał się i miotał, usiłując dosięgnąć obandażowanych dłoni. Prawdopodobnie te wysiłki zapobiegły tworzeniu się skrzepów w żyłach nóg, co mogło łatwo doprowadzić do ataku serca. No i, niech mu to Bóg wybaczy, jadł już mięso podczas długiego marszu z Kashanu, więc i teraz nie bronił się przed *hasta'akalą*. Dzięki temu ocalił życie.

Pierwszym zdaniem, jakie wypowiedział w *Ruanja*, było pytanie o Marca.

– Ten nie jest silny – padła odpowiedź, ale był zbyt wyczerpany zadaniem pytania, by ją usłyszeć, i natychmiast zasnął.

Kiedy się obudził, stwierdził, że jest całkowicie przytomny i leży, nie związany, w pokoju pełnym słońca. Z wielkim wysiłkiem usiadł i po raz pierwszy spojrzął na swoje ręce, ale był zbyt osłabiony, by pomyśleć, po co mu to zrobiono.

Wciąż siedział, przygarbiony, ze zwieszoną głową, blady, wpatrzony w pustkę, kiedy weszła ruńska służąca.

– Czyjeś serce będzie chore, jeśli on nie zobaczy Marca – powiedział tak stanowczo, jak zdołał.

Podobnie jak to się robi z małymi bliźniętami, żeby się nawzajem nie budziły, dwaj cudzoziemcy zostali umieszczeni w oddzielnych pokojach. Jęki, jakie wydawał mniejszy z nich, dowodziły, że jego siły życiowe są większe, więc Runowie uznali, że przeżyje. Nadzieje na ozdrowienie tego drugiego, spokojnego, były mniejsze, ale nie rezygnowali i położyli go osobno, żeby miał spokój.

– Ten śpi – powiedziała Awijan Sandozowi. – Ktoś zaprowadzi cię do niego, kiedy się obudzi.

Dwa dni później znowu siedział w łóżku, czekając na nią, postanowiwszy pójść do Marca bez względu na wszystko.

– Czyjeś serce przestanie bić, jeśli nie zobaczy Marca – powiedział stanowczo i wstał, ruszając w kierunku drzwi na nogach jakby pozbawionych kości. Runao zdążyła go podtrzymać, gdy już upadał, i mrużąc coś do siebie, zaniósła go przez dziedziniec do pokoju, w którym spał Marc.

Pokój był pełen zapachu krwi, a ciało Marca miało barwę deszczu. Emilio usiadł na skraju gniazda do spania, złożony swoje udreżone dłonie na podołku, i wymówił imię Robichaux. Ten otworzył oczy, w których pojawił się błysk rozpoznania.

Emilio nie miał pojęcia, o czym Marc mówił w ciągu ostatnich godzin swojego życia. Zapytał go po łacinie, czy chce się wypowiedzieć. Marc długo szeptał coś po francusku. Kiedy umilkł, Emilio wypowiedział formułę rozgrzeszenia. Potem Marc usnął i Emilio zrobił to samo siedząc na podłodze przy posłaniu, wsparłszy głowę tuż przy prawej ręce Marca, wciąż broczącej krwią. W pewnej chwili poczuł, jak ktoś gładzi go po włosach i usłyszał słowa: *Deus vult*. A może to był sen.

Rano, kiedy poczuł na powiekach promienie słońca, obudził się zdętwiały i rozbity. Wstał, opuścił pokój i próbował znaleźć tę Runao, żeby sprowadziła uzdrowiciela lub sama zatamowała krew sączącą się z dłoni Marca. Awijan tylko spojrzała na niego, jakby nie rozumiała. Później zastanawiał się, czy użył języka Runów. Może znowu mówił po hiszpańsku. Nigdy nie był tego pewien.

Marc Robichaux umarł dwie godziny później, nie odzyskawszy świadomości.

– Ojciec Robichaux był w bardzo złym stanie fizycznym, kiedy to zrobiono – mówił John – i jego organizm nie wytrzymał.

Emilio podniósł głowę i zobaczył, że wszyscy patrzą na jego dłonie. Opuścił je na kolana.

– To musiało być bardzo ciężkie przeżycie – powiedział ojciec generał.

– Tak.

– A potem zostałeś sam.

– Och, nie – odpowiedział cicho Emilio. – Nie. Wierzyłem, że Bóg jest ze mną.

Powiedział to tak stanowczo, że nie bardzo było wiadomo, czy mówi poważnie, czy kpi. Usiadł i spojrzał Giulianiemu prosto w oczy.

– Wierzysz w to? Bóg był ze mną?

Popatrzył po kolei na każdego z nich: na Johna Candottiego, Felipe Reyesa, Johannesa Voelkera, Edwarda Behra, a potem znowu na Giulianiego, ale ten nie był w stanie przemówić.

Wtedy wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Nagle znieruchomiał, jakby go uderzyła jakaś myśl.

– To nie komedia. Ani tragedia. – Zaśmiał się, ale był to złowieszczy śmiech. – Może farsa? – dodał.

I wyszedł.

32

NEAPOL

sierpień 2060

– Wydaje mi się, że sprawiłem Supaariemu zawód – powiedział im następnego dnia. – Z Anne współpracowało mu się wspaniale, oboje cieszyli się sobą. Gdzie mnie do niej!

– Byłeś pogrążony w rozpacz, przerażony, ledwo żywy – powiedział stanowczo Voelker. John pokiwał głową, choć raz godząc się z jego zdaniem.

– Tak! Nie byłem najlepszym towarzyszem przy stole. – Tego popołudnia w jego głosie pobrzmiwał jakiś dziwny, niemal beztroski ton, który w widoczny sposób budził niezadowolenie Giulianiego, ale Sandoz nie zwracał na to uwagi. – Nie jestem pewny, czy Supaari do końca przemyślał swój pomysł, by formalnie uznać mnie za osobę zależną. Mógł to być jakiś spontaniczny gest międzyplanetarnej dobrej woli. A może w duchu pragnął, żeby Jana’atowie w końcu dostali mnie w swoje ręce. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie sprawiał wrażenie, że interesują go przede wszystkim handlowe aspekty sytuacji, a ja nie bardzo się nadawałem na jego ekonomicznego doradcę. Zapytał, czy według mnie z Ziemi mogą przybyć jakieś inne delegacje. Powiedziałem mu, że przekazaliśmy przez radio wiadomości o naszym położeniu i że przybycie innych Ziemian jest możliwe. Nie ma jednak sposobu, żeby się dowiedzieć, kiedy to nastąpi. Poprosił mnie, żebym nauczył go angielskiego, skoro to nasz wspólny język. Opanował już początki z Anne.

– A więc pracowałeś jako lingwista – powiedział Giuliani lekkim tonem. – Przynajmniej przez jakiś czas.

– Tak. Myślę, że Supaari chciał jakoś wykorzystać moją obecność. O odbyliśmy wiele rozmów, kiedy już wydobrzałem na tyle, by się zorientować, jakim językiem mam się posługiwać. Dla niego to były świetne ćwiczenia w angielskim, a mnie wiele wyjaśnił. Powinniście być mu wdzięczni. To głównie dzięki niemu zrozumiałem, co właściwie się wydarzyło. Bardzo mi w tym pomógł.

– Jak długo to trwało? – zapytał Giuliani.

– Trudno mi powiedzieć. Może sześć, może osiem miesięcy. Przez ten czas nauczyłem się języka *K'san*. To niesamowity język. Najtrudniejszy z tych, jakie kiedykolwiek poznałem. To miał być chyba dowcip – dodał ni stąd, ni zowąd.

Wstał i zaczął krążyć wokół stołu, podenerwowany i roztargniony.

– Czy słyszałeś coś o aktach przemocy, o jakich donosili Wu i Isley? – zapytał Giuliani, obserwując jego chaotyczne przemieszczanie się po pokoju.

– Nie. Byłem całkowicie odizolowany. Mogę sobie jednak wyobrazić, że Runowie, ze swoją charakterystyczną zdolnością twórczą, zaczęli rozwijać podsuniętą im przez Sofię myśl, że ich jest wielu, a Jana'atów mało.

– Wu i Isley pytali o ciebie, gdy tylko Askama zaprowadziła ich do posiadłości Supaariego – powiedział Giuliani i zamilkł na chwilę, widząc, że Sandoz wzdrygnął się na te słowa. – Supaari powiedział im, że stworzył ci inne warunki. Jak on to powiedział? Aha. Już wiem: „bardziej stosowne dla jego natury”. Czy możesz nam powiedzieć, dlaczego zostałeś przeniesiony z jego domu?

Roześmiał się drwiąco.

– Wiecie, co kiedyś powiedziałem Anne Edwards? Że Bóg jest w „dlaczego”.

Teraz już nie patrzył na żadnego z nich. Stał odwrócony do nich plecami i patrzył przez okno, rozgarnąwszy firanki, przytrzymując je delikatnie, by protezy nie uszkodziły wiotkiej tkaniny. W końcu powiedział:

– Nie. Nie wiem, o co mu chodziło. Ale myślę, że czuł się usprawiedliwiony. Wierzył, że postąpił słusznie.

– Że postąpił słusznie – powtórzył spokojnie Giuliani. – A ty nie uczyniłeś niczego, co mogło to spowodować?

– Och, Chryste! – Sandoz obrócił się, by spojrzeć mu w twarz. – Nawet teraz? Po tym wszystkim?

Podszedł do swojego miejsca przy stole i usiadł, trzęsąc się z oburzenia. Kiedy znowu przemówił, jego głos był bardzo spokojny, ale widać było, że powstrzymuje się, by nie wybuchnąć. Uwięzione w klamrach dłonie złożył sztywno na podolku, wzrok utkwiał w stół.

– Moja pozycja w domu Supaariego VaGajura była pozycją zależnego kaleki. Supaari nie należał do osób kapryśnych, ale sądzę, że musiałem mu się znudzić. A może po prostu uznał, że spełniłem już swoją rolę, kiedy nauczyłem go angielskiego, i że nadszedł czas, bym zajął inną pozycję, jeśli tak można powiedzieć. – Teraz spojrzał wprost na Giulianiego. – O moje preferencje co do miejsca pobytu i co do zajęcia nikt mnie nigdy nie pytał. Czego jeszcze ode mnie oczekujecie?

Spał, kiedy po niego przyszli, tuż po świcie. Z początku, wciąż uwięziony w pajęczynie snu, nie był pewien, czy te ręce są prawdziwe, czy są częścią snu, a kiedy oprzytomniał, ich uścisk okazał się nierozzerwalny. Później, kiedy zapytywał sam siebie, czy istniała jakaś możliwość ucieczki, wiedział, że to głupie pytanie. Dokąd miałby uciec? Gdzie mógłby znaleźć schronienie? Równie bezsensowne: walka, żądanie wyjaśnień. Pierwsze uderzenie pozbawiło go powietrza z płuc, drugie prawie odebrało mu przytomność. Działali sprawnie, nie marnowali czasu na dalsze ciosy. Po części wleczony, po części niesiony, starał się zapamiętać ulice i miał wrażenie, że droga wiodła pod górę. Kiedy dotarli do Pałacu Galatna, odzyskał zdolność jasnego myślenia, a oddychanie nie sprawiało mu już bólu.

Trzymając mocno za ramiona, poprowadzili go obok fontann, które widział z domu Supaariego, a potem przez boczne wejście do pałacu, korytarzami wyłożonymi jaskrawymi płytkami, o marmurowych i jaspisowych posadzkach, pod łukowymi, żebrowanymi sklepieniami. Wszystko tu było połączane, ściany pokryte ukośnym treliżem ze srebrnego drutu; w każdym spojeniu tkwił jakiś drogocenny kamień, szmaragd, rubin, ametyst lub diament. Zobaczył wielką salę o proporcjach katedry, a w niej szeroki baldachim z żółtej jedwabistej tkaniny, z turkusowymi, karminowymi i jasnozielonymi haftami, ze złotymi frędzlami, pod którym leżały stopy zdobionych poduszek, bladozłoty, czerwonych i niebieskich, pokrytych siatką misternych plecionek i oblamowanych klejnotami.

Sala za salą: nie było tam nic prostego, co nie mogło być zakrzywione, nic gładkiego, co nie mogło być pokryte jakimś wzorem, nic białego, co nie mogło jaśnieć przepychem. Nawet powietrze było zdobione! Wszędzie czuł silne wonie: setki zapachów, których nie potrafił nazwać ani rozpoznać. Było to, przemknęło mu przez głowę, najbardziej widowiskowe z wulgarnych miejsc, w jakich kiedykolwiek przebywał. Wyglądem i zapachem przypominało tani dom publiczny; tyle tylko, że tu klejnoty były prawdziwe, a każda drachma tych perfum kosztowała pewnie tyle, ile wynosił roczny dochód jakiejś wiejskiej wspólnoty.

Do każdej nowej osoby, którą mijali, zwracał się w języku Runów i w języku *K'san*, ale nikt mu nie odpowiadał, więc z początku myślał, że wszyscy słudzy są niemowami. Od czasu do czasu otrzymywał krótkie rozkazy w jakiejś odmianie *K'san*, która była mu równie obca, jak górnoniemiecki komuś, kto mówi dolnoniemieckim. Siądź tutaj. Czekaj. Starał się wypełnić dokładnie ich polecenia; bili go kiedy zrobił coś nie tak, jak chcieli. To on stał się niemową.

Wciążu dni, które nastąpiły, doświadczył dziwnej mieszaniny wolności i przymusu. W delikatnych, ale bynajmniej nie symbolicznych klatkach trzymano również innych. Mogli się przemieszczać z klatki do klatki, ale nie w obrębie właściwego pałacu. Rodzaj zoo, myślał, usiłując coś z tego zrozumieć. Jestem w czymś w rodzaju prywatnego ogrodu zoologicznego.

Ci inni stanowili dziwaczną, ale malowniczą grupę, złożoną głównie z Runów, ale było też w niej trochę Jana'atów i kilka istot, których gatunku nic był pewien. Runowie pomagali mu, kiedy tego potrzebował ze względu na swoje ręce. Byli niezwykle czuli i przyjacielscy i starali się jak mogli, by poczuł się częścią owej dziwnej społeczności mieszkającej wewnątrz zdobnych i kosztownych murów Pałacu Galatna. Na swój sposób byli mili, ale wyglądali prawie głupio, jakby wyhodowano ich właśnie dla samego wyglądu: futra o niezwyklej barwach, nakrapiane lub łaciate, a jeden był nawet w pasy, jak zebra. Większość miała kształtne, przerasowane twarze, paru miało grzywy, a kilku pozbawiono ogonów. Żaden nie mówił dialektem, którego używano w Kashanie.

Zniewoleni Jana'atowie trzymani byli za oddzielnym ogrodzeniem i nie zwracali na niego uwagi, choć wszystko wskazywało na to, że ich status wewnątrz zoo był taki sam, jak reszty „okazów”. Nosili ciężkie suknie i nakrycia głowy, które przysłaniały im twarze, mniejsze od twarzy Supaariego. Później odkrył, że wszyscy są rodzaju żeńskiego, a jeszcze później doszedł do wniosku, że to ich miał na myśli Supaari, mówiąc o wysterylizowanych partnerach seksualnych. Próbował do nich wołać w języku *K'san*, pytając o miejsce, w którym razem się znaleźli, ale nie uzyskał odpowiedzi. Nigdy, w żadnym języku nie udało mu się nawiązać z nimi kontaktu.

W czasie pobytu w domu Supaariego karmiono go dobrze, ale nieregularnie, jak ulubione zwierzątko małego dziecka, które kiedyś chciało mieć zabawkę, a później przestało się nią interesować. Tutaj jedzenia dostarczano im *ad libitum*, zapewne dlatego, że większość mieszkańców zoo stanowili Runowie, którzy wymagali regularnego odżywiania. Teoretycznie warunki były lepsze, tyle że nie miał apetytu. Runowie zawsze okazywali wzruszające zadowolenie, kiedy przyjmował od nich jedzenie. Jadł więc, ale tylko po to, by sprawić im przyjemność.

Po jakimś czasie uznał, że jest tu całkowicie bezużyteczny, prawdopodobnie trzymany jako kuriozum, równie unikatowe i dziwaczne, jak owe krzykliwe świecidełka wypełniające alkozy i zalegające półki Galatny, które widział tamtego pierwszego dnia. A potem założono mu wysadzaną klejnotami obrozę i jego poníženie sięgnęło dna. Stał się czymś w rodzaju małpki trzymanej na złotym łańcuchu przez jakiegoś szesnastowiecznego europejskiego arystokratę.

W Supaarim, choć tak chłodnym i wprawiającym w zakłopotanie, znajdował przynajmniej partnera intelektualnego. Teraz starał się uniknąć przewidywalnych skutków całkowitego osamotnienia, nauczyć się żyć z owym poczuciem pustki i nierealności. Dokonywał w myślach skomplikowanych obliczeń, śpiewał piosenki i próbował się modlić, ale przestał, kiedy stwierdził, że miesza najróżniejsze języki. Tracił pewność, czy jakieś słowo należy do hiszpańskiego czy do *Ruanja*, a to budziło w nim największe przerażenie. Najgorszą chwilę przeżył, kiedy zdał sobie sprawę, że nie pamięta już imion swoich sąsiadów z Puerto Rico. Tracę rozum, pomyślał, gubię słowa, za każdym razem jedno.

Żył w stanie nieustannego lęku, ale zmuszał się do zachowania jakiegoś rytmu dnia, do gimnastyki. Budziło to zdumienie w Runach, ale się nie przejmował i ćwiczył. Były tam pachnące łaźnie, równie wymyślne i kiczowate jak reszta pałacu. Uznał, że w wodzie jest najmniej tych odrażających zapachów i starał się zachować swoje ciało w czystości.

– Powiedz nam – usłyszał głos ojca generała.

– Myślałem, że sprzedano mnie jako okaz zoologiczny – odpowiedział, dygocąc na całym ciele, ze wzrokiem wbitym w stół, wydobywając z siebie każde słowo oddzielnym aktem samokontroli. – Wierzyłem przez jakiś czas, że znalazłem się w menażerii resztara Galatny. Arystokraty. Wielkiego poety. Autora wielu pieśni. Szacownej osoby według tradycyjnych katolickich standardów. W rzeczywistości znalazłem się w czymś w rodzaju haremu. Zmuszono mnie do opanowania trudnej sztuki uległości, jak Klitajmestrę.

Po jakichś trzech lub czterech tygodniach do klatki podszedł jeden ze strażników i przemówił do innych, którzy zbiegli się, okazując wielkie wzburzenie. Sandoz nie miał pojęcia, o czym mówią, znał tylko kilka podstawowych zwrotów w języku, jaki był tu w użyciu. Była to chyba jakaś forma buntu, odmowy. Jeśli nie nauczy się tego języka, nie będzie musiał tu zostać. Bezsensowne rozumowanie. Nagle ogarnął go strach, choć nie potrafił sobie odpowiedzieć, dlaczego się boi. Próbował go pokonać, powtarzając w duchu słowa, które miały wkrótce zniszczyć mu duszę: Jestem w rękach Boga. Cokolwiek się ze mną stanie, taka jest wola Boża.

Dano mu suknię, najwidoczniej uszytą specjalnie dla niego.

Była bardzo ciężka i ciepła, ale na pewno wolał ją niż dotychczasową nagość. Schwycono go mocno za ramiona i zaprowadzono do zupełnie pustego białego pokoju, w którym nie wyczuwał żadnych wonności. To go zdumiało. Poczul taką ulgę po tym całym wzrokowym, zapachowym i słuchowym zamęcie, że zapragnął osunąć się na kolana. Wówczas usłyszał głos Supaariego.

Serce mu załomotało z nadziei, że wkrótce odzyska wolność. Supaari zabierze mnie teraz do domu, pomyślał. To była jakaś pomyłka, pomyślał i natychmiast mu przebaczył, że trwało to tak długo.

Chciał coś powiedzieć, kiedy Supaari wszedł do pokoju, ale strażnik uderzył go w tył głowy, tak że zachwiał się i upadł, pociągnięty ciężarem sukni. Przemoc już od dawna nie wywoływała w nim gniewu, poczuł tylko wstyd z powodu upadku. Podźwignął się na nogi i poszukał wzrokiem Supaariego. Znalazł go, ale Supaari nie był sam: towarzyszył mu Jana'ata średniego wzrostu, promieniujący niesamowitą godnością, o fioletowych oczach niezrównanej piękności, które spoglądały prosto w jego oczy, tak natarczywie i przenikliwie, że musiał odwrócić wzrok. Resztar, pomyślał. Artysta i uczyony. Supaari opowiadał mu o resztarze, o tym wielkim poecie, autorze owych wysublimowanych pieśni, które przywiodły Emilia Sandoza i jego towarzyszy na Rakhat...

I nagle wszystko odzyskało swój sens, a radość owej chwili zaparła mu dech w piersiach. Znalazł się tutaj, krok po kroku, żeby stanąć twarzą w twarz z tą istotą: z Hlavinem Kitherim, poetą – może nawet prorokiem – z kimś, kto mógł znać Boga, któremu Emilio Sandoz służył. Doznał poczucia odkupienia tak przemożnego, że prawie załkał, przejęty wstydem, że pozwolił, by jego wiara tak skruszała pod wpływem lęku i osamotnienia. Starał się opanować, wzbudzić w sobie resztkę sił, aby mimo wszystko stać się lepszym narzędziem Bożej woli. Poczul się oczyszczony, odarty ze wszelkich innych pobudek i bodźców.

Co powie reszkarowi Galatny? Powie mu, że są takie chwile w życiu – chwile konfrontacji z narodzinami lub śmiercią, chwile zachwyty nad pięknem, gdy ujawnia się w całej okazałości wspaniałość przyrody lub miłości, chwile straszliwej samotności – kiedy nawiedza nas święta i przerażająca obecność. Może ona nadejść jako głęboka wewnętrzna cisza albo jako poryw gwałtownych uczuć. Może sprawiać wrażenie, że nadchodzi gdzieś spoza nas, samoistnie, bez najmniejszego udziału naszego jestestwa, a może narodzić się gdzieś wewnątrz nas, wzbudzona muzyką lub widokiem śpiącego dziecka. Jeśli w takich chwilach zdołamy otworzyć serce, dzieło stworzenia objawi się nam w całej swojej jednorodności i pełni. A kiedy przeminie taka chwila, przeniknie nas tęsknota za słowami, które mogłyby uchwycić ją na zawsze, tak abyśmy byli zawsze wierni jej wyższej prawdzie.

Powie resztarowi: Kiedy mój lud szuka słowa, aby nazwać prawdę, jaką czuje się w takich chwilach, nazywa ją Bogiem, a kiedy udaje się nam uchwycić to zrozumienie w ponadczasowej poezji, nazywamy to modlitwą. I kiedy usłyszeliśmy twoje pieśni, zrozumieliśmy, że i ty odnalazłeś język sposobny do nazwania i utrwalenia takich chwil prawdy. Kiedy usłyszeliśmy twoje pieśni, poznaliśmy, że są wezwaniem od Boga, abyśmy tu przybyli i poznali ciebie, ich twórcę...

Powie resztarowi: Jestem tutaj, aby poznać twoją poezję i może dać ci poznać naszą.

Właśnie dlatego żyję, powiedział sobie w duchu i podziękował Bogu z całej duszy za to, że pozwolił mu znaleźć się tutaj w tym momencie, że udzielił mu w końcu daru zrozumienia tego wszystkiego...

Pochłonięty własnymi, tak porywającymi myślami, przeniknięty poczuciem pewności i słuszności, nie zwracał uwagi na rozmowę, jaka się toczyła wokół niego, choć prowadzona była w dialekcie *K'san*, który dobrze znał. Nie zdziwił się, kiedy zdjęto z niego szatę. Nagość już go nie krępowała. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest przybyszem z kosmosu, że jego ciało może budzić taką samą ciekawość uczonego, jak jego umysł. Któryż z wykształconych ludzi nie byłby zaciekawiony, widząc po raz pierwszy przedstawiciela innego rozumnego gatunku? Kto oparłby się by poczynić uwagi na temat tego niezwykłego braku owłosienia czy tak słabo rozwiniętego nosa? Te dziwne czarne oczy... zdumiewający brak ogona...

– ...ale te miłe proporcje, ta wytworna muskulatura – mówił resztar.

Podziwiając wdzięczne proporcje i zwartość tego egzotycznego ciała, okrążał je powoli, muskając długimi pazurami, które pozostawiały na bezwłosej piersi cieniutkie linie, szybko zamieniające się w koraliki krwi. Przesunął ręką po ramieniu, a przyjrzawszy się krzywiznie karku, otoczył go dłońmi, delektując się jego wiotkością: to zdumiewające, ten kręgosłup można zmiażdżyć jednym gestem... Zaczął delikatnie pieścić nagie plecy, a potem przesunął pazury niżej, ku owej dziwnej próżni, tej fascynującej nieruchomości i bezbronności z powodu braku ogona.

Odstąpił nieco i dostrzegł, że cudzoziemiec drży. Zaskoczony szybkością odzewu, resztar odczuł chęć sprawdzenia gotowości, lekko podnosząc podbródek cudzoziemca i spoglądając prosto w te czarne, nieprzeniknione oczy. Jego własne oczy zwężyły się, widząc reakcję: głowa opadła w geście uległości, oczy się zamknęły, całe ciało drżało. Nieco żalodne, widać, że nie wyuczone, ale urocze.

– Panie – rozległ się głos kupca. – Podoba ci się? Jesteś zadowolony?

– Tak – odpowiedział resztar z roztargnieniem. Spojrzał na Supaariego, a potem przemówił zniecierpliwionym tonem:

– Tak. Mój sekretarz zajmie się stroną prawną. Możesz zamówić kontrakt na związek z moją siostrą na dzień, który uznasz za sprzyjający. Bracie: obyś miał dzieci. – Przeniósł spojrzenie na cudzoziemca i dodał: – A teraz odejdz.

Supaari VaGayjur, świeżo upieczony Założyciel nowego rodu, obdarzony tą łaską za swoje zasługi w służbie resztarowi Galatny, wycofał się tyłem z pokoju razem ze strażnikiem, który przyprowadził Sandoza z seraju.

Resztar jeszcze raz okrążył cudzoziemca i zatrzymał się za jego plecami. Zrzucił z siebie szatę i stał nieruchomo, koncentrując się, z zamkniętymi oczami, wchłaniając w siebie nową falę zapachu, teraz jeszcze bardziej intensywnego, bardziej złożonego niż przedtem. Silna, podniecająca woń, nieporównywalna z niczym, woń, której nie można się oprzeć. Piżmo przywodzące na myśl jakieś nieznanne aminy, dziwne węglowce z butyrycznych i kaprylicznych łańcuchów, przesycone mgiełką zwykłych, niewinnych dwutlenków drżącego oddechu, przemieszane z falami żelazistej krwi.

Hlavin Kitheri, resztar Pałacu Galatny, największy poeta swoich czasów, który uszlachetnił to, co było w powszechnej wzgardzie, który wywyższył i uświęcił to, co niskie i powszednie, który unieśmiertlnił to, co przelotne, jedyna w swoim rodzaju osobowość, której artyzm najpierw dojrzywał w skupieniu, by ujawnić się w całej chwale, w tym, co nieporównywalne i bezprecedensowe, odetchnął głęboko, wchłaniając w siebie piękno owej chwili. Będziemy o tym śpiewać przez całe pokolenia, pomyślał.

Język, dzieło życia i rozkosz Emilia Sandoza, język, który zawodził go słowo po słowie, teraz opuścił go całkowicie. Dygocąc na całym ciele, czuł mdlący odór własnego przerażenia. Pozbawiony języka, oniemiały, nie był w stanie nawet pomyśleć słowa oddającego ów zbliżający się ponury rytuał, nawet wówczas, kiedy został pochwycony od tyłu za ramiona. Lecz kiedy potężne chwytniwe stopy uwięziły mu kostki u nóg, a na pośladkach poczuł dotyk brzucha, zeszywniał ze strachu, pojąwszy w końcu, co go czeka. Gwałtowna penetracja spowodowała, że zawył z bólu. Potem było tylko coraz gorzej.

Jakieś dziesięć minut później wepchnięto go – krwawiącego i łkającego – do nie znanego mu pomieszczenia. Kiedy został sam, poczuł atak mdłości i wymiotował, aż padł z wyczerpania. Przez długi czas nie był w stanie myśleć, tylko odpoczywał z otwartymi oczami w pogłębiającym się mroku. W końcu przyszedł służący i zaprowadził go do kąpieli. W tym czasie jego życie było już nieodwracalnie podzielone na przed i po.

W ciszy, jaka zapadła w gabinecie ojca generała, rozległ się głos Johanna Voelkera.

– Nie rozumiem. Czego od ciebie chciał ten resztar?

O Boże, pomyślał Giuliani, geniusz może mieć swoje ograniczenia, ale głupota nie zna granic. Jak mogłem uwierzyć... Oczy miał wciąż zamknięte, kiedy usłyszał głos Emilia, łagodny, melodyjny i pozbawiony emocji:

– Czego ode mnie chciał? Ano chyba tego, czego chce pederasta od chłopca. Miłego, ciasnego dopasowania.

Giuliani podniósł głowę. *Romanita*, pomyślał. Wiedzieć, kiedy wykonać bezwzględny ruch.

– Można o tobie wiele powiedzieć, ale na pewno nie jesteś tchórzem – rzekł. – Staw temu czoło. Powiedz nam.

– Powiedziałem.

– Chcemy zrozumieć.

– Nie obchodzi mnie, czy rozumiecie czy nie. Niczego nie zmienię. Wierzcie sobie, w co chcecie.

Giuliani próbował sobie przypomnieć tytuł obrazu El Greca: studium hiszpańskiego szlachcica w momencie śmierci. *Romanita* wyklucza emocję, zwątpienie. To musi stać się teraz, tutaj.

– Dla dobra własnej duszy, powiedz to.

– Nie sprzedałem się – zachrypiał Sandoz, nie patrząc na nikogo. – Zostałem sprzedany.

– To nie wystarczy. Powiedz to!

Sandoz siedział nieruchomo, z pustką w oczach, oddychając z mechaniczną regularnością, jakby świadomie planował każdy wdech i wydech. Nagle odchylił się, wparł stopę w krawędź stołu i gwałtownie wyprostował nogę w wulkanicznym wybuchu wściekłości, aż stół runął z łoskotem, a siedzący przy nim ludzie rozbiegli się po kątach gabinetu. Tylko ojciec generał pozostał na swoim miejscu, a wszystkie odgłosy świata zostały zredukowane do tykania starego zegara i chrapliwego oddechu człowieka stojącego samotnie pośrodku pokoju, którego wargi kształtowały ledwo dosłyszalne słowa.

– Nie wyraziłem zgody.

– Powiedz to – powtórzył bezlitośnie Giuliani. – Chcemy to usłyszeć.

– Nie byłem prostytutką.

– Nie. Nie byłeś. Więc czym byłeś? Powiedz to, Emilio. Każde słowo zostało wypowiedziane oddzielnie, znękany głos załamał się na ostatnim.

– Zostałem zgwałcony.

Widzieli, ile go to kosztowało, jaka była cena tych dwu słów. Stał, kołyszając się lekko, z twarzą zniekształconą przez napięcie mięśni.

– O mój Boże – wydyszał John Candotti, a Emilio Sandoz odnalazł w sobie, gdzieś w głębi, to czarne i kruche żelazo, niezbędne, by odwrócić głowę i znieść, bez drgnięcia, współczucie w oczach Johna.

– Tak myślisz, John? Że to był twój Bóg? – zapytał Emilio z przerażającą łagodnością. – Widzisz, na tym polega mój dylemat. Bo jeśli to Bóg wiódł mnie, bym Go pokochał, krok po kroku, jeśli przyjmę, że prawdziwe było to piękno, prawdziwy zachwyt, to i cała reszta jest wolą Boga, a to, moi panowie, rodzi straszliwą gorycz. Ale jeśli jestem tylko oszukaną małpą, która zbyt poważnie potraktowała mnóstwo starych baśni, to ja sam sprowadziłem to wszystko na siebie i na moich towarzyszy, a cała ta historia staje się farsą. Dochodzę więc do wniosku, biorąc pod uwagę te okoliczności – ciągnął z akademicką dokładnością, nasycając każde słowo jadem – że problem ateizmu, w każdym razie jeśli chodzi o mnie, polega na tym, że mogę oskarżać tylko samego siebie. Gdybym jednak zechciał uwierzyć, że Bóg jest niegodziwy, to pozostawałoby mi na pociechę nienawidzenie Boga.

Wpatrywał się w każdą twarz po kolei, obserwował, jak zaczyna się w nich tlić zrozumienie. Ale co którykolwiek z nich mógłby teraz powiedzieć? Prawie się roześmiał.

– Czy ktoś zgadnie, co sobie pomyślałem tuż przed tym, jak zostałem zgwałcony po raz pierwszy? – zapytał, znowu zaczynając krążyć po pokoju. – To niesamowite. To bardzo zabawne! Bałem się, ale nie miałem pojęcia, co się dzieje. W ogóle mi nie przyszło na myśl... zresztą, kto mógłby sobie to wyobrazić? Wiecie, co myślałem? Że jestem w rękach Boga. Kochałem Boga i zawierzyłem Jego miłości. Zadziwiające, prawda? Pozbyłem się woli, pozbyłem się wszelkiej obrony. Nie pozostało nic między mną a tym, co miało się stać. Nic, prócz miłości Boga. I zostałem zgwałcony. Byłem nagi przed Bogiem i zostałem zgwałcony.

Zatrzymał się na dźwięk własnych słów; głos miał prawie normalny do chwili, kiedy załamał się, przytłoczony nieopisanym żalem, gdy w końcu zrozumiał w pełni swoją nędzę. Ale nie umarł, a kiedy znowu był w stanie się poruszyć, zaczerpnąć powietrza, spojrzął na Vincenza Giulianiego, który milczał, który patrzył mu w oczy i nie odwrócił wzroku.

– Powiedz nam.

Dwa słowa. To chyba, pomyślał Giuliani, najtrudniejsze, czego kiedykolwiek dokonał.

– Chcesz więcej? – zapytał Sandoz, jakby niedowierzał własnym uszom. I znowu zaczął chodzić, niezdolny ani do bezruchu, ani do milczenia. – Mogę wam dostarczyć najdrobniejszych szczegółów – powiedział z teatralną przesadą, teraz już bezlitosny. – To trwało długo... nie wiem jak długo. Miesiące. Wydawało się wiecznością. Dzielił się mną ze swoimi przyjaciółmi. Stałem się modny. Wykorzystało mnie sporo wybitnych osobistości. Coś w rodzaju koneserstwa. Czasami – dodał, zatrzymując się i patrząc na każdego z nich, nienawidząc ich za to, że tego słuchają – czasami byli widzowie.

John Candotti zamknął oczy i odwrócił głowę, a Edward Behr cicho zaszczołał.

– Przykre, prawda? Będzie gorzej – zapewnił ich z dziką radością, poruszając się niespokojnie, jak w gorączce. – Recytowano improwizowane wiersze. Tworzono pieśni opisujące to przeżycie. Koncerty były transmitowane, rzecz jasna, jak te, które do nas dotarły... *à propos*, czy Arecibo wciąż gromadzi te pieśni? Bo jeśli tak, to musieliście już słyszeć niektóre z tych o mnie. – To nie była modlitwa. Chryste! Nie modlitwa... ale pornografia. – Były bardzo piękne – dodał z okrutną precyzją. – Żądano, bym ich wysłuchiwał, chociaż nie byłem chyba w stanie właściwie ocenić ich artyzmu.

Spoglądał po nich, pobladłych i oniemiałych, wpatrywał się w każdą twarz po kolei.

– Macie już dosyć? A co powiecie na to: podniecał ich odór mojego strachu, mojej krwi. Chcecie więcej? Chcielibyście wiedzieć, jak ciemna może być noc duszy? – zapytał, teraz ich prowokując. – Był taki moment, kiedy się zastanawiałem, czy bestialstwo jest grzechem dla zwierzęcia. Bo przecież dla nich byłem zwierzęciem.

Voelker nagle ruszył w kierunku drzwi.

– Doprowadza cię to do mdłości? – zapytał Sandoz z troską w głosie, patrząc, jak Voelker opuszcza pokój. – Nie wstydz się! – zawołał. – Mnie się to wciąż przydarza.

Obrócił się gwałtownie, aby spojrzeć na pozostałych.

– Chciał, żeby w jakiś sposób się okazało, że to moja wina – powiedział rzeczowym tonem, a potem zatrzymał wzrok na Candottim. – To nie jest zły facet, John. Chciał, żeby się okazało, że popełniłem jakiś błąd, którego on by nie popełnił. Chciał znaleźć we mnie jakąś skazę, której sam nie ma, żeby uwierzyć, że jest lepszy. Ale to nie była moja wina. To ślepy, głuchy, głupi pech, od samego początku aż do końca, co by oznaczało, moi panowie, że wszyscy tkwimy w gównie. No i jest jeszcze jedno wyjaśnienie: to był Bóg, którego nie jestem w stanie czcić.

Czekał, trzęsąc się, aż któryś z nich przemówi.

– Nie ma pytań? Żadnych dyskusji? Żadnej pociechy dla dotkniętych? – zapytał z uszczypliwą ironią. – Ostrzegalem was. Mówilem, że wcale się wam nie spodoba to, czego się dowiecie. Teraz już wiecie. Teraz musicie z tym żyć. Ale to było moje ciało. To była moja krew. – Zachłysnął się gniewem. – I to była moja miłość.

Nagle zatrzymał się i w końcu odwrócił do nich plecami. Nikt się nie poruszył, słyszeli tylko, jak wstrzymuje na chwilę oddech, a potem wypuszcza powietrze.

– John zostaje – powiedział wreszcie. – Reszta: wynosić się.

Dygocąc, odwrócił się do Johna Candottiego i czekał, aż wyjdą. Giuliani zgrabnie ominął szczątki stołu, brat Edward zawahał się przy drzwiach, chcąc przepuścić Felipe Reyesa, a kiedy ten wyszedł, sam opuścił pokój i zamknął drzwi. John bardzo pragnął uciec, odejść z innymi, ale wiedział, dlaczego tu jest, więc został, starając się przygotować na to, co musiał usłyszeć.

Kiedy już byli sami, Sandoz znowu zaczął chodzić po pokoju i mówić, wylewając z siebie łagodnie te straszne słowa.

– Po jakimś czasie przestałem być atrakcją i odwiedzali mnie głównie strażnicy. Trzymali mnie w małym pomieszczeniu o kamiennych ścianach, bez światła. Byłem sam, wokół mnie cisza, słyszałem tylko swój oddech i krew pulsującą mi w uszach. Od czasu do czasu otwierały się drzwi i dostrzegałem błysk światła. – Urwał, widząc to, nie będąc już w stanie określić, ile z tego było prawdą, a ile sennym koszmarem. – Nigdy nie wiedziałem, czy przynoszą mi jedzenie, czy... czy... Trzymali mnie tam, bo moje krzyki przeszkadzały innym. Moim towarzyszom. Tym z tego rysunku, który widziałeś w Rzymie, pamiętasz? Musiał to narysować ktoś z haremu. Pewnego dnia znalazłem go przy jedzeniu, które mi przyniesiono. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co to dla mnie znaczyło. Bóg mnie opuścił, ale ktoś pamiętał, że tam jestem.

Zatrzymał się i spojrzął na Candottiego, który stał jak sparaliżowany: ptak uwięziony spojrzeniem kobry.

– W końcu postanowiłem zabić pierwszą osobę, która przekroczy próg, następną, która... która mnie dotknie. – Znowu zaczął krążyć, podnosząc i opuszczając ręce, kiedy próbował mu to wszystko wyjaśnić, sprawić, by zrozumiał. – Ja... Nie miałem gdzie uciec. Myślałem jednak, że jeśli stanę się dla nich niebezpieczny, zostawią mnie w spokoju. Zabiją mnie. Myślałem: następnym razem, kiedy ktoś przyjdzie, jeden z nas musi umrzeć i nie obchodzi mnie który. Ale to było kłamstwo. Obchodziło mnie to. Strasznie mnie wykorzystywali, John. Strasznie mnie wykorzystywali. Chciałem umrzeć.

Znowu się zatrzymał i spojrzął bezradnie na Candottiego.

– Chciałem umrzeć, a Bóg zabrał ją. Dlaczego, John? Dlaczego?

John nie bardzo wiedział, o co chodzi, ale było to pytanie, na które już nieraz musiał odpowiadać, więc odpowiedział i tym razem:

– Bo dusze nie są wymienne. Nie można powiedzieć Bogu: zabierz mnie zamiast niej.

Sandoz nie słuchał go.

– Nie spałem, długo nie spałem. Czekałem, aż drzwi się otworzą, i rozmyślałem, jak zabić bez użycia rąk... – Wciąż stał nieruchomo, ale już nie widział Johna Candottiego. – Więc czekałem. Czasami chyba zasypiałem na kilka minut. Ale było tak ciemno. Już nie wiedziałem, czy mam oczy otwarte czy zamknięte. Aż wreszcie usłyszałem kroki, więc podniosłem się i stanąłem w najdalszym kącie, żeby wykorzystać impet swojego ciała, a drzwi się otworzyły i zobaczyłem czyjąś sylwetkę, i to było bardzo dziwne... mięśnie wystrzeliły, zupełnie bez udziału mojej woli. Uderzyłem w nią całym ciężarem, John... usłyszałem trzask łamanych kości...

Próbował rozpaczliwie zapanować nad swoimi kalekimi rękami, wysunąć je przed siebie, aby osłabić uderzenie, ale zanim zdołał je unieść, runął razem z nią na kamienną ścianę.

Znalazł się na posadzce, podtrzymując ciężar swojego ciała kolanami i łokciami; Askama leżała pod nim, bezwładna i nieruchoma, z twarzą tak blisko niego, że mógł usłyszeć jej szept. Uśmiechnęła się do niego, a wówczas w kąciku jej ust pojawiły się krwawe bąbelki powietrza. Krew sączyła się też z jej nozdrzy.

– Widzisz, Milo? Twoja rodzina przyszła po ciebie. Znalazłam ciebie.

Potem usłyszał głosy, ludzkie głosy, i spojrzął ponad ciałem Askamy prosto w oślepiający blask drugiego wschodu słońca, wlewający się przez drzwi. Zobaczył ich oczy, oczy z pojedynczymi tęczęwkami, i wydały mu się tak przerażające, jak musiały się wydawać Askamie jego własne oczy, kiedy je po raz pierwszy zobaczyła. Rozpoznał w nich najpierw szok, a potem odrazę.

– O Boże, ty ją zabiłeś – powiedział starszy człowiek i zamilkł, dotykając wysadzanego klejnotami naszyjnika i przygarniając nagie ciało ozdobione wonnymi wstążkami. – O Boże – powtórzył.

Młodszy krztusił się i kaszłał, zasłaniając nos rękawem, by obronić się przed odorem krwi, potu i perfum.

– Jestem Wu Xing-Ren, a to mój towarzysz, Trevor Isley – powiedział w końcu. – Narody Zjednoczone, Komitet Spraw Zagranicznych. – Nie do końca mu się udało ukryć pogardę, kiedy dodał: – A ty zapewne jesteś ojcem Sandozem.

Po tych słowach rozległ się dźwięk, który rozpoczął się jako śmiech, równie szokujący i odrażający jak to, na co patrzyli i czego wǳchali, a zakończył czymś trudnym do wysłuchania. Kryzys trwał przez jakiś czas. Nawet wówczas, gdy wyczerpanie przerwało atak hysterii, nie dowiedzieli się od tego człowieka niczego.

– Dlaczego, John? Jakie może być inne wytłumaczenie tego wszystkiego poza tym, że Bóg tego chciał? Wydawało mi się, że rozumiałem... – Głos mu zamarł, a Candotti czekał, nie wiedząc, co powiedzieć albo zrobić. – Jak długo trwało to u ciebie, John?

Zaskoczony tym nagłym zwrotem, John zmarszczył czoło i pokręcił głową, pragnąc zrozumieć, ale nie mogąc nadążyć za biegiem jego myśli.

– Pewnego razu to na mnie przyszło. Dwadzieścia dziewięć lat. Czas trochę mi się myli, ale wtedy miałem piętnaście lat, a teraz mam chyba czterdzieści pięć. Tak mi się zdaje.

Znękane nerwy nagle odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana. John podszedł do niego i ukląkł przy nim, wsłuchując się w jego łkanie i słaby, urywany szept.

– Widzisz, John, wiem, że mnóstwo ludzi potrafi się z tym pogodzić. Znajdują kogoś... kogoś... kto im pomoże. Ale rzecz w tym, że ja tego nie potrafiłem. I ja... ja myślałem, że rozumiałem. To była ścieżka wiodąca do Boga i sądziłem, że rozumiałem. Są takie chwile, John, kiedy dusza jest jak kula ognista, która dosięga wszystkiego i każdego. Myślałem, że rozumiałem.

Nagle otarł oczy i wciągnął głęboko powietrze, a kiedy znowu przemówił, miał głos normalny, zmęczony jak zwykle, i, właśnie z tego powodu, straszliwie smutny.

– No więc... w każdym razie miałem chyba czterdzieści cztery lata, kiedy to... kiedy... to się stało, więc to musiało trwać około dwudziestu dziewięciu lat. – Usta mu się rozciągnęły w strasznym uśmiechu i zaczął się głośno śmiać, choć błyszczące oczy pozostały ponure. – John, jeśli Bóg to wszystko sprawił, to upieranie się przy celibacie jest jakimś cholernym oszustwem. A jeśli to nie Bóg, to co ze mnie zostaje? – Wzruszył bezradnie ramionami. – Bezrobotny lingwista z kupą martwych przyjaciół.

Mięśnie jego twarzy prawie nie drgnęły, ale łzy znowu napłynęły.

– Tylu umarło tylko dlatego, że ja wierzyłem. John, oni wszyscy umarli. Tak bardzo chciałem zrozumieć – wyszeptał. – Kto mi to wybaczy? Tylu umarło...

John Candotti przyciągnął do siebie to drobne ciało, objął je ramionami i kołysał miarowo. Obaj płakali. Po jakimś czasie szepnęła:

– Ja ci przebaczam. – I zaczął wypowiadać prastare słowa rozgrzeszenia: – *Absolvo te... absolvo te...*

I to musiało wystarczyć, bo nie był w stanie wypowiedzieć reszty.

– To było nadużycie władzy – syknął Felipe Reyes. – Nie miał ojciec prawa... Boże, jak ojciec mógł mu coś takiego zrobić?

– To było konieczne.

Ojciec generał opuścił budynek, przechodząc szybko ze swojego gabinetu przez długie korytarze, w których jego kroki odbijały się echem, otwierając energicznie francuskie podwójne drzwi i prawie wybiegając do ogrodu, w nadziei, że w blasku słońca i spokoju uporządkuje myśli. Reyes siedł jednak za nim, rozwścieczony tym, że Emilio Sandoz został zmuszony do opowiedzenia tego wszystkiego przy tylu świadkach.

– Jak ojciec mógł mu coś takiego zrobić? – powtórzył. – A może znajduje ojciec jakąś perwersyjną rozkosz w wysłuchiwanie takich...

Giuliani odwrócił się i spojrział na niego tak, że tamtemu słowa zamarły na wargach.

– To było konieczne. Gdyby był artystą, kazałbym mu to namalować. Gdyby był poetą, kazałbym mu to napisać. A ponieważ jest tym, kim jest, skłoniłem go do mówienia. To było konieczne. Dla niego i dla nas.

Felipe Reyes popatrzył przez chwilę na swojego przełożonego, a potem nagle osunął się na chłodną kamienną ławkę, otoczoną przesyconymi słońcem kwiatami, wstrząśnięty, zdruzgotany i wciąż nie przekonany. Kwitły tu słoneczniki i wspaniałe żółte liliowce, ostróżki, groszki i gladiole, a gdzieś z pobliza dochodziła woń róż. Jaskółki już nie śmigały, bo zbliżał się wieczór, owady brzęczały inaczej. Ojciec generał usiadł obok niego.

– Reyes, byłeś kiedy we Florencji?

Felipe odchylił się do tyłu i otworzył usta, niemile zaskoczony pytaniem, którego sensu nie rozumiał.

– Nie – odrzekł zgryźliwie. – Turystyka nie bardzo mnie pociąga, proszę ojca.

– Powinieneś tam pojechać. Jest tam seria rzeźb Michała Anioła, którą powinieneś zobaczyć. Nazywają ją *Jeńcy*. Z wielkiej bezkształtnej masy kamienia wyłaniają się postacie niewolników: głowy, ramiona, torsy, ze straszliwym wysiłkiem sięgające ku wolności, ale wciąż uwięzione w kamieniu. Są takie dusze, Reyes. Są dusze, które starają się wydobyć z własnej bezkształtności. Emilio Sandoz, tak załamany i upodlony, wciąż próbuje odnaleźć sens tego, co mu się przydarzyło. Wciąż próbuje odnaleźć Boga w tym wszystkim.

Felipe Reyes zamrugał; dopiero po dłuższym czasie dotarło do niego to, co usłyszał, a jeśli nawet wciąż był zbyt wzburzony, by spojrzeć na Giulianiego, zdobył się na potwierdzenie, że rozumiał.

– A my pomagamy mu, słuchając jego wyznań.

Tak. My mu pomagamy. Będzie to musiał wciąż opowiadać, a my będziemy musieli tego wysłuchiwać, dopóki odnajdzie sens tego wszystkiego. – W tym momencie Giulianiego opuścił umiar i rozsądek, zdolność chłodnego rozumowania i wyrażania wyważonych opinii. W jednej chwili wszystko to zostało zdmuchnięte jak ulotny, prawie niesubstancjalny popiół. – To wielki człowiek, Reyes. Zawsze nim był. Wciąż więzi go bezkształtny kamień, ale teraz jest bliżej Boga niż ja w ciągu całego swojego życia. Nie mam nawet tyle odwagi, by mu zazdrościć.

Siedzieli tam długo, w to późne sierpniowe popołudnie, w złotawym świetle słońca i łagodnym powiewie nadchodzącego wieczoru. Ogród rozbrzmiewał cichymi odgłosami ptaków i owadów, gdzieś w oddali szczełał pies. Po jakimś czasie pojawił się John Candotti. Usiadł ciężko na trawie po drugiej stronie alejki i ukrył twarz w dłoniach.

– Było ciężko – powiedział ojciec generała.

– Tak. Było ciężko.

– Dziecko?

– Najbliższa kwalifikacja prawna to nieumyślne zabójstwo. – John położył się na plecach, niezdolny do utrzymania się w siedzącej pozycji. – Nie – poprawił się po chwili. – To był nieszczęśliwy wypadek. Chciał zabić, ale w samoobronie. A to, że akurat zabił Askamę... to był przypadek.

– Gdzie jest teraz?

Candotti spojrział na nich, czując w sobie pustkę.

– Zaniosem go do jego pokoju. Spał jak zabity. Okropne powiedzenie. W każdym razie spał. Jest przy nim Ed. – Zamilkł na chwilę. – Myślę, że to mu dobrze zrobiło. Mam cholerną pewność, że mnie nie zrobiło to dobrze, ale jestem pewien, że jemu jest już lepiej. – Zakrył oczy rękami. – Śnić o tym wszystkim. I te dzieci... Teraz już wiemy.

– Teraz już wiemy – zgodził się Giuliani. – Siedzę tutaj i próbuję zrozumieć, dlaczego wydawało mi się to mniej straszne, kiedy sądziłem, że to była prostytutka. Przecież to ten sam akt fizyczny.

Nie był już ojcem generałem. Był po prostu Vince'em Giulianim, który nie miał gotowych odpowiedzi. Nie wiedząc o tym, kroczył tymi samymi ścieżkami, które przebyła kiedyś Sofia Mendes.

– Myślę, że prostytutka ma przynajmniej złudzenie panowania nad sytuacją. To transakcja. Występuje element przyzwolenia.

– W prostytutce – odezwał się cicho Felipe Reyes – jest więcej godności niż w zbiorowym gwałcie. Nawet jeśli dokonują go poeci.

Giuliani nagle przyłożył sobie dłonie do warg.

– Co za dziki pomysł, uwierzyć, że zostało się uwiedzionym i zgwałconym przez Boga!

A potem zdać się na nasze czułe miłosierdzie, pomyślał ponuro. John usiadł i spojrzał na ojca generała zaczerwienionymi oczami.

– Coś wam powiem. Jeśli mamy wybierać między pogardą dla Emilia a nienawiścią do Boga, to...

Niespodziewanie przerwał mu Felipe Reyes, zanim Candotti zdążył powiedzieć coś, czego by żałował.

– Emilio nie jest godny pogardy. Ale Bóg go nie zgwałcił, nawet jeśli tak to teraz odbiera Emilio. – Odchylił się do tyłu i wpatrzył w prastare oliwkowe drzewa wytyczające skraj ogrodu.

– Jest taka stara przypowieść żydowska, według której na początku Bóg był wszędzie i wszystkim, był absolutną pełnią. Żeby stworzyć, musiał usunąć się z cząstki wszechświata, tak żeby mogło zaistnieć coś oprócz Niego. Więc wziął oddech, a w miejscu, z którego zaczerpnęła oddech, zaistniało stworzenie.

– Więc Bóg się wycofał? – zapytał John, czując gniew tam, gdzie Emilio odczuwał straszliwe osamotnienie. – Porzucił swoje stworzenie? Radźcie sobie same, mały. Powodzenia!

– Nie. Bóg obserwuje. Raduje się. Szlocha. Spogląda na dramat ludzkiego życia i nadaje mu sens, czule się nami opiekując i pamiętając o każdym.

– Mateusz, rozdział dziesiąty, wiersz dwudziesty dziewiąty – powiedział spokojnie Giuliani. – *Ani jeden wróbel nie spadnie na ziemię bez woli waszego Ojca.*

– Ale wróble wciąż spadają – powiedział Felipe. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, każdy pogrążony w swoich myślach.

– Wiecie, on był zawsze dobrym księdzem – odezwał się Felipe w taki sposób, jakby coś wspominał – ale kiedy zaczęto planować tę misję, coś się w nim zmieniło. To było coś takiego... no, nie wiem... on czasami po prostu... *ignite*. – Zrobił rękami ruch imitujący wybuch fajerwerku. – Było coś takiego w jego twarzy, coś cudownego. I myślałem sobie, jeśli to właśnie znaczy, że się jest kapłanem... To było tak, jakby się zakochał w Bogu.

– Gdybym to miał skomentować na gorąco – rzekł ojciec generał znużonym głosem, suchym jak sierpniowa trawa – powiedziałbym, że miesiąc miodowy już się skończył.

Słońce było już dość wysoko, kiedy Edwarda Behra obudził dźwięk filiżanki szcękającej o spodek. Mrugając oczami, wyprostował się na drewnianym krześle, na którym spędził tę noc, i jęknął. Zobaczył Emilia Sandoza stojącego przy nocnym stoliku i ostrożnie stawiającego filiżankę. Mechanizm wspomagający zwolnił jego uścisk tak szybko, jak mogłyby to uczynić prawdziwe mięśnie i palce.

– Która to godzina? – zapytał Ed, rozcierając sobie kark.

– Parę minut po ósmej – odpowiedział Sandoz. Miał na sobie bawełnianą koszulkę i obszerne spodnie treningowe. Przysiadł na skraju łóżka i obserwował, jak brat Edward przeciąga się i przeciera oczy pulchnymi rękami.

– Dziękuję ci. Za to, że nade mną czuwałeś.

Brat Edward spojrział na niego, zbierając myśli.

– Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiedział Emilio. – Czuję się dobrze. Wstał, podszedł do okna i rozchylił zasłony, ale niewiele zobaczył: garaż i kawałek wzgórza.

– Kiedyś byłem zupełnie niezłym średniodystansowcem – powiedział zdawkowo. – Tego ranka zrobiłem pół kilometra. Niestety, większość dystansu musiałem pokonać chodem. – Wzruszył ramionami.

– To początek.

– To początek – zgodził się Behr. – I całkiem niezłe poradziłeś sobie z kawą.

– Racja. Nie pokruszyłem filiżanki. Tylko trochę rozlałem. – Puścił zasłony. – Idę się umyć.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie. Dzięki. Dam sobie radę.

Ani śladu gniewu, zauważył brat Edward. Obserwował, jak Emilio otwiera komodę i wyjmuje czyste ubranie. Zajął mu to nieco czasu, ale sobie poradził. Kiedy Sandoz ruszył w kierunku drzwi, brat Edward znowu się odezwał.

– To nie minęło, chyba wiesz – ostrzegł go. – Z czegoś takiego nie wychodzi się tak nagle.

Emilio przez chwilę wpatrywał się w podłogę, a potem podniósł głowę.

– Tak. Wiem. – Stał jeszcze przez chwilę, a potem zapytał:

– Kim byłeś przedtem? Pielęgniarem? Terapeutą?

Edward Behr parsknął i sięgnął po dzbanek z kawą.

– Nic z tych rzeczy. Byłem maklerem giełdowym. Specjalizowałem się w firmach nisko szacowanych na giełdzie. – Nie oczekiwał, że Sandoz zrozumie. Większość księży, którzy ślubowali ubóstwo, kompletnie nie orientowała się w sprawach finansowych. – To polega na dostrzeganiu wartości w czymś, co inni uważają za bezwartościowe.

Sandoz nie uchwycił związku.

– Byłeś w tym dobry?

– O, tak. Byłem w tym bardzo dobry. – Brat Edward podniósł filiżankę i rzekł: – Dzięki za kawę.

Patrzył, jak Sandoz wychodzi, a potem, siedząc wciąż nieruchomo, w ciszy, zaczął odmawiać modlitwy poranne.

O dziesiątej rozległo się metaliczne pukanie do drzwi gabinetu ojca generała. Kiedy zawołał: „Wejść!”, nie był zaskoczony, widząc Emilia Sandoza, który wkroczył bez wahania i zamknął za sobą drzwi.

Giuliani już się podnosił, lecz Emilio powiedział:

– Nie, proszę cię. Siedź. Chciałem po prostu... chciałem ci podziękować. To nie mogło być dla ciebie łatwe.

– To było brutalne. Zresztą nie musiałem nic robić. Tylko słuchać.

– Nie. Zrobiłeś o wiele więcej.

Sandoz rozejrzył się po gabinecie, który wydał mu się dziwnie pusty. Nieoczekiwanie parsknął śmiechem i podniósł ręce do włosów, jakby chciał przeczesać je palcami – stare nerwowe przyzwyczajenie, które teraz mogłoby doprowadzić do uszkodzenia mechanizmu protez. Opuścił ręce.

– Przepraszam za ten stół. Był cenny?

– Bezcenny.

– Podaj sumę.

– Zapomnij o tym. – Giuliani odchylił się w fotelu. – Wygląda na to, że czujesz się lepiej.

– Tak. Dobrze spałem. Założę się, że biedny Candotti miał ciężką noc, ale ja spałem. – Emilio uśmiechnął się i dodał: – John był naprawdę wspaniały. Dzięki ci, że go tu sprowadziłeś. I Ed. I Felipe. Nawet Voelker. Nie mogłem... – Skrzywił się i odwrócił, ale prawie natychmiast opanował się i znowu spojrzął na Giulianiego. – To było jak... jak wymiotowanie trucizną. – Giuliani milczał, a Emilio ciągnął z lekką ironią: – Chyba gdzieś słyszałem, że spowiedź jest dobra dla duszy.

Kąciki ust Giulianiego drgnęły.

– Z całą pewnością działałem zgodnie z tą zasadą.

Emilio podszedł do okna. Widok był na pewno lepszy niż z jego pokoju. Władza ma swoje przywileje.

– Miałem tej nocy sen – powiedział spokojnie. – Byłem na jakiejś drodze, zupełnie sam. I w tym śnie powiedziałem: „Nie rozumiem, ale mogę się nauczyć, jeśli mi pomożesz”. Myślisz, że ktoś tego słuchał? – Nie odwracał się od okna.

Giuliani wstał bez słowa i podszedł do szafy z książkami. Wybrał mały wolumin w splekanej skórzanej oprawie i zaczął przewracać strony, aż znalazł to, czego szukał, i wyciągnął otwartą książkę do Sandoza. Ten odwrócił się i wziął ją, spoglądając na grzbiet.

– Ajschylos?

Giuliani bez słowa wskazał mu odpowiedni ustęp i Emilio studiował go przez chwilę, powoli tłumacząc w myślach grekę. W końcu wyrecytował:

„We śnie czuwa bolesna pamięć win, kroplą po kropli drąży serce, aż w końcu, kiedy ogarnie nas rozpacz, wbrew naszej woli nadchodzi mądrość dzięki straszliwej łasce Boga”.⁸

– Brawo, co za popis.

Emilio roześmiał się, ale znowu odwrócił się do okna i przeczytał cały ustęp. Giuliani wrócił za biurko i usiadł, czekając, aż Sandoz przemówi.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym tu zostać trochę dłużej – powiedział Emilio. Wcale nie zamierzał zadawać tego pytania. Zamierzał wyjść. – Byłeś bardzo cierpliwy. Nie chciałbym się narzucać.

– Ależ nie narzucasz się!

⁸ Dość swobodne tłumaczenie fragmentu *Orestei* (175-184) Ajschylosa

Sandoz stał wciąż odwrócony plecami do pokoju, ale Giuliani dosłyszał zmianę w tonie jego głosu.

– Nie wiem, czy jestem kapłanem. Nie wiem, czy... Nie wiem niczego na pewno. Nie wiem nawet, czy powinienem szukać pewności.

– Zostań tak długo, jak zechcesz.

– Dziękuję ci. Byłeś bardzo cierpliwy – powtórzył Emilio. Podeszedł do drzwi, oplecione siatką drutów palce zacisnęły się zręcznie na klamce.

– Emilio! – zawołał za nim ojciec generał tubalnym głosem, który zadudnił w ciszy pokoju. – Wysyłam następną grupę. Na Rakhat. Pomyślałem sobie, że powinienes o tym wiedzieć. Możemy cię wykorzystać. Znasz języki.

Sandoz zamarł przy drzwiach.

– Jeszcze za wcześnie, Vince. Nie jestem w stanie o tym myśleć. Za wcześnie.

– Oczywiście. Po prostu pomyślałem, że powinienes wiedzieć.

Patrzył, jak Sandoz wychodzi. Całkiem bezwiednie, ulegając staremu zwyczajowi, Vincenzo Giuliani wstał, podeszedł do okna i stał tam długo – nie miał pojęcia, jak długo – patrząc ponad otwartą, trawiastą przestrzeń na złożoną panoramę średniowiecznej zabudowy, bezładnych skał, tradycyjnego ogrodu i sękatych drzew: sceneria tchnąca czarem zamierzchłej przeszłości.

PODZIĘKOWANIA

Jako byłemu naukowcowi wciąż trudno mi się pogodzić z brakiem przypisów i obszernej bibliografii, ale nawet jako powieściopisarka uważam, że powinnam wymienić choć kilka z setek źródeł, którymi się posługiwałam. Z *Hunger of Memory* Richarda Rodrigueza dowiedziałam się, co mogą czuć chłopcy, którzy dostali się do liceum dzięki stypendium. Wspaniała proza Alaina Corbina w jego książce *The Foul and the Fragrant* była dla mnie inspiracją przy charakterystyce wczesnej poezji resztara Galatny. Wdzięczna też jestem pani Ivins za wiedzę o Teksańczykach, żółwiach i pancernikach, bo chociaż *Molly Ivins Can't Say That, Can She?*, to jednak D.W. potrafił. Pojęcie mimikry drapieżników zaczerpnęłam z książki *The New Dinosaurs* Dougala Dixona. Przy opisie iluminacji, jakiej doświadczył Emilio w ostatnim rozdziale, czerpałam z teologii Arthura Greena w jego książce *Seek My Face, Speak My Name*. No i wreszcie Dorothy Dunnett może przyjąć całego *Wróbla* jako wyraz wdzięczności za jej wspaniałą serię Lymondowską.

Dziękuję też mojej matce, Louise Dewing Dorii, której zasada: „Po prostu to zrób” na długo wyprzedziła znane hasło reklamowe, a także mojemu ojcu, Richardowi Dorii, który zawsze traktował mnie poważnie. Maura Kirby wierzyła, że ta książka powstanie, zanim ja w to uwierzyłam. Don Russell wyciągał mnie z pułapek fabuły, zaprojektował *Stellę Maris* i jest źródłem poczucia humoru Emilia. Mary Dewing nauczyła mnie pisania; nasza piętnastoletnia korespondencja była dla mnie prawdziwą nauką rzemiosła pisarskiego. Mary przeczytała też wszystkie kolejne korekty tej książki i zawsze znalazła coś, co każdą wersję czyniło lepszą od poprzedniej. Wielu przyjaciół pomogło mi ulepszyć rękopis; szczególnie dziękuję Tomaszowi i Marii Rybakom, Vivian Singer, a zwłaszcza Jennifer Tucker za jej krytyczną lekturę w krytycznych momentach. Charles Nelson i Helenę Fiore byli moimi głównymi łącznikami ze światem wydawców. Stanley Schmidt dodawał mi otuchy i udzielał bezcennych rad; to samo zawdzięczam Mary Fiore, która ponadto otworzyła mi drzwi wiodące do Jennifer McGiashan i Miriam Goderich, a także do mojego niezwykłego agenta, Jane Dystel. I zawsze będę wdzięczna Davidowi Rosenthalowi z wydawnictwa Villard i Leonie Nevler z Ivy-Fawcett za ich wsparcie i wiarę w tę książkę. Padam do stóp całej załodze Villarda i ściskam ich gorąco, bo napracowali się ciężko przy powstawaniu tej książki, dzielnie znosząc fobie debiutującego autora. Ray Bucko TJ przeczytał ostatnią wersję *Wróbla*, no i sam jest żywym dowodem na to, że naprawdę istnieją jezuici tak ekstrawagancko zabawni i wspaniali, jak ci, których stworzyłam. Nie ponosi przy tym odpowiedzialności za jakiegokolwiek uchybienia w przedstawieniu życia jezuitów – to ja jestem autorką tej książki i ja za nią odpowiadam. Dziękuję też paniom z Noble Branch of the Cleveland Heights Library, które umożliwiły mi łatwe korzystanie z

mnóstwa encyklopedii, leksykonów i innych dzieł podręcznych.

I jeszcze słowo do Dona i naszego syna Daniela, którzy nigdy nie byli zazdrośni o czas, uwagę i miłość, jakimi obdarzałam moich fikcyjnych bohaterów, podczas gdy oni, moi najdrożsi, byli zaledwie piętro niżej. Dziękuję wam, chłopcy. Jesteście najlepsi.